

# SARAH DESSEN

Czwiazdka.  
z nieba  
i jeszcze więcej

**Sarah Dessen**

**GWIAZDKA Z NIEBA I JESZCZE  
WIĘCEJ**

Tłumaczenie:  
Janusz Maćczak

*Dla Jaya i Sashy, którzy są moim światem*

# 1

Oni już nadjechali.

- ...albo daję słowo, że natychmiast zawrócimy i pojedziemy z powrotem do Paterson! - krzyczała kobieta za kierownicą podjeżdżającego koło mnie bordowego minivana.

Miała głowę odwróconą w kierunku tylnego siedzenia, na którym dostrzegłam troje dzieci - dwóch chłopców i dziewczynkę - spoglądających na nią. Nabrzmiała żyła na jej szyi przypominała grubą, wyraźną autostradę międzystanową na mapie trzymanej przez mężczyznę siedzącego obok niej w fotelu pasażera.

- Nie żartuję. Mówiłam wam - dorzuciła.

Dzieci nic nie odpowiedziały. Kobieta jeszcze przez chwilę piorunowała je wzrokiem, a potem odwróciła się i spojrzała na mnie. Nosiła wielkie okulary przeciwsłoneczne w oprawce ozdobionej sztucznymi diamentami. Między kolanami trzymała duży plastikowy kubek napoju, z którego sterczała słomka ze śladami szminki.

- Witam na plaży - powiedziałam do niej moim najlepszym tonem pracownicy Agencji Wynajmu Nieruchomości Colby. - Czy mogę...

- Wskazówki zamieszczone na waszej stronie internetowej są nic niewarte - poinformowała mnie. Zobaczyłam, jak za jej plecami jedno z dzieciaków walnęło pięścią drugie, które wydało stłumiony wrzask. - Odkąd zjechaliśmy z międzystanowej, zabłądziliśmy już trzy razy.

- Przykro mi to słyszeć - odparłam. - Gdyby zechciała pani podać mi swoje nazwisko, dam pani klucze i wskażę drogę do wynajętego domu.

- Webster - przedstawiła się.

Odwróciłam się i sięgnęłam do niewielkiego rattanowego pojemnika, w którym znajdowały się koperty przeznaczone dla moich dzisiejszych klientów. Miller, Tubman, Simone, Wallace... Webster.

- Heron's Call - odczytałam z koperty, po czym otworzyłam ją, aby się upewnić, że w środku są obydwie klucze. - To wspaniała posiadłość.

W odpowiedzi kobieta wysunęła rękę przez okno samochodu. Podałam jej klucze oraz torbę plażową z firmowymi upominkami - piórem Agencji Colby, reklamową pocztówką, przewodnikiem po okolicy i tanim termosem do napojów - o której

wiedziałam, że ekipa sprzątaczy najprawdopodobniej znajdzie ją nietkniętą, kiedy rodzina już się wymelduje.

- Życzę miłego tygodnia - powiedziałam. - I udanego wypoczynku na plaży!

Kobieta posłała mi kwaśny uśmiech, o którym trudno było orzec, czy wyrażał prawdziwe podziękowanie, czy tylko współczucie dla mnie. Ostatecznie przecież stałam w czymś w rodzaju piaskownicy pośrodku parkingu, a za samochodem tej kobiety czekały już trzy inne pojazdy pełne ludzi prawdopodobnie równie jak ona zniecierpliwionych. Kiedy po długiej podróży dotarło się wreszcie do rajy, bycie przedostatnim w kolejce nie jest wcale zabawne.

Co nie znaczy, że miałam czas o tym rozmyślać, kiedy bordowy minivan odjeżdżał i drogowe światła sygnalizacyjne zamigotały, wpuszczając go na główną szosę. Było dziesięć po trzeciej i czekał już następny samochód, niebieski sedan z bagażnikiem na dachu. Kopnięciem wytrząsnęłam z pantofli tyle piasku, ile zdołałam, i zrobiłam głęboki wdech.

- Witam na plaży - rzekłam, gdy samochód podjeżdżał do mnie. - Czy mogę prosić o państwa nazwisko?

\* \* \*

- No i jak ci poszło? - spytała moja siostra Margo, kiedy dwie godziny później weszłam do biura agencji spocona i zmęczona.

- Mam piasek w butach - oznajmiłam, idąc prosto do automatu z chłodzoną wodą.

Napełniłam kubek i wypiłam duszkiem, a potem jeszcze kolejne dwa.

- Jesteś na plaży, Emaline - zauważyła.

- Nie, jestem w biurze - skorygowałam ją i otarłam usta grzbietem dłoni. - Plaża leży w odległości trzech kilometrów. Ludzie wkrótce tam dotrą. Nie rozumiem, dlaczego my też musimy mieć tutaj piasek.

- Ponieważ - odparła chłodnym tonem osoby, która spędziła dzień w klimatyzowanym pomieszczeniu - jesteśmy pierwszymi przedstawicielkami Agencji Colby, z jakimi stykają się nasi goście. Chcemy, aby poczuli, że w momencie, gdy skręcają na nasz parking, są już naprawdę na wakacjach.

- I dlatego muszę sterczeć w tej piaskownicy?

- To nie piaskownica - zaprzeczyła, a ja przewróciłam oczami, ponieważ obie wiedziałyśmy, że to jest piaskownica. - To wydma, która ma przywozić na myśl majestatyczne wybrzeże oceanu.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Odkąd Margo ukończyła przed rokiem

Uniwersytet East, zdobywając dyplomy z hotelarstwa i biznesu, była wprost nieznośna. Moja rodzina od ponad pięćdziesięciu lat posiada Agencję Wynajmu Nieruchomości Colby; nasi dziadkowie założyli ją tuż po ślubie. Radziliśmy sobie doskonale, dopóki nie zjawiała się Margo ze swoją piaskownicą, wydumą czy cokolwiek to jest. Ale ona do tej pory jako jedyna w naszej rodzinie zdobyła stopień naukowy, więc może robić, co zechce.

I dlatego przed kilkoma tygodniami umieściła na naszym biurowym parkingu tę piaskownicę, polinezyjską chatę czy coś w tym rodzaju. To drewniana budka o powierzchni metr dwadzieścia na metr dwadzieścia, ze ściankami sięgającymi mi do pasa, na dodatek z wywrotką piasku wysypanego wewnątrz i wokoło. Nikt oprócz mnie nie zakwestionował sensowności tego pomysłu. Ale przecież nikt inny nie musi pracować w tej budce.

Usłyszałam stłumiony chichot i rozejrzałam się. Jasne, to moja babka siedząca za biurkiem i rozmawiająca przez telefon. Mrugnęła do mnie, a ja nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu.

- Nie zapomnij o spotkaniach z VIP-ami! - zawołała, gdy ruszyłam do drzwi i po drodze wrzuciłam kubek do kosza. - Musisz zacząć punktualnie o piątej trzydzieści. I sprawdź dwa razy talerze z owocami i serami, zanim je im zawieziesz. Przygotowała je Amber, a wiesz, jaka ona jest.

Amber to moja druga siostra. Skończyła szkołę fryzjerską, pracuje w naszej agencji tylko z musu i manifestuje to, robiąc wszystko jak najbardziej niedbale.

- Się zrobi - odpowiedziałam.

Margo westchnęła z irytacją. Mówiła mi dziesiątki razy, że takie wyrażenia brzmią nieprofesjonalnie, jak slang kierowców ciężarówek. Właśnie dokładnie o to mi chodziło.

Gabinet mojej babki mieścił się we frontowej części budynku, z wielkim oknem wychodzącym na szosę, która teraz była zapchana pojazdami zmierzającymi w kierunku plaży. Babka nadal rozmawiała przez telefon, lecz kiedy zobaczyła mnie w progu, skinęła na mnie ręką, żebym weszła.

- No tak, Roger, naprawdę cię rozumiem - mówiła, gdy zgarnęłam z fotela jakieś broszury i usiadłam po drugiej stronie biurka.

W jej gabinecie jak zwykle panował bałagan, walały się sterty papierów, folderów oraz kilka otwartych opakowań czekoladek marki Rolo. Babka zawsze otwierała jedno pudełko, następnie gdzieś je zawieruszała i otwierała następne, a potem kolejne.

- Ale rzecz w tym - ciągnęła - że klamki drzwiowe w domach do wynajęcia szybko

się zużywają. Zwłaszcza klamki od tylnych drzwi prowadzących na plażę. Możemy je naprawiać, o ile się da, ale czasami po prostu musisz je wymienić.

Roger coś odpowiedział, jego głos zadudnił w słuchawce. Babka poczęstowała się czekoladką, a potem podsunęła mi pudełko. Przecząco pokręciłam głową.

- Otrzymałam zgłoszenie, że po zamknięciu drzwi odpadła zewnętrzna klamka. Goście nie mogli dostać się z powrotem do domu. - Babka słuchała przez chwilę, po czym powiedziała: - Owszem, niewątpliwie mogliby wleźć przez okno. Ale kiedy ktoś płaci pięć patyków za tydzień, ma prawo oczekiwać jakichś wygód.

Roger odpowiadał, a babka gryzła czekoladkę. Upodobanie do słodczy to nie najzdrowsze przyzwyczajenie, ale lepsze niż papierosy - nałóg, który porzuciła dopiero przed sześcioma laty. Matka twierdziła, że za czasów jej dzieciństwa w tym gabinecie stale wisiała chmura nikotynowego dymu niczym lokalna aura. O dziwo, nawet po licznych sprzątaniach, wymienieniu zasłon i dywanu, w gabinecie wciąż czuło się papierosowy dym. Woń była nikła, lecz wyczuwalna.

- Oczywiście. Kiedy jest się właścicielem nieruchomości, ciągle pojawiają się tego rodzaju sprawy - powiedziała babka. Odchyliła się do tyłu w fotelu i potarła szyję. Roger zaczął mówić coś jeszcze, ale przerwała mu: - Świetnie! Dzięki za telefon.

Rozłączyła się i potrząsnęła głową. Zobaczyłam przez okno za jej plecami, że na parking wjeżdża następny minivan.

- Niektórzy ludzie - odezwała się, wyjmując z pudełka drugą czekoladkę - po prostu nie powinni posiadać domów plażowych.

To jej ulubiona mantra, którą powtarzała niemal równie często jak zwrot: „Niektórzy ludzie po prostu nie powinni wynajmować domów plażowych”. Mówiłam jej ciągle, że należałoby wyhaftować tę sentencję i oprawić w ramki, chociaż nie moglibyśmy powiesić jej nigdzie w biurze.

- Jeszcze jedna zepsuta klamka? - spytałam.

- To już trzecia w tym tygodniu. Wiesz, jak to jest. Początek sezonu urlopowego. To oznacza szkody i kłopoty. - Zaczęła grzebać w papierach na biurku, zrzucając je na podłogę. - Jak ci poszło przyjmowanie gości?

- Świetnie - odpowiedziałam. - Tylko dwie rodziny wcześniej przylatujących ptaszków, a obydwa wynajęte przez nich domy były już sprzątnięte.

- I zajmujesz się dziś także grubymi makrelami?

Uśmiechnęłam się. Kwestia VIP-ów to kolejny z najnowszych genialnych pomysłów Margo. Za dodatkową opłatą goście wynajmujący te domy, które nazywamy plażowymi pałacami - najwytworniejsze posiadłości z windami, basenami i wszelkimi udogodnieniami - są przez nas podejmowani serami, owocami i butelką

wina. Margo przedstawiła ten projekt na porannym piątkowym zebraniu – kolejnym wynalazku, jaki wprowadziła, w gruncie rzeczy zmuszającym nas do wysiadania raz na tydzień przy stole konferencyjnym i dyskusowania o rozmaitych sprawach, które dawniej omawialiśmy po prostu w trakcie pracy. Tamtego dnia wręczyła nam wydrukowany program, którego jeden z punktów głosił: „Podejmowanie VIP-ów”. Babka przyjrzała się kartce bez okularów, mrużąc oczy, i spytała: „Czy chodzi o grube makrele?”. Ku irytacji Margo to określenie się przyjęło i teraz reszta z nas już nie nazywa tych ważnych gości inaczej.

– Właśnie do nich jadę – oznajmiłam teraz. – Masz dla mnie jakieś specjalne instrukcje?

Babka w końcu znalazła notatkę, której szukała, i szybko przebiegła ją wzrokiem.

– Człowiek wynajmujący rezydencję Dune’s Dream to nasz stały dobry klient – powiedziała. – Ten od Bon Voyage jest nowy, podobnie jak ten od Casa Blue. A Sand Dollars wynajął ktoś na dwa miesiące.

– Na dwa miesiące? – spytałam z niedowierzaniem. – Naprawdę?

Sand Dollars to jedna z naszych najdroższych posiadłości; wielki dom na przylądku, na samym skraju miasteczka. Nawet tygodniowy pobyt tam zrujnowałby budżet większości ludzi.

– Tak – potwierdziła babka. – Dopilnuj więc, żeby dostał dobry poczęstunek.

Skinęłam głową i wstałam. Gdy byłam już przy drzwiach, powiedziała:

– I posłuchaj, Emaline.

– Tak?

– Wyglądałaś dzisiaj popołudnia milutko w tej piaskownicy. Ten widok wzbudził we mnie dawne wspomnienia.

Uśmiechnęłam się, a Margo wrzasnęła zza drzwi:

– To wydma, babciu!

Przeszłam korytarzem do magazynu i wzięłam cztery talerze przygotowane wcześniej przez Amber. Oczywiście sery i owoce leżały na nich bezładnie pomieszane, jakby Amber rzucała je z pewnej odległości. Uporządkowanie tego bałaganu, tak aby talerze jako tako wyglądały, zajęło mi dobry kwadrans. Następnie zaniiosłam je do samochodu, w którym było milion stopni gorąca, chociaż zaparkowałam go w cieniu. Mogłam tylko położyć talerze w stertę na fotelu pasażera, skierować na nie wszystkie wyloty klimy i mieć nadzieję, że jakoś zniosą tę jazdę.

W pierwszym domu, Dune’s Dream, nikt nie otworzył, chociaż dzwoniłam do drzwi i przez zewnętrzny domofon. Obeszłam obszerny taras i zerknęłam w głąb



terenu posiadłości. Ujrzałam poniżej grupę ludzi zgromadzonych wokół basenu oraz parę idącą na plażę długą alejką wyłożoną deskami. Nacisnęłam klamkę; okazało się, że drzwi nie są zamknięte na klucz, więc weszłam do środka.

- Halo! - zawołałam przyjaznym tonem. - Jestem pracownicą Agencji Colby i przyjechałam z poczęstunkiem dla VIP-ów.

Kiedy musisz wejść do cudzego domu, nawet jeśli mieszkańcy dopiero się tam wprowadzili i to zaledwie na tydzień, wiesz, że trzeba nie tylko oznajmić swoją obecność, ale uczynić to głośno i kilkakrotnie. Wystarczy, że raz zaskoczysz kogoś niekompletnie ubranego, a uczysz się, by nigdy więcej tego nie zrobić. Owszem, ludzie na wakacjach zwykli spędzać czas swobodnie, lecz to nie znaczy, że ja chcę to oglądać.

- Agencja Colby! Poczęstunek dla VIP-ów! - powtórzyłam.

Odpowiedziała mi cisza. Weszłam szybko do kuchni na drugim piętrze, skąd rozciągał się wyjątkowo efektowny widok na okolicę. Na olbrzymiej wyspie stołu z nakrapianego granitu ustawiłam talerze, butelkę schłodzonego wina i położyłam kartę z wypisanym odręcznie powitaniem w imieniu Agencji Colby oraz przypomnieniem, żeby goście skontaktowali się z nami, jeżeli będą czegokolwiek potrzebować. Potem wyszłam i pojechałam do następnego domu.

W Bon Voyage zastałam drzwi zamknięte; goście najprawdopodobniej wybrali się do miasteczka na wczesną kolację. Zostawiłam talerz i wino w kuchni; mikser był jeszcze podłączony do gniazdka, a karafka w zlewie pachniała jakimś słodkim, tropikalnym koktajlem. Czułam się zawsze dziwnie, wchodząc do tych domów, w których już zamieszkali goście, zwłaszcza jeśli byłam tam wcześniej tego samego dnia rano, aby skontrolować efekty pracy ekipy sprzątaczy. Aura energii w całym domu wydawała się odmienna, jak różnica między czymś wyłączonym i włączonym.

W Casa Blu drzwi otworzyła mi niska, mocno opalona kobieta ubrana w bikini, które szczerze mówiąc, było zbyt śmiałe jak na jej wiek. Co nie znaczy, że wiedziałam, ile ona ma lat, ale nawet ja, osiemnastolatka, nie odważyłabym się włożyć takiego skąpego różowego kostiumu plażowego. Kobieta miała na twarzy warstwę białego kremu, a w ręce trzymała jaskrawożółty kubek z piwem.

- Jestem z Agencji Colby - oznajmiłam. - Mam dla pani powitalny poczęstunek.

Kobieta wypła łyk piwa.

- Świetnie - odrzekła bezbarwnym, nosowym głosem. - Niech pani wejdzie.

Podążyłam za nią na piętro, usiłując nie patrzeć na jej pupę w kusych majtkach, gdy wchodziłyśmy po schodach.

- Czy to striptizer? - zapytał ktoś, gdy weszłam na podest. To była druga kobieta,

mniej więcej w tym samym wieku czterdziestu kilku lat, ubrana w górę bikini, powłóczystą spódnicę i gruby złoty, pleciony naszyjnik. Na mój widok roześmiała się. – Chyba nie!

– To ktoś z agencji wynajmu nieruchomości – wyjaśniła ta w różowym bikini jej oraz trzeciej kobiecie w kusym szlafroku, uczesanej w potargany kok, która ze szklanką wina w ręku spoglądała z tarasu na dół. – Przywiozła powitalny poczęstunek.

– Ach tak – powiedziała kobieta w szlafroku. – Myślałam, że to on jest prezentem dla nas.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem, a kobieta, która mnie przyprowadziła, podeszła do tamtych dwóch na tarasie i też spojrzała w dół. Postawiłam na stoliku talerz i butelkę wina, oparłam o nią kartę i już miałam ulotnić się dyskretnie, gdy usłyszałam, jak jedna z kobiet powiedziała:

– Elinor, czy nie skosztowałabyś z rozkoszą tego faceta?

– Aha – odrzekła zagadnięta. – Słuchajcie, powinnyśmy wrzucić ziemię do basenu, żeby musiał wrócić jutro i znowu go oczyścić.

– I pojutrze – dodała ta w powłóczystej spódnicy.

Wtedy wszystkie znowu się roześmiały i trąciły się szklankami.

– Życzę przyjemnego pobytu! – zawołałam, wychodząc, ale oczywiście mnie nie usłyszały.

W połowie drogi w dół po schodach do frontowych drzwi zerknęłam przez jedno z wielkich okien i dostrzegłam obiekt ich pożądania: wysokiego, mocno opalonego faceta z jasnymi kręconymi włosami. Był bez koszuli, z nagim torse, i dzierżył długą, wyglądającą nadzwyczaj fallicznie szczotkę do czyszczenia basenu. Gdy wychodziłam za drzwi i zamykałam je cicho, wciąż jeszcze słyszałam okrzyki zachwyty tych kobiet.

Kiedy znalazłam się znowu w samochodzie zaparkowanym na podjeździe, związałam włosy w koński ogon jedną z gumek wiszących na dźwigni skrzyni biegów i siedziałam przez chwilę, przyglądając się morskim falom. Miałam do odwiedzenia jeszcze tylko jedno miejsce i mnóstwo czasu, więc nadal tam byłam, gdy facet od czyszczenia basenu wyszedł za ogrodzenie i ruszył z powrotem do swojej ciężarówki stojącej obok mojego auta.

– Hej! – zawołałam, gdy wlaź na odkrytą platformę i zwijał dwa gumowe węże. – Mógłbyś zarobić w tym tygodniu kupę forsy, jeżeli nie masz zbyt sztywnych zasad moralnych i lubisz starsze kobiety.

Błysnął w uśmiechu białymi zębami.

- Tak myślisz?

- Pożarłyby cię, gdyby miały szansę.

Znowu się uśmiechnął, zeskoczył na ziemię, zatrzasnął tylną klapę platformy i podszedł do mojego otwartego okna. Nachylił się, tak że głowę miał na wysokości mojej.

- Nie są w moim typie - oświadczył. - Poza tym jestem już zajęty.

- Szczęściara z niej - powiedziałam.

- Powinienem jej to powtórzyć. Ona uważa, że to ja mam szczęście.

Wykrzywiłam się.

- Myślę, że obydwójce je macie.

Pochylił się i pocałował mnie. Poczułam na jego wargach nikły smak słodczy.

Kiedy cofnął głowę, powiedziałam:

- Wiesz, nikogo nie nabierzesz. Mógłbyś równie dobrze nosić w pracy koszulę.

- Na dworze jest gorąco! - odrzekł, ale ja tylko przewróciłam oczami i uruchomiłam silnik.

Odkąd zaczął regularnie biegać i wyrzeźbił sobie muskulaturę, prawie nigdy nie nosił koszuli. To nie pierwszy dom, w którym wpadł lokatorkom w oko.

- A więc nadal jesteśmy umówieni na dzisiejszy wieczór? - spytał.

- A co jest dziś wieczorem?

- Emaline! - Potrząsnął głową. - Nawet nie próbuj udawać, że zapomniałaś.

Zastanowiłam się intensywnie. Bez rezultatu. Wtedy zanucił pierwsze takty marsza weselnego, a ja jęknęłam:

- Och, racja. Ta impreza z grillem.

- Przyjęcie z okazji ślubu - skorygował mnie. - Znane też jako nieustająca od dwóch miesięcy obsesja mojej matki.

Ups. Jednak mogę powiedzieć na swoją obronę, że było to już trzecie z czterech zaplanowanych przyjęć przed ślubem Brooke, siostry Luke'a. Odkąd zaręczyła się ubiegłej jesieni, w jego domu nie mówiło się o niczym innym. Ponieważ spędzałam tam wiele czasu, odnosiłam wrażenie, jakbym była zmuszana do uczestniczenia w intensywnym kursie języka, którego wcale nie mam ochoty się nauczyć. Poza tym, ponieważ Luke i ja byliśmy ze sobą od dziewiątej klasy liceum, wszyscy stale żartowali, że my będziemy następnymi albo wręcz, że rodzice Luke'a powinni zorganizować obydwaj śluby za jednym zamachem. Ha, ha, bardzo śmieszne.

- O siódmej - powiedział teraz, całując mnie w czoło. - A więc do zobaczenia. I przyrzekam, że będę w koszuli.

Uśmiechnęłam się i wrzuciłam wsteczny bieg. Wróciłam długim podjazdem na

główną szosę i pojechałam na cypel wyspy, do rezydencji Sand Dollars.

To jeden z nowszych domów, których wynajmem się zajmowaliśmy, i prawdopodobnie najładniejszy. Miał osiem sypialni, dziesięć i pół łazienek, basen z gorącymi natryskami, a w suterenie salę projekcyjną z autentycznymi kinowymi fotelami i systemem przestrzennego dźwięku. W istocie był tak nowy, że jeszcze przed dwoma tygodniami na terenie posiadłości stały przenośne toalety, a przedsiębiorca budowlany w pośpiechu kończył inspekcję przeprowadzonych robót, żeby zdążyć przed sezonem urlopowym. Podczas gdy wykonawcy sporządzali listę niezbędnych poprawek i przeprowadzali ostatnie prace, aby oddać budynek do użytku, Margo i ja rozmieszczałyśmy sprzęt kuchenny i komplety naczyń zakupione przez dekoratorkę wewnątrz w markecie Park Mart i pozostawione w licznych torbach w garażu. Dziwnie jest urządzać i wyposażać od razu cały dom. Wszystko było w nim nowe, bez żadnej historii. Każdy dom do wynajęcia wydaje się anonimowy, jednak w tym wyjątkowo mocno to odczuwałam. Do tego stopnia, że pomimo roztaczających się stamtąd pięknych widoków, zawsze przechodziły mnie tam ciarki z niepokoju. Lubię, żeby rzeczy miały jakąś przeszłość.

Gdy zajechałam na podjazd, ujrzałam oznaki intensywnej aktywności. Przed frontem budynku stały zaparkowane SUV oraz biała furgonetka z przyciemnionymi szybami. Furgonetka miała otwarte tylne drzwi, a w środku dostrzegłam sterty pojemników Rubbermaid i kartonowych pudeł, najwyraźniej w trakcie wyładowywania.

Wzięłam poczęstunek dla VIP-ów i wysiadłam z samochodu. Kiedy wchodziłam schodami do frontowych drzwi, otworzyły się i wyszło z nich dwóch chłopaków mniej więcej w moim wieku. Po chwili rozpoznaliśmy się nawzajem.

- Witaj, Emaline! - zawołał Rick Mason, były przewodniczący naszej klasy w liceum.

Za nim zobaczyłam Trenta Dobasha, który grał w szkolnej drużynie futbolowej. Nie przyjaźniłam się z nimi, ale nasza szkoła była tak mała, że chcąc nie chcąc, znało się każdego.

- Fajnie cię tu spotkać - rzekł Rick Mason.

- Wynajmujesz tę posiadłość? - spytałam zszokowana.

- Chciałbym - odparł kpiącym tonem. - Surfowaliśmy niedaleko stąd i zaproponowano nam po stówie za wyładowanie tych gratów.

- Ach, tak - powiedziałam, kiedy mnie mijali i schodzili do otwartej furgonetki. - Jasne. Co jest w tych pudłach?

- Nie mam pojęcia - odrzekł. Podniósł jeden z pojemników i podał Trentowi. -

Niech sobie w nich będą nawet narkotyki albo broń. Nie obchodzi mnie to, o ile dostanę swoją zapłatę.

Właśnie tego rodzaju nastawienie czyniło z Ricka takiego kiepskiego przewodniczącego klasy. Z drugiej strony, jego jedyną rywalką do tej funkcji była dziewczyna, która niedawno przeprowadziła się z Kalifornii, nielubiana przez wszystkich, więc nie mieliśmy wielkiego wyboru.

Za otwartymi frontowymi drzwiami w wielkim salonie krzątał się jeszcze jeden chłopak, rozkładając rzeczy, które już wniesiono. Ten jednak, jak zorientowałam się na pierwszy rzut oka, nie pochodził stąd. Przede wszystkim, nosił czarne dżinsy marki Oyster z logo O na tylnych kieszeniach; nie wiedziałam nawet, że takie dżinsy produkuje się też dla facetów. Ponadto miał wełnianą czapkę naciągniętą na uszy, chociaż był początek czerwca. Luke i wszyscy jego kumple nie uznają żadnych innych spodni oprócz szortów, bez względu na temperaturę; faceci z plaży nawet w zimie wkładają zimowych ubrań.

Zapukałam w otwarte drzwi, ale mnie nie usłyszał, zajęty otwieraniem jednego z pojemników. Spróbowałam ponownie, tym razem mówiąc:

- Jestem z Agencji Colby. Przywiozłam poczęstunek dla VIP-ów.

Odwrócił się do mnie, spojrzał na wino i talerz serów.

- Świetnie - rzucił, nadal zaabsorbowany pracą. - Postaw to gdziekolwiek.

Weszłam do kuchni, w której przed paroma tygodniami odrywałam nalepki z cenami od łopatek kuchennych i durszlaków. Umieściłam na ladzie tacę, wino i powitalną kartę. Odwracałam się już do wyjścia, gdy kątem oka dostrzegłam jakiś szybki ruch, a potem usłyszałam wrzask:

- Nie obchodzi mnie, która jest godzina, potrzebuję tej dostawy dzisiaj! Tak ustaliłam, tego oczekiwałam i nie zaakceptuję żadnego innego terminu!

Z początku ta krzycząca osoba poruszała się zbyt szybko, bym mogła się jej przyjrzeć. Po chwili jednak zwolniła na tyle, że dostrzegłam kobietę w czarnych dżinsach, czarnym swetrze z krótkimi rękawami i balerinach. Włosy miała bardzo jasne, niemal białe. Przyciskała do ucha komórkę.

- Zamówiłam cztery stoły i chcę cztery stoły. Mają tu być w ciągu godziny i potrącę sobie z rachunku stosownie do opóźnienia. Płacę zbyt wielkie pieniądze, by tolerować takie bzdury!

Spojrzałam na gościa w dżinsach Oyster, wciąż zajętego przy pojemnikach na drugim końcu pokoju. Nie wydawał się ani trochę speszony tym zajściem. Ja jednak stałam odrętwiała, jak zawsze, kiedy widzi się z bliska kogoś szalonego. Nie potrafisz odwrócić wzroku, nawet jeśli wiesz, że powinnaś.

- Nie, to mi nie pasuje. Nie. Nie. Dzisiaj albo odwołuję zamówienie.

Teraz, kiedy ta kobieta stała nieruchomo, zauważyłam jej zaciśnięte szczęki, kanciaste rysy twarzy i wydatne kości policzkowe. Sprawiała wrażenie odpychającej, kolczastej, jak te drapieżne rośliny, które widuje się na pustyniach.

- Doskonale. Oczekuję więc do jutra rano zwrotu zaliczki na moją kartę kredytową albo odezwie się do was mój adwokat. Do widzenia.

Dźgnięciem palcem gwałtownie wyłączyła komórkę. Potem zobaczyłam, że cisnęła ją przez pokój. Komórka roztrzaskała się o ścianę pomalowaną całkiem niedawno, w weekend Dnia Pamięci, pozostawiając na niej czarną rysę. Cholera.

- Idioci - oznajmiła kobieta głosem, który zabrzmiał donośnie nawet w tym wielkim pokoju. - Do diabła z tą firmą Prestige wypożyczającą sprzęt na przyjęcia. Już w chwili gdy przekraczaliśmy granicę między północą a południem Stanów, wiedziałam, że to będzie jak praca w Trzecim Świecie.

Ten facet spojrzał na nią, a potem na mnie, co sprawiło, że ona oczywiście dopiero teraz mnie zauważyła.

- Co to za jedna? - burknęła.

- Z agencji nieruchomości - odpowiedział. - Przyniosła coś dla VIP-ów.

Kobieta sprawiała wrażenie zdziwionej, więc wskazałam na wino i talerz i wyjaśniłam:

- Powitalny poczęstunek. Od Agencji Colby.

- Byłoby lepiej, gdybyś przywiozła stoły - warknęła. Podeszła do talerza i podniosła przykrycie. Spojrzała badawczo na talerz, zjadła winogrono i potrząsnęła głową. - Doprawdy, Theo, zaczynam się zastanawiać, czy przyjazd tutaj nie był błędem. Co mi strzeliło do głowy?

- Znajdziemy inną firmę wypożyczającą stoły - odrzekł tonem świadczącym jasno, że przywykł do takich jej tyrad.

Podniósł już komórkę i teraz oglądał uszkodzenia, ignorując zniszczoną ścianę, a także mnie.

- Gdzie? To głucha prowincja. Prawdopodobnie w promieniu setek mil nie ma drugiej takiej wypożyczalni. Boże, muszę się napić. - Wzięła przyniesioną przeze mnie butelkę i spod przymrużonych powiek przyjrzała się etykietce. - Oczywiście, tani australijski sikacz.

Przyglądałam się, jak otwiera kolejne szuflady, zapewne szukając korkociągu. Z czystej złośliwości pozwoliłam jej szperać we wszystkich niewłaściwych miejscach, zanim w końcu podeszłam do barku przy spiżarni i wyjęłam korkociąg.

- Proszę. - Podałam go jej, a potem wzięłam pióro i papier, które zawsze

zostawiamy razem z wizytówką biura. – Ta wypożyczalnia Prestige często zawala zamówienia. Powinna pani zadzwonić do firmy Everything Island. Są otwarci do ósmej.

Zapisałam numer telefonu i podsunęłam jej kartkę. Kobieta tylko popatrzyła na nią, potem na mnie, ale jej nie wzięła.

Ruszyłam w kierunku schodów, po których Rick i Trent wnosili z łomotem następne pudła. Żadne z tamtych dwojga przybyszów nie odezwało się do mnie ani słowem. Przywykłam do tego. To był teraz ich dom, a ja stanowiłam dla nich tylko takie samo tło jak widok oceanu za oknami. Ale kiedy spostrzegłam na małym wiklinowym koszu przy drzwiach nalepkę z ceną, jednak przystanęłam i ją oderwałam.

## 2

Drzwi mojej sypialni były otwarte. Znowu.

- Więc mówię jej - usłyszałam głos mojej siostry Amber i poczułam, że już skacze mi ciśnienie. - Rozumiem, że pragniesz wyglądać jak modelka. Ja chciałabym wygrać główną nagrodę na loterii, żebym nie musiała wykonywać tej pracy. Proponuję więc, żebyśmy obie ograniczyły nasze oczekiwania, dobrze?

- Mam nadzieję, że naprawdę tego nie powiedziałaś - wymamrotała moja matka.

Przysięgłabym, że usłyszałam szelest przewracanych stron. Jeżeli przeglądała ten numer czasopisma „Hollyworld”, którego nawet nie rozfoliowałam, słowo daję, że eksploduję.

- Zamierzałam powiedzieć. Ale zamiast tego obciąłam jej grzywkę, tak jak chciała, chociaż wygląda z nią o jakieś trzydzieści pięć lat starzej.

- Nie mów.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Naprawdę?

Walnęłam dłonią w uchylone drzwi i otworzyłam je szeroko. Oczywiście, obie siedziały na moim łóżku. Mama istotnie czytała mój egzemplarz „Hollyworld”, a Amber - paradując z włosami ufarbowanymi znów na nowy kolor, tym razem marchewkowopomarańczowy - właśnie piła z wielkiego kubka dietetyczną colę. Między nimi stała otwarta puszka orzeszków.

- Wynoście się - powiedziałam cicho. - Natychmiast.

- Och, Emaline... - zaczęła Amber.

Mama miała więcej rozsądku; już odłożyła czasopismo z powrotem do szuflady i teraz grzebała pośród mojej kołdry - którą niedawno wyprałam! - szukając pokrywki od puszki orzeszków. Kiedy nie zdołała jej znaleźć, dała za wygraną i wstała ze skruszoną miną.

- Wiesz, jak jest teraz na piętrze - powiedziała.

- To mnie nic nie obchodzi - odparłam. Podeszłam do telewizora, w którym leciała powtórka jakiegoś reality show z kandydatkami na modelki, i wyłączyłam go. - To mój pokój. Mój pokój! Nie wolno wam tak po prostu wchodzić tu i bałaganić.

- Nie bałaganiłyśmy - zaproponowała mama, omijając mnie w drodze do drzwi. - Siedziałyśmy tylko i rozmawiałyśmy.



Zignorowałam ją i podeszłam do łóżka, na którym moja siostra nadal siedziała. Poszperałam pod poduszką, aż znalazłam pokrywkę od puszki orzeszków. Uniosłam ją w górę niczym dowód rzeczowy.

Mama westchnęła.

- Byłam głodna.

- Więc jedz w kuchni.

- Nie mamy kuchni! - zaprotestowała Amber. W końcu ruszyła się z łóżka, chociaż jak zwykle ociągała się z wyjściem. - Byłaś ostatnio na górze, panno Prywatne Wejście? Tam jest jak w strefie działań wojennych.

- Nie mam prywatnego wejścia, wchodzę przez garaż - sprostowałam.

- Nieważne! W kuchni tata wszystko powyrywał. Nie ma miejsca, żeby usiąść, nie ma gdzie postawić telewizora...

Jakby na poparcie jej słów, z góry dobiegł głośny odgłos sprężarki, sprawiając, że wszystkie podskoczyłyśmy. Tata od tak dawna zajmuje się stolarstwem, że żadne hałasy nie robią już na nim wrażenia. Jednak reszta nas wciąż reaguje nerwowo jak kotki, kiedy on włącza pistolet do gwoździ.

- A co z twoim pokojem? - zapytałam Amber.

Mama, mijając mnie, przystanęła na moment i schowała metkę mojej koszuli, która zapewne wystawała przez całe popołudnie. No, wspaniale!

- Za duży w nim bałagan - odpowiedziała Amber, idąc powoli do drzwi i po drodze zrzucając niechcący z biurka stertę złożonych porządnie upranych rzeczy.

- Ciekawe dlaczego - rzuciłam, lecz zignorowała tę uwagę.

Westchnęłam i schyliłam się, żeby pozbierać rzeczy z podłogi. Mama po chwili, wciąż milcząc, dołączyła do mnie. Amber z tymi swoimi włosami koloru palików drogowych wyszła z domu, wzdychając melodramatycznie. Chociaż jest ode mnie starsza, kiedyś była najmłodszym dzieckiem. Nawet po tylu latach ciągle zachowuje się jak niemowlę i wszyscy przypisujemy to jej niemożności pogodzenia się z tym, że jest średnią córką.

- Jesteś w złym humorze - odezwała się wreszcie matka.

To typowe dla niej podejście i styl bycia. Podczas gdy moje siostry i ja mamy skłonność do głośnego, pretensjonalnego zachowania, matka bywa zazwyczaj cicha i mało mówna. Wydaje się, jakby trud wychowywania nas wyssał z niej całą energię.

- Za wiele dziś na mnie nawrzeszczano - odpowiedziałam jej, wstając. - I wiesz, jak bardzo nie znoszę, kiedy tu włączacie.

- Przepraszam - rzekła i w pojednawczym geście podsunęła mi orzeszki.

Przecząco pokręciłam głową, ale nie potrafiłam się powstrzymać i wyłowiałam

z mieszanki koktajlowej migdał.

- Żadnej eksploatacji odkrywkowej - upomniała mnie, racząc się garścią orzeszków. Wybieranie wyłącznie najlepszych rzeczy to coś, co ją wyjątkowo mierzi. - Czy dziś wieczorem idziesz na tę imprezę zaręczynową?

Na piętrze znowu rozległy się kolejno dwa trzaski pistoletu do gwoździ.

- Tak, Brooke i Andy'ego.

- Maureen niewątpliwie nie posiada się z radości.

- Owszem. Planowanie ślubu to jak narkotyk, a ona stale pożąda działki.

- Przestań, Emaline - zaprotestowała mama, ale z uśmiechem.

Ona i matka Luke'a dorastały razem w Colby, chociaż moja mama jest od niej młodsza o siedem lat. Wszyscy jednak wiedzą, że pani Templeton należała do grupy cheerleaderek i chodziła z kapitanem szkolnej drużyny futbolowej, natomiast moja mama w wakacje po trzeciej klasie liceum zaszła w ciążę z obcym chłopakiem, turystą. Ludzie w małym miasteczku niczego nie zapominają.

- Mówię serio - powiedziałam. - Powinnaś posłuchać, co oni wszyscy wygadują o mnie i Luke'u. Jakby oczekiwali, że na ślubie Brooke oznajmimy o naszych zaręczynach.

Mama szeroko otworzyła oczy, a jej dłoń z orzeszkami znieruchomiała w pół drogi do ust.

- Nawet nie żartuj na ten temat - rzekła rzadkim u niej surowym tonem.

- A ty nie wysiaduj w moim pokoju - zripostowałam.

- Tych przewin nie da się porównać - upierała się, wciąż mierząc mnie karcącym spojrzeniem. - Cofnij to, co powiedziałaś.

- Mamo, doprawdy! W twoim wieku żądasz jak dziecko cofania słów? Daj spokój.

- Zrób to.

Nie żartowała. Tak właśnie jest z osobami, które rzadko wpadają w złość: kiedy już to czynią, to na poważnie.

Odchrząknęłam.

- Przepraszam. To był tylko głupi żart. Oczywiście Luke i ja nie zaręczymy się tego lata.

- Dziękuję ci - powiedziała mama i zjadła orzeszek.

- Zamierzamy zdecydowanie poczekać do pierwszego roku studiów - ciągnęłam. - Uważam, że powinnam przywyknąć do trybu nauki w college'u, zanim zacznę snuć jakiegokolwiek życiowe plany.

Matka tylko spojrzała na mnie w milczeniu, gryząc następny orzeszek. No tak, to wcale nie było zabawne.

- Mamo, daj spokój - powiedziałam, ale zignorowała mnie i wyszła na korytarz.

Z góry dobiegł kolejny hałas. - Przepraszam. Ja po prostu...

Nadal szła w kierunku, skąd dochodziły odgłosy pistoletu do gwoździ.

- ...zachowuję się głupio - dokończyłam.

Po chwili odwróciła się. Z tej odległości nikt by się nie domyślił, że ma już trzydzieści sześć lat. Z długimi kasztanowymi włosami, takimi jak moje, i gibką figurą, którą zawdzięczała regularnym ćwiczeniom, wyglądała raczej na osobę dobiegającą trzydziestki albo nawet jeszcze młodszą. Dlatego znacznie częściej brano ją za siostrę Amber i Margo niż za ich macochę, a kiedy my wszystkie trzy byłyśmy dziećmi, ludzie stojący w kolejkach w supermarketach czy bankach stale rzucali na nią charakterystyczne spojrzenia, usiłując odgadnąć jej wiek.

- No wiesz - odezwała się wreszcie. - Denerwuję się tylko dlatego, że chcę, abyś miała w życiu wszystko, czego mnie nie udało się osiągnąć.

- Gwiazdkę z nieba i jeszcze więcej - powiedziałam, a ona skinęła głową.

To nasze powiedzenie z czasów, zanim na scenie pojawili się tata, Amber i Margo, z czasów których w gruncie rzeczy nawet nie pamiętam. Ale później mama często opowiadała mi o książeczce, którą każdego wieczoru czytała mi na głos, kiedy byłam niemowlęciem, historii o matce niedźwiedzicy i jej małym synku, który nie mógł usnąć.

- *A jeśli zrobię się głodny? - zapytał.*

- *Przyniosę ci przekąskę - odpowiedziała.*

- *A jeśli zachce mi się pić?*

- *Przyniosę ci wodę.*

- *A jeśli się przestraszę?*

- *Odpędzę wszystkie złe potwory.*

*W końcu zapytał:*

- *A jeśli to nie wystarczy? Jeśli będę chciał czegoś jeszcze?*

*A ona odpowiedziała:*

- *Czegokolwiek zapragniesz, znajdę sposób, by to dla ciebie zdobyć. Dam ci gwiazdkę z nieba i jeszcze więcej.*

Mama zawsze mówiła, że właśnie tak się czuła jako nastoletnia samotna matka wychowująca mnie bez niczyjej pomocy. Nie miała nic, ale chciała dla mnie wszystkiego. Wciąż chce.

Teraz wskazała na mnie wolną ręką.

- Zachowuj się dobrze na tym przyjęciu. Tam chodzi o Brooke i Andy'ego, a nie o ciebie i twoje opinie.

- Wiesz - odparłam, gdy znowu odwracała się ode mnie, żeby wyjść - wbrew temu, co sądzisz, w gruncie rzeczy nie uważam, że wszystko kręci się wokół mnie.

Odpowiedziała tylko prychnięciem i już jej nie było. Kiedy wchodziła po schodach, pistolet do gwoździ nadal hałasował, ale chwilę później ucichł. Zapadła cisza, w której usłyszałam, jak mama coś powiedziała i tata się roześmiał. Typowe. Możemy z niej żartować, ale kiedy tych dwoje jest razem, ona zawsze żartuje z nas.

- Słyszałam to! - krzyknęłam, chociaż wcale tak nie było.

Dobiegł mnie kolejny wybuch śmiechu.

Wróciłam do swojego pokoju i oceniłam szkody, co było łatwe, gdyż tego ranka, jak zawsze, zostawiłam go w idealnym porządku: zasłane łóżko, zamknięte szuflady, czysta podłoga, pusty blat biurka. Teraz spostrzegłam na biurku klucze i okulary przeciwsłoneczne Amber, a pod nocnym stolikiem japonki mamy. Poza tym na podłodze przy koszu na śmieci leżała zgnieciona kula papieru. Westchnęłam, podeszłam i podniosłam ją. Już miałam wrzucić papier do kosza, ale rozpoznałam charakter pisma mamy, więc rozprostowałam arkusik.

To była kartka z jednego z reklamowych notesów Agencji Colby leżących wszędzie w naszym domu; zwykle używamy ich, ilekroć trzeba coś zapisać. Widniała na niej notatka nakreślona schludnym charakterem pisma mamy: *Dzwonił twój ojciec. 16.15.*

Spojrzałam na zegarek. Była 18.30, co oznaczało, że miałam niecałe pół godziny, zanim będę musiała wyjść, by spotkać się z Lukiem i udać się na przyjęcie. Ale to było ważniejsze. Wzięłam kartkę i poszłam na górę.

Pierwsze co zobaczyłam, kiedy wkroczyłam do strefy działań wojennych, jaką obecnie stała się nasza kuchnia, to tatę wstrzeliwującego gwóźdź w listwę przy drzwiach spiżarni. Kuchnia była ogołocona z mebli od czasu, gdy zaczął wymieniać podłogę. Mama przyglądała się temu, siedząc na nowej zmywarce do naczyń, która niepodłączona pełniła funkcję mebla, bezpiecznej wysepki i prowizorycznego składziku.

Bum! - wystrzelił pistolet do gwoździ, aż podskoczyłam. Mama spojrzała na mnie; najwyraźniej sądziła, że weszłam na górę, aby kontynuować naszą wcześniejszą rozmowę. Ale kiedy pokazałam notatkę, wyraz jej twarzy się zmienił.

- Zamierzałam ci - bum! - o tym powiedzieć - wyjaśniła.

- Ale tego nie zrobiłaś.

Bum!

- Wiem. Zapomniałam. Wyleciało mi z głowy, kiedy weszłaś taka zirytowana z powodu...

Bum! Bum!

Powstrzymałam ją, unosząc rękę.

- Tato! - wrzasnęłam. Rozległ się kolejny trzask. - Tato!!!

Wtedy wreszcie przestał wstrzeliwać gwoździe, odwrócił się i mnie zobaczył.

- O, cześć, Emaline - rzekł z uśmiechem. - Jak ci minął dzień?

- Możesz to przerwać przynajmniej na chwilkę?

- Mam przestać pracować? - upewnił się.

- Proszę, mógłbyś?

Rzucił spojrzenie na mamę, która zatuszowała zdenerwowanie, wsadzając sobie do ust następną garść orzeszków.

- Jasne - odpowiedział, spokojny jak zawsze.

Odłożył pistolet do gwoździ i wziął z blatu zmywarki napój Mountain Dew. Mama i ja milczałyśmy, gdy otworzył butelkę i wypił duży łyk. Popatrzył na mamę, na mnie, potem znów na nią.

- Rany. Czy coś mnie ominęło?

- Nic - odparła, a równocześnie ja wyjaśniłam:

- Nie powiedziała mi o telefonie od mojego ojca.

Tata spojrzał na nią ze znużeniem.

- Znowu? - rzekł. - Naprawdę?

- Zapomniałam - powiedziała do nas obojga. - Wyleciało mi z głowy.

Popatrzyłam na tatę, jasno wyrażając miną powątpiewanie. Odstawił butelkę.

- Ale jednak otrzymałaś tę wiadomość, prawda? - zapytał mnie.

- Tylko dlatego, że rzuciła zgniecioną kartkę na podłogę w moim pokoju.

Wzruszył ramionami, jakby uważał, że to właściwie bez różnicy.

- Ważne, że już o tym wiesz.

Wypuściłam powietrze z płuc i potrząsnęłam głową. Tych dwoje zawsze trzyma ze sobą. Dla taty nigdy nie będę miała racji na tyle, by w jakiegokolwiek sprawie stanął po mojej stronie.

- Po prostu nie rozumiem, dlaczego w tej kwestii zachowujesz się tak dziwacznie

- zwróciłam się do mamy.

- Owszem, rozumiesz - rzekł tata.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy. Słyszałam tylko telewizor w pokoju Amber, który potrafi grać całkiem głośno, gdyby was to ciekawiło.

- Zapisałam tę wiadomość - powiedziała w końcu mama - a potem zaniiosłam kartkę na dół, żeby ci zostawić. Ale kiedy usłyszałam, że wchodzisz, cisnęłam ją do kosza, bo sądziłam, że osobiście ci o tym powiem. Jednak...

Rzecz w tym, że wiedziałam, że to prawda. Mamie było przykro. W realnym życiu ona jest kompetentną, odpowiedzialną matką, żoną, córką. Ale gdy w grę wchodzi mój ojciec, mama sprawia wrażenie, jakby znowu miała osiemnaście lat, i tak też się zachowuje.

Spojrzałam na notatkę.

- Czy powiedział, o co mu chodzi?

Przecząco pokręciła głową.

- Chciał tylko, żebyś w wolnej chwili zadzwoniła do niego.

- Dobrze. - Spojrzałam na zegarek. 18.40. Cholera. - Muszę iść. Już jestem spóźniona.

- Baw się dobrze! - zawołała za mną mama, gdy skierowałam się z powrotem do mojego pokoju.

Te słowa były z jej strony gestem pojednawczym, wprawdzie odrobinę spóźnionym, ale skinęłam głową i pomachałam do niej, żeby wiedziała, że między nami wszystko w porządku.

Oboje milczeli, gdy schodziłam po schodach i ruszyłam korytarzem do swojego pokoju. Jednak kiedy tam weszłam, usłyszałam przez sufit ich stłumione głosy; mama wyjaśniała, że po prostu nigdy nie potrafi przekazywać mi wiadomości od ojca. O czymkolwiek później rozmawiali, trwało to krótko. Kiedy brałam prysznic, z góry znowu dobiegał hałas pistoletu do gwoździ.

\* \* \*

Słowa „ojciec” i „tata” różną się od siebie. I to nie tylko liczbą liter.

Aż do dziesiątego roku życia tego nie wiedziałam. Nie wiedziałam też zbyt wiele o tym, skąd się wzięłam, oprócz tego, że mama urodziła mnie, kiedy chodziła do ostatniej klasy liceum, i dlatego była o tyle młodsza od matek wszystkich moich przyjaciółek. A potem pewnego dnia w piątej klasie nasz nauczyciel, pan Champion, stanął przed tablicą i napisał na niej tytuł pracy domowej: *Moje drzewo genealogiczne*. I wtedy w jednej chwili sprawy się skomplikowały.

Zawsze uwielbiałam wszystko, co dotyczyło szkoły - od wypożyczania ze szkolnej biblioteki maksymalnie dozwolonej liczby książek, po porządne prowadzenie zeszytów. Już jako dziesięciolatka traktowałam wszystkie przydzielane mi zadania bardzo poważnie, toteż nie byłam zadowolona z tego, że miałabym na szczycie mojego drzewa genealogicznego umieścić obok mamy mojego ojczyma, chociaż adoptował mnie, kiedy miałam trzy lata.

- Ono ma przedstawiać moją prawdziwą, genetyczną rodzinę - powiedziałam mamie, gdy to zaproponowała. - Potrzebuję szczegółowych informacji.

Zorientowałam się, że nie była tym zachwycona. Ale muszę jej przyznać, że podała mi fakty. O niektórych słyszałam już wcześniej, inne były dla mnie nowe. Kwestia zasadnicza polegała jednak na tym, że dotychczasowe relacje mamy nie były zbyt wyczerpujące, dopóki nie uświadomiłam sobie, że moje drzewo genealogiczne nie będzie wyglądało tak jak u innych.

Mama poznała mojego ojca, kiedy miała siedemnaście lat, tuż po skończeniu trzeciej klasy liceum. Pracowała podczas wakacji w biurze naszej agencji wynajmu nieruchomości. On był starszy od niej o rok, wybierał się na jesieni do college'u, a przyjechał tutaj z Connecticut, aby spędzić lato u swojej ciotki mieszkającej w pobliskim North Reddeman. W każdych innych okolicznościach nigdy by się nie spotkali. Ale to było lato na plaży i standardowe reguły, istniejące zarówno wówczas, jak i obecnie, nie w pełni obowiązywały.

Oboje różnili się od siebie pod każdym możliwym względem. On miał bogatych rodziców - ojciec był lekarzem, a matka pracowała w pośrednictwie handlu nieruchomościami - i uczęszczał do prywatnej szkoły, w której uczył się łaciny i grał w lacrosse, kanadyjską odmianę hokeja na trawie. Ona była drugą z trzech córek w rodzinie wywodzącej się z klasy robotniczej, posiadającej niewielką firmę, która działała głównie w sezonie letnim, i zawsze z trudem zarabiającej na życie. Była uznaną piękną i umawiała się tylko ze szkolnymi sportowcami, obiektami westchnień wszystkich dziewcząt. On był inteligentny, niemal przemądrzały. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, ale pewnej nocy ona poszła na imprezę z najlepszą przyjaciółką, której chłopak przyprowadził ze sobą wygadanego gościa z Północy Stanów; obaj pracowali sezonowo na zmywaku w Shrimpboats, miejscowej knajpie serwującej owoce morza. To właśnie był mój przyszły ojciec. Mama wcale nie szukała chłopaka, a ostatecznie dostała mnie.

To nie była tylko przelotna przygoda na jedną noc. Widziałam zdjęcia. Zakochali się w sobie, przez całe lato byli nierozłączni. W połowie sierpnia on wyjechał do domu, aby przygotować się do rozpoczęcia nauki w college'u, ale najpierw ustalili konkretne plany podróży, by możliwie jak najszybciej móc znów się spotkać. Nastąpiło smutne, pełne łez rozstanie, po którym przez parę tygodni dzwonili do siebie, płacąc słone rachunki za połączenia międzystanowe. Typowy wakacyjny romans. A później moja mama nie dostała miesięczki.

Nagle skończył się romans czy choćby tylko związek i zaczęła się sytuacja kryzysowa. Jego rodzice byli zdruzgotani, on przerażony - i to, co było jedynie

relacją między dwojgiem ludzi, stało się sprawą o wiele bardziej skomplikowaną. Odbywano rozmowy telefoniczne, dyskutowano ustalenia. Mama nigdy nie opowiedziała mi szczegółów, ale wiedziałam, że w obydwu rodzinach istniały osoby, które nie chciały, aby mnie urodziła. Ostatecznie jednak to zrobiła.

Przez pierwszy okres ciąży ona i mój ojciec regularnie się kontaktowali. Ale po kilku miesiącach, gdy jej brzuch urósł, zaczęli się od siebie oddalać. Może doszłoby do tego tak czy inaczej, nawet bez perspektywy narodzin dziecka; a może ta perspektywa powinna była zapobiec rozstaniu. Muszę przyznać mamie, że nigdy nie obwiniała o to wyłącznie mojego ojca. Mówiła mi zawsze, że był taki młody, przebywał daleko w college'u, a jego rodzice zdecydowanie nie aprobowali tej sytuacji. Dzielili ich setki mil, a łączyło jedynie wspomnienie tamtego lata. Byłoby mu wystarczająco trudno zidentyfikować się z jej światem - który koncentrował się wokół kupowania niemowlęcych ubranek oraz czytania książek o ciąży i porodzie - nawet gdyby kumple nie wyciągali go stale na popijawy w pubach.

Do czasu moich narodzin ich i tak już rzadkie kontakty całkowicie się urwały. On formalnie uznał swoje ojcostwo, ale zobaczył mnie dopiero wtedy, gdy miałam sześć miesięcy, kiedy przyjechał wraz z rodzicami z wizytą, która najwyraźniej była dla wszystkich ogromnie krępująca.

Mama powiedziała, że kiedy trzymała mnie na rękach, jego ojciec nawet na nas nie patrzył, tylko spoglądał gdzieś w bok, jakby usiłował ominąć nas wzrokiem. Dla niego uosabialiśmy życiową katastrofę syna, która jeśli zostanie zaakceptowana, jeszcze bardziej pograży całą ich rodzinę. Co do mojego ojca, był nerwowy i zdystansowany, całkiem inny niż chłopiec, którego mama poznała przed rokiem. Powiedziała mi, że o dziwo, dopiero kiedy w końcu stanął przed nią, zrozumiała z całą pewnością, że już go straciła. Po tamtej wizycie nie widziała go przez dziesięć lat.

Zawsze mówiła, że jedyną dobrą stroną tych odwiedzin była dyskusja o finansowym wsparciu dziecka. Mama, podobnie jak jej rodzice, wzdragała się na myśl o jakiegokolwiek jałmużnie, ale chodziła do liceum, a pieluchy i utrzymanie dziecka sporo kosztowały, więc ustalono comiesięczną sumę i tryb jej przekazywania. Mój ojciec mógł być nieodpowiedzialny, ale pieniądze - w formie czeku podpisywanego przez sekretarkę jego ojca - przychodziły regularnie. Po ukończeniu liceum mama podjęła pracę na pełny etat w Agencji Wynajmu Nieruchomości Colby. Każdego ranka zostawiała mnie u mojej ciotecznej babki Sylvie, która kołysała mnie i karmiła, oglądając seriale w telewizji. Mama mówiła później, że to był najcięższy okres w jej życiu.



Taki więc był mój ojciec. Co do mojego taty, pojawił się w naszym życiu, kiedy miałam dwa lata. Wdowiec z dwiema małymi córeczkami poznał moją mamę podczas randki w ciemno urządzonej przez ich wspólnych przyjaciół. Oboje byli młodzi i samotnie wychowywali małe dzieci, więc zdawało się, że doskonale do siebie pasują. Lecz jej wydało się odstręczające jego poczucie humoru i sposób, w jaki jadł, on zaś uznał ją za snobkę, która zbyt rzadko się uśmiecha. Jednak sześć miesięcy później mamie zepsuł się samochód na wąskiej, dwupasmowej szosie biegnącej przez Colby, a mój tata jako pierwszy zatrzymał się, by jej pomóc.

Odtąd byli już razem. Tata zawsze mawia, że mojej mamie wystarczyło zobaczyć go z narzędziami w ręku, by zakochać się w nim bez pamięci. A mama twierdzi, że on nie całkiem się myli.

I tak oto staliśmy się rodziną. Miałam wtedy dwa lata, Amber cztery, a Margo sześć. Nie zachowałam właściwie żadnych wspomnień z czasów, kiedy nie były jeszcze moimi siostrami, podobnie jak one nie pamiętają zbyt wiele z okresu, zanim moja mama stała się także ich mamą. Po ich ślubie wprowadziliśmy się do tego domu, który tata od tamtego czasu stale rozbudowuje i rozwała na kawałki. Nawet bez nieustannych prac budowlanych panuje w nim hałaśliwy rozgardiasz, nigdy spokój. Ale o tym już wiedziałam.

Tak więc podczas gdy mój tata towarzyszył mi przez większość dzieciństwa, mój ojciec był dla mnie raczej kimś w rodzaju yeti czy potwora z Loch Ness. Docierały do mnie świadectwa ludzi, którzy go widzieli, twierdzili, że istnieje, ale miałam tylko pośrednie dowody: stare zdjęcia, czyjeś dawne rozmowy, czeki, które mama przestała przyjmować, kiedy mój tata mnie adoptował. Potem jednak pan Champion napisał na tablicy te trzy słowa i postanowiłam wypełnić puste miejsca w moim życiu.

- Chcę do niego napisać - oświadczyłam mamie tamtego dnia, kiedy wróciłam ze szkoły z zadaną pracą domową. - Zadać mu kilka pytań.

- Och, kochanie - odrzekła, przybierając ten poważny, znużony wyraz twarzy, który pojawiał się zawsze w tych rzadkich chwilach, kiedy poruszałyśmy ten temat.

- Nie wydaje mi się to dobrym pomysłem.

- To mój ojciec - powiedziałam. - To część mojego życia. Muszę ją poznać.

Pamiętam, że popatrzyła na tatę, szukając wsparcia. Milczał chwilę - nigdy nie odzywał się bez namysłu - po czym rzekł:

- Emaline, on może ci nie odpisać. Musisz być na to przygotowana.

- Będę - zapewniłam. Mama rzuciła mi powątpiewające spojrzenie. - Będę - powtórzyłam stanowczo. - Musisz pozwolić mi przynajmniej spróbować.

W końcu się zgodziła i siedziała w milczeniu naprzeciw mnie, gdy najpierw sporządzałam brudnopis – w kwestiach dotyczących szkoły zawsze byłam perfekcjonistką – a potem pisałam ostateczną wersję listu. Włożyłam list do koperty i patrzyłam, jak mama przeglądała notes, aż znalazła adres, który widniał dawniej w prawym górnym rogu wszystkich przychodzących czeków. Odczytała go na głos, ja zapisałam, po czym razem zaniósłszy list do skrzynki.

Cała sprawa mogła się na tym skończyć. Nikogo, w tym także mnie, zbytnio by to nie zaskoczyło. Ale po dwóch tygodniach nadeszła koperta z moim imieniem i nazwiskiem. W środku znajdował się list napisany na maszynie na arkuszu grubego papieru. U góry widniało: *JOEL PENDLETON*. A więc koniec z potworem z Loch Ness. Ojciec był realny.

*Droga Emaline!*

*Ogromnie Ci dziękuję za Twój list. Bardzo często myślę o Tobie, zastanawiam się, jak sobie radzisz i jaka jesteś, ale nigdy nie sądziłem, że mam prawo się tego dowiedzieć. Z radością odpowiem na pytania związane z twoim szkolnym zadaniem, a skoro jesteś tak zainteresowana, chętnie opowiedziałbym też trochę o sobie. Wiem, nie mogę oczekiwać, że będę dla Ciebie ojcem. Ale mam nadzieję, że może kiedyś moglibyśmy zostać przyjaciółmi.*

W dalszej części listu podał mi wszystkie fakty dotyczące jego rodziny, jakich potrzebowałam – odpowiadając wyczerpująco na każde z moich pytań – a potem przeszedł do informacji o sobie. Pracował jako niezależny dziennikarz i jak oznajmił, był już od sześciu lat żonaty z cudowną kobietą o imieniu Leah. Mieli dwuletniego synka, Benjiego. Może pewnego dnia mogłabym go poznać. Na ostatniej stronie, tuż przed odręcznym podpisem, zamieścił swój adres mejlowy. Nie dodał, żebym do niego napisała ani że czeka na wiadomość ode mnie. Ten adres był tylko propozycją.

Właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczyłam na twarzy mamy ten szczególny wyraz, mieszaninę niepokoju i smutku. Teraz widziałam go niedawno z drugiego końca pokoju. Mój ojciec tak bardzo ją zranił. Najbardziej lękała się tego, że dopuści go do nas na tyle, by mógł tak samo skrzywdzić mnie.

Ukończyłam wtedy szkolne zadanie, oddałam je i dostałam szóstkę. Potem umieściłam tę pracę w specjalnej, przeznaczony do tego teczce (już jako dziecko byłam maniaczką szkolnego pedantyzmu; kto kiedyś miał tę cechę, zostaje mu to na zawsze). List od ojca przechowywałam w szufladzie nocnej szafki; co jakiś czas

wyjmowałam go i oglądałam. Papier listowy był gruby, z wytłoczonym monogramem ojca. Miałam wrażenie, że w jego świecie nawet papier jest odmienny. W końcu po kilku tygodniach otworzyłam w komputerze pocztę, wstukałam podany przez ojca adres i napisałam do niego: podziękowałam mu za pomoc i poinformowałam, że dostałam dobry stopień. Już po kilku godzinach nadeszła odpowiedź.

*To wspaniała wiadomość, napisał. Czego jeszcze uczysz się w szkole?*

W istocie właśnie od tych ostatnich sześciu słów zaczęła się nasza relacja, czymkolwiek była czy będzie. Wspólny grunt stanowiła szkolna nauka, o której wiedział bardzo dużo, więcej niż mama i tata czy nawet niektórzy z moich nauczycieli. Matematyka, historia, literatura, fizyka i chemia – dysponował wiedzą z wszystkich tych dziedzin i był zawsze chętny do dzielenia się ze mną swoimi opiniami, podawania linków do artykułów, tytułów książek, których przeczytanie powinnam rozważyć. Nauka stała się naszą płaszczyzną porozumienia i zanim się obejrzałam, już regularnie ze sobą korespondowaliśmy.

Po kilku miesiącach i licznych wymienionych mejlach napisał, że wraz z żoną i synkiem przyjeżdża do North Reddmane i że mają nadzieję spotkać się ze mną, jeżeli moi rodzice się zgodzą. Kiedy powiedziałam o tym mamie, przygryzła usta i znowu zobaczyłam na jej twarzy ten szczególny wyraz.

Wszyscy uważali, że nie powinna mi pozwolić. Jej rodzina twierdziła, że mój ojciec nic dla nas nie zrobił, więc zasługuje na takie samo obojętne potraktowanie, i że spotkanie z nim tylko zdezorientuje mnie i zaburzy. Ale mama przeczytała wszystkie mejle i pomimo swych obaw zrozumiała, że te jego listy wypełniają we mnie jakąś pustkę, z której istnienia mogliśmy nawet nie zdawać sobie sprawy. Tak więc dwa miesiące później nadszedł list i zorganizowano tę wizytę. Mój ojciec z żoną i Benjim zatrzymali się u jego starszej już obecnie ciotki i zaplanowaliśmy, że spotkamy się wszyscy w restauracji Shrimpboats. W dzień poprzedzający to zdarzenie mama była tak zdenerwowana, że wciąż wymiotowała – czego nie widziałam u niej nigdy wcześniej ani później. Widocznie przeszłość wpływa na wszystko, nawet na nasz układ trawienny.

Gdy nadszedł ten ustalony dzień, zjawiliśmy się w restauracji i zaprowadzono nas do stolika przy oknie. Czekali tam już wysoki mężczyzna w okularach i kobieta z pulchnym chłopczykiem na kolanach. Zapamiętałam z tego spotkania tylko to, jak bardzo ojciec różnił się od tego ze swoich mejli. Wydawał się zakłopotany, skrępowany i nie odrywał wzroku ode mnie. Gapił się na mnie otwarcie niemal od momentu, gdy się przywitaliśmy (sztywne uściski dłoni, mamrotane grzecznościowe formułki), aż do tej błogosławionej chwili po mniej więcej półtorej godziny, kiedy

wreszcie się rozstaliśmy. Miałam wrażenie, jakby spotkaniem ze mną usiłował mi wynagrodzić zachowanie swojego ojca sprzed lat.

Jego żona, szczerząca się w uśmiechu, przyjazna brunetka kierowała rozmową; mówiła bez przerwy, wypełniając wszystkie momenty niezręcznej ciszy. Chłopczyk Benji, mój przyrodni brat, był miłutki i uważał za zabawne wszystko, co robiłam. Jadłam krewetki smażone w cieście. Mój tata opowiadał zdecydowanie nazbyt obszernie o przemyśle budowlanym. Mama piła piwo imbirowe i wpatrywała się w drzwi toalety. A potem spotkanie się skończyło. Pożegnaliśmy się, ojciec wręczył mi zapakowaną paczuszkę, którą otworzyłam z niejakim zażenowaniem na oczach wszystkich. To był egzemplarz *Przygód Hucka Finna*, ulubionej książki ojca z czasów, kiedy był w moim wieku.

- Być może ci się nie spodoba - powiedział tonem usprawiedliwienia. - Nic nie szkodzi. Po prostu spróbuj przeczytać i przekonaj się.

W drodze do domu siedziałam z tą książką na kolanach i przyglądałam się z tylnego siedzenia, jak mama oddycha głęboko, opierając głowę o boczną szybę. Tata zdjął rękę z kierownicy i pokrzepiająco ścisnął jej ramię.

- A więc na tym koniec - powiedział, a ona skinęła głową.

No cóż, nie całkiem. Przeczytanie *Przygód Hucka Finna* zajęło mi tydzień, a kolejny obmyślenie, co mam napisać ojcu o tej książce. Ostatecznie postanowiłam po prostu być szczerą i oświadczyłam, że wydała mi się nudna, napisana dziwacznym językiem i za dużo w niej jest o rzece. Zastanawiałam się, czy go tym urażę albo czy jego dziwne zachowanie podczas naszego spotkania oznacza, że w ogóle mi nie odpisze. Jednak już następnego dnia nadeszła odpowiedź:

*Co jeszcze pomyślałaś?*

Jak się okazało, tamten lunch nie był końcem naszych kontaktów. Ale też nie zapoczątkował żadnej wspaniałej relacji. Stanowił raczej rodzaj uchylenia odrobinę drzwi i wpuszczenia wąskiej smugi światła. Wprawdzie nie na tyle, by widzieć wyraźnie, ale odtąd nigdy już nie znaleźliśmy się znowu w całkowitej ciemności.

Wymienialiśmy regularnie mejle, dyskutując o tym, czego się uczyłam i co czytałam. Każdego lata przyjeżdżał z rodziną na kilka dni do North Reddeman. Graliśmy w minigolfa, znowu jedliśmy krewetki smażone w cieście, a gdy Benji dorósł, zwiedzaliśmy razem z nim oceanarium i Muzeum Morskie. Na moje urodziny przychodziły kartki, a na Gwiazdkę starannie zapakowane prezenty (wiedziałam, że pakowała je Leah). Przez cały ten czas jednocześnie walczyłam z siostrami, spotykałam się z przyjaciółkami i robiłam wszystkie inne rzeczy tworzące moje prawdziwe życie, bardzo szczęśliwe, które wiodłam bez ojca i jego

spraw. A potem podczas wakacyjnej wizyty ojca, kiedy miałam szesnaście lat, coś się zmieniło.

Zaczął się od zwykłej uwagi rzuconej przy stole w restauracji U Igora, jedyne włoskiego lokalu w miasteczku. (Mój tata przysięgał, że ich slogan reklamowy brzmi: „Dla tych, którzy mają już dosyć jedzenia owoców morza!”, chociaż w istocie tak nie było.) Ojciec wypił łyk wina, spojrzał na mnie i spytał:

- A więc, czy w ogóle zastanawiałaś się nad pójściem do college'u?

Zamrugałam zaskoczona.

- Ee... jeszcze nie - odparłam. - Przygotowania do egzaminów zaczną się w szkole dopiero w przyszłym roku.

- Ale przecież zamierzasz podjąć naukę w college'u, prawda? - naciskał.

Był dla mnie pod wieloma względami kimś nieznanym, ale wiedziałam jedno - w świecie, z którego pochodził, wyższe wykształcenie traktowano jako niezbędne. Inaczej niż w mojej rodzinie, w której w tamtym czasie nikt jeszcze nie ukończył college'u. Ta różnica była wyraźnie widoczna w przypadku Benjiego; kiedy usiedliśmy przy stoliku, chciał kredki zaproponowane mu przez kelnerkę, lecz zamiast tego powiedziano mu, żeby zajął się słowną układanką, którą Leah nosiła wszędzie ze sobą.

- Stawiaj sobie wyzwania - rzekła do niego, otwierając układankę i podsuwając mu ją przez stół.

Zerknęłam na przyrodniego brata, obserwowałam jego twarz, gdy przyglądał się uważnie małym kwadracikom. Kiedy znowu spojrzałam na ojca, spostrzegłam, że wpatruje się we mnie jak podczas pierwszego spotkania, lecz wydawało się, że teraz w odmienny sposób. To była nasza sprawa, wspólny przedmiot zainteresowania. Może to dziwne, że istniał tylko jeden. Ale podjęłam ten temat.

- Tak - odpowiedziałam. - Oczywiście. To znaczy, taki mam plan.

- To dobrze. - Z zadowoleniem pokiwał głową. - Miło mi to słyszeć.

Tydzień później nadeszła pierwsza książka. Wydaje mi się, że nosiła tytuł *Zdaj test: Przygotowanie uczniów szkół średnich do egzaminu na wyższe studia*, chociaż przez następne miesiące przysłał mi tyle innych, że trudno było mi wszystkie spamiętać. Książki o zdawaniu egzaminów, pisaniu ważkich esejów, sporządzaniu wyróżniających się podań o przyjęcie na studia. Poradniki dotyczące wyboru college'u, kalkulowania swoich szans, zapewnienia sobie miejsca w rezerwowej uczelni. Te książki stopniowo wypierały moje powieści i czasopisma, aż wreszcie zajęły całą półkę, która dosłownie ugięła się pod ich ciężarem. Nie byłam głupia. Wiedziałam, że każdą książką, wszystkimi zawartymi w nich słowami

ojciec buduje dla mnie drogę wyrwania się z miasteczka Colby.

Problem w tym, że chociaż byłam dobrą uczennicą, jednak uczelni, do których według ojca powinnam złożyć podania – Dartmouth, Cornell, Columbia – mój szkolny doradca nawet mi nie proponował. Poza tym istniała też kwestia pieniędzy, z którymi zawsze było u nas krucho.

– Nie martw się – mawiał ojciec, ilekroć zdobyłam się na odwagę, by poruszyć ten temat. – Zostaw sprawę finansów mnie. Skoncentruj się jedynie na tym, by dostać się na studia.

Była to jednak poważna obietnica jak na kogoś, czyje zachowanie wobec mnie w przeszłości pozostawiało wiele do życzenia. Tego zwłaszcza moja mama nie mogła zignorować. Nasze kontakty mejlowe to jedno; w tej sytuacji ojciec przynajmniej znajdował się daleko, w gruncie rzeczy istniał dla mnie wyłącznie w cyberprzestrzeni. Ale pieniądze i obietnice były czymś rzeczywistym. Podobnie jak rozczarowanie, którego doznam, jeśli nie zdoła ich dotrzymać.

– Po prostu nie chcę, żebyś robiła sobie nadzieje – powiedziała mi. – Kiedy poznałam Joela, wiele przyrzekał, lecz później niewiele z tych przyrzeczeń zrealizował.

– Mamo, on był wtedy w moim wieku! – przypominałam jej. – Czy chciałabyś, aby osądzano cię na podstawie tego, jak postępowałaś jako osiemnastolatka?

– Nie miałam zbyt wielkiego wyboru – odrzekła. – Urodziłam dziecko.

To prawda. A ja żyłam w tym samym świecie, z którego ona pochodziła. Uczyniła wszystko co w jej mocy, abym w żadnym razie nie musiała doświadczyć tego samego, co niegdyś ona. Na szczęście w tej sprawie poparło mnie kilka osób.

– Przestań się zamartwiać – mówiła jej kilkakrotnie moja babka, kiedy podsłuchiwałam ich rozmowy zza zamkniętych drzwi, które miały mi to uniemożliwić. – Skoro on chce umieścić ją na studiach i zapłacić za to, pozwól mu. Wszystko inne Emaline zawdzięcza tobie.

– Nie chcę, żeby przeżyła rozczarowanie – odparła mama. – Bycie rodzicem w istocie polega na niedopuszczaniu do tego, by dziecko powtórzyło twoje błędy.

– Ludzie się zmieniają, Emily. On jest już dorosłym mężczyzną – powiedziała babka. – Zresztą, bez względu na to co się wydarzy, Emaline ma ciebie i Roba. Nic jej się nie stanie.

Lektury książek, pisanie zadanych rozprawek i ciężka praca – wszystko to przyniosło efekty. Przyjęto moje podania do trzech z pięciu uczelni, w których je złożyłam, a ta, którą wybrałam jako rezerwową, Uniwersytet East, zaproponowała mi pełne stypendium. Ale dopiero kiedy nadszedł mejl z uczelni będącej moim

pierwszym wyborem – Uniwersytetu Columbia – pozwoliłam sobie wreszcie na westchnienie ulgi. Pierwsze, co zrobiłam, to otworzyłam komputer i wstukałam adres mejlowy ojca.

*Columbia*, napisałam w okienku tematu. A poniżej, bez żadnego powitania czy wstępu, tylko: *Dostałam się*. I kliknęłam „wyślij”.

Spodziewałam się szybkiej odpowiedzi, gdyż ojciec, podobnie jak ja, nieustannie sprawdzał swoją skrzynkę mejlową. Ale odpisał dopiero po mniej więcej pięciu godzinach. *Wspaniała wiadomość*, głosił mejl. *Gratulacje*.

Wprawdzie ojciec nigdy w trakcie naszej korespondencji nie był zbyt wylewny, jednak w reakcji na tę szczególną wiadomość oczekiwałam trochę więcej ekscytacji czy czegośkolwiek. Wcześniej wypisywał całe strony na temat *Przygód Hucka Finna*. A teraz tylko te trzy słowa.

Usiłowałam jednak o tym nie myśleć, gdy wciskałam klawisz odpowiedzi. Podziękowałam i napisałam, że przyślę mu kilka linków dotyczących rekrutacji i kwestii finansowych, które musimy rozstrzygnąć. Żadnej reakcji. W istocie, następna wiadomość od niego nadeszła dopiero po trzech tygodniach.

*Emaline,*

*Bardzo mi przykro Ci to zakomunikować, ale z powodu nieprzewidzianych okoliczności nie będę w stanie realizować dopłat do Twojego czesnego na Columbii. Zawsze miałem nadzieję i zamiar wspomoczenia Cię, jednak wyniknęły pewne sprawy, które to uniemożliwiają. Liczę, że zrozumiesz.*

„Dopłat?”, pomyślałam. Nie tylko zrywał umowę, ale przedstawiał ją całkiem inaczej niż dotychczas. Ponadto nie mogłam nie zauważyć tego tonu – pełnego dystansu, niemal bezdusznego – brzmiącego bardzo podobnie do odpowiedzi, jakie otrzymałam od uczelni, które odrzuciły moje podanie. Brakowało tylko zwrotu: „Z żalem informujemy...”

A więc tak to wyglądało. Miałam niewielkie szanse dostania się na Columbię. Jednak przyjęto mnie tam, ale teraz ta szansa znowu się oddalała. Zostałam wyrolowana. Co gorsza, było za późno, by składać podanie o finansową pomoc, której jak wcześniej zakładałam, nie będę potrzebować. I chociaż teoretycznie moglibyśmy wziąć pożyczkę, potrafiłam myśleć tylko o moim tacie, który nigdy nie kupował nic na kredyt, co miesiąc w pełni regulował rachunki i oczekiwał, że my wszyscy będziemy unikać robienia długów równie starannie, jak unikamy pedofilów i zwierząt chorych na wściekliznę. Mogłam sobie wyobrazić jego minę, gdybym mu

powiedziała, że musimy pożyczyć mniej więcej tyle, ile zarabiał przez cały rok. Na szczęście nie musiałam tego zrobić. Kiedy następnego wieczoru po kolacji on i mama posadzili mnie obok siebie i oznajmili, że jest wykluczone, byśmy mogli sobie pozwolić na moje studia na Columbii, nie byłam zaskoczona. Ostatecznie przecież nigdy mi tego nie obiecywali.

Tak więc pozostawał Uniwersytet East. Miałam tam zapewnione pełne stypendium. To dobra uczelnia. Nie trzeba mieć stopnia magistra, by wiedzieć, że była w porządku. Tamtego wieczoru usiadłam przy biurku i popatrzyłam na półkę pełną książek przygotowywujących do studiów, stojących w równym rzędzie. Wskutek nieustannych cięć budżetu liceum było ich więcej niż w całym zbiorze książek z tej dziedziny w mojej szkolnej bibliotece. Gdy o tym myślałam, przez głowę przemknął mi obraz mamy sprzed osiemnastu lat, otrzymującej świadectwo ukończenia liceum, podczas gdy ja jako niemowlę przyglądałam się temu, trzymana na rękach przez moją babkę. Jakże odmienne były nasze życia, jej wtedy i moje teraz. Tak wiele pragnęła dla mnie: gwiazdki z nieba i jeszcze więcej. Ale być może obecnie wystarczy gwiazdka.

Tak więc naprawdę wydawało się stosowne, że w rogu okna widziałam błyszczącą gwiazdę, gdy weszłam na stronę internetową Uniwersytetu Columbia i powiadomiłam, że tej jesieni nie będę uczęszczać na ich zajęcia. Po całej tej ciężkiej pracy, jaką wykonałam, to było takie proste. Tylko parę kliknięć, kilka uderzeń w klawisze i koniec.

Co do mojego ojca, nie nadeszły więcej od niego żadne mejle, żadne wyjaśnienia; po prostu zniknął, znów stał się dla mnie kimś w rodzaju yeti. Czasami przyłapywałam się na tym, że wątpię nawet w jego istnienie, choć wiedziałam przecież, że kiedyś oglądałam go na własne oczy.

A chociaż jeszcze przez pewien czas zachowałam w skrzynce mejlowej wstępną wiadomość z Uniwersytetu Columbia o przyjęciu mnie na studia, jej widok w gruncie rzeczy nie budził smutku. Smucił mnie natomiast brak mejli od ojca. Jakże żałosna wydawałam się sobie, gdy logowałam się na konto, mając nadzieję, że w nowych wiadomościach ujrzę adres ojca. Dziwnie było ofiarować szkolnej bibliotece wszystkie książki od niego, gdy już ich nie potrzebowałam.

Przede wszystkim jednak czułam się oszukana, bo uwierzyłam w obietniczki ojca, chociaż mama właśnie przed tym mnie ostrzegała. On nawet z oddali zdołał mnie oszukać, a ja mu zaufałam, naiwnie i ochoczo. W chwilach mniej masochistycznego nastroju przypomiinałam sobie, że mnie, dziewczynę z liceum w miasteczku Colby, przyjęto do jednej z najlepszych uczelni w kraju. To musi mieć jakieś znaczenie. Nie



byłam tylko pewna jakie.

Życie toczyło się dalej. I była przy mnie osoba, która wiedziała, że to co najlepsze, nigdy nie znika bezpowrotnie. Stale opowiadała z dumą każdemu, kto chciał słuchać, o moim stypendium w świetnej uczelni East. Kiedy siedziałam na sofie i oglądałam telewizję, mijając mnie, ścisnęła mi ramię. Uśmiechała się do mnie z drugiej strony stołu, gdy Amber wygadywała jakieś typowe dla siebie bzdury. Przystawała przed zamkniętymi drzwiami mojej sypialni - tylko na moment, jednak zawsze wystarczająco długi, abym wiedziała na pewno, że ona tam jest.

### 3

- Chciałbym po prostu powiedzieć, jak bardzo cieszymy się z tego, że już w sierpniu Andy stanie się członkiem naszej rodziny. Wznoszę toast za państwa młodych!

Pan Templeton uniósł kieliszek. Rozległa się burza oklasków, a potem zbiorowy aplauz, gdy szczęśliwa para się pocałowała. Po prawej stała mama Luke'a i przyglądała się tej scenie z zarumienioną twarzą i wyraźnie widocznymi łzami wzruszenia w oczach. Piękna chwila.

Popatrzyłam na stojącego obok mnie Luke'a. Miał na sobie koszulę; byłam pewna, że włożył ją jedynie z musu.

- Tak się cieszę, że oboje idziemy do college'u - powiedział. - No bo pomyśl o tym domu w przyszłym roku, kiedy wszystko to się skończy i moja mama nie będzie miała już nic do roboty. To będzie groza!

- Masz doprawdy niewłaściwe podejście do tej sprawy - zauważyłam.

- Matka - ciągnął - już mi zapowiedziała, że na ten ślub muszę włożyć frak. Frak! W Colby. Będziemy wyglądali jak wszyscy ci ludzie, z których kpimy.

Miał na myśli gości, którzy przyjeżdżają na tutejsze śluby odbywające się w nietypowych miejscach. Ustawia się na plaży krzeselka i niewielkie sklezione łuki ozdobione kwiatami, a potem panuje ogólne zdziwienie, że wiejący wiatr porwał i uniósł w dal welon panny młodej, a na zdjęciach wszyscy są potargani. Po wygłoszeniu niekończących się litanii narzekań na nasze firmy cateringowe i sprzedawców - tak beznadziejnie zacofanych w porównaniu z rejonami, z których pochodzą ci goście - bardzo często zostawiają oni po sobie ślady weselnego tortu rozsmarowane na meblach i trop potłuczonej zastawy stołowej za odjeżdżającymi wynajętymi samochodami. Nie da się zaprzeczyć, że tacy ludzie są częścią przemysłu turystycznego, z którego utrzymuje się wielu mieszkańców Colby. Co nie znaczy, że nie możemy z nich kpić, przynajmniej troszkę.

- Być może ona jednak porzuci ten pomysł - powiedziałam do Luke'a - i zamiast tego pozwoli wam wszystkim włożyć hawajskie koszule i białe spodnie.

- Tylko jeśli druhny będą nosić japonki i trzymać w rękach każda po jednym kwiatku - odparł.

Takie rzeczy widywaliśmy jak dotąd tylko tego lata.

- Bardzo chętnie ozdobiłabym liczne muszle inicjałami państwa młodych i datą ślubu, a potem rozrzuciła je po plaży - zaproponowałam. - Och, i napełniłabym mnóstwo małych torebek piaskiem jako pamiątkowe upominki dla ślubnych gości.

Luke uniósł rękę, powstrzymując mnie.

- Ty sobie żartujesz, a naprawdę rozważa się pomysł wypuszczenia chmary motyli podczas ceremonii ślubnej.

Uniosłam brwi.

- Robisz mnie w konia, prawda?

- Mówiłem ci, to będzie okropne - powiedział, wzdrygając się.

W istocie dość zabawnie było widzieć Luke'a tak zirytowanego. Spędziwszy kawał czasu - już trzy lata - z tym Panem Luzakiem, bardzo często czułam się w porównaniu z nim superneurotyczką. Jednak to jego beztroskie podejście do życia było jedną z cech, które najbardziej w nim lubiłam, nawet jeśli zmuszało mnie do krytycznego zastanawiania się nad moją psychę częściej, niż bym sobie tego życzyła. Poza tym był też całkiem niebrzydki.

Podeszłam do niego bliżej, pocałowałam go w policzek i poczułam znajomy zapach chloru i słońca. Uwielbiam tę woń.

- Biedaku - powiedziałam. - Mam nadzieję, że jakoś to przetrwasz.

- Myślę, że będę potrzebował dodatkowego wsparcia emocjonalnego - odrzekł.

I pocałował mnie, tak naprawdę, wprost na oczach kilkorga starszych krewnych mijających nas w drodze do stołu z zakąskami. Kątem oka dostrzegłam ich zaskoczone miny, gdy przyciągał mnie do siebie, ale kiedy jego usta dotknęły moich, zniknęli dla mnie oni i wszystko inne. Już tyle czasu byliśmy razem, a on wciąż potrafił sprawić, że serce podskakiwało mi w piersi, tak jak przy naszym pierwszym pocałunku jesienią w pierwszej klasie liceum. Najprzystojniejszy chłopak w szkole - nie, po prostu najwspanialszy chłopak w szkole - zechciał właśnie mnie. Czasami wciąż nie mogłam w to uwierzyć.

- Chyba wiem, kto będzie następny - zaćwierkał ktoś za nami, przerywając mi rozmyślenia.

Luke z uśmiechem odsunął się ode mnie.

- Widzisz. Zaręczyny są zaraźliwe.

- Jak dzuma - dodałam, a on wybuchnął głośnym śmiechem.

- Luke, kochanie. - Jego mama po chwili stała już przy nas i położyła dłoń na jego ramieniu. - Zabrakło lodu. Mógłbyś skoczyć na stację benzynową Gas/Gro i przywieźć trochę?

- Jasne - odrzekł Pan Zgodny, a potem spytał mnie: - Chcesz się przejechać?

- Zaraz, zaraz, nie tak szybko - powiedziała pani Templeton i teraz z kolei mnie ujęła za ramię. Zawsze lubiła chwytać ludzi za ramiona. - Myślę, że wy dwoje zdołacie wytrzymać bez siebie dziesięć minut. Potrzebuję pomocy Emaline w kuchni, jeżeli mamy w ogóle kiedyś podać ten obiad. Niektórzy z pracowników przysłanych przez firmę cateringową są do niczego.

Ooooch, jęknęłam w duchu. Luke posłał mi spojrzenie, lecz je zignorowałam i skupiłam uwagę na nienagannej fryzurze jego matki. Jej włosy podskakiwały lekko przede mną, gdy prowadziła mnie do wnętrza domu. Kiedy bocznymi schodami weszliśmy do kuchni, zobaczyłam, że jest pełna ludzi. Ojciec Luke'a układał na półmisku stek i łososia, jego młodsza siostra Stacey wyjmowała rondle z piekarnika, a jakaś kobieta ubrana w czerń i biel, zapewne wynajęta pracownica, zajmowała się wkładaniem bułek do dużego koszyka. Jediną osobą, która stała nieruchomo i nic nie robiła, był oczywiście Morris.

- Musimy wynieść to jedzenie - rzuciła do mnie przez ramię mama Luke'a. - Czy mogłabyś znaleźć sałaty i podać je na stół? Och, i w spiżarni są jeszcze dwie butelki wina. Wydaje mi się, że barman może ich potrzebować.

- Dobrze - odpowiedziałam.

Ominęłam tatę Luke'a, który mrugnął do mnie, podnosząc tacę z mięsem i rybą. Spostrzegłam półmiski z sałatą na blacie kuchennym przy lodówce. Ruszyłam do nich i chwyciłam jeden, a potem podeszłam do mojego najlepszego przyjaciela, który był zajęty opieraniem się o lodówkę i oglądaniem swoich paznokci.

- Morris - szepnęłam. - Co ty wyprawiasz?

Podniósł na mnie wzrok.

- O co ci chodzi?

Wcisnęłam mu do rąk talerz z sałatą tak gwałtownie, że aż się wzdrygnął.

- Zdajesz sobie sprawę, że jesteś tutaj jedyną osobą, która nie pracuje?

- Ja pracuję - zaoponował.

Zignorowałam to, wzięłam drugi półmisek z sałatą, wsadziłam go pod pachę i zanurkowałam do spiżarni, żeby wyjąć butelki wina.

- No, chodź - poleciłam. Nie zareagował, tylko patrzył na mnie. - I to już!

Wyszliśmy na taras, zeszliśmy po schodach i skierowaliśmy się ku rzędom stołów ustawionych w ogródku za domem, między którymi rozmieszczono lampiony na bambusowych tyczkach. Przez całą drogę słyszałam za plecami charakterystyczny dla Morrisa odgłos szurania i powłóczenia nogami. Dobrze znałam ten dźwięk, ponieważ choć przyjaźnię się z Morrisem już od podstawówki, nie zdarzyło się ani razu, by siedł przede mną. Zawsze jest taki irytująco powolny.

- Dlaczego się tak denerwujesz? - zapytał, gdy postawiłam półmisek z sałatą na stole obok sterty talerzy. On nadal trzymał swój półmisek; nie postawi go, jeśli mu się tego wyraźnie nie poleci. - Pokłóciłaś się z Lukiem czy co?

- Czy w ogóle wiesz, jak bardzo musiałam się starać i nadstawiać karku, żeby zdobyć dla ciebie to zajęcie? - spytałam. - Robin nie chciała cię zatrudnić. Dosłownie ją ubłagałam.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Nie mogłam tego dłużej znieść; chwyciłam jego półmisek i postawiłam na stole.

- Ponieważ - odrzekłam - Daisy oznajmiła mi, że rozpaczliwie potrzebujesz pracy.

- Nie powiedziałbym, że rozpaczliwie - zaprotestował.

- Oczywiście, że nie. Bo mówienie byłoby już, no wiesz, robieniem czegoś.

Większość ludzi, usłyszawszy tego rodzaju uwagę, stropiłaby się. Albo przynajmniej jakoś zareagowała. Ale Morris tylko spojrzał na mnie.

- Kazała mi przynieść sałaty i chleb. Zrobiłem to - wyjaśnił. - A potem czekałem na dalsze polecenia.

Przewróciłam oczami.

- Czy naprawdę zawsze trzeba ci wszystko szczegółowo mówić? Nie potrafisz sam zobaczyć, że należy coś zrobić?

- Co zrobić?

- Morris - usłyszałam. Odwróciłam się. To była Robin, właścicielka firmy Roberts Family Catering. Teraz byłam już całkiem pewna, że mam wobec niej dług wdzięczności. - Czy wyjąłeś z furgonetki te serwetki i talerze?

- Aha - odpowiedział.

- Mówi się: tak - poprawiłam go, ale niewątpliwie mnie nie usłyszał.

- Czy one... - rzuciła okiem na stół bufetowy, zastawiony już półmiskami z jedzeniem - tu są?

- Nie powiedziałaś mi, gdzie je położyć?

Dobry Boże, pomyślałam, gdy Robin i ja popatrzyłyśmy na podjazd, na którym talerze i serwetki leżały oczywiście z górą innych rzeczy tuż obok furgonetki.

- Idź - powiedziałam do Morrisa. - Weź je i przynieś.

- Jesteś w złym humorze - zauważył, ale teraz przynajmniej wreszcie się ruszył i powlókł w stronę podjazdu.

Potrząsnęłam głową i podeszłam do Robin, ściągającej opakowania foliowe z rozmaitych naczyń stołowych.

- Nic nie mów - rzuciła, zanim mogłam choćby zacząć ją przeproszać. - Jestem teraz zbyt zajęta.

- Pozwól przynajmniej, żebym ci pomogła - powiedziałam, okrążając stół.

Znalazłam kilka par szczypiec i włożyłam je do półmisek z sałatą, a potem ustawiłam równo buteleczki z sosami, które ktoś przed chwilą po prostu postawił byle gdzie.

- Już zrobiłaś więcej niż on w ciągu dwóch godzin - skomentowała Robin znużonym głosem.

- Przepraszam.

- On jest beznadziejny.

- Wiem.

Robin znieruchomiała i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Więc dlaczego, u licha, poprosiłaś mnie, żebym zatrudniła go do takiego odpowiedzialnego zadania?

- Próbowałam pomóc... - urwałam, gdyż zbliżył się Morris niosący serwetki i talerze - przyjacielowi.

- Musi być naprawdę dobrym przyjacielem - odparła.

Skinęłam głową i pokazałam gestem ręki Morrisowi, żeby położył przyniesione rzeczy na końcu stołu. Potem podeszłam tam, stanęłam obok niego i zabrałam się do odpakowywania talerzy z folii. Po chwili - albo raczej kilku chwilach - zaczął robić to samo.

Bynajmniej nie po raz pierwszy dostało mi się za Morrisa, ale cała nasza relacja - nawiązana w trzeciej klasie podstawówki, kiedy wraz z mamą przez krótki czas mieszkał w sąsiednim domu - polegała głównie na tym, że on coś zawałał, a ja usiłowałam go usprawiedliwić. Najlepsze, co potrafiłam w tym dostrzec, to że chociaż nigdy nie udało mi się mieć małego szczeniaczka, przyjaźń z Morrisem była poniekąd czymś podobnym. Potrafił być miłutki i zabawny, ale mógł też w każdej chwili zniszczyć ci ulubione buty albo nasikać na podłogę. Oczywiście w przenośni.

Jednak powinnam być bardziej przewidująca, zwłaszcza po ubiegłym lecie. Wpadłam wtedy na wspaniały pomysł przekonania taty, żeby zatrudnił Morrisa do dźwigania desek i innych materiałów budowlanych i w ogóle zrobił go swoim pomocnikiem w pracy. Tata tamtej wiosny przeszedł operację - skutki dwudziestu lat wbijania gwoździ - i lekarz powiedział mu, że powinien odpocząć albo przynajmniej pracować lżej. Morrisa właśnie zwolniono z pracy w cukierni, między innymi za podjadanie zbyt wielkich ilości lukru. Tak więc postanowiłam pomóc tacie i namówiłam go, żeby na próbę zatrudnił Morrisa. Pierwszego dnia pracy Morris, cofając ciężarówką firmy, wjechał w dystrybutor paliwa, zostawił na ladzie w sklepie Sliders & Subs połowę zamówionego dla pracowników lunchu, który miał

przywieźć, i zrobił sobie, według rachuby taty, około czternastu kilkunastominutowych fajrantów. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu, gdy o tym słuchałam.

- Poruszał się tak powoli - ciągnął tata tamtego wieczoru, pijąc swoje pierwsze rytualne piwo. Nawet po kilku godzinach wciąż sprawiał wrażenie, jakby nie mógł w to uwierzyć. - Wyglądał, jakby był chory czy coś w tym rodzaju.

- Przepraszam - wymamrotałam.

- I trzeba mu wszystko mówić - ciągnął, nie słysząc mnie. - Nie po prostu: „Jedź zatankować pojazd”, tylko raczej: „Zaparkuj ciężarówkę. Zdejmij nakrętkę wlewu paliwa. Napełnij bak benzyną. Usuń wąż dystrybutora. Zakręć nakrętką wlewu paliwa. I wyjeżdżając nie uderz w nic”.

- Przepraszam - powtórzyłam.

Tata potrząsnął głową i wypił łyk piwa.

- Zamierzałem go zwolnić, ale powiedziałem mu, że musi najpierw odpracować koszt naprawy tego wgniecenia ciężarówki. Tak więc chyba na razie jestem na niego skazany.

- Prze... - zaczęłam, ale tata rzucił mi spojrzenie i powstrzymałam się przed kolejnymi przeprosinami. - Zapłacę za naprawę tego wgniecenia. To przede wszystkim moja wina, bo namówiłam cię, żebyś go zatrudnił.

- Nie, nie - odparł, zbywając to machnięciem ręki. - Już i tak dość dla niego zrobiłaś. Ja to załatwię.

Spodziewałam się, że Morris zostanie wylany w następnym tygodniu. Ale tak się nie stało. Tata zatrzymał go w pracy, co było jeszcze gorsze, bo dosłownie co wieczór musiałam wysłuchiwać, jak uskarżał się na Morrisa. Na to, jaki jest powolny. Jak nie umie wbić gwoźdźcia, nie walnąwszy młotkiem w rękę swoją albo czyjąś. Jak nie potrafi porządnie wykopać dziury w ziemi, zapamiętać prostego polecenia, wrzucić biegu w ciężarówce. Lista zarzutów ciągnęła się bez końca, a przy każdym punkcie kuliłam się ze wstydu.

- Więc go wylej - powiedziałam wreszcie w połowie czerwca, wieczorem przy kolacji. - Proszę cię. Błagam. Nie mogę tego dłużej znieść.

Siedząca przy drugim końcu stołu Amber prychnęła. Jeżeli Margo była świętoszką, a ja inteligentną perfekcjonistką, to Amber była dzikim dzieckiem. Miała skłonność do umawiania się ze starszymi od niej wytatuowanymi chłopakami, nigdy nie wracała wieczorem do domu o wyznaczonej porze i przepuszczała wszystkie pieniądze na piwo albo ciuchy. Z nas trzech to zazwyczaj ona dostawała bury od jednego lub obojga rodziców, więc uwielbiała te rzadkie sytuacje, gdy

spotykało to kogoś innego.

- Och, tak zrobię - zapewnił tata. - Czekam tylko, aż znajdę kogoś na jego miejsce. Lepszy on niż nikt. - Zamilkł na chwilę. - Chyba.

Dziwne, ale ostatecznie nigdy go nie zwolnił. Wynajdywał coraz to nowe wytłumaczenia: zbyt kłopotliwe byłoby wdrożenie do pracy kogoś nowego; ewentualny kandydat zrezygnował; lato już właściwie się kończy. Ale pomimo wszystkich tych narzekań taty, Morris nawet po letnim sezonie od czasu do czasu wykonywał w naszym domu drobne prace. Być może tata zatrzymał go, bo znał jego trudną sytuację - dorastanie bez ojca; uboga matka, mówiąc oględnie. Albo może po prostu miał ten sam gen pomagania innym co ja, chociaż nie byliśmy spokrewnieni. Jakiegokolwiek były motywy taty, nigdy nie kwestionowałam jego tolerancji wobec Morrisa, nawet jeśli tylko z tego powodu, że tak bardzo nie znosiłam, gdy ktokolwiek postępował tak wobec mnie.

Teraz popatrzyłam na Morrisa. Wkładał widelce do koszyka, po jednym na raz.

- Morris, proszę! Po prostu wsyp je wszystkie z pojemnika.

- Co takiego?

- Nieważne.

Zobaczyłam, jak Luke podjechał pod dom z kupionym lodem. Zaparkował samochód, wysiadł i roześmiał się, gdy ktoś do niego zawołał. To dziwne, że dwóch ludzi może dorastać w tym samym miasteczku, chodzić do jednej szkoły, mieć tych samych przyjaciół, a jednak tak kompletnie się różnić. Rodzina albo jej brak liczy się bardziej, niżbyśmy sądzili.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytał Morris, otwierając następny pojemnik z widelcami. - Wyglądasz... dziwnie.

Przełknęłam ślinę z wysiłkiem i zerknęłam na Robin rzucającą ostrym tonem polecenia swoim pracownikom.

- Dziś dzwonił mój ojciec.

- Naprawdę? - spytał Morris. Skinęłam głową. - Czego chciał?

- Nie wiem. Nie oddzwoniłam.

Morris zastanowił się nad tym, a potem powiedział:

- Może ma dla ciebie prezent z okazji ukończenia liceum.

Skrzywiłam się.

- Trochę późno, nie sądzisz?

Wzruszył ramionami.

- Lepiej późno niż wcale.

W gruncie rzeczy tak właśnie, panie i panowie, brzmi życiowe motto Morrisa. Ale



o dziwo, potrafiłam znieść tę jego leniwą powolność, ponieważ, no cóż, po prostu taki był. Oczekiwałam więcej od innych. Zwłaszcza od mojego ojca.

Gdy kwestia wyboru college'u została w końcu ustalona, moje życie z wolna wróciło do normy, na ile było to możliwe w trakcie leniwego upływu ostatnich dni nauki w liceum. Chociaż kilka tygodni wcześniej sprawy – mówiąc ogólnie – kłopotliwie się skomplikowały, mój ojciec odegrał istotną rolę w tym, że jednak dostałam się do college'u, i nadal zamierzałam zaprosić go, a także Leah i Benjiego, na uroczystość ukończenia szkoły. Tak więc pod koniec maja napisałam ich adres na jednej z grubych kremowych kopert i wrzuciłam ją do skrzynki wraz z innymi zaproszeniami. Ojciec nie odpowiedział. Cokolwiek łączyło nas w ciągu minionych kilku miesięcy, najwyraźniej już się skończyło.

Przynajmniej tak dotychczas myślałam. „Zadzwoń w wolnej chwili”. Tak brzmiała wiadomość, jaką teraz dla mnie zostawił. Mogłam zrozumieć, że mama w pierwszym odruchu wyrzuciła kartkę, na której ją zapisała. Jeśli ktoś raz mnie oszuka, niech się wstydzi. Jeśli oszuka mnie po raz drugi, to znaczy, że po prostu jestem głupia. Byłam, jaka byłam, pochodziłam, skąd pochodziłam, i dostałam się na Uniwersytet East. Czy ojciec mógłby coś powiedzieć, co zmieniłoby cokolwiek? Nic.

A jednak nie znosiłam zostawiania czegoś otwartego, niedokończonego, więc się zastanawiałam. Przez cały obiad, gdy siedziałam obok Luke'a, który luźno obejmował ramieniem moje plecy, i usiłowałam nie śledzić z oddali pracy Morrisa – czy raczej jej braku. Kiedy zapadł zmierzch i lampiony na bambusowych tyczkach zapłonęły łagodnym, ciepłym blaskiem, a wokół nich krążyły owady. I później przez całą drogę do domu, którą znałam na pamięć: cztery zakręty, dwa znaki stopu, jedno migające żółtym światłem. To było jak głos szepczący nieopodal na tyle głośno, byś zapragnęła pochylić się bliżej, aby móc rozróżnić słowa. Gdy w końcu dojechałam do domu, wyłączyłam silnik, a potem zrzuciłam pantofle. Byliśmy w odległości kilku przecznic od plaży, podobnie jak biuro agencji wynajmu nieruchomości, ale to nie miało znaczenia. Pierwsze, co poczułam pod bosymi stopami, to jak zawsze piasek.

\* \* \*

Nazajutrz była niedziela, co oznaczało kolejną rundę odprawiania wyjeżdżających klientów i przyjmowania nowych. Mogłam więc zapomnieć o dniu wypoczynku. Dla mnie ostatni dzień tygodnia oznaczał zawsze zwiększoną ilość obowiązków zawodowych.

Agencja Wynajmu Nieruchomości Colby nie zatrudniała własnego personelu sprzątającego. Zamiast tego zlecaliśmy to zadanie kilku firmom, z których każda sprzątała co tydzień wyznaczone domy. To ciężka praca i trzeba ją wykonywać szybko: goście wymeldowywali się o dziesiątej, a już o szesnastej wprowadzali się następni. Pozostawało więc zaledwie sześć godzin na doprowadzenie domu dla nowych wczasowiczów do stanu nieskazitelnej czystości. Nie wszyscy wynajęci pracownicy potrafili sobie z tym poradzić, toteż moja babka nalegała, żebyśmy sprawdzali efekty pracy każdej ekipy, zanim wydamy klucze gościom. Niedzielna zmiana była w agencji najmniej lubiana i właśnie dlatego zazwyczaj przypadała mnie.

Tego dnia pierwszym miejscem na mojej liście był Summer Daydream, otynkowany na śliwkowo budynek stojący w drugim rzędzie od brzegu oceanu. Zaparkowałam samochód, weszłam frontowymi schodami do głównego wejścia i podążyłam za odgłosem odkurzacza przez korytarz do pokoju telewizyjnego. Zobaczyłam tam jedną z naszych długoletnich sprzątaczek, Lolly, ścigającą kłaki kurzu rurą odkurzacza.

- Witaj, Emaline! - zawołała do mnie, gdy mijałam salon.

Zawróciłam do niej, a ona wyłączyła odkurzacza i wyjęła butelkę płynu do czyszczenia Windex.

- Cześć - odrzekłam. - Jak ci idzie?

Westchnęła i spryskała płynem szklany blat dużego stolika do kawy, pokryty smugami brudu i okrągłymi śladami po filiżankach. No tak, zaraz zaczniesz zwierzenia.

- No cóż, jak wiesz, w ubiegłym miesiącu nadwreżyłam sobie plecy. Poszłam do lekarza, a on skierował mnie na rezonans magnetyczny. Przechodziłaś kiedyś takie badanie?

Przecząco pokręciłam głową. Lolly była gadułą, a ja wiedziałam z doświadczenia, że im mniej będę odpowiadać, tym większą mam szansę wymknięcia się w którymś momencie.

- Okropność - powiedziała i znowu spryskała blat. - Trzeba leżeć całkiem nieruchomo w metalowej rurze. Myślałam, że dostanę ataku paniki. A potem powiedzieli, że moje kręgi czwarty i piąty są w kompletnej ruinie. Potrzebna będzie operacja. Jakbym miała czas na coś takiego!

- O rany - rzuciłam. - Przykro mi.

Machnęła w moim kierunku papierowym ręcznikiem i wzruszyła ramionami.

- Najpierw kłopoty z prostatą Rona, a teraz to. I wiesz, nasze ubezpieczenie

w ogóle nie pokryje kosztów operacji. Poza tym Tracy po rozwodzie sprowadziła się z dziećmi z powrotem do nas, więc nie mamy ani chwili spokoju.

Przytaknęłam, a potem rzuciłam szybkie spojrzenie przez okno na mój samochód, zastanawiając się, jak zdołam się stąd wyrwać.

Lolly ponownie westchnęła, po czym zabrała się z powrotem do czyszczenia stołu.

- Powiedz mamie, że wieszak na ręczniki w głównej łazience w końcu odpadł. Nie wystarczy kolejna śruba, trzeba będzie wymienić go na nowy.

- Dobrze.

- A na ścianie pokoju rekreacyjnego jest duża czarna rysa. Nie usunie się jej gąbką Magic Eraser.

- Rozumiem.

Zaczęła wlec odkurzacz w moim kierunku. Pokój za jej plecami wyglądał już idealnie: przetrzepane poduszki sofy, stolik bez żadnych smug ani śladów, nieskazitelnie czysty dywan. Miejsce gotowe na przyjęcie urlopowiczów. Znowu.

- Janice! - krzyknęła w stronę kuchni. - Pakuję sprzęt. Kończysz już?

- Tak - dobiegła odpowiedź. - Spotkamy się na zewnątrz za dziesięć minut.

Przeszłam szybko przez cały dom, sprawdzając, czy wszystkie łóżka są zaścielone, łazienki czyste, a ręczniki rozwieszzone; skontrolowałam też inne rzeczy z listy, którą znałam na pamięć. Kiedy skończyłam, Lolly i jej przyjaciółka też już się zbierały, ich sprzęt piętrzył się na frontowych schodach.

- Zobaczymy się później w domu Tidal Wave? - zawołała do mnie.

Kiwnęłam głową i poszłam do samochodu. Gdy otwierałam drzwi, usłyszałam za sobą na drodze tupot kroków. Odwróciłam się i zobaczyłam wysokiego chłopaka w okularach, truchtającego ze słuchawkami iPoda w uszach. Wydał mi się znajomy, ale nie przypominałam sobie nazwiska, więc odwróciłam się z powrotem do auta.

- Cześć! - zawołał. Znow odwróciłam się do niego i zobaczyłam, że zwalnia do kroku spacerowego i zdejmuje słuchawki. - Jesteś z agencji wynajmu nieruchomości, prawda?

Popatrzyłam na niego spod przymrużonych powiek, usiłując go sobie przypomnieć.

Tymczasem dorzucił:

- Powiedziałaś nam o firmie wynajmującej stoły. Kiedy przywiozłaś wino i sery.

To tych dwoje VIP-ów, pomyślałam. Oczywiście. Chłopak i ta okropna kobieta w domu Sand Dollars.

- A tak, racja. To byłam ja.

- Jestem Theo - powiedział, wskazując na siebie. Potem wyciągnął do mnie rękę.

- Zapomniałem, jak masz na imię.

Byłam całkiem pewna, że podczas naszego wcześniejszego spotkania nie doszliśmy aż do takiego stopnia poufałości, ale uścisnęłam jego dłoń i powiedziałam:

- Emaline.

Skinął głową, a potem spojrział poza mnie.

- Więc tutaj mieszkasz?

Zerknęłam na Summer Daydream, trzypiętrowe szkaradzieństwo z ośmioma sypialniami, dziesięcioma łazienkami, basenem i garażem na trzy samochody.

- Och, nie - zaprzeczyłam. - Tylko pracuję tutaj.

- W niedzielny rano?

- Przemysł wynajmu domów nigdy nie odpoczywa - wyjaśniłam. Nie miałam pojęcia, dlaczego on ze mną rozmawia, zwłaszcza że przerwał sobie jogging. Kto tak postępuje? - Połowa naszych domów jest przekazywana nowym wczasowiczom właśnie w niedziele.

- Rozumiem - rzekł. - Posłuchaj, co do wczorajszego dnia, to moja szefowa jest po prostu... dość kategoryczna. Nie zamierzała zachować się wobec ciebie nieuprzejmie.

- Nie?

Uśmiechnął się lekko.

- No dobrze, może zamierzała. Ale to rodzaj nowojorskiego odruchu. Nie całkiem jej wina.

- W porządku - rzuciłam. - Przywykłam do tego.

- Jest po prostu zestresowana napiętym terminem, w jakim musimy ukończyć kręcenie zdjęć, montaż i... - Urwał, jakby nagle uświadomił sobie, że stoję tu, czekając, by móc odjechać. - Ona naprawdę ma talent.

- Robi filmy?

- Dokumentalne. - Przegarnął dłonią włosy. Był raczej chudy, nie w moim typie, ale wiedziałam, że niektórym dziewczynom wydałby się uroczy. - Kończymy kręcenie filmu o miejscowym artyście. To projekt, nad którym ona pracuje już od trzech lat.

- Artysta? - powtórzyłam. - O kim?

- Clydzie Conawayu.

- To właściciel sklepu z rowerami.

- Między innymi - rzekł. - Znasz go?

- Tak samo jak każdego tutaj - odparłam. - Od kiedy on jest artystą?

- Nie znasz jego historii?

Przecząco pokręciłam głową.

- O rany, jest niezwykła. Chłopak z Colby został sławnym nowoczesnym malarzem, a potem rzucił wszystko, wrócił do tego małego miasteczka na wybrzeżu i stał się lokalnym ekscentrykiem, chociaż jego dzieła wciąż mają wielkie wzięcie. Kryje się za tym prawdziwa tajemnica. Wszyscy chcą poznać powody jego decyzji.

- Postąpił tak, ponieważ taki właśnie jest - odrzekłam. - Nic, co robi, nie ma sensu.

Wycelował we mnie palec.

- Powinniśmy przeprowadzić z tobą wywiad. Porozmawiam o tym z Ivy.

Uśmiechnęłam się, przecząco potrząsnęłam głową i wśliznęłam się za kierownicę.

- Uwierz mi, w niczym bym wam nie pomogła. Nic o nim nie wiem. Ale w każdym razie dziękuję.

Lecz gdy uruchomiłam silnik, chłopak się nie ruszył. Po prostu stał tam i musiałam go ominąć. Kiedy to robiłam, uśmiechnął się, wkładając znowu słuchawki do uszu, i powiedział:

- Miło było z tobą pogawędzić, Emaline.

- Mnie z tobą też. Życzę miłego pobytu.

Skinął głową, a ja pojechałam dalej ulicą. Jednak przy następnym znaku stopu obejrzałam się. Chłopak wciąż stał przed domem Summer Daydream i spoglądał na niego. Komu mogło przyjść do głowy, że dziewczyna taka jak ja mieszka w rezydencji? Tylko temu, kto sądzi, że kogoś zainteresuje film o Clydzie Conawayu. Innymi słowy: komuś nie stąd.

## 4

- Zaczekaj, usłyszałeś to?

Luke jęknął mi prosto w ucho, a potem stoczył się ze mnie.

- Daj spokój, Emaline.

- Mówię serio. Posłuchaj.

Leżeliśmy obok siebie w całkowitej ciszy. Słyszać było, jak zawsze, odległy szum oceanu. Nic więcej.

- Wiesz - rzekł po chwili - coraz trudniej przychodzi mi nie brać tego do siebie.

- Chcesz powtórki tego, co zdarzyło się w kwietniu?

- Nie - odparł. - Ale nie chcę też marnować jedynego od kilku miesięcy czasu, kiedy jesteśmy sami, na popadanie w paranoję.

- To nie było przed kilkoma miesiącami - zauważyłam, ale nie słuchał, pochłonięty przemieszczaniem się z powrotem na moją poduszkę; gładził ręką mój brzuch, potem biodro.

- Mam wrażenie, jakby było - wymamrotał w moją szyję.

Przewróciłam oczami. Luke i ja zgadzaliśmy się ze sobą w większości spraw, ale kiedy chodziło o tę jedną kwestię, często się spieraliśmy. Gdybyście spytali go o opinię o mnie, powiedziałałby, że jestem nudnie pruderyjna. Ja zaś uważałam go za maniaka seksu, który nigdy nie ma dość. Prawda leżała gdzieś pośrodku, co nie znaczy, że kiedykolwiek zbliżyliśmy się do niej na tyle, by ją dostrzec.

- To było w ubiegłym tygodniu - przypomniałam mu, gdy podjął przerwane na moment rozpinanie moich dżinsów. - W środę albo w czwartek.

- Nie, w poprzednim tygodniu - zaprzeczył i uniósł się nieco, żebym mogła ściągnąć dżinsy.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że wybierasz niewłaściwy moment, by dzielić włos na czworo?

- A czy ty zdajesz sobie sprawę, że nie będziemy mieli w ogóle żadnego momentu, o ile nie przestaniesz wciąż mówić?

Kochałam mojego chłopaka. Naprawdę bardzo go kochałam. Ale odkąd tej wiosny mama nieoczekiwanie wróciła do domu w porze lunchu i przyłapała nas na robieniu mniej więcej tego samego co teraz, stałam się płochliwa. W jednej chwili byliśmy radośnie zajęci sobą nawzajem, bezpiecznie przekonani, że mamy cały dom dla

siebie, a już w następnej mama pchnęła drzwi mojej sypialni i jej oczom ukazał się widok, jakiego żadne z nas nie chciało, żeby zobaczyła. Wciąż jeszcze czerwienieję się na myśl o tym, a dla mamy był to tak wielki szok, że przez ponad tydzień nie potrafiła spojrzeć mi w oczy. Mogłabym jej zwrócić uwagę, że ten incydent to kolejny powód, dla którego powinna trzymać się z dala od mojego pokoju, gdybyśmy obie potrafiły porozmawiać o tym bez ryzyka popadnięcia w straszliwe zakłopotanie. W istocie nigdy nie poruszyliśmy tej kwestii, jeśli nie liczyć oschłej wymiany zdań (z wzajemnym unikaniem swojego wzroku), w trakcie której mama upewniła się, że: 1) stosuję środki antykoncepcyjne i 2) wiem, że nigdy, przenigdy nie wolno mi zrobić tego ponownie pod tym dachem.

I nie robiliśmy. Przynajmniej przez jakiś czas. Ale kiedy jesteś w głębokim związku z kimś, kogo kochasz, zabawianie się w zaparkowanym samochodzie czy na plażowych wydmach wydaje się po prostu czymś... brudnym. Nie mówiąc już o tym, że jest niewygodne. Jeśli dodać do tego fakt, że matka Luke'a zawsze jest w domu - to wcale nie przesada; wykonuje pracę zawodową w domu i nie ma żadnego innego hobby oprócz swojej rodziny - nic dziwnego, że wkrótce ponownie zaczęliśmy igrzać z ogniem. Obecnie jednak, nawet kiedy byliśmy sami, coś się między nami zmieniło.

Choć jeśli miałabym być całkiem szczerą, chodziło prawdopodobnie o coś więcej niż tylko o to, co stało się w kwietniu. Na przykład o to, że podczas gdy przez nasz pierwszy rok byliśmy zakochani bez pamięci - i przekonani, że czeka nas wspólne szczęśliwe życie - obecnie przeszliśmy do etapu wzajemnych drobnych irytacji, jaki pojawia się zwykle później w takich związkach. Chodziło o pretensje, że druga strona prowadzi samochód zbyt szybko (albo zbyt wolno), ogląda mecze futbolowe za często (albo za rzadko) czy zabawia się bez przerwy (albo nigdy). Luke był wspaniałym facetem. Wiedziałam, że każda inna dziewczyna potrafiłaby przymknąć oko na wszelkie jego mniej piękne cechy. Ale niestety to byłam ja.

Ponadto w ubiegłym roku pojawiły się rozmaite napięcia związane z tym, że oboje staraliśmy się o przyjęcie na studia. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale wiedziałam, że Luke brał trochę do siebie całą tę sprawę z moimi przygotowaniem, w którą zaangażował się mój ojciec - to że składałam podania do najlepszych uczelni w kraju, znajdujących się daleko od Colby, a więc tym samym także od niego. No bo, zdaniem Luke'a, dlaczego nie miałabym pójść po prostu na Uniwersytet East, gdzie dostałabym pełne stypendium i gdzie bylibyśmy razem? Dla niego to było idealne rozwiązanie. I chociaż nigdy tego nie powiedział, wiedziałam, że zastanawiał się nieraz, dlaczego ja nie dzieliłam jego zdania.

- Zaczekaj - rzuciłam teraz, unosząc się na łokciach. - Przysięgłabym, że przed chwilą usłyszałam trzaśnięcie drzwi samochodu.

- Nikogo tu nie ma.

- Po prostu posłuchaj.

Tym razem nie odsunął się, tylko znieruchomiał. Ale jednak ustąpił. Spojrzałam w jego twarz, tak dobrze mi znaną i zachwycającą. Nie potrafiłabym sobie wyobrazić życia bez niego i pomyślałam, że zabiłabym każdą dziewczynę, która spróbowałaby wkroczyć między nas. A jednak wiedziałam, że miał rację: to nie zdarzyło się w ubiegłym tygodniu, lecz w poprzednim.

Popatrzył na mnie.

- Nic nie słyszę.

- W porządku. Przepraszam.

Przez chwilę pozostawaliśmy bez ruchu, Luke na górze, ja pod nim; nasze spojrzenia się spotkały. Kocham cię, pomyślałam, ale zamiast to powiedzieć, objęłam go ramionami za szyję i przyciągnęłam bliżej. Wyszeptał moje imię, a potem przycisnął usta do moich ust, likwidując dystans między nami i wszystko, co on zawiera i czego nie zawiera. Przynajmniej chwilowo.

\* \* \*

- Ty właśnie brać prysznic?

Zamrugałam zaskoczona. Nie wiedziałam, co takiego było w pani Ye, mamie mojej najlepszej przyjaciółki Daisy, ale miała dar totalnego rozbijania mnie. Nawet gdy chodziło o coś tak zwykłego jak moje wilgotne włosy o wpół do pierwszej po południu w dzień weekendowy.

- Ee... tak - odpowiedziałam, gdy podjęła nacieranie gorącą różową maścią kobiety owiniętej frotowym ręcznikiem plażowym. - Spociłam się, sprzątając w pracy składzik. Poza tym było tam brudno.

- Hm - mruknęła i znaczenia tego dźwięku nie dałoby się rozszyfrować nawet bez dzielącej nas sporej bariery językowej.

Potem powiedziała coś do Daisy w swoim ojczystym wietnamskim; mówiła szybko jak karabin maszynowy.

- Dobrze - odrzekła Daisy. - Chcesz majonez?

Jej mama dodała coś jeszcze, znów tak szybko, że nie zrozumiałabym nawet wtedy, gdybym znała ten język. Tym razem Daisy nic nie odpowiedziała, tylko krótko skinęła głową. Wyszłam za nią na parking Coastal Plaza, centrum



handlowego, w którym mieścił się należący do jej rodziców salon kosmetyczny Wave Nails, pomiędzy sklepem z alkoholami i magazynem spożywczym AZ Grocery. Wódka, jedzenie i pielęgnowanie urody. Czego więcej można chcieć na wakacjach?

- Ale upał - powiedziała Daisy, wkładając olbrzymie okulary przeciwsłoneczne, gdy ruszyliśmy na drugi koniec centrum handlowego, do pizzerii Da Vinci's Pizza and Subs. - Nie do wytrzymania.

- No cóż, prawdę mówiąc, nie jesteś ubrana na lato - zauważyłam.

Odwróciła się i spojrzała na mnie. Daisy była moją najbliższą przyjaciółką od siódmej klasy podstawówki, kiedy jej rodzina sprowadziła się do naszego miasteczka, ale nadal czasami uderzała mnie jej uroda. Mój styl ubierania się można było w najlepszym razie określić jako niedbały, ona natomiast wyglądała zawsze nienagannie, jak z okładki żurnali mody, które zresztą stale czytała i z których czerpała wzory. Była niska, drobna, miała piękne, delikatne rysy podkreślane makijażem, który już od lat nakładała starannie każdego ranka. Nikt nie ubierał się tak elegancko jak ona, głównie dlatego, że sama szyła większość swoich strojów na maszynie matki, którą nauczyła się posługiwać w wieku dwunastu lat. Colby w dziedzinie mody to nie Nowy Jork czy Paryż, ale nie domyślilibyście się tego, widząc Daisy. Nosiła się stosownie do życia, jakiego pragnęła, a nie jakie wiodła.

I dlatego teraz gdy ja miałam na sobie zwykły letni ubiór: kuse szorty, top i japonki, ona nosiła czarną sukienkę bez rękawów i buty na koturnach, a włosy związała z tyłu w zgrabny kok. Jakby Audrey Hepburn minęła sklep Tiffany'ego i udała się na Południe. Na głębokie Południe.

- Nie rozumiesz tego, że to idealna sukienka - odrzekła, wygładzając ją drobnymi dłońmi.

- Jest czarna i długa, a mamy trzydzieści dwa stopnie w cieniu.

- Czarna i długa? - powtórzyła bezbarwnym tonem. - Naprawdę tylko tak potrafisz ją opisać?

- A czy się mylę?

- Ma ponadczasową linię trapezu, Emaline. Jest klasyczna. Nie zna rozróżnienia pór roku ani sezonowych stylów mody.

- To tylko sukienka - zripostowałam. - Nie może czegoś znać czy nie znać.

Daisy nawet nie zaszczyciła mnie odpowiedzią. Pomimo zasadniczych różnic poglądów na modę, powodem, przynajmniej początkowym, dla którego się zaprzyjaźniłyśmy, był wspólny nam perfekcjonizm w kwestiach szkolnej nauki. Przed przybyciem Daisy byłam regularnie najlepszą lub niemal najlepszą uczennicą

ze wszystkich przedmiotów. A potem nagle zjawiała się nowa uczennica o błyskotliwej inteligencji, czytająca lepiej ode mnie i dwujęzyczna! Gdybyśmy od razu nie zostały dobrymi przyjaciółkami, z pewnością znienawidziłybyśmy się nawzajem.

Poprawiła okulary przeciwsłoneczne, gdy minął nas jakiś gość na motorowerze, którego silnik warczał jękliwie jak komar. Nie cierpię motorowerów, ale z jakiegoś powodu są tutaj wszechobecne, podobnie jak ciągutki czy kraby pustelniki sprzedawane w charakterze zwierząt domowych.

Daisy zmarszczyła nos.

- Boże, nie znoszę motorowerów.

Uśmiechnęłam się.

- Więc powinnaś porozmawiać z Morrisem. On stale mówi, że chciałby mieć motorower.

- Ten chłopak potrzebuje samochodu, a nie takiej zabawki - rzekła z westchnieniem. - Ale przede wszystkim potrzebuje pracy. Słyszałaś, że wylano go z tej firmy cateringowej?

- Nie - odparłam, chociaż to mnie nie zaskoczyło.

Odkąd Daisy i Morris zaczęli ze sobą chodzić - co było równie zaskakujące, jakby piekło zamarzło, śwynie zaczęły fruwać, a niedźwiedzie wypróżniać się na miejskich ulicach - nauczyłam się, że nie mogę mówić o nim w taki sposób jak dawniej. Niegdyś był po prostu moim przyjacielem Morrisem i mogłam swobodnie narzekać na jego ospałe lenistwo, ile tylko chciałam. Teraz stał się chłopakiem Daisy i zaczęły obowiązywać odmienne reguły. Jednak wciąż obie usiłujemy pojąć, na czym one polegają.

Prawdą jest, że ktokolwiek chodziłby z Daisy, byłby szczęściarzem. Po pierwsze, jest śliczna i bystra, niewątpliwie należy do kategorii, którą obydwie określamy jako WOGOC, czyli Wspaniałe Osoby Godne Opuścić Colby, w przeciwieństwie do innej kategorii, jaką utworzyłyśmy, KNKNSSNW: Kompletnych Nieudaczników, Którzy Nigdy Się Stąd Nie Wyrwą. Szczerze mówiąc, do tej drugiej kategorii zaliczyłybyśmy natychmiast Morrisa, gdyby tak nam na nim nie zależało. Zaczęłyśmy wymyślać te skróty jako rodzaj gry dla zabicia czasu w trakcie ślęczenia nad księgą pamiątkową naszej klasy. Ale w ubiegłym roku, kiedy perspektywa nauki w college'u wisiała nad nami, a potem całkowicie nas pochłonięła, ta kwestia nabrała realności, a podział na dwie kategorie w istocie przestał wystarczać. Mnóstwo ludzi miało Opuścić Colby, chociaż niekoniecznie zaliczało się do Wspaniałych Osób. Jak choćby ja. Dostanie się na Uniwersytet

Columbia oczywiście zapewniłoby mi miejsce pośród Wspaniałych Osób, tak jak Daisy zdobyła je dzięki temu, że pod koniec lata zaczęła studiować w College'u Sztuki i Wzornictwa. Jednak moja decyzja o pójściu na Uniwersytet East była znacznie późniejszym posunięciem. Ale przynajmniej dokądś się stąd ruszałam.

Morris, podobnie jak mniej więcej trzydzieści procent naszej klasy, miał pójść do miejskiej Szkoły Technicznej Coastal, leżącej za mostem, na stałym lądzie, w odległości dwudziestu minut jazdy od Colby. Wprawdzie w pobliżu North Reddemane znajdował się dobry college Weymar, jednak mieszkańcy Colby rzadko podejmowali w nim naukę. Był prywatny i drogi, nie wspominając już o tym, że miał profil artystyczny, a w tym zakresie nasze liceum wskutek braku środków finansowych i odpowiedniej kadry nauczycielskiej mogło nam zapewnić jedynie podstawowe wykształcenie. Natomiast Szkoła Techniczna Coastal miała przystępne czesne i oferowała kursy zarówno dzienne, jak i wieczorowe na kierunkach takich jak administracja biurowa czy zawód asystentki dentystycznej, mogących zapewnić po ich ukończeniu natychmiastowe zatrudnienie. Inaczej niż w przypadku moich jesiennych zajęć na Uniwersytecie East, które prawdopodobnie będą obejmowały między innymi historię Ameryki Łacińskiej i wymagały znajomości literatury angielskiej oraz podstaw psychologii. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak wyglądałby program studiów na Columbi.

Morris chciał ukończyć kurs mechaniki pojazdowej, mając na względzie możliwość otrzymania pracy w którymś z miejscowych salonów sprzedaży samochodów albo warsztatów naprawczych. Co było bardzo ambitnym planem – zresztą nie tyle jego własnym, co naszego jedyne go szkolnego doradcy, pana Markhama, młodego i energicznego, który w ostatnim roku nauki licealnej Morrisa poświęcił mu szczególną uwagę.

- Transport to kluczowa potrzeba ludzkości – powtarzał, podsuwając Morrisowi broszurę informacyjną Szkoły Technicznej Coastal.

Tak więc Morris postanowił złożyć tam podanie o przyjęcie. Ale przecież wcześniej zamierzał też pracować u Robin w firmie cateringowej Roberts Family, skąd jednak szybko go wylano. Tego jednak nie mogłam powiedzieć Daisy.

- On mówi – ciągnęła teraz, gdy pojawił się przed nami szyld lokalu Da Vinci's Pizza and Subs, przedstawiający Monę Lisę pożerającą kawałek pizzy – że zwolniono go stamtąd, ponieważ właścicielka chciała zatrudnić swojego bratanek.

W pamięci mignął mi obraz Morrisa opierającego się o lodówkę w kuchni Luke'a, podczas gdy wszyscy wokół krzatali się przy pracy.

- Jej bratanek już u niej pracuje.

- Naprawdę? - spytała Daisy.

Spoglądała na mnie, lecz wpatrywałam się nadal w szyld z Moną Lisą.

- Tak.

Daisy cicho wypuściła powietrze z płuc. Taki sam odgłos słyszałam często u jej mamy w reakcji na paplaninę klientki. Pewne rzeczy są identyczne we wszystkich kulturach.

- Ale Morris nadal pracuje u twojego taty, prawda?

- Chyba tak - odpowiedziałam, chociaż prawdę mówiąc, nie przypomiinałam sobie, kiedy ostatnio widziałam, by Morris pojawił się u nas o 6.30, żeby pojechać na plac budowy.

Jednak fakt, że nie byłam tego świadkiem, nie oznaczał, że to się nie zdarzyło. Przynajmniej teoretycznie.

Dotarliśmy do drzwi pizzerii Da Vinci's, których szyba była lekko zaparowana. Otworzyłam je i natychmiast owionął mnie zapach ciasta na pizzę i kiełbasy pepperoni. Dochodziła dwunasta, więc lokal był już szczelnie wypełniony turystami w strojach plażowych oraz miejscowymi, którzy wpadli tu w trakcie przerwy na lunch. Stanęliśmy w kolejce za trzema dziewczynami ubranymi w góry bikini i szorty. Spoglądały na menu na ścianie i rozmawiały głośno.

- Nie mogę uwierzyć, że ciągle jeszcze boli mnie głowa - mówiła jedna z nich.

- A ja nie mogę uwierzyć, że wczorajszej nocy obściskowałaś się z tamtym gościem - odparła druga. - Od kiedy rajcują cię faceci z owłosionym torsem?

- Wcale nie miał owłosionego torsu - zaprotestowała pierwsza.

Jej przyjaciółki wybuchnęły śmiechem, najwyraźniej się z tym nie zgadzając.

- Deirde - rzekła w końcu jedna z nich. - Wyglądała jak porośnięta futrem.

Obie znów zaczęły chichotać, a dziewczyna z bolącą głową westchnęła.

- Stare, chyba zapomnieliście, że jadąc tutaj, zdecydowaliśmy się na tryb wakacyjny.

- Tryb wakacyjny? - powtórzyła ta po prawej.

- Ustaliśmy - ciągnęła pierwsza - że to, co zdarzy się tutaj, przez ten tydzień, nie wejdzie do naszych stałych kartotek. Dotyczy to takich rzeczy jak pizza jedzona na noc, owłosiona klatka piersiowa faceta czy zlizywanie alkoholu z brzucha. Wszystko to ma być zapakowane do pudła i zapomniane.

- Zlizywanie alkoholu z brzucha? - spytała dziewczyna po lewej.

Pozostałe dwie spojrzały na nią.

- Nie pamiętasz, jak zlizywałeś alkohol z brzucha?

- Kto, ja? Wykluczone! Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego - zaprotestowała.

Tamte dwie wciąż się w nią wpatrywały. – Zrobiłam?

– Następna! – zawołał facet za kontuarem i dziewczyny przesunęły się do przodu. Uśmiechnęłam się do Daisy, która z dezaprobatą kręciła głową.

– Och, daj spokój – powiedziałam. – Musisz przyznać, że to prawdopodobnie byłoby zabawne.

– Co? – odparła. – Zlizywanie alkoholu z brzucha?

– Nie. Szalony tygodniowy wypad, podczas którego wszystko może się zdarzyć.

– Proszę, nie zaczynaj znowu gadki o tym, że turyści mają więcej ubawu niż my – ostrzegła mnie. – Dzisiaj tego nie zniosę.

– Nie mówię, że mają więcej ubawu – powiedziałam. Daisy rzuciła mi powątpiewające spojrzenie. – Mówię tylko, że, no wiesz, nigdy nie pójdziemy na plażę i, no wiesz, nie pocujemy się wolne. Nie zakochamy się i nie staniemy się kimś innym, kto nie myśli o stałych kartotekach. My żyjemy wewnątrz naszych kartotek.

– Są inne plaże oprócz tej tutaj – powiedziała.

– Wiem. Ale nigdy nie pojechałyśmy na żadną z nich, prawda?

– Emaline, przez cały rok na okrągło widuję ocean – rzekła. – Jeśli mam podróżować, to chciałabym do miejsca, w którym robiłabym coś innego.

– Właśnie o tym mówię. Jedzie się na wakacje, żeby być kimś innym. Stale widzimy ludzi, którzy to robią. Lecz my zawsze tylko usługujemy innym wczasowiczom, więc pozostajemy wciąż takie same.

– Ale ja lubię być wciąż taka sama – oświadczyła. – Poza tym nie zapominaj, że za miesiąc czy dwa zaczniemy studia i wiele rzeczy w naszym życiu się zmieni.

Skinęłam głową, ale w istocie uważałam, że to co innego. Nauka w college’u trwa cztery lata, a nie tydzień. Jest czymś stałym, podczas gdy wakacje – jak te, których początki, przebiegi i końce widywałam codziennie wokoło – mają ustalony, ograniczony okres trwania, a potem kończą się na zawsze. Chciałabym choć raz przekonać się, jak to jest przyjechać do miejscowości takiej jak Colby, bawić się jak nigdy w życiu, a potem wyjechać, zabierając ze sobą jedynie wspomnienia. Może kiedyś...

– Następna! – zawołał mocno zbudowany mężczyzna za kontuarem. Podeszłyśmy. – Szalona Daisy, moja ulubiona klientka.

– Witaj, Eddie Spaghetti – odpowiedziała. – Jak leci?

– Środa – rzekł, wzruszając ramionami, jakby to wystarczało za odpowiedź.

Daisy położyła na ladzie dwudziestodolarowy banknot.

– Mama chce to co zwykle. Bez majonezu.

- Już się robi - rzucił, gryzmołąc coś w notesie z zamówieniami. - A wy, dziewczyny, zjecie coś?

- Kawalek pizzy z serem - powiedziałam, a Daisy pokazała dwa palce.

Sięgnęłam po pieniądze, lecz ona potrząsnęła głową i podsunęła banknot Eddiemu.

- Hej, mogę zapłacić - zaprotestowałam.

- Wiem.

Eddie podał nam gratis dwa wielkie plastikowe kubki z napojami. Wzięłyśmy je i oznajmiłyśmy, w którym boksie zaczekamy na jedzenie.

- A więc - zagadnęła Daisy, wyjmując z opakowania słomkę - dlaczego naprawdę niedawno wzięłaś prysznic?

Uniosłam brwi.

- Czy musi być jakiś powód?

- W twoim przypadku tak. - Zerknęła przelotnie na ekran telewizora nad moją głową, a potem znowu spojrzała na mnie. - Wiem na pewno, że wstałaś o wpół do siódmej, a punktualnie o ósmej byłaś w pracy. Kiedy ostatni raz sprawdzałam, nie brałaś sobie przerwy na kąpiele.

Szturchnęłam słomką lód w moim napoju.

- Luke i ja... ee... w porze lunchu spotkaliśmy się u mnie w domu.

Westchnęła i potrząsnęła głową.

- Mówiłaś, zdaje się, że to się nigdy nie powtórzy.

- Owszem, mówiłam. Widocznie to właśnie oznacza nigdy.

- Widocznie chcesz zostać przyłapana.

- Naprawdę nie - oświadczyłam. Skrzywiła się z powątpiewaniem. - Ale nie mamy wielkiego wyboru.

- Inni jakoś sobie radzą.

Uniosłam rękę.

- Przestań. Pamiętasz, co ci powiedziałam? Nie chcę słuchać o tobie i Morrisie.

- Nie mówię o sobie - zaprzeczyła urażona. - Ja nie robię ukradkiem czegoś takiego.

- Zamiast tego robisz to w samochodzie albo na wydmach?

- Nie robię tego, kropka. Wiesz o tym.

Istotnie, wiedziałam. Daisy była dziewicą i zamierzała pozostać nią aż do małżeństwa. Chociaż powody takich decyzji bywają rozmaite, wśród naszych znajomych miały zazwyczaj podłoże religijne. Daisy jednak nie była religijna. Ale jej wiarę stanowiła rodzina. Pan i pani Ye byli imigrantami w pierwszym pokoleniu,

ludźmi prawymi, ciężko pracującymi i głęboko moralnymi, którzy oczekiwali, że ich dzieci, a zwłaszcza najstarsza córka, pójdą w ich ślady. W ich rodzinie nie było żadnych buntów, żadnego odszczekiwania się rodzicom, żadnych chłopców wpuszczanych ukradkiem do domu w porze lunchu. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzały. Moja mama, tocząca boje z moimi siostrami i ze mną przez cały okres naszej nauki w gimnazjum i liceum, zapytała raz panią Ye, jak udaje się jej tak utrzymać swoje dzieci w ryzach. Pani Ye spojrzała na nią i powiedziała:

- One są dziećmi. Wy jesteście dorośli.

To było takie proste. Przynajmniej w ich domu.

- Wasze zamówienie! - krzyknął do nas Eddie, uderzając w mały dzwonek przy kasie sklepowej.

Daisy chciała wstać, ale potrzęsnęłam głową i podeszłam do kontuaru, żeby odebrać nasze kawałki pizzy z serem i kanapkę dla jej mamy. Kiedy wślizgiwałam się z powrotem na swoje miejsce, zadźwięczał dzwonek nad frontowymi drzwiami. Spojrzałam tam i zobaczyłam wchodzących Morrisa, mojego tatę i dwóch innych facetów z jego ekipy. Morris ruszył prosto ku nam, a tata tylko pomachał do mnie w drodze do kontuaru. Pomachałam mu w odpowiedzi, zastanawiając się, czy widać z daleka, że mam wilgotne włosy.

- Cześć, dziewczyny - powiedział Morris.

Klapnął na krzesło obok Daisy i objął ją w pasie. Podstawiła mu policzek do pocałowania. Byli razem od dwóch miesięcy, a już wyglądali na stare małżeństwo.

- Morris! - zawołał tata. On i tamci dwaj faceci zamawiali przy kontuarze. - Jesz czy nie?

- Tak - odpowiedział. - Weź dla mnie...

Kopnęłam go prosto w goleń, z całej siły. Pisnął i spojrzał na mnie.

- Co?

- Naprawdę oczekujesz, że on zamówi dla ciebie jedzenie?

Zerknął na mojego tatę, który jak mogłam się zorientować nawet z tej odległości, wpadł w irytację graniczącą ze złością. Następnym etapem będzie krańcowe wkurzenie, a tego nikt nie chciał.

- Idź tam! - powiedziałam do Morrisa, mierząc go ciężkim wzrokiem. - Natychmiast!

Morris odsunął się od Daisy, rzucił mi spojrzenie i ruszył szybko do reszty ekipy. Mój tata przyglądał się z nieprzeniknioną miną, jak Morris podchodzi i składa zamówienie. Kiedy Eddie wbił wszystko do kasy, tata popchnął przez kontuar kilka banknotów. Milion razy powtarzał mi, że nie istnieje nic takiego jak darmowy lunch,

ale Morris zdołał go jakoś zdobyć. O ile nie sprawiło mu zbytniego kłopotu zamówienie go osobiście.

Popatrzyłam na Daisy, która żuła kęs pizzy, spoglądając przez okno na parking.

- Nie mów, że potraktowałam go zbyt ostro - powiedziałam do niej. - Musi się nauczyć takich rzeczy.

- Nic nie mówię - odrzekła.

Nigdy szczególnie nie lubiłam poprzednich chłopaków Daisy - gracza w siatkówkę; faceta, który być może był gejem; studenta wydziału twórczości literackiej z college'u Weymar, który pisał tylko opowiadania o Marsjanach - głównie dlatego, że nie uważałam żadnego z nich za wystarczająco godnego jej uwagi. Jednak w sytuacjach takich jak ta chętnie powitałabym powrót któregoś albo nawet wszystkich razem.

- Emaline.

Odwróciłam się i zobaczyłam tatę stojącego kilka stolików dalej, podczas gdy pozostali członkowie jego ekipy, w tym także Morris, siadali ze swoimi porcjami pizzy i napojami.

- Tak?

- Masz chwilkę?

Skinęłam głową.

- Jasne.

Wstając, by wyjść za nim na zewnątrz, przygotowywałam się na wszelkie możliwe rodzaje rozmowy. Były moje wilgotne włosy i ewentualność, że mogłam znowu zostać przyłapana. Był też Morris, który dostarczył przed chwilą kolejny powód, dla którego nigdy w ogóle nie powinien zostać zatrudniony. Obydwa tematy były kłopotliwe, ale Morris przynajmniej stanowił dla mnie mniejszy powód do wstydu, więc wiedziałam, na który postawiłabym pieniądze. Jednak kiedy stanęliśmy twarzą w twarz przy stojakach z gazetami, tata nie poruszył żadnej z tych kwestii, tylko podał mi skrawek papieru z nagryzmołonym numerem telefonu.

- Co to jest? - spytałam.

W tym momencie ulicą przejechał w drugą stronę ten sam co poprzednio warkoczący jęklawie motorower.

- Numer telefonu twojego ojca. Zadzwoił ponownie, kiedy akurat byłem w domu.

To zawsze brzmi dziwnie, kiedy tata nazywa kogoś innego moim ojcem. Jakbyśmy znaleźli się w alternatywnym wszechświecie czy czymś takim.

- Mam jego numer - oświadczyłam.

- To numer komórki. Zamierzałem w drodze powrotnej do pracy zostawić tę



kartkę w biurze agencji, żeby mama ci ją przekazała. – Gdy się nie odezwałam i tylko patrzyłam na niego, dodał: – On powiedział, że to ważne.

Ważne. Przemknęło mi w pamięci moje zaproszenie na uroczystość ukończenia liceum, na które nie odpowiedział. Jakbym w ogóle go nie wysłała.

– Po prostu zadzwoń do niego i miej to z głowy – poradził tata. – Dobrze?

– Jasne – odrzekłam, gdy otwierał drzwi pizzerii. – Zaraz to zrobię.

– Grzeczna dziewczyna. A więc do zobaczenia wieczorem.

Przyglądałam się, jak wchodzi do środka i przemierza salę. Poruszał się wolno, ale z innych powodów niż Morris. To skutek ponad dwudziestu lat wykonywania robót stolarskich i kładzenia dachówek, chociaż nie miał tak zrujnowanego organizmu jak niektórzy pracownicy. Gdy był w moim wieku, harował całymi dniami na budowie, a potem w nocy grał na gitarze w zespole występującym w knajpie, na tyle dobrym, że niemal podpisano z nim kontrakt na nagranie płyty. Ale niemal to tylko niemal, zwłaszcza w Colby.

Daisy spoglądała na mnie z wnętrza pizzerii, więc wyjęłam komórkę i uniosłam ją, żeby wiedziała, co robię. Wskazała na mój prawie pusty talerz. Kiedy przecząco potrząsnęłam głową, zabrała go ze stołu razem ze swoim i wrzuciła obydwie do pojemnika na śmieci. Zaczęłam już wybierać numer, gdy wyszła na zewnątrz.

– Wszystko w porządku? – spytała, zakładając okulary przeciwsłoneczne.

– Za chwilę ci powiem.

Skinęła głową i weszła z powrotem do pizzerii, huśtając torbą z lunchem dla mamy. W komórce przy uchu usłyszałam jeden sygnał, potem drugi i trzeci. Oczekiwałam, że włączy się poczta głosowa, ale nagle ojciec się odezwał:

– Halo.

– Cześć. Ee... mówi Emaline. Mój tata powiedział, że dzwoniłeś.

– Tak – odparł. Nastąpiła chwila ciszy. – Trudno się z tobą skontaktować.

– Przepraszam – powiedziałam i natychmiast pożałowałam tych łatwych, machinalnych przeprosin. – Czy... wszystko w porządku?

– Benji i ja jedziemy w twoim kierunku – oznajmił. – Właśnie wjechaliśmy do Wirginii. Powinniśmy być w Colby za... jakieś cztery godziny. Może pięć.

– Przyjeżdżasz tutaj?

– Dwa miesiące temu zmarła moja ciotka. Sprzątniemy jej dom, żeby przygotować go do sprzedaży.

– Przykro mi.

Tym razem mówiłam szczerze. Spotkałam ją kilka razy. Była dla mnie zawsze miła.

- Już od jakiegoś czasu chorowała. Śmierć była dla niej najlepszym wyjściem. -  
Odchrząknął. - W każdym razie pomyślałem, że to świetna okazja do odbycia  
wyprawy. Czegoś w rodzaju pielgrzymki, tylko we dwóch.

- Nie ma z wami Leah?

Znowu cisza, a potem:

- Przypuszczam, że przejedziemy przez most mniej więcej w porze obiadowej,  
w zależności od tego, czy zatrzymają nas korki na szosie. Wiem, że to nagła  
propozycja, ale pomyślałem, że moglibyśmy się spotkać i coś przegryźć.

Miałam ochotę odmówić, wymyślić jakąś wymówkę i się rozłączyć. Ale co innego  
zachować się wobec kogoś chłodno na odległość, a całkiem co innego, gdy ten ktoś  
jest w twojej okolicy.

- Ee... jasne. Zadzwoń do mnie, kiedy będziecie już blisko.

- Zadzwonię. Do zobaczenia wkrótce, Emaline - rzucił.

I już. Mój ojciec świetnie potrafił znikać. Nawet słowem nie wspomniał  
o college'u, a poza tym nie odpowiedział na żadne z pytań, jakie mu zadałam. To  
nasunęło mi myśl o pani Ye i wszystkim, co mówiła, a czego nie potrafiłam  
zrozumieć. Ale my dwie przynajmniej mówiłyśmy w różnych językach. W przypadku  
ojca, wypowiedane przez niego słowa były jasne. Pojmowałam każde z nich.  
A jednak z jakiegoś powodu mimo to go nie rozumiałam.

\* \* \*

W takim małym miasteczku jak Colby wieści rozchodzą się szybko. Jednak  
pomiędzy moimi rodzicami ta prędkość była wręcz błyskawiczna.

- Chcesz, żebym dostarczyła ręczniki? - spytałam mamę.

Popatrzyła na mnie i odłożyła trzymany w ręku ołówek.

- Och, racja... tak. Ręczniki. Owszem.

Wystarczyło mi na nią spojrzeć. To właściwie nie wada, ale moja mama nie umiała  
kłamać.

- Dokąd?

Nerwowo przełknęła ślinę i poszperała w papierach na biurku, szukając jakiejś,  
byłam niemal pewna, nieistniejącej kartki samoprzylepnej czy czegoś takiego.

- Niech sprawdzę... Chyba do Sanbar Cove...

Usłyszałam za sobą, jak w sąsiednim gabinecie Margo prychnęła. Rzuciłam tylko  
okiem na jej twarz - wpatrywała się w ekran komputera, powstrzymując uśmiech -  
i już wiedziałam, że przeczucie mnie nie myli. Odwróciłam się z powrotem do mamy.

- On ci powiedział o tej wiadomości telefonicznej, prawda?

- Co takiego?

- Mamo, daj spokój.

W końcu przestała udawać, że czegoś szuka, i odchyliła się w fotelu. Tymczasem Margo stanęła w progu, by jeszcze lepiej słyszeć.

- Może rzeczywiście wspomniał coś o tym, że twój ojciec miał ci coś ważnego do powiedzenia.

Skoro ta wiadomość mnie zdenerwowała, mogłam sobie wyobrazić, jak zareagowała na nią mama. Byłam pewna, że gdybym otworzyła teraz górną szufladę jej biurka, znalazłabym tam napoczęte wszystkie co bardziej słone i chrupkie przysmaki z naszego biurowego automatu. Mama od zawsze w stresie podjadała. Na szczęście dla niej, napięcie przyspieszało też jej metabolizm, więc zazwyczaj jedno z drugim się równoważyło.

- On tu jedzie - poinformowałam ją. - Z Benjim.

Nie odezwała się, tylko patrzyła na mnie. Za to Margo rzuciła:

- To ten jego dzieciak, tak?

- A co z Leah? - zapytała mama.

Przecząco potrząsnęłam głową.

- Nie wspomniał o niej. Powiedział tylko, że zmarła jego ciotka i zamierzają wystawić jej dom na sprzedaż.

- Panna Ruth nie żyje? - rzekła mama z autentycznym smutkiem.

- Czy mają agenta handlu nieruchomościami? - zainteresowała się Margo, jakby to była najważniejsza kwestia.

- Podobno chorowała od jakiegoś czasu - wyjaśniłam mamie.

- Kto to jest panna Ruth?

Odwróciłam się i zobaczyłam Amber trzymającą papierową torbę z Amigos, meksykańskiego lokalu przy szosie.

- Co ty tu robisz? - spytałam.

- Odebrałam wezwanie SOS - odrzekła. Przepchnęła się obok mnie, podeszła do biurka mamy i położyła na nim torbę, która miała już na spodzie plamy tłuszczu. - Ktoś tu potrzebował taco, natychmiast.

- Teraz ty zajmujesz się dostawami? - rzuciłam.

- Jeśli ktoś inny płaci. Jestem spłukana i głodna - oznajmiła i klapnęła na krzesło naprzeciwko mamy. - Kim jest panna Ruth?

- Ciotką ojca Emaline - poinformowała ją Margo.

Można było zobaczyć, jak obracają się tryby w głowie Amber, gdy rozważała ten

stopień pokrewieństwa. Potem spytała:

- Tą, u której dawniej mieszkał w North Reddemane?

Mama przytaknęła, odpakowując taco.

- Była miłą osobą. Robiła najlepszą na świecie sałatkę z kurczaka, za którą przepadałam.

- Jak długo on tu zostanie? - spytała mnie Margo.

- Nie powiedział.

Zapadła cisza. Co zdarzało się rzadko, niemal nigdy, kiedy byliśmy wszystkie razem. W końcu odezwała się Amber:

- Może on zamierza przeprosić cię za to, że zachował się jak drań w sprawie college'u, pozyskać twoją sympatię i znowu stać się twoim ulubionym rodzicem.

Moja siostra Amber nie miała zbyt wielu talentów. Jednak jeden w sobie rozwinęła: zdolność wynajdywania akurat tej kwestii, której ktoś za nic nie chciałby usłyszeć, a potem wypowiedania jej na głos. Spojrzałam na mamę, która oczywiście już pakowała sobie nerwowo do ust kawał taco.

- Tak się nie zdarzy - odparłam. - A poza tym tu nie chodzi o mnie. Zmarła jego ciotka i zabrał synka na wyprawę samochodem.

- Czy potrzebują jakiegoś lokum do wynajęcia? - spytała oczywiście Margo, nie kto inny.

- Jestem pewna, że zatrzymają się u panny Ruth - odpowiedziała mama, żując taco.

- Ona nie żyje - zauważyła Amber.

- Ale jej dom nadal stoi - odparła Margo.

- Może - rzekła Amber - powinniśmy zaproponować im nasz pokój gościnny.

- Przestań - rzuciłam, a ona prychnęła. Potem zwróciłam się do mamy: - Masz dla mnie jakieś zlecenie dostawy czy nie?

Milczała chwilę. Potem powoli pokręciła głową, wciąż żując. Westchnęłam, odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do drzwi.

- Przepraszam! - zawołała za mną, gdy przełknęła kęs. - Zastanawiałam się po prostu, czego on chce.

- Jeśli będzie potrzebował dobrego pośrednika handlu nieruchomościami - powiedziała do mnie Margo, gdy ją mijałam, i podała mi wizytówkę - skontaktuj go ze mną, dobrze?

- Jesteście śmieszne - odparłam, ale wzięłam wizytówkę i wsadziłam do kieszeni.

- Nie złość się! - zawołała bez przekonania mama, gdy szłam przez gabinet.

Nie odpowiedziałam jej.

Kiedy wyszłam za drzwi, zobaczyłam w naszym holu starszego faceta w workowatych szortach i podkoszulku z nadrukiem PLAŻA COLBY, otwierającego zamrażarkę z darmowymi lodami. Sięgnął do środka, wyjął lody na patyku Popsicle oraz rozek lodów Nutty Buddy i podsunął obydwu małej dziewczynce w różowym kostiumie kąpielowym i płaszczyku księżniczki.

- Które chcesz? - zapytał.

Wskazała na rozek. Odwinął go i podał jej, odpakował dla siebie lody Popsicle, po czym obydwójce podeszli do wielkiej mapy na ścianie i patrzyli na nią, jedząc lody.

GDZIE JEST DOM DLA CIEBIE?, głosił napis nad mapą, w tym roku jaskrawożółty. W ubiegłym roku był czerwony. Wciąż można było dostrzec niki ślady tamtego koloru niczym mgliste cienie, zwłaszcza na brzegach bardziej zaokrąglonych liter. Wystarczyłoby zeskrobać ze ściany warstwy farby z okresu pięćdziesięciu lat, a z pewnością odsłoniłoby się również wszystkie barwy tęczy. Niewiele zmieniało się w Colby czy nawet w naszym biurze, ale na każdy sezon mapa była nowa, a litery świeżo odmalowane.

Pierwszy szyld umieścił tam mój dziadek, dawno temu. Potem dodał na mapie napis JESTEŚ TUTAJ nad miasteczkiem Colby i ustawił kubek z pinezkami, żeby turyści mogli zaznaczać miejsca, skąd pochodzą. Wkrótce dla wielu rodzin stało się to częścią wakacyjnej tradycji, podobnie jak otrzymywanie lodów przy odbiorze kluczy i poczęstowanie kawą, kiedy je oddawali. Musieli tylko wbić pinezkę, zaznaczając miejsce, do którego powrócą, gdy skończy się czas ich urlopowego pobytu u nas.

Gdy mężczyzna i jego córeczka weszli do gabinetu - jej lody, też zgodnie z tradycją, kapały na podłogę - przystanąłam przy mapie i sprawdziłam dotychczasowy przebieg sezonu. Jak zwykle o tej porze lata było mnóstwo pinezek w obrębie naszego stanu, kilka powyżej i poniżej niego, a inne rozproszone dalej we wszystkich stronach. Ktoś przyjechał tu z Los Angeles, ktoś inny z Austin w stanie Teksas. Dostrzegłam kilka pinezek stłoczonych razem w zachodnim Illinois - najprawdopodobniej państwo młodzi i goście weselni, którzy przybyli tu na ślub - oraz dwie umieszczone starannie, blisko siebie, nad Toronto w Kanadzie. Tyle różnych miejscowości, różnych tras wiodących do i od tego jednego miejsca.

A jeśli chodzi o Colby, to chociaż było domem dla mnie i innych osób pracujących w tej agencji, nie miało na mapie żadnej pinezki. Tylko kółko, gwiazdkę i słowa JESTEŚ TUTAJ, które sama napisałam, kiedy w maju odmalowywałam szyld. Ja byłam tutaj zawsze i pod wieloma względami kochałam to miejsce. Ale ilekroć mijałam mapę i ten napis stanowiący przypomnienie, ogarniał mnie smutek. Jednak

trudno byłoby mi wyjaśnić dlaczego.

Podobnie trudno było mi wyjaśnić moim rodzicom, Luke'owi i innym osobom, gdy zaczęła się cała ta sprawa z college'em, dlaczego chciałabym dostać się dokądkolwiek, tylko nie na Uniwersytet East. Na tej mapie znajdował się w odległości zaledwie milimetra od Colby, a jednak wydawał się im wszystkim wystarczająco odległy. Odkryłam, że ludzie mieszkający w Colby albo chcą pozostać tu na zawsze (i zazwyczaj tak robią), albo nie mogą się doczekać, by stąd wyjechać, nie oglądając się za siebie (ja). We mnie był jednak splot obydwu tych impulsów, nieustanne odpychanie i przyciąganie. Kochałam to miasteczko. Ale spędziłam w tym kółku i gwiazdce całe moje dotychczasowe życie, więc pragnęłam się przekonać, jak by to było, gdybym nazwała swoim domem jakieś inne, odległe miejsce, choćby tylko na krótko. Może pewnego dnia...

Na zewnątrz Daisy siedziała na masce mojego samochodu, czekając na mnie.

- Myślałam, że miałaś zabrać ręczniki - powiedziała, gdy otworzyłam drzwi.

- Ja też. Ale okazało się, że mama chciała się po prostu dowiedzieć, co się dzieje - wyjaśniłam, a gdy się roześmiała, dodałam: - To wcale nie jest zabawne. One wszystkie są psycholami. Nie potrafią trzymać się z dala od mojego życia. Ani od mojego pokoju.

- Ponieważ twoje życie i twój pokój są o wiele bardziej interesujące niż ich.

Przewróciłam oczami.

- Jeżeli naprawdę tak myślisz - powiedziałam, uruchamiając silnik - może dołączyłabyś do mnie dzisiaj wieczorem na obiedzie?

- Bardzo chętnie bym to zrobiła, bo moje życie też nie jest interesujące - odparła.

- Ale zajmuję się dziś ginekologią od czwartej aż do zamknięcia.

Ginekologią nazywała Daisy usuwanie włosów łonowych u klientek, będące jej specjalnością w salonie kosmetycznym Wave Nails. Wykonywały to także inne pracujące tam dziewczyny, ale ponieważ Daisy podchodziła do tego zadania z takim samym zaangażowaniem i skrupulatnością, jak do wszystkiego co robiła, mieszkanki Colby gremialnie wybierały właśnie ją. Miała tyle klientek (i tak bardzo owłosionych, jak przypuszczałam), że musiała ustalić specjalne terminy po oficjalnych godzinach pracy, żeby obsłużyć je wszystkie. Osobiście nie potrafiłam pojąć, jak znosiła takie... no... krępujące zajęcia, ale Daisy podchodziła do tego w pełni profesjonalnie. „Kiedy zobaczyło się jedną z nich - mówiła - to tak jakby widziało się wszystkie”. No cóż, skoro tak, to w porządku.

- Chcesz się zamienić? - spytałam ją.

- To zależy. Dokąd on zabiera cię na obiad?

- Nie mam pojęcia. Zadzwoń, kiedy będą nadjeżdżać.

- Powiedz mu, żeby spotkał się z tobą w Melisma.

To najwytworniejsza restauracja w Colby. Byłam tam tylko raz, na balu na zakończenie roku szkolnego, i ledwie mnie było stać na zamówienie czegokolwiek oprócz sałatki. Chociaż okazała się naprawdę smaczna.

- Nie sądzę, by miał na myśli ten lokal.

- Szkoda. To najmniejsze, co mógłby zrobić, żeby ci wynagrodzić schrzanienie uroczystości ukończenia liceum.

- No cóż, nie rozmawialiśmy o tym.

- Myślisz, że porozmawiacie?

Westchnęłam, a potem odchyliłam głowę do tyłu i popatrzyłam w sufit. W samochodzie było gorąco. Musiałam jeszcze zawieźć Daisy do jej drugiej pracy w miejscowym butik, a potem, jak zawsze w środku tygodnia, odbyć objazd wynajmowanych przez nas domów. Robiliśmy to, aby się upewnić, że nikomu z urlopowiczów nie wpadł do głowy jakiś głupi pomysł - na przykład wystawienie sofy na balkon, zatajenie niewielkiego pożaru czy wpakowanie czterdziestu osób do domu przeznaczonego tylko dla dwanaściorga. Prawdę mówiąc, wolałabym mieć do czynienia z wszystkimi tymi problemami naraz, niż musieć poruszyć w rozmowie z ojcem kwestię mojej uroczystości ukończenia liceum.

- Jeżeli on o tym nie wspomni, ja też nie - odpowiedziałam Daisy. - Nie ma sensu. To już przeszłość.

Milczała przez chwilę, na tyle długą, że odwróciłam się i spojrzałam na nią. Wtedy powiedziała:

- Ale on naprawdę cię zranił, Emaline. Powinnaś mu to powiedzieć.

- To nic nie zmieni - odparłam. - Poza tym każda dziewczyna na moim miejscu już dawno by o tym zapomniała.

Teraz oczy Daisy się zwięziły.

- Wiesz, że nie znoszę, kiedy to mówisz.

- Co?

- To o każdej dziewczynie. - Gwałtownie machnęła ręką, jakby odpychała od siebie to, co powiedziałam. - Ludzie nie są jednakowi. Nie ma niczego takiego jak każda dziewczyna. Proszę więc, przestań trzymać się jakichś absurdalnie wygórowanych standardów moralnych, dobrze? Nie ma nic złego w tym, że nadal jesteś na niego wkurzona. Ja też bym była.

Moja komórka zapiszczała, oznajmiając nadejście esemesa. Otworzyłam ją i spojrzałam na wyświetlacz. Od mamy. *Przepraszam* - napisała. - *Wybaczysz mi?*

Podniosłam wzrok na biuro naszej agencji. Mogłam dostrzec okno gabinetu mamy. Nie wiedziałam, czy zorientowała się, że jeszcze nie odjechałam, ani czy obserwowała mnie, gdy wpisywałam w odpowiedzi trzy litery: *Tak*.

Uderzyła mnie ironia tej sytuacji, gdy wyjeżdżałam tyłem z parkingu, a potem skręcałam w kierunku nadmorskiej promenady. Ale pogodzenie się z mamą było łatwe – nie po raz pierwszy któraś z nas coś schrzaniła i musiała przeproszać. Prawdopodobnie nawet nie po raz pierwszy w tym tygodniu. Dobrego zachowania i przeprosin można się z czasem nauczyć. W końcu stają się przyzwyczajeniem, drugą naturą. Ale w przypadku mojego ojca było inaczej. Naprawienie sytuacji między nami będzie wymagało czegoś więcej niż napisania kilku liter. To zaś uświadomiło mi prawdę, która ciążyła mi na sercu, odkąd przed godziną usłyszałam, jak odebrał telefon ode mnie: Być może wolałabym już się z nim nie pogodzić.

\* \* \*

Zamierzałam podrzucić Daisy tylko do wjazdu na nadmorską promenadę, a potem wyruszyć w mój objazd, ale kiedy tam wjechałam, zmieniłam zdanie i zaparkowałam samochód. Nawet jeśli w którymś z wynajmowanych przez nas domów wystawiono już sofę na dach, następne pół godziny nie zrobi wielkiej różnicy. Musiałam oczyścić umysł.

Promenada była zatłoczona, a plaża poniżej jeszcze bardziej. W zimie często mieliśmy cały ten teren tylko dla siebie, nie licząc kilku krążących w górze ptaków, ale różnica między porą zimową a obecną była tak olbrzymia jak rozpościerający się przede mną ocean. Na głównej estradzie grał jakiś zespół, przy stolikach pod gołym niebem tłumy ludzi jadły i piły. Cały deptak był pełen spacerowiczów, plażowiczów w kostiumach i płaszczach kąpielowych oraz licznych stoisk, w których sprzedawano niezmierzone ilości rozmaitych przedmiotów przeznaczonych dla turystów – szklaneczek do alkoholi, obrazków w ramkach ozdobionych muszelkami, podkoszulków z nadrukiem PLAŻA COLBY we wszelkich możliwych wzorach i kolorach.

Ledwie zdążyłam zrobić dwa kroki, drogę zastąpił mi nagle chłopak w okularach przeciwsłonecznych i czapce baseballowej.

– Dzisiaj noc dla pań! – oznajmił, podsuwając mi jakąś ulotkę. – Darmowy wstęp i koktajle za dwa dolary! Wszystko to w Tallyho, najpopularniejszym, najgorętszym klubie w Colby!

Przecząco pokręciłam głową i ominęłam go, ale Daisy nie była tak szybka



i skończyło się na tym, że wetknął jej do ręki ulotkę. Wyrzuciła ją zaraz, gdy przeciskałyśmy się przez tłum.

- Tallyho najgorętszym klubem w Colby? - rzuciła z niedowierzaniem. - Od kiedy?

- To prawdopodobnie znaczy tylko tyle, że zepsuła się tam klimatyzacja - odrzekłam.

Najwyraźniej nie tylko my nie wykazałyśmy zainteresowania, gdyż promenadę przed nami zaścielały wyrzucone ulotki. Krok dalej owionął mnie nagle intensywny, słodki zapach waty cukrowej. Gdybym miała sprzedawać w butelkach charakterystyczną woń tego deptaku, byłoby to połączenie waty cukrowej i kremu do opalania z nieznaną domieszką potu. Urocze.

- Uważaj z prawej! - usłyszałam czyjś okrzyk i po chwili minął mnie szybko rowerzysta w spodenkach kąpielowych, bez koszuli.

Za nim jechała dziewczyna w bikini, z przewieszoną przez ramię torbą z materiału, z której wystawał zwinięty ręcznik. Oboje zatrzymali się kawałek dalej przed wypożyczalnią rowerów Abe's Bikes, przy której tkwiła dziewczyna z brązowymi kręconymi włosami, w jaskraworóżowym podkoszulku, trzymająca w ręku podkładkę do pisania z klipsem. Za nią stał szyld reklamowy z napisem SZYBKIE, ŁATWE WYPOŻYCZANIE ROWERÓW! PŁACISZ I ODJEŹDŹASZ! Pomachała do nas, gdy ją mijaliśmy. Daisy próbowała oddać jej ulotkę, lecz dziewczyna przecząco pokręciła głową.

- Daj spokój, Maggie - powiedziała Daisy. - To najpopularniejszy klub w Colby.

- Od kiedy? - odparła Maggie. - Nie, nie, tylko nie do Tallyho. Ale przynajmniej próbowałaś.

- Nie mogę pogodzić się z tym, że w pewnym sensie jestem odpowiedzialna za uśmiercenie drzewa, z którego zrobiono papier na tę ulotkę - oświadczyła z westchnieniem Daisy, po czym zmięła kartkę i cisnęła ją do pobliskiego pojemnika na śmieci.

- Będiesz urządziła okno wystawowe butiku? - zapytała ją Maggie.

- Tak - odpowiedziała Daisy. - Wzory kwiatowe już się opatrzyły.

- Pewnie - przytaknęła Maggie.

Tamci dwoje zsiadli z rowerów, a ona je od nich odebrała. Usłyszałam jeszcze, jak pyta, czy na pewno nie chcą wypożyczyć ich na kolejną godzinę - za połowę ceny! - gdy Daisy i ja podeszłyśmy do butiku Clementine's. Istotnie, wszystkie manekiny na wystawie były ubrane w kwieciste sukienki, a przy ich nogach leżały rozrzucone płatki kwiatów.

- Wyglądają całkiem miło jak na coś już niemodnego - powiedziałam do Daisy,

otwierając drzwi.

- Owszem - zgodziła się. - Ale pora na zmianę. Rozważam pomysł robotów.

- Co? - rzuciłam zaskoczona.

Lecz Daisy już minęła mnie i weszła do środka; brzęk dzwoneczka nad drzwiami oznajmił nasze przybycie.

- Przyszła! - usłyszałam, jak ktoś zawołał z za kasy sklepowej. Spojrzałam tam i zobaczyłam Heidi, właścicielkę butiku, wkładającą kwity do przegródek szuflady kasy, podczas gdy jej pasierbica Auden wstrzeliwała nalepki z cenami do elastycznych bransoletek z koralików. - Zjawiała się nasza fashionistka.

- Wiesz, że nie cierpię tego słowa - odparła Daisy. - Sprawia, że czuję się, jakbym rozpoczęła jakąś rewolucję.

- Czyżby? - spytała Auden.

Jej przyrząd do wstrzeliwania nalepek nagle się zaciął. Walnęła nim o kontuar raz, potem drugi.

- Jeden robot na raz - powiedziałam.

- Roboty? - Heidi uniosła brwi. - Naprawdę?

Daisy przytaknęła.

- Srebrzyste, futurystyczne. Metaliczne, skonstrastowane z głębokimi odcieniami ludzkiej skóry, a do tego być może wykończenie z kilku koralików czy cekinów dla podkreślenia faktury.

Heidi skinęła głową.

- Podoba mi się ten pomysł.

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie - oświadczyła Auden, odrywając nalepkę z ceną od swojej spódnicy.

- I właśnie dlatego nie urządzasz sklepowej wystawy - odparła Heidi, a potem zwróciła się do mnie: - Wiesz, że chętnie cię zatrudnię, jeśli tylko twoja mama pozwoli ci kiedykolwiek opuścić waszą rodzinną firmę.

- To mało prawdopodobne - odpowiedziałam.

Moja mama i Heidi znały się z Izby Handlowej, w której niemal zawsze trafiały razem do tej czy innej komisji. Należały do Izby od niedawna i często łączyły siły przeciwko długoletnim członkiniom, takim jak moja babka i jej przyjaciółki. W Colby wszystko jest niewielkie z wyjątkiem ludzkich osobowości i ambicji.

- Po prostu gram na zwłokę - dodałam.

- To do ciebie niepodobne - zauważyła Heidi.

- Rozpocznę rewolucję - powiedziałam, a ona się uśmiechnęła.

W tym momencie za nami zadźwięczał dzwonek nad drzwiami, anonsując

przybycie dwóch dziewczyn w górach od bikini i sarongach. Auden odłożyła przyrząd do wstrzeliwania nalepek z cenami, żeby je przywitać, a ja podążyłam za Daisy. Ruszyła w głąb sklepu do magazynu, zatrzymując się po drodze, by wziąć rzeczy, które przykuły jej wzrok.

Zanim zaczęła tu pracować, w oknie wystawowym butikiu Clementine's, podobnie jak w przypadku innych plażowych sklepów z odzieżą, znajdowało się tylko kilka manekinów i mnóstwo kostiumów kąpielowych. Obecnie ta witryna była lokalną instytucją. Daisy na Halloween wymyśliła zombie w bikini, na Gwiazdkę żywy obraz skomponowany wyłącznie z węgli, na walentynki scenę rodem z krwawego horroru utrzymaną w odcieniach głębokiej czerwieni. Nieraz zwracano Heidi uwagę, że ekspozycje wystawowe projektowane przez Daisy są być może trochę zbyt „wizjonerskie” jak na nadmorski bulwar w Colby, ale odpowiadała, że niezależnie od wszystkiego sprawiają, że ludzie zatrzymują się przed jej sklepem. A kiedy już się zatrzymają, jest bardzo prawdopodobne, że wejdą do środka.

Teraz Daisy zebrała naręcze lśniących kostiumów kąpielowych, a potem przyniosła wielkie pudło na sprzęt wędkarski, w którym trzymała wszystkie swoje szpilki i podpory. Wzięła się do pracy, a ja usiadłam przy oknie wystawowym i spoglądałam na przemian to na nią, to na spacerujące tłumy. W takiej ludzkiej masie turyści stapiają się w kilka typów: młodszy chodzący grupami; rodzice z wózkami spacerowymi taszczący olbrzymie wypchane torby plażowe; idące powoli starsze pary. Jedynymi stałymi, wspólnymi elementami były okulary przeciwsłoneczne i beztroskie poczucie wolnego czasu. Znowu przyszło mi na myśl, jak dziwnie jest mieszkać na stałe w miejscu, które inni traktują jedynie jako tymczasowe. Jakbym nigdy nie mogła być pewna, czy to oni są nierealni, czy ja.

- Chyba będę potrzebowała kilku metalowych listw - powiedziała Daisy, unosząc złociste bikini i przyglądając się mu spod przymrużonych powiek. - Może też paru ostrzy do pił.

- To brzmi groźnie - zauważyłam, gdy przed oknem wystawowym przeszła grupka dziewczyn jawnie gapiących się na nas. - Myślałam, że chodzi ci o roboty.

- O groźne roboty - mruknęła z roztargnieniem.

Właśnie wchodziła do tej cichej strefy w swoim umyśle, w której gromadziły się jej pomysły. Nie było sensu, abym dalej przy niej tkwiła. Wkrótce i tak zapomni o mojej obecności.

- Muszę iść - oznajmiłam, wstając. - Zadzwoń do ciebie później?

Kiwnęła głową, a ja wymknęłam się ze sklepu, machając po drodze do Auden i Heidi. Ruszyłam z powrotem na parking. Dochodziła już druga po południu, co

oznaczało, że miałam około dwóch godzin, zanim ojciec i Benji przejadą przez most do naszego miasteczka.

Wsiadłam do samochodu i opuściłam wszystkie szyby, a potem odwróciłam się i sięgnęłam do podłogi za fotelem po listę domów, które miałam odwiedzić. Zobaczyłam wystający spod niej arkusz grubego papieru i też go podniosłam. Było to jedno z moich zaproszeń na uroczystość ukończenia liceum, porzucone i zapomniane. Powiodłam po nim palcem, odczytując litery mojego nazwiska i nazwę liceum. W tamtym czasie była to dla mnie taka ważna sprawa, niczym minięcie linii mety wyścigu, w którym biegłam, odkąd mogłam sięgnąć pamięcią. Na ceremonii byli mama i tata, siostry, babka i moi przyjaciele. Ale jak często bywa, brakowało jednej osoby, o której myśli się więcej niż o wszystkich obecnych.

Jesteś głupia, pomyślałam teraz. Cisnęłam zaproszenie z powrotem za fotel i skupiłam uwagę na liście. Dom za domem, ich nazwy jak tytuły bajek: Krzyk Mewy, Marzenie Caroline, Drewno Wyrzucone Na Brzeg Morza, Jeździec Przyływu. Odwiedzę je wszystkie, zwalniając prędkość jazdy, by spojrzeć z zewnątrz na cudze wakacje, wypatrując czegokolwiek nie w porządku lub podejrzanego. Ale ci ludzie nie będą sobie zdawać z tego sprawy, nawet jeśli przypadkiem rzucą okiem na drogę. Dla nich byłam tylko dziewczyną przejeżdżającą obok.

## 5

Żułam gumę tylko wtedy, gdy byłam zdenerwowana, i mogłam zawsze ocenić poziom stresu na podstawie tego, ilu listków potrzebowałam, żeby się uspokoić. Kiedy tego wieczoru siedziałam przed restauracją Reef Room, czekając na ojca i Benjiego, doszłam już do czterech i to wciąż nie wystarczało.

Nie miałam ochoty na to spotkanie. Spędziłam ciężki dzień, a wcześniej planowałam pójść z Morrisem do kina, potem zaś spotkać się z Daisy, kiedy już skończy pracę, i wybrać się z nimi na którąś z imprez na cyplu wyspy. Zamiast tego tkwiłam w samochodzie ze szczękami obolałymi od żucia i zastanawiałam się, jak bardzo brudny może być ktoś, kto przez cały dzień czyścił baseny.

Początkowo nie zamierzałam zabrać ze sobą wsparcia, bo uważałam, że to spotkanie z ojcem będzie wystarczająco dziwaczne nawet bez wmieszania w nie jeszcze kogoś. Ale gdy wychodziłam z domu, ogarnęła mnie panika.

- Żujesz gumę? - zapytał od razu Luke, gdy w końcu się do niego dodzwoniłam.

Wcześniej nagrałam mu już w poczcie głosowej dwie wiadomości, które jak miałam nadzieję, brzmiały beztrosko, ale widocznie usłyszał w moim głosie, że żuję Big Red.

- Co w tym dziwnego? - odparowałam obronnym tonem. - Wiesz, czasami żuje się gumę.

Milczał chwilę, tak abym mogła w pełni pojąć, jak głupio zabrzmiały moje słowa. Potem spytał:

- Co się dzieje?

Powiedziałam mu. I odwinęłam następny listek gumy. Zanim zdążyłam wsadzić ją do ust, zapewnił mnie, że wróci do domu, weźmie błyskawiczny prysznic i spotka się ze mną możliwie jak najszybciej. Teraz jednak, gdy na parking restauracji wjechała furgonetka subaru z rejestracją Connecticut, wiedziałam, że to nie było wystarczająco szybko.

Nie widziałam ojca od września ubiegłego roku, kiedy przyjechał tu z Benjim i Leah na weekend Święta Pracy. Zatrzymali się wtedy w domu panny Ruth, chociaż w tamtym czasie ona przeniosła się już do ośrodka stałej opieki medycznej, i zjedliśmy razem obiad w tej samej restauracji. Żyłam wówczas w szaleńczym wirze przygotowań do złożenia podania na studia, więc większość posiłku spędziłam

na omawianiu z ojcem strategii działania. Do tego stopnia, że w gruncie rzeczy było mi przykro wobec Leah i Benjiego, którzy najwyraźniej nie byli tak zafascynowani kwestią eseju i wcześniejszego przyjęcia na uczelnię jak my, więc wyszli na spacer po nabrzeżu, kiedy mieli już dość przysłuchiwania się naszej dyskusji. Musiałam jednak przyznać, że sprawiała mi przyjemność skupiona na mnie uwaga ojca, a także ten nasz wspólny projekt. Byłam szczęśliwa, że dzielę z nim cokolwiek innego niż tę dziwną, nieco wstydliwą historię jego nieudanego ojcostwa.

Przewinęłam szybko taśmę pamięci do przodu, do kwietnia i tego ostatniego mejla ojca, po którym nastąpił długi okres milczenia. Teraz moje wspomnienia przybrały odmienny odcień. Gdy ojciec parkował samochód w odległości kilku rzędów ode mnie, odpakowałam kolejny listek gumy. Bolały mnie już szczęki, a guma wypychała policzek, więc tym razem miałam dość rozsądku, by jeszcze nie pogarszać i tak już złej sytuacji. Położyłam paczkę gumy na desce rozdzielczej, a kulkę, którą miałam w ustach, wyplułam do papierowej chusteczki. Bez gumy moje usta wydały mi się nagle wielkie i swobodne, jakbym mogła powiedzieć wszystko.

Gdy tylko wysiadłam z samochodu, ujrzałam Theo, tego chłopaka z domu Sand Dollars. Mój pech. Gość wysiadał z białej furgonetki stojącej kilka pustych miejsc dalej, trzymając przy uchu komórkę.

- Dobrze - usłyszałam, zatraskując drzwi samochodu. - Dwie porcje satay z kurczaka, duża sałatka Cezara bez oliwek i jedna pizza margherita. Rozumiem. Coś jeszcze?

Gdybym ruszyła teraz w stronę restauracji, zobaczyłby mnie, a i bez tego miałam wystarczająco wiele problemów. Tak więc gdy mnie mijał, odczekałam, przeglądając się w pokrytym śladami palców wstecznym lusterku. Kto je tak uświnił? Kusiło mnie, żeby obwinić Morrisa, ale wiedziałam, że to tylko odruch przyzwyczajenia.

- Emaline?

Cholera, pomyślałam, przybierając na twarz wyraz zaskoczenia i odwracając się.

- Och, cześć - powiedziałam. - Jesteś Theo, prawda?

Skinął głową.

- Musimy przestać się tak często spotykać.

To była dziwna uwaga i miałam pewność, że on - sądząc z tego, jak się lekko zaczerwienił - uświadomił to sobie prawie równocześnie ze mną. Jednak z tym rumieńcem wyglądał uroczo, jakby zakłopotanie działało na jego korzyść.

- A więc - zagadnęłam - jak idzie ten projekt filmu o Clydzie?

- Dobrze, naprawdę dobrze - odrzekł i odstąpił na bok, przepuszczając po prawej bmw szukające miejsca do zaparkowania. - W tym tygodniu przeprowadziliśmy kilka świetnych wywiadów z tutejszymi mieszkańcami. Wcześniej z jakiegoś powodu wielu z nich się przed tym wzdragało.

- Naprawdę?

Przytaknął.

- Ivy mówi, że często tak bywa w wiejskich rejonach, kiedy przyjeżdża się tam i wypytuje o kogoś. W grę wchodzi instynkt chronienia danej osoby, chęć trzymania obcych na dystans.

- Albo może - podsunęłam - chodzi po prostu o to, że nikt nie ma nic do powiedzenia.

- Och, wątpię. - Przeczesał palcami włosy. - Historia Clyde'a Conawaya jest naprawdę ciekawa. Nawet jeśli jej częścią jest to, że nikt nie chce o tym mówić. Właściwie pomyślałem sobie, że powinienem się skontaktować z...

- Emaline!

Odwróciłam się i zobaczyłam Benjiego, jakieś trzydzieści centymetrów wyższego niż ostatnim razem. Biegł prosto ku mnie tym niezadarnym krokiem dziesięciolatka. Uśmiechał się radośnie, a zbyt długie włosy spadały mu na twarz. Gdy znalazł się na odległość wyciągniętej ręki, rzucił mi się w ramiona i objął w pasie.

- Cześć - powiedziałam, zaskoczona tym nieoczekiwanym objawem uczucia. Benji zawsze był uroczy, ale widzieliśmy się zaledwie kilka razy i to w wielomiesięcznych odstępach. - Jak się masz?

- Dobrze - odpowiedział, wciąż obejmując mnie mocno.

Popatrzyłam nad jego głową w stronę subaru, przy którym stał mój ojciec z kluczykami w ręku i przyglądał się nam. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, ruszył w moim kierunku, jakby musiał się najpierw upewnić, że to rzeczywiście ja.

- Jechaliśmy samochodem całą wieczność - dodał Benji.

- Na pewno - przytaknęłam.

Zmierziłam mu włosy, bo jak sądziłam, właśnie tak robi się z dziećmi w jego wieku. Widocznie rzeczywiście tak jest, bo puścił mnie, cofnął się i spojrzał wprost na Theo. Nie planowałam żadnych prezentacji, ale teraz wydawały się nieuniknione.

- Ee... - wystękałam, będąc aż nadto świadoma tego, że ojciec podchodzi coraz bliżej - to mój brat Benji. Benji, to Theo.

Rzucili sobie nawzajem „cześć”, a potem ojciec dołączył do nas. W przeciwieństwie do Benjiego wcale się nie zmienił od ostatniego spotkania. Miał

te same okulary w czarnych oprawkach i taki sam ubiór: białą koszulę, dżinsy i mokasyny bez skarpetek.

- Cześć - przywitał mnie i objęliśmy się szybko, niezręcznie. - Jak się masz?

- Dobrze - odrzekłam, uwalniając się z tego uścisku. - A jak wam minęła podróż?

- Świetnie. Najtrudniej było wydostać się z miasta. Szosa GW była zakorkowana przez wiele mil.

Theo się uśmiechnął.

- Jak zawsze - zauważył.

Mój ojciec spoglądał na niego przez chwilę, po czym wyciągnął rękę.

- Jesteś Luke, prawda?

- Właściwie nie - powiedziałam szybko. - To Theo. Przyjechał tu na lato.

- Z miasta - domyślił się ojciec.

- Studiuję na Uniwersytecie Nowojorskim - oznajmił Theo.

- Co studiujesz?

- Jestem na wydziale filmowym. Przebywam tutaj na stażu u reżyserki kręcącej filmy dokumentalne.

- Naprawdę? - Ojciec wydawał się zaskoczony. I co dziwne, zadowolony. - Znam ich kilka. U której?

- U Ivy Mendelson.

- *Droga Coopera* - powiedział ojciec, a Theo przytaknął z uśmiechem. - Widziałem ten film parę lat temu na festiwalu filmowym Tribeca. Co ją sprowadziło do Colby?

- Projekt filmu o malarzu Clydzie Conawayu - wyjaśnił Theo. - On pochodzi stąd. Tak więc przeprowadzamy wywiady w środowisku, gromadzimy materiały filmowe.

- Oczywiście, oczywiście. - Ojciec popatrzył na mnie i uśmiechnął się. Nie byłam pewna, co tu jest grane. Potem zwrócił się do Theo: - A więc... dołączysz do nas na obiedzie?

W tym momencie usłyszałam klakson, a potem narastający warkot silnika. Nie musiałam się nawet odwracać, by wiedzieć, że to Luke. Jego ciężarówka już od kilku miesięcy miała obluźowaną rurę wydechową i słyszałam to teraz głośno i wyraźnie, gdy wjechał na wolne miejsce na parkingu gdzieś za moim samochodem. Rozległo się trzaśnięcie drzwi kabiny, a potem brzęk kluczyków. Lubił nimi podzwaniać.

- Właściwie przyjechałem kupić trochę jedzenia na wynos - odpowiedział Theo. - Już trzeci wieczór z kolei. Ivy jest przekonana, że ta restauracja to jedyne miejsce na wyspie, w którym można dostać coś innego niż burgery z krewetkami.



- Ma rację - rzekł ojciec, chociaż nie mieszkał tu od czasu sprzed moich narodzin.
- Czy ktoś mówił o burgerach z krewetek?

Oczywiście to był Luke, który wolnym krokiem wyszedł zza moich pleców. Miał wilgotne włosy, a skórę czerwoną od przebywania przez cały dzień na słońcu. Mimo woli zdałam sobie sprawę, że my dwoje jesteśmy jedynymi dorosłymi, którzy nie noszą modnych okularów.

- Cześć - rzuciłam, gdy wziął mnie za rękę.

Przez chwilę staliśmy wszyscy w milczeniu, spoglądając na siebie. Potem Luke, który potrafił w każdej sytuacji znaleźć się towarzysko, wyciągnął drugą rękę do Theo i powiedział:

- Jestem Luke.

- Theo.

- A pan jest zapewne ojcem Emaline - ciągnął Luke. Obaj oficjalnie uścisnęli sobie dłonie. Potem wskazał na Benjiego. - A ten młody człowiek to Benji, prawda?

- Aha - odrzekł chłopiec, już uśmiechając się promiennie.

Psy i dzieci przepadały za moim chłopakiem. To niezbity fakt.

- Jak minęła podróż? - zapytał ojca.

- Zbyt duży ruch na moście - powiedział Theo.

- Och, zawsze się tak dzieje w porze końca pracy - rzekł Luke. - Wszyscy jednocześnie wracają do swoich domów na wyspie.

Przygryzłam wargę, nie chcąc go korygować. Most to most, w Nowym Jorku czy Colby. Prawda?

- Musimy już wejść do środka - powiedziałam zamiast tego. - Restauracja szybko się zapelnia.

- Istotnie - przyznał Theo.

- To ci bardziej snobistyczni turyści - rzekł Luke. - Uważają, że to jedyne miejsce, w którym mogą dostać coś odpowiadającego ich wyrafinowanemu gustom.

Nie patrzyłam, ale byłam pewna, że po tych słowach ojciec i Theo wymienili spojrzenia. Powiedziałam:

- No cóż, nie mam wyrafinowanego smaku, ale uwielbiam chleb z oliwkami.

Nikt tego nie skomentował. Ruszyliśmy w kierunku restauracji. Benji szedł obok mnie i ujął mnie za drugą rękę. Nie wiedziałam, co ma oznaczać ten nagły wybuch braterskich uczuć, ale to było miłe. Poza tym w grupie zawsze różniej.

Gdy weszliśmy do środka, hostessa, licealistka z widocznymi liniami opalenizny, rzekła do nas z uśmiechem:

- Witamy w restauracji Reef Room! Obiad dla pięciu osób?

- Ja nie jem, biorę tylko dania na wynos- wyjaśnił Theo, a potem zwrócił się do mojego ojca i Luke'a: - Miło było was poznać.

- I wzajemnie - odrzekł ojciec. - Postaram się zobaczyć ten film dokumentalny, kiedy już zostanie ukończony.

- Namawiam.

Powiedziawszy to, Theo skinął nam ręką na pożegnanie i oddalił się do zapełnionego w połowie baru. Hostessa wzięła karty dań i poprowadziła nas do wielkiego boksu przy oknie. Po drodze Luke nachylił się do mojego ucha.

- Co to za gość w tych dziewczynskich džinsach?

Oczywiście to pierwsze, co zauważył.

- Poznałam go przed kilkoma dniami, przywożąc poczęstunek dla VIP-ów. Przyjechał tu, pracując dla jakiejś reżyserki filmowej.

- Ivy Mendelson - uściślił ojciec zza naszych pleców. - To bardzo utalentowana reżyserka.

- Kto z miejscowych lubiłby satay z kurczaka - dorzuciłam.

Hostessa uśmiechnęła się do mnie szeroko. Już któryś raz, odkąd tu weszliśmy, pożałowałam, że nie mam więcej gumy do żucia.

- Usiądźmy.

Wśliznęłam się na krzesło przy oknie i zanim się obejrzałam, usiadł przy mnie Benji. Luke'owi pozostało więc zajęcie miejsca obok mojego ojca, po drugiej stronie stołu. Wyglądało to jak jakaś nadzwyczaj dziwaczna podwójna randka.

- Ja chcę burgera z krewetek - oznajmił Benji, nawet nie otwierając menu.

- Brawo, stary - powiedział Luke. Uniósł rękę i przybili piątkę. - Mają tu naprawdę smaczne. Nie za dużo ciasta i sosu koktajlowego. Tylko nie bierz ze smażonymi krążkami cebulowymi, są za cienkie.

Mój ojciec spoglądał teraz na Luke'a tak, jakby nie był całkiem pewien, do jakiego gatunku go zaliczyć.

- Luke jest ekspertem w dziedzinie burgerów z krewetek - wyjaśniłam.

- Ważna jest wielkość krewetki, ilość ciasta, a także majonezu w sałatce colesław - dodał Luke. - Kiedy wszystkie te trzy sprawy są w porządku, otrzymuje się... ideał!

Benji się roześmiał.

- Lubię wszystko co smażone.

- Popieram - rzekł Luke. - W zeszłym roku jadłem na kiermaszu smażone herbatniki czekoladowe Oreo. Były super.

Ojciec popatrzył w stronę baru, najwyraźniej już tęskniąc za Theo.

- Jadłeś burgera na lunch - zwrócił się do syna. - Myślę, że powinieneś teraz raczej zamówić sałatę i coś z niewielką ilością białka zwierzęcego.

- Ale ja chcę burgera z krewetek.

- Benji. - W głosie ojca zabrzmiało nieznaczące napięcie. - Sałata i białko zwierzęce. Zamów rybę albo kurczaka. Żadnej smażeniny.

Poczułam szturchnięcie w goleń, ale nie podniosłam wzroku, żeby napotkać spojrzenie Luke'a. Nawet nie patrząc, mogłam sobie wyobrazić jego minę. Najpierw gość w dziewczynskich dżinsach, a teraz to. Początek tego spotkania nie rokował dobrze. Benji natomiast wydawał się bliski łez.

- Satay z kurczaka jest dobre - rzekłam do niego. - Zawsze je zamawiam.

Wiedziałam, że Luke patrzy na mnie zaskoczony, bo było to jawne kłamstwo. Na szczęście po chwili powiedział:

- Ona ma rację. Jest fantastyczne.

- A więc, Luke - odezwał się nagle ojciec, zamykając menu - czy ty też idziesz tej jesieni na studia?

- Tak, proszę pana. Na Uniwersytet East. Tak jak Emaline.

Luke był najbardziej miłą i przyjacielską osobą, jaką znałam, ale nawet jeśli się o tym nie wiedziało, z jego tonu i miny wynikało jasno, że po prostu szczerze i uprzejmie odpowiedział na pytanie. Jednak mój ojciec miał taki wyraz twarzy, jakby Luke walnął go pięścią. Poczterwieniął, odkaslnął, a potem szybko spuścił wzrok na swoje menu. Sam poruszyłeś ten temat - pomyślałam. - Nie trzeba było pytać, jeżeli nie potrafisz znieść odpowiedzi.

Przez minutę siedzieliśmy w ciszy, która wydawała się ciężka jak gład. Z drugiej strony jednak, odczuwałam niejaką satysfakcję, że ta kwestia w końcu wprawiała ojca w zakłopotanie. Lecz to zakłopotanie stawało się z każdą chwilą coraz gorsze do zniesienia. Boże, proszę - pomyślałam błagalnie - spraw, abyśmy porozmawiali o czymś innym. O czymkolwiek.

Widocznie Bóg słuchał, bo w tym momencie rozbrzmiał sygnał komórki, melodią dziwnie (i irytująco) znajomą: *The Mexican Hat Dance*.

Spojrzałam na Luke'a - który słynął z koszmarnych wyborów dzwonek - ale przecząco potrząsnął głową. To nie mogła być komórka ojca. A może jednak? Lecz po chwili Benji wyciągnął swoją z kieszeni.

- Nie przy stole - rzucił odruchowo ojciec.

- Ale to mama - powiedział chłopiec.

Przez chwilę spoglądali na siebie, ledwie zwracając uwagę na mnie i Luke'a. Potem Benji odebrał połączenie.

- Halo... Tak, cześć... Nie, właśnie usiedliśmy do obiadu...

Ojciec odwrócił się na krześle i powiódł wzrokiem po sali.

- Czy jest tu jakaś kelnerka?

- Znajdę którąś - zaofiarował się Luke. - I tak muszę pojsć do toalety.

Powiedziawszy to, wstał i odszedł, a ja bardziej niż czegokolwiek na świecie

zapraagnęłam pójsć z nim. Benji nadal rozmawiał przez telefon.

- ...burger z krewetkami, ale tata powiedział, że mam zjeść satay z kurczaka. -

Ojciec spojrzał na niego, teraz już wyraźnie zirytowany. - Co? Och, Emaline i jej

chłopak. Luke.

- Benji.

- On jest naprawdę super. On...

- Benji!

Tym razem przestał rozmawiać.

- Co?

- Nie używamy telefonu w restauracji. Wyjdź na zewnątrz. Albo przynajmniej na

przód sali.

Chłopiec spojrzał na mnie, jakby szukał potwierdzenia tego polecenia. Ale kiedy

go nie wyraziłam - to nie moja rola ani nawet nie moja rodzina - w końcu wstał.

Ojciec przyglądał się z ustami zaciśniętymi w wąską linię, jak Benji kluczy między

stolikami w kierunku stanowiska hostessy.

- Te telefony komórkowe doprowadzają mnie do szału - oświadczył.

- Nie zauważyłeś, że w dzisiejszych czasach mają je nawet dzieciaki w jego

wieku?

- On ma swój od niedawna. Kiedy Leah i ja zdecydowaliśmy się na separację,

uznaliśmy, że dzięki temu będzie nam obojgu łatwiej pozostawać z nim w bliskim

kontakcie.

Separację?

- Czy mogę podać państwu coś do picia? - zapytała kelnerka, która pojawiła się

wreszcie i stanęła przy końcu stołu.

- Dla mnie woda - rzuciłam zbyt szybko.

Ojciec po przejrzaniu listy gatunków piwa poprosił o to z jakiegoś niewielkiego

browaru, o którym nigdy nie słyszałam. Gdy kelnerka odeszła w kierunku baru,

oboje milczeliśmy przez chwilę. W końcu przełknęłam nerwowo ślinę

i powiedziałam:

- Nie zdawałam sobie sprawy, że ty i Leah...

Ojciec podniósł wzrok znad listy piw i spojrzał mi w oczy. Nagle zrozumiałam,

dłaczego miał bardziej znużony wyraz twarzy i dlaczego wydał mi się postarzały.

- Zdecydowaliśmy się przed kilkoma miesiącami. Benji jeszcze o niczym nie wie.

Skinęłam głową, a jednocześnie rachowałam w myśli. Kilka miesięcy temu właśnie przyjęto mnie na Uniwersytet Columbia. A zatem to były owe nieprzewidziane okoliczności, które zmusiły go do przysłania mi jego własnej wersji formułki: „Z żalem informujemy...”

- Przykro mi.

- Cóż... - Odchrząknął. - No tak. Dziękuję.

Kelnerka działająca teraz z obłądną prędkością wróciła z naszymi napojami. Ustawiła je na stole i spytała:

- Czy czekamy na jeszcze dwie osoby?

- One tu są - wyjaśniłam jej. - Tylko...

- Proszę nam dać jeszcze pięć minut - wtrącił ojciec.

Skinęła głową i znowu się wycofała, a ja patrzyłam, jak rzucił okiem na Benjiego, który siedział teraz na ławeczce przy frontowych drzwiach i, skubiąc but, rozmawiał z Leah.

- Jak sobie radzi Benji? - zapytałam, wskazując go głową.

- Niewątpliwie od jakiegoś czasu wyczuwa napięcie między nami dwojgiem. - Ojciec łyknął piwa, którego etykieta wyglądała jak abstrakcyjny obraz, cała w czerwonych i niebieskich zawijasach. - Zobaczymy jednak, jak zniesie tę wycieczkę. Przebywanie przez dłuższy czas z dala od matki.

Nie byłam pewna, co ma na myśli, i jeszcze mniej pewna, czy chcę zapytać. Jednak to zrobiłam.

- A więc... przyjechałeś tu na dłużej?

Wypił kolejny łyk piwa.

- Prawdopodobnie na całe lato. Jesienią znajdę jakieś mieszkanie i przeprowadzę się do miasta, a wtedy będę zabierał Benjiego tylko na weekendy. Jednak on jeszcze o tym nie wie.

Znowu popatrzyłam na chłopca i pomyślałam o jego minie, kiedy nie mógł zamówić tego, co chciał. A to był tylko krewetkowy burger.

- Co mnie ominęło? - zapytał Luke, wślizgując się z powrotem na swoje krzesło. - Oprócz zjawienia się kelnerki.

Zamiast natychmiast mu odpowiedzieć, odwróciłam głowę i wyjrzałam przez okno na parking. W oddali widać było most wiodący na stały ląd, odcinający się łukiem na tle błękitu nieba. Samochody nadjeżdżały i odjeżdżały. Istotnie, most to tylko most. Liczyło się jedynie to, że pozwala jakoś przewozić cenne ładunki z jednego

solidnego miejsca do drugiego, bezpieczne przed tym, co leży poniżej.

\* \* \*

- O rany - powiedział Morris. - To po prostu pokrojone.

Siedzieliśmy na cyplu, pasku plaży na zachodnim krańcu Colby, pochłanianym powoli przez ocean. Nie było tam wiele więcej oprócz końca drogi dojazdowej, pozostałości po ogniskach oraz - w nocne weekendów i letnich wakacji - niemal wszystkich z mojego liceum.

Dzisiejszy wieczór nie stanowił wyjątku. W odległości kilkudziesięciu metrów widniała sterta drewna wyrzuconego na brzeg, a na przyległym skrawku plaży leżała na boku przewrócona beczułka. Wokoło kłębili się ludzie, ale Morris i ja mieliśmy ten mały splacheć piasku tylko dla siebie.

- Pokrojone? - powtórzyłam. - Co to, u licha, ma znaczyć?

Przechylił czerwony plastikowy kubek, dopijając jego zawartość.

- Pokrojone. No wiesz, jakby zwariowane. Cudaczne. Dziwne.

- Po prostu to zmyśliłeś.

- Nie.

Popatrzyłam na niego, nie całkiem przekonana. Morris stale wymyślał własne wyrażenia, a potem przysięgał, że należą do ogólnego leksykonu, jakby przez sam fakt pojawienia się w jego głowie rzeczywiście istniały dla reszty. Pokrojone, jasne.

Nie chciałam jednak rozmyślać o zawartości głowy Morrisa. Nie miałam ochoty myśleć w ogóle o czymkolwiek i właśnie głównie dlatego znalazłam się tutaj, mając między stopami gruby kubek taniego beczkowego piwa. Piłam już drugie, jednak wciąż nie mogłam się pozbyć nieprzyjemnego smaku obiadu w restauracji Reef Room. I nie chodziło jedynie o satay z kurczaka.

To spotkanie już od samego początku przebiegało bardzo dziwnie. Natknięcie się na Theo na parkingu, nieoczekiwane objawy przywiązania Benjiego do mnie, wyjawiona przez ojca zaskakująca wiadomość o końcu jego małżeństwa. Nagle wszystko nabrało sensu: jego dziwna reakcja sprzed kilku miesięcy na fakt przyjęcia mnie na Uniwersytet Columbia, nieoczekiwane wycofanie się ze wszystkiego, co wcześniej mi obiecał. Ale dlaczego po prostu nie powiedział mi prawdy? Poza tym było jeszcze to, że kiedy porzuci mojego przyrodniego brata i przeniesie się do Nowego Jorku, Benji będzie niewiele starszy, niż ja byłam, kiedy ojciec po raz pierwszy postanowił pojawić się w moim życiu. Tkwiło w tym coś symbolicznego, jednak starałam się o tym nie myśleć. Zamiast tego podniosłam

kubek z piwem i pociągnęłam kolejny długi łyk.

Wcześniej w restauracji ojciec, oznajmiwszy bombową wiadomość, zaczął uprzejmie wypytywać mnie, jak radzi sobie moja rodzina. Ja z kolei zapytałam go o plany na lato. Poruszaliśmy te łatwe i bezpieczne dla nas wszystkich tematy, jedząc zamówione dania, podczas gdy wokoło w boksach, barze i przy stolikach gromadziło się coraz więcej gości. Kiedy przyniesiono nam rachunek, restauracja była już zatłoczona i gwarna, a mnóstwo ludzi czekało na wolne miejsca.

- O rany - powiedział ojciec, gdy przeciskaliśmy się przez tłum w kierunku wyjścia. - To rzeczywiście popularny lokal.

- Szczyt sezonu - wyjaśniłam. - Wszędzie jest tłok.

Szłam tuż za nim z Benjim trzymającym mnie za rękę, a Luke zamykał pochód. Wcześniej denerwowałam się tym, jak przebiegnie ten obiad i czy atmosfera nie będzie niezręczna, ale kiedy ojciec powiedział mi o separacji, nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Dlaczego musiałam dowiedzieć się o życiu Benjiego czegoś, o czym on jeszcze nie wie? Wcale nie pragnęłam znaleźć się w takim położeniu, nawet jeszcze zanim uczeplił się na stałe mojej ręce. Może to był sposób mojego ojca przeproszenia mnie za wszystko, co się wcześniej między nami wydarzyło, bez powiedzenia tego wprost. Moim zdaniem, mógłby równie dobrze darować to sobie. Znowu pożałowałam, że nie mogę po prostu raz na zawsze zerwać wszelkie związki z nim. Ale tak czy inaczej, nie miałam wyboru.

Kiedy znaleźliśmy się znowu na parkingu, powiedział, wyjmując kluczyki:

- No cóż, chyba powinniśmy już ruszać do North Reddemane. Odkąd lokatorzy wyprowadzili się z domu, płacimy komuś, żeby w nim sprzątał, ale w gruncie rzeczy trudno powiedzieć, w jakim stanie go znajdziemy.

- Lokatorzy to przekleństwo dla domów - wtrącił Luke.

Benji podskakiwał obok mnie w niezgrabny dziecięcy sposób.

- Och, czyżby? - rzucił ojciec.

- W każdym razie tak mówi babka Emaline - wyjaśnił Luke. Gdy tylko zobaczył swoją ciężarówkę, wyciągnął kluczyki i zaczął nimi podzwaniać. Doprawdy, to u niego rodzaj odruchu warunkowego. - Jednak najprawdopodobniej nie będą to szkody, których nie zdołałby pan sam naprawić.

- Nie znam się na tym - odparł ojciec. - Nie mam do tego drygu.

Zobaczyłam, że Luke rzucił mu spojrzenie wyrażające lekkie politowanie. Czegoś takiego nie spodziewałabym się dwie godziny wcześniej, jeszcze przed obiadem. Wtedy mój ojciec i Theo byli ekspertami, znajdowali wspólny język, a Luke za nimi nie nadążał. A teraz sytuacja się odwróciła i nagle ujrzałam ojca w sposób, w jaki,

co sobie uświadomiłam, mój chłopak widział go od początku: jako tego, który powinien czuć się zakłopotany. A to z kolei wprowadziło w zakłopotanie mnie. Najwidoczniej byłam teraz odpowiedzialna za nich wszystkich.

- Miło było pana poznać - powiedział Luke i wyciągnął do niego rękę, a ojciec ją uściśnił. - I dziękuję za obiad.

- Nie ma za co.

- Czy pojedziesz z nami do tego domu? - spytał mnie Benji.

- Ee... - Zerknęłam na Luke'a. - Chyba nie. W każdym razie nie dziś.

- Emaline ma swoje życie - powiedział ojciec. - Zachowała się bardzo uprzejmie, spotykając się z nami, chociaż tak późno ją zawiadomiliśmy.

Benji popatrzył na mnie, mrużąc oczy przed promieniami zachodzącego słońca. Był moim bliższym rodzeństwem niż Amber czy Margo, przynajmniej w sensie genetycznym. Ale wcale go nie znałam.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedziałam do niego. - Zagramy w minigolfa czy coś podobnego.

- Tak? - spytał podekscytowany. - To byłoby naprawdę super!

- Uważaj na nią, kiedy będzie miała w ręku kij golfowy - poradził mu Luke, celując we mnie palcem. - Jest wtedy śmiertelnie niebezpieczna.

- To było tylko raz - zaprotestowałam.

Benji szeroko otworzył oczy.

- A co się wtedy stało?

Spojrzałam na Luke'a.

- Niechcący uderzyłam go w czoło przy dołku z wiatrakiem - wyjaśniłam.

- Trafiła w jedno ze skrzydeł wiatraka i piłka odbiła się prosto we mnie - uściślił Luke, zawsze pogodny. Wskazał palcem na środek swojego opalonego czoła. - Przez wiele tygodni miałem tu okrągły ślad!

Benji się roześmiał, ponieważ to oczywiście była historia, o jakich dziesięciolatki uwielbiają słuchać. Ojciec zmusił się do uśmiechu.

- No, stary - rzekł do syna. - Ruszajmy.

- Dobrze - powiedział Benji i podszedł do niego, sprawiając, że ojciec i ja znaleźliśmy się jakby w dwóch oddzielnych obozach. Naturalny porządek rzeczy został przywrócony. - Do zobaczenia wkrótce - rzucił do mnie i Luke'a.

- Na pewno - odrzekł mój chłopak.

- Bezpiecznej jazdy - powiedziałam.

A potem to spotkanie wreszcie się skończyło. Trwało tylko półtorej godziny, ale byłam po nim kompletnie wypompowana. Czułam to w kościach.



Jednak po przejściu kilku kroków odwróciłam się i znowu na nich spojrzałam. Benji dobiegł już do subaru, a ojciec szedł za nim powoli, niemal ciężko. Gdy na niego patrzyłam, potarł kark, jakby poczuł mój wzrok.

- Sprawdź klamki! - krzyknęłam do niego.

Odwrócił się.

- Co?

Odchrząknęłam.

- Klamki. W wynajmowanych domach one najczęściej psują się i odpadają. Zwłaszcza przy drzwiach prowadzących na plażę. Nie chciałbyś przecież, żeby oderwała się klamka od zewnątrz, uniemożliwiając ci dostanie się do środka.

Przez chwilę spoglądał na mnie w milczeniu, a ja zastanawiałam się, dlaczego w ogóle mu to mówię. W oddali Benji wystawiał ręce w górę, a wiatr znad drogi na grobli zwiewał mu włosy z twarzy.

- Dobrze - odrzekł wreszcie ojciec. - Dziękuję.

Kiwnęłam głową i zawróciłam do mojego samochodu, przy którym czekał na mnie Luke. Klamki? - pomyślałam. - Doprawdy?. Ale chodziło o to, że nie mówiłam biegle w języku ojca, nie miałam pojęcia, jak z nim rozmawiać. Trzymamy się tego, co znamy.

Teraz na cyplu Morris znowu podniósł swoje piwo.

- To nie twój problem - rzekł do mnie.

Spojrzałam na niego.

- Co nie jest moim problemem?

- Jego małżeństwo. Czy jego relacja z synem. - Pociągnął łyk i przełknął. - Ani jedno, ani drugie.

Morris mógł być tępym. No dobrze, Morris najczęściej rzeczywiście był tępym. Ale czasami, gdy byłam już gotowa całkiem go skreślić, mówił nagle coś, co mnie zaskakiwało. I co jeszcze bardziej zaskakujące, pomagało mi.

- Więc dlaczego czuję się, jakby to jednak był mój problem? - spytałam.

- Bo zrzucił cały ten szajs na ciebie. To totalnie nie w porządku. - Wypił następny łyk piwa. Bóg jeden wie, ile już wypił. Wydawało się, że Morris nigdy się nie upijał, tylko mówił wtedy jeszcze wolniej niż zwykle. Kiedy był już naprawdę nawalony, zapadał w milczenie. - Twojego ojca nie było przy tobie, kiedy go potrzebowałam, więc nie musisz teraz martwić się jego kłopotami. Tylko to się liczy.

Milczałam ostrożnie, jak zawsze kiedy w rozmowie zbliżyliśmy się do tematu ojca Morrisa. Wiedziałam o nim tylko tyle, że zawsze jeździł chevroletem Monte Carlo o niskim zawieszeniu i przyjeżdżał nim czasami, żeby zobaczyć się z Morrisem -

przed kilkanaście laty, kiedy byliśmy sąsiadami. To był lśniący czerwony wóz z odtwarzaczem stereo, którego basy dudniły tak głośno, aż dzwoniło w uszach. Widziało się, że właściciel traktuje ten samochód jak ukochane dziecko, miłośnie troszczy się o niego. Stanowiło to ostry kontrast wobec tego, jak traktował swoje prawdziwe dziecko. Morris bardzo często siedział godzinami na frontowych schodkach, daremnie czekając na weekendową wizytę ojca, aż w końcu wracał do domu, wlokąc za sobą podręczną torbę podróżną. Po tym jak Morris z mamą wyprowadzili się z mojej okolicy, jego ojciec przeniósł się gdzieś na północ kraju i odtąd nie kontaktował się z nimi. Wiedziałam jednak, że kiedy w trakcie tygodni poprzedzających uroczystość ukończenia liceum nieustannie sprawdzałam skrzynkę mejlową, szukając odpowiedzi na moje zaproszenia, to właśnie Morris powiedział mi, żebym dała sobie z tym spokój, że nie warto tracić czasu. Mógł być pod wieloma względami ignorantem, ale znał bezsens wyczekiwania.

W przeciwieństwie do Luke'a, który znalazł się teraz nagle tuż za mną i przesunął dłońmi w dół moich pleców.

- Co wy dwoje tu robicie z takimi poważnymi minami? - spytał. - Rozważacie problemy wszechświata?

Zerknęłam na Morrisa, który dopijał piwo.

- Coś w tym rodzaju - odparłam.

Luke zachichotał, a potem klapnął obok, objął mnie i przyciągnął do siebie. Wiedziałam, że się upił. Bywał wtedy uroczy, ale ostatnio zdarzało się to zbyt często, więc teraz mnie rozdrażniło; po prostu zjawił się w złym momencie. Próbowałam otrząsnąć się z tego wrażenia, a tymczasem Morris wstał.

- Idę po następne piwo - oznajmił. Spojrzał na mnie. - Ty też chcesz?

Przecząco pokręciłam głową.

- Porozmawiamy później?

- Porozmawiamy później - powtórzył.

Zawsze tak mówiliśmy, to był nasz sposób pożegnania, pochodzący z czasów, kiedy Morris mieszkał w sąsiedztwie. Byliśmy wtedy dziećmi, mieliśmy mnóstwo czasu i spędzaliśmy razem całe dni - jeździliśmy autobusem do szkoły, a potem wracaliśmy do domu i bawiliśmy się na drodze na grobli za naszymi posesjami. Morris często jadał u nas obiad, a później zostawał, by oglądać telewizję i wracał do siebie dopiero wtedy, kiedy nadchodziła pora, bym położyła się spać. Ale kiedy wreszcie wychodził na dwór i przemierzał po trawie krótki odcinek do swojego domu, nigdy nie wydawało się to całkowitym końcem naszego spotkania. Raczej przerwą, dopóki nie zaczniemy następnego dnia. „Porozmawiamy później”. Zawsze

tak robiliśmy.

Teraz skinął mi głową i odszedł wielkimi krokami przez piasek. Patrzyłam, jak się oddala, a Luke przyciągnął mnie jeszcze bliżej i pocałował w czubek głowy.

- Naprawdę miałaś bardzo poważną minę. Wszystko w porządku?

- Chyba tak. - Dotknęłam wyrzuconego przez morze kawałka drewna leżącego przy moich nogach. - Wciąż jestem wkurzona moim ojcem i całą tą sprawą.

- Rozumiem. - Milczał chwilę, a potem rzekł: - Wiem, to zabrzmie dziwnie. Ale fakt, że jednak ci o tym powiedział... wydaje się super. Jakby cię do czegoś dopuścił.

Zamrugałam, zastanawiając się nad tym.

- Do czego?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Do swojego życia, swojego małżeństwa. To w pewnym sensie postęp, nie sądzisz? Po tym, jak cię wcześniej wykluczył, teraz chce cię w to włączyć.

Nie, pomyślałam. Ale na głos powiedziałam:

- Być może.

To było tak odmienne od tego, co przed chwilą powiedział Morris, tak całkiem przeciwne, że chciałam, aby Luke wyjaśnił, co miał na myśli. Ale wtedy objął mnie i znów pocałował w szyję.

- Moi starzy wychodzą dziś wieczorem z domu - powiedział z ustami przy moim obojczyku. - Chcesz się przekonać, czy tym razem damy się przyłapać u mnie?

To była miła propozycja, na którą każdego innego dnia prawdopodobnie zgodziłabym się z entuzjazmem. Ale teraz nie miałam ochoty. Czasami myślałam, że Luke zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Lecz to nie był jeden z tych przypadków.

- Być może - powiedziałam znowu, pozwalając, by wszystkie moje wątpliwości zawarte w tych dwóch słowach zawisły między nami.

Nie wiedziałam, czy Luke mnie usłyszał, bo wiatr się wzmógł, porywając nasze słowa. W pobliżu oceanu było tyle dźwięków. Szum wody, powietrza, nawet rozwiewanego piasku. Gdy szło się w głąb lądu, przyroda cichła, stłumiona przez beton i miejski krajobraz. Ale tutaj, na cyplu, można było zawsze liczyć na to, że zagłuszy prawie wszystko.

\* \* \*

Oczywiście rodzice Luke'a nas nie przyłapali. Zawsze był szczęściarzem.

Jechałam do domu tuż po północy, kiedy zapaliła się lampka rezerwy paliwa. Teraz już na pewno wrócę po domowej godzinie policyjnej, pomyślałam, skręcając

na stację benzynową Gas/Gro. Właśnie zaczęłam tankować benzynę, gdy po drugiej stronie dystrybutora zatrzymała się zakurzona, powgniatana furgonetka. Skrzypnęły drzwi i wysiadł starszy facet z siwiejącymi włosami, w znoszonej czapce baseballowej z napisem RYBY.

Była jedna z tych gorących letnich nocy, kiedy wiatr ani trochę nie chłodzi, nawet jeśli wieje prosto w twarz. W środku stacji benzynowej pracownik, przyciskając ramieniem komórkę do ucha, wkładał do automatu paczki papierosów, po jednej na raz.

Kiedy licznik mojego dystrybutora doszedł do dwudziestu dolarów, zwolniłam przepływ paliwa i uważnie obserwowałam cyfry, żeby nie przekroczyć sumy, jaką miałam w kieszeni. Kątem oka widziałam, jak tamten facet wsunął w szczelinę dystrybutora kartę kredytową, a potem odkręcił korek wlewu paliwa w furgonetce. Zaczął także napełniać bak i przez chwilę staliśmy tam w ciszy, w której słychać było tylko tykanie odliczające litry i dolary.

- Cześć, Clyde - rzuciłam w końcu.

Podniósł na mnie wzrok.

- Emaline. Jak ci leci?

Odpowiedziałam kiwnięciem głowy i milczeliśmy przez kolejną minutę. Potem zapytałam:

- Wiesz, że są tu jacyś ludzie kręcący film o tobie, prawda?

Nie oderwał wzroku od dystrybutora.

- Wydaje mi się, że zignorowałam kilka związanych z tym wiadomości w poczcie głosowej.

- Oni sprawiają wrażenie dość upartych.

Wzruszył ramionami.

- Zobaczymy.

Doszłam do dwudziestu pięciu dolarów, zatrzymałam dystrybutor i z powrotem zakręciłam korek wlewu. Jednocześnie spoglądałam na Clyde'a, który był w Colby taką samą instytucją jak molo czy smażony bekon w restauracji Last Chance. Dorastał w Colby, każdego lata wykonywał dla mojej babki roboty remontowe, a później miał zakład ramiarski, w którym mój tata pracował, gdy był w liceum. Widywałam go wystającego obok butiku Clementine's przed sklepem rowerowym, który prowadził jeszcze dwa lata temu. Był rozpoznawany i wspominany przez wszystkich mieszkańców miasteczka, jednak w istocie nikt go dobrze nie znał, co zdawało mu się odpowiadać, odkąd przed dziesięcioma laty sprowadził się tu z powrotem z Nowego Jorku.

Kiedy szłam zapłacić za benzynę, skinął mi głową, a ja odpowiedziałam mu gestem ręki. Z wnętrza stacji przyglądałam się, jak wsiadł do furgonetki, uruchomił silnik i wjechał na główną drogę. Może wracał do swojego domu w głębi wyspy, a może pojechał sprawdzić Washroom, całodobową pralnię automatyczną połączoną z barem, której był właścicielem. Tak czy owak, to jego sprawa, nie moja.

Tego właśnie nie rozumiał Theo, a ja nie potrafiłam mu wyjaśnić, kiedy po raz pierwszy próbował mnie wypytywać. Co innego my wszyscy tutaj: mogliśmy zastanawiać się nad Clyde'em, snuć przypuszczenia na temat jego historii. Tak właśnie robią ludzie w małych miasteczkach, takich jak Colby. Ale kiedy ktoś obcy zaczyna rozpytywać wokoło, to całkiem inna sprawa. My tutaj, na wybrzeżu, rozumiemy, że każdy ma swoje sekrety. A jakiegokolwiek ma Clyde, my nikomu ich nie zdradzimy.

## 6

- O mój Boże, spójrzcie tam!

Rozległ się pełen podziwu szmer głosów.

- Oooch, tutejsze widoki robią się coraz ładniejsze!

- Melissa, plaża jest w innym kierunku!

Po tych słowach cztery dziewczyny skupione przy kontuarze recepcji wybuchnęły głośnym, piskliwym chichotem. Byłam przekonana, że wiem, na kogo się tak gapią, ale dla pewności wyrzałam przez okno. Oczywiście to był Luke, bez koszuli, przekładający jakiś sprzęt na platformie swojej ciężarówki.

- Doprawdy - powiedziała na głos Margo i cmoknęła kilkakrotnie na znak dezaprobaty, stukając w klawiaturę komputera. - Nie możesz go skłonić, żeby przynajmniej w miejscach publicznych był ubrany?

- Nie mam na to wpływu - odparłam.

Znowu popatrzyłam na te dziewczyny. Przyjechały tu na ślub - albo przynajmniej tak oznajmiły, kiedy kilka minut wcześniej weszły do biura. Byliśmy przyzwyczajeni do takiego rodzaju przedwakacyjnej ekscytacji, do tego, że ludzie zachowują się beztrosko i żywiołowo po tym, jak przez kilka godzin tkwili zamknięci w samochodzie: donośne okrzyki, głośny tupot kroków, zatrząskiwanie z hukiem pokrywy zamrażarki z lodami zamiast cichego zamknięcia. W szczycie sezonu wszędzie panuje gwar i hałas.

- Mieszkałyście u nas już kiedyś w domu Fancy Free? - spytała teraz te dziewczyny Rebecca, jedna z naszych specjalistek od rezerwacji.

- Nigdy - odparła wysoka brunetka, która jako pierwsza zauważyła Luke'a. Miała ten rodzaj ciemnobrązowej opalenizny, o której wiadomo, że była sztucznie pielęgnowana przez całą zimę. - Zazwyczaj jeździmy do Hilton Head. Ledwie znalazłyśmy tę waszą miejscinę! Wystarczy pozostawić decyzję Tarze, a lądujemy na jakimś zadupiu.

Margo znowu cmoknęła z dezaprobatą i potrząsnęła głową. Zgadzałam się z nią, choć nie całkiem - te dziewczyny rzeczywiście nie tylko zjawily się przed czasem, domagając się wcześniejszej rezerwacji, ale teraz w dodatku obrażały naszą plażę - jednak zachowywała się jak stara, zrędliva kobieta. Z drugiej strony jednak, dopóki skupiała uwagę na nich, nie zauważała, że jestem tutaj, a nie w budce

w piaskownicy, w której formalnie rzecz biorąc, powinnam urzędować.

Trzasnęły frontowe drzwi i wszedł Luke, wciągając przez głowę koszulę. W ręce trzymał plik papierów.

- Och, nie - rzekła do niego nazbyt opalona Melissa, gdy ją mijał. - Nie rób tego!

Luke obciągnął koszulę i uśmiechnął się do dziewczyny.

- Słucham?

- Twoja koszula - powiedziała, wskazując na nią. - Przecież nie musisz jej nosić, prawda?

- Niestety muszę - odparł. - Bez koszuli i butów nie mam pracy. Znasz ten regulamin.

- Nienawidzę wszelkich reguł - oświadczyła, uśmiechając się do niego.

Przyjaciółki za jej plecami wymieniły spojrzenia, gdy Luke podchodził do otwartych drzwi gabinetu mojej babki. Rozmawiała przez telefon, więc przystanął przed progiem, przyglądając dłonią włosy.

- Hej! - zawołałam cicho. Spojrzał zaskoczony; wcześniej mnie nie zauważył. - Czego potrzebujesz?

Rzucił okiem na dziewczyny i zaczerwienił się lekko, a potem uniósł papiery.

- Faktury moich zleceń w tym tygodniu. Carl powiedział, że muszę wpaść tu, żeby dostać czek.

- Ona może rozmawiać godzinami - powiedziałam, wskazując głową babkę, która omawiała jakieś sprawy z jedną z naszych bardziej gadatliwych klientek. - Chodźmy do mojej mamy. Czy te kwity da się przynajmniej odczytać?

- Tak - odrzekł zirytowanym tonem.

Jednak w to wątpiłam. Obydwoje wiedzieliśmy, jak on okropnie bazgrze.

Gdy szliśmy razem przez biuro, byłam w pełni świadoma, że tamte dziewczyny przyglądają się nie tylko jemu, lecz również mnie. Nie byłam osobą zazdrosną, ale to nie znaczy, że tego nie zauważyłam. Powiedziałam do Luke'a:

- Grono twoich fanek rośnie.

- Nie sądzę - odparł. - One są na wakacjach, gapiłyby się na każdego faceta.

- Ale nie każdy facet tak się afiszuje.

Zobaczyłam, że zwolnił kroku, i uświadomiłam sobie natychmiast, jak małosłowna była moja uwaga. Ostatnio coraz częściej częstowaliśmy się nawzajem takimi drobnymi złośliwymi przytykami. Jakbyśmy byli rodzeństwem albo kłócącymi się przyjaciółmi, a nie parą, która podobno jest w sobie zakochana.

- Jest upał, a ja pracuję na dworze, Emaline.

- Wiem.

Moja mama z piórem w ręku ślęczała za biurkiem nad jakimiś dokumentami. Obok niej stał oszroniony duży plastikowy kubek napoju ze stacji benzynowej Gas/Gro.

- Cześć - rzuciłam, a ona podniosła wzrok znad papierów. - Luke potrzebuje czeku.

- Wszyscy potrzebują. - Westchnęła, przywołała go skinieniem ręki, a potem spojrzała na zegarek. - Czy nie powinnaś teraz przyjmować klientów?

- Zaraz tam idę - odrzekłam. Luke podał jej faktury i, tak jak się spodziewałam, mama przyjrzała się im, mrużąc oczy, jakby były pisane w sanskrycie. - Ale babka powiedziała, że ma dla mnie najpierw jakieś zlecenie do załatwienia, więc czekałam.

- Przypomnij jej, która godzina. Musisz wyjść na dwór do klientów. - Sięgnęła do dolnej szuflady biurka po książeczkę czekową i powiedziała do Luke'a: - Dobry Boże, ta faktura jest niemal nieczytelna. To szóstka czy b?

Rzuciłam spojrzenie na Luke'a, lecz to zignorował, i wróciłam do babki przez biuro, w którym teraz panowały cisza i spokój. Była jednak godzina trzecia, co oznaczało, że wkrótce zacznie się gwałtowny napływ gości. Na szczęście babka nie rozmawiała już przez telefon, zajęta odpakowywaniem czekoladek Rolo.

- Muszę zacząć wydawać klientom klucze - oznajmiłam. - Czy będziesz mnie potrzebowała?

- Tak - potwierdziła i sięgnęła do stojącej na podłodze torby z marketu Park Mart. - Właściciele posiadłości Foam Free najwidoczniej nie ufali nam, że kupimy klamki do ich domu, więc podrzucili tu własne. Ekipa remontowa jest już na miejscu. Czy możesz im to zawieźć?

- Jasne - powiedziałam, biorąc od niej torbę. - Coś jeszcze?

Przecząco pokręciła głową. Wyszłam więc na dwór do mojego samochodu i pojechałam do Foam Free, starego domu znajdującego się w odległości kilku przecznic od naszego biura. To powinna być krótka, łatwa jazda, ale po drodze w obie strony utknęłam w korku z powodu jakieś stłuczki na głównej szosie. Kiedy wjechałam z powrotem na parking naszej agencji, przed moją piaskową budką czekała już długa kolejka pojazdów.

Jęknęłam głośno; mogłam sobie wyobrazić, jak bardzo Margo jest wkurzona z powodu tego, że musi mnie zastępować przy przyjmowaniu klientów. Ale kiedy wysiadłam z samochodu i pognałam tam, ujrzałam zamiast niej Morrisa, który mrużąc oczy, wpatrywał się w pudło z pakietami powitalnymi, jakby napisy na nich były zaszyfrowane.



- Nazywam się Baker - mówił do niego jawnie zirytowany mężczyzna w mercedesie. - Ba-ker. B-a-k-e-r!

- Jasne - powtórzył Morris bardzo powoli, wciąż gapiąc się na pudło. - Eee...

Dotarłam do niego, odszukałam kopertę oraz gratisową torbę firmową Agencji Colby i wręczyłam je klientowi.

- Proszę uprzejmie. Czy mieszkał pan już kiedyś w naszym domu Jolly Pirate?

- Nie - odparł, biorąc ode mnie torbę i kopertę.

- To wspaniała posiadłość. Znajdzie tam pan nasz numer telefonu w razie jakichś pytań czy problemów. Życzę miłego pobytu!

Burknął na pożegnanie i odjechał, robiąc miejsce dla zapchanego cadillaca.

- Co ty tu robisz?! - zapytałam Morrisa.

- Margo się wściekała - odrzekł i wziął sobie z chłodziarki butelkę wody.

Nie wątpiłam w to, ale wciąż nie odpowiedział na moje pytanie.

- No tak, ale dlaczego w ogóle się tu znalazłeś? Szukałeś mnie?

Przecząco pokręcił głową, gdy obok nas gwałtownie zahamował cadillac.

- Przyszedłem w sprawie mojej drugiej pracy.

- McAdams - oznajmiła bez słowa powitania starsza, rudowłosa, mocno opalona kobieta z tylnego siedzenia. - Wynajmujemy Sea Door.

- Oczywiście. - Odszukałam kopertę i torbę i podałam im. - Czy mieszkali państwo już kiedyś u nas?

- Aha - mruknęła. - Mamy tylko nadzieję, że w tym roku klimatyzacja działa.

- Proszę do nas dzwonić w razie jakichkolwiek problemów. Życzę miłego pobytu!

- Odjechali, a ja spojrzałam na Morrisa i spytałam: - Masz drugą pracę? Od kiedy? Jaka?

Wskazał głową front biura.

- Pracuję u nich.

W tym momencie podjechał minivan. Z jego radia ryczał ogłuszająco największy jak dotąd przebój tego lata, rytmiczny, taneczny utwór zatytułowany *Mr. Right Now*. Tak więc w uszach rozbrzmiewał mi ten kawałek, gdy spojrzałam w dal i zobaczyłam Theo i jego szefową stojących obok ich białej furgonetki. Rozmawiali z Margo i wszyscy troje patrzyli prosto na mnie.

\* \* \*

- Mówiłam wam - powtórzyłam. - Nawet nie znam Clyde'a.

Byliśmy już w naszym biurze, w salce konferencyjnej. W zwykłych

okolicznościach byłabym zachwycona, że uwolniono mnie od wypełniania obowiązków w piaskowej budce – chwilowo cierpiała tam zamiast mnie Rebecca – jednak tortury przesłuchiwania, jakim mnie poddano, nie były wcale lepsze.

– Theo odniósł wrażenie, że jednak go znasz – powiedziała Ivy. Miała na sobie dzinsy i czarny top odsłaniający muskularne ramiona. Bez przerwy składała i rozkładała okulary przeciwsłoneczne. – I naprawdę potrzebna nam pomoc w dotarciu do niego.

– Dlaczego ty się z nim nie skontaktujesz? – zapytałam Margo.

– Przez ostatnie cztery lata nie mieszkałam w miasteczku, bo studiowałam – odparła i zerknęła na Ivy. Wydawała się tak bardzo zafascynowana sławną reżyserką, czy po prostu przybyszami z Nowego Jorku, że to było wręcz żenujące. Wystarczyłoby hasło „film” czy jakieś podobne, a wrzuciłaby pod autobus Clyde’a i mnie. – Nie znam już nikogo z miejscowych.

Miałam ochotę przypomnieć jej, że przebywała w miejscu odległym o zaledwie dwie godziny jazdy, a nie za siedmioma morzami.

– Ja też nie znam Clyde’a – powtórzyłam.

Ivy z niezadowoloną miną spojrzała na Theo.

– Więc nigdy się z nim nie kontaktowałeś? – zapytał mnie. Dopiero teraz zorientowałam się, że wygląda na zdenerwowanego. Znowu się zaczerwienił. – Sądziłem...

– To znaczy, spotkałam go kilka razy – przyznałam, co było wielkim błędem, gdyż oboje dosłownie wpili się we mnie wzrokiem. – Jednak on bardzo sobie ceni prywatność.

– Ale to przecież takie śmiesznie małe miasteczko – zauważyła Ivy. – Nie można w nim zachować zbytnej prywatności.

Rzuciłam okiem na Margo i zobaczyłam, że jest równie jak ja urażona użyciem słowa „śmiesznie”. Była jednak zanadto pochłonięta gapieniem się na skórzaną torbę Ivy – wielką, imponującą, z mnóstwem sprzączek.

– Clyde’owi całkiem dobrze udaje się trzymać na uboczu, poza zasięgiem radarów – powiedziałam.

– I właśnie dlatego – odparła Ivy, pochylając się ku mnie – potrzebujemy cię, Emaline. Nie jesteśmy stąd, nie znamy bocznych dróg i tutejszych mieszkańców. Jeżeli chcemy wiernie przedstawić tę część życia Clyde’a, potrzebujemy kogoś, kto pomoże nam dotrzeć do ludzi.

Czułam przyspieszony oddech Margo. Była zafascynowana tą perspektywą i niewątpliwie żałowała już, że przedstawiła siebie jako osobę tak światową

i zdystansowaną od Colby. Nie mogłam się tym jednak rozkoszować, bo patrzyłam na Theo, którego wyraz twarzy można by opisać tylko jako błagalny. Cholera.

- Nie mogę doprowadzić was do Clyde'a - oświadczyłam. Theo nieco się przygarbił, a Ivy rzuciła mu ostre spojrzenie. - Ale mogę... to znaczy, chyba mogłabym pokazać wam Colby.

Już w chwili gdy to mówiłam, wiedziałam, że popełniam błąd. Nie znałam dobrze Ivy, ale przeczuwałam, że kiedy da się jej palec, chwyci całą rękę.

- Wspaniale - rzekła, uśmiechając się do mnie. - Zaczniemy dziś po południu, tak?

- Mam tutaj pracę - powiedziałam.

- Ale tylko do szóstej - wtrąciła Margo, która najwyraźniej uznała, że jeśli zacznie kierować tym autobusem, będzie to najlepszy sposób, aby mnie przejechał.

- Więc może przyjeźdź do naszego domu około siódmej - zwróciła się do mnie Ivy. Odsunęła krzesło i wstała. - Pogadamy, obmyślimy plan gry. Tak?

Nie odpowiedziałam - co nie znaczy, że czekała na odpowiedź. Theo ruszył za nią. Miałam już spiorunować wzrokiem Margo, ale zorientowałam się, że on usiłuje pochwycić moje spojrzenie. Kiedy Ivy była już w połowie korytarza, wymówił bezgłośnie: „Dziękuję”. Wbrew sobie skinęłam głową, a on ruszył za Ivy do wyjścia.

- No, czyż to nie fantastyczne? - rzekła Margo, spoglądając za nimi. - Ktoś kręci film właśnie tutaj, w Colby.

- To nie film fabularny, tylko dokument - skorygowałam.

- Tak czy inaczej, to interesujące - odrzekła i wyciągnęła szyję, przyglądając się, jak tamtych dwoje wsiada do furgonetki.

Zobaczyłam, że jest z nimi Morris, otwiera tylne drzwi. Wcześniej wyjaśnił mi, że kiedy był na parkingu salonu kosmetycznego Wave Nails, żeby zobaczyć się z Daisy, podszedł do niego Theo i zapytał, czy chciałby zarobić szybko trochę grosza za dźwiganie pudeł. Piętnaście minut później wyładowywał już kartonowe pudła w magazynie spedycyjnym. Gdy Theo zapytał go, czy wie o kimś, kto zna Clyde'a albo ogólnie Colby, Morris natychmiast pomyślał o mnie. Cóż za zbieg okoliczności!

- Nie wiedziałem, że już jesteście przyjaciółmi - rzekł do mnie, gdy wręczałam kolejną kopertę rodzinie w samochodzie z rejestracją stanu Delaware.

- Nie jesteśmy - zaprzeczyłam. - Poznałam go po prostu, kiedy przywiozłam do ich domu powitalny poczęstunek dla VIP-ów.

Morris spojrział na Theo, potem znów na mnie.

- Hm - mruknął.

Nie należał do osób zdolnych czynić jakiegokolwiek aluzje. Był prostolinijny i bezpośredni, co bywało na przemian krzepiące albo irytujące, zależnie od sytuacji.

- Co? - spytałam.

- Sam nie wiem - rzekł, gdy do mojej budki podjechał następny samochód. - On zachowuje się tak, jakby dobrze cię znał.

- Czyżby?

- Aha. - Wzruszył ramionami. - Ale może po prostu jest taki wobec każdego.

To było ze strony Morrisa daleko idące przypuszczenie, uznałam jednak, że nie warto zwracać mu na to uwagę. Jednak gdy teraz przyglądałam się odjazdowi tamtych dwojga, zastanawiałam się, jak to się stało, że odnoszę wrażenie, jakbym miała wobec Theo dług wdzięczności, jakbym obiecała mu coś, co do czego nie jestem nawet pewna, że potrafię to spełnić. Nie mogło chodzić wyłącznie o to, że wyglądał uroczo, kiedy się czerwienił. I co za dziwny zbieg okoliczności, że teraz Morris też został wciągnięty w orbitę Theo i sprawił, że nasze drogi znów się skrzyżowały. Z drugiej strony, nie było w tym nic szczególnie niezwykłego. Ostatecznie przecież to rzeczywiście śmiesznie małe miasteczko.

\* \* \*

Dopiero o wpół do siódmej opuściłam wreszcie moją piaskową budkę i zmęczona pojechałam do domu. Byłam tak wyczerpana, że kiedy ruszyłam korytarzem do mojego pokoju i zobaczyłam uchylone drzwi, zza których dobiegał dźwięk telewizora, potrafiłam się zdobyć tylko na głośne westchnienie.

- Spójrz! - powiedziała Amber, gdy przestąpiłam próg.

Siedziała na moim łóżku. Nie miała już pomarańczowych włosów; ufarbowała je teraz na kruczoczarno. Nie po raz pierwszy zastanowiłam się, czy w szkole kosmetycznej zajmowała się czymkolwiek innym oprócz korygowania własnego wyglądu. Obok niej siedziała mama, sącząc jasne piwo.

- To gwiazda filmowa! - rzuciła Amber.

Przez chwilę spoglądałam na nie w milczeniu.

- Nie wierzę, że znowu jesteście w moim pokoju - rzekłam wreszcie.

- Opary - powiedziała mama.

- Słucham?

- Tata robi na piętrze coś z podłogą i epoksydami - wyjaśniła. - Nie możemy ich wdychać, są niebezpieczne.

- Niebezpieczne - powtórzyła jak echo Amber, przewracając stronę w jednym z moich ilustrowanych czasopism.

Podeszłam do mojego (zatłoczonego teraz) łóżka, kopnięciem zrzuciłam buty

i padłam na brzuch w jedynym pozostałym wolnym miejscu. Po chwili czyjaś stopa trąciła mnie w łopatkę.

- Nic ci nie jest? - spytała mama.

- Margo bez skrupułów mnie sprzedała - odparłam głosem stłumionym przez poduszkę.

- Ona zawsze tak robi - zauważyła Amber. - Zwłaszcza gdy w grę wchodzi pieniądze.

- Ale myślałam, że tamten chłopak jest twoim przyjacielem - rzekła mama. - Przynajmniej tak powiedział.

Uniosłam głowę z poduszki.

- Co?

- Kiedy przyszedł do biura. Byłam tam wtedy. Powiedział, że jest twoim przyjacielem i chce porozmawiać z tobą o Clydzie i o Colby.

- Spotkałam go dwa razy. - Opuściłam głowę z powrotem na poduszkę. - Góra trzy.

- Tutaj to praktycznie oznacza randki - rzekła Amber.

- Ale on nie jest stąd.

- Więc może powinnaś rzeczywiście umówić się z nim na randkę. - Amber zamilkła na chwilę. - Czy jest uroczy?

- Emaline ma Luke'a - przypomniała jej mama.

- Wiem, ale szkolne romanse nigdy nie trwają długo - rzekła Amber. Łóżko się zatrzęśło, gdy mama, jak przypuszczałam, szturchnęła ją. - No co? Twój trwał?

Przez moment wszystkie milczałyśmy i słychać było tylko jakąś telewizyjną reklamę telefonu komórkowego. Potem mama powiedziała:

- Och, zanim zapomnę: dzwonił Benji.

Byłam tak znużona i miałam umysł tak zaśmiecony myślami o Theo i Clydzie, że dopiero po chwili dopasowałam to imię do twarzy mojego przyrodniego brata.

- Naprawdę? - Uniosłam się na łóżku do pozycji siedzącej. - Co powiedział?

Mama, wyraźnie z siebie dumna, wzięła ze stolika bloczek papieru.

- Chciał się dowiedzieć, kiedy będziesz mogła zagrać z nim w minigolfa. Był bardzo słodki. Ile on ma lat, osiem?

- Dziesięć - odpowiedziałam, gdy podała mi bloczek.

- Czy Leah jest z nimi?

- Nie podczas tej wycieczki.

Mama kiwnęła głową i wypila łyk piwa. Przyglądając się jej, poczułam w sercu dziwne ukłucie wyrzutu sumienia z powodu tego, że nie oznajmiłam o separacji

mojego ojca i Leah. Nie powiedział mi tego w zaufaniu ani nie kazał przyrzec, że nikomu nie powtórzę; po prostu nie wspomniałam jej o tym. Jednak w miarę upływu czasu wydawało się to coraz większą sprawą.

Zabrzęczała komórka w mojej kieszeni. Wyjęłam ją. Nie rozpoznałam numeru na wyświetlaczu.

- Halo.

- Cześć, Emaline, mówi Theo.

- Och - powiedziałam, odwracając się nieco w kierunku drzwi. - Cześć.

Pomimo tej podstępnej próby zachowania dyskrecji byłam świadoma, że Amber skupiła teraz całą uwagę na mnie. Ujawniła to zresztą, pytając głośno:

- Czy to on? Brzmi rzeczywiście uroczo.

Ześliznęłam się z łóżka, wyszłam na korytarz i przeszłam nim kawałek.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę - powiedział - ale chciałem tylko potwierdzić nasze spotkanie dziś wieczorem. U nas w domu o siódmej, tak? Ivy ma telekonferencję z jakimiś sponsorami, więc z początku będziemy tylko my dwoje.

- O siódmej - powtórzyłam, siadając na najniższym stopniu schodów na piętro. - Dobrze, przyjadę.

- Świetnie - rzekł z taką ulgą w głosie, że aż zaczęłam się zastanawiać, czy sądził, że się rozmyślę. Pożałowałam, że tego nie rozważyłam, ale no cóż, teraz już za późno. - Jestem ci naprawdę wdzięczny. Usiłuję skłonić Ivy, żeby... no wiesz... przydzieliła mi trochę więcej odpowiedzialnych zadań, a to jest... dobry pierwszy krok. Tak więc dzięki. Jestem... ee... twoim dłużnikiem.

- W porządku, nie ma o czym...

Zdażyłam powiedzieć tylko tyle, zanim uderzył mnie zapach tego czegoś, czego tata używał teraz do podłóg na piętrze. Był to ostry odór chemikaliów, który natychmiast zdusił mi gardło, powodując suchy kaszel. W jednej chwili prowadziłam rozmowę, a w następnej byłam bliska wyrzygania wnętrzności. O rany.

- Emaline? - W głosie Theo zabrzmiał niepokój. - Czy... wszystko w porządku?

Usłyszałam kroki, uniosłam głowę i zobaczyłam przed sobą mamę.

- Opary - powiedziała, kiwając na mnie ręką, żebym wstała i podeszła do niej.

Usłuchałam, wciąż wykastując wyziewy, a ona ujęła mnie za łokieć i wyprowadziła z domu na świeże powietrze. Theo wciąż mówił, ale oddałam komórkę mamie i zgięłam się wpół, opierając dłonie o kolana.

- Halo? - powiedziała. - Nie, mówi mama Emaline. Nic jej nie jest, ale... proszę chwilkę poczekać.

Mogłam sobie tylko wyobrazić, co myślał Theo w ciągu następnych kilku sekund,

zanim zyskałam względną pewność, że jednak nie zemdleję. W końcu skinęłam na mamę, żeby oddała mi komórkę.

- Będę o siódmej - wychrypiałam. - Dobrze?

- Jasne, świetnie - odparł szybko. - A więc do zobaczenia.

Rozłączyłam się, znowu zgięłam się wóół i zaczerpnęłam kilka głębokich oddechów. Mój puls łomoczący szaleńczo w skroniach wreszcie zwolnił.

- Nie przesadziłaś - rzekłam do mamy. - Te opary rzeczywiście są śmiertelnie groźne.

- Owszem - potwierdziła, gładząc mnie po plecach.

Ten gest był miły i znajomy, niczym woń świeżo skoszonej trawy czy rosół z kury, i żałowałam, że nie mogę pozostać na zawsze głęboko zanurzona w tej chwili. Ale dochodziła siódma, a ja obiecałam, że przyjadę. Toteż kiedy odzyskałam oddech, wyprostowałam się i obie weszłyśmy z powrotem do domu.

Kiedy parę minut po siódmej zajechałam przed dom Sand Dollars, zobaczyłam Ivy – na bocznym tarasie jednego z apartamentów – przyciskającą do ucha komórkę. Nie zaskoczyło mnie ani trochę, że podczas rozmowy telefonicznej wydawała się wzburzona: machała ręką, krzywiła się i przechadzała gwałtownie po tarasie. Siedziałam i patrzyłam, jak chodzi tam i z powrotem – spoglądała na przemian to na otwarty ocean, to na cieśninę – aż wreszcie poczułam, że wpadam w trans. Wtedy mocno potrząsnęłam głową i wysiadłam z samochodu.

Theo widocznie czekał na mnie przy drzwiach, ponieważ otworzył, gdy tylko zapukałam, nie każąc mi stać za progiem przez długi czas potrzebny, by dotarł tu gdzieś z wnętrza domu, schodząc albo wchodząc po schodach. Z jakiegoś powodu uznałam to za miłe, a tym samym on też znów wydał mi się miły.

– Cześć – rzekł. – Czekałem na ciebie.

To jakby powiedział: Jestem miły.

– Tak? – rzuciłam.

Zaczerwienił się, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo wydał się przejęty.

– Dzwonek do drzwi nie działa. Wskutek szumu oceanu i wielkości domu ludzie mogą stukać do drzwi całą wieczność, zanim ich usłyszymy.

– Dzwonek jest zepsuty? – spytałam, a on przytaknął i nachylił się, oglądając przycisk. – To niedobrze. Czy telefonowałaś do naszego biura, żeby ich powiadomić?

Wzruszył ramionami.

– To drobiazg. Poza tym Ivy ma lekki sen. Gdyby dzwonek działał, budziłby ją i byłaby jeszcze bardziej zręczliwa.

– No tak, ale dom jest całkiem nowy. Wszystko powinno w nim działać. Przynajmniej na razie.

Nacisnęłam przycisk. Nic. Żadnego terkotu, brzęku czy irytującego hałasu pseudomeksykańskiej muzyki wybranej jako dzwonek.

– Ten dom jest nowy? – upewnił się Theo.

– Tak, zbudowany dopiero w tym roku.

Rozejrzał się po holu, gdy wchodziłam do środka.



- O rany, w ogóle nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Zauważyłbyś różnicę, gdybyś zamieszkał w którymś z nieco starszych. Są zniszczone wskutek nieustannego użytkowania ich przez kolejnych wczasowiczów.

- Skontrolowałam wewnętrzną konsolkę, wciskając guziki. Nadal bez efektu. - Jutro zawiadomię o tym ekipę remontową. To prawdopodobnie tylko przepalony bezpiecznik czy coś w tym rodzaju.

- Czy kiedykolwiek przestajesz myśleć o pracy? - zapytał, kiedy zamknął drzwi i skinął na mnie, żebym weszła za nim po schodach.

- Mam wrażenie, że nie - odparłam.

Chciałam dodać, że ta wizyta też przecież ma charakter zawodowy, lecz się powstrzymałam. Miejmy nadzieję, że oni wkrótce zorientują się, iż na nic im się nie przydam, i zaczną zawracać głowę komuś innemu.

Drugie piętro, na którym mieściła się kuchnia i salon, przemeblowano od czasu mojej ostatniej wizyty. Z salonu zniknęły sofy i boczny stolik - co kazało mi się zastanowić 1) gdzie je umieścili i 2) czy w trakcie przenoszenia podłogi lub ściany nie zostały porysowane - zastąpiono je rzędem składanych stołów zastawionych komputerami, sprzętem wideo i kilkoma opróżnionymi do połowy butelkami dietetycznej coli. Kuchnia była równie zagracona; na blatach piętrzyły się gazety i składane kartonowe pudła. Obok zmywarki łądowały się podłączone do gniazdek trzy telefony komórkowe, niczym rząd maleńkich światełek.

- Przepraszam za ten bałagan - powiedział Theo, odsuwając nogą plastikową skrzynkę z przewodami elektrycznymi, żebyśmy mogli przejść. - Przez ostatnie dwa dni pracowaliśmy bez przerwy. Usiądź.

Wszystkie krzesła też były składane, stały rzędem przy stołach. Wysunęłam jedno i zobaczyłam na nim stertę grubych książek. Jedna, zatytułowana *Miejskie/wiejskie: Zarys historyczny*, miała na okładce zdjęcie ceglanoego muru. Na okładce drugiej, noszącej tytuł *Współczesne wybrzeże*, znajdowało się powiększenie reprodukcji obrazu przedstawiającego chyba piasek, ale w takim zbliżeniu, że widać było pojedyncze ziarenka.

- Fantastyczne, nie? - rzucił Theo, widząc że oglądam książkę. - Widziałas to już wcześniej, prawda?

- Co?

- Obraz Clyde'a.

Przecząco pokręciłam głową.

- To jego?

- Tak.

Sięgnął mi przez ramię i otworzył album na stronie zaznaczonej żółtą karteczką samoprzylepną. Był na niej ten sam widok piasku, ale tutaj stanowił zaledwie niewielki kwadrat w centrum otoczony miejskim pejzażem: betonowymi płytami chodników, ceglаныmi murami i witrynami sklepowymi. Ta ulica była ciemna i ponura, w kontraście do niej ten maleńki kawałek plaży zdawał się niemal jarzyć.

- Jego wczesne dzieła były raczej kolażami, standardowymi wycinankami - mówił Theo. - Ale po paru latach zaczął malować serie skontrastowanych obrazów. Właśnie dzięki nim stał się znany.

- Naprawdę? - spytałam i przewróciłam następną stronę, na której był obraz przedstawiający kwadraty trawy rosnącej na wydmach i drut kolczasty. - W ogóle o nich nie wiedziałam.

- Nic dziwnego. To wynika już z wywiadów przeprowadzonych przez nas w Nowym Jorku. Z tego, co wiemy o fragmentach jego biografii, można sądzić, że wolałby zachować w tajemnicy tę część swojego życia.

- Jeżeli tak, to dlaczego go tutaj śledzicie? - spytałam.

- Nie śledzimy go - odparł Theo nieco defensywnym tonem. Na piętrze trzasnęły drzwi. - Chcemy opowiedzieć jego historię, zapewnić jego dziełom zainteresowanie, na jakie zasługują. Właśnie dlatego jego sprzeciw jest taki irytujący. Przecież wyraził to w swoich obrazach. Czemu nie chce tego przyznać?

Wróciłam do strony z obrazem piasku i przyjrzałam się ponownie.

- Może dlatego, że to część jego życia, o której wolałby zapomnieć?

- Większość malarzy przez całe życie zabiega o zainteresowanie dla swoich dzieł.

- Ale on już nie jest malarzem. Prawda?

Theo zaczerpnął powietrza, gotowy odpowiedzieć. Lecz zanim zdążył, z góry schodów zabrzmiał głos Ivy:

- Theo!

Drgnęłam, zaskoczona zarówno natężeniem jej głosu, jak i tonem zniecierpliwienia. Brzmiało to, jakby wołała go już po raz trzeci czy czwarty. On jednak nie wydawał się zakłopotany, gdy odpowiedział:

- Słucham.

- Czy nie prosiłam cię, żebyś się skontaktował z tym facetem, który studiował w Szkole Projektowania Artystycznego Parsons? Tym zacytowanym w tamtym artykule.

- Owszem.

- I co?

- Dzwoniłem do niego i wysłałem mejla. Nie dostałem jeszcze żadnej odpowiedzi.

Rozległo się trzaśnięcie drzwiami, a potem łomot. Co ona robiła tam na górze?

- Boże! - wykrzyknęła. - Co, u diabła, jest nie tak z tutejszymi ludźmi? Czy są tak zacofani, że nie potrafią nawet zauważyć, kiedy ktoś próbuje zrobić dla nich coś dobrego?!

Uniosłam brwi i spojrzałam na Theo. Przygryzł wargę, a potem podszedł do schodów, wbiegł po nich, przeskakując po dwa stopnie na raz, i zniknął na piętrze.

- Co? - dobiegł mnie chwilę później głos Ivy. Theo coś jej odpowiedział. - Och, na litość boską. No dobrze. Zaraz zejść.

Dosyć tego, pomyślałam. Wzięłam ze stołu torebkę i ruszyłam do frontowych drzwi. Byłam już prawie przy nich, gdy Theo zszedł na dół i zastał mnie w trakcie ucieczki.

- Hej, zaczekaj - rzekł. - Nie...

- Znajdźcie kogoś innego, żeby wam „pomógł”, dobra? Ja do was nie pasuję. - Na górze rozległ się kolejny głośny huk. Wskazałam sufit i dodałam: - A przy okazji mógłbyś powiedzieć swojej szefowej, żeby przeczytała powtórnie umowę wynajmu, którą podpisała. Jeżeli w domu powstaną jakieś szkody, słono za nie zapłaci!

- Hej, czekaj - powtórzył.

Pokręciłam głową, otwierając drzwi i wychodząc na dwór.

- Przepraszam cię - powiedział. - Ona po prostu jest teraz naprawdę zestresowana.

- Nie, jest nieuprzejma. A ja mam lepsze rzeczy do roboty niż tkwić tutaj i być obrażaną.

- Wiem. - Wyciągnął rękę i położył ją na moim ramieniu. - Posłuchaj... daj mi tylko pięć sekund, dobrze? Proszę.

Nie odpowiedziałam, ale też nie odeszłam.

- Pięć sekund - powtórzył, wskazując na mnie, po czym wszedł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Jesteś głupia, pomyślałam, przyglądając się jakiejś rodzinie, która przeszła przez ulicę i ruszyła alejką wiodącą na plażę. Na przedzie biegło dwoje dzieci, a za nimi szli rodzice, trzymając się za ręce. Słońce zaczynało już chylić się ku zachodowi.

Odezwał się sygnał mojej komórki. Wyjęłam ją z torebki i spojrzałam na wyświetlacz. Jedno nieodebrane połączenie i jeden esemes, obydwa od Luke'a. W tym drugim tylko jedno słowo: *Zjemy?*

Zajrzałam w okna domu Sand Dollars. Wszędzie paliły się światła. Nie byłam całkiem pewna, co tu robię, i jeszcze mniej pewna tego, czy potrafię wyjaśnić to Luke'owi. Odpisałam więc tylko: *Jeszcze pracuję. Zadzwonię później.*

Zdążyłam wysłać wiadomość, gdy z domu wyszedł Theo, teraz w kurtce, z niewielką kamerą wideo w ręku. Uśmiechnął się do mnie.

- Gotowa?

- To zależy. Co będziemy robić? - spytałam, gdy schodził przede mną po frontowych schodach.

- Jesteś tutejsza - rzucił przez ramię. - Ty mi powiedz.

- Nie wiem, co chcesz zobaczyć.

- Colby. Ale nie atrakcje turystyczne, tylko prawdziwe miasteczko.

Stał już przy drzwiach mojego samochodu od strony pasażera, czekając, żeby wsiąść.

- To nie Nowy Jork - zaznaczyłam. - Wielkie zwiedzanie będzie... krótkie. Zajmie około piętnastu minut.

- Czyli piętnaście minut więcej, niż mamy dotychczas zarejestrowane. - Otworzył obiektyw kamery i wycelował we mnie. Zapłonęła czerwona lampka i poczułam nieoczekiwane ukłucie zdenerwowania. Wtedy Theo uśmiechnął się do mnie i rzekł:

- Ruszajmy.

\* \* \*

Kiedy klienci albo turyści proszą mnie, żebym im poradziła, co można robić w Colby oprócz pójścia na plażę, mam gotowy zestaw standardowych odpowiedzi. Spacer deptakiem. Wizyta w oceanarium i Muzeum Morskim. Zjedzenie sławnych smażonych krążków cebulowych w restauracji Last Chance. Wypożyczenie rowerów w sklepie Abe's i przejażdżka ścieżkami w południowej części wyspy, wijącymi się między moczarami a nieckami wody w nadbrzeżnych skałach po przyptywie. Jednak gdy Theo i ja czekaliśmy, żeby skręcić na główną szosę, żadna z tych propozycji nie wydała mi się właściwa.

Prawdziwe Colby, powtórzyłam w myśli, gdy migotał sygnał zakazu skrętu. Theo nadal trzymał kamerę, celując nią w ruch uliczny. Kiedy światła sygnalizacyjne się zmieniły, skręciłam w lewo, przejechałam kilka mil, a potem skręciłam w prawo. W odległości dwóch przecznic ujrzeliśmy żwirową drogę i magazyn rybacki. Podobnie jak w inne wieczory o tej porze roku ten teren był pełen ciężarówek cofających się do rampy załadowniczej i pochylni oraz krążących pomiędzy nimi ludzi. Wjechałam na wolne miejsce i wyłączyłam silnik.

- Co tu jest? - spytał Theo.

- Chciałeś zobaczyć tutejszych ludzi. To najbardziej charakterystyczne lokalne

miejsce. – Otworzyłam drzwi i wysiadłam. Theo poszedł za moim przykładem, wciąż trzymając kamerę. – Mógłbyś ją na chwilę odłożyć? Ci ludzie nie pragną rozgłosu.

Skinął głową, wsunął kamerę do kieszeni kurtki i ruszył za mną. Przeszliśmy na ukos przez parking; żwir chrzęścił pod nogami. Wciąż jeszcze byliśmy w odległości trzydziestu metrów od pierwszego rzędu ciężarówek, gdy uderzył nas ten zapach.

– O rany – dobiegł mnie głos Theo, tak jak się spodziewałam. – Co za smród!

– Ryby. Za chwilę do tego przywykniesz.

Przeszłam między dwiema furgonetkami, a potem dróżką do frontowych drzwi magazynu rybackiego. W środku zapach był jeszcze silniejszy, wypełniał całe wnętrze jedyne niewielkie pomieszczenia, pustego z wyjątkiem kilku stołów i pojemników na śmieci. Wzdłuż przeciwległej ściany stały chłodnie, a mężczyźni uwijali się przy nich, wkładając dzisiejszy połów i wrzucając lód z plastikowych toreb. Przez otwarte tylne drzwi, wychodzące na stocznię kutrów, widziałam ludzi przy stanowiskach oprawiania, którzy kroili ryby i usuwali łuski.

– One nazywają się korwiny czerwone – wyjaśniłam, wskazując stertę ryb na gazecie na jednym ze stołów. – O tej porze roku łowi się też krewetki. Czasami cobie. A ta... wygląda na tasergala.

– To striper – skorygował mnie wysoki mężczyzna w gumowych butach.

Nosił czapkę baseballową z napisem Finz Bar & Grill, co nieomylnie identyfikowało go jako miejscowego. Turyści nigdy nie zachodzą do tej knajpy.

– Striper – powtórzyłam, a do Theo powiedziałam: – To będziesz jadł w ten weekend w restauracji Reef Room. I prawie wszędzie w okolicy, jeśli zamówisz rybę.

– Możesz na to liczyć – dodał facet po mojej drugiej stronie, wrzucając do chłodni kilka brył lodu. – Połów poszedł lepiej niż w zeszłym tygodniu.

Theo wsunął rękę do kieszeni i dał mi znak uniesieniem brwi. Odchrząknęłam i zwróciłam się do mężczyzny w czapce z logo Finz Bar & Grill:

– Czy mój przyjaciel może tu nakręcić wideo? Chce zrobić materiał filmowy o „prawdziwym” Colby.

Tak jak się spodziewałam, ten facet – i inni w pobliżu, którzy to usłyszeli – stali się wyraźnie nieufni.

– Prawdziwym – powtórzył, przyglądając się Theo zmrużonymi oczami. – Po co?

– To film dokumentalny – wyjaśnił. – Reżyseruje go Ivy Mendelson. Ta, która zrobiła *Drogę Coopera*.

Tamci tylko patrzyli na niego w milczeniu.

– Ten film będzie o jednym nowojorskim artyście, który twierdzi, że Colby go

inspiruje – uzupełniłam.

To oczywiście wywołało ogólny rechot.

– Inspiruje, tak? – powtórzył nasz znajomy w czapce baseballowej. – Słuchaj, ja też jestem zainspirowany. Codziennie, przez moje raty hipoteczne.

– A ja przez rachunek za prąd – dorzucił inny.

– Ja przez spłaty karty kredytowej mojej żony! – dodał ktoś jeszcze, gdy owionął nas podmuch woni ryb.

Uśmiechnęłam się.

– A więc się zgadzacie? Nie będziemy wam przeszkadzać.

– Dobra, czemu nie – powiedział drugi facet i wytrząsnął z torby więcej brył lodu.

– Tylko niech się postara filmować mnie od przystojniejszej strony, w porządku?

Skinęłam głową na Theo, który wyjął i włączył kamerę. Cofnęłam się, a on zrobił najazd na ladę, filmując kolejno każdą stertę ryb, przy których pracowali rybacy. Wokół rozbrzmiewały rozmowy, śmiechy, żarty, a on dokumentował powoli całą scenę, poruszając się swobodnie pośród swoich bohaterów. Musiałam to docenić. Być może z początku odstawał kompletnie od tego tłumu rybaków, ale podczas pracy zdołał niemal zniknąć, dystansując się łatwo od tego, co filmował. Po mniej więcej piętnastu minutach podszedł znowu do mnie.

– To było wspaniałe – powiedział, chowając kamerę z powrotem do kieszeni. – Ivy wciąż powtarza, że potrzebujemy więcej lokalnego tła. Ale ilekroć próbujemy filmować, ludzie robią się sztywni i podejrzliwi.

– Może chodzi o twoje podejście – powiedziałam, gdy ruszyliśmy do drzwi.

– Czyli jakie?

Spojrzałam na niego przez ramię.

– Z tego, co widziałam, Ivy nie potrafi zbyt dobrze dogadywać się z ludźmi.

Na twarzy Theo natychmiast pojawił się ten wyraz napięcia, który jak zauważyłam, przybierał, kiedy zajmował pozycję defensywną.

– Przyznaję, że ona wydaje się szorstka. Ale jest naprawdę dobra w swoim fachu.

– Podobnie jak w protekcyjnym traktowaniu niemal każdego, z kim się styka.

– Nie zachowuje się tak wobec wszystkich. Chodzi o to, że tutejsi ludzie...

Umilkł nagle. Przeszłam jeszcze parę kroków, czekając, co powie, lecz się nie odezwał. Odwróciłam się.

– Co tutejsi ludzie...?

Przełknął ślinę.

– Nie są tacy, do jakich przywykła.

Staliśmy już przy moim samochodzie, spoglądając na siebie ponad dachem.

- Czyli są prostaccy i głupi?

- Nie. Tylko że obrażają się na jej zachowanie. A ona wcale nie zamierza ich dotknąć.

Z powątpiewaniem uniosłam brwi.

- Bez urazy, Emaline, ale ty też nie odniosłaś się do niej zbyt życzliwie.

- Nawet jej nie znam - powiedziałam.

- No właśnie. Ale to cię nie powstrzymało przed negatywnym nastawieniem. Nie tylko ona operuje stereotypami.

Te słowa wzbudziły we mnie dziwną mieszaninę irytacji i zawstydzenia. Jak wtedy, gdy słyszymy coś niezbyt miłego, co jednak przypuszczalnie jest prawdą. Musiałam przyznać, że uwaga Theo była trafna. Zresztą jego też nie tak łatwo było przeniknąć.

- To miasteczko jest moim domem - oświadczyłam. - I staram się je chronić.

- A Ivy jest moją szefową i mentorką - odrzekł. - Nawet jeśli rzeczywiście przydałoby się jej kilka lekcji dobrego wychowania. W porządku?

- Tak. - Kiwnęłam głową.

- Dzięki.

Otworzyłam drzwi samochodu i wsiadłam. Oboje milczeliśmy, gdy uruchomiłam silnik i wyjeżdżałam z parkingu magazynu rybackiego. Zastanawiałam się, czy atmosfera między nami będzie już zawsze taka dziwna. Po chwili Theo się odezwał:

- Czy mogę ci zadać pytanie, które mam nadzieję, nie jest obraźliwe ani zbyt osobiste?

- Po takim wstępie nie wiem, jak mogłabym odpowiedzieć przecząco - odparłam.

Uśmiechnął się i wskazał moją prawą rękę, którą trzymałam na dźwigni skrzyni biegów.

- Widziałem ostatnio wiele takich bransoletek. U ciebie, kilka dni temu u twojej siostry, u facetów, którzy pomogli nam się tu wprowadzić. Czy to coś lokalnego?

Spojrzałam na swoją cienką plecioną bransoletkę. Była ozdobiona czerwonymi koralikami i muszlą przegrzebka i tak wystrzępiona, że wystarczyłoby lekko szarpnąć, aby ją rozerwać. Poprzednia, którą nosiłam mniej więcej od walentynek, pękła przed tygodniem.

- Tak - odpowiedziałam. - Można tak powiedzieć.

- Lokalne, czyli prywatne - rzekł, kiwając głową. - Poufne?

- Nie. - Włączyłam migacz. - Tylko smutne.

Było już niemal zupełnie ciemno, gdy zajechaliśmy do Gert's Surf Shop, niewielkiego sklepu, w którym sprzedawano sprzęt wędkarski, artykuły spożywcze i pamiątki, jednego z ostatnich, jakie przetrwały w North Reddemane. Otwarty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, stanowił charakterystyczny punkt orientacyjny, którego wypatrywałam zawsze w drodze powrotnej z Cape Frost, największego miasta na naszej wyspie, do którego podróżujemy między innymi dlatego, że jest tam (wprawdzie stosunkowo niewielkie) centrum handlowe oraz bogatszy wybór restauracji. Cape Frost leży w odległości trzydziestu mil od Colby i można tam dojechać wyłącznie dwupasmową autostradą, z której widzi się niewiele więcej niż tylko plażę po jednej stronie i cieśninę po drugiej. North Reddemane i stale oświetlony sklep Gert's Surf Shop przełamują monotonię drogi powrotnej i gdy je mijam, zawsze wiem, że jestem już blisko domu.

- Czy Gert's to skrót od Gertrude? - zapytał Theo, gdy wysiadaliśmy z samochodu.

- Nie - odparłam.

Podeszłam do drzwi i je otworzyłam. Zadźwięczały dzwonki. W środku jak zawsze pachniało paloną kawą. Za kontuarem siedział mocno zbudowany mężczyzna; oglądał jakiś program w przenośnym telewizorze, bębniąc palcami po blacie.

- Witam, panie Gertmann - powiedziałam, gdy go mijaliśmy.

Odpowiedział kwinięciem głowy i skupił uwagę z powrotem na małym ekranie. Inaczej niż w Gas/Gro i niemal wszystkich sklepach spożywczych, jakie znałam, tutaj światła były przyćmione, a przejścia między regałami wąskie. W sklepie Gert's sprzedawano po trosze wszystko: przybory wędkarskie, artykuły spożywcze (głównie w puszkach, z czego wiele przeterminowanych), piwo (którego asortyment regularnie uzupełniano, w przeciwieństwie do jedzenia) oraz rozmaite gadżety dla turystów, takie jak przezroczyste daszki osłaniające oczy, składane krzeselka plażowe i kremy z filtrami przeciwsłonecznymi. Gdy przechodziliśmy obok starej chłodziarki Coca-Coli pełnej szklanych butelek, usłyszałam, jak Theo gwizdnął cicho.

- O rany, obejrzyjmy ją - powiedział. Wyciągnął rękę i dotknął porysowanej metalowej obudowy lodówki. - To prawdziwy zabytek. Znam jedno miejsce na Brooklynie, gdzie zapłaciliby za nią fortunę.

- Wątpię, czy jest na sprzedaż - odparłam. - Chyba podobnie jak wszystko inne w tym sklepie, jest tutaj od kilku pokoleń.

- Rodzinna firma, co?

- Od początku ubiegłego wieku. - Wskazałam głową tylne drzwi. - Stąd jest tylko



kilka kroków do ich domu. Widzisz?

Przez siatkę w drzwiach widać było białe deski szalunkowe domu Gertmanna. Jak niemal każdej nocy, w salonie paliło się światło. W jednym z okien siedziała przy stole dziewczyna, pochylając się nad jakąś robótką.

Podeszłam do najbliższej chłodziarki i wyjęłam butelkę wody. Podłoga pod moimi nogami zaskrzypiała jękliwie.

- Chcesz coś? - spytałam.

Pokręcił głową, więc pozwoliłam, aby drzwi chłodziarki się zamknęły, podeszłam do kontuaru i postawiłam na nim butelkę. Pan Gertmann podniósł na mnie wzrok.

- Jak się miewa twoja mama, Emaline?

- Dobrze. A co u Rachel?

Wcisnął dwa guziki w kasie sklepowej. Za nim na ekranie telewizora drogą jechał szereg czołgów.

- W zasadzie też dobrze.

W milczeniu skinęłam głową i przesunęłam w jego stronę po kontuarze dwa banknoty. Kiedy odliczał resztę, powiedziałam:

- Mój przyjaciel kręci film dokumentalny o Colby. Wie pan, historia tego regionu i tak dalej. Zastanawialiśmy się, czy mógłby zrobić parę ujęć sklepu.

W tym momencie wyczułam zaskoczenie Theo, bo wcześniej nic mu o tym nie wspomniałam.

- Czemu nie - odrzekł pan Gertmann, wydając mi resztę. - Nie ma tu teraz zbyt wielkiego ruchu.

Spojrzałam na Theo, który już wyjmował kamerę.

- Bardzo dziękuję - rzekł, włączając ją. - To naprawdę pozwoli pokazać trochę wspaniałego lokalnego kolorytu, ukaże siłę trwania tutejszego biznesu i...

Urwał, bo pan Gertmann odwrócił się znowu do telewizora, najwyraźniej bardziej zainteresowany tym, co ogląda, niż żywą historią wokół siebie. Rzuciłam Theo zachęcające spojrzenie, a on ruszył w kierunku chłodziarki Coca-Coli. Zaczął ją filmować, a ja podeszłam do niewielkiej ceramicznej miski stojącej obok kasy. Była do niej przyklejona etykieta z napisem: BRANSOLETKI RĘCZNEJ ROBOTY. CENA 7\$, DWIE ZA 12\$. Wewnątrz leżało sześć bransoletek podobnych do mojej, splecionych z cienkiego sznurka i ozdobionych koralikami i muszelkami. Kiedy szperałam w nich, słyszałam, jak Theo chodzi wokoło. Podłoga skrzypiała pod jego nogami.

- Rany - powiedział po chwili. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że wpatruje się w stertę plastikowych skrzynek na mleko przy frontowych drzwiach. - Czy... czy na

nich naprawdę są napisy FARMA CRAINT?

Przesunęłam miskę na miejsce i podeszłam, żeby rzucić okiem.

- Na to wygląda. A co?

- Bo... - Urwał i potrząsnął głową. - One są ważnym elementem jednego z serii kontrastowych obrazów Clyde'a. Ale większość krytyków uważała, że nazwa na nich miała być w zamierzeniu znacząca. Coś w rodzaju metafory.

- Craint? - spytałam.

- *Cray* - skorygował. - To po francusku znaczy „przestraszony”.

- Myślisz, że bał się skrzynek na mleko?

- Nie - odparł Theo i rzucił mi spojrzenie. Uśmiechnęłam się, a on przykucnął, by lepiej się przyjrzeć stercie skrzynek, które sądząc po pajęczynach wokół, znajdowały się tam od dłuższego czasu. - Najpowszechniej akceptowany pogląd krytyki głosi, że to słowo symbolizuje obawę rolniczego świata przed wtargnięciem miejskiego przemysłu. Ale ponieważ na tym obrazie te dwa światy nakładają się na siebie i dlatego są współzależne, ów lęk jest nieunikniony i w istocie wspólny dla nich obydwu.

O rany, pomyślałam. Zanim zdołałam odpowiedzieć - czy choćby zacząć układać sobie w głowie jakąś odpowiedź - odezwał się pan Gertmann:

- Rodzina Craintów od lat prowadziła farmę za William Crossroads. Sprzedali ją deweloperowi jakieś pięć lat temu. Teraz wchodzi tam apartamentowce.

- A więc rodzina Craintów naprawdę istniała? - spytał go Theo, filmując skrzynki z jednej strony. Potem pochylił się i zrobił zbliżenie z drugiej. - I ta farma była rzeczywista?

Pan Gertmann spojrzał na mnie. Wzruszyłam ramionami, dając jasno do zrozumienia, że Theo działa na własną rękę, bez względu na to, dokąd go to zaprowadzi.

- Wątpię, czy jest tam jeszcze jakaś farma - odpowiedział. - Myślę, że ruszyli z koksem, zanim się mleko rozlało.

Teraz Theo popatrzył na mnie, chcąc, bym przetłumaczyła.

- Inwestor rozpoczął budowę - wyjaśniłam. - Potem zabrakło mu pieniędzy. To dość powszechne w tej okolicy w ciągu ostatnich kilku lat.

- Pisano, że Clyde jako licealista mógł pracować na jakiejś farmie mlecznej. Ale jeśli ten związek jest tak wyraźny, to zadziwiające. Ivy będzie zachwycona. - Theo spojrzał znów na pana Gertmanna. - Czy jest jakaś szansa, że one mogłyby być na sprzedaż?

- Chcesz kupić moje skrzynki na mleko?

- On jest z Nowego Jorku - powiedziałam do pana Gertmanna, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Może przynajmniej jedną - nalegał Theo, ignorując mnie. - Dam panu za nią pięćdziesiąt dolarów.

Pan Gertmann długo patrzył na stertę skrzynek. W końcu wzruszył ramionami.

- Czemu nie. Wątpię, by dostawca mleka zauważył brak jednej skrzynki.

- Wspaniale - rzekł Theo z szerokim uśmiechem.

Podszedł do kontuaru i wyjął z kieszeni plik banknotów. Pan Gertmann i ja obserwowaliśmy, jak odlicza kilka dwudziestek. Już miał je wręczyć, ale spostrzegł miskę z bransoletkami. - Och, i jeszcze... ee... jedną z tych. A właściwie wezmę dwie.

- Skrzynka na mleko i dwie bransoletki - powiedział pan Gertmann, stukając w klawisze kasy. - Równy sześćdziesiąt dwa dolary.

Theo wyjął jeszcze parę banknotów. Pan Gertmann skierował uwagę z powrotem na telewizor, w którym leciała teraz reklama jakiegoś salonu samochodowego, a Theo zaczął grzebać w misce, żeby wybrać bransoletki.

- Dobranoc, panie Gertmann! - zawołałam, gdy ruszyliśmy do drzwi.

Po krótkich oględzinach skrzynek Theo wybrał jedną ze środka sterty, a potem starannie ustawił pozostałe, niemal nie naruszając pajęczyn. Ten chłopak mógł być nużąco gadatliwy, ale miał oko do szczegółów.

- Dziękuję! - dorzucił.

Pan Gertmann nie odpowiedział.

Gdy wsiedliśmy do samochodu, spostrzegłam, że Theo, obracając w rękach skrzynkę, uśmiecha się od ucha do ucha.

- To wprost niewiarygodne. Serio. Nigdy nawet nie miałem nadziei na znalezienie czegoś takiego.

Roześmiałam się.

- Theo, to tylko skrzynka na mleko.

- To wielkie odkrycie, rzucające nowe światło na twórczość Clyde'a. - Potrząsnął głową, wciąż uśmiechnięty, a potem odwrócił się do mnie. - Dziękuję, Emaline. Naprawdę. Właśnie pomogłaś mi zrobić wrażenie na Ivy, co wcale nie jest łatwe! Mógłbym cię w tej chwili ucałować.

Zamrugałam.

- Nie rób tego - powiedziałam. - To naprawdę nie jest konieczne.

- Miałem po prostu na myśli... ja tylko... - Na szczęście umilkł, gdy twarz mu poróżowiała, a potem pokrył ją mocniejszy czerwony rumieniec. - Przepraszam. To

było tylko takie wyrażenie.

- Wiem - odrzekłam. Wciąż jeszcze lekko się rumienił. - Ja też tylko żartuję.

- Och. - Odchrząknął, a potem posłał mi uśmiech. - W każdym razie ta moja wyprawa z Ivy przebiegała jak dotąd dość ciężko. To odkrycie bardzo pomoże. Dziękuję ci.

- Nie ma za co.

Uruchomiłam silnik i odjechaliśmy spod sklepu z powrotem na autostradę w kierunku Colby. Dopiero po minięciu paru przecznic zagadnęłam:

- Więc które bransoletki wybrałaś?

- Bransoletki? - Milczał chwilę. - Racja! Tak, bransoletki. Te dwie. - Pokazał mi jedną z zielonymi koralikami, drugą z białymi. - Nie zamierzałem nic kupować. Ale wyglądały tak smutno, wrzucone do tej miski.

Wpatrywałam się w drogę przed sobą, ciemną, bez żadnych pojazdów.

- Robi je jego córka Rachel. Chodziła do szkoły z moją siostrą Amber, zanim miała wypadek po dziesiątej klasie liceum.

- Wypadek? - powtórzył.

Skinęłam głową.

- Co jej się stało?

Odgarnęłam za ucho kosmyk włosów.

- Pewnej nocy wracała rowerem do domu od swojego chłopaka i potrącił ją pijany kierowca.

Theo spojrzał na bransoletki.

- Boże. To straszne.

- Owszem. Ten facet zostawił ją na szosie jak przejechane zwierzę. - Odchrząknęłam. - Wrócił do hotelu, w którym mieszkał, zaparkował wgnieciony samochód, a potem zwałił się nieprzytomny na łóżko w swoim pokoju. Kiedy gliniarze w końcu go wytropili, nie pamiętał nawet, że siedział za kierownicą.

- Był turystą?

Przytaknęłam.

- Rachel pod pewnymi względami doszła do siebie, ale odniosła poważne obrażenia głowy. W okresie rehabilitacji zaczęła robić te bransoletki. Jest coś we wzorach, w rodzaju splotów, kolorach... co jej pomaga. A przynajmniej tak mówi jej mama.

Zbliżaliśmy się do Colby; zaczynały się zabudowania i widać było coraz więcej światła. Usiłowałam myśleć o wszystkich tych razach, kiedy wracałam samochodem tą szosą do domu. Wydawało się, że zawsze wtedy była noc, czułam ciepłe, słodkie

powietrze i powiew świszczący w nieco opuszczonym oknie. Lecz wiedziałam, że to nieprawda. Bywały też zimy, jesienie i wiosny. Tylko po prostu o nich nie pamiętałam.

Byłam tak pogrążona w myślach, że kiedy usłyszałam głośny dźwięk klaksonu mijającego nas pojazdu, drgnęłam. Spojrzałam we wsteczne lusterko i zobaczyłam ciężarówkę Luke'a. Zwolniłam.

- Wszystko w porządku? - spytał Theo.

- Tak, absolutnie - odparłam, znowu zerkając w lusterko.

Luke zawrócił i jechał teraz za nami, doganiając nas szybko. Zamrugał przednimi reflektorami, a ja włączyłam migacz i skręciłam na pusty parking banku Coastal Federal. Chwilę po tym, jak zatrzymałam samochód, Luke podjechał obok nas.

- Dlaczego trąbiłeś klaksonem? - zapytałam go, opuszczając szybę.

- A dlaczego nie odpowiedziałaś na mój esemes? - zripostował, równie zirytowany jak ja. Pochylił się do przodu i przyjrzał się Theo trzymającemu skrzynkę na mleko.

- Myślałem, że zjemy razem kolację.

- Zawiadomiłam cię, że muszę pracować do późna.

- Kiedy mnie zawiadomiłaś?

- Gdy odpisałam na twój esemes.

Przecząco pokręcił głową.

- Nie dostałem żadnego.

Westchnęłam i wyjęłam komórkę, żeby mu udowodnić. Na ekranie była moja odpowiedź na jego esemes. Niewysłana.

- Ups - rzuciłam, unosząc komórkę. - Nie dotarł.

- Co ty powiesz? - odparł Luke. Wykrzywiłam się, a on odpowiedział tym samym.

- Więc pracowałaś? A co takiego robiłaś? Rozwoziłaś mleko?

- Luke!

- Właściwie - odezwał się Theo, a ja zobaczyłam, jak na dźwięk jego głosu przez twarz Luke'a przemknął wyraz irytacji - Emaline pokazywała mi kilka tutejszych miejsc. Do filmu dokumentalnego. Zabrała mnie do sklepu, w którym znalazłem ten przedmiot mający bezpośredni związek z jednym z obrazów Clyde'a. To naprawdę zdumiewające odkrycie.

Luke przez chwilę tylko wpatrywał się w niego bez słowa, a potem skupił uwagę na mnie.

- Jadę do domu. Zadzwoń do mnie później?

Skinęłam głową.

- Tak.

Luke wrzucił wsteczny bieg i cofnął samochód. Obserwowałam, jak z cichym piskiem opon wjechał na szosę. Po chwili przyspieszył i zniknął mi z oczu.

Theo i ja siedzieliśmy w aucie, tuż pod elektroniczną tablicą banku Coastal Federal, która poinformowała nas, że jest godzina 21.07, a temperatura wynosi 27 stopni. Potem ponownie. I trzeci raz. Wreszcie Theo się odezwał:

- No cóż, to było trochę krępujące.

- Nic się nie stało - odrzekłam, chociaż prawdę mówiąc, to było niepodobne do Luke'a, żeby coś go tak wyraźnie zirytowało.

- Przepraszam, jeśli spędzenie dzisiejszego wieczoru ze mną narobiło ci kłopotu - powiedział Theo.

- Wcale nie - zaprzeczyłam.

- On nie wyglądał na zachwyconego.

- Przejdzie mu.

Wyjechałam tyłem z parkingu, a potem skręciłam na szosę. Teraz, kiedy byliśmy w pobliżu miasteczka, widziało się więcej samochodów, więcej życia. Ludzie wracali do domów z kolacji w lokalach albo wybierali się do nocnych klubów. Gdy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle, Theo rzucił:

- Wy dwoje jesteście ze sobą od dawna.

To nie zabrzmiało jak pytanie, jednak odpowiedziałam, jakby nim było:

- Od dziewiątej klasy.

- Rany. - Odchylił się na oparcie fotela i wypuścił powietrze z płuc. - Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że nadal mógłbym być z którąś z dziewczyn, jakie podobały mi się w dziewiątej klasie.

- Nie?

Skrzywił się.

- Uch, nie. Ale właściwie gustowałam wtedy w chudych i złośliwych. Prawdopodobnie stały się teraz jeszcze chudsze i bardziej złośliwe.

- Albo grubsze i miłsze.

- Być może. - Spojrzał na bransoletki leżące na skraju skrzynki na mleko. - Ale nie mam ochoty tego sprawdzać. Najchętniej już nigdy więcej nie spotkałbym nikogo z liceum.

- Naprawdę? - spytałam. - Ale przecież skończyłeś je dopiero parę lat temu.

- Nieważne. Nawet za dziesięć lat nadal nie będę chciał widzieć żadnej z tych osób.

Światła się zmieniły i ruszyliśmy dalej.

- Wygląda na to, że nie najlepiej wspominasz liceum - zauważyłam.

- Chodziły do niego dzieci przedstawicielel elity, pasjonujące się głównie sportem. Jako maniak komputerowy, interesujący się historią kina i grający na puzonie, byłem w szkole przede wszystkim obiektem drwin albo workiem do bicia. Zazwyczaj jednym i drugim naraz.

Spojrzałam na niego.

- Grasz na puzonie? Naprawdę?

- Puzon to ogromnie niedoceniany członek rodziny instrumentów dętych blaszanych.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

- Tak, wiem - rzekł z westchnieniem. - Nie miałem pojęcia, jak być równym gościem. Jakbym sam się prosił o bicie.

- Wcale tego nie mówię.

- Nie musisz. Słyszałem to mnóstwo razy, zwykle tuż przedtem, zanim ktoś popchnął mnie tak, że uderzałem twarzą w szkolną szafkę. - Odezwał się sygnał jego komórki. Theo wyjął ją i rzucił okiem na wyświetlacz. - Ale w college'u było fantastycznie. Tabuny maniaków komputerowych. Żadnego popychania na szafki. O wiele lepiej.

- Miło mi to słyszeć - powiedziałam. - Ja wyjeżdżam do college'u w końcu sierpnia.

- Spodoba ci się tam - rzekł. - Zapewniam cię, że to całkiem inny świat.

Skinęłam głową i zwołałam przed kolejnymi światłami, podczas gdy Theo pisał odpowiedź na esemesa. Wiedziałam, że powinnam mu powiedzieć, że w gruncie rzeczy następne cztery lata nie będą stanowiły dla mnie wielkiej zmiany. W każdym razie nie na Uniwersytecie East. Ale chociaż potrafiłam opowiadać Theo o mojej przeszłości w Colby, przyszłość to całkiem co innego. Pomyślałam o tych mężczyznach w magazynie rybackim, o Rachel Gertmann siedzącej w oknie przy stole. Wydawało się, że ludzkie sprawy albo pozostają wciąż takie same, albo nieodwracalnie się zmieniają. I jak zazwyczaj, gdy stawałam wobec trudnego wyboru, zapragnęłam, by istniało jakieś jasne i proste pośrednie wyjście.

## 8

- Gdzie Luke?

To najwyraźniej było pytanie za milion dolarów, chociaż nie spodziewałam się, że zada je Benji. A przynajmniej nie natychmiast, gdy tylko mnie zobaczy. Nie zdążyłam nawet jeszcze dojść alejką do drzwi domu panny Ruth.

- Wezwano go do pracy - powiedziałam. - Nagła konieczność oczyszczenia basenu.

Benji rzucił mi powątpiewające spojrzenie. Wiedziałam, że to kiepskie kłamstwo, ale nie miałam pojęcia, gdzie jest Luke, bo nie odpowiadał na moje telefony i esemesy. Pan Beztroski najwyraźniej stracił tę cechę po wczorajszym wieczornym spotkaniu na szosie.

- Gdybyś mnie spytała, powiedziałbym, że on zachowuje się po prostu jak duże dziecko - rzekł do mnie wcześniej Morris, gdy opowiedziałam jemu i Daisy, co zaszło.

Siedzieliśmy na ławce przed salonem kosmetycznym Wave Nails, w którym Daisy miała zaraz rozpocząć swoją „ginekologiczną” turę.

- Nie pytałam cię - odparłam.

- Myślę - odezwała się Daisy ze spinką w ustach, bo związywała włosy w węzeł - że Luke rzeczywiście zareagował trochę przesadnie. Ale spójrz na to z jego punktu widzenia. Zignorowałaś esemes od niego i spotkałaś się z innym facetem. Zdenerwował się.

- Jak duże dziecko - powtórzył z uporem Morris.

Pominęłam jego uwagę i odwróciłam się znowu do Daisy.

- Powiedziałam mu, że przez pomyłkę nie wysłałam odpowiedzi. W ogóle nie zamierzałam nigdzie wybierać się z Theo. Sytuacja mnie do tego zmusiła.

- Wiem. - Daisy wyjęła z ust spinkę i spięła nią kok. - Ale Luke dowiedział się o tym dopiero wtedy, kiedy cię zobaczył. Zinterpretował tę sytuację po swojemu.

Przewróciłam oczami. Za nami przejechał z jęklwym wyciem motorower. Morris przyjrzał się mu i oświadczył:

- Wiecie, te motorowery w gruncie rzeczy nie są takie irytujące.

- Są - powiedziałyśmy równocześnie Daisy i ja.

- Ale skoro Luke uparcie mnie ignoruje - mówiłam dalej - nie mogę go przeprosić.



Więc co mam zrobić?

- Po prostu daj mu trochę czasu, żeby ochłonął - poradziła mi Daisy. - Znasz Luke'a i wiesz, że tak się stanie.

Oczywiście miała rację. To było zwykłe nieporozumienie, spotęgowane przez nas oboje wskutek zmęczenia po całym dniu pracy. Nic wielkiego. A jednak czułam niepokój, wchodząc po schodkach na szeroką frontową werandę domu panny Ruth, na której czekał na mnie Benji, siedząc na ogrodowej bujanej ławeczce. On też wyglądał na przygnębionego. Najwyraźniej wszyscy faceci w moim życiu cierpieli na zespół objawów przedmiesiączkowych.

- Gdzie twój tata? - spytałam go.

Benji wskazał głową uchylone drzwi wejściowe z zasuniętą siatką.

- Rozmawia przez telefon z mamą.

- Co u niej?

Wzruszył ramionami i odepchnął się do tyłu od podłogi stopami w tenisówkach. Huśtawka zaskrzypiała.

- Oni stale godzinami gadają przez telefon.

- Ach, tak? - Znowu popatrzyłam na frontowe drzwi. - Może po prostu zajrzę tam i powiem mu, że wychodzimy na chwilkę?

To ożywiło Benjiego.

- Naprawdę? Moglibyśmy wyjść?

- Nie zaszkodzi spytać. Zaczekaj tu.

Podeszłam do drzwi, otworzyłam je ostrożnie i weszłam do środka. W domu panował półmrok, ale wewnątrz wyglądało niemal tak, jak je zapamiętałam: ciemne podłogi z twardego drewna, zwiewne firanki w oknach, ciężkie meble. Przypominając sobie wcześniejszą rozmowę z ojcem, obejrzałam klamkę. Nie była uszkodzona.

- ...mówię tylko, że to bez sensu - usłyszałam głos ojca dobiegający z drugiego końca korytarza. Zatrzymałam się, nie chcąc podsłuchiwać, ale uświadomiłam sobie, że już to robię. - To długa podróż jak na zaledwie dwudniową wizytę i sądziłem, że uzgodniłszy... no cóż, tak to rozumiałem. To nic nie da. Twój przyjazd tutaj, bez względu na wszelkie udawanie, nie zmieni tego.

Ojej, jęknęłam w duchu i obejrzałam się na Benjiego. Ojciec przez chwilę milczał, ale słyszałam, jak chodzi tam i z powrotem po kuchni.

- Tak, wiem. Ja też nie chcę tego robić. Ale czy naprawdę uważasz, że możemy być tu razem, a on się nie domyśli, co się dzieje? Na tym właśnie polegała idea tej podróży: żebyśmy ustalili szczegóły, podczas gdy... - Umilkł. - No cóż, zakładałem,

że się na to zgodziłyśmy.

Wiedziałam, że powinnam po prostu zawrócić i poczekać na dworze, aż on skończy rozmowę. Ale nie mogłam znieść myśli, że Benji mógłby coś z niej usłyszeć.

- Halo! - zawołałam głośniej, niż to było konieczne.

Ojciec stanął w progu otwartych drzwi kuchni z telefonem przy uchu.

- Och, przepraszam - wyszeptałam z udawanym zaskoczeniem. - Ja tylko...

- Zaczekaj, Leah. - Zakrył dłonią mikrofon. - Emaline, nie wiedziałem, że tu jesteś.

- Chciałabym zabrać Benjiego na minigolfa, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziałam, nadal zniżając głos. - Przyprawdżę go za godzinę czy dwie.

Przez chwilę spoglądał na mnie, a potem na lekko uchylone frontowe drzwi za moimi plecami.

- Tak, oczywiście - rzekł. I dodał: - Dziękuję.

Wymknęłam się z powrotem na dwór i uśmiechnęłam do Benjiego.

- Możemy iść - oznajmiłam. - Ruszajmy.

- Super! - wykrzyknął, zeskakując z huśtawki.

Zbiegł po schodach na alejkę. Przyglądając mu się, poczułam ukłucie smutku na myśl o tym wszystkim, czego jeszcze nie wiedział. Przynajmniej mogłam zabrać go na minigolfa.

Kiedy znaleźliśmy się w parku rozrywki SafariLand, Benji wybrał niebieski kij do uderzeń na niewielką odległość, podczas gdy ja z przyzwyczajenia wzięłam żółty. W dzieciństwie zawsze lubiłam kolor żółty, Amber lubiła czerwony, a Margo niebieski. Zabawne, jakie rzeczy pamiętamy. Udaliśmy się w kierunku pierwszego dołka, do którego uderzenie jest nałatwiejsze.

- W porządku - powiedziałam. - Zaczynaj.

Benji położył na ziemi piłeczkę i przybrał odpowiednią postawę, lekko kołysząc biodrami. Stłumiłam uśmiech, co jednak szybko przekształciło się w stłumienie jęku, gdy Benji zamachnął się kijem wysoko znad głowy i z całej siły uderzył piłeczkę. Poszybowała w powietrzu i wylądowała w krzakach przy ósmym dołku.

- O rany - zdołałam wydusić, gdy gracze przebywający przy tamtym dołku spojrzeli na nas z niepokojem. Uśmiechnęłam się i pomachałam do nich na znak, że owszem, to my jesteśmy odpowiedzialni za wystrzelenie tego pocisku. - Spokojnie.

- Przepraszam - powiedział Benji.

Pobiegłam, żeby przynieść piłeczkę, przeskakując po drodze przez niewielki strumyk. Przez chwilę macałam na oślep w krzakach, starając się nie myśleć o leżących tam rozmaitych śmieciach. Park rozrywki SafariLand wybudowano

jeszcze przed moim urodzeniem i nie słyszał ze szczególnych standardów czystości.

Gdy wróciłam, Benji wyglądał na przestraszonego.

- Ja nie chciałem... - zaczął i urwał, kopiąc stopą trawę. - Po prostu w telewizji tak robią.

- Wiem. Ale takie uderzenia nadają się raczej na długie tory golfowe w turniejach Masters - wyjaśniłam mu, kładąc piłeczkę z powrotem na czarnym polu startowym.

- Minigolf wymaga delikatniejszych uderzeń. Prawda?

- Nie wiem. Nigdy wcześniej w niego nie grałem.

Starłam się nie okazać zaskoczenia.

- Nie?

Pokręcił głową.

- To coś, czego my nie... - Umilkł, znowu się ustawił i ostrożnie uderzył piłeczkę. Potoczyła się do przodu, idealnie wymierzona, i wpadła prosto do dołka. - Nie.

W pamięci przemknęła mi sytuacja sprzed dwóch lat, kiedy Benji siedział z Leah przy stole w restauracji i chciał kredki, ale powiedziano mu, żeby zamiast tego zajął się słowną układanką.

- Bardzo dobrze - pochwaliłam go. - Cóż, wszystko robi się kiedyś po raz pierwszy. A dalej będzie kilka dołków, przy których potrzeba naprawdę mocnego uderzenia.

- Tak? - upewnił się.

Kiwnęłam głową, a potem położyłam moją piłeczkę, żeby ją uderzyć. Nie potrafiłam nawet zliczyć, ile razy grałam na tym torze golfowym: w dzieciństwie, później jako gimnazjalistka, aż do momentu gdy ja również, podobnie jak teraz Benji, podeszłam do gry z nadmiernym zapałem i piłeczka uderzyła Luke'a w czoło. Mój tata był zawsze zwolennikiem aktywnego spędzania czasu przez całą rodzinę, a w niektóre wieczory w SafariLand dzieci mogły grać w minigolfa za darmo. Nie miało znaczenia (przynajmniej dla niego), że moje siostry i ja szybko nudziłyśmy się grą i kłóciłyśmy się, wlokłyśmy kije za sobą albo zamachiwałyśmy się nimi na siebie nawzajem. Musiałyśmy brać udział w tych wspólnych eskapadach, czy nam się to podobało, czy nie. Teraz jednak, gdy Benji i ja przeszliśmy do następnego dołka, uświadomiłam sobie, że wcale nie mam z nich złych wspomnień.

Przy dołku z wiatrakim ze względów sentymentalnych zadzwoniłam do Luke'a. Nie odebrał. Wysłałam więc zdjęcie Benjiego szykującego się do uderzenia w kierunku wiatraka i napisałam: *Szkoda, że cię tu nie ma*. Tym razem upewniłam się, że zdjęcie i tekst zostały wysłane.

Ponieważ Benji był absolutnym nowicjuszem, przy siódmym dołku przestałam

notować wyniki i pozwoliłam, żeby po prostu bawił się grą, zapominając o regułach. Kiedy przy osiemnastym dołku trafił piłeczką w nos klauna (po jakichś dziesięciu próbach wycelowania pod różnymi kątami), w niczym już nie przypominał niedawnego ponurego chłopca siedzącego na werandzie.

- Chcesz zagrać jeszcze raz? - zapytał mnie, kiedy wybrzmiały już syrena i cyrkowa muzyka oznajmiające zakończenie partii.

- Nie - odparłam. - Chodźmy do automatów czy czegoś innego.

- Automatów? - powtórzył rozpromieniony. - Fantastycznie!

Otworzyłam portfel i poszperałam w nim, sprawdzając, czy mam jakieś karty SafariLand. Kiedy byłam dzieckiem, za punkty zdobyte podczas gry na automatach wydawano staroświeckie papierowe kwity, które można było potem wymienić na wybrane zabawki i trofea trzymane w zakurzonej skrzynce przy barze przekąskowym. Jednak kilka lat temu zastąpiono te kwity systemem kart debetowych przeznaczonych zarówno dla graczy, jak i do kontrolowania opłat kredytowych. Miałam zawsze co najmniej jedną taką kartę na dnie torebki, zazwyczaj pokrytą kłaczkami kurzu i na wpół roztopionymi listkami gumy do żucia.

- Aha, jest! - oznajmiłam, wyjmując kartę z obrazkiem przedstawiającym uśmiechniętego lwa. Odwinęłam z niej poplątaną gumkę do włosów, wytarłam kartę o szorty i wsunęłam w szczelinę automatu do gry w skee-ball, żeby sprawdzić saldo.

- Siedem dolarów i siedemdziesiąt dziewięć centów - oznajmiłam Benjiemu, gdy ta suma pojawiła się na wyświetlaczu. Wręczyłam chłopcu kartę. - Powinna ci na jakiś czas wystarczyć.

- Mogę wydać wszystko?

- Jasne - powiedziałam. - Ale jedna rada: Nie marnuj czasu na automat do łowienia zabawek. Nie widziałam nigdy, żeby ktokolwiek tam coś wygrał. Nawet Luke, a on przed kilkoma laty był mistrzem wszystkich tych gier.

Benji popatrzył na automat pełen pluszowych zwierzątek, które wyglądały z pozoru, że łatwo będzie je chwycić wiszącymi nad nimi metalowymi szczypcami.

- Dobrze. Zresztą i tak wolę gry wideo.

- Świetnie. Ja pójdę się czegoś napić, dobrze? Zaraz wrócę.

Kiwnął głową i odszedł z kartą w ręku wzdłuż rzędu głośnych, migoczących automatów. Ruszyłam w kierunku baru przekąskowego, po drodze sprawdzając komórkę. Nie było żadnej odpowiedzi od Luke'a - przynajmniej na razie.

Weszłam do baru i wzięłam napój. Potem raz jeszcze spróbowałam zadzwonić do Luke'a i rozłączyłam się, gdy znowu odezwała się poczta głosowa. Dlaczego tak się dzieje, że kiedy podejrzewamy, że ktoś celowo nie odbiera naszych telefonów, tym

bardziej desperacko usiłujemy się do niego dodzwonić? Powiedziałam sobie, że powinnam ochłonąć, i schowałam komórkę.

Dostrzegłam Benjiego przy jednym z automatów z wyścigami samochodowymi. Gwałtownie kręcił kierownicą, a przed nim migotał ekran. Miałam już do niego iść, gdy komórka w mojej kieszeni zabrzęczała. Nareszcie!, pomyślałam, wyjęłam ją i wcisnęłam guzik odbioru.

- Cześć - powiedziałam i zasłoniłam dłonią drugie ucho, żeby zagłuszyć hałas wokoło. - Szkoda, że tego nie widziałeś. Benji śmiertelnie groźnie machnął kijem golfowym. Widocznie to w naszej rodzinie dziedziczne.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. A potem:

- Emaline?

To był Theo. Ups.

- Och, cześć. Przepraszam, ja...

- Co?

- Zaczekaj chwilę. - Podeszłam do budki fotograficznej i wśliznęłam się do środka. Nie było tam cicho, jednak trochę ciszej. - W porządku. Słyszysz mnie?

- Tak, znacznie lepiej - odrzekł. - Gdzie jesteś?

Spojrzałam na ekspozycję zdjęć na wewnętrznej ścianie budki przede mną; wszystkie upozowane, choć mające wyglądać na naturalne i spontaniczne. Dziewczyna wystawiająca dwa palce za głowę drugiej dziewczyny; rodzina stłoczona ciasno i robiąca miny. Natomiast w lustrzanym obiektywie aparatu widziałam odbicie swojej znużonej twarzy.

- Spędzam czas z moim... z Benjim.

Wiedziałam oczywiście, że Benji to mój przyrodni brat. Ale nazwanie go tak czy jakkolwiek wydawało mi się dosyć dziwne.

- Och, jasne - rzekł Theo. - Więc... zadzwoniłem, żeby ci powiedzieć, że Ivy wpadła w zachwyty na widok tej skrzynki na mleko. Wręcz nie mogła w to uwierzyć.

- Naprawdę?

- Och, tak. Zyskałem u niej sporo punktów. Jestem twoim wielkim dłużnikiem.

Znowu popatrzyłam na te zdjęcia, wiszące w paskach po cztery. Na pierwszej górnej fotce jakiś chłopak zamykał oczy, a dziewczyna cmokała go w policzek. Na następnej całowała go w usta. Potem do dwóch ostatnich fotografii oboje odwrócili się wprost do aparatu i na jednej uśmiechali się lekko, a na drugiej śmiali.

- Drobiazg, nie ma o czym mówić - odrzekłam.

Przez chwilę milczeliśmy. Usłyszałam na zewnątrz pisk opon komputerowego samochodu Benjiego, a następnie huk zderzenia. Theo powiedział:

- Zastanawiałem się więc, czy któregoś dnia nie mogłabyś znowu odegrać roli mojej przewodniczki. To znaczy, w dogodnym dla ciebie czasie.

Odsunęłam kotarę w budce i popatrzyłam na Benjiego. Na ekranie nad nim widniał napis: KONIEC GRY. Jednak Benji nadal kręcił kierownicą. Usiadłam z powrotem w budce.

- Sama nie wiem - odparłam, przypominając sobie minę Luke'a przedwczorajszej nocy, kiedy podjechał do nas. - Mam teraz naprawdę dużo pracy i...

Theo czekał chwilę, żebym dokończyła zdanie. Kiedy się nie odezwałam, powiedział:

- Och, jasne, oczywiście. Rozumiem. Tak przypuszczałem, że jesteś bardzo zajęta.

Skinęłam głową do swojego odbicia.

- Owszem.

- Emaline?

Zobaczyłam u dołu kotary dwie chude kostki nóg w skarpetkach i butach Nike. Odsunęłam ją i spojrzałam na Benjiego.

- Hej. Za chwilę wyjdę.

- Super - rzucił. - Mogę wejść?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wcisnął się obok mnie na krótką ławeczkę, pochylił się do przodu i spojrzał w obiektyw aparatu. Czułam jego ciepłe ramię przy swoim, słyszałam, jak tupie stopą w podłogę.

- Muszę już kończyć - powiedziałam do Theo, gdy Benji wyjął kartę SafariLand, którą mu dałam, i wsunął w szczelinę.

Na ekranie za aparatem zapłonął rząd świateł.

- Och, jasne - odrzekł pośpiesznie Theo. - Na pewno jeszcze gdzieś na siebie wpadniemy.

- Pewnie. To małe miasteczko - przyznałam.

- Tak. - Cisza. Z jakiegoś powodu cała ta rozmowa wydawała się krępująca. - Cześć, Emaline.

- Cześć.

Rozłączyłam się i położyłam komórkę na kolanach. Na ekranie nad aparatem fotograficznym pojawiło się polecenie: UŚMIECHNIJ SIĘ!, a potem kolejne cyfry od pięciu wstecz przy akompaniamencie serii bipnięć. Przy pierwszym błysku flesza Benji wystawił język. Pstryk!

- Zrób coś głupiego - rzekł do mnie i zademonstrował, co ma na myśli, marszcząc nos tak, aby upodobnić go do świńskiego ryjka.

Ale chociaż mu się przyglądałam, nie zdążyłam w porę nic wymyślić. Pstryk! Zostały jeszcze dwa zdjęcia.

- Teraz poważna mina - powiedziałam, obejmując ramieniem jego chude plecy. - Dla mnie.

Jednak Benji zrobił zeza. Pstryk! Szturchnęłam go wolną ręką.

- No, już dobrze - rzekł, chichocząc.

Automat znowu odliczał na ekranie czas. Patrzyłam na zdjęcia na ścianie przedstawiające ludzi szczęśliwych i roześmianych, kochających i uroczych, na wszystkie te zmyślane momenty wyobrażonych żyć. Ogarnął mnie nagle niewytłumaczalny smutek. Ale potem spojrzałam na Benjiego, który uśmiechał się, jak mu wcześniej poleciłam. Tak więc też przywołałam na twarz uśmiech, w samą porę. Pstryk!

\* \* \*

Godzinę później podrzuciłam Benjiego przed dom panny Ruth i siedziałam w samochodzie, przyglądając się, jak wchodzi po schodach. W jedną rękę trzymał paletkę i gumową piłeczkę, zdobyte dzięki punktom wygranym na automatach, a w drugiej trzy z czterech zdjęć. Kiedy znalazł się już w środku, wetknęłam ostatnie zdjęcie, które zatrzymałam, za wskaźnik paliwa i odjechałam.

Wieczór był ciepły, niemal parny, ale miałam w samochodzie opuszczone szyby, bo potrzebowałam świeżego powietrza po tak długim wdychaniu zapachów sali z automatami. Luke wciąż się nie odezwał, co było już nie tylko irytujące, lecz także niepokojące. Postanowiłam więc go odszukać.

Najpierw pojechałam na parking u wylotu deptaka, w razie gdyby był w sklepie rowerowym Abe's albo w restauracji Last Chance. Kiedy go tam nie znalazłam, wyruszyłam na cypel, który okazał się niemal pusty, z wyjątkiem grupy uczennic pierwszej klasy liceum na tylnym siedzeniu SUV-a. Zawróciłam i przejechałam przez dzielnicę Luke'a, w nikłej nadziei, że może jest w domu. Ale go nie było. Ruszyłam w kierunku mojego domu, zastanawiając się, gdzie jeszcze mam go szukać, i wtedy zobaczyłam ciężarówkę Luke'a zaparkowaną przed barem Finz, tuż obok land cruisera jego kumpla Willy'ego.

Podjechałam do ciężarówki z drugiej strony, wyłączyłam silnik i siedziałam, rozmyślając. Wiedziałam, że powinnam po prostu wejść do baru i rozwiązać tę sytuację. Ale Willy był typem plotkarza (nie cierpiałam tej cechy u facetów jeszcze bardziej niż u dziewczyn) i gdyby zauważył jakiegokolwiek napięcie między mną

a Lukiem, natychmiast by to rozgłosił. Wysiadłam, podeszłam do ciężarówki i sprawdziłam drzwi kabiny od strony kierowcy. Okazały się otwarte, więc wsiadłam, znalazłam ołówek i zaczęłam się rozglądać za jakąś kartką.

Na podłodze leżało opakowanie po podwójnym hamburgerze. Było jednak zatłuszczone, więc otworzyłam skrytkę na rękawiczki i poszperałam w niej. Wygrzebałam świstek białego papieru, na którym było coś nagryzmolone. Druga strona była pusta, więc rozprostowałam kartkę na desce rozdzielczej. Siedziałam, zastanawiając się, co właściwie chcę napisać. Nagle przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, czy po drugiej stronie kartki nie ma czegoś ważnego. Odwróciłam ją i przeczytałam:

*Naprawdę wyglądasz lepiej bez niej (twojej koszuli).*

*Melissa 919-555-2323*

Błysnął mi obraz tamtej czarnowłosej dziewczyny w naszym biurze, wsuwającej ten świstek pod wycieraczkę. Luke go nie wyrzucił, tylko złożył starannie i schował jak coś cennego. Potem zauważyłam pod tymi słowami coś nabazgranego niewyraźnie ołówkiem. Trudno to było odczytać, jak zawsze. Ale miałam wprawę w odczytywaniu charakteru pisma Luke'a. Tak więc po chwili ta notatka i cała sytuacja stały się dla mnie jasne.

*W domu Fancy Free - napisał. - Do niedzieli.*

Przypuszczalnie użył tego samego ołówka, który teraz trzymałam, do zanotowania tej informacji, gdy dzwonił do tej dziewczyny. Ale kiedy to zrobił? Tamtego dnia? Czy po tym, jak widział mnie z Theo?

Odłożyłam ołówek z powrotem na deskę rozdzielczą i ponownie złożyłam kartkę. Gdy wysiadałam z ciężarówki, miałam wrażenie, jakbym obserwowwała kogoś innego. Kartkę zostawiłam na siedzeniu, gdzie Luke natychmiast ją zauważył. Kolejny sygnał ode mnie, który może zignorować, jeśli zechce. Miałam jednak przeczucie, że tego nie zrobi.

Kiedy dotarłam do domu i wjechałam na podjazd, spostrzegłam zapalone światła na piętrze. Ale gdy weszłam do środka i ruszyłam korytarzem do swojego pokoju, nie usłyszałam żadnych dźwięków ani nie znalazłam wewnątrz żadnych oznak czyjejs obecności. Moje łóżko wyglądało tak, jak je zostawiłam, zaścielone, na drzwiach łazienki wisiał na haczyku ręcznik, którym wycierałam się dziś rano po



wzięciu prysznic. Powinnam być zadowolona, że matka i siostra w końcu okazały respekt dla mojej prywatności, jakiego od dawna bezskutecznie się domagałam. Lecz zamiast tego przyłapałam się na tym, że nasłuchuję jakichkolwiek dźwięków z górnego piętra. Odgłosu kroków, czyjegoś głosu, trzasku zamykanych drzwi. Czegokolwiek, co by mnie upewniło, że nie jestem tak samotna, jak sądzę.

\* \* \*

- Kawy?

Skinęłam głową, odwróciłam kubek i przysunęłam go bliżej krawędzi stołu. Kelnerka - dziewczyna z kolczykiem w wardze i tatuażem na ramieniu, który wyglądał jak okrąg z kątomierza - naląła do niego kawy.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Bardzo proszę. Czy nadal czeka pani na kogoś jeszcze?

- Tak.

Nadal czekam, pomyślałam, gdy przeszła do następnego stolika. Spojrzałam na zegarek. Było tuż po ósmej rano; minęło niemal dwanaście godzin, odkąd zaczął się cały ten koszmar. Chociaż nazwanie tak tej sytuacji sprawiało wrażenie, jakby tylko mi się przyśniła, a przecież tak nie było. Nawet po tym, jak Luke i ja umówiliśmy się na spotkanie przy śniadaniu, rzucałam się i przewracałam w łóżku aż do świtu, obserwując zmieniające się czerwone cyfry godzin na zegarze na nocnym stoliku.

- Cześć - powiedział Luke, kiedy w końcu zadzwonił wczoraj około jedenastej w nocy. - To ja.

- Cześć.

Krępująca atmosfera między nami wydawała się tak gęsta, że trudno było oddychać i myśleć.

- Chyba powinniśmy porozmawiać - rzekł po długim milczeniu.

- Tak.

Przełknęłam ślinę z wysiłkiem, zastanawiając się, czy mógł się zorientować, że wcześniej płakałam. Szczerze, wciąż nie potrafiłam uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Wiedziałam, że mnóstwo ludzi kłamie i oszukuje. Ale Luke był jednym z tych uczciwych. Z drugiej strony, do tej pory byłam też pewna, że należy tylko do mnie.

- Czy... czy zadzwoniłeś do niej? - spytałam.

- Emaline - rzekł ze smutkiem w głosie.

- Po prostu mi powiedz.

Znowu chwila ciszy. Zbyt długa, żeby nastąpiło po niej coś, co chciałam usłyszeć.

- Tak, zadzwoniłem.

- Dlaczego?

Podczas kolejnych minut ciszy pomyślałam o dniu naszej pierwszej randki, dawno temu, w dziewiątej klasie. O tym, jak zobaczyłam Luke'a idącego ku mnie zatłoczonym szkolnym korytarzem przed pierwszą lekcją i poczułam się jednocześnie zdenerwowana i szaleńczo szczęśliwa. Teraz gardło mi się ścisnęło i odchrząknęłam. Byłam aż nazbyt świadoma tego, że wciąż nie odpowiedział na moje pytanie.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać bezpośrednio - rzekł wreszcie. - Nie przez telefon.

Przygryzłam wargę.

- Dobrze. Kiedy?

- Jutro przed pracą? W Last Chance? Powiedzmy, o ósmej?

- Dobrze.

Zbyt wiele milczenia, pomyślałam, gdy znowu zapadła niezręczna cisza. Luke i ja robiliśmy razem wiele rzeczy, ale bardzo rzadko milczeliśmy. Obecnie jednak nie miałam nic oprócz milczenia w ciągu następnych godzin, z których większość spędziłam na tasowaniu wydarzeń minionych dwóch dni, tak jak je zapamiętałam, i próbach ułożenia z nich czegoś innego. Ale za każdym razem widziałam tylko tamtą dziewczynę wsuwającą kartkę za wycieraczkę jego ciężarówki.

Przysunęłam sobie kubek z kawą i wypłam łyk. Właśnie odstawiałam kubek na stół, gdy zadźwięczał dzwonek nad frontowymi drzwiami i wszedł Luke.

Rozejrzał się z poważną miną. Zobaczył mnie i wyraz jego twarzy złagodniał, co wywołało u mnie podobną reakcję. Och, mój Boże - pomyślałam. - Proszę, nie. Nie. Ale wtedy Luke usiadł naprzeciw mnie i to już się działo.

- Przepraszam - rzekł bez żadnego wstępu. To słowo wyrwało mu się pospiesznie, jakby wstrzymywał je wraz z oddechem. - Bardzo cię przepraszam, Emaline.

Z wysiłkiem przełknęłam ślinę. Wróciła kelnerka z dzbankiem kawy. Luke odwrócił swój kubek, a ona go napełniła, po czym, na całe szczęście, odeszła.

- Nie wiem jeszcze, za co mnie przepraszasz.

Przegarnął dłonią włosy i wyjrzał przez okno na deptak i ocean za nim. Dzień był pochmurny, szare, płaskie niebo wisiało nisko nad horyzontem. Czekałam, żeby Luke mówił dalej. Ale się nie odzywał.

- W porządku - rzekłam wreszcie. - Wkurzyłeś się na mnie za to, że nie odpowiedziałam na twój esemes, ponieważ byłam z Theo. Więc zadzwoniłeś do niej.

Rozumiem to. Nie jestem z tego powodu szczęśliwa, a to, co się stało, niewątpliwie stanowi oznakę jakiegoś większego problemu między nami. Ale...

- To było przedtem.

Chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło. Jak rozrzucone litery czy dźwięki, które trzeba z powrotem ułożyć.

- Co?

Powoli odwrócił wzrok od okna i spojrzał mi w twarz.

- Zadzwoiłem do niej, zanim cię z nim zobaczyłem.

- Ty... - urwałam, uświadamiając sobie, że warknęłam wściekle. - Dlaczego?

- Nie wiem - odparł.

- To nie jest wystarczająca odpowiedź - rzekłam do niego, jakby to był teleturniej, a on wyraził się nieprecyzyjnie. - Spróbuj jeszcze raz.

Patrzyłam, jak wypuścił powietrze z płuc, jego tors opadł.

- Wiesz, ostatnio nie widywaliśmy się zbyt często. Nasz związek zrobił się... dziwny. No wiesz, jakby coś między nami się skończyło. A potem ona zostawiła ten liścik...

- I postanowiłeś mnie zdradzić - dokończyłam za niego.

- To nie było tak. - Zamknął oczy i potarł palcami grzbiet nosa. - Posłuchaj, nie jestem pewien, dlaczego do niej zadzwoniłem. A ona powiedziała, że tamtego wieczoru wychodzi na miasto z przyjaciółkami i że powinienem się z nimi spotkać. Nie planowałem tego. A przynajmniej tak myślę.

Wstrzymałam oddech w obawie, że nawet najcichszy dźwięk może sprawić, że on powie to, czego tak bardzo nie chciałam usłyszeć.

- Ale później - ciągnął, opuszczając rękę - rzeczywiście zobaczyłem cię po tym, jak olałaś mój esemes. Wkurzyłem się. Więc poszedłem tam.

- Spotkałeś się z nią - uściśliłam. Skinął głową, nie patrząc na mnie. - Czy się z nią przespałeś?

- Nie! - odparł zaskoczony. - Boże, Emaline. Naprawdę myślisz, że mógłbym to zrobić?

- Nie wiem już, co o tobie myśleć! - Kobieta w sąsiednim boksie odwróciła się nieco i zerknęła na nas. Zniżyłam głos: - Poważnie, jak mogłeś zrobić coś takiego?

- To nie ja z nas dwojga zachowałem się w sposób budzący wątpliwość. Spędzałaś czas z innym facetem, pamiętasz?

- To miało związek z pracą.

- Och, jasne - rzekł, przewracając oczami. - Przecież stale jeździsz po zmroku z jakimiś gośćmi w oficjalnych sprawach waszej firmy!

- Ja tylko obwiozłam Theo po miasteczku - zripostowałam. - Nie byliśmy razem w żadnym klubie. A tak w ogóle, dokąd wy poszliście? Do Tallyho?

Żartowałam, chociaż to wszystko wcale nie było zabawne. Ale kiedy Luke tylko spojrzał na mnie w milczeniu i zaczerwienił się lekko, zapragnęłam po prostu się rozpłakać.

- O mój Boże - wyszeptałam. - Luke. Naprawdę?

I właśnie w tym momencie przy naszym stoliku pojawiła się kelnerka z notesem w ręce.

- Czy państwo są już gotowi złożyć zamówienie?

Jedzenie było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę. Ale z jakiegoś powodu poprosiłam o to co zwykle - jajecznicę na bekonie i tost. Luke wziął jak zawsze bułkę z jajkiem i szynką. Chociaż wszystko inne przestało już być normalne, zestaw śniadaniowy najwyraźniej się nie zmienił.

Kiedy kelnerka się odaliła, żadne z nas dwojga przez chwilę się nie odzywało. Siedzieliśmy w milczeniu, a wokół rozbrzmiewały odgłosy restauracji: brzęk widelców o talerze, rozmowy innych gości przy stolikach i kontuarze, dźwięk dzwonka nad drzwiami. W końcu spytałam:

- Więc co teraz? Zrywamy ze sobą?

- Nie wiem. - Skubnął papierową serwetkę, strzępiąc jej brzeg. - Może po prostu spędźmy trochę czasu osobno, żeby pomyśleć.

- To takie banalne. - Potrząsnęłam głową i znowu spojrzałam przez okno na ocean. - Teraz powiesz jeszcze, że to nie moja wina, tylko twoja.

Westchnął, lecz nie skomentował tej uwagi. Zamiast tego rzekł:

- Posłuchaj, Emaline, jesteśmy ze sobą od dziewiątej klasy. Za kilka tygodni idziemy do college'u. Zastanawiam się po prostu, no wiesz, czy to stało się z jakiegoś powodu. Jakby nam obojgu czegoś brakowało.

- Na przykład randki z turystką w Tallyho? - spytałam. - Och nie, zaczekaj. Przecież ty już ją odbyłeś.

- Nie musisz się ze mną zgadzać. Ale jestem pewien, że jeśli się nad tym zastanowisz, być może zrozumiesz, co mam na myśli.

- Nie licz na to - odparłam.

Odgarnęłam za ucho pasmo włosów i znowu się rozejrzałam. Kolejny zwykły piątek - albo przynajmniej tak by się wydawało. Ale gdzieś głębiej ten świat, który postrzegałam jako trwały - nie idealny, ale trwały - gwałtownie pękał. Miałam wrażenie, jakbym rozpadała się na kawałki razem z nim.

- Nie muszę niczego rozumieć, Luke. Po prostu to zrobiłeś.

Milczał. Czułam, że mi się przygląda, czułam na sobie ciężar jego badawczego spojrzenia, chociaż patrzyłam na rybitwę latającą nad nadmorskim bulwarem. Miała rozpostarte skrzydła i szybowała na wietrze w górę i w dół, w górę i w dół.

- Przepraszam - rzekł znowu.

Kątem oka dostrzegłam nagły ruch, gdy Luke wstał z krzesła, zostawił na stoliku kilka banknotów za śniadanie, którego nie zjadł, i odszedł. Pomyślałam znowu o tamtych porankach na szkolnym korytarzu dawno temu, w dziewiątej klasie. Wszystko między nami zaczęło się tak prosto, każdy aspekt był jasny i wyraźny. Najwidoczniej zakończenia wyglądają inaczej. Trudniej je zobaczyć, są pełne nieokreślonych kształtów, a wszystkie rzeczy, których kiedyś było się tak pewnym, stają się nagle obce czy wręcz całkiem nierozpoznawalne.

## 9

Zjawiłam się w pracy spóźniona o pół godziny, z małym plastikowym pudełkiem na jedzenie na wynos, w którym była zapakowana niezjedzona przez Luke'a bułka. Chciałam po prostu zostawić ją na stoliku, ale kelnerka nalegała, żebym ją wzięła.

- One całkiem długo się nie zsyhają, jeśli trzyma się je w lodówce - wyjaśniła, owijając starannie bułkę woskowanym papierem. - Kiedy będzie pani chciała ją zjeść, wystarczy tylko włożyć na jakieś trzydzieści sekund do kuchenki mikrofalowej nastawionej na niewielką moc.

Skinęłam głową. Tak musi się czuć ktoś w szoku, myślałam, gdy jej płaciłam, dodając napiwek, i niosłam pudełko do samochodu. Po drodze mijałam pojemniki na śmieci i przy każdym mówiłam sobie, że powinnam wyrzucić tę bułkę. Ale tego nie zrobiłam. Jakby w tym pudełku był ostatni fragment normalności, a ja nie potrafiłam jeszcze z niego zrezygnować.

Kiedy dotarłam do biura, przybrałam zaaferowany wyraz twarzy i weszłam do środka, zamierzając udać się prosto do magazynu na tyłach, żeby wziąć ręczniki i cokolwiek jeszcze należało dostarczyć klientom, którzy sobie tego zażyczyli. Zobaczyłam jednak, że wszyscy zgromadzili się w salce konferencyjnej. Był piątek, godzina dziewiąta, co oznaczało kolejne z urządzanych przez Margo obowiązkowych zebrań. Cholera.

- Emaline, jak miło z twojej strony, że do nas dołączyłaś - powiedziała. - Przyniosłaś jedzenie dla wszystkich, czy tylko dla siebie?

Zignorowałam to pytanie i usiadłam obok mamy pochłoniętej wpisywaniem czegoś do komórki; na stole przed nią stała jej poranna butelka Mountain Dew ze sklepu na stacji benzynowej Gas/Gro.

- No, więc chyba możemy już zacząć - rzekła Margo, przerzucając jakieś papiery przed sobą.

- A co z panią Merritt? - spytała Rebecca.

Chociaż pracowała u nas dopiero od sześciu miesięcy, nawet ona wiedziała, że jakiegokolwiek zebranie nie ma sensu bez mojej babki, która naprawdę tutaj rządziła, pomimo pozwania Margo na szefową.

- Przekażę jej wydrukowany program zebrania - odrzekła Margo, podsuwając stertę papierów mamie, która nadal była zajęta swoją komórką.

Te papiery poleżały na stole nietknięte, aż wreszcie Margo wzięła je z powrotem i z przesadnym entuzjazmem rozdała kolejno nam.

- W porządku - powiedziała. - Zaczniemy od punktu pierwszego. Przechowywanie jedzenia personelu i jego zasady.

Mama w końcu odłożyła komórkę i skinęła mi głową na powitanie. Odpowiedziałam tym samym, świadoma tego, że spojrzała na pojemnik z jedzeniem na wynos, potem na mnie i znowu na pudełko. Skupiłam się na tym głupim programie zebrania, nie chcąc ryzykować kontaktu wzrokowego z mamą

Margo odchrząknęła.

- Zwróciło moją uwagę, że niektórzy pracownicy nie wykazują należytego szacunku dla artykułów spożywczych innych pracowników.

- Jakich artykułów? - spytała Rebecca.

- Wszystkie napoje, przekąski i lunchy w biurze są przynoszone z domu - powiedziała Margo. - Jak wielokrotnie przypominałam wszystkim obecnym, powinny być opatrzone nalepką z nazwiskiem właściciela, tak aby tylko ta osoba mogła je zabrać i spożyć.

Mama westchnęła.

- Czy chodzi o twój sok kokosowy?

- To nie sok, mamó, lecz woda kokosowa! I nie, nie chodzi o nią - burknęła moja siostra. - Chodzi o zwykły szacunek dla własności innych ludzi.

- Co się stało? - spytałam.

- Jej napój zniknął - wyjaśniła mi. - Ona myśli, że ty go wzięłaś.

Oczywiście, że tak myślała.

- Nie wiem nawet, co to jest sok kokosowy.

- Woda kokosowa! - powtórzyła z naciskiem Margo. - I chociaż miała nalepkę z wyraźnie wypisanym moim imieniem, ktoś wziął ją z lodówki. Zresztą zdarzyło się to nie pierwszy raz. Najwidoczniej trzeba omówić ten problem.

- I już go omówiliśmy. Przejdźmy więc do następnego punktu - rzekła mama, machnąwszy ręką. Potem zwróciła się do mnie: - Co właściwie jest w tym pudełku? Pachnie wspaniale.

Rebecca przytaknęła.

- Rzeczywiście.

- Bułka z restauracji Last Chance - wyjaśniłam im.

- Z szynką i jajkiem? - spytała mama. Gdy potwierdziłam, westchnęła. - Wiedziałam. Po prostu wyczułam.

- Punkt numer dwa - kontynuowała głośno Margo. - Wzór nowego uniformu dla

personelu.

- O rany - jęknęłam. - Tylko nie znowu to!

- Sądziłam, że odłożyliśmy dyskusję nad tym - powiedziała Rebecca.

- Owszem. Do teraz. - Margo odchrząknęła. - A więc, zdaję sobie sprawę, że to nie jest popularna kwestia. Ale istotą zuniformizowania jest uniform. To ważne, żeby nasi klienci mogli nas zawsze łatwo zidentyfikować jako członków personelu agencji.

- Jeżeli znowu zaczniesz mówić o spodniach khaki i dżinsowych spódnicach, natychmiast stąd wychodzę - ostrzegłam ją.

- Emaline, mam dość tego, że stale usiłujesz uniemożliwić mi wprowadzenie niezbędnych zmian - odparowała. - Jako moja podwładna...

- Nie pracuję u ciebie, tylko w biurze agencji - sprostowałam.

- Dziewczyny - rzekła mama znużonym głosem.

W gruncie rzeczy ją rozumiałam. Margo i ja ścierałyśmy się niemal na każdym zebraniu, czy nawet codziennie. Choć byłam najmłodsza, kłóciłyśmy się ze sobą częściej niż każda z nas z Amber, głównie dlatego, że ona była zbyt leniwa, by naprawdę się wściec. Obie wyznawałyśmy kult pracy, a gen uporu stanowił tylko dodatkowy czynnik.

- Drelich khaki i dżins to doskonałe zestawienie jako uniform w biurze wynajmu domów plażowych - powiedziała. Wzięła ze sterty papierów błyszczący katalog i pomachała nim w naszym kierunku. Okładka przedstawiała kobietę w czarnych spodniach i białej bluzce, balansującą tacą z kieliszkami wina. - A tu są wzory odpowiednie dla wszystkich działów, od naszego aż do usługowo-serwisowego.

- Usługowo-serwisowego? - powtórzyłam. - Zamierzasz zmusić sprzątaczkę i personel techniczny, żeby też się w to ubierali?

- Każdy, kto styka się z klientami w naszym imieniu, reprezentuje Agencję Colby. Jeżeli wszyscy będziemy nosić uniformy, nie będzie wątpliwości, kim jest osoba, która pojawi się nagle w wynajętym domu, żeby oczyścić basen. Zostanie z łatwością zidentyfikowana, gdyż nie będzie kimś obcym, bosym i bez koszuli.

- Bez koszuli? - powtórzyła mama. - Kto chodzi bez koszuli?

Dobrze wiedziałam kto. Spojrzałam znowu na pojemnik z bułką i poczułam nerwowe mdłości.

- Tutaj, w biurze - mówiła dalej Margo - będziemy nosić spodnie albo spódnice khaki i dżinsowe koszule z długimi bądź krótkimi rękawami, z wyszytym logo agencji. Członkowie personelu technicznego mają nosić szorty i koszulki polo lub w określonych przypadkach T-shirty. - Otworzyła katalog i pchnęła go po stole



w kierunku Rebecki. – Każdy ma zapoznać się z dostępnymi wzorami ubioru, a potem zostanie poproszony o zakupienie go dla siebie.

– Co takiego? – rzuciłam. – Mamy za to zapłacić z własnych kieszeni?

– Emaline – powiedziała Margo ze znużoną miną. – Myślę, że ciebie i twojego chłopaka stać na kupno dwóch koszulek polo?

– On już nie jest moim chłopakiem – wymamrotałam. – A poza tym...

W tym momencie uświadomiłam sobie dwie rzeczy: co przed chwilą powiedziałam i że jest za późno, by to cofnąć. Usłyszawszy te słowa, matka dosłownie podskoczyła na krześle, jakby ta wiadomość była ładunkiem elektrycznym, który popłynął ode mnie prosto do niej.

– Co powiedziałaś? – spytała.

Zamknęłam oczy, przeklinając się w duchu. Nawet jeśli istniały na świecie gorsze miejsca, w których mogłabym zrobić to wyznanie, niż przed moją mamą i okropnie wścibskimi siostrami, w tamtym momencie żadne nie przychodziło mi do głowy.

– Nic – odparłam i wyrwałam Margo katalog z rąk, jakby obejrzenie dostępnych wzorów koszul było w tej chwili najistotniejszą kwestią. – Nic nie mówiłam.

– O rany – rzekła Margo, szeroko otwierając oczy. – Przypuszczałam, że prawdopodobnie zerwiecie ze sobą na jesieni, w college’u, ale...

– Bądź cicho – rzuciła do niej mama, a potem odwróciła się do mnie. – Kiedy to się stało?

Pokręciłam głową, wiedząc, że nie potrafię nawet zacząć o tym mówić. Samo wypowiedzenie tego na głos uczyniłoby tę sprawę bardziej realną, niż byłam gotowa przyznać.

– O mój Boże. Czy dziś już piątek?

Uniosłam głowę i zobaczyłam babkę stojącą w drzwiach. W jednej ręce trzymała kluczyki od samochodu, w drugiej torebkę. Raz jeszcze mnie ocaliła.

– Owszem – odrzekła Margo. – Ale dopiero zaczęliśmy.

– Co za ulga – powiedziała babka w typowy dla siebie sposób, tak że nie można się było zorientować, czy mówi serio, czy ironizuje. – Zaraz wrócę, pozwólcie tylko, że to odłożę.

Zniknęła w głębi korytarza i usłyszeliśmy, jak zapala światła w swoim gabinecie, odsuwa od biurka skrzypiący fotel, a potem idzie po coś do kuchni. W tym czasie siedzieliśmy w milczeniu i wszyscy spoglądali na mnie, ja zaś udawałam, że tego nie zauważam. W końcu babka wparowała do salki konferencyjnej.

– No, już jestem – rzekła. Usiadła na swoim zwykłym miejscu na drugim końcu stołu, postawiła przed sobą butelkę wody i otworzyła ją. – Co mnie ominęło?

- W skróconej wersji? - spytałam. - Ludzie tutaj kradną jedzenie i musimy sami kupić sobie uniformy.

- Omawiamy szczegóły - dodała Margo, rzucając na mnie niechętne spojrzenie.

Popchnęła program zebrania do Rebecki, żeby podała go babce. Babka, mrużąc oczy, spojrzała na kartkę znad okularów.

- Uniformy - powiedziała i wypięła łyk wody. - Czy już wcześniej nie odrzuciliśmy tego pomysłu?

- Odłożyliśmy go do dalszej dyskusji - odrzekła Margo powoli. - Czy to... czy ty pijesz wodę kokosową?

Babka spojrzała na etykietkę butelki.

- Nie wiem. Była w lodówce. Jest całkiem smaczna. Chciałabyś spróbować?

Rebecca przygryzła usta i spuściła wzrok na blat stołu. Matka powiedziała:

- Margo uważa, że nasi podwykonawcy też powinni nosić ubiory wybrane przez naszą firmę.

- Chcesz, żeby czyściciele basenów wkładali uniformy? - spytała babka. - Mamy szczęście, jeśli udaje się nam nakłonić ich do noszenia koszul.

- Oni noszą koszule - powiedziałam trochę nazbyt defensywnym tonem.

- Nie zawsze - odparła babka. - A kto za to wszystko zapłaci?

- Pracowników poprosi się, aby sami kupili sobie komplety strojów - wyjaśniła jej Margo. Wydawała się zdenerwowana, chociaż trudno się było zorientować, czy z powodu sprawy z wodą, czy tych ubiorów. - To standardowa praktyka biznesowa.

- Może i tak, ale zła - zawyrokowała babka. - Wywołamy niechęć u ludzi, którzy stykają się bezpośrednio z klientami spędzającymi u nas urlopy.

- Ci klienci, kiedy ktoś zjawi się w wynajętym przez nich domu, muszą wiedzieć, z kim mają do czynienia - zripostowała Margo, która trochę się już opanowała.

- Więc jako uniformy zamówimy podkoszulki z logo naszej agencji. To taniej i prościej.

- To profesjonalna firma - sprzeciwiła się Margo. - Nie możemy chodzić w podkoszulkach.

- Ale może wcale nie musimy - zauważyła mama. - To znaczy, my tutaj, w biurze. Nie ma żadnej wątpliwości, kim jesteśmy i gdzie pracujemy. Margo ma rację, nie powinniśmy dopuścić do żadnych nieporozumień co do tego, kto przebywa w wynajmowanych przez nas posiadłościach. Zatem zamówimy podkoszulki dla wszystkich pracowników, którzy odwiedzają domy, a my tutaj będziemy ubierać się nadal tak jak dotychczas.

Tak z grubsza przebiegało każde piątkowe zebranie. Margo zjawiała się z jakimś

Wspaniałym Pomysłem, a ja zaczynałam się z nią o to kłócić. Potem babka torpedowała ten pomysł, a mama wymyślała kompromisowe rozwiązanie. Wydawałoby się, że powinniśmy znaleźć jakąś drogę na skróty, jednak z jakiegoś powodu musieliśmy za każdym razem przechodzić przez wszystkie te etapy.

- A więc postanowione - stwierdziła babka i wypła jeszcze trochę wody kokosowej Margo. - Uzyskajmy wycenę od naszej ulubionej firmy produkującej podkoszulki. Wiecie, tej, z której usług skorzystaliśmy w ubiegłym roku w związku z prezentami reklamowymi.

- Firma Threadbare - powiedziała matka. - Podkoszulki z nadrukami na plextonium.

- Właśnie. Margo, zaprojektuj dla nich kilka wzorów logo naszej agencji.

Margo skinęła głową, lecz nie wyglądała na uszczęśliwioną; miała taką minę jak dawniej, kiedy w dzieciństwie ja i Amber jej dokuczałyśmy - co, jeśli mam być całkiem szczerą, robiłyśmy dość często. Zarówno wtedy, jak i teraz dawała nam ku temu aż nazbyt wiele powodów.

Mama i babka przeszły już do następnego punktu i omawiały jakiś problem z instalacją wodno-kanalizacyjną w jednym z budynków. Nachyliłam się do Margo.

- Wiesz - powiedziałam, gdy z ponurą miną wykreślała coś z porządku zebrania - właściwie chciałabym nosić taki regulaminowy podkoszulek. Wtedy nie musiałabym rano zastanawiać się, co mam włożyć.

Spojrzała na mój top.

- Chcesz powiedzieć, że teraz się zastanawiasz?

No i sami widzicie. Ona na każdy życzliwy gest czy uprzejme słowo reagowała opryskliwie.

- Mniejsza z tym - mruknęłam i odsunęłam się.

- Hej, żartowałam - powiedziała i uśmiechnęła się do mnie lekko, a potem dodała:

- Przykro mi z powodu Luke'a.

Kiwnęłam głową.

- Mnie też.

- Myślisz, że to naprawdę koniec czy tylko kłótnia?

- Nie wiem - odparłam. - To po prostu bardzo dziwna sytuacja.

Posłała mi współczujące spojrzenie, a potem ujęła mnie za rękę i ścisnęła pokrzepiająco. Mówcie o Margo, co chcecie - a ja powiedziałam o niej więcej złego niż ktokolwiek - ale mimo wszystko jest moją siostrą.

- Margo - odezwała się babka - czy możemy zająć się omówieniem pozostałych punktów? O wpół do dziesiątej muszę być w miejskim wydziale budownictwa, żeby

ugłaskać tego inspektora budowlanego w związku z komplikacjami z pasażem.

- Dobrze. - Margo przerzuciła papiery. - Następny punkt: Dodatkowy nowy system inwentaryzowania bielizny pościelowej. Jeśli otworzycie wasze programy zebrania, zobaczycie, że opracowałam nową procedurę kontrolowania i dokumentowania próśb klientów o ręczniki. Jeżeli spojrzymy na diagram A, ja...

Mówiła dalej o ręcznikach, przydziałach i ogólnych kosztach. Usiłowałam słuchać, lecz mój umysł wciąż wracał do wydarzeń tamtego wieczoru, kiedy wybrałam się na miasto z Theo. A co, gdyby mój esemes doszedł do Luke'a? Może Luke i tak zadzwoniłby do tamtej dziewczyny, lecz nie posunąłby się dalej. A w gruncie rzeczy co znaczy jedna głupia rozmowa telefoniczna?

No cóż, znaczy bardzo wiele. Wiedziałam to. A próby minimalizowania tego, sprowadzania do mniejszych czy większych przewin, do rozmaitych „może” i „a gdyby”, były niczym rozważanie przyczyny pęknięć w rozbitym jajku. To się już stało. I nie miało znaczenia, jak do tego doszło.

Wreszcie zebranie się skończyło. Babka pojechała do wydziału budownictwa, Rebecca wróciła do recepcji, a mama i siostry zaczęły rozmawiać o jakimś właścicielu domu niezadowolonym z rachunku, który mu przysłano. Wiedziałam, że za chwilę oblegną mnie, domagając się więcej szczegółów o sprawie z Lukiem, więc skorzystałam z okazji i poszłam do magazynu, trzymając w ręku pojemnik z bułką.

Moim pierwszym dzisiejszym zadaniem było dostarczenie rzeczy, jakich zażądali lokatorzy domów już po zakończeniu wczorajszego dnia pracy. Wzięłam ich listę z miejsca, gdzie zwykle ją trzymaliśmy - z podkładki z klipsem wiszącej na drzwiach - i zabrałam się do gromadzenia potrzebnych przedmiotów.

Wielu klientów jak zwykle domagało się większej liczby ręczników. Ktoś chciał matę łazienkową. W jednym budynku detektor dymu sygnalizował wyczerpywanie się baterii. W innym najwyraźniej równocześnie przepaliło się kilka żarówek. Czyli nic specjalnie zaskakującego - dopóki nie doszłam do końca listy i przeczytałam:

*Sprawny, najwyższej jakości toster renomowanej firmy, z regulacją temperatury i różnymi funkcjami opiekania. Do zaakceptowania tylko nowy z firmowego opakowania. Możliwie jak najszybciej!*

Jeszcze zanim powiodłam palcem po kartce do kolumny z nazwami domów wczasowiczów składających zapotrzebowania, wiedziałam, co znajdę. Oczywiście: posiadłość Sand Dollars.

Westchnęłam, otworzyłam tylne drzwi i włożyłam do samochodu moją torbę

i pojemnik z bułką, a potem wróciłam po ręczniki i wszystkie inne rzeczy. Następnie udałam się do gabinetu mamy po dalsze instrukcje. Zastałam ją rozmawiającą przez telefon i popijającą napój z plastikowego kubka.

- Nie, nie chciała mi powiedzieć - mówiła. Słuchała przez chwilę. - Oczywiście, że tak zrobiłam. Ale...

- Mamo.

Z zakłopotaną miną pospiesznie zakryła dłonią mikrofon.

- Och, cześć, Emaline. O co chodzi?

- To Amber - powiedziałam, wskazując głową telefon. - Tak?

- A wiesz, rzeczywiście ona - odrzekła, jakby to był jakiś niezwykły zbieg okoliczności. - Właśnie rozmawialiśmy o... no...

Pokazałam jej listę, głównie po to, aby oszczędzić nam obu jakiegoś kłamstwa, które rozpaczliwie usiłowała wymyślić.

- Co to za historia z tym opiekaczem?

- Do Sand Dollars? - spytała, a ja przytaknęłam. - Skontaktuję się telefonicznie z właścicielem domu. Jeżeli trzeba wymienić opiekacz...

- Jest nowy - oznajmiłam. - Osobiście go rozpakowywałam.

Wzruszyła ramionami.

- Mógł być buble. To się zdarza. Na urlopie ludzie potrzebują tosterów.

- Miałam już sporo do czynienia z tą klientką - powiedziałam. - Założę się z tobą o duże pieniądze, że po prostu dom nie odpowiada jej wysokim wymaganiom.

- No cóż, ona płaci dziesięć kawałków za miesiąc - przypomniała mama.

- Więc stać ją na własny najwyższej jakości toster renomowanej firmy, z regulacją temperatury i różnymi funkcjami opiekania. Nie musimy spełniać każdego jej pieprzonego kaprysu.

Usłyszałam w słuchawce telefonu mamy, jak Amber powiedziała:

- Ktoś tam jest nie w sosie.

- Wyślę pracownika technicznego, żeby sprawdził ten opiekacz - oznajmiła mama, przesuwając dłoń, żeby zasłonić słuchawkę. - W porządku? A potem zobaczymy, co dalej.

- Ja się tym zajmę - oświadczyłam. - Mówię tylko, że to głupota.

- Posłuchaj - zawołała za mną mama, gdy wychodziłam - może wolałabyś popracować dzisiaj w recepcji? Mogę wysłać tam Rebeccę, żeby...

Zbyłam to machnięciem ręki i przecząco pokręciłam głową. Zajmowanie się Ivy i jej wymaganiami dotyczącymi sprzętów gospodarstwa domowego to nic miłego. Ale tkwienie za biurkiem jako obiekt zainteresowania wszystkich byłoby o wiele

gorsze.

Wsiadłam do samochodu, uruchomiłam silnik i wyjechałam na główną szosę, kierując się w stronę cypla. Ledwie minęłam jedną przecznicę, zobaczyłam przed sobą znajomą postać idącą poboczem w bardzo charakterystyczny, niezgrabny sposób. Zwolniłam, zaczekałam, aż znajdę się tuż za Morrisem, i mocno wcisnęłam klakson. Każdy inny podskoczyłby ze strachu, ale tak jak się spodziewałam, Morris nawet się nie wzdrygnął.

- Cześć - rzekł, kiedy odwrócił się i mnie zobaczył, tak beztroskim tonem, jakby ludzie stale próbowali przestraszyć go na śmierć w godzinach szczytu w powszedni dzień. - Co się dzieje?

- Podwieźć cię?

Rozważył to, jakby rzeczywiście wolał iść pieszo, wreszcie odpowiedział:

- Pewnie.

Odblokowałam drzwi od strony pasażera. Morris wsiadł i włączyłam się ostrożnie do ruchu. Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. W końcu, kiedy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle, Morris zauważył pojemnik z jedzeniem na wynos leżący pośrodku deski rozdzielczej.

- To twój?

- Luke'a - odpowiedziałam. - Bułka z Last Chance.

- Ach, tak?

Znowu zapadła cisza. Ruch samochodów na szosie był naprawdę powolny.

- Dziś rano zerwaliśmy ze sobą - oznajmiłam.

Poczułam, że Morris na mnie spojrzał. To chyba oznaczało zaskoczenie.

- Serio?

- Chyba tak. Najwyraźniej jest jakaś inna dziewczyna.

Znowu utkwiał wzrok w przedniej szybie.

- Stąd?

Przecząco pokręciłam głową i przełknęłam z wysiłkiem ślinę.

- Nie.

Musiałam zjechać na lewy pas, żeby ominąć pachołki odgradzające obszar remontu jezdni. W trakcie skrętu pojemnik zaczął się zsuwać z deski rozdzielczej, styropian zapiszczał. Morris i ja przyglądaliśmy się temu, póki pojemnik nie zatrzymał się na wlocie powietrza.

- Jestem taka głupia - powiedziałam; ogarnęło mnie nagle zakłopotanie z powodu ściśniętego gardła. - Nie wiem, dlaczego wciąż noszę z sobą ten pojemnik z bułką. On nawet nie chciał jej zjeść. Powinnam to po prostu wyrzucić.

Morris zastanawiał się nad tym, gdy podjeżdżaliśmy do sygnalizatora ulicznego; światło zmieniło się z żółtego na czerwone. Potem chwycił pojemnik i otworzył, odwinął bułkę, wepchnął sobie całą do ust i pożarł trzema kęsami. Przełknął, zmiął papier i wsadził z powrotem do pudełka, cisnął je na podłogę, po czym powiedział:

- Dupek.

Z jakiegoś zwariowanego powodu dopiero właśnie to - a nie samo zerwanie z Lukiem, następujący po nim szok, nawet nie uprzejme słowa Margo - doprowadziło mnie w końcu do płaczu. Łzy napłynęły mi do oczu i przestałam wyraźnie widzieć tylne światła samochodów przede mną.

- Oszukańczy nieudacznik bez koszuli - dodał Morris, wyglądając przez okno. - To drań.

- Wyszedł na miasto i spotkał się z nią w Tallyho - zdołałam wydusić łamiącym się głosem.

Morris prychnął z obrzydzeniem.

- Drań - powtórzył.

Teraz rozplakałam się już na dobre, co przy innej osobie byłoby krępujące. Ale obok siedział Morris, który wielokrotnie widział, jak ryczałam - pierwszy raz, kiedy mieliśmy po osiem lat i spadłam z drzewa rosnącego nad obydwoma naszymi podwórkami, łamiąc sobie nadgarstek. Siedział potem razem ze mną z tyłu samochodu, gdy mama pędziła do szpitala w Cape Frost; zachowywał stoicką minę, podczas gdy ja szlochałam z bólu. Nie był z rodzaju tych, którzy obejmą cię pokrzepiająco czy choćby ujmą za rękę. Ale było coś w jego cichym oburzeniu - wtedy na wszechświat, teraz na Luke'a - co dało mi właśnie taki rodzaj pocieszenia, jakiego potrzebowałam.

Ciągle jeszcze ryczałam, ale postarałam się przestać, gdy ujrzałam przed sobą most.

- Jestem taka roztrzepana - wyjąkałam. - Już prawie opuściliśmy wyspę, a nawet cię nie spytałam, dokąd chcesz się dostać.

Wzruszył ramionami.

- W żadne konkretne miejsce. Tam dokąd ty.

Znowu poczułam ucisk w gardle, przełknęłam z trudem ślinę i zawróciłam na szosę, usiłując się opanować. Tymczasem Morris rozparł się w fotelu z typową dla siebie leniwą nonszalancją, nie wiedząc ani nie dbając o to, dokąd go wiozę. Jakby uważał, że przywiązuje się przesadnie wielką wagę do wszelkich miejsc docelowych. I może rzeczywiście to prawda. Dopóki się poruszasz, zawsze dokądś zmierzasz.

- No cóż - rzekł Theo - przypuszczam, że to zależy od konkretnej definicji terminu „niezdziałający”.

Spojrzałam na niego, a potem znowu na opiekacz leżący na centralnym blacie kuchennym między nami.

- Uważasz, że istnieje więcej niż jedna?

- Definicja? - powtórzył, by się upewnić. Skinęłam głową. - Ależ oczywiście.

Z jednej strony, to oznacza, no wiesz, że jest zepsuty.

- Właśnie - powiedziałam.

- Ale ujmując kwestię w szerszym sensie - ciągnął - można to zinterpretować jako brak specyficznej umiejętności, to znaczy niezdolność bądź kategorię odmowę wypełniania wymaganych zadań.

- To toster - rzekłam. - A nie uciskany proletariat.

Theo się roześmiał.

- Rany, macie tutaj imponujące słownictwo.

- A co, tylko dlatego, że jestem stąd, nie mogę używać trudnych słów?

Uniósł brwi.

- No... nie. Chodzi mi tylko o to, że to zwrot z zakresu egzaminu na studia, jakiego nie rzuca się, ot tak, podczas rozmowy przy śniadaniu.

No dobrze, może zareagowałam trochę zbyt nerwowo.

- Przepraszam - powiedziałam. - Miałam ciężki ranek.

- W porządku.

Potarł dłonią twarz i popatrzył na schody prowadzące na górne piętra; na którymś z nich Ivy, jak przypuszczałam, ciągle jeszcze spała. Na nadgarstku miał bransoletkę, którą kupił w sklepie Gertmanna, tę cienką, zieloną, ozdobioną muszlą przegrzebka.

- Posłuchaj - rzekł - wiem, że uważasz tę sprawę z tosterem za absurdalną...

- Bo taka jest.

- Ale rzecz w tym, że Ivy wymaga, aby wszystko działało się w pewien określony sposób. Jeżeli jej śniadanie czy cokolwiek innego nie jest takie, jak być powinno, moje zadanie polega na rozwiązywaniu problemu.

- W jaki sposób grzanka może nie być taka, jak powinna?

- Jak już wyjaśniłem - rzekł, rzucając mi znużone spojrzenie - to urządzenie nie ma funkcji opiekania. Do wyboru jest tylko temperatura niska, średnia i wysoka.

- Potrzebujesz więcej specyficznych opcji - rzuciłam. I zanim zdążył



odpowiedzieć, dodałam: – Myślę, że właśnie dzięki użyciu określenia „specyficzne opcje” dostałam się do college’u.

Uśmiechnął się.

– Właściwie potrzebuję pokrętła płynnej regulacji. Niska temperatura jest za niska, średnia zbyt średnia, a wysoka zbyt wysoka. Obecnie mamy tylko czerń i biel, a potrzebujemy szarości.

– Szarej grzanki?

– Doskonale – rzekł, potrząsając głową. – Dalej, śmiało, kpij. Ale myślę, że wiesz, co mam na myśli.

Gdy to usłyszałam, przypomniałam sobie Luke’a mówiącego niedawno to samo, tylko że o tym, czego brakuje w naszym związku. Najwyraźniej dla wszystkich było oczywiste, co wiem lub czego nie wiem. Szkoda, że ja wciąż nie mam o tym pojęcia.

– Czyli mówisz – powiedziałam, odpychając od siebie tamte myśli – że to urządzenie nie jest zepsute, lecz mimo to trzeba je zastąpić innym.

– Mniej więcej. – Westchnął, po czym powiedział bardziej zdecydowanie: – Tak.

Gdy znowu spojrzałam na opiekacz, poczułam, że Theo przygląda mi się uważnie, w taki sam sposób, jak przez cały czas, odkąd piętnaście minut temu zjawiłam się przed ich drzwiami. Po tym jak wcześniej wysadziłam Morrisa przy pobliskiej stacji benzynowej. „Porozmawiamy później”, rzucił do mnie jak zawsze. Zrobiłam, co mogłam, żeby odzyskać równowagę: umalowałam usta i wzięłam kilka głębokich wdechów. Na nieszczęście byłam obdarzona rodzajem cery ze skłonnością do czerwonych plam i zawsze było widać, jeśli wcześniej płakałam. Jednak Theo nie zapytał mnie o to wprost. Nigdy nie byłam tak zadowolona z faktu, że rozmawiam o grzankach na śniadanie.

– Posłuchaj – powiedziałam – zwykle nasza zasada postępowania w tego typu sytuacjach wygląda następująco: jeżeli jakieś urządzenie działa, ale nie spełnia wymogów klienta, wówczas rzeczą klienta jest zaopatrzyć się w model, który mu odpowiada.

Theo z zestresowaną miną przygryzł usta.

– Rozumiem.

– Jednak – ciągnęłam, choć nieco rozproszyło mnie, że to jedno słowo wywołało na jego twarzy nagły wyraz nadziei – właściciele tej akurat posiadłości zostali powiadomieni o kłopotliwej sytuacji i są skłonni jej zaradzić.

– Więc dostaniemy nowy opiekacz? Z płynną regulacją temperatury?

Spuściłam wzrok na moją komórkę i ponownie odczytałam esemes, który mama przysłała mi przed kilkoma minutami: *Ponieważ to VIP, właściciele się zgodzili.*

*Przywieź jej, co chce.* Od czasu, gdy poprzednio sprawdzałam, pojawiła się pod nim druga wiadomość: *Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebowała. Kocham cię.*

Poczułam, że do oczu znów napłynęły mi łzy - Boże, co się ze mną dzieje?! - i wsadziłam komórkę z powrotem do kieszeni.

- Na to wygląda - odpowiedziałam Theo.

- O rany, to fantastycznie! - Naprawdę się rozpromienił. Przynajmniej na chwilę.

Potem zapytał: - Jak myślisz, kiedy?

- Kiedy...

- ...możemy dostać ten na wymianę?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, lecz zanim zdążyłam, dorzucił:

- Dzisiaj? Dziś rano?

- No... - powiedziałam powoli - przypuszczam, że to tylko kwestia pojechania do miasta i znalezienia opiekacza, który spełnia jej wymagania.

- Ale moglibyśmy zrobić to dzisiaj, prawda?

Przez chwilę spoglądałam na niego w milczeniu.

- Jesteś natarczywy, wiesz o tym?

- No cóż, to zależy od twojej definicji bycia natarczywym - odparł z uśmiechem. -

Osobiście nazwałbym siebie zdeterminowanym. To różnica.

Skrzywiłam się, dając do zrozumienia, że nie jestem tego taka pewna.

- A więc, Panie Zdeterminowany, hipermarket Big Club otwierają o dziewiątej.

- Świetnie. Daj mi tylko pięć sekund.

To powiedziawszy, przetruchtał przez pokój, wbiegł po schodach i zniknął mi z oczu. Ciekawe, o której godzinie Ivy się budzi i czy to w ogóle realne, żeby ten idealny opiekacz już na nią czekał, gdy wstanie? Cóż, wkrótce się dowiem.

Kilka minut później Theo otworzył ostrożnie frontowe drzwi, a potem zamknął je za nami tak powoli i delikatnie, jakby do klamki była przymocowana bomba.

- Serio? - spytałam. - Ona ma aż tak lekki sen?

- Podobno trzaskam drzwiami - wyjaśnił.

Przyglądałam się, jak przekręca klucz w zamku; to również robił z najwyższą uwagą i koncentracją.

- Theo, czy lubisz swoją pracę?

- Tak - odrzekł. - Dlaczego pytasz?

Wzruszyłam ramionami i zaczęłam schodzić po frontowych schodach.

- Nie wiem. Po prostu wydaje się... dość poniżająca.

- Owszem - odparł - ale w każdej pracy bywają poniżające momenty.

W przeciwnym razie nazywałoby się ją zabawą.

- To brzmi jak jakiś cytat.

- Mógłbym uskarżać się na niektóre obowiązki w różnych okresach. -

Odchrząknął. - Kiedyś zdarzyło się, że obydwaj jej koty jednocześnie dostały biegunki. Niezupełnie o tym myślałem, kiedy starałem się o tę posadę.

- A więc co to było?

- Biegunka?

Skrzywiłam się, otwierając drzwi samochodu od strony kierowcy.

- Dlaczego w ogóle zależało ci na tej pracy?

- Chodziło mi o zdobycie doświadczenia - odpowiedział bez chwili wahania, nawet bez zaczerpnięcia oddechu. - Chcę zostać filmowcem i zyskałem możliwość spędzania całych dni z reżyserką, której dzieła zdobywają festiwalowe nagrody.

- Sprzątając kupy jej kotów - dodałam.

- Tak, przez jeden okropny tydzień - przyznał. - Ale obserwowałem też, jak kręci filmy i montuje surowy materiał. Byłem przy niej, kiedy prowadziła zebrania ekipy, zebrała o fundusze, umiała skłonić niechętnych ludzi do mówienia przed kamerą o sprawach, których nigdy nie zamierzali wyjawic. A teraz pozwala mi filmować uzupełniające materiały, co jest fantastyczne.

- Skoro tak mówisz - rzuciłam, uruchamiając silnik.

- Czy zamierzałem kiedykolwiek w życiu czyścić kocie kuwety płynem odkażającym i dostarczać opiekacze? - ciągnął. - Nie. Ale podejmujemy się nieprzyjemnych rzeczy, żeby osiągnąć wspaniałe. Właśnie tak to działa. Mam rację?

- No cóż - odrzekłam - jeżeli to prawda, chyba czeka mnie jutro cholernie wspaniały dzień.

Wyrwało mi się to, zanim pomyślałam, i natychmiast zastanowiłam się, co u licha skłoniło mnie, żeby mu to wyznać. Ale było już za późno, bo Theo spojrzał na mnie badawczo.

- Wprawdzie to nie moja sprawa, ale wcześniej rzeczywiście wydawałaś się zdenerwowana. Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest - odparłam. - W każdym razie nic, czego nie mogłaby naprawić wycieczka do Big Club.

Powiedziałam to jako żart, jednak kiedy przejeżdżaliśmy przez most w końcówce porannego szczytu ruchu drogowego, rzeczywiście poczułam ulgę. Jakbym zostawiała za sobą ten ranek, Luke'a i wszystko inne. W Colby drogi są wąskie, wszystko jest małe i ciasne. Ale w McCorkle, gdzie znajdował się hipermarket Big Club, zabudowania są rozrzucone na większej przestrzeni i wydaje się miłe, że można się nawet trochę pośród nich zgubić.

- Rany - powiedział Theo, gdy wjechałam na wolne miejsce na parkingu. - Spójrz, jakie ogromne wózki sklepowe. Są imponujące!

- Wszystko tutaj jest ogromne - wyjaśniłam. - To olbrzymi market.

- Jednak to szaleństwo - zauważył, wciąż gapiąc się na wózek stojący bokiem do nas w strefie zwrotów. - Ten wózek jest większy od mojego mieszkania.

Wysiadłam, poszłam po wózek i powoli go wycofałam. Oczywiście miał obłuzowane kółko. Nigdy jeszcze nie trafiłam na całkiem sprawny. To też stanowiło element zakupów w Big Club.

- A czy w Nowym Jorku wszystko nie jest olbrzymie? - spytałam. - Budynki, zamysły, wózki sklepowe...

- To powszechnie błędne mniemanie - odparł, idąc obok mnie, gdy pchałam z turkotem wózek w kierunku wejścia. - Skoro tylu ludzi jest stłoczonych na tak małej wyspie, wszystko musi być niewielkich rozmiarów. To poniekąd fundamentalna dychotomia. Taki ogrom, a zarazem małość.

- Fundamentalna dychotomia? I kto teraz używa języka z egzaminów na studia?

Wykrzywił się do mnie, a ja się roześmiałam.

- W każdym razie tutaj wszystko jest małe - powiedziałam. - Z wyjątkiem hipermarketu Big Club.

- Na to wygląda - rzekł, gdy mijaliśmy kobietę pchającą wózek z wielką stertą opakowań środków do prania. - Rany, widziałaś te wielkie pudła proszku Tide. Kto robi tyle prania?

- Właściwie każdy - powiedziałam. Drzwi się rozsunęły, ukazując pracownika w niebieskiej kamizelce z logo Big Club. Rzucił okiem na moją kartę członkowską i machnął ręką, żebyśmy przechodzili. - Na tym polega cała idea. Kupujesz dużo, ale na dłuższą metę to wypada taniej. Trzeba tylko mieć miejsce na przechowywanie wszystkich tych rzeczy.

- Więc kupimy wiele opiekaczy?

Przecząco pokręciłam głową, przepychając wózek obok działu słodczy w kierunku artykułów gospodarstwa domowego.

- Sprzedają tutaj wyroby lepszych firm niż w markecie Park Mart. Mamy większą szansę na znalezienie tostera, który zadowoli Jej Wysokość.

- Płynna regulacja temperatury - powiedział Theo. - Chodzi mi tylko o płynną regulację temperatury.

Znaleźliśmy taką regulację w trzecim z modeli, jakie obejrzelśmy - lśniącym chromowanym urządzeniu ze zgrabnym czarnym wykończeniem. Ten opiekacz miał też duży grill oraz - z niewiadomych powodów - cyfrowy zegar.

- Nigdy dość zegarów w kuchni - rzekł do mnie Theo, obracając pokrętle, by je wypróbować. - Właśnie tam zaczynamy każdy dzień.

- Rany - powiedziałam. - Jesteś jak automat do produkowania rozmaitych maksym. Powinieneś pisać hasła do naklejek na zderzaki czy coś w tym rodzaju.

- To z powodu moich rodziców - odrzekł. - Byli starzy.

- Co takiego?

- To znaczy, no wiesz, starsi niż rodzice niemal wszystkich moich rówieśników - wyjaśnił. - Kiedy się urodziłem, ojciec miał czterdzieści osiem lat. Nie najlepiej radził sobie na boisku do koszykówki, ale miał porzekadła na każdą okazję.

- Przypuszczam, że mój ojciec też nie byłby dobry w koszykówce - powiedziałam.

- Nawet gdybym miała go przy sobie.

- Nie dorastałaś przy nim?

Przecząco pokręciłam głową.

- Poznałam go, gdy miałam dziesięć lat. Mój ojczym adoptował mnie, kiedy skończyłam trzy. To on ponosił wszystkie trudy wychowywania mnie.

- O rany - rzekł Theo. - Nigdy bym się nie domyślił po tym, jak spotkałem twojego ojca tamtego wieczoru na parkingu. Wyglądaliście, jakby łączyły was bliskie więzi.

- Pozory czasem mylą.

- To jedno z ulubionych powiedzeń mojego ojca - oznajmił, celując we mnie palcem.

Uśmiechnęłam się, a potem wskazałam głową opiekacz.

- A więc uważasz, że ten będzie dobry? Ona go zaaprobuje?

- Tak, na pewno. - Podniósł opiekacz i włożył do wózka. A więc problem rozwiązany, pomyślałam. Gdyby tylko wszystkie były takie proste. - Chcesz kupić jeszcze przyczepę proszku do prania Tide, zanim wyjdziemy? - zapytał.

- Zgromadziłam zapas w zeszłym tygodniu - oświadczyłam.

Jakiś facet w czapce baseballowej skręcił za róg obok nas, pchając wózek wypełniony papierowymi ręcznikami i rozmaitymi środkami do czyszczenia. Miał spuszczoną głowę i studiował trzymaną w ręku listę zakupów, ale i tak natychmiast rozpoznałam Clyde'a.

- No tak - powiedziałam, ruszając w kierunku kasy. - A więc po prostu zawieźmy ten toster, a potem zobaczymy, co...

- Emaline?

Gdybym powiedziała, że zaskoczyło mnie, że Clyde do mnie zagadnął, byłoby to zdecydowanie za mało. Nie słychać ze szczególnie towarzyskiego usposobienia. Zerknęłam na Theo, który czytał jakiś tekst drobnym drukiem na pudełku tosterka

i nie miał pojęcia, kto stoi tuż przed nim.

- Cześć - rzuciłam z taką swobodą, na jaką potrafiłam się zdobyć. - Jak się miewasz?

- Miewałbym się lepiej, gdyby ta burza ubiegłej nocy nie zrobiła dziury w suficie mojej pralni - oznajmił. - Całe pomieszczenie jest zalane wodą. Czy twój tata nadal wykonuje prace budowlano-remontowe?

- No... tak - odrzekłam. Theo wsadził ręce w kieszenie i taktownie odsunął się na bok. - Obecnie rozpoczął chyba jakieś roboty w Summerhill.

- Od strony oceanu czy cieśniny?

- Cieśniny.

- Może zdołałbym go namówić, żeby zajrzał do mnie i rzucił okiem na tę dziurę. Możesz mi dać numer jego telefonu?

- Jasne - powiedziałam.

Clyde odwrócił swoją listę zakupów, wyjął zza ucha pióro, po czym podał mi jedno i drugie. Szybko napisałam numer, zastanawiając się, czy zdołam pożegnać się z Clyde'em bez mieszania w to Theo. Jednak gdy oddawałam kartkę Clyde'owi, pozdrowił Theo uprzejmym skinieniem głowy. Zanim się obejrzałam, Theo już wyciągał do niego rękę.

- Theo Burns - przedstawił się.

- Clyde Conaway.

Dosłownie wyczułam szok, jakiego doznał Theo, gdy to usłyszał - jakby został trafiony strzałem z pistoletu, który po chwili rozbrzmiał ogłuszającym echem wokół nas.

- Pan jest... - zaczął i urwał. Usłyszałam jego przyspieszony oddech. - Pan jest Clyde Conaway?

- Lepiej już chodźmy - rzuciłam szybko. - Clyde, miło było cię...

- Kręcimy film o panu - wypalił Theo i przy tym z ust prysnęła mu drobina śliny. O rany. - Dokument. Reżyserką jest Ivy Mendelson, ta, która zrobiła *Drogę Coopera*. Od kilku miesięcy usiłujemy do pana dotrzeć. - Nie przestając mówić, zaczął szperać w kieszeniach, Bóg jeden wie po co. - Nie ma pan pojęcia, jak trudno było pana znaleźć. I oto teraz spotykam pana przy tosterach. Znaczący, to wprost nie do wiary, nie potrafię nawet...

Wciąż mówił, dyszał i szukał czegoś przy sobie. Cały był jednym podekscytowanym, bełkoczącym chaosem i pomyślałam, że chyba umrę ze wstydu, tutaj, w hipermarkecie Big Club. Spojrzałam na Clyde'a, chcąc wyrazić wzrokiem najgłębsze przeprosiny, ale on po prostu przyglądał się uważnie Theo

z niewzruszonym wyrazem twarzy. Potem spokojnym głosem, krańcowo odmiennym od histerycznego tonu Theo, powiedział:

- Rozumiem. Film dokumentalny. Jak wam idzie?

- Och, wspaniale! Wprost fantastycznie. To znaczy, napotkaliśmy na pewien opór tutejszych mieszkańców, jeśli chodzi o chęć udzielania wywiadów i dostarczania informacji. Lecz widocznie to typowe, kiedy bohater filmu... ee.. ceni sobie prywatność tak bardzo jak pan. Ale właśnie dlatego przyjechaliśmy tutaj, żeby zrozumieć miejscową społeczność, zanurzyć się w pańskim świecie, poznać ludzi i...

Zaczynałam już myśleć, że nigdy nie przestanie gadać, chociaż sądząc z chrypięcia i cichnięcia głosu, rozpaczliwie potrzebował zaczerpnąć oddechu.

- Theo podchodzi do tego projektu z... no... z wielkim entuzjazmem - powiedziałam, mając nadzieję, że umożliwię mu przynajmniej nabranie powietrza. - Naprawdę ciężko pracuje przy tym filmie.

- A Emaline wspaniale mi pomaga! - dorzucił, już pokrzepiony wchłoniętą szybko dawką tlenu. - Zabrała mnie w kilka miejsc, do których inaczej nigdy bym nie trafił.

Clyde spojrzał na mnie, a ja starałam się nie skulić z zażenowania.

- Doprawdy?

- O tak! - ciągnął Theo. - Najpierw pokazała mi magazyn rybacki, a potem ten lokalny sklep. Znaleźliśmy w nim tę skrzynkę na mleko, która odegrała taką olbrzymią rolę w pańskiej biografii artystycznej.

- Skrzynkę na mleko - powtórzył Clyde. Wciąż czekałam, kiedy objawi wyraźne zirytowanie, lecz zamiast tego wydawał się niemal rozbawiony. - Hm. Co za skrzynkę?

- No, tę z farmy Craint - wyjaśnił Theo. - I oczywiście powszechnie wiadomo, że słowo *craint* odgrywało kluczową rolę w kilku kolażach z cyklu *Metal/Papier* z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Krytycy we wszystkich artykułach dotyczących tego cyklu przypuszczali, że stanowiło to aluzję do francuskiego słowa oznaczającego „strach” i wyrażało pański stosunek do kwestii ustępowania tradycji rolniczej przed ekspansją przemysłu.

Clyde tylko patrzył na niego bez słowa. Przyszło mi na myśl, że to musi być nadzwyczaj dziwaczne doświadczenie: wysłuchiwanie interpretacji i analizy swego dzieła dokonywanej przez całkiem obcego człowieka. W dodatku w hipermarkecie Big Club.

- Ale kiedy kupiłem tę skrzynkę - mówił dalej Theo - właściciel sklepu powiedział mi, że rodzina Craint prowadziła tu w okolicy farmę. Możliwe więc, że to słowo pochodziło od nazwiska, a nie było przekształconym tłumaczeniem z francuskiego.

Co z kolei...

- Chwileczkę - przerwał mu Clyde, unosząc rękę. - Ty naprawdę kupiłeś skrzynkę na mleko pochodzącą z farmy Craintów?

- W sklepie Gertmanna - wyjaśniłam.

- To ważne odkrycie dla filmu - dodał Theo. - Nie wspominając już o tym, że uzupełnia zbiór pańskich wywiadów. Ivy powiedziała, że stanowi dobitne potwierdzenie wszystkiego, co sprowadziło nas tutaj. Intuicji, że to miasteczko rzeczywiście wpłynęło na pana i pańskie dzieła mocniej, niż ktokolwiek sądził.

Clyde znowu spojrzał na mnie.

- Stary Gert musiał pomyśleć, że jesteście stuknięci.

- Pewnie tak - zgodziłam się. - Ale zarobił na tym pięćdziesiąt dolców, więc raczej się nie skarżył.

- On rzeczywiście kocha forszę - przyznał Clyde.

- Pan musi nam pozwolić przeprowadzić z panem wywiad - rzekł do niego Theo, przybierając nagle poważny ton.

- Theo - wtrąciłam. - Nie sądzę, aby...

- Dzięki pańskiemu wkładowi i współpracy, dzięki temu, co mógłby pan wniesć do tego filmu, zyskałby on zupełnie inny wymiar - kontynuował Theo. - Wiem, że w przeszłości nie miał pan zbyt dobrych doświadczeń w kontaktach z dziennikarzami. To znaczy, wszyscy pamiętamy ten artykuł w „Timesie” z dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

- My? - rzuciłam.

- Ale gdyby tylko dał nam pan szansę - ciągnął Theo, nie zwracając na mnie uwagi - moglibyśmy w zamian zapewnić panu i pańskiej artystycznej schedzie należny szacunek. Niech pan po prostu spotka się z Ivy i da jej sposobność przedstawienia projektu tego filmu. Proszę. Błagam pana!

Widziałam, że dosłownie pocił się z podniecenia. Dobry Boże, pomyślałam. Nic dziwnego, że w liceum dostawał łomot. Gdyby w pobliżu była jakaś szafka, sama pchnęłabym go na nią, dla jego własnego dobra.

Przez chwilę wszyscy troje staliśmy, milcząc. W tej ciszy zdałam sobie sprawę, że myślę o tamtym drugim opiekaczu, w rezydencji Sand Dollars. Tym w doskonałym stanie, całkowicie sprawnym. Gdyby tylko miał płynną regulację temperatury. Tak niewiele trzeba, żeby wszystko się zmieniło. Gdybyśmy naprawdę się nad tym zastanowili, umarlibyśmy z przerażenia.

- Dobrze - rzekł w końcu Clyde lekkim tonem, jakby zgadzał się wypić filiżankę kawy. - Omów to ze swoją szefową, podajcie czas i miejsce.



- Och, mój Boże! - wykrzyknął Teo. Teraz był spocony, zasapany i wrzaskliwy. Zakryłam twarz dłonią. - Dziękuję! Nie pożądaj pan, obiecuję! Proszę tylko dać mi numer swojego telefonu...

- Nie - uciął Clyde. - Ustal to z Emaline i poleć jej, żeby się ze mną skontaktowała.

Ja?!, pomyślałam. Ale Clyde już skinął nam ręką na pożeganie i odszedł w głąb szerokiego korytarza, w kierunku działu z papierowymi talerzami.

Początkowo oboje staliśmy bez ruchu i patrzyliśmy, jak się oddala. Potem Theo rzekł bardzo cicho:

- Na miłość boską, proszę, powiedz mi, że to się zdarzyło naprawdę.

- Chyba tak - odparłam, gotowa popchnąć wózek w stronę kas. - Możemy już iść? Mam innych klientów, którzy czekają na ręczniki.

Odwrócił się do mnie i na jego twarzy powoli rozlał się uśmiech. Za Theo wysoko nad nami piętrzyły się sterty opiekaczy i kuchenek mikrofalowych, a naprzeciwko nich stały minilodówki. I właśnie tam, pośród tanich artykułów gospodarstwa domowego, Theo nagle zrobił krok do przodu i pocałował mnie. W olbrzymim hipermarkecie z wysokimi sufitami i wielkimi stertami towarów, w którym było więcej wszystkiego, niż kiedykolwiek można by naprawdę potrzebować. A najdziwniejsze, że w tym momencie - po tym jak przez cały ranek moje odczucia wydawały się tak bardzo stępione - zmysłowy dreszcz, który przeniknął mnie aż do serca, był nieoczekiwanie, niewytłumaczalnie wielki.

## 10

- Wybierz kartę. Którąkolwiek.

Właśnie w ten sposób Benji przywitał mnie w drzwiach. Spojrzałam na rozłożone w wachlarzyk karty do gry, które trzymał w dłoni, i sięgnęłam po jedną ze środka. Zmarszczył brwi.

- Nie tę - powiedział. - Wybierz inną.

Zrobiłam, jak kazał. Tym razem Benji z poirytowaną miną tylko przecząco potrzasnął głową.

- A tę? - spytałam. - Może po prostu dla zaoszczędzenia czasu dasz mi jakąś wskazówkę.

- Bardziej na lewo - rzekł. - Jeszcze bardziej.

Wybrałam ostatnią kartę, damę kier. Zadowolony Benji złożył pozostałe.

- W porządku - powiedział. Odchrząknął i zamknął oczy. Odczekał chwilę, a potem oznajmił: - Twoją kartą jest... dama kier.

Odwróciłam kartę.

- Masz rację! O rany! Imponujące!

- Właśnie się tego uczę - wyjaśnił całkiem niepotrzebnie i odwrócił się, żeby wejść do wnętrza domu. - Dostałem ten zestaw dopiero wczoraj.

- Zestaw? - spytałam.

Ale kiedy znalazłam się w holu, zrozumiałam. Na wielkim zabytkowym stole w jadalni leżało w nieładzie wszystko, co potrzebne do urządzenia pokazu magii: cylinder, pluszowy królik, paczka baloników, połączone ze sobą pierścienie, a także kilka talii kart.

- Rany - powiedziałam. - Skąd to masz?

- Z marketu Park Mart - odrzekł. Wgramolił się na jedno z krzeseł i sięgnął po pierścienie. - Jeździmy tam prawie codziennie.

- Naprawdę? - Wzięłam do ręki królika i przyjrzałam się jego małej mordce z wąsikami. - Dlaczego?

Benji wzruszył ramionami i upuścił pierścienie, które z brzękiem spadły na stół.

- Wszystko szybko mi się nudzi.

Usłyszawszy to, przypomniałam sobie Theo, któremu powiedziano, że trzaska drzwiami. W wyrazie twarzy jego i Benjiego było coś podobnego: wstyd i jakby

smutek. Niewątpliwie z powodu rzeczy, jakie często im mówiono.

Zaraz jednak mój umysł przeszedł do innego obrazu Theo, tym razem tuż po tym, jak odebrałam telefon od taty, który zapytał, czy mogłabym wpaść do niego w wolnej chwili. Wtedy Theo ciągle jeszcze przeproszał, że pocałował mnie w hipermarkecie Big Club.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem - powtórzył, gdy szliśmy do samochodu. Twarz wciąż miał zaróżowioną, ale nie było już na niej takiego jaskrawoczerwonego rumieńca jak wtedy, gdy odsunął się ode mnie, uświadomiwszy sobie nagle, co się stało. - Zwłaszcza po tym, jak poprzednim razem powiedziałaś mi wyraźnie, żebym cię nie całował. Przysięgam, nie jestem tego rodzaju facetem.

- Theo...

- Wiesz, takim facetem, którego nikt nie cierpi. Nie mam zwyczaju całować dziewczyn, które mają chłopaków. Nawet nie potrafię publicznie okazywać uczuć! To znaczy, nie potrafiłbym, gdybym kiedykolwiek był w prawdziwym związku. A nie byłem. Może dlatego, że jestem takim facetem, którego nikt nie cierpi?

- Theo...

- Emaline, ty przecież masz chłopaka! Którego poznałem! Który już teraz mnie nie lubi! Wygląda na to, jakbym chciał, żeby dał mi kopniaka w tyłek. Ale przysięgam, że nie chcę. Nigdy się nie biłem. Ani razu.

- Theo!

Na szczęście wreszcie się zamknął. Co wprawiło mnie w zakłopotanie, bo nie wiedziałam, jak się zachować. Toteż równie niezręcznie powiedziałam:

- Luke już nie jest moim chłopakiem.

Theo znieruchomiał; pchany przez niego wózek zatrzymał się gwałtownie.

- Zerwaliście ze sobą dzisiaj?

- Aha.

- Więc dlatego byłaś taka zdenerwowana, kiedy przyszłaś! - wykrzyknął, celując we mnie palcem. Kiwnęłam głową. Na jego obliczu pojawił się szeroki uśmiech. - O rany. To wspaniale!

- No cóż - rzekłam dyplomatycznie - nie powiedziałabym, że...

- To znaczy, nie, oczywiście, że nie - dodał szybko, poważniejąc. - To okropne. Dla Luke'a. I dla twojego, no wiesz, długiego związku, który najwyraźniej był bardzo ważny i znaczący.

- To prawda - przyznałam.

- Ale dla mnie - powiedział, znowu uśmiechnięty - to świetna wiadomość. Ponieważ popierwsze, wychodzi na to, że nie jestem takim facetem, którego nikt

nie cierpi. Albo przynajmniej nie całkiem.

- To zawsze dobrze - zgodziłam się.

- A po drugie - ciągnął, uśmiechając się szerzej - mogę znowu to zrobić. To znaczy, możemy. I to będzie w porządku.

Uśmiechnęłam się do niego. Był takim odmieńcem. Jedna rzecz, którą mogłam na pewno powiedzieć o Luke'u, to że z powodu swojego czaru zawsze był zbyt pewny siebie.

- Za pierwszym razem nie było wcale tak źle - oświadczyłam.

Wtedy Theo znowu się uśmiechnął. A potem pochylił się nad wózkiem - uroczo niezgrabnie - i znów mnie pocałował. Najwyraźniej tamten pierwszy pocałunek - chociaż taki niezdarly - nie zdarzył się wcale przypadkiem. A ten drugi był jeszcze lepszy.

Jednak kiedy wjechałam na podjazd posiadłości Sand Dollars, zaczęło mnie dręczyć poczucie winy. Chodziło o to, że wyglądało to na rekordowo szybką zmianę partnera, niczym w sztafecie. Tak więc gdy Theo nachylił się do otwartego okna samochodu po mojej stronie, żeby pocałować mnie po raz trzeci, zanim wejdzie po frontowych schodach domu, cofnęłam głowę.

- Och - westchnął ze zmartwioną miną, kiedy zasłoniłam dłonią usta. - To nigdy nie wróży dobrze.

- Nie, nic mi nie jest - odparłam. - Ja tylko...

- Zazwyczaj mijają co najmniej dwadzieścia cztery godziny, zanim dziewczyna zaczyna żałować, że mnie pocałowała - rzekł, przekładając z ręki do ręki pudło z tosterem. - No wiesz, mówię ci o tym po to, żebyś znała przeciętny czas.

Pokręciłam głową.

- Nie chodzi o ciebie. To po prostu...

Skrzywił się, przygotowując się na to, co za chwilę usłyszy.

- Luke i ja byliśmy ze sobą bardzo długo - ciągnęłam. - Lubię cię. Ale muszę uważać, żeby nie działać zbyt...

- Szybko - dokończył za mnie. Skinęłam głową. - Oczywiście. Rozumiem. Potrzebujesz linii demarkacyjnej.

- Linii demarkacyjnej? - spytałam.

- To oznacza wyraźne rozgraniczenie między dwiema rzeczami - wyjaśnił. - Solidny koniec przed nowym początkiem. Żadnych nieokreślonych granic. Jasność i wyrazność.

Wiedziałam, co to znaczyło, ale uznałam, że nie pora na ponowne afiszowanie się moim egzaminacyjnym słownictwem. Powiedziałam więc tylko:

- Właśnie. Przyпускаjąc, że problem polega na tym, jak to zrobić.

Zastanowił się, znowu obracając w rękach opiekacz.

- Wydaje mi się, że jedyny sposób to odnowa.

- Czego...?

- Tego - rzekł, machnąwszy wolną ręką pomiędzy nami. - Ciebie i mnie.

Rozpoczęcie od początku, na nowo, z tobą jako szczęśliwą singielką i mną niebędącym tym, którego nikt nie cierpi.

- A jak to osiągniemy? Wracając do Big Club?

Rozważył to.

- Nie. Po prostu zaczekamy trochę, a potem zaczniemy od nowa. Żadnych wiszących nad nami twoich chłopaków. Żadnych tosterów. Tylko my.

- Dobrze - powiedziałam.

Minął nas jakiś samochód, z którego ktoś wrzasnął w naszym kierunku, rozpraszając nas na moment.

- A mniej więcej jak długo? - zapytał Theo.

- Powinniśmy czekać? - upewniłam się. Przytaknął. - Nie wiem. Dzień lub dwa?

Zmarkotniał.

- Tak uważasz?

- To ty - rzekłam, wskazując na niego - jesteś ekspertem od tej linii demarkacyjnej. Ty mi powiedz.

Przyglądałam się, jak myślał dłuższą chwilę, naprawdę się nad tym zastanawiał. Potem oznajmił:

- Do jutra. Nowy dzień, nowy początek.

- Dobrze - powiedziałam znów. - Więc jesteśmy umówieni.

Uśmiechnął się i w tym momencie otworzyły się frontowe drzwi rezydencji Sand Dollars i ukazała się w nich Ivy w spodniach od pizamy i koszulce na ramiączkach, z włosami rozczochranymi z jednej strony.

- Theo! - warknęła. - Czy nie prosiłam o sok ze świeżo wyciśniętych pomarańczy?

- Jest w niebieskim dzbanku na drzwiach lodówki - odrzekł, zawsze pogodny. Ivy prychnęła gniewnie i zatrzasnęła drzwi. Uniosłam brwi, a on wyjaśnił: - Witamina C. Dopóki jej nie dostanie, jest zła jak osa.

- Najwyraźniej. - Przekręciłam kluczyk w stacyjce, a Theo się cofnął. - A więc, zobaczymy się... jutro?

- Możesz być tego pewna.

Uśmiechnęłam się, a on przemierzył podjazd i wszedł do domu. Spojrzałam na zegar na desce rozdzielczej. Nie było jeszcze południa. Nagle zwątpiłam, czy jakaś

linia demarkacyjna wystarczy, abym zrozumiała, jak to wszystko się stało. Co ja właściwie zrobiłam?!

Teraz, odpychając te myśli – albo przynajmniej usiłując – skupiłam uwagę znowu na Benjim.

– Jest lato, a ty przecież mieszkasz przy plaży. Można tutaj robić milion rzeczy.

– Tak? – spytał. – Co na przykład?

Zapomniałam, z kim mam do czynienia; oczywiście oczekiwał, że rozwinę tę wypowiedź.

– No cóż – rzekłam powoli – można... no... pływać.

– Wolno mi przebywać na słońcu tylko dwie godziny dziennie – poinformował mnie bezbarwnym tonem. – I muszę być w towarzystwie odpowiedzialnej osoby dorosłej.

– Tak? – Zerknęłam w stronę kuchni, zastanawiając się, gdzie wzmiankowana osoba dorosła teraz jest. – No, a co powiesz na przejażdżkę rowerem czy coś takiego? Jestem pewna, że moglibyśmy...

– Z powodu moich problemów z uchem wewnętrznym mam trudności z zachowaniem równowagi. – Wziął znowu ze stołu karty i potasował je. – Muszę unikać pojazdów dwukołowych napędzanych siłą mięśni.

Dwa zero dla niego.

– No cóż, mógłbyś czytać.

– Stale to robię. Oraz ćwiczę się w splataniu baloników.

– Splataniu baloników? – spytałam.

Wydobył spomiędzy pierścieni i pluszowego królika cienką broszurkę i podał mi.

– Robi się z nich zwierzęta. To część tego zestawu.

*Sztuka splatania: Wzory łatwego formowania baloników dla osób w każdym wieku!*, głosił tytuł na okładce przedstawiającej łysego faceta z wąsami podkreconymi do góry, który trzymał w jednej ręce żyrafę z jaskrawożółtych baloników, a w drugiej pompkę. Przekartkowałam broszurę zawierającą szczegółowe instrukcje formowania z baloników wszystkiego – od jamników dla początkujących po niewiarygodnie misterny bukiet róż z lodygami i kolcami.

– Rany – powiedziałam. – To naprawdę super.

– Ale hałaśliwe.

Uniosłam brwi.

– Hałaśliwe?

– Kiedy baloniki pękają. To mogłoby mnie przyprawić o załamanie nerwowe. – Ten zwrot też zabrzmiał jak dosłowny cytat. – Musiałem więc przestać i przez jakiś czas zająć się tylko sztuczkami karcianymi.

- A tak w ogóle to gdzie jest twój tata? - zapytałam.

- Na górze - odpowiedział, przekładając talię raz i drugi. Potem wyciągnął kilka kart i rozłożył je w dłoni w wachlarzyk. - Ma napięty termin.

- Napięty termin? - powtórzyłam.

- To znaczy, że jest zrzędlivy. I zestresowany. - Benji wskazał głową karty. -

Wybierz jeszcze jedną.

Sięgnęłam po tę z prawej. Tym razem mnie nie powstrzymał. Siódemka pik.

- W porządku. - Złożył karty z powrotem na kupkę i zamknął oczy, koncentrując się. - Twoja karta to... dziesiątka karo.

Zerknęłam na kartę.

- Masz rację!

- Tak?

Nie miałam pojęcia, dlaczego skłamałam, zwłaszcza że to oszustwo stanie się dla Benjiego aż nazbyt jasne, gdy tylko spojrzy na pozostałe karty w ręce. Ale było coś ogromnie smutnego w tym małym chłopcu, znudzonym i samotnym, siedzącym przy olbrzymim stole. Mogłam dla niego zrobić przynajmniej tyle, żeby pozwolić mu myśleć - choćby tylko przez chwilę - że zna magiczne sztuczki.

- Pójdę na moment na górę - oznajmiłam, wkładając kartę do kieszeni. - Ćwicz dalej, dobrze?

Kiwnął głową, znowu tasując karty, a ja zaczęłam wchodzić po schodach. Od lat nie byłam w tym domu i nie miałam nawet pewności, czy trafię. Jednak we wspinaniu się po tych schodach było coś znajomego, podobnie jak później skręt w lewo, a nie w prawo, żeby dotrzeć do głównej sypialni.

Wewnątrz zastałam ojca siedzącego przy drewnianym biurku pod oknem. Był odwrócony do mnie plecami, ale nawet nie widząc jego twarzy, wyczuwałam wyraźnie stres spowodowany napiętym terminem, cokolwiek to w istocie znaczyło. Lewą ręką tarł skroń, jakby usiłował wypolerować ją do połysku, a w prawej trzymał ołówek i stukał nim staccato w blat. Poza tym wszędzie wokół leżały porozrzucane papiery: na biurku, podłodze, łóżku. Tak dużo papierów, tak mało porządku. Na ten widok poczułam chęć, by szybko posprzątać. Zawróciłam i byłam już prawie przy drzwiach, gdy rzucił:

- Czy jest już piętnaście po dwunastej? Bo lepiej żeby było.

Zastygłam w miejscu, zerkając na zegarek.

- Ee... nie.

Odwrócił się ze zirytowaną miną. Kiedy zobaczył mnie, na jego twarzy odbiło się już tylko znużenie.

- Och, wybacz. Myślałem, że to Benji.

Jaka była na to stosowna odpowiedź? Nie odezwałam się.

- Stale przychodzi tu na górę - wyjaśnił, trąc dłonią twarz - i zawraca mi głowę tym czy tamtym, chociaż wie, jak to jest, kiedy pracuję. To mnie doprowadza do szału. Nie chcę go widzieć aż do pory lunchu, bo inaczej...

- Myślę, że on po prostu się nudzi.

- To rzeczywiście największy problem ludzkości - odparł. - Piszę teraz artykuł o głodzie w Afryce. Dlatego niezbyt współczuję Benjemu.

Właśnie o to chodzi, pomyślałam. Ale to nie była moja sprawa, więc powiedziałam tylko:

- Mówiłeś, że chcesz ze mną o czymś porozmawiać?

- Co? Ach, tak. - Zebrał część papierów i ułożył je na biurku w krzywą stertę. - Jestem teraz kompletnie zawałony robotą. Staram się rozwiązać kwestie własności tej nieruchomości i wystawić dom na sprzedaż, nie mówiąc już o tym, że usiłuję pracować.

Byłam niemal pewna, że na parterze usłyszałam trzask pękającego balonika.

- Zdaję sobie sprawę - mówił dalej ojciec - że jesteś bardzo zajęta pracą i przygotowaniami do rozpoczęcia nauki w... ee... college'u...

Znowu zaczął gwałtownie trzeć skroń. Wydawało się, że podobnie jak poprzednio w restauracji Reef Room, z powodu tego ostatniego słowa i kwestii, której dotyczyło, ciśnienie krwi skoczyło mu od normalnego do niemal przedzawałowego. Nawet poczerwieniał na twarzy. Zaczynałam rozumieć, dlaczego po tamtym dziwnym, oficjalnym mejlu nigdy nie dostałam od niego żadnej wiadomości. Skoro tak na niego działa sama myśl o moim college'u, realna, szczerza rozmowa na ten temat mogłaby go naprawdę zabić.

- Ale miałem nadzieję - mówił dalej pospiesznie, jakby te słowa rzeczywiście stwarzały dystans między nami a tamtą sprawą - że może przypadkiem znasz kogoś, kto mógłby mi pomóc przy Benjim. Kto zabierałby go w różne miejsca, pilnował, wciągnął w jakieś zajęcia.

- Potrzebujesz opiekunki do dziecka?

- Potrzebuję wielu rzeczy - odparł. Podniósł następną stertę papierów, popatrzył na nią i odłożył na bok. - Ale wiem, że najważniejsze jest zapewnienie opieki synowi. Ja nie potrafię się nim zająć, choć przyznaję, że to nie czyni ze mnie wzorowego rodzica.

Milczałam i zastanawiałam się, czy on oczekuje, że zaprzeczę i powiem, że właśnie ma talenty ojcowskie. Ten dzień robił się po prostu coraz dziwniejszy.



- Rzecz w tym, że wpadłem na pomysł - rzekł z westchnieniem - że ta wycieczka stanie się doskonałą okazją do nawiązania więzi z Benjim. Że spędzimy czas razem, zanim będę musiał wyprowadzić się z domu. Wyobrażałem sobie, że w ciągu dnia on będzie się bawił, potem będziemy razem gotować smaczne posiłki, a wieczorami czytać swoje książki przy kominku.

- On ma dziesięć lat - przypomniałam.

- Tak, wiem - rzucił z irytacją.

To mnie rozbawiło i pomimo usiłowań nie udało mi się powstrzymać uśmiechu. Bowiem w tym momencie ojciec przypominał Benjiego bardziej, niż kiedykolwiek mogłabym sobie wyobrazić: był zarazem niemądry, pełen nadziei i rozczarowany.

- Chyba od dość dawna nie spędziłem z nim dłuższego czasu bez Leah - oświadczył. - Ona bardzo dużo z nim przebywa... przebywała.

Nie odezwałam się. Z dołu dobiegł następny trzask balonika.

- Mniejsza z tym - rzucił ojciec ostrym tonem, potrząsając głową i spoglądając na mnie. - A więc opieka nad dzieckiem. Kilka godzin dziennie, po prostu żebym mógł trochę popracować. Znasz kogoś odpowiedniego?

- Tak na poczekaniu nikt mi nie przychodzi do głowy - odparłam. Ojciec trochę oklapł. Przypomniał mi tym Theo - taką natychmiastową reakcją, łatwą do odczytania. - Ale mogę się nad tym zastanowić.

- Byłoby wspaniale - rzekł z takim entuzjazmem, jakbym podała mu dziesięć nazwisk i numerów telefonów. - Dziękuję ci.

Kiwnęłam głową.

- Muszę już wracać do pracy. Mam jeszcze do odbycia masę wizyt u wczasowiczów i...

- Oczywiście. Pracujesz. - Wziął z łóżka wielką kopertę i włożył do niej kilka arkuszy. - Ja też powinienem. A zamiast tego odbywam rozmowy telefoniczne z pośrednikami od nieruchomości, usiłując znaleźć takiego, który umieści ten dom na swojej liście. To się nigdy nie skończy.

Przynajmniej nie cierpisz głodu, jak ludzie w Afryce, pomyślałam, lecz powstrzymałam się przed powiedzeniem tego na głos.

- Właściwie w naszym biurze mamy naprawdę dobrą agentkę od nieruchomości - oznajmiłam. - Moją siostrę Margo. Może załatwić za ciebie mnóstwo szczegółowych spraw.

- Naprawdę?

Skinęłam głową i poszukałam dodatkowych wizytówek Agencji Colby, które zawsze trzymam w zewnętrznej przegródce portfela. Znalazłam jedną i podałam

ojcu.

- Kiedy zadzwonisz, po prostu poproś ją do telefonu.

Spojrzał na wizytówkę, potem znów na mnie.

- Tak zrobię. Dzięki.

- W porządku. A ja pomyślę o jakiejś opiekunce do dziecka.

Odwróciłam się i ruszyłam korytarzem. Kiedy schodziłam po schodach, z każdym krokiem docierało do mnie coraz wyraźniej, że chociaż nic ojcu nie zawdzięczam, teraz nie tylko zaangażowałam się w pomaganie mu, lecz wciągnęłam w to również kogoś z mojej rodziny. Jak do tego doszło?

Na parterze zastałam Benjiego przy stole, formującego ostrożnie kulę na końcu czarnego balonika. Przyglądając mu się, poczułam się jeszcze bardziej napięta, chociaż nie można przecież przygotować się na pęknięcie balona. To nagłe, samorzutne zdarzenie i nie zmienią tego żadne przygotowania...

Trzask! Wbrew sobie, podskoczyłam. Z piętra dobiegł ryk:

- Benji!!!

Chłopiec drgnął, pospiesznie zebrał z podłogi kawałki pękniętego balonika i chyłkiem wrócił do stołu.

- No, lepiej już pójdę - powiedziałam, gdy znów wziął z blatu talię kart. - Zobaczmy się później, dobrze?

Kiwnął głową.

- Dobrze.

Podeszłam do drzwi, wyjęłam komórkę i zapisałam sobie w aplikacji notatek, żeby popytać o opiekunki do dziecka. Gdy to robiłam, zorientowałam się, że od porannej wizyty w restauracji Last Chance biorę na siebie więcej zobowiązań niż to konieczne. Kanapka śniadaniowa, zgoda na bycie łączniczką między Clyde'em a Theo, pocałunek bez linii demarkacyjnej, problem ojca z opieką nad synem. Nic dziwnego, że czułam się tak obciążona. Choć z drugiej strony, jedna sprawa więcej nie robi w tej sytuacji wielkiej różnicy.

- Hej! - zawołałam do Benjiego. - Chcesz się przejechać?

Z wyrazem nadziei na twarzy podniósł na mnie wzrok.

- Serio?

- Jeżeli twój tata się zgodzi.

- Nie obejdzie go to - rzekł, po czym porzucił karty, puścił się biegiem i dosłownie wpadł na mnie, jakby się bał, że za chwilę wycofam tę propozycję. - Pewnie nawet nie zauważy.

- Jednak go zapytaj.

Stałam i czekałam, a on wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na podeście przysunął stuloną dłoń do ust i krzyknął w stronę sypialni:

- Wychodzę! Z Emaline!
- Co? - dobiegł stłumiony drzwiami głos ojca.
- Wychodzę! - powtórzył Benji.
- Co?
- Wychodzę! Wrócę później!

Nawet jeśli ojciec coś odpowiedział, zagłuszył to tupot nóg Benjiego zbiegającego po schodach. Uznałam, że jeśli się nie zgodził, zejdzie, więc odczekałam chwilę. Kiedy się nie pojawił, powiedziałam:

- W porządku. Chyba możemy iść.
- Super! - wrzasnął Benji.

Przepchnął się obok mnie za drzwi i pognął frontową alejką. Był ogromnie podekscytowany, chociaż podobnie jak wcześniej Morris nie miał pojęcia, dokąd jedziemy. Zatrzasnęłam drzwi i podążyłam za nim wolniejszym krokiem, zastanawiając się, czy ojciec obserwuje nas z okna na piętrze. Przez całą drogę do samochodu rozważałam, czy się odwrócić i spojrzeć, lecz ostatecznie nie zdecydowałam się na to.

\* \* \*

- Zaraz. - Daisy odwróciła się do mnie z aplikatorem wosku w ręce. - Co zrobiłaś?!

Spojrzałam na kobietę leżącą przed Daisy na stole na plecach, z torebką na podołku i splecionymi na niej rękami. Przed chwilą weszłam do salki depilacji, aby powiadomić przyjaciółkę, że czekam na zewnątrz. Nie zamierzałam jednak opowiadać o swoim prywatnym życiu w obecności obcej kobiety mającej problemy z nadmiernym owłosieniem.

- Porozmawiamy na dworze, dobrze?
- Dlaczego?

Wskazałam głową kobietę na stole.

- Widzę, że jesteś... no... zajęta.

- Och, masz na myśli Jean? Nie przejmuj się, ona bardzo źle słyszy. - Daisy przez chwilę dmuchała na wosk, a potem nachyliła się do jej ucha i krzyknęła: - Zaraz zacznę! Jest pani gotowa?

Kobieta otworzyła oczy, zamrugowała ze zdezorientowaną miną i przyłożyła dłoń do

ucha. Daisy pokazała jej aplikator. Kobieta z uśmiechem kiwnęła głową i znowu zamknęła oczy.

- W porządku - rzekła Daisy. Pochyliła się i starannie wtarła wosk pod i tak już cienką brwią kobiety. - A więc zacznij jeszcze raz od początku. Bo albo ja też jestem głucha, albo przed chwilą powiedziałaś coś totalnie zwariowanego.

Zwariowane - pomyślałam. - To odpowiednie słowo.

- No cóż - odrzekłam, gdy wzięła z półki kawałek gazy i ostrożnie przycisnęła do nawoskowanej skóry. - Dziś rano Luke i ja zerwaliśmy ze sobą. A potem pocałowałam się z kimś innym w hipermarkecie Big Club.

Daisy jednym szybkim ruchem oderwała gazę. Leżąc na stole Jean skrzywiła się, ale nie otworzyła oczu.

- A ten pocałunek był z kimś, kogo znam, czy z jakimś przypadkowym facetem?

- Z Theo - oznajmiłam.

Przyglądałam się, jak znowu zanurza aplikator w wosku.

- Pocałowałaś gościa, którego po prostu spotkałaś w Big Club?

- Kupowaliśmy razem opiekacz - powiedziałam, jakby to wszystko wyjaśniało.

Dmuchając na wosk, odwróciła się do mnie z miną wyrażającą niedowierzanie.

- Mówisz poważnie?

- Tak się po prostu zdarzyło.

- Którą część tej historii masz na myśli? Zerwanie z chłopakiem po trzech latach czy obściskiwanie się tuż potem z kimś, kogo ledwie znasz?

- Wcale nie tuż potem - zaproponowałam, gdy zajęła się depilacją drugiej brwi. - Minęły co najmniej dwie godziny.

- Och, no tak, to co innego - rzuciła ironicznie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zanim zdążyłyśmy zapytać kto to, zajrzała pani Ye, spoglądając na mnie.

- Ty przyprowadzić tu chłopca?

- Słucham?

- Mały chłopiec na zewnątrz. Z tobą?

- Och - powiedziałam, przypomniawszy sobie nagle, że zostawiłam Benjiego przed wystawą salonu, oglądającego zestaw środków do polerowania paznokci. - Tak. To mój brat.

Pani Ye kiwnęła głową i bez dalszych komentarzy zamknęła z powrotem drzwi. Daisy patrzyła na mnie z pytającą miną.

- Pomagam ojcu. Jest teraz zavalony pracą - wyjaśniłam.

Nachyliła się nad Jean i zaczęła wrywać włoski brwi seria szybkich szarpnięć.

- Jak pomagasz?

- Po prostu zabawiam Benjiego, dopóki nie zdołamy znaleźć kogoś, kto się tym zajmie.

- Dobrze, zaczekaj - rzekła, unosząc wolną rękę. - Więc mówisz, że odkąd wczoraj się z tobą widziałam, zerwałaś z Lukiem, całowałaś się z Theo i zaoferowałaś pomoc swojemu niewdzięcznemu ojcu, który wcale na to nie zasługuje?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Tak. I jeszcze przedstawiłam Theo Clyde'owi i zgodziłam się pomóc im przygotować wywiad.

Daisy znieruchomiała i spojrzała na mnie.

- Zdajesz sobie sprawę, jak wariacko to brzmi? Jak można w niespełna dwadzieścia cztery godziny tak bardzo odmienić swoje życie?

- Ponieważ wszędzie wokoło tak się dzieje - odparłam. - Nic nie trwa wiecznie i wszystkie zmiany przychodzą na raz.

- Ale nie aż tak szybko - burknęła.

- Więc może po prostu przydarzyło mi się wyjątkowe lato - oświadczyłam. - No wiesz, takie kiedy dzieją się naprawdę ważne rzeczy. Posłuchaj, to jakbym była turystką czy coś takiego!

- Emaline, przestań. Mówię serio. - Potrząsnęła głową, a potem zajęła się drugą brwią Jean. Usłyszałam, jak na zewnątrz pani Ye wrzeszczy na kogoś po wietnamsku. - Chociaż przyznaję, rzeczywiście zachowujesz się jak turystka. Nie mogę uwierzyć, że już jesteś w następnym związku. Co będzie dalej? Facet z owłosioną klatką piersiową i shoty z galaretki i alkoholu?

Wykrzywiłam się do niej.

- To nie żaden związek. Ani shoty. To tylko jeden pocałunek.

- Byłaś z Lukiem ponad trzy lata.

- Daisy, on mnie zdradził. Spotkał się z inną dziewczyną w Tallyho.

Znowu na mnie spojrzała, tym razem ze współczuciem.

- Och, Emaline, naprawdę?

Przytaknęłam.

Wydawałoby się, że za każdym razem, gdy to mówiłam, powinno mnie boleć. Ale wcale nie. Znowu poczułam, że łyżycy ścisnęły mi gardło.

- Słuchaj, muszę już iść. Jest tu Benji. I mam sprawy do załatwienia. Możemy porozmawiać później?

- Zaczekaj, wyjdę z tobą. - Wzięła ręczne lusterko i znowu nachyliła się nad Jean.

- Skończyłam! - krzyknęła głośno i tak blisko jej ucha, że ta kobieta ogłuchłaby, gdyby już nie była głucha. - Chciałaby pani spojrzeć?

Jean otworzyła oczy. Kiedy zobaczyła lusterko, usiadła, wzięła je i przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu.

- Wspaniale się spisałaś - rzekła do Daisy normalnym tonem. - Dziękuję ci.

- Bardzo proszę! - odwrzasnęła Daisy. - Życzę pani miłego dnia!

Kobieta kiwnęła głową, po czym zeszła ze stołu, wciąż ściskając w rękach torebkę, a ja cofnęłam się, żeby ją przepuścić. Potem przyglądałam się, jak Daisy zerwała ze stołu papierowe przykrycie i zastąpiła je nowym, zakreśliła naczynie z woskiem, wrzuciła z brzękiem pęsetę do pojemnika ze środkiem odkażającym. W ten sposób już po chwili wszystko było czyste i uporządkowane. W przeciwieństwie do większości innych rzeczy na świecie.

Za drzwiami w salonie zastaliśmy Benjiego oglądającego uważnie na wystawie żelowe paznokcie.

- Hej, Emaline! - zawołał na mój widok. - Wiedziałaś, że do opłowywania tych rzeczy używają szlifierek do drewna?

- Nie wiedziałam - odparłam.

- To fantastyczne! Muszą nosić maski ochronne i w ogóle.

Uśmiechnęłam się, a potem odwróciłam się do Daisy stojącej za mną.

- Benji, to moja przyjaciółka Daisy. Daisy, to Benji.

Wyciągnął rękę.

- Miło mi cię poznać.

Daisy, wyraźnie pod wrażeniem, uściśnęła mu dłoń.

- Wiele o tobie słyszałam.

- Tylko się tu przyglądam - wyjaśnił swobodnym tonem. - Niełatwo mnie zabawić.

Daisy popatrzyła na mnie, unosząc brwi. Wzruszyłam ramionami i powiedziałam:

- Wpadliśmy tu w drodze do biura agencji. Jest jakaś kryzysowa sytuacja z ręcznikami.

- To brzmi poważnie - zauważyła, gdy ruszyliśmy do wyjścia.

- Margo wprowadziła nowy system inwentaryzacji, totalnie skomputeryzowany - wyjaśniłam jej. - Działa tak, jak można się było spodziewać.

- Może mogłabyś całkowicie go dla niej zreorganizować - zasugerowała. - Zmienić wszystko naprawdę szybko. Skoro jesteś dzisiaj w takim szwungu i w ogóle.

Popatrzyłam na nią.

- Nie robię tego celowo.

- Wiem. Chodzi mi tylko o to, że... - Urwała, zerknęła na Benjiego i dokończyła, ostrożnie dobierając słowa: - Zaangażowałaś się w mnóstwo spraw.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Och! - Pstryknęła palcami. - Zanim zapomnę. To z pewnością poprawi ci nastrój! Zaczekaj.

Patrzyłam, jak podchodzi do wieszaka przy drzwiach i zdejmuje z niego torbę na ramię. Wracając do mnie, rozpięła jej suwak.

- Rzuć na nie okiem - powiedziała. - Znalazłam je, kiedy byłam ostatnim razem w Dolly's, tym sklepie w Durham z rzeczami retro, o którym ci mówiłam. Nadadzą się na imprezę Plażowy Ubaw.

Spojrzałam na zawartość torby, którą stanowiły dwie bardzo zmechacone marszczone sukienki, różowa i niebieska. Wyglądały, jakby mogła je nosić mała Bo Peep w Cukierkowej Krainie.

- Uznałaś, że włożenie tego poprawi mi nastrój? - spytałam z niedowierzaniem.

- Kiedy je przerobię, nie będą tak wyglądać - odparła urażonym tonem. - Nawet ich nie rozpoznasz. Ale mają doskonałe kolory, będą pasować do motywu cukierkowego.

- Mamy nosić na sobie cukierki?

- Mówię o cukierkowym motywie, wizji. - Westchnęła i popatrzyła na Benjiego. - Wiesz, twojej siostrze kompletnie brakuje asertywności w kwestiach mody.

- Jakiej asertywności? - zapytał.

- Widocznie to dziedziczne - powiedziałam. Daisy zasunęła zamek torby i odwróciła się do mnie plecami. - Hej, ja tylko żartowałam - rzuciłam. - Wiem, że te sukienki będą wspaniałe. Zawsze są. Jesteś geniuszem mody, Daze.

Te słowa sprawiły, że się uśmiechnęła.

- Rzeczywiście mamy reputację, którą musimy utrzymać.

- Ty masz - poprawiłam ją. - Ja tylko wkładam, co mi każesz, i pokazuję się w tym.

Rzeczywiście, chciałabym móc przypisać sobie choć część zasługi za to, że Daisy i ja przez dwa lata z kolei zdobyłyśmy nagrodę dla Najlepiej Ubranej Pary na corocznym balu Plażowy Ubaw w Colby. Ale osiągałyśmy to wyłącznie dzięki Daisy, odkąd w gimnazjum zaczęłyśmy razem uczestniczyć w tym konkursie. To ona przez cały rok szukała tkanin, wzorów i inspiracji, po czym przedstawiała idealną wizję, a następnie realizowała ją samodzielnie, zgodnie z typowymi dla siebie wysokimi standardami. Ja tylko kilka razy uzupełniłam jej projekty o jakiś drobny pomysł, co było niewielkim wkładem w zamian za zyskanie prawa do połowy chwały.

- Nie mogę uwierzyć, że już wkrótce odbędzie się Plażowy Ubaw - powiedziałam do Daisy, gdy zarzuciła na ramię torbę z sukienkami. - Mam wrażenie, że dopiero skończyliśmy liceum.

- Za trzydzieści sześć dni - uściśliła, jak zawsze dokładna. Ta dziewczyna żyła z kalendarzem w ręku i kilkoma zapasowymi. Była zorganizowana perfekcyjnie jak NASA. - Co nie znaczy, że codziennie odliczam czas.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - spytałam.

Rzuciła mi współczujące spojrzenie.

- Może wyjaśnij swojemu bratu, co znaczy asertywność w kwestiach mody.

- Zrobię tak - zapewniłam. - Gdy tylko sama to zrozumiem.

Uśmiechnęła się, podeszła i objęła mnie.

- Zadzwoń, jak tylko skończysz pracę. Słyszysz?

Też ją uściskałam.

- Słyszę.

- Miło było cię poznać, Benji - powiedziała, odwracając się, by wejść z powrotem do salonu.

- A mnie ciebie! - odrzekł.

I znowu pognał przede mną do samochodu; niczym pies na wysuwanej smyczy, przebiegł cały możliwy dystans, a potem wrócił.

W samochodzie sprawdziłam komórkę. Oprócz wcześniejszego esemesa od Margo w odpowiedzi na moją prośbę o więcej ręczników - *Żadnych ręczników. Wróć po dalsze instrukcje* - miałam dwie nowe wiadomości w poczcie głosowej.

„Cześć, Emaline, to ja”. Pauza. „Ee... Theo”. Kolejna pauza, w trakcie której potrafiłam myśleć tylko o tamtym pocałunku pośród tosterów. „Właśnie rozmawiałem z Ivy i ona chciałaby, żebyśmy przyparli Clyde'a do muru i wymogli, aby możliwie jak najszybciej udzielił tego wywiadu. To znaczy, no wiesz, oczywiście w dogodnym dla niego terminie. Ale może dzisiaj? Może zaraz? A więc gdybyś mogła...” - w tym momencie jakiś głos w tle coś powiedział - „zadzwoń do niego i to ustalić, bylibyśmy naprawdę wdzięczni”. Zabrzmiała kolejna niewyraźna wskazówka od Ivy. A potem znów Theo: „Po prostu oddzwoń do mnie najszybciej, jak będziesz mogła. Dzięki!”.

Wcisnęłam kasowanie, patrząc na Benjiego, który wiercił się w fotelu, tupał nogą i bębnił dwoma palcami o krawędź otwartego okna. Zaczęła się następna wiadomość:

„Emaline, to znowu ja. Theo”. Westchnęłam i uruchomiłam silnik. „A więc Ivy uważa, że byłoby najlepiej, gdybyśmy po prostu mogli dostać bezpośrednio numer



telefonu Clyde'a. Nie musielibyśmy zwracać ci głowy tymi prośbami. Wyjaśniłem jej, że on woli kontaktować się za twoim pośrednictwem, ale..." - w słuchawce stłumione dźwięki, głosy, szum zakłóceń - „tak czy owak, jeżeli to możliwe, po prostu wyślij mi esemesem jego namiary. A jeśli nie, no wiesz, po prostu oddzwoń..." - kolejne stłumione odgłosy - „możliwie jak najszybciej. Dzięki!”.

- Och, na litość boską - powiedziałam na głos.

Aroganckie, nachalne - jakkolwiek to nazwać, było irytujące.

Benji natychmiast zamarł, przestał bębnić i tupać.

- Przepraszam - rzekł cicho.

- Nie, nie. - Pomachałam ku niemu telefonem. - To do nich, nie do ciebie.

- Och. - Wyraźnie się rozpogodził. - Jasne.

Wyjechaliśmy na szosę i włączyliśmy się do ruchu. Znowu spojrzałam na Benjiego. Był jeszcze takim dzieckiem, impulsywnym i pełnym emocji; nic dziwnego, że tak łatwo odczytać jego reakcje. Mogłam sobie wyobrazić, jak przyjmie wiadomość o rozwodzie rodziców, kiedy w końcu mu powiedzą. Na samą myśl o tym pękało mi serce.

Gdy dotarliśmy do biura, zastaliśmy Margo w salce konferencyjnej siedzącą przy laptopie. Wszędzie wokół niej - na stołach, krzesłach i innych wolnych powierzchniach - leżały ręczniki. Wszystkie białe, wszelkich rozmiarów - ręczniki kąpielowe, do rąk, ściereczki, maty łazienkowe. Wydawało się, jakby szafa z bielizną eksplodowała, chociaż bardzo schludnie.

- Myślałam, że brakuje nam ręczników - rzuciłam.

Ze zirytowaną miną podniosła na mnie wzrok.

- Nie mówiłam tego. Powiedziałam tylko, że nie ma żadnych ręczników dla ciebie.

- W porządku - rzekłam. - Ale to nie ja ich potrzebuję, tylko klienci.

- Dziś rano na zebraniu - zaczęła tonem niepozostawiającym wątpliwości, że zaraz mnie zruqa - przedstawiłam szczegółowo zasady nowego, skomputeryzowanego systemu. Zastosowałam go do inwentaryzacji ręczników. Dziesięć minut później weszłaś do magazynu i wzięłaś stertę ręczników, kompletnie ignorując wszystko, co mówiłam.

Stojący obok mnie Benji obserwował tę wymianę zdań; patrzył na Margo, na mnie, potem znów na nią. Wskazałam go ruchem głowy.

- Pamiętasz Benjiego, prawda?

Rzuciła na niego spojrzenie.

- Och, tak. Witaj.

- Cześć - rzekł. - Tu jest mnóstwo ręczników.

- Tak, Benji - odparła tym samym przemądrzałym tonem. - Owszem. To cały zapas ręczników, jaki w połowie tygodnia mamy tutaj, w Agencji Colby, na wymianę dla wynajmujących domy. Niewątpliwie zgodzisz się ze mną, że musimy ich posiadać tak wiele, aby mieć pewność, że zawsze zdołamy zaspokoić potrzeby naszych gości.

- Margo - powiedziałam. - To dzieciak. Jego to nie obchodzi.

- Rzecz w tym - kontynuowała, ignorując moją uwagę - że opracowałam system pozwalający nam zawsze wiedzieć, jaką liczbą ręczników każdego rodzaju aktualnie dysponujemy. Aby ten system zadziałał, trzeba tylko, aby każdy pracownik, pobierając ręcznik, wprowadził informację o tym do bazy danych. Czy to takie skomplikowane?

- Tak - powiedziałam, a równocześnie Benji rzekł posłusznie:

- Nie.

- Nie potrzebujemy dokładnej liczby ręczników, a jedynie ogólnej orientacji o ich ilości - dodałam. - To ręczniki, nie materiał radioaktywny.

- Nie ty tutaj rządzisz - zripostowała. - Kiedy mówię, że używamy tego systemu, to używamy. Koniec dyskusji. A teraz wejdź i utrwal sobie wiedzę o nim, żebym później mogła zająć się z powrotem pracą.

Przez chwilę tylko wpatrywałam się w nią bez słowa, a ona równie zaciekle wytrzymywała moje spojrzenie. W innych okolicznościach nie dałabym za wygraną, jak zwykle. Ale obok mnie wiercił się niecierpliwie Benji.

- Dobrze - powiedziałam. - Odśwież moją wiedzę.

- Chętnie. - Odsunęła dla mnie krzesło obok siebie. Usiadłam i skinęłam na Benjiego, żeby też gdzieś klapnął. - A więc, umieściliśmy w magazynie komputer do celów inwentaryzacyjnych. Kiedy potrzebujesz ręczników, musisz otworzyć ten plik Excel oznaczony nazwą „Bielizna pościelowa”, a następnie...

Piętnaście minut później - czyli o jakieś czternaście dłużej, niż było konieczne - skończyła. Stłumiłam ostatnie ziewnięcie.

- Pojęłam. Czy w tej chwili muszę wiedzieć coś jeszcze?

Margo się rozejrzała.

- Nie, chyba nie. Po prostu odnieś wszystkie te ręczniki z powrotem do magazynu, posortowane według rodzajów, i powinniśmy być gotowi.

- Ja? - spytałam. - Dlaczego ja mam je odnieść?

- Ponieważ to z twojej winy musiałam udzielić ci tego instruktażu. Gdybyś dziś rano na zebraniu uważała, nie byłoby to konieczne.

Nie po raz pierwszy dzisiaj nasza mnie silna pokusa, by szarpnąć ją za włosy albo walnąć pięścią, jak dawniej, kiedy byłyśmy małe. Zamiast tego przypomniałam

samej sobie, że wkrótce stąd wyjdę i te ręczniki – oraz Margo – przestaną być moją udawką. Wzięłam więc ich stertę ze stołu.

- Mogę pomóc – zaofiarował się Benji i wziął drugą stertę ręczników. – Dokąd je zanieść?

- Dzięki – powiedziałam. – Idź za mną.

W trakcie drugiego kursu do magazynu zadzwoniła moja komórka. Przełożyłam do drugiej ręki wysoką stertę mat łazienkowych i wygrzebałam telefon z kieszeni.

- Halo.

- Cześć, Emaline, to ja. – Pauza. – Theo.

- Cześć – odpowiedziałam, idąc dalej korytarzem. – Przepraszam, ale nie mogłam do ciebie oddzwonić. Mam tu kilka spraw...

- A więc posłuchaj – przerwał mi. – Ivy naprawdę uważa, że byłoby najlepiej, gdybyś po prostu podała nam dane kontaktowe Clyde'a. Obawia się, że z tobą jako pośredniczką sprawy... ee... się skomplikują.

Oczywiście że tak uważa.

- Nie – odparłam. – Sprawy rzeczywiście się skomplikują, jeśli on nie zechce z wami rozmawiać, ponieważ celowo zlekceważycie warunki brzegowe, jakie ustalił.

Oczekiwałam kpiącej uwagi o tym, że zwrot, jakiego użyłam, też pochodzi ze słownictwa na egzaminy na studia. Lecz zamiast tego zapadła cisza. W końcu Theo powiedział:

- To prawda. Jednak niezwykle istotna jest relacja Ivy jako reżyserki-dokumentalistki z bohaterem jej filmu Wszystko, co utrudnia lub zakłóca ową relację, może zagrozić całemu projektowi.

- Mów, co chcesz, ale ja nie postąpię wbrew życzeniu Clyde'a – odparłam. – I wy też nie powinniście.

Znów usłyszałam stłumiony dźwięk, a potem nagle Theo powiedział ciszej, bliżej mikrofonu:

- Posłuchaj, nie chcę ci zawracać głowy, jasne? Chodzi po prostu o to, że ona naciska. Przepraszam. Jestem ci wdzięczny za wszystko, co zrobiłaś dziś rano.

- Theo...

- Nie za pocałunek – rzucił szybko. – To znaczy, nie zrozum mnie źle, to też było wspaniałe. Nie potrafię przestać o nim myśleć. Chociaż wiem, że... ee... nie powinniśmy o tym mówić. Aż do jutra. – Teraz ja się zaczerwieniłam, tutaj, na korytarzu. – Ale przedstawienie mnie Clyde'owi i takie zręczne pokierowanie tą sytuacją... było z twojej strony czymś wspaniałym. Nie potrafię wystarczająco ci za

to podziękować.

- Nie musisz - odparłam. - Po prostu nie pozwól jej tego schrzanić, dobrze?

- Dobrze. - Odchrząknął. - A więc... ee... nadal widzimy się jutro, tak? Nie na gruncie zawodowym?

Spojrzałam na Benjiego, który przemknął obok mnie wąskim korytarzem, dźwigając górę ręczników. Opróżnił już z nich pół stołu, robiąc dwa razy więcej kursów ode mnie. Najwyraźniej energia dziesięciolatka, odpowiednio skierowana, może wiele dokonać.

- Tak - odpowiedziałam Theo. - Wkrótce skontaktuję się z tobą w obydwu sprawach, w porządku?

- Tak - rzekł. - Cześć, Emaline.

Uśmiechnęłam się, zamknęłam komórkę i wsadziłam z powrotem do kieszeni. Potem ruszyłam w stronę magazynu - i zobaczyłam przed sobą Luke'a; pochwyciłam jego spojrzenie ponad trzymaną przeze mnie stertą ręczników. Drgnęłam zaskoczona, ręczniki upadły lawiną bieli między nas na podłogę.

- O mój Boże - powiedziałam, przyciskając dłoń do piersi. Kątem oka dostrzegłam ostatni spadający z trzepotem ręcznik. - Śmiertelnie mnie przestraszyłeś.

- Przepraszam.

Kucnęłam, żeby podnieść ręczniki, a on dołączył do mnie, zbierając kilka leżących najbliżej niego.

- Co się tu dzieje? - zapytał. - Jakiś dzień odnowy biologicznej czy coś w tym rodzaju?

- Margo wprowadziła nowy system komputerowy - wyjaśniłam. - A co ty tutaj robisz?

Przegarnął dłonią włosy.

- No, właściwie miałem nadzieję, że...

- Luke! - zawołał Benji i już biegł ku nam korytarzem, tupiąc po dywanie. - Nie wiedziałem, że tu jesteś!

- Dopiero co przyszedłem, stary. - Luke podniósł rękę i z głośnym klaśnięciem przybił z nim piątkę. - Więc Emaline zagoniła cię do pracy, co?

- Inwentaryzacja - wyjaśnił z powagą Benji. - Mnóstwo ręczników.

- Widzę. - Luke spojrzał na mnie, uśmiechając się szeroko. Z przyzwyczajenia niemal odpowiedziałam mu uśmiechem, ale przypomniałam sobie, co się wydarzyło przed zaledwie kilkoma godzinami. - Posłuchaj, Benji, daj mi sekundę na rozmowę z Emaline, dobrze?

- Jasne - odrzekł chłopiec. - Mam jeszcze kupę rzeczy do przeniesienia. Na

razie!

I wrócił do salki konferencyjnej. Luke popatrzył za nim.

- Czy możemy...?

- Właściwie jestem dość zajęta - oświadczyłam.

- Dziesięć minut. - Zniżył głos. - To ważne.

Rzuciłam okiem w stronę biura, z którego Margo i matka niewątpliwie nas obserwowały.

- Pięć. I nie tutaj.

Skinął głową i podążył za mną, gdy zaniosiłam stertę ręczników z powrotem do salki konferencyjnej i wyszłam na frontową werandę. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nami, usiadłam na skrzynce na gazety.

- W porządku - rzuciłam, krzyżując ramiona na piersi. - Mów.

Luke popatrzył na ruch uliczny, potem znowu na mnie.

- Posłuchaj, no więc, dziś rano... nic nie poszło tak, jak zamierzałem. Popełniłem błąd.

- Kiedy? - spytałam. - Spotykając się w Tallyho z tamtą dziewczyną? Czy zrywając ze mną dzisiaj?

Nie odpowiedział od razu, tylko potarł dłonią twarz, co robił zawsze, kiedy był zestresowany. Znałam ten i wiele innych jego charakterystycznych odruchów, podobnie jak on znał moje.

- Nie zerwałem z tobą - odparł. - Powiedziałem tylko, że może potrzebujemy przerwy w naszym związku.

- Więc dlaczego tu przyszedłeś? - spytałam.

- Ponieważ... odkąd zostawiłem cię w tamtej restauracji, czuję się okropnie. Mam wrażenie, że wydarzyło się coś naprawdę złego i że muszę to naprawić.

Przygryzłam wargę i milczałam.

- Nie mówię, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy wszystko między nami było idealne - ciągnął. - Ale chcę być z tobą.

- Nie myślałeś tak, kiedy postanowiłeś wybrać się do Tallyho.

- Czy kiedyś przestaniesz wreszcie mówić o tym Tallyho? Staralem się być wobec ciebie szczery! - odparł, podnosząc głos. - Wyznałem ci prawdę. Powiedziałem, że to była pokusa i uległem jej, ale nie w taki sposób, jak myślałaś. A teraz mówię ci, że żałuję tego wszystkiego, co zrobiłem. Musisz mi jakoś się za to zrewanżować.

- Niby jak?

Zamiast odpowiedzi podszedł do mnie, stanął między moimi rozwartymi kolanami i przesunął dłońmi w górę mojej szyi w sposób znajomy i podniecający. Gdy

przycisnął wargi do moich warg, obróciłam głowę odrobinę w prawo, tak że idealnie się do siebie dopasowaliśmy - umiejętność udoskonalona przez lata w trakcie miliona pocałunków. W końcu Luke cofnął się i przysunął usta do mojego ucha.

- Kocham cię, Emaline - szepnął.

Kręciło mi się w głowie. Pragnęłam jedynie, jak zawsze w takich chwilach, wciąż go całować. Ale zdołałam jakoś położyć dłonie na jego piersi i odepchnąć go.

- Ja... nie mogę.

- Dlaczego? - zapytał.

- Sytuacja się zmieniła.

- Przeprosiłem cię. Powiedziałem, że popełniłem błąd. - Znowu przysunął się do mnie bliżej. - Naprawię to. I postaramy się rozwiązać także inne problemy, jakie mieliśmy.

Przecząco pokręciłam głową, spuszczaając wzrok na dłonie.

- Nie chodzi tylko o to.

- Więc o co?

Nie odpowiedziałam. W tym momencie potrafiłam myśleć tylko o tamtych tosterach.

- O coś, co zrobiłaś? - spytał. Zapadła długa krępująca cisza. Gdzie była tamta kelnerka, żeby nam przeszkodzić, kiedy naprawdę tego potrzebowałam? - Emaline, widziałem się z tobą jakieś cztery godziny temu? Co mogło się wydarzyć od tamtego czasu?

Ten ostatni moment, zanim kogoś uderzy przykra, niepokojąca prawda, wydaje się zawsze taki czysty i wyraźny. Najbardziej brutalna granica pomiędzy przed i po. Siedziałam tam i patrzyłam, jak na moich oczach wyraz twarzy Luke'a się zmienia.

- Och, mój Boże - rzekł, cofając się. - To tamten gość, tak? Theo. Czy ty...?

- Luke - powiedziałam cicho.

- Co, u diabła? Pobiegłaś do niego, jak tylko wyszłaś z restauracji?

- Hej. - Wycelowałam w niego palec. - To ty ode mnie odszedłeś, pamiętasz?

I z tego, co wiedziałam, odszedłeś na zawsze.

- Co niewątpliwie było dla ciebie bardzo dogodne - zripostował. - Mogłaś wreszcie bez wyrzutów sumienia wskoczyć do łóżka z tym gościem w dziewczynskich dzinsach.

- Z nikim nie wskoczyłam do łóżka - odparłam. - Co ty w ogóle mówisz?

- A co ty mówisz? - rzucił. - Gdy tylko nasz trzyletni związek napotkał problemy, wiążesz się z kimś innym?

- Ja przynajmniej zaczekałam, aż się skończył.

Na widok jego twarzy, gdy to usłyszał - wyrazu bólu, zaskoczenia, bezbronności - poczułam się okropnie. Próbowałam go dotknąć, żeby jakoś złagodzić swoje słowa, ale cofnął się jeszcze dalej i moja ręka zawisła w powietrzu.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, rozdzieleni przestrzenią.

- Sam to powiedziałaś - rzekłam wreszcie. - Od jakiegoś czasu między nami się nie układało. Gdyby nadal wszystko wyglądało wspaniale, żadne z nas nie zrobiłoby tego, co zrobiło. To świadczy, że coś było źle.

Jednak sądząc z wyrazu bólu na jego twarzy, łatwiej przyszło mu to powiedzieć, niż usłyszeć.

- Ja po prostu nie potrafię... - Urwał. - Nie potrafię w to uwierzyć.

- Wiem. Ja też.

Przez chwilę oboje milczeliśmy i słychać było tylko warkot samochodów przejeżdżających szosą. Znow pomyślałam o tym, co niedawno powiedziałam Daisy: przez trzy lata nic nie ulegało zmianie, a potem nagle wszystko naraz się zmieniło. Może letnie wakacje wszystkich tych ludzi, którym zazdrościłam, też w gruncie rzeczy nie były wcale takie zabawne. Nigdy niczego naprawdę nie znasz, dopóki nie przydarzy się to tobie.

- No cóż - rzekł w końcu. - Więc... tak to wygląda.

Wcześniejsze zerwanie było wystarczająco ciężkie. Robienie tego ponownie, tym razem przeze mnie, przypominało torturę.

- Nic nie planowałam - powiedziałam miękko. - To się po prostu stało.

- No tak. - Nie potrafił nawet spojrzeć na mnie. - Chyba powinienem...

Wychodzę.

A potem, po raz drugi od dzisiejszego wschodu słońca, siedziałam i patrzyłam, jak odchodzi ode mnie jedyna miłość mojego życia. A gdy Luke odchodził, wciąż, o dziwo, myślałam o tym, jak wcześniej Benji wbiegł po schodach, by dotrzeć w zasięg słuchu ojca, i w głowie bez przerwy rozbrzmiewały mi te same słowa, niczym zaklęcie.

Wychodzę.

Wychodzę.

Wychodzę.

Tak naprawdę nie trzeba tego mówić, zwłaszcza jeśli już się odchodzi. To niemal zbędne. A jednak ten brak pytań, brak miejsca dla wątpliwości był wygodny. Wcześniej przypuszczałam, że dlatego tak właśnie zrobił Luke. Teraz byłam tego pewna.

- W porządku, więc... ee... chyba może najpierw niech pan po prostu poda i przeliteruje swoje nazwisko.

Clyde spojrział na mnie, potem znów w kamerę.

- Nie wiesz, kim jestem?

- Nie, nie - rzekł szybko Theo. - Oczywiście, wiem. To tylko sposób zaznaczenia ramy, identyfikacji...

- I w tym momencie całkiem niepotrzebny - weszła mu w słowo Ivy. - Przyjmij moje przeprosiny, Clyde. On jest stażystą i nowicjuszem. Po prostu zaczynajmy.

Zerknęłam na Theo, który mrużąc oczy, patrzył przez wizjer kamery; zobaczyłam, że koniuszki jego uszu i większa część twarzy poczerwieniały. Może jednak nie trzeba znać kogoś od zawsze, żeby nawet z daleka odczytać jego reakcję. Sama też byłam zdenerwowana, więc wepchnęłam do ust następny listek gumy do żucia.

Tymczasem Clyde nadal przyglądał się uważnie Ivy z tym samym beznamiętnym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy, jaki miał, odkąd poznał ją mniej więcej pół godziny temu. W końcu znowu spojrział na Theo i powiedział:

- Nazywam się Clyde Conaway. C-L-Y-D-E-C-O-N-A-W-A-Y.

Uśmiechnęłam się i spojrzałam w głąb Washroom, czyli pralni automatycznej i baru, należących do Clyde'a, gdzie Benji jadł kawałek ciasta. Theo i Ivy byli tak napaleni na przeprowadzenie tego wywiadu, że przyjechaliśmy tu oboje prosto z biura. Ustaliłam więc z ojcem, że odbierze Benjiego stąd. Do tego czasu raczyłam chłopca słodyczami domowego wypieku z baru Clyde'a i miałam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Ostatecznie nie musiałam ścigać Clyde'a; sam do mnie zadzwonił. A raczej do naszego biura. Właśnie wróciliśmy z Benjim z późnego lunchu w Casa Sandbar na bulwarze i ssłam jeszcze gratisową miętówkę, gdy Rebecca podsunęła mi przez biurko telefon z migającą lampką.

- Do mnie? - spytałam, a Rebecca kiwnęła głową. - Kto to?

- Nie przedstawił się - odrzekła. - Powiedział tylko, że to ważne.

Spodziewałam się, że to Theo, bo wiedziałam, że on i Ivy dostają szahu, czekając w Sand Dollars, aż zrobię to, co mi polecili. Tak więc z niejakim niepokojem - oględnie mówiąc - wcisnęłam guzik i rzuciłam:



- Halo.

- Witaj, Emaline - odpowiedział jakiś głos. - Tu Clyde. Masz minutę?

Miałam. I rzeczywiście ustalenie szczegółów tego wywiadu nie trwało dłużej.

Trzask prask, jak mawiał tata. Clyde podał czas i miejsce, a ja zapewniłam go, że oni tam trafią, i oto teraz znaleźliśmy się tutaj wszyscy. Trudno jednak przewidzieć, co wydarzy się dalej. Dlatego byłam zadowolona, że znalazłam w torebce świeże opakowanie gumy do żucia Big Red.

- Chciałabym rozpocząć - mówiła Ivy - od przedstawienia w skrócie przebiegu twojego prywatnego życia. Gdzie się urodziłeś?

- W North Reddemane, dwudziestego pierwszego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku.

- Twoi rodzice byli farmerami, tak?

- Ojciec hodował mleczne krowy - odrzekł Clyde. - Rasy holsztyńsko-fryzyjskiej. Matka uczyła w trzeciej klasie szkoły katolickiej Sacred Heart w Cape Frost.

- Czyli gdzie?

Clyde znowu spojrzał na mnie. Odkąd się zjawiłam, było jasne, że według niego istnieje wyraźny podział na My i Oni. Zastanowiłam się ponownie, dlaczego zgodził się na ten wywiad. Z drugiej strony, sama przecież powiedziałam Theo, że w postępowaniu Clyde'a zazwyczaj trudno doszukać się sensu. Przynajmniej był w tym konsekwentny.

- Cape Frost leży mniej więcej dwadzieścia pięć mil na wschód stąd - wyjaśnił Clyde. - To było na tej wyspie coś najbardziej podobnego do miasta. I właściwie nadal tak jest.

- A Sacred Heart to szkoła, do której chodziłeś? - spytała Ivy.

Clyde prychnął.

- Nikt z North Reddemane tam nie chodził. Z wyjątkiem Guadalerich. Prawda, Emaline?

- Kogo? - spytała Ivy.

Uśmiechnęłam się.

- Guadalerich. To bogata, ultrakatolicka rodzina. Stać ich było na chesne i opłaty za benzynę na dojazdy.

Ivy odwróciła się i popatrzyła na mnie.

- Byłoby najlepiej, gdybyśmy ograniczyli tę rozmowę do nas dwojga. Nie mamy nic przeciwko temu, że się przyglądasz, ale...

- Zaraz - przerwał jej Clyde. - Zapytałem ją o coś, a ona odpowiedziała.

Ivy spojrzała na niego i zamrugała.

- Rozumiem. Ale kręcąc film dokumentalny, chcemy, aby bohater wchodził w relację tylko z kamerą, a nie z osobami spoza kadru.

- Więc może ona powinna być w kadrze - rzekł Clyde.

Ivy spochmurniała. Odkąd zorientowała się, że zachowanie Clyde'a i cała sytuacja niezupełnie odpowiadają jej oczekiwaniom, wzbierała w niej złość, grożąc wybuchem. Bawiłoby mnie to bardziej, gdybym nie martwiła się tak możliwością krachu tego projektu ze względu na Theo.

- Właściwie - powiedziałam, unosząc w górę komórkę - i tak muszę wyjść.

Wstałam i prześliznęłam się za kamerą do tylnych drzwi. Usłyszałam, jak Ivy nabiera powietrza i mówi:

- No dobrze. Więc uczęszczałeś do szkoły tutaj, w miasteczku. Przez całe dwanaście klas?

Na zewnątrz panowało znacznie mniejsze napięcie. Odpowiedziałam na esemes od Daisy (*U ciebie OK? Zadzwoń do mnie!*), a potem rozejrzałam się, wypatrując, czy zjawiał się już ojciec. Jednak nigdzie nie było widać subaru, a tylko zdezelowaną półciężarówkę Clyde'a, mój samochód oraz furgonetkę Ivy i Theo, z której wcześniej wyladowali strasznie dużo sprzętu jak na jeden wywiad.

- Wygląda, jakby się tu wprowadzali - rzucił do mnie wtedy Clyde, gdy oboje staliśmy w barze, przyglądając się, jak tamci w sąsiednim pomieszczeniu przeciągali kable wokół suszarek.

Clyde przed chwilą dał Benjiemu menu ciast, które chłopiec studiował z takim skupieniem, jakby się spodziewał, że zostanie z tego przepytany.

- Nie powiedzieli, ile czasu to zajmie - rzekłam do Clyde'a. - Ale przypuszczam, że będą z tobą rozmawiać tak długo, jak zechcesz.

- Hm - mruknął, jak zwykle enigmatycznie.

- Dziękuję ci, że się na to zgodziłeś. W ten sposób ogromnie pomogłeś Theo.

- Theo?

Wskazałam głową w kierunku suszarek.

- Mojemu przyjacielowi, temu, którego poznałeś dziś rano w Big Club. Ivy nie jest szefową, na której łatwo zrobić wrażenie.

- Och, racja - przytaknął.

- Ciasto z malinami i jeżynami - powiedział Benji, odkładając menu. - Chociaż niełatwo było się zdecydować.

- Dobry wybór - pochwalił go Clyde. - Jest świeże, upiekłem je wczoraj wieczorem.

Sięgnął do szklanej gablotki za sobą, a ja obejrzałam się na Theo. Właśnie ustawił

za kamerą wielki reflektor i teraz go regulował. Po chwili uniósł głowę, zobaczył mnie i uśmiechnął się. Za nim Ivy ubrana w czarne dżinsy i czarny obcisły podkoszulek przeglądała jakieś notatki na podkładce z klipsem. Popatrzyła na niego, potem na mnie i jej oczy się zwężyły. Odwróciłam się.

Teraz usłyszałam chrzęst żwiru na podjeździe i podniosłam wzrok, spodziewając się ujrzeć ojca wjeżdżającego na parking. Zamiast tego zobaczyłam tatę w ciężarówce. Zaparkował obok mojego samochodu, otworzył drzwi kabiny i wysiadł powoli ze znajomym stęknieniem oznaczającym zmęczenie po całym dniu ciężkiej pracy.

- Cześć - powiedziałam. - Co tu robisz?

- Właśnie miałem zapytać cię o to samo - odparł. - Czy nie powinnaś być w biurze?

- Zwolniłam się wcześniej.

- Naprawdę? - spytał. Przytaknęłam. - Z tego, co słyszałem, wydaje się, że rzeczywiście zasłużyłaś na odpoczynek.

- Mama powiedziała ci, że Margo wstąpiła na wojenną ścieżkę z powodu tej sprawy z ręcznikami? - Potrząsnęłam głową. - Słowo daję, nie masz pojęcia, jak trudno jest dla niej pracować. Czy nawet z nią. To istne szaleństwo.

- Margo? - powtórzył.

- Tak. Czy nie to miałaś na myśli?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Clyde wytknął głowę zza drzwi pralni samoobsługowej.

- Witaj, Rob! - zawołał, spoglądając na nas spod przymrużonych powiek. - Daj mi sekundę, a zaraz pokażę ci ten sufit.

Tata kiwnął głową i pomachał do niego, a Clyde zniknął z powrotem wewnątrz domu. Tuż za nim dostrzegłam skupionych razem Ivy i Theo. Ona mówiła szybko, gestykulując, a on tylko przytakiwał. Zobaczyłam, że tata też im się przygląda, a także kablom, reflektorom i reszcie sprzętu.

- Kręcą film dokumentalny - wyjaśniłam.

- Kto?

Wskazałam na nich głową.

- Mój przyjaciel Theo i jego szefowa Ivy. O Clydzie. Właśnie zaczęli przeprowadzać z nim wywiad.

- Robią film o Clydzie?

- I o jego karierze artystycznej. Wiedziałaś, że w swoim czasie był ważną figurą w Nowym Jorku?

Spojrzał znowu do wnętrza domu.

- Przypominam sobie mgliście, że coś o tym słyszałem. Ale to było dawno temu.

- Aha - przytaknęłam. - Chyba dawno.

Jakiś samochód wjechał powoli i ostrożnie obok nas na niewielki i już zatłoczony parking. Oczywiście to było subaru. Ojciec spostrzegł mnie i uniósł rękę w geście powitania.

- Czy to Joel? - spytał tata.

- Tak. Spędzałam czas z Benjim. Przyjechał po niego.

Ogarnęło mnie zakłopotanie, gdy stałam tam z tatą, podczas gdy ojciec wysiadł z samochodu i zbliżał się do nas. Było to takie samo uczucie, jakie zapamiętałam sprzed lat, z dzieciństwa, kiedy podczas lunchów w restauracji Shrimpboats po jednej stronie stołu w boksie siedzieliśmy ja, mama i tata, a po drugiej stronie - ojciec, Leah i Benji. Też My i Oni.

- Witaj, Robercie - powiedział ojciec, podchodząc. Wyciągnął rękę. - Miło cię widzieć.

- Wzajemnie - rzekł tata, ściskając ją. - Jak się ma Leah?

- Dobrze - odparł ojciec i spojrzał na mnie. - Emaline, gdzie twój brat?

- Jest w środku i je ciasto.

- Ciasto? - powtórzył. Zerknął na zegarek. - Na obiad?

Ups.

- To ciasto z jagodami - wyjaśniłam, jakby to robiło jakąś różnicę.

- Przepraszam za tę zwłokę. - Clyde podszedł i włączył się do rozmowy. - Twoja córka namówiła mnie na udział w tym dokumencie. Powiedziała ci?

Obaj popatrzyli na niego, potem na mnie. I wtedy pomyślałam, że ta sytuacja chyba nie mogłaby stać się jeszcze bardziej niezręczna.

- Nie - odparł w końcu ojciec. - Czy to projekt Ivy Mendelson?

Clyde, wyraźnie zdezorientowany, spojrzał na mojego tatę, który wyjaśnił:

- To jest Joel, ojciec Emaline. Joelu, to Clyde Conaway.

- Och - rzekł Clyde. - Przepraszam. Ja nie...

- W porządku - rzuciłam szybko. - To wprowadziło w zakłopotanie nas wszystkich.

- Clyde! - Ivy wysunęła głowę zza drzwi, mrużąc oczy przed blaskiem słońca. - Mógłbyś mi powiedzieć przynajmniej w przybliżeniu, kiedy będziesz mógł znowu zacząć? Mamy do omówienia całkiem sporo kwestii.

- Niedługo - odparł. - Muszę porozmawiać z kimś o płycie gipsowo-kartonowej. - Ivy wydawała się zdezorientowana, jakby nie była pewna, co to znaczy. - Za kwadrans - dorzucił.

Kiwnęła głową, choć nie wyglądała na zachwyconą, i wróciła do środka. Clyde zwrócił się do mnie:

- Niezły z niej numer, co?

- Tak, jest niezwykle utalentowana - powiedział mój ojciec, jakby Clyde właśnie to miał na myśli. - Widziałem na festiwalu Tribeca jej *Drogę Coopera*. To fascynujący film.

Tata i Clyde popatrzyli na niego w milczeniu. Ta cisza była tak nieznośna, że w końcu sama ją przerwałam:

- No więc Benji jest w środku, a...

- To miejsce na suficie jest w barze - dokończył Clyde, odwracając się do drzwi. - Jeszcze nie ma pęknięcia, ale sufit się zapada. Nawet nie chcę myśleć, co go tak obciąża.

- Zapewne to obluzowana albo przeciekająca rura - orzekł tata. - Ale żeby mieć pewność, będziemy musieli się tam przebić.

Weszliśmy gęsiego - Clyde i tata pierwsi, a za nimi ja i ojciec. Ivy i Theo, którzy oglądali coś na monitorze, ledwie zwrócili na nas uwagę. Ja jednak byłam aż nadto świadoma dziwaczności naszego małego pochodu.

- Uważajcie tutaj pod nogi - rzucił przez ramię Clyde, gdy lawirowaliśmy pomiędzy płataniną przewodów elektrycznych. - Chłopak Emaline i jego szefowa okablowali całe to miejsce.

- Jej chłopak? - powtórzył ojciec z za moich pleców i w tym samym momencie tata obejrzał się na mnie.

- Jest Benji - powiedziałam głośno, jakby zwiększenie natężenia głosu mogło szybciej zmienić temat rozmowy. - Bardzo mi dziś pomógł.

Benji, który właśnie wpychał do ust duży kawał ciasta, żuł przez chwilę, po czym wyjaśnił:

- Był problem z ręcznikami. Ten nowy system zawiera arkusze kalkulacyjne i w ogóle.

- Naprawdę? - rzucił ojciec.

- Tak, ale Emaline go nie używała. Więc jej siostra na serio się wściekła i musiała dodatkowo nas przeszkolić.

Ojciec spojrzał na mnie.

- To brzmi intrygująco.

- Och, wiesz, jak działa firma wynajmu nieruchomości - odparłam. - Ani chwili nudy.

Uśmiechnął się, a ja się odprężyłam, poczułam ulgę na myśl, że on najwyraźniej

pominał tę uwagę o moim chłopaku. Potem zerknęłam na tatę. Nadal patrzył wprost na mnie.

Clyde z głośnym hurgotem wywlókł ze składziku drabinę i ustawił ją przy końcu kontuaru. Patrzyliśmy, jak tata wchodzi na nią, a gdy dotarł na szczyt, wyjął z kieszeni latarkę. Odchylił głowę do tyłu i zbadał uszkodzone miejsce na suficie. Clyde przyglądał się temu z większym zainteresowaniem, niż widziałam u niego, odkąd zaczęliśmy całą tę sprawę z wywiadem.

Spojrzałam na Theo i Ivy, zastanawiając się, czy oni też to spostrzegli. Theo przykucnięty wkładał jakieś wtyczki do rozgałęziacza, a Ivy siedziała na suszarce i przeglądała wiadomości w komórce. Podeszłam do nich, zostawiając Benjiego, który zaznajamiał ojca z kolejnymi szczegółami afery ręcznikowej.

- A więc - zagadnęłam Theo - jak twoim zdaniem przebiega wywiad?

- Dobrze - odpowiedział. - Chociaż on nie jest szczególnie skłonny do współpracy. Wiedzieliśmy jednak, że możemy się tego spodziewać.

- Przynajmniej odpowiada na pytania - zauważyłam.

- Och, tak. Myślę, że Ivy musi tylko nadać rozpęd temu wywiadowi. Wszystkie te przerwy... - Spojrzał na moją tatę na drabinie, potem znowu na wtyczki. - One po prostu utrudniają nabranie odpowiedniego rytmu.

- To nie powinno długo potrwać - zapewniłam go. - Wkrótce wszyscy wyjdziemy i przestaniemy wam przeszkadzać.

- Wszyscy? - powtórzył. Wstał i podszedł bliżej. - Bo myślałem, no wiesz, że może my moglibyśmy...

- A co z umową, że zaczekamy do jutra? - spytałam.

Przegarnąłam dłonią włosy, patrząc na kontuar.

- No, gdy się nad tym zastanowić, to jutro w gruncie rzeczy zaczyna się już dziś wieczorem.

- Naruszasz moją linię demarkacyjną - zauważyłam.

- Masz rację, masz rację. - Cofnął się, unosząc ręce w geście kapitulacji. - Przepraszam.

Przez chwile oboje milczeliśmy; jedynymi dźwiękami były szcęk i szuranie drabiny przesuwanej przez tatę. Kiedy w końcu ucichły, Theo powiedział:

- Mówię tylko, że, no wiesz, moglibyśmy spędzić razem dzisiejszy wieczór. Po prostu jak przyjaciele, przynajmniej aż do...

- Pólnocy - dokończyłam za niego. - A potem zmienimy się w coś innego, jak Kopciuszek po balu? Może w dynie?

- Dobra - rzekł. - Zapomnij o tym. Odgranicz linię demarkacyjną. Zobaczymy się

jutro, w dziennym świetle. Ani chwili wcześniej.

Uśmiechnęłam się i podeszłam do niego trochę bliżej.

- Nie powiedziałam „nie”. Zrobiłam tylko aluzję do księżniczki.

- Nie mam sióstr ani wielkiego doświadczenia z dziewczynami - odrzekł. - Nie wiem, co to znaczy.

- To znaczy - powiedziałam, gdy Ivy zeskoczyła z suszarki i ruszyła w naszym kierunku - że być może zobaczymy się jeszcze dziś.

Uśmiechnął się, zaskoczony i zadowolony - przynajmniej dopóki Ivy nie rzuciła:

- Czy jesteśmy gotowi do rozpoczęcia zdjęć, kiedy on będzie gotowy? Bo powinniśmy być, skoro ucinasz sobie tutaj pogaduszki.

- Z naszej strony wszystko przygotowane - zapewnił ją pogodnie Theo.

- No, to przynajmniej połowa sukcesu - odparła, chowając komórkę do kieszeni. Spojrzała na Clyde'a stojącego u podstawy drabiny, potem na mnie. - Ile czasu zajmie ta sprawa?

- Właściwie nie jestem pewna - odparłam.

Westchnęła głośno i zwróciła się do Theo:

- Lepiej sprawdź jeszcze raz, czy na pewno jesteśmy gotowi do kręcenia. Musimy wprowadzić tu jakiś porządek, i to szybko.

Skinął głową i zajął się znowu kamerą. Chwilę później usłyszałam, że ojciec wymówił moje imię. On i Benji szli ku mnie.

- Powinniśmy już wrócić do domu - oznajmił. - Jeszcze raz dziękuję ci za dzisiejszą pomoc.

- Nie ma sprawy - odparłam, a do Benjiego powiedziałam: - Było fajnie, prawda?

- Totalnie - potwierdził. - To o wiele ciekawsze niż ćwiczenie sztuczek z kartami.

Ojciec wskazał głową kamerę.

- Macie tu naprawdę imponujący plan zdjęciowy.

- Aha - przytaknęła Ivy siedząca znowu na suszarce; nie podniosła głowy znad komórki. - Potrzebujemy tylko osoby, z którą przeprowadzamy wywiad.

Ojciec uniósł brwi.

- Clyde nie za bardzo trzyma się harmonogramu - wyjaśniłam.

- Najwyraźniej ten dach ma pierwszeństwo - dodała Ivy z głośnym westchnieniem.

- Właściwie sufit - skorygowałam ją, nie mogąc się powstrzymać.

- ...na początku przyszłego tygodnia przyślę ekipę, żeby przebiła sufit, a potem będziemy dalej działać - usłyszałam tatę, który nadal trzymając w ręku latarkę, także szedł z Clyde'em w naszym kierunku. - Ale wstępnie planowałbym remont

całej tej części sufitu. I będzie to najbardziej optymistyczny scenariusz. Jeżeli okaże się, że to problemy z samą konstrukcją...

- ...wtedy pęknięta rura będzie najmniejszym z moich kłopotów - dokończył za niego Clyde.

Tata przytaknął i ruszył do drzwi, ale najpierw rzucił mi spojrzenie oznaczające jasno, że mam pójść za nim.

Na zewnątrz, kiedy ojciec i Benji już pożegnali się z nami, tata podszedł do swojej ciężarówki i cisnął latarkę na fotel pasażera.

- Czy dobrze usłyszałem? - zwrócił się do mnie. - Ten dzieciak jest teraz twoim chłopakiem?

- To nie ja tak powiedziałam, tylko Clyde - przypomniałam mu.

Popatrzył na mnie bez słowa. To nie była jego działka i oboje to wiedzieliśmy. W naszym domu obowiązywał jasny i wyraźny podział: mama zajmowała się wszystkimi kwestiami dotyczącymi uczuciowych związków, menstruacji i mody, podczas gdy jego dziedziną były wymiany oleju w samochodzie, finanse i problemy z instalacją wodno-kanalizacyjną. Ale ta kwestia była zbyt ważna, by mógł ją zignorować.

- On nie jest moim chłopakiem - oświadczyłam. - Po prostu mam za sobą bardzo dziwny dzień.

- Opowiedz mi o tym. - Potarł dłonią twarz, w górę, w dół, potem znowu w górę; kolejny z jego gestów pod koniec ciężkiego dnia pracy. - Wrócisz niedługo do domu? Mama się o ciebie martwi.

- Przyjadę prosto stąd.

- To dobrze. - Wdrapał się do kabiny ciężarówki i głośno zatrzasnął drzwi. - Więc zobaczymy się tam.

Naprawdę zamierzałam pojechać prosto do domu. Ale kiedy wsiadłam do samochodu, uświadomiłam sobie, jak bardzo potrzebuję odrobiny dystansu. Gdy zobaczyłam w oddali nadmorski deptak, wiedziałam już, gdzie go znajdę.

Pięć minut później szłam do budki biletowej Surfside, podupadłego niewielkiego parku rozrywki, który znajdował się na plaży Colby od czasów dzieciństwa mojej mamy. Nie było tam żadnych nowoczesnych atrakcji, takich jak w SafariLand: gier samochodowych i tanecznych, paintballu laserowego czy choćby gokartów. Zamiast tego stał tu zrujnowany budynek mieszczący obskurny bar przekąskowy, flippery, minikręgle i automaty rzutów koszykarskich. Na zewnątrz znajdowały się karuzela, kolejka górską - zamknięta z powodu remontu, odkąd byłam jeszcze w gimnazjum - i diabelski młyn.



Podeszłam do budki, żeby kupić bilet, wyjmując z kieszeni parę banknotów. Josh Elliott, który najczęściej tu pracował, odpędził mnie machnięciem ręki.

- Emaline, wiesz, że ty wchodzisz tu za darmo.

- Nigdy nie pozwalasz mi zapłacić - rzekłam do niego, gdy wziął pęk kluczy i wyszedł z budki.

- Specjalna promocja dla licealistów. Powinniśmy popierać się nawzajem - odparł. Mówił tak zawsze, chociaż powtarzał ostatnią klasę liceum, kiedy ja byłam dopiero w pierwszej, i nigdy go nie ukończył. - Wchodź.

Zbliżyłam się do diabelskiego młyna, wdrapałam się do boksu wiszącego najniżej i zamknęłam drzwiczki. Josh zniknął w budce i po chwili silnik ruszył, a ja zaczęłam się wznosić.

Być może istnieją piękniejsze miejsca niż szczyt diabelskiego młyna w Surfside, ale ja żadnego takiego nie znałam. Ilekroć wznosiłam się coraz wyżej ponad bulwar, plażę i ocean, odczuwałam zawsze coś magicznego. To było jak resetowanie siebie i w ciągu ostatniego roku przychodziłam tu często, kiedy ciążyła mi sprawa z ojcem i college'em. Przejazdźka na diabelskim młynie uspokajała mnie i przypominała, że na świecie istnieje coś więcej niż tylko Colby. Logicznie rzecz biorąc, zawsze o tym wiedziałam. Ale bywały dni, że musiałam to zobaczyć, żeby się upewnić.

Kiedy osiągnęłam najwyższy punkt, Josh zatrzymał młyn, żebym mogła przez chwilę posiedzieć w górze. Najpierw prześledziłam z dystansu przebieg dzisiejszego dnia: odszukałam wzrokiem pralnię samoobsługową Washroom, biuro naszej agencji, salon kosmetyczny Wave Nails, hipermarket Big Club, posiadłość Sand Dollars, restaurację Last Chance. Potem odwróciłam się i popatrzyłam na ocean, jak zawsze zdumiona kontrastem, jaki stanowi. Po jednej stronie było ludne, gwarne miasteczko, a po drugiej bezkres błękitu. A pomiędzy nimi ja, wysoko w górze, robiłam wszystko co w mojej mocy, by wchłonąć ten spokój, dopóki trwa.

\* \* \*

Kiedy tego wieczoru zapukałam do drzwi domu Sand Dollars, początkowo nikt nie odpowiedział. Wreszcie zabrzączał domofon - naprawiony dzięki temu, że wezwałam pracownika obsługi technicznej.

- Tak? Kto tam? - dobiegł mnie głos Theo.

- Kopciuszek - odpowiedziałam.

Usłyszałam jego śmiech, a potem brzęczyk i ciche trzaśnięcie otwieranego zamka.

Wewnątrz było ciemno; jedyne światło dochodziło z kinkietów na dworze przy basenie. Weszłam po schodach i przystanąłam przez chwilę na podeście, żeby przyzwyczać wzrok do ciemności. W końcu dostrzegłam niewyraźnie Theo przy jednym ze stołów, ze słuchawkami na szyi.

- Cześć - rzuciłam. - Siedzisz po ciemku?

- To część pracy - wyjaśnił. Rozległo się kliknięcie i rozjarzył się monitor. Teraz dobrze widziałam Theo. Przywołał mnie gestem. - Chodź tu i obejrzyj to.

Podeszłam, konstatuując z ulgą, że nigdzie w pobliżu nie widać Ivy. Theo usunął jakieś książki z krzesła przy stole i wskazał mi miejsce.

- Zachowywał się trochę sztywno, ale to był dopiero pierwszy wywiad - powiedział, sięgając do klawiatury przed sobą.

Ekran przede mną ożył, ukazując Clyde'a na stop-klatce. Kilka puknięć w klawisze i Clyde przemówił:

„...nigdy nie planowałem zarabiania na życie w ten sposób. Tutejsi ludzie tego nie robili”.

Zza kadru dobiegł głos Ivy:

„Ale ty zrobiłeś”.

„No cóż, ktoś musi zawsze jako pierwszy odmienić powszechny trend - odrzekł Clyde, wzruszając ramionami. - To mogłem równie dobrze być ja”.

„A Henrikson? Czy on też miał na to wpływ?”.

Theo nachylił się do mojego ucha i wyjaśnił cicho:

- Chodzi o Dale'a Henriksona. To malarz abstrakcjonista, działał głównie w końcu lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Cieszył się dużym uznaniem, dopóki nie stracił etatu wykładowcy w kalifornijskim Instytucie Sztuki, po skandalu obyczajowym ze studentką, wówczas nieletnią. Ostatecznie wyłudował tutaj, w college'u Weymar, i uczył Clyde'a.

Skinęłam głową.

- Rozumiem.

„Co nie znaczy - mówił dalej Clyde na ekranie - że on był wtedy u szczytu kariery. Jednak nie wiedziałem o tym. Nie miałem pojęcia, kim jest. Trafiłem na jego zajęcia tylko dlatego, że nie było już miejsc na kursie spawania”.

„Chciałeś zostać spawaczem?”

„Chciałem być kimkolwiek, byle nie farmerem. I lubiłem ogień”.

Poczułam, że Theo się poruszył. Odwróciłam się, spojrzałam na niego i zobaczyłam, że uśmiecha się szeroko.

- Widzisz? - rzekł, wskazując na ekran. - Widać, że już się rozkręca. To

wspaniale!

Cofnął ten fragment i oboje patrzyliśmy, jak Clyde porusza się wstecz i wymawia słowa od tyłu, jakby je odwoływał.

- Więc poszło dobrze? - spytałam.

- Och, tak. Ivy była naprawdę uszczęśliwiona. A to jej się niemal nigdy nie zdarza.

- Theo zatrzymał taśmę i odsunął się z krzesłem od stołu. - I wiesz co? Ja też czuję się szczęśliwy.

- Tak?

Skinął głową.

- Jasne. Bo ty tu jesteś.

Poczułam, że się rumienię, a gdy zdałam sobie z tego sprawę, jeszcze bardziej się zaczerwieniłam. Theo być może pod pewnymi względami zachowywał się niemądrze, ale już objawił więcej uczuć niż Luke przez pierwsze trzy miesiące naszego związku. Może to prawda, że poza granicami Colby wszyscy i wszystko porusza się szybciej.

Jakby na dowód tego, Theo pochylił się i musnął mi włosy z tyłu głowy. Kiedy nachylał się jeszcze bliżej, spytałam:

- Która właściwie jest godzina?

Westchnął i spojrzał na ekran komputera.

- Tak myślałem, że możesz zwrócić na to uwagę. Dwudziesta trzecia czterdzieści sześć. I trzydzieści sekund.

- Więc jeszcze nie jest jutro - powiedziałam.

- Formalnie rzecz biorąc, nie. - Odchylił się do tyłu na krześle. - Chociaż gdybyśmy byli w Australii, mógłbym przedstawić niezbity argument, że jesteśmy ze sobą już wystarczająco długo, by się zaręczyć.

Uniosłam brwi, zaskoczona tymi słowami. Najwyraźniej zaskoczyły nie tylko mnie. Nawet w mroku mogłam dostrzec, że Theo się zaczerwienił.

- No cóż - rzekłam, przełykając nerwowo ślinę - więc chyba lepiej, że jesteśmy tutaj. Bo to byłoby pokrojone.

- Jakie?

Odchrząknęłam.

- Pokrojone. No wiesz, zwariowane. Szalone.

- Nigdy nie słyszałem tego słowa - oświadczył.

- Jestem prawie pewna, że wymyślił je Morris.

- Kto?

- Nieważne. - Znowu spojrzałam na zegar. - Tak czy inaczej, zrobiłeś słuszną

uwagę. Czas jest względny, prawda? Przynajmniej w fizyce. Czym jest czternaście minut wobec wieczności?

- Trzydzieści - poprawił mnie, wskazując głową zegar.

Pstryknęłam palcami.

- No właśnie.

Wtedy Theo uśmiechnął się szeroko, a ja zorientowałam się, że odpowiadam mu uśmiechem. Miał taki rodzaj twarzy, szczerzej i otwartej, że jakikolwiek wyraz się na niej pojawiał, mimowolnie się go odwzajemniało.

- Nie, nie - rzekł, kręcąc głową. - Masz rację. Linia demarkacyjna jest ważna. Będziemy zajęci aż do północy.

Rozejrzałam się po ciemnym pokoju.

- Czym?

- Czymkolwiek, co robią razem platoniczni przyjaciele, których nie łączy jeszcze żaden romantyczny związek.

- Na przykład patrzeniem na zegar i dyskutowaniem o fizyce?

- Jak dotąd to działało.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu Theo się odezwał:

- No cóż, krótko to trwało.

- Owszem - przytaknęłam. - Kiepscy z nas platoniczni przyjaciele.

- Całe szczęście, że musimy nimi być jeszcze tylko przez jedenaście minut. - Theo pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. - Może to po prostu dlatego, że nie znamy się jeszcze zbyt dobrze. Powiedz mi coś o sobie.

- Co? - spytałam.

- Cokolwiek.

Tylko popatrzyłam na niego w milczeniu.

- Jaka jest twoja ulubiona przyprawa?

- Przyprawa? - powtórzyłam z niedowierzaniem. - Możesz mnie zapytać o cokolwiek na świecie, a wybrałaś akurat to?

- Posłuchaj, tak naprawdę to chcę cię pocałować. A nie mogę jeszcze przez... - zerknął na zegar - dziesięć minut. Staram się robić, co w mojej mocy.

- Dobrze. Musztarda.

Przechylił głowę na bok.

- Musztarda? Naprawdę?

- Co w tym takiego dziwnego?

- Sam nie wiem - odparł, wzruszając ramionami. - Przypuszczałem, że należysz do tych dziewczyn, które lubią keczup.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewien. Po prostu przeczucie.

Przewróciłam oczami.

- A jaka jest twoja ulubiona przyprawa?

- Sos sojowy - odpowiedział bez chwili wahania. - Mogę z nim jeść wszystko.

Nawet lody.

- To obrzydliwe - zawyrokowałam.

- Nie zgadzam się z tym, ale idźmy dalej. Twój ulubiony pokój w domu?

- Sypialnia - odrzekłam. - Lubię spać. A ty?

- Ja uwielbiam gotować. Kuchnia.

- Nigdy dość tam zegarów - powiedziałam.

Na jego twarzy znów pojawił się ten szeroki uśmiech.

- Wolisz powieści czy poezję? - zapytał.

- Powieści - odpowiedziałam. - Wiersze przeważnie są jak na mój gust zbyt

krótkie i enigmatyczne.

Wskazał palcem na siebie.

- A ja wprost przeciwnie. Uwielbiam haiku i wiersz wolny, mam niską tolerancję

na rozwlekłą prozę. Sól czy pieprz?

- Nie mogę lubić obydwu?

Tylko się skrzywił.

- No dobrze. Sól - powiedziałam.

- Ja przepadam za pieprzem. Widzisz, przeciwieństwa rzeczywiście się

przyciągają!

- Czuję się, jakbym była w szkole, tak wolno wlecze się czas - oświadczyłam,

odchylając głowę do tyłu i spoglądając na sufit. To mi nasunęło pewną myśl. -

Ulubiony szkolny przedmiot?

- Programowanie komputerowe, a zaraz potem projektowanie przemysłowe -

odrzekł swobodnym tonem. - A twój?

- Historia - oświadczyłam. - A także geometria i trygonometria. Kocham kąty

i kątomierze.

- To z twojej strony bardzo musztardowe - rzekł, celując we mnie palcem.

- Ulubione trudne słowo z testów na studia? - spytałam go.

Zastanawiał się chwilę.

- Destrukcyjny. Bo brzmi, jakby oznaczało coś miłego, lecz w istocie mówi

o czymś niebezpiecznym i złym. A twoje?

- Omfaloskopia - powiedziałam. - Sztuka przyglądania się własnemu pępkiowi.

Ponieważ o wiele bardziej wolałabym to robić, niż uczyć się pisowni tego słowa.

Roześmiał się, a potem prychnął, co z kolei mnie doprowadziło do śmiechu.

- Więc jesteś z tych prychnających?

- Hej, ty wybrałaś musztardę - przypomniał mi. - No dobrze, wracajmy do rzeczy.

Ulubiony cytat odnoszący się do jutrzejszego dnia?

Nad tym musiałam chwilę pomyśleć. W końcu powiedziałam:

- „Jutro rano wszystko będzie wyglądało lepiej”.

- Kto to powiedział?

- Moja mama. Mówiła to zazwyczaj, kiedy płakałam z powodu jakiegoś kłopotu w szkole, tuż zanim kładłam się spać. A jaki jest twój?

Nie musiał się zastanawiać.

- To Johna Wayne'a: „Jutro to najważniejsza rzecz w życiu. Przychodzi do nas o północy, nieskalane. Kiedy się pojawia, jest doskonałe i ufnie oddaje się w nasze ręce. Ma nadzieję, że nauczyliśmy się czegoś z wczorajszego dnia”.

- O rany - rzekłam. - Świetny.

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Twój też mi się podoba.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na siebie. Nie znam cię - pomyślałam. - A jednak znam. To było bardzo dziwne uczucie.

- Następne pytanie - oznajmił, a ja usiadłam wyprostowana. - Czy wiesz, która godzina?

Spojrzałam na zegar. Dwie minuty po północy.

- Już ranek.

- Jutrzejszy - dopowiedział. - Co ty na to?

I wtedy pochylił się do przodu; powoli, ostrożnie, posadził mnie sobie na kolanach i pocałował. Tym razem nie było żadnych tosterów, tylko ten ciemny pokój, basen jarzący się błękitem w oddali i Clyde znieruchomiały na ekranie przed nami. To było naprawdę miłe i warte czekania. Dopóki nagle nie zapaliły się światła.

- Theo! Halo? - Zirytowane westchnienie. - Musisz mi tu trochę pomóc.

Niezgrabnie oderwaliśmy się od siebie. Przycisnęłam dłoń do ust, a potem odwróciłam się i zobaczyłam Ivy stojącą na podeście z wielkim pudłem w rękach. Niecierpliwie skinęła na Theo, a on ostrożnie zszedł z kolan i wstał.

- Myślałem, że dogrywasz szczegóły projektu - powiedział, idąc przez pokój. - Co to jest?

Bez słowa podała mu pudło i weszła do kuchni, rzucając na blat torebkę oraz klucze, które upadły z brzękiem. Mimo woli pomyślałam (przynajmniej w pierwszym momencie) o nieskazitelnie gładkim blacie. Pracownicą agencji wynajmu

nieruchomości jest się zawsze, nawet po godzinach.

- Pan Conaway zasugerował - mówiła Ivy, otwierając drzwi lodówki i wyjmując napoczętą butelkę wina - żebym przed następnym spotkaniem trochę poczytała.

- Poczytała? - powtórzył Theo, niosąc pudło na stół. - O jego pracy? Ale ty przecież już...

- Nie o jego pracy - przerwała mu, biorąc kieliszek. Napeliła go ponad połowę i pociągnęła duży łyk. - O tym miejscu.

Theo zdjął pokrywę pudła i wyjął kilka książek. Zobaczyłam coś wyglądającego na atlas oraz kilka innych tomów, wyraźnie zakurzonych i ze śladami palców.

- O miasteczku? - zapytał.

- Tak, Theo. O miasteczku - odrzekła bezbarwnym tonem. - Najwidoczniej moje dzisiejsze pytania nie świadczyły o wystarczającym zrozumieniu tego konkretnego fragmentu jego osobistej historii. Przypuszczam, że czułby się swobodniej, rozmawiając z kimś, kto potrafi wymienić po imieniu tych Guadalupów.

- Kogo? - spytał zdeorientowany Theo.

- Tę katolicką rodzinę. - Ivy machnęła ręką w moim kierunku. - Ona wie.

Teraz oboje patrzyli na mnie.

- Guadalerich - powiedziałam.

- Właśnie. - Wypiła kolejny łyk wina, a potem podeszła i wzięła do ręki zakurzoną książkę. - Clyde był na tyle uprzejmy, że dostarczył mi do przestudiowania kilka tomów ze swojej prywatnej biblioteki.

- To książki Clyde'a? - spytałam.

- Och, tak. Ma ich mnóstwo - odrzekła, a do Theo powiedziała: - W każdym razie, gdybyś w ciągu najbliższych dwunastu godzin mnie potrzebował, będę czytać.

- Mogę pomóc - zaofiarował się.

- Wiem. Pozostałe są dla ciebie. Jutro przegrupujemy się i porównamy notatki. - Znowu popatrzyła na mnie i rzuciła do Theo: - Prawdopodobnie powinieneś już zacząć.

- Och. - Przełknął nerwowo ślinę. - Jasne. Racja. Zabieram się do lektury.

- Grzeczny chłopiec - powiedziała Ivy.

Po czym z teatralnym westchnieniem wetknęła książkę pod pachę, wzięła butelkę wina i powlokła się w głąb korytarza. Patrzyłam, jak odchodzi. Znowu zaszokował mnie sposób, w jaki rozmawiała z Theo. Ale kiedy odwróciłam się, by mu o tym powiedzieć, zobaczyłam, że opróżnił już pudło z reszty książek i znalazł sobie bloczek i pióro.

- Naprawdę zamierzasz to robić? - spytałam. - Po wszystkich naszych staraniach,

żeby dotrzeć do północy? Czy ty nie masz normowanych godzin pracy?

Wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci, to inny rodzaj posady.

- Więc musisz zarwać całą noc tylko dlatego, że ona nie odrobiła pracy domowej?

- Muszę zarwać całą noc, ponieważ oboje nie byliśmy w pełni przygotowani do

przeprowadzenia tego wywiadu - poprawił mnie.

Podeszłam do niego i podniosłam następną z tych książek, ze zniszczoną niebieską okładką. Widniał na niej tytuł, niegdyś wytłoczony wypukło, a teraz wytarty i wyblakły: *Nasze miłe miasteczko: Wspomnienia mieszkańców Colby*. Książka została opracowana przez niejaką Irmę Jean Rankles.

- Tak czy inaczej, widzę teraz, że praca w Agencji Colby to jak wygrana na loterii w porównaniu z twoją posadą.

- Naprawdę myślisz, że dostarczanie ręczników jest lepsze od tego, co ja robię?

- Myślę - odparłam - że spędziłam połowę czwartej klasy na studiowaniu historii miasteczka Colby i że nie jest szczególnie pasjonująca.

Zrobił sobie miejsce na stole, odsuwając na bok monitor.

- No cóż, Clyde najwyraźniej uważa inaczej.

Nic nie odpowiedziałam, tylko przerzuciłam kilka pierwszych stron *Naszego miłego miasteczka*, czego - sądząc po ich zapachu i bladożółtym kolorze - nie robił nikt od czasów Army Jean.

- Więc ty... Lepiej już pójdę. Dobrze?

Theo podniósł na mnie wzrok.

- Nie musisz. Moglibyśmy czytać razem. Ta książka może cię teraz zafascynować, kiedy, no wiesz, nie masz już dziewięciu lat.

- Wątpię - odparłam. Odłożyłam ją na szczyt sterty. - Już późno. Muszę wracać do domu.

- Och, racja. - Wetknął trzymane w rękę pióro za ucho, objął mnie w pasie i przyciągnął bliżej. - Posłuchaj, obiecuję, że spotkamy się jutro wieczorem. Żadnej historii miasteczka, żadnej pracy. Żadnych linii demarkacyjnych. Zgoda?

Trudno było odpowiedzieć „nie”, kiedy ujął to w taki sposób.

- Zgoda.

Uśmiechnął się, a potem otworzył atlas i przekartkował bloczek, szukając czystej strony. Wyglądał jak uosobienie wzorowego ucznia. Kręciłam się po pokoju, gdy Theo z wyrazem skupienia na twarzy przeglądał pierwsze strony planu miasta. Wkrótce jednak zaczęłam ziewać z nudów i wymknęłam się za drzwi.

Na dworze wiał ciepły wietrzyk. Poczułam sztywność karku ze zmęczenia



i wiedziałam, że jedynym lekarstwem na to będzie sen – i to długi. Otworzyłam drzwi samochodu i już miałam wsiąść, gdy gdzieś z góry dobiegł mnie głos Ivy:

– Czyli odjeżdżasz.

Zadarłam głowę i zobaczyłam ją na tarasie głównej sypialni; w ciemności widać było żarzący się ognek papierosa, który trzymała w ręce.

– Theo ma mnóstwo pracy – wyjaśniłam całkiem niepotrzebnie.

Wypuściła dym i przez chwilę milczała.

– Więc... jesteście teraz razem, tak?

Trudno było orzec, jakim tonem to powiedziała. Nie potrafiłam się zorientować – może z powodu wiatru albo odległości i kąta – czy brzmiała w nim protekcjonalność, irytacja, czy jedno i drugie.

– Po prostu spędzamy razem czas – odpowiedziałam.

– Ach, tak? – Znowu się zaciągnęła. – Nie jestem pewna, czy to najlepszy pomysł.

Tym razem nie miałam już wątpliwości. Nastroszyłam się.

– Co masz na myśli? Więc teraz jesteś szefową także w jego życiu prywatnym?

– Po prostu poczyniłam spostrzeżenie – rzekła spokojnie.

– Nie jestem twoją podwładną. Więc oszczędź mi takich uwag.

Wsiadłam do samochodu i głośno zatrzasnęłam drzwi. Manifestacyjnie nie patrzyłam w stronę domu, gdy uruchomiłam silnik. Obejrzałam się tylko raz, kiedy wyjeżdżałam z podjazdu. Jednak do tego czasu Ivy już zniknęła i na tarasie został tylko do połowy opróżniony kieliszek wina z pływającym niedopałkiem papierosa. To mnie jeszcze bardziej wkurzyło, o ile to w ogóle było możliwe.

W drodze do miasteczka opuściłam szyby w samochodzie, starając się ochłoniąć. Mijając bar i pralnię samoobsługową Washroom, spostrzegłam otwarte tylne drzwi, przez które padało światło, i zawróciłam.

W każdym innym lokalu w miasteczku w letni wieczór o tej porze panowałby tłok czy wręcz ścisk. Ale Washroom to nie był klub w stylu Tallyho. W pralni samoobsługowej jakaś dziewczyna stukwała w klawiaturę laptopa, czekając na swoje ubrania, a facet w drugim końcu pomieszczenia kartkował kieszonkowe wydanie książki. W części, gdzie był bar, Clyde stał za kontuarem i rozmawiał z gościem, który przeglądał gazetę i jadł kawałek ciasta. Na mój widok Clyde się uśmiechnął.

– Witaj, Emaline – powiedział. – Co zrobiłaś z tymi swoimi nowojorskimi przyjaciółmi?

– Lepszym pytaniem jest – odparłam, podchodząc do niego – co ty z nimi zrobiłeś?

– Ja? – spytał z miną niewiniątka.

Popatrzyłam na niego wymownie.

- *Nasze miłe miasteczko: Wspomnienia mieszkańców Colby.* Daj spokój!

- A co? To bardzo pouczająca lektura.

- Czyli czytałeś tę książkę?

- Należy do mojego prywatnego zbioru.

- Od kiedy? Od dzisiejszego lunchu? - spytałam. Zamrugął zaskoczony. -

Widziałam pieczętkę, Clyde. Kupiłeś tę książkę dziś, podobnie jak wszystkie pozostałe.

Nie potrafił nic na to odpowiedzieć; oboje wiedzieliśmy, że go przyłapałam. Mógł spokojnie zakładać, że Ivy i Theo nie wiedzą o kłopotach z budżetem biblioteki w Colby, która wyprzedawała starsze książki, próbując w ten sposób zdobyć środki na zakup nowych. Jednak ja jako namiętna czytelniczka, która regularnie odwiedza zarówno zbiory biblioteczne, jak i salę wyprzedaży, dobrze znałam czerwoną owalną pieczętkę z datą w środku, oznaczającą sprzedany egzemplarz.

- No dobrze - rzekł Clyde. - To rzeczywiście było z mojej strony trochę złośliwe. Ale ona traktuje tak lekceważąco miasteczko i wszystkich jego mieszkańców, że musiałem coś z tym zrobić.

- Więc zaatakowałeś ją Irmą Jean Rankles.

- Albo - zripostował - zdopingowałem ją, żeby się doksztaciła, i dostarczyłem jej odpowiednie materiały.

Facet jedzący ciasto prychnął.

- Dobranoc, Clyde - rzuciłam, potrząsając głową.

- Och, nie wychodź taka rozgniewana! - zawołał za mną, gdy ruszyłam do drzwi. -

To nie było wymierzone w twojego chłopaka. On wygląda na przyzwoitego gościa.

- Nie jest moim chłopakiem.

- Nie? No cóż, nie mogę powiedzieć, że mi nie ulżyło - oświadczył.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Najpierw Ivy, teraz Clyde, nie mówiąc już o atakach wszystkich innych mniej ważnych osób przez cały dzień. Co jest we mnie takiego, co sprawia, że ludzie uważają, że mogą dyskutować o moim życiu uczuciowym?

- Powiedziałaś przed chwilą, że wydaje się porządny.

- Bo tak jest - odrzekł Clyde, wzruszając ramionami. - Niemniej jednak znasz regułę. Takie sprawy nigdy nie kończą się dobrze.

- Jakie sprawy? - spytałam. - Związki? To dość pochojne uogólnienie, nie sądzisz?

- Masz rację - przyznał. - Nie mogę mówić za wszystkich. I nie mówię. Ale kiedy chodzi o ludzi takich jak oni i takich jak my... Niewiele tego rodzaju sytuacji kończy

się szczęśliwie.

Przypomniałam sobie przelotnie Amber mówiącą to samo o moich perspektywach na długotrwały związek z Lukiem. A więc nie miałam wielkich szans ani z chłopcem, którego dobrze znałam, ani z takim, który nie pochodził stąd. Czyli co to oznacza? Że nie będę nigdy szczęśliwa z nikim?

- No cóż - powiedziałam - ktoś musi zawsze jako pierwszy odmienić powszechny trend. To mogę równie dobrze być ja.

Clyde długo spoglądał na mnie w milczeniu. W końcu rzekł z uśmiechem:

- Słusznie.

- Dobranoc - rzuciłam ponownie i tym razem rzeczywiście wyszłam.

## 12

- Jeszcze nie patrz. Patrzysz?

Ponownie zamrugałam pod dłonią Theo, którą zasłaniał mi oczy.

- Nie patrzę.

- Dobrze. Jeszcze tylko kawałek dalej. Już prawie doszliśmy na miejsce.

Chociaż nic nie widziałam, zdawałam sobie sprawę, że jesteśmy na dworze i idziemy po piasku. To zawężyło lokalizację zorganizowanej przez Theo Supersekretnej, Zaskakującej, Najwspanialszej w Historii Pierwszej Prawdziwej Randki do... no, po prostu do jakiegoś miejsca w Colby. Byłam też niemal pewna, że poczułam zapach popcornu, co oznaczało, że jesteśmy w pobliżu bulwaru, jednak wiatr wiał zbyt mocno, żebym mogła się dokładniej zorientować.

- W porządku, a teraz wejdź na schodek - polecił. Usłuchałam, czując, jak podtrzymuje mnie za łokieć. - I jeszcze jeden. Doskonale. Teraz zrób dwa kroki do tyłu, miej oczy nadal zamknięte i policz do dziesięciu.

- Theo - zaprotestowałam, gdy opuścił rękę. - Czy my naprawdę...

- Do dziesięciu! - powtórzył; jego głos dobiegał teraz z dalszej odległości.

- Raz, dwa, trzy - zaczęłam. Wiatr dmuchnął mi w twarz piaskiem. - Cztery, pięć, sześć...

- Wolniej!

- Sie-dem. O-siem. Dzie-więć...

Nagle Theo znalazł się znów obok mnie, wsunął dłoń w moją. Doliczyłam do dziesięciu i otworzyłam oczy.

Najpierw zobaczyłam - co nie było żadnym zaskoczniem - ocean. Potem zorientowałam się, że jesteśmy na drewnianym podeście zasypanym piaskiem, na którym stoją niewielki drewniany stolik i krzesła. Na stoliku znajdowały się butelka wina, dwa kieliszki i biała papierowa torba. Spojrzałam za siebie, spodziewając się ujrzeć jakiś budynek, lecz było tam tylko zbocze wydmy usiane kawałkami drewna wyrzuconymi przez morze.

- O rany - powiedziałam. - To jest...

- Czyż nie jest wspaniałe?! Trafiłem tutaj kilka dni temu, biegając rano po plaży. To doskonałe miejsce na odludziu. Te krzesła i stół leżały tu przewrócone, więc je ustawiłem.

- Jest piękne - rzekłam.

Ścisnął moją dłoń, wyraźnie zadowolony z siebie.

- No cóż, czeka cię jeszcze o wiele więcej. To dopiero początek Najwspanialszej w Historii Pierwszej Prawdziwej Randki. Pozwól, że naleję nam trochę wina.

Podszedł do stołu i odkorkował butelkę. Gdy zajął się napełnianiem kieliszków, odwróciłam się nieco, mając wielką nadzieję, że alejka, którą poprowadził mnie z samochodu, nie jest ogrodzona białym płotem. Ale była. Co gorsza, nadal widać było kawałki przywiązanej do niego żółtej taśmy.

W ciągu minionych mniej więcej dwóch tygodni, odkąd Theo i ja zaczęliśmy się regularnie widywać, dowiedziałam się o nim kilku rzeczy. Po pierwsze, lubił wielkie ceremonie. Wszystko było dla niego Ważnym Wydarzeniem i miało Szczególną, Wyjątkową Nazwę. Dlatego nasz pierwszy pocałunek określał jako Wielki Moment w Big Club, a naszą rozwijającą się relację jako część jego Najwspanialszego Lata w Życiu. Podobnie ten wieczór, którym Theo zamierzał zrekompensować pośpieszny i nieco chaotyczny charakter naszych dotychczasowych spotkań, był naszą Pierwszą Prawdziwą Randką. Po związku z Lukiem, któremu trzeba było przypominać o wszystkich uroczystościach, a i tak nigdy nie pamiętał o moich urodzinach, uważałam to za całkiem urocze.

Zarazem jednak z powodu wszystkich jego ogromnie miłych intencji, urządzone przez Theo niespodzianki i Wielkie Momenty były często, przynajmniej dla mnie, zabarwione poczuciem zakłopotania. Wszystko, co uważał tutaj za nowe, czarujące i niezwykle, ja znałam przez całe życie. Co oznaczało, że znałam również tło wszystkich tych rzeczy.

Na przykład to miejsce. Ten stolik nie znajdował się na odludziu. W istocie, przed rokiem do tego podestu wiodły schodki i był połączony z budynkiem. Jedno i drugie zostało zmiecione przez niecodzienny, nagły i gwałtowny sztorm, który nawiedził nas we wrześniu - pomiędzy z pozoru „groźniejszymi” huraganami - i który uśmiercił też sąsiada uderzonego porwaną wiatrem deską pomostu, gdy ten próbował uratować psa należącego do rodziny. Wystarczająco źle, kiedy traci się dom z powodu wielkiego i przerażającego huraganu, który ma nawet swoją nazwę. Ale nadejścia tamtego sztormu właściwie nikt nie przewidział. Oczywiście Theo nie mógł o tym wszystkim wiedzieć. Dla niego było to po prostu ładne miejsce, a nie uświęcona ziemia.

To samo zdarzało się, chociaż na mniejszą skalę, w innych przypadkach, gdy starał się przygotować Wielkie Imponujące Momenty. „Odkrył wspaniałą restauracyjkę”, w której jadłam z Lukiem kolację podczas jednej z naszych

pierwszych randek, nie wspominając już o wielu późniejszych razach. Podobnie było z jego ekscytacją z powodu tutejszego kina samochodowego – i znajdujących się w nim staroświeckich głośników – które mnie kojarzyło się tylko z brzoskwiniówką i pierwszym w życiu kacem. Także miejsce przy lagunie za centrum handlowym, gdzie za ćwierć dolara można kupić trochę psiej karmy, żeby rzucać ją kłapiącym żarłocznie żółwiom. Wynurzały się na powierzchnię wody, wyglądały bardzo pierwotnie i były moimi ulubieńcami, odkąd sięgam pamięcią. Co sprawiało, że ogromnie trudno przychodziło mi udawać entuzjazm, jaki Theo najwyraźniej odczuwał, gdy mi je pokazywał, chociaż starałam się, jak mogłam.

Jednak entuzjazm Theo rzeczywiście bywał zaraźliwy. W jego ekscytacji z powodu najdrobniejszych rzeczy było coś autentycznego i szczerego. Przejawy tego widziałam już wcześniej z powodu skrzynki na mleko w sklepie Gerta, a także podczas pierwszego spotkania Theo z Clyde'em w dniu Wielkiego Momentu w Big Club. Obecnie jednak, kiedy widywaliśmy się regularnie, zrozumiałam, że ta cecha stanowi rdzeń jego osobowości. Theo nigdy nie odgrywał zblazowanego. W ogóle nigdy niczego nie udawał. Po prostu był sobą, co sprawiało, że ja też chciałam być taka. Nawet jeśli czasami doświadczałam z tego powodu lekkiego poczucia winy.

– No dobrze – powiedział teraz, podając mi kieliszek z winem. Podeszłam i usiadłam przy stole. Theo odchrząknął. – Wznoszę toast. Za Najlepsze Lato w Życiu. I za ciebie.

– Za ciebie – powtórzyłam.

Tręciliśmy się kieliszkami i wypiliśmy, przy czym ja skrzywiłam się trochę z powodu smaku. Byłam przyzwyczajona do rozcieńczonego beczkowego piwa, a miłość Theo do wina, zwłaszcza czerwonego, to coś, do czego ciągle jeszcze starałam się przystosować.

– Och! Prawie zapomniałem – rzekł. Sięgnął po zawiniętą papierową torbę. – Przyniosłem też przystawki.

– Przystawki?

– Koktajlowe potrawy – wyjaśnił, otwierając torbę. – Tak to nazywają moi rodzice. Wszystko, co spożywa się pomiędzy piątą a szóstą po południu, to dla nich drinki i przystawki. Zazwyczaj martini, oliwki i krakersy ryżowe z pastą śledziową albo łososiową.

Nigdy nie jadłam żadnej z tych rzeczy. Zamiast jednak to wyznać, rzuciłam tylko:

– Tak?

Skinął głową i wyjął z torby pojemnik z jedzeniem na wynos.

– Ale nie martw się. Przyniosłem coś innego. Wiem, że nie każdy lubi tamte

potrawy.

Uśmiechnęłam się i patrzyłam, jak wyjmuje z torby jeszcze dwa małe pudełka. Gdy je otwierał i ustawiał starannie na stoliku, usiłowałam nie myśleć o tacie i dwóch zimnych piwach, które wypijał niemal każdego wieczoru. Jednak doskonale zdawałam sobie sprawę, że nasze rodziny są całkiem odmienne. Podobnie jak wszystko inne w naszych życiach.

Theo dorastał w Nowym Jorku i Connecticut, uczęszczając do prywatnych szkół. Jego ojciec był psychiatrą, a matka redaktorką w wydawnictwie specjalizującym się w książkach podróżniczych i albumach poświęconych sztuce. Urodził się późno – twierdził, że w rodzinie nazywano go „naszą miłą niespodzianką” – i wychowywał się, bywając stale na wernisażach, koncertach symfonicznych i przedstawieniach operowych. W czasach jego dzieciństwa w domu nie było telewizora ani nigdy nie jadł śmieciowego jedzenia. Właściwie pierwszy raz zjadł ptysie o smaku serowym Cheez Doodle dopiero kilka dni temu, ze mną.

To nie znaczy, że zamierzałam go nawracać na pomarańczowe czekoladki będące moim ulubionym przysmakiem. Po prostu kupowałam ich torebkę w Gas/Gro po dniu ciężkiej pracy i brałam ze sobą, kiedy przyjeżdżałam po Theo. To była kolejna kwestia: on nie prowadził samochodu, a przynajmniej nie robił tego sprawnie. Miał prawo jazdy, jednak ponieważ przez większość czasu przebywał w mieście, rzadko z niego korzystał. O wiele swobodniej czuł się jako pasażer niż za kierownicą. Co mi nie przeszkadzało, bo ze mną było dokładnie odwrotnie. Jeżdżenie w roli pasażerki mnie denerwowało. Stałym tematem żartów między mną i Lukiem było to, jak bardzo niepewnie czułam się w jego samochodzie jako pasażerka. Rozglądałam się zawsze w obie strony równocześnie z nim i bacznie obserwowałam prędkościomierz, gdy uważałam, że Luke jedzie szybciej, niż powinien.

Kiedy dziś zajechałam przed Sand Dollars, Theo wyszedł z domu i wsiadł do samochodu, a potem nachylił się i pocałował mnie. Gdy w końcu odsunęliśmy się od siebie, spojrzał na torebkę z ptysiami serowymi Cheez Doodle leżącą na moich kolanach.

- To twój obiad?

- Nie. Tylko przekąska – odpowiedziałam i zjadłam jednego. – Chcesz?

- Tak.

Podsunęłam mu torbę i patrzyłam, jak starannie wyjmuje jednego ptysia. Obejrzał go uważnie, niczym artefakt z innej cywilizacji, i w końcu włożył do ust. Przeżuł z zamyślonym wyrazem twarzy, a potem przełknął i powiedział:

- Hm. Interesujące.

- Co? - spytałam, wrzucając wsteczny bieg.

- To... czymkolwiek jest - odrzekł, wskazując na torebkę. - Serowa Bomba?

- Serowe ptysie. - Spojrzałam na niego. - A co, smakują dziwnie czy co?

- Sam nie wiem. To pierwszy, jaki kiedykolwiek zjadłem.

Usłyszawszy to oświadczenie, zahamowałam gwałtownie.

- Nigdy dotąd nie jadłeś serowych ptysiów Cheez Doodle?

- No, teraz już tak - uściślił.

- Masz dwadzieścia jeden lat - powiedziałam powoli. - I to był twój pierwszy?

- Aha. - Uśmiechnął się. - A co? Czy to takie dziwne?

Tak, pomyślałam. Lecz głośno powiedziałam:

- Nie dziwne. Tylko niecodzienne. W naszym domu stale jadało się takie rzeczy, kiedy byliśmy dziećmi.

- Naprawdę? - Znowu popatrzył na torebkę. - Rany. One są... ee... strasznie pomarańczowe.

Też na nią spojrzałam.

- To z powodu dodatku smaku serowego - wyjaśniłam.

- Och, rozumiem. Oczywiście.

Przejechaliśmy wtedy tyłem resztę podjazdu posiadłości Sand Dollars, a ja zjadłam następnego ptysia serowego i zaskoczyło mnie to, jak bardzo poczułam się nagle zakłopotana. Lecz teraz lepiej rozumiałam powód, kiedy Theo wspomniał o paście śledziowej i oliwkach. Jego życie było tak bardzo odmienne od mojego. A jednak zbliżaliśmy się do siebie. Powoli, z każdą porcją śmieciowego jedzenia i z każdym kieliszkiem wina.

- No dobrze - powiedział tonem, który nauczyłam się już rozpoznawać jako uroczysty. - A więc przystawki. Wszystkie są z restauracji Reef Room. Mamy ich orzeszki wasabi, mieszankę orzechów arachidowych, krewetki smażone w cieście i twoje ulubione satay z kurczaka.

- O rany - rzekłam, spoglądając na tę ucztę. W gruncie rzeczy wolałam burgery z krewetkami i nie cierpiałam chrzanu pod jakąkolwiek postacią. Jednak nie powiedziałam tego, gdy Theo nałożył dla mnie niewielki talerz i postawił na jednym z pojemników. - Wygląda wspaniale.

- Czy to twoja komórka?

- Co?

Wskazał głową moją kieszeń, dokładając jeszcze jedną zapiekaną krewetkę.

- Twoja. Chyba dzwoni.

- Och. Przepraszam. - Wyjęłam ją, rzuciłam okiem na wyświetlacz i nacisnęłam



przycisk wyciszenia dzwonka. – To tylko mój ojciec. Zostawi nagraną wiadomość.

– Nie chcesz z nim rozmawiać?

Spróbowałam orzeszka wasabi. Fuj. Wypiłam łyk wina, co wcale nie pomogło.

– Właściwie rzadko rozmawiamy.

– Dziwne – oświadczył, nakładając sobie jedzenie na talerz. – Tamtego wieczoru w pralni samoobsługowej, kiedy przyjechał pomóc Clyde’owi w sprawie tej dziury w suficie, wyglądało na to, że łączy was całkiem bliska więź.

Wzięłam kawałek kurczaka.

– To był mój tata – wyjaśniłam.

– Twój... – urwał zdezorientowany, a potem powiedział: – Och, prawda. Stale zapominam, że masz dwóch.

– Mam tylko jednego tatę. I jednego ojca.

– Te słowa są podobne – zauważył.

– Ale oznaczają różne osoby. Przynajmniej w moim życiu. – Czułam, że z każdą chwilą tej rozmowy tracę apetyt. – To długa historia.

– Mamy czas. – Wypił łyk wina, delektując się smakiem. – To znaczy, oczywiście, jeśli chcesz o tym porozmawiać.

Właściwie nie chciałam. Ale ponieważ jednocześnie zobaczyłam, że jakaś idąca obok nas plażą kobieta w koszulce z nadrukiem Finz Bar & Grill przygląda się z dezaprobatą naszej randce, uznałam, że potrzebuję czegoś, co odwróci moją uwagę.

– Mama zaszła w ciążę w lecie przed jej ostatnią klasą liceum. Wkrótce potem mój ojciec zniknął z naszego życia. Kiedy miałam trzy lata, mama poślubiła mojego tatę. Z ojcem nigdy w gruncie rzeczy nie byłam blisko. Jedyne, co nas łączyło, to kwestie dotyczące szkoły.

– Szkoły? – powtórzył Theo, dolewając nam jeszcze trochę wina.

Skinęłam głową.

– Z początku chodziło tylko o to, czego się uczę, co czytam, tego rodzaju rzeczy. Ale kiedy skończyłam szesnaście lat i zaczęłam rozważać pójście do college’u, ojciec nagle bardzo się w to zaangażował. Obiecał, że opłaci moje czesne, kupił mi książki, udzielał rad w kwestiach ułożenia podania o przyjęcie na studia i pisania esejów. Naprawdę chciał, żebym dostała się na jeden z ośmiu najbardziej prestiżowych uniwersytetów na wschodzie Stanów czy na inną uczelnię o podobnym statusie.

– I to było takie złe? – spytał Theo.

Podniosłam na niego wzrok. Przysłuchiwał mi się, jednocześnie kołysząc winem

w kieliszku, co jak zauważyłam, stanowiło jego nawyk. Jakby wino miało lepiej smakować, jeśli stale będzie nim poruszał, czy coś w tym stylu.

- Nie - odparłam. - Ale potem, kiedy rzeczywiście przyjęto mnie na Uniwersytet Columbia, oznajmił, że jednak nie będzie mógł płacić za moje studia. A następnie, zamiast wyjaśnić dlaczego czy w ogóle powiedzieć cokolwiek, po prostu zniknął. Znowu.

Teraz Theo uniósł głowę i popatrzył na mnie.

- Dostałaś się na Columbię?

Nie byłam pewna, czy powinnam się czuć pochlebiona czy raczej urażona zaskoczeniem w jego głosie.

- Tak.

- Rany. Nie żartowałaś, mówiąc o tym słownictwie z testów egzaminacyjnych - rzekł. - Musiałaś naprawdę się w nim doskonalić.

I tak było. Co nie znaczy, że chciałam się przed nim do tego przyznać. Toteż tylko wzruszyłam ramionami i rzuciłam:

- Radziłam sobie.

- Więc dlaczego nie rozpoczniesz tam studiów?

- Nie było mnie na to stać.

- Ale przecież właśnie po to są pożyczki dla studentów - powiedział. - Długi to nieodłączna część edukacji.

- No cóż - odparłam - chyba nie w mojej rodzinie.

- Twoi rodzice nie chcieli, żebyś poszła na Uniwersytet Columbia? - spytał z niedowierzaniem. - To szaleństwo. Czy oni w ogóle wiedzą, jak trudno się tam dostać?

- Mój tata jest przedsiębiorcą budowlanym - przypominałam mu. - A Uniwersytet East zapewnia mi pełne stypendium. Nie było sensu pakować się w jakieś olbrzymie długi.

- Tak, ale to nie jest uczelnia tego samego kalibru. To znaczy, bez urazy, ale naprawdę... - Potrząsnął głową. - Nawet w przybliżeniu.

- Owszem. - Przygryzłam usta. - Chyba nie.

Patrzył na mnie, lecz ja odwróciłam głowę w stronę oceanu i zmusiłam się, żeby zrobić głęboki wdech. Oto siedziałam tutaj pośród resztek czyjś domu, piłam wino, które mi nie smakowało, jadłam potrawy, które ledwie mogłam znieść, i wspominałam najgorszą dla mnie część minionego roku. Bywają chwile, kiedy rozglądasz się po jakimś miejscu i uświadamiasz sobie nagle, że nie masz pojęcia, jak się tu znalazłaś.

- O rany - powiedział Theo po chwili milczenia. Nadal przyglądałam się falom rozbijającym się o brzeg przed nami. W górze krążyło kilka rybitw, nurkując od czasu do czasu. - Nasza Pierwsza Kłótnia. A minęło dopiero dziesięć dni.

Nawet po tak krótkim okresie mogłam ocenić, że te słowa oddają istotę charakteru Theo. On nie tylko znał dokładny czas trwania Naszego Wspaniałego Związku, ale też nadał już nazwę pierwszemu momentowi napięcia między nami.

- A czy my się kłócimy? - spytałam.

- Uraziłem cię. - To było stwierdzenie, nie pytanie. Odwróciłam się i spojrzałam na niego. - Przepraszam, Emaline. Ja po prostu... wykształcenie to w mojej rodzinie ważna sprawa. Wywołuje emocje.

Skinęłam głową.

- My reagujemy tak na wyniki szkolnej drużyny futbolowej.

Żartowałam, jednak chwilę później uświadomiłam sobie, że Theo mógł tego tak nie zrozumieć. Przez moment siedzieliśmy w milczeniu; spróbowałam następnego orzeszka wasabi. Nadal wydawały mi się obrzydliwe. Natomiast, co zaskakujące, wino zaczęło mi smakować.

- A ja - dodał - nie dostałem się na Uniwersytet Columbia.

Uniosłam brwi.

- Nie?

- Chociaż też potrafię nie najgorzej się wysławiać. - Westchnął. - Columbia to był mój pierwszy wybór.

- Naprawdę?

- Tak. - Następny drobny ruch nadgarstka rozkołysujący wino. - Nie zrozum mnie źle. Bardzo lubię Uniwersytet Nowojorski. Jednak to wciąż czasami mnie dręczy.

Nie odezwałam się, tylko spuściłam wzrok na blat stolika pokryty cienką warstewką piasku. Powoli wyrysowałam w nim palcem okrąg.

- Znam wiele osób, które na moim miejscu znalazłyby jakiś sposób, żeby studiować na Columbii - powiedziałam wreszcie. - Ale mnie się to po prostu nie udało. Jednak całą sprawę pogorszyło to, że ojciec nie wyjaśnił, co się stało, tylko zniknął.

- Złamał bardzo ważną obietnicę - przyznał Theo.

- Zepsuł mi też uroczystość ukończenia liceum. Nawet nie odpowiedział na wysłane zaproszenie. Nie kontakował się ze mną aż do dnia, w którym widziałeś nas w restauracji Reef Room.

- Co? Dopiero dwa tygodnie temu? - spytał. Potwierdziłam. - O rany!

- Właśnie.

Przez chwilę milczał.

- Czy kiedykolwiek powiedział ci, co się stało? To znaczy, dlaczego nagle nie mógł opłacić chesnego?

Przecząco pokręciłam głową.

- Teraz wiem, że jego małżeństwo się rozpada. Ale nigdy nie podał tego jako powodu. W ogóle o tym nie mówi i kropka. Kiedy parę razy pojawił się temat college'u, choćby tylko przelotnie, ojciec wyglądał, jakby miał zaraz dostać apopleksji czy czegoś takiego.

Zaległa cisza. Potem Theo powiedział:

- Prawdopodobnie czuł się zakłopotany.

Uniosłam brwi.

- Dlaczego tak myślisz?

- To logiczne - odrzekł. - Ten facet nigdy nie wypełnił swoich obowiązków rodzica, prawda? I w końcu dostał szansę. Zamierzał pomóc ci zdać na studia i zapłacić za nie. Czy to wynagradza całą przeszłość? Nie. Jednak to był Uniwersytet Columbia! Spełnione marzenie, tak?

Ale nie moje, pomyślałam. Lecz nie powiedziałam tego.

- Tyle że potem - ciągnął Theo - on to też schrzanił. O rany. Czy można się dziwić, że poczuł się upokorzony?

Chwilę potrwało, zanim pojęłam ten tok rozumowania. Nastąpiło opóźnienie, poślizg, jak w transmisji na żywo. W końcu powiedziałam:

- Ale ja byłam zadowolona, że dostałam się na Uniwersytet East, nawet po tych wszystkich przygotowaniach, jakie oboje podjęliśmy. Nie przejmowałam się Columbią. Powiedziałabym mu to, gdyby tylko podtrzymał ze mną kontakt i był szczery.

- Być może. Ale idę o zakład, że jemu nie chodziło po prostu o to, żebyś poszła do pierwszej lepszej uczelni. Mógł ci dać szansę, jakiej nie potrafił ci zapewnić nikt inny w twoim życiu. Coś, co mogłoby zmienić wszystko! Był tak blisko zrehabilitowania się za wcześniejsze przewiny. Tym okropniej się poczuł, kiedy ostatecznie to mu się nie udało.

- Ale przecież tu nie chodziło o niego.

- To prawda. Jednak kwestia zasadnicza polega na tym, że my, ludzie, jesteśmy z natury egoistyczni. Potrafimy troszczyć się o cokolwiek jedynie wówczas, gdy sprawimy, że będzie to dotyczyło nas. - Theo pochylił się nieco do przodu i przyjrzał mi się uważniej. - Posłuchaj, nie mówię, że on postąpił w tej sprawie dobrze. Mówię tylko, że... może tkwiło w tym coś więcej, niż sądzisz.

W tym momencie poczułam się nieswojo. Jakby mój pogląd na coś, co uważałam za oczywisty fakt, został nagle podważony, a wskutek tego uległo przekształceniu także wszystko inne, w co dotąd wierzyłam. Pod tym zaś kryło się coś jeszcze, niewyraźne, ale jednak obecne. Nikłe poczucie, że być może – tylko być może – Theo ma rację.

- Jeżeli on tak to odbierał, powinien był powiedzieć mi przynajmniej tyle – zdołałam w końcu wydusić. – Jest dorosły i potrafi się wysłowić.

- Oczywiście – zgodził się Theo. – I znowu: nie zachował się dobrze. Ale teraz jest tutaj, prawda? Może jednak chce to jakoś naprawić.

- Być może. Ale nie spodziewam się po nim wiele.

Theo zjadł krewetkę w cieście.

- Wybacz. Mój optymizm potrafi być bardzo irytujący.

Usłyszawszy to, przypomniałam sobie znowu przelotnie Benjiego mówiącego mi, że szybko się wszystkim nudzi. Teraz, gdy się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że obaj są do siebie dość podobni, przynajmniej jeśli chodzi o zewnętrzne okoliczności życiowe: profesje ich rodziców, miejsca, w których dorastali. Prawdopodobnie było coś znaczącego w fakcie, że obydwu poznałam niemal równocześnie. Ale nie miałam nastroju, by teraz o tym rozmyślać.

- Nie jest irytujący – rzekłam do Theo. – Tylko odmienny. Podobnie jak Cheez Doodle.

Uśmiechnął się do mnie, po czym wstał i z kieliszkiem wina w ręku podszedł do miejsca, gdzie siedziałam. Uniósł kieliszek, a ja zrobiłam to samo.

- Za optymizm. I śmieciowe jedzenie.

Trąciliśmy się kieliszkami. Potem Theo pochylił się, ujął mnie pod brodę i pocałował. Zamknęłam oczy i pozwoliłam sobie na chwilowe zapomnienie o tym, gdzie jestem i co robię, po to by po prostu pograć się w tym doznaniu. Przyszło mi to niemal bez trudu, jeśli nie liczyć tego, że czułam, jak co jakiś czas wiatr sypie na nas drobne ziarenka piasku. Wznosiły się lekkie i tak małe, że prawie niewidoczne. Ale były tam, jak zawsze.

\* \* \*

Kiedy obudziłam się nazajutrz, ktoś przesuwał meble.

Usłyszałam to natychmiast, odgłos pchania i ciągnięcia wielkich obiektów. Nakryłam głowę poduszką, próbując zanurzyć się z powrotem w senne marzenia, lecz daremnie. Sobotni ranek, godzina siódma trzydzieści. Już nie spałam.

Dobiegły mnie znowu odgłosy skrobania i wleczenia, a potem głośny huk, gdy coś dużego upadło na podłogę. Odrzuciłam kołdrę, wstałam z łóżka i ruszyłam sprawdzić, co się dzieje. Jednak gdy pchnęłam drzwi swojego pokoju, uchyliły się tylko o parę centymetrów, a potem natrafiły na jakiś twardy opór i zablokowały się.

Spróbowałam jeszcze raz. Bez powodzenia. W końcu naparłam całym ciałem i zdołałam je otworzyć na tyle, by wyjrzeć na zewnątrz. Tuż przed sobą zobaczyłam szklane drzwi dużej szafki z naszej jadalni.

- Co, u licha? - powiedziałam do swojego niewyraźnego odbicia w szybie, które odpowiedziało mi zdezorientowanym spojrzeniem.

Przemieszczono nie tylko tę serwantkę, lecz także stół do kawy, stół z jadalni, kilka krzeseł i ulubiony szezlong taty; wszystkie te meble były stłoczone w wąskim korytarzu przed moją sypialnią, jakby rzuciły się tłumnie do panicznej ucieczki.

- Halo?! - zawołałam w głąb korytarza w stronę schodów.

Jednak w całym tym hałasie nikt mnie nie usłyszał. Rozważyłam pozostanie na miejscu, dopóki ta zagadkowa akcja nie zostanie zakończona, ale wtedy dała o sobie znać moja skłonność do klaustrofobii. Ponownie pchnęłam drzwi. Przesunęły się zaledwie o milimetr. Pozostało mi tylko okno.

Prawdopodobnie bywają w życiu sytuacje bardziej upokarzające niż wyłączenie w weekendowy poranek przez okno swojej sypialni na oczach sąsiadów. Ale doprawdy, żadna nie przychodziła mi do głowy, gdy przecisnęłam się przez okno i wylądowałam w piżamie na pupie w wilgotnej trawie, a potem obejrzałam się i zobaczyłam, że pan Varance, starszy wdowiec mieszkający w domu na prawo od naszego, był świadkiem całego przedstawienia. Uniósł w powitalnym geście sekator do róż, a ja w odpowiedzi pomachałam. Potem wstałam i obeszałam dom do tylnego wejścia.

Mama stała przy zlewie, już ubrana, i płukała filiżankę do kawy. Zobaczyła mnie dopiero wtedy, gdy wyłączyła wodę, a wtedy wrzasnęła, odskoczyła do tyłu i na moment zniknęła z mojego pola widzenia. Gdy się znowu pojawiła, była wkurzona.

- Co ty wyprawiasz? - burknęła na mnie przez okienną szybę. - Śmiertelnie mnie przestraszyłaś!

- Byłam zabarykadowana w moim pokoju - odparowałam. - Mogłam wyjść tylko przez okno.

Nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i spojrzała za siebie na tatę, który w tym momencie wynosił sofę na boczny taras. Drugi koniec sofy dźwigał Morris.

- Och - rzekła wreszcie. - On chyba myślał...

- Proszę, czy mogłabyś wpuścić mnie do środka? - przerwałam jej świadoma tego,

że mam wilgotne siedzenie i że pan Varance przypuszczalnie nadal może to widzieć.

Mama pognęła do drzwi i otworzyła je z zamka, a potem przytrzymała, gdy wchodziłam.

- On chyba myślał - zaczęła jeszcze raz - że już wyszłaś.

- Stoi tu mój samochód - podkreśliłam. - I nie ma jeszcze nawet ósmej, jest sobota.

- To nie moja sprawa - odparła, unosząc rękę. - Przedyskutuj to z nim.

Odwróciłam się do taty, żeby to zrobić, lecz zamiast niego znalazłam się twarzą w twarz z Morrisem uśmiechniętym od ucha do ucha.

- Ładna piżamka - powiedział. - Zawsze śpisz w trawie?

Spojrzałam w dół. Miałam zielone źdźbła na całej bluzie piżamy i górze spodni. Oczywiście trawnik został wczoraj skoszony.

- Co ty tu w ogóle robisz? - zapytał Morrisa.

- Pracuję - odparł, jakby to rzeczywiście kiedykolwiek było prawdą.

- W porządku, wynieśmy jeszcze tę małą dwuosobową kanapę i to powinno wystarczyć - rzekł tata, wchodząc z powrotem do pokoju. Kiedy mnie spostrzegł, wykrzyknął: - O rety! Co ci się stało?

- Musiałam wyleźć przez okno - wyjaśniłam.

- A to dlaczego? - zapytał. Zamiast odpowiedzi tylko popatrzyłam na niego wymownie. - Och, racja. Korytarz. No wiesz, zaczynamy dziś wymianę podłóg. Nie da się tego zrobić, kiedy stoją tam meble.

- Ale skąd miałam o tym wiedzieć?

Pochylił się nad jednym końcem kanapy i skinął na Morrisa, żeby chwycił drugi.

- O podłogach?

- Tak.

- Ponieważ - rzekł, prostując ramiona i dźwigając kanapę - wymieniliśmy listwy wykończeniowe i pomalowaliśmy ściany. Następne są podłogi.

Jakbym miała w głowie jakiś harmonogram obejmujący każdy etap tych niekończących się przeróbek domu!

- Tato, nie jestem robotnikiem budowlanym.

- Nie - odrzekł, podnosząc swój koniec kanapy - ale zarazem jesteś, na nasz sposób. A teraz zmykaj, mamy tu robotę.

Odstąpiłam na bok, a oni minęli mnie, wynosząc kanapę przez drzwi, którymi przed chwilą weszłam. Mama, stojąc w drugim końcu już opróżnionego z mebli pokoju, uniosła z pytającym wyrazem twarzy dwa kubki z kawą. Kiedy kiwnęłam głową, dała mi gestem ręki znak, żebym poszła za nią w głąb korytarza do pokoju

Amber.

- Mógł mi przecież zostawić wiadomość czy coś w tym rodzaju - powiedziałam, gdy szliśmy razem.

- Plan wyglądał chyba tak, że mieliśmy powiadomić cię wczoraj wieczorem, kiedy przyjdiesz do domu - odparła mama. - Ale wróciłaś... późno.

Ups. Przygryzłam usta, przypomniawszy sobie, jak bardzo przekroczyłam wczoraj wyznaczoną domową godzinę policyjną, wracając z Pierwszej Prawdziwej Randki. Przyszłam na tyle późno, że tata położył się już spać, czego nigdy nie robił, dopóki wszyscy nie znaleźli się bezpiecznie w domu.

- Straciłam poczucie czasu - usprawiedliwiłam się. - Przepraszam.

Mama nic nie odpowiedziała, tylko pchnęła drzwi i ujrzałyśmy Amber z jej teraz jasnymi włosami, zagrzebaną pod kołdrą. Podeszłyśmy do łóżka i mama przesunęła Amber na bok, robiąc dla nas wąskie miejsce. Kiedy się usadowiłyśmy, naciągnęła nam obu kołdrę na nogi i podała mi kubek kawy.

- Nie rozumiem - oświadczyłam, gdy już wypłam parę łyków - dlaczego on nie może po prostu zostawić go tak, jak jest.

- Kto?

- Tata. Domu. Dlaczego to - machnęłam ręką mniej więcej w stronę drzwi - ciągle trwa?

Matka wzruszyła ramionami.

- Don Kichot miał swoje wiatraki. Bracia Wright otwarte niebo, w które chcieli wzlecieć. W przypadku twojego taty to jest ulepszanie domu.

- Ale dom był w całkiem dobrym stanie przed ostatnim projektem ulepszeń. I właściwie przed poprzednim też.

- No cóż, dobry stan to pojęcie względne. A twój tata zawsze pragnie dla nas czegoś jeszcze lepszego. - Obróciła w dłoniach kubek. - Ty widzisz doskonale jadalnię i kuchnię. On widzi możliwość uczynienia ich wspaniałymi.

- W tej chwili widzę tylko meble na korytarzu i nas dwie siedzące na łóżku Amber.

- Co z pewnością - dobiegł stłumiony przez poduszkę głos mojej siostry - wygląda w tym momencie dla ciebie całkiem dobrze, prawda, panno Wynoście-Się-Z-Mojego-Pokoju-Bo-Inaczej?

Szturchnęłam ją stopą, ale delikatnie.

- Jesteś mi to winna.

- Akurat! - mruknęła i przewróciła się na drugi bok. - A tak w ogóle, to właśnie spałam, zanim postanowiłyście wtarabanić się do mojego łóżka. Wiecie, niektórzy



z nas muszą dziś pracować.

Amber w ramach zajęć praktycznych w szkole kosmetycznej spędzała jeden poranek w tygodniu w miejscowym salonie fryzjerskim, myjąc głowy klientkom i zamiatając włosy z podłogi. Ze sposobu, w jaki o tym mówiła, można by pomyśleć, że to galernicza praca w kajdanach. Znowu ją kopnęłam. Tym razem mi oddała.

- Dziewczyny - powiedziała mama tym znużonym tonem, jaki słyszałam u niej, gdy wymawiała to słowo - co najmniej milion razy.

Przez chwilę siedziałyśmy, nie odzywając się i jedynym dźwiękiem był dobiegający z salonu na parterze charkot jakiejś maszyny, która właśnie zaczęła pracować. Wreszcie mama rzekła:

- Pomijając kwestię podłogi, Emaline, naprawdę ostatnio rzadko bywasz w domu. Brakuje mi ciebie.

- Widujesz mnie codziennie w pracy.

- Owszem - przyznała. - Ale to nie to samo. A ponieważ pod koniec lata wyjedziesz stąd...

- Jest dopiero czerwiec - podkreśliłam. - Wyjeżdżam w sierpniu. Mamy jeszcze przed sobą wiele tygodni.

- A ty masz nowego chłopaka - zripostowała i wypła łyk kawy.

Spojrzałam na nią.

- Tu nie chodzi o Theo.

- Nie, chodzi o to, że twój związek z nim oddziałuje na mamę - dobiegł spod kołdry stłumiony głos Amber. - Boże, można by pomyśleć, że zamierzasz zostać porzucona samotnie na bezludnej wyspie czy coś takiego. Halo, reszta z nas wciąż tu będzie. Tylko Emaline gdzieś się wybiera.

Mama prychnęła.

- Ale ona rzeczywiście gdzieś się wybiera.

- Radziłaś sobie świetnie po wyjeździe Margo - przypomniałam jej.

- Przybyło mi ponad siedem kilogramów!

Ups. Całkiem zapomniałam o przyczynie jej nagłego i silnego uzależnienia od batonów Twix.

- To nie fair wzbudzać we mnie poczucie winy z powodu tego, że jadę na studia. Zamordowałybyś mnie, gdybym nie pojechała.

- I to mówi ta bystra, ulubiona córka - dorzuciła Amber.

- Żadnej z was nie faworyzuję - oświadczyła mama; to kolejna z jej stale powtarzanych mantr. Do mnie zaś dodała: - Myślałam tylko, że tego lata będziesz częściej przebywać w domu. Ale ty i Luke zerwaliście ze sobą, a potem...

- A więc jednak chodzi o Theo - skonstatowałam.

- Tak - potwierdziła Amber.

- Niezupełnie - zaproponowała mama. - On wydaje się całkiem miły. I naprawdę chcę, żebyś była szczęśliwa. Ale ten związek jest po prostu... odmienny. I taki nagły.

Poczułam się znudzona już samym słuchaniem tego. Głównie dlatego, że chociaż byłam w pełni zadowolona ze swojego życia i uczuciowego związku, wyglądało na to, że tylko ja jedna. Luke też miał wady, ale przynajmniej był kimś znanym. Theo nie pochodził stąd, nie prowadził samochodu, nosił dziewczęńskie dżinsy i zawładnął całym moim czasem - a wszystko to najwyraźniej stanowiło karalne wykroczenia. Rzecz w tym, że to nie jego karano, tylko mnie.

- Luke mnie zdradził - przypomniałam matce. - Z dziewczyną, którą poznał w Tallyho.

- Poza tym - dodała Amber - on i tak ma już nową dziewczynę.

Odwrociłam się i spojrzałam na nią.

- Co?

- Nie wiedziałaś? - spytała. Pokręciłam głową. - Och. Przykro mi.

- Kto to?

- To ta przyjaciółka Brooke, Jacqueline Best. Chodziła do mojej klasy. Znasz ją, rudowłosa, naprawdę ładna. Jeździ tym czarnym kabrioletem.

Nic mi to nie mówiło i właściwie byłam za to wdzięczna. W pewnych przypadkach, zwłaszcza w małych miasteczkach, lepszy czasem diabeł - lub dziewczyna - nieznany niż znany.

- Księga pamiątkowa mojej klasy leży na tamtej półce - oznajmiła Amber. - Jeśli chcesz, możesz obejrzeć tę dziewczynę, skrytykować jej ubiór, zamazać długopisem oczy.

Amber tak właśnie by zrobiła - połowa dziewczyn na zdjęciach w jej albumie była już w ten sposób oszpecona. Moja siostra słynęła z posiadania długiej, stale modyfikowanej listy wrogów.

- Nie, dzięki - odparłam. - Ja też mam już kogoś nowego.

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz.

Wstałam, zabierając ze sobą kubek. Amber natychmiast zajęła opuszczone przeze mnie miejsce na łóżku i znowu naciągnęła kołdrę aż na głowę.

- Wiesz - powiedziałam do mamy - myślałam, że będziesz zadowolona, że nie snuję się smętnie przez całe lato, oplakując moje złamane serce.

- Oczywiście, że jestem zadowolona - odrzekła. - Tylko że...

Umilkła, potrząsając głową. To urwane zdanie było dla mnie czymś najgorszym. Jakby oczekiwała, że ja je za nią jakoś dokończę.

- Tylko że co?

Stałam już w półotwartych drzwiach, a ona nadal siedziała na łóżku, z kolanami przyciągniętymi do piersi. Przyglądałam się, jak zamknęła oczy, a potem uniosła głowę i długo wpatrywała się w sufit. Wreszcie powiedziała:

- Jesteś moim dzieckiem. I naprawdę będzie mi ciebie brakowało, skarbie. To wszystko.

Przygryzłam usta.

- Mnie ciebie też. Ale jeszcze nie wyjechałam, prawda?

Kiwnęła głową, łzy napłynęły jej do oczu. Och, na litość boską, pomyślałam, lecz w tym momencie nieoczekiwanie mój wzrok też się zamglił. Mogłam znieść prawie wszystko, z wyjątkiem widoku płaczącej mamy. To dotknęło we mnie czegoś głęboko ukrytego, fundamentalnego, wywołało reakcję, nad którą nie potrafiłam w żaden sposób zapanować. Twarz wykrzywił mi płaczliwy grymas. Odstawiłam kubek, podeszłam do łóżka, usiadłam przy niej i objęłam ją w pasie.

- Kocham cię - wyszeptała w moje włosy. - Jesteś moją gwiazdką z nieba i jeszcze więcej.

Tym razem wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Ja też cię kocham.

Przez chwilę trwałyśmy tak bez ruchu; z salonu dobiegały stłumione odgłosy. W końcu ciszę przerwała Amber:

- Jeśli kiedyś skończycie, naprawdę napiłabym się chętnie trochę kawy. Myślę, że możecie dla mnie zrobić przynajmniej tyle, w zamian za wpakowanie się do mojego łóżka.

Mama szturchnęła ją łokciem - delikatniej niż ja bym to zrobiła - i zaśmiała się.

- Dobrze. Ale tylko dlatego, że i tak muszę się już zbierać.

Ruszyliśmy korytarzem, na którym wciąż rozbrzmiewał warkot. Salon, kuchnia i jadalnia były już puste, na gołe podłogi padało światło słońca. Morris i tata pochylali się nad jakąś sprężarką, a pomiędzy nimi stała duża szlifierka. Z tego, co widziałam, twarde drewno podłogi było w znakomitym stanie. Ale z drugiej strony, widywałam przecież również wiatrak i otwarte niebo i nigdy nie wzbudziło to we mnie pragnienia podboju. Wydaje się nam, że świat jest jasny i oczywisty. W istocie wszystko zależy od tego, kto na niego patrzy.

## 13

- No dobrze, więc pomyślałam, że weźmiemy te grafiki i będziesz mógł...

- Cholera. Czy te blaty są z marmuru?!

Ivy zacisnęła usta, co oznaczało, że robi wszystko co w jej mocy, by nie wrzasnąć, zgromić lub w jakiś inny sposób werbalnie kogoś zaatakować. Dokonywała tego wysiłku - tak przynajmniej wynikało z mojego doświadczenia - tylko wobec Clyde'a.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała mu bezbarwnym tonem. - Ale jak mówiłam, jeśli chodzi o te grafiki...

- To nie może być marmur - zawyrokował Clyde, wyciągając szyję, by znowu zajrzeć do kuchni. - Nikt nie byłby na tyle głupi, żeby wydawać na to pieniądze w domu do wynajęcia. Prawda, Emaline?

Popatrzyłam na Ivy, bo nauczyłam się już nie wygłaszać z boku komentarzy, kiedy filmowała. Westchnęła i kiwnęła głową. Powiedziałam więc:

- To granit.

- Jesteś pewna?

- Tak. Jest o tym wzmianka na stronie internetowej naszej agencji.

- O rany. - Clyde gwizdnął przez zęby. - Granit. Jeśli dodać do tego choćby tylko tamtą lodówkę, wyjdzie więcej forsy niż wartość całego mojego domu.

- Jestem pewna, że to nieprawda - oświadczyła Ivy.

- Niemal.

- Chciałbyś tego dowieść? Wezmę kamerę i możemy tam zaraz pójść.

Teraz to ja przygryzłam usta i pochyliłam się nad formularzem płac, który wypełniałam przy centralnie usytuowanym blacie kuchennym. Dziwnie mi to przyznać, ale w przypadkach takich jak ten w gruncie rzeczy współczułam Ivy. Tak desperacko usiłowała przeniknąć myśli Clyde'a, zdobyć jego zaufanie i zyskać swobodny dostęp do jego świata, a jednak stale postępowała w sposób powodujący przeciwny efekt. Jak wtedy, gdy Clyde odrzucił jej sugestię, aby przeprowadzili wywiady u niego w domu, a ona zaproponowała, żeby przyszedł tutaj. Był to bardzo zły pomysł.

- Dlaczego zły? - zapytał mnie wcześniej Theo, kiedy przyniosłam nam na lunch kanapki z pizzerii Da Vinci's i zastałam go w salonie zajętego przygotowaniami do filmowania. - To wspaniałe wnętrze.

- Istna rezydencja.

Theo postawił reflektor, który niósł, i rozejrzał się, jakby zobaczył to miejsce po raz pierwszy.

- Tak uważasz?

- A ty nie?

- To dom do wynajęcia - odrzekł, wzruszając ramionami. - To znaczy, owszem, ładny. Ale to nie jest luksusowy apartament na ostatnim piętrze wieżowca w Central Parku.

- Theo, Clyde dorastał na farmie mlecznej.

- I został nowojorskim artystą, który odniósł sukces. Duże pieniądze nie są mu obce, jeśli sędzić po nazwach kolekcji, które zakupiły jego dzieła. - Wskazał głową *Modern Coast*, wielki, luksusowo wydany album z licznymi reprodukcjami obrazów Clyde'a, który przeglądałam. - Zapewniam cię, że widział wytworniejsze domy niż ten.

- Może w Nowym Jorku - odparłam. - Ale jesteśmy w Colby. To wnętrze rozproszy jego uwagę.

- Chyba nie darzysz go dostatecznym zaufaniem - powiedział. - Wszystko pójdzie świetnie.

Teraz popatrzyłam na Theo, który od momentu zjawienia się Clyde'a umyślnie unikał mojego wzroku. Oczywiście Clyde, gdy tylko przyszedł, wymógł na nich obejrzenie całego domu. W trakcie zwiedzania wyrażał podziw, zaskoczenie i zdumienie niemal wszystkim, od ozdobnych gzysów po wielkie wanny w każdej łazience. Nie odzywałam się. Nikt nie lubi wysłuchiwać słów: „A nie mówiłam?”.

- Emaline! - zawołał teraz Clyde, wskazując ręką długie, wysokie na dwie kondygnacje okna obok siebie. - Wiesz może, ile kosztowały okna w tym domu?

- Raczej nie.

- Przypuszczam, że to musiało być co najmniej sto pięćdziesiąt kawałków - rozważał na głos. - No bo spójrz, ile to jest szkła i ono samo musiało już kosztować kupę forsy. A rozmiary i kształty tych wielkich framug? Niewątpliwie wykonano je na zamówienie i...

- Przyjmujemy tę krytykę - przerwała mu głośno Ivy. - Ten dom jest okazały i luksusowy, pełen całkowicie zbędnego przepychu, i dlatego jesteśmy odrażający, skoro w nim mieszkamy. A teraz czy możemy już porozmawiać o pracy?

Clyde spojrzał na nią zaskoczony. Chyba wszyscy byliśmy zdziwieni. Dotychczas Ivy podporządkowywała się we wszystkim Clyde'owi, od przeczytania dzieła *Irmy Jean Rankles* po, całkiem niedawno, konieczność wysłuchania fachowego wykładu

na temat oprawiania ryb, gdyż Clyde uznał to za kluczowe do zrozumienia jego techniki kolażu. I oto nagle miała w końcu tego dość.

Spodziewałam się, że on wstanie i wyjdzie, a przynajmniej ostro zareaguje. Tymczasem po raz pierwszy, odkąd widziałam go przed kamerą, uśmiechnął się.

- Uważasz, że mówię o was jako odrażających?

- Uważam - odparowała Ivy - że zważywszy na to, jak wiele mówisz o marnowaniu pieniędzy, absolutnie nie przeszkadza ci marnowanie czasu. Zwłaszcza mojego.

Oj!, jęknęłam w duchu. Teraz Theo już patrzył na mnie; oboje byliśmy zdenerwowani. Zaczynałam żałować, że zamiast przyjść tutaj, nie zjadłam lunchu w biurze.

- Marnuję twój czas - powtórzył Clyde.

Nadal się uśmiechał. Wyglądał na bardziej odprężonego, niż widywałam go dotychczas w trakcie tych wywiadów.

- Od pierwszego dnia - powiedziała Ivy, wyraźnie ośmielona. - Co innego, jeśli nie masz żadnego szacunku dla własnych dzieł. Ale lekceważąc zarówno nasze zainteresowanie nimi, jak i projekt, który realizujemy z powodu tej pasji, obrażasz nas obydwoje, mnie i Theo. Mam już dość udawania, że jest inaczej. Tak więc, jeśli chcesz rozmawiać o oknach czy blatach...

- Powiedz mi, co chcesz wiedzieć - rzekł Clyde. - Teraz.

Ivy pochyliła się do przodu nad podkładką z klipsem na swoich kolanach.

- Dlaczego opuściłeś Nowy Jork i przestałeś tworzyć?

Minęła chwila, potem następna, zanim Clyde odpowiedział:

- Sprzedałem jeden z obrazów za pół miliona dolarów. I poczułem, że się porzygam. Miałem dwadzieścia siedem lat i nie wiedziałem już, kim jestem.

Zapadła cisza. Słyszałam tylko szum oceanu na zewnątrz. Kiedy nerwowo przełknęłam ślinę, miałam wrażenie, że zabrzmiało to ogłuszająco.

- To były *Rybitwy*? - spytała Ivy.

- Tak - potwierdził Clyde. Wziął album, który wcześniej oglądałam, i przekartkował go. Dziwne, to był jedyny odgłos w tym wielkim domu. Odnalazł stronę i patrzył na nią długo. - To tylko płótno, muszle, gips, kilka tubek farby. Myślisz, że jest warte pół miliona dolarów?

- Myślę, że ten obraz był centralnym punktem twojej pierwszej indywidualnej wystawy. Myślę, że dzięki niemu stałeś się w tamtym czasie jedną ze wschodzących gwiazd świata sztuki.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Nie jestem pewna, czy je rozumiem.

Clyde znowu spojrzął na reprodukcję, a ja uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech.

- Mój ojciec w ostatnim roku przed sprzedaniem farmy zarobił trzydzieści tysięcy dolarów. A to był dobry rok. Prowadzenie farmy to ciężka, znojna praca, wyniszczająca fizycznie i psychicznie. Ojciec w wieku sześćdziesięciu lat miał już zrujnowany organizm.

Nikt się nie odezwał. Na dworze jakieś dzieciaki biegały wzdłuż brzegu, puszczając latawiec. Clyde uniósł album i odwrócił, tak aby Ivy mogła zobaczyć reprodukcję.

- Płótno. Muszelki. Gips. Farba. To było jak obraza. Ja się poczułem, jakbym go obraził.

Z miejsca, gdzie siedziałam, ta fotografia wyglądała jak niewyraźna plama szarości i czerni. Ivy przyglądała się jej przez chwilę.

- Ale byłeś jego synem i to była twoja praca. Zapłacono ci za nią. Mógł to potraktować jako po części również swój sukces, nie?

Nie!, pomyślałam i równocześnie Clyde przecząco pokręcił głową. Tak samo byłoby w przypadku moich rodziców. Bez względu na to, jak bardzo byliby ze mnie dumni, taka góra forsy zakłóciłaby równowagę między nami, nie tylko wpłynęłaby na stosunek rodziców do mnie, lecz także sprawiła, że przypuszczaliby, że ja także postrzegam ich inaczej niż dawniej. Nawet gdyby tak nie było.

- Wiem, że gdybym pozostał w Nowym Jorku i żył tam, zarabiając dalej takie pieniądze, stałbym się dupkiem - powiedział Clyde. - Ale zrezygnowanie i powrót tutaj... też zrobił ze mnie dupka. Nie miałem dobrego wyjścia.

- Ale jednak wróciłeś - zauważyła Ivy.

- Tak. - Wyrzwał przez okno na unoszący się w powietrzu latawiec, ledwie widoczny nad balustradą tarasu. - I jestem cholernym dupkiem.

Nikt nie zakwestionował tego oświadczenia. Ani wtedy, ani w ciągu następnej półgodziny, kiedy obserowałam w milczeniu, jak oboje kontynuują rozmowę. Clyde opowiadał wiele o swojej pracy, dokonanych wyborach i decyzjach, których żałuje. Od czasu do czasu napomykał o rzeczach, jakie mógłby robić inaczej bądź nie, na przykład kolaże słów zamiast materiałów. Zwracał się wyłącznie do Ivy. Nie żądał przerw ani nie zadawał pytań dotyczących domu. A kiedy o pierwszej wymknęłam się za drzwi, żeby wrócić do pracy, byłam pewna, że nawet tego nie zauważył.

Kiedy zajechałam przed biuro, spostrzegłam stojące tam subaru ojca, rozpoznawalne zarówno z powodu koloru, jak i tablic rejestracyjnych z Connecticut. Minęłam wolne miejsce obok, które w przeciwnym razie bym wybrała, i zaparkowałam z tyłu budynku. Wsiadłam i weszłam przez magazyn, możliwie jak najciszej, tak by móc się zorientować, co się dzieje.

Ponieważ było poniedziałkowe wczesne popołudnie, sprawy toczyły się dość leniwie. Babka rozmawiała przez telefon, Rebecca podjadała sałatkę przy biurku w recepcji, mamy nigdzie nie dostrzegłam. Usłyszałam głos ojca dobiegający z gabinetu Margo, więc go ominęłam i wśliznęłam się do pokoju babki. Usiadłam na krześle, skąd miałam dobry widok na wszystko, sama będąc ukryta.

- Chcesz czekoladkę Rolo? - zapytała mnie babka, wskazując głową na półotwartą paczkę w rogu biurka.

Wzięłam jedną i rzuciłam ukradkowe spojrzenie na Margo, która właśnie wstała, a ojciec zrobił to samo. Gdy opuścili jej gabinet i skierowali się do drzwi, Margo obejrzała się nagle i mnie zobaczyła. Cofnęłam się poza zasięg jej wzroku, jednak nie dość szybko.

Dobiegło mnie trzaśnięcie zamykanych frontowych drzwi. Chwilę później po prostu wyczułam, że Margo stoi w progu gabinetu babki, chociaż rozdzielała nas solidna szafka na dokumenty.

- Co się dzieje z wami dwiema? - spytała. - Przecież wiesz, że on nie jest żadnym potworem.

Babka wzięła następną czekoladkę.

- Ale też nie jest Świętym Mikołajem - odezwała się.

- Kto jeszcze się przed nim chowa? - spytałam.

- Twoja matka - odpowiedziały jednocześnie. Babka wycelowała we mnie palec i dodała: - Ona ukrywała się w tym samym miejscu, dopóki nie odwrócił się plecami, wtedy mogła się wymknąć.

- Osobiście bardzo się cieszę, że on tu jest - oświadczyła Margo, poprawiając torebkę na ramieniu. - Jedziemy do North Reddemane, by obejrzeć ten dom. Jeżeli okaże się choć w połowie tak ładny, jak uważa twój ojciec, widzę dużą szansę na przyzwoitą prowizję dla siebie.

- Jest ładny - zapewniłam. - Byłam tam w ubiegłym tygodniu, kiedy zajmowałam się Benjim.

- Czy to ten mały chłopiec, który tu był? - zapytała babka.

- Mój brat przyrodni. Ma dziesięć lat. - Spojrzałam na Margo. - Gdzie on teraz jest?



- Odesłałam go z Morrisem - oznajmiła.

- Z kim?!

- Z Morrisem - powtórzyła takim tonem, jakby to był najzwyczajniejszy sposób postępowania z dzieckiem. - A co? Morris wpadł tu, szukając ciebie, dzieciak się nudził, a my musieliśmy omówić sprawę biznesową. Dałam mu dziesięć dolarów i powiedziałam, żeby poszedł kupić sobie lody czy coś takiego.

Lody. Nie musiała mu tego dwa razy powtarzać. Morris zrobiłby niemal wszystko za lody karmelowe z cukierni Squeeze Serve.

- Od ciebie zaś oczekuję - mówiła dalej Margo - że popilnujesz go, podczas gdy będziemy oglądać ten dom, a potem odwieziesz z powrotem do North Reddemane. Powiedzmy, za mniej więcej godzinę.

- Co takiego? - rzuciłam. - Przecież wiesz, że też mam swoją pracę.

- Zaopiekowanie się dzieckiem klienta, na którym agencja może zarobić, jest twoją pracą - odparła. - Poza tym to twój brat. Doprawdy, Emaline.

Odwróciła się i wyszła z gabinetu. Babka spoglądała za nią z wyrazem rozbawienia na twarzy. Odsunęłam żaluzję w najbliższym oknie i wyjrzałam. Ojciec stał przy samochodzie, mrużąc oczy przed blaskiem słońca. Wiedziałam, że prawdopodobnie wydawało się to dziwaczne, że zadałam sobie tyle trudu, by uniknąć spotkania z nim. Ale odkąd przedyskutowałam z Theo wszystko, co wydarzyło się między mną a ojcem, myśl o spotkaniu z nim budziła we mnie większe zakłopotanie niż zwykle. Gniew na niego to jedno; z tym potrafiłam sobie poradzić. Lecz współczucie mu to dla mnie całkiem nowa sytuacja, na którą nie byłam gotowa. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Kiedy droga była wolna, wyszłam na dwór i od razu zobaczyłam Benjiego i Morrisa przebiegających przez główną szosę z lodami w rękach.

- Byliście w Squeeze Serve, co? - zawołałam do nich. - To rzeczywiście najlepsza cukiernia w Colby.

- Morris powiedział, że muszę koniecznie skosztować lodów karmelowych - poinformował mnie Benji.

- Użył słowa „skosztować”? - spytałam z niedowierzaniem.

- Wszystkie inne smaki są dla smarkaczy - oświadczył Morris, potwierdzając moje podejrzenia. - Czy Margo jest nadal w biurze? Mam jej oddać resztę pieniędzy. Ale nie zostało dużo. W Squeeze Serve nie jest tanio.

- Pojechała do North Reddemane obejrzeć dom - oznajmiłam. - Mam niedługo odwieźć tam Benjiego.

- Ja mogę go zawieźć, jeśli chcesz - zaproponował Morris. - I tak muszę pojechać

do sklepu Gerta.

- Tak! - wykrzyknął z entuzjazmem Benji. - Mogę ci pokazać mój zestaw do magicznych sztuczek, ten, o którym ci mówiłem.

Spojrzałam na Morrisa.

- Masz samochód? Od kiedy?

- Ivy powiedziała, że mogę wziąć furgonetkę. Chce, żebym pojechał tam i wykupił wszystkie ich skrzynki na mleko czy coś takiego.

- Ivy?

Odwrócił się i zerknął na mnie.

- Szefowa Theo. Pamiętasz ją?

- Tak, oczywiście. - Nienawidziłam, kiedy ktoś sprawiał, że czułam się głupio, ale gdy w grę wchodził Morris, było to szczególnie nieznośne. - Po prostu nie zdawałam sobie sprawy, że nadal dla niej pracujesz.

- Kiedy ona tego potrzebuje. A ostatnio, jak się zdaje, potrzebuje bardzo często. Wygląda na to, że twój chłopak nie nadaje się zbytnio do dźwigania ciężarów.

- On nie jest moim chłopakiem - mruknęłam.

W tym momencie górna część lodów w rożku Benjiego spadła i spłynęła w dół po przodzie jego koszuli, pozostawiając czekoladową plamę.

- Ojej - jęknął, a Morris parsknął śmiechem.

Ach, ci chłopcy!

- W biurze jest łazienka, w głębi korytarza po prawej - powiedziałam Benjiemu.

- Jasne - odrzekł i oddał mi rożek.

Trzymałam go na odlegość wyprostowanego ramienia, nie chcąc ryzykować poplamienia bluzki, gdy Morris i ja usiedliśmy na schodkach, czekając na Benjiego.

- Dzięki, że zabrałeś go na lody - powiedziałam. - Z pewnością sprawiło mu to wielką frajdę.

- Nigdy jeszcze tam nie był - oznajmił Morris. - Każdy dzieciak powinien odwiedzić cukiernię Squeeze Serve.

Przypomniałam sobie Theo i jego ptysie serowe Cheez Doodle. Najwyraźniej to było lato nowych doświadczeń.

- To dobry dzieciak - powiedziałam.

Morris tylko skinął głową. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, przyglądając się przejeżdżającym samochodom. Potem rzekł:

- Wiesz, on wie o rozwodzie.

Dopiero po chwili to do mnie dotarło.

- Co takiego? Kiedy mu powiedzieli?

- Nie powiedzieli. - Odchylił się do tyłu, opierając się guzowatym łokciem o następny schodek, a drugą rękę założył za głowę. - Ale on nie jest głupi. Potrafi się zorientować, co się dzieje.

- Powiedział ci to?

- Mówił, że jego rodzice się rozchodzą i że tata po powrocie stąd wyprowadzi się z domu.

Pomyślałam o Benjim i poczułam ukłucie w sercu.

- Boże. To okropne.

Morris wzruszył ramionami.

- On nie wydaje się tym zbyt przygnębiony.

- Wątpię, czyby ci powiedział, gdyby był. Dopiero cię poznał.

- No tak - zgodził się Morris - ale kiedy idziesz z kimś do Squeeze Serve, to bezpieczna strefa. Co się tam powie, nie wydostaje się na zewnątrz.

Spojrzałam na niego.

- Myślałam, że tak jest w Las Vegas.

- Tam też.

Przewróciłam oczami i też odchyliłam się do tyłu obok niego. Nie miałam żadnych wspomnień z czasu, kiedy ojciec i mama byli ze sobą, i dlatego myśl o ich rozstaniu nie wywoływała we mnie żadnych emocji. Ale mama i tata to co innego. Gdy miałam dziesięć lat, a oni byli małżeństwem zaledwie od kilku, przeżywałabym ciężko rozpad tej najbliższej rodziny. Szczerze mówiąc, właściwie nawet teraz nie byłoby to dla mnie o wiele łatwiejsze.

I wtedy coś przyszło mi do głowy.

- Byłeś mniej więcej w takim wieku jak on, prawda? - spytałam Morrisa. - Kiedy twoi rodzice się rozwiedli.

- Miałem dziewięć lat.

- Myślę, że to będzie dla niego trudne - powiedziałam, wpatrując się w niebo nad głową. - Wiesz?

- Może - odparł. - A może nie. Pozostanie razem nie zawsze jest lepsze.

Nie dodał nic więcej. Morris niewiele mówił o swojej przeszłości - ani w gruncie rzeczy o czymkolwiek - ale z tego, co zdołałam wywnioskować, jego życie wyglądało o wiele inaczej przed rozwodem. Jego rodzice mieli własny dom i Morris spędzał mnóstwo czasu z liczną, wielopokoleniową rodziną ojca, z której większość mieszkała w Cape Frost. Widziałam nawet kilka zdjęć Morrisa z czarnym kotem, najwidoczniej ukochanym domownikiem, z jedyne go pudełka z fotografiami leżącego na bocznym stoliku. Jednak Morris nigdy nie wspomniał o żadnej z tych

spraw. Jakby wraz z końcem małżeństwa rodziców one też się skończyły.

Trąciłam nogą jego stopę.

- Wiesz, będzie mi ciebie brakowało.

- Jadę tylko do sklepu Gerta - odrzekł.

Westchnęłam.

- Mówię o jesieni, kretynie.

Usłyszałam dźwięk dzwonka nad frontowymi drzwiami biura, a potem odgłos kroków. Chwilę później zjawił się Benji.

- Opalacie się?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedziałam. Wstałam i podałam mu już roztopione lody. - Jesteś gotowy? Możemy jechać?

- Aha. Wziąłem na drogę kilka czekoladek Rolo. - Wyciągnął dłoń i pokazał mi je.

- Chcesz jedną?

- Nie - odparłam i zmierzwiłam mu włosy, a on jak zawsze wychylił się nieco do mnie niczym głaskany pies. - Ale dziękuję ci.

- A ty, Morris? - spytał Benji.

- Jasne, że tak! Rzuć mi jedną. - Czekoladka Rolo przeleciała nad moją głową i Morris ją złapał. - Dzięki.

Ciskanie czekoladkami i inne wygłupy trwały niemal przez całą drogę do Sand Dollars. Mając dwie siostry, nie przywykłam do przebywania przez tyle czasu z dokazującymi chłopcami. Kiedy wjeżdżaliśmy na podjazd, byłam aż nadto zadowolona, że się ich pozbędę.

- Wkrótce znowu się zobaczymy, dobrze? - rzekłam do Benjiego, gdy wszyscy wysiedliśmy. - Zagramy w minigolfa czy coś w tym rodzaju.

- Tak? To fantastycznie!

Pomachałam do nich na pożegnanie i poszłam w kierunku domu, by przywitać się z Theo. Byłam już prawie na schodkach, kiedy Morris zawołał:

- Hej, Emaline!

- Tak?

- Wiesz, mnie też będzie ciebie brakować.

- Tak, wiem. - Uśmiechnęłam się. - Porozmawiamy później.

- Porozmawiamy później.

To takie absurdalne, pomyślałam, usiłując przełknąć gulę, którą poczułam w gardle, podczas gdy Morris wyjeżdżał tyłem z podjazdu. Weszłam po schodach, zapukałam do drzwi i zrobiłam kilka głębokich wdechów. Ale mimo tych usiłowań i świadomości, jak głupi jest powód do łez, kiedy Theo otworzył drzwi, musiał mnie

jednak zapytać, dlaczego płaczę.

W sobotę o wpół do dziewiątej rano większość miejsc publicznych w miasteczku jest jeszcze zamknięta. Ale Colby Fitplex różni się od nich.

To siłownia, chociaż nigdy nie widziałam tam zbyt wielu osób ćwiczących. Na przykład gdy tego ranka weszłam na ruchomą bieżnię, grupa zwana przeze mnie Kawiarzami siedziała już przy stolikach w pobliżu drzwi wejściowych. Były to starsze osoby, które zgodnie z utartym, niezmiennym zwyczajem zbierały się tutaj codziennie z samego rana, rzekomo po to, by ćwiczyć, jednak głównie żeby pogadać. Wyglądało to tak: napełnianie filiżanki kawą, picie jej powoli przy stoliku w trakcie omawiania lokalnych wieści i plotek, następnie powleczenie się do roweru stacjonarnego i pedałowanie na nim pięć minut albo zrobienie zestawu ćwiczeń na przyrządzie ustawionym na najmniejsze obciążenie, po czym cała zabawa zaczynała się od początku.

Niektórzy ludzie jednak rzeczywiście ćwiczyli. Na przykład drobna sześćdziesięcioparoletnia kobieta, która zjawiała się zawsze ubrana w trykot, rajstopy i opaskę w rozmaitych jaskrawych kolorach. Rozciągała się długo, a potem, stojąc przed lustrem, robiła serię ćwiczeń z dwuipółkilogramowymi hantlami, z zaangażowaniem i wysiłkiem olimpijczyka w kategorii podnoszenia ciężarów. Stękała przy tym i dyszała, a pod koniec każdego cyklu ćwiczeń teatralnie rzucała hantle, które odbijały się od podłogi, uderzając tego, kto akurat znajdował się w pobliżu. Najczęściej tym kimś bywał starszy kapitan kutra rybackiego, który zjawiał się każdego ranka z własną matą, rozkładał ją i siadał na niej w pozycjach jogi, oznajmiając każdemu, kto chciał słuchać, że to umożliwia mu uniknięcie operacji kontuzjowanego kolana.

Tak, to było prawdziwe wyzwanie, trzymanie się z dala od Kawiarzy i gawędziarzy, żeby móc na serio się spocić.

Zaczęłam przychodzić do Fitplex ubiegłej jesieni, gdy moje starania, by dostać się na studia, nabrały intensywności. Stale budziłam się w środku nocy z walącym sercem, ogarnięta panicznym strachem z powodu esejów i podań, niezdolna z powrotem zasnąć. Próbowałam nie jeść przed snem, zrezygnowałam z picia kawy i dokonywałam innych wielkich wyrzeczeń, jednak bez rezultatu. W końcu mama przekonała mnie, żebym poszła do lekarza, który zdiagnozował „lękową nerwicę

sytuacyjną” i zalecił mi ćwiczenia fizyczne. Od tej pory ilekroć budziłam się bardzo wcześnie i nie potrafiłam się uspokoić, przychodziłam tutaj.

Było coś dziwnie kojącego w ćwiczeniu, podczas gdy reszta świata jeszcze spała. Jechałam tu pustymi ulicami, mijałam ciemne domy, a jedynymi światłami były migające żółto sygnalizatory uliczne. Fitplex otwierano punktualnie o szóstej rano i zawsze było już tam kilkoro Kawiarzy, uruchamiających ekspres do kawy, gdy wślizgiwałam się do środka, skanowałam swoją kartę członkowską i rozplątywałam przewód słuchawek iPod'a. W najbardziej stresujące dni włączałam ruchomą bieżnię i przebiegałam trzy czy cztery mile. W inne dni ćwiczyłam na тренаżerze eliptycznym albo rowerze stacjonarnym. Dopóki się ruszałam i moje serce pracowało intensywnie, z powodów, których nie pojmowałam, czułam się lepiej. Do tego stopnia, że nawet kiedy już złożyłam wszystkie podania o przyjęcie na studia i zaczęłam sypiać w nocy, nadal parę razy w tygodniu zwlekałam się rano z łóżka i przyjeżdżałam tu, żeby poćwiczyć.

Teraz gdy ta starsza kobieta prężyła przed lustrem żylaste, wątle bicepsy, weszłam na jedną z otwartych ruchomych bieżni i włączyłam ją, rozpoczynając od lekkiego truchtu. Ponieważ była sobota i pora nieco późniejsza niż ta, o jakiej zazwyczaj się zjawiałam, w siłowni przebywało trochę więcej ludzi, ćwiczących tu i ówdzie na ustawionych w rzędy przyrządach. Wszystkie telewizory grały, niektóre nastawione na poranne wiadomości, jeden na kanał kulinarny (co zawsze wydawało mi się dość absurdalne: oglądanie gotowania potraw w trakcie biegania), a inny na powtórkę tego reality show z kandydatkami na modelki, który zawsze oglądała Amber. Ze słuchawkami z muzyką w uszach zmieniałam szybko kanały, co w efekcie dało zwariowaną mozaikę newsów, celebrytów, sesji zdjęciowych i pokazu pieczenia chleba z mąki kukurydzianej. Kiedy miałam już tego dość, zwiększyłam prędkość ruchomej bieżni i spojrzałam wprost przed siebie. I wtedy zobaczyłam mamę Luke'a.

Była na przyrządzie do ćwiczenia mięśni nóg, wykonując krótki i lekki zestaw w stylu Kawiarzy. Wyglądała jak zawsze świetnie: w elastycznych spodniach dresowych, podkoszulku z nadrukiem Uniwersytetu East i jaskrawobiałych butach biegowych, z włosami ściągniętym do tyłu i związanymi w zawadiacki koński ogon. Podejrzywałam, że to jedna z jej pierwszych wizyt w Fitplex, ponieważ nigdy jej tutaj nie widziałam, a także z powodu odbywanego przez nią treningu, jaki proponuje się każdemu nowicjuszowi. Po chwili przestałam się jej przyglądać i spuściłam głowę, mając nadzieję, że dzięki temu ja też stanę się dla niej niewidzialna.

Jednak niestety szczęście mi nie dopisało. Po przebiegnięciu mniej więcej dwóch mil podniosłam wzrok na zegar na przeciwległej ścianie akurat wtedy, kiedy ona tam przechodziła. Nasze spojrzenia się spotkały i natychmiast poczułam, że twarz poczerwieniała mi jeszcze bardziej, nie tylko z wysiłku. Zanim zdążyłam znowu odwrócić wzrok, mama Luke'a ruszyła w moim kierunku.

To mnie nie zdziwiło. Jedną z najistotniejszych jej cech była uprzejmość. Pani Templeton nie należała do osób unikających kogoś z powodu zakłopotania – ani zresztą z jakiegokolwiek innego. Usiłowałam przyjąć podobne nastawienie, gdy zbliżyła się do mnie. Zdejmując słuchawki, zmusiłam się do uśmiechu, jednak nie przestałam biec.

– Witaj, Emaline – rzekła serdecznie, uśmiechając się do mnie. – Nie wiedziałam, że masz tu abonament.

– Przyszłam pobiegać na ruchomej bieżni – wyjaśniłam. – Zresztą, nie ma tu zbyt wielu innych możliwości treningu.

– Też to zauważyłam, kiedy zdecydowałam się doprowadzić do formy przed tym ślubem Brooke. – Rozejrzała się po sali, popatrzyła na Kawiarzy, a potem znów na mnie. – Postanowiłam włożyć sukienkę bez rękawów, a nie chcę mieć całkiem zwiotczonych ramion. Chociaż to może być beznadziejna sprawa.

– Ależ skąd – zaprzeczyłam. – Możesz szybko odbudować mięśnie. A przynajmniej tak piszą w ilustrowanych magazynach.

Znowu się do mnie uśmiechnęła i wyczułam, że etap rozmawiania o czymkolwiek tylko nie o Luke'u dobiega końca. I rzeczywiście.

– Niewątpliwie brakuje nam ciebie ostatnio u nas w domu – powiedziała.

Zdałam sobie sprawę, że zareagowałam przyspieszeniem biegu, i zmusiłam się, żeby zwolnić.

– Mnie też brakuje was wszystkich.

To była prawda. Przez ostatnie trzy lata spędzałam wiele czasu u Templetonów: jadałam tam obiady, bywałam na weekendowych grillach i w wakacje. To ja nazwałam ich jamniczkę Grace, imieniem mojej babki. Naprawdę kochałam tę suczkę. To było takie dziwne, że zerwanie z kimś sięga o wiele szerzej, niż się spodziewamy. Tracimy nie tylko tę osobę, lecz również cały jej świat.

– Brooke naprawdę liczy, że jednak zjawisz się na jej ślubie – mówiła dalej, a ja zaniepokoiłam się przez chwilę, czy nie bryzgam na nią swoim potem. Była typem osoby, która wywołuje tego rodzaju obawy. Zwolniłam. – Mam nadzieję, że wiesz, że chcemy, byś przyszła. Niezależnie od tego, co się dzieje z...

– Oczywiście – rzuciłam szybko, przerywając jej. Poczułam nagle zawrót głowy.



Nie byłam nawet pewna, czy zdołam znieść to, jak ona wymawia jego imię, a co dopiero dokończenie tego zdania. – Nie opuściłabym takiej uroczystości.

Uśmiechnęła się i w tym momencie tamta starsza kobieta w trykocie znowu upuściła hantle, które upadły z brzękiem, rozpraszając uwagę nas obydwu. Kiedy odwróciłyśmy od niej wzrok, wskazałam głową konsolę ruchomej bieżni i powiedziałam:

– No cóż, chyba powinnam...

– Och, oczywiście. – Pani Templeton się roześmiała. – Wybacz mi. Ja w trakcie biegania nie zdołałabym wypowiedzieć nawet jednego słowa, a co dopiero prowadzić rozmowę.

Uśmiechnęłam się i znowu włożyłam do uszu słuchawki.

– Miło było cię spotkać. Życzę powodzenia podczas ćwiczeń.

– Chyba będę go potrzebowała – odrzekła. I zanim zdążyłam zareagować, sięgnęła do mojej spoczonej ręki i pogładziła ją delikatnie. – Uważaj na siebie, kochanie.

Skinęłam głową, a ona odeszła ku przyrządowi do ćwiczenia tricepsów. Ponownie utkwiałam wzrok w tamtym punkcie na ścianie, przyspieszyłam bieżnię o kolejne dwa stopnie i przebiegłam ciężko ostatnią milę. Niemal żałowałam, że nie mam już kłopotów z podaniami o przyjęcie na studia, które odwróciłyby moją uwagę. A gdy skończyłam trening, pani Templeton już nie było w sali.

\* \* \*

– Dobrze. Miej oczy nadal zamknięte.

Kolejna randka z Theo, kolejna Wielka Niespodzianka. Wystarczająco krępujące było siedzenie w miejscu publicznym, nic nie widząc. Tym razem jednak miałam widownię.

– Patrzysz? Nie patrz.

– Nie patrzę – wymamrotałam, chociaż byłam pewna, że inni się gapią.

– W porządku. Jeszcze tylko chwila. – Poczułam, że Theo cofa się obok mnie, coś uderzyło mnie w łokieć. – I... już. Otwórz oczy!

Otworzyłam. Pierwsze, co ujrzałam, to Morrisa naprzeciwko mnie, ze znudzoną, lekko zirytowaną miną. Stojąca obok niego Daisy wyglądała na nieco zaniepokojoną. A potem zobaczyłam zimny ogień.

Co nie znaczy, że mogłabym go nie zauważyć. Był jednym z tych dużych, palił się i tryskał iskrami na wszystkie strony. U jego podstawy leżał niewielki tort

czekoladowy w kształcie serca, na którym różowym lukrem było coś napisane, czego jednak nie potrafiłam odczytać z powodu całej tej pirotechniki. Nie byłam pewna, czy powinnam zdmuchnąć ten zimny ogień, czy pozwolić mu płonąć, więc po prostu siedziałam i patrzyłam, jak się wypala, aż wreszcie zgasł z sykiem, pozostawiając po sobie chmurkę dymu.

- O rany - powiedziałam, a Daisy zakasłała, dyskretnie zasłaniając usta dłonią. - Co to za okazja?

- Nie wiesz? - spytał Theo. Duża grupa turystek z oparzeniami słonecznymi i świeżymi jasnymi śladami po ramiączkach kostiumów kąpielowych przyglądała się nam z sąsiedniego stolika. - Dziś jest nasza dwutygodniowa rocznica.

- Och, racja - powiedziałam szybko, spoglądając na niego i uśmiechając się. - Po prostu... rozproszył mnie ten zimny ogień. Najlepsze życzenia z okazji... ee... rocznicy.

- Dla ciebie też - odrzekł, a potem pochylił się i pocałował mnie.

Był to prawdziwy pocałunek, a nie taki jak zwykle na randce z drugą parą, kiedy patrzy połowa gości w restauracji. Poczułam się jednak okropnie, bo zapomniałam o tej dacie, więc miałam wrażenie, że nie mogę cofnąć się tak szybko, jak bym chciała. Kiedy w końcu odsunęliśmy się od siebie, starałam się, jak mogłam, unikać spojrzenia Daisy. Nienawidziła publicznego okazywania uczuć jeszcze bardziej niż mycia podłogi i staromodnych workowatych dzinsów.

Skupiłam się więc na usuwaniu pozostałości zimnego ognia, tak abym mogła przeczytać napis na torcie. Było tam: „CZY ZECHCESZ...?”; znak zapytania kończył się fantazyjnym zawijaszem.

- Czy zechcę... - powtórzyłam, rzucając spojrzenie na Theo - co?

- To druga część niespodzianki - powiedział. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki i wyjął różowy arkusz papieru przewiązany kokardką. - Proszę.

- Theo, to za wiele - zaprotestowałam.

- Co takiego? To nasza rocznica. Rozwiń go.

Teraz zaryzykowałam zerknięcie na Daisy i ujrzałam na jej twarzy coś gorszego niż urazę czy irytację: współczucie. Och, Boże, pomyślałam. Wszystko, czego pragnęłam na tej podwójnej randce, to pokazać Daisy i Morrisowi, że myślę się co do Theo. Uznałam, że jeśli zdołam namówić nas wszystkich na wspólny obiad, tamci dwoje przekonają się szybko, że wbrew temu co sądzą, Theo nie jest jakimś okropnym wczasowiczem, mędrkiem ani wielkomięjskim snobem. Jednak na razie pomimo moich najlepszych starań dowiodłam czegoś wręcz przeciwnego.

Zaczął się od tej sportowej marynarki. A właściwie nie, kasuję to. Zaczął się od wyboru restauracji. Planowałam, że pójdziemy do Inlet Drive-In, gdzie mają najlepsze w miasteczku burgery z krewetkami, i zjemy po prostu przy ogródkowym stoliku. Zamówimy nasze ulubione dania i Theo pozna trochę prawdziwego Colby, takiego w naszym stylu. Wszyscy będziemy zadowoleni. Ale on miał inne pomysły.

- Podwójna randka! Brzmi wspaniale - orzekł. - Właśnie przeczytałem w gazecie o nowym panazjatyckim lokalu. Zarezerwuję dla nas stolik.

- Panazjatyckim? - powtórzyłam. - W Colby?

- Nie, gdzie indziej. - Odwrócił się od kuchennego zlewu, w którym płukał wielkie winogrona; Ivy najwyraźniej wymagała, by mieć je zawsze pod ręką. Sięgnął po komórkę, wcisnął kilka guzików i oznajmił: - W Cape Frost. To niedaleko, prawda?

- Właściwie niezbyt blisko.

Mrużąc oczy, odczytał tekst z wyświetlacza:

- „Restauracja Haiku oferuje szeroki wybór zarówno tradycyjnych, jak i współczesnych dań azjatyckiej kuchni, chlubi się dużym barem sushi z bogatym wyborem gatunków sake oraz najlepszym w tym rejonie menu wegetariańskim”. Wspaniale, prawda?

- Chyba tak - odrzekłam, lecz nawet w moich uszach zabrzmiało to nieprzekonująco. - Ale może byłoby lepiej, gdybyśmy, no wiesz, wybrali coś bliżej domu... i prostszego.

- Nie ma nic prostszego od sushi - zauważył, wracając do płukania winogron. - Ryba. Ryż. Morskie wodorosty.

- Nie sądzę, by Morris przepadał za sushi.

- A Daisy? Ona z pewnością ma bardziej śmiały gust, co?

- Dlaczego? Bo jest Azjatką?

Spojrzał na mnie.

- Emaline, ja nie myślę stereotypami.

- Mówię tylko...

- Chodziło mi o to - ciągnął, nie dając mi dojść do słowa - że sądząc z tego, co mówiłaś, Daisy wykazuje bardzo wielkowiejską wrażliwość w kwestiach mody. Pomyślałem, że może to dotyczyć również sfery kulinarnej.

W tym momencie to ja poczułam, że posługuję się stereotypami, toteż nie powiedziałam mu, że chociaż Daisy czytuje „Vogue” i „Harper’s Bazaar”, ze wszystkich potraw najbardziej lubi pizzę.

- Przepraszam.

- W porządku. - Theo starannie wycierał winogrona papierowym ręcznikiem. -

Posłuchaj, po prostu pozwól mi zrobić rezerwację. Obiecuję, że im się tam spodoba.

Tak więc wcześniej dzisiejszego wieczoru włożyłam dżinsy oraz jedną z moich najładniejszych bluzek i trochę podmalowałam oczy kredką; nawet nie przyszłoby mi do głowy robienie czegoś takiego, gdybyśmy mieli pojechać na burgery z krewetkami do Inlet Drive-In. Ponieważ ubrałam się inaczej niż zwykle, prawdopodobnie nie powinnam czuć się zaskoczona tym, że Theo zrobił to samo. Jednak pomyślałam, że sportowa marynarka to lekka przesada.

Owszem, nosił ją swobodnie, do dżinsów, białej oksfordzkiej koszuli i drogich butów tenisowych. Osobiście jednak – a wiedziałam, że to mówi więcej o mnie niż o nim – kojarzyłam wszelkie marynarki z oficjalnymi uroczystościami i pogrzebami, a nie z obiadem. Miałam tylko nadzieję, że Morris nie będzie w szortach.

Jednak był. I w podkoszulku, chociaż wyglądającym na nowy albo świeżo wyprany. Daisy zgodnie z oczekiwaniem wyglądała olśniewająco w kwiecistej sukience, sandałkach i w prostym, białym, ażurowym rozpinanym swetrze narzuconym na ramiona. Kiedy przyjechaliśmy po nich i oboje wyszli z domu, Theo wyskoczył z samochodu i otworzył dla niej tylne drzwi. Ale Morris, nie zauważając tego, wsiadł pierwszy.

O rany, jęknęłam w duchu. Głośno zaś powiedziałam:

– Wszyscy gotowi do dłuższej jazdy?

– Pojedźmy do Inlet – poprosił Morris. – W tym momencie mógłbym zabić za burgera z krewetek.

– Jedziemy na sushi, pamiętasz? – przypomniała mu Daisy.

– Nie jadam surowych ryb – burknął zrzędliwie.

– Będą ci smakować – zapewnił go Theo. – W tej restauracji łączą kuchnię tradycyjną ze współczesną.

Jakby to miało przekonać Morrisa, który żywił się głównie crakersami Nabs, napojem Mountain Dew i bułkami z kiełbasą! Zamiast o tym rozmyślać, skoncentrowałam się na prowadzeniu samochodu. Kolejny drogowskaz, jaki minęliśmy, informował: CAPE FROST 32 MILE. Chociaż jechałam dość szybko, ryzykując mandat za przekroczenie prędkości, droga już mi się dłużyła.

Kiedy znaleźliśmy się w restauracji Haiku, miałam nadzieję na reset sytuacji i nowy początek. Ale gdy zaprowadzono nas do stolika i usiedliśmy, Morris tylko rzucił okiem na menu i oświadczył, że nie ma tam nic, co lubi.

– Ono ma jakieś dziesięć stron – zwróciłam mu uwagę.

– Nie jadam surowych ryb – powtórzył.

– Nie wszystkie są surowe.

- Spójrz - powiedziała Daisy, odwracając jedną z ostatnich stron menu. - Mają tu zwykły burger, tylko z azjatycką surówką z białej kapusty.

- Och, żadnego zamawiania z działu dla amerykańców! - zaprotestował Theo. - To wbrew regułom!

Wszyscy spojrzeliśmy na niego, a ja spytałam:

- Jakiego działu?

Wypił łyk wody ze szklanki.

- Dla amerykańców. Tak mój tata nazywa dział menu przeznaczony specjalnie dla ludzi, którzy nie chcą spróbować niczego spoza zakresu znanych im dań. W naszej rodzinie nie wolno zamawiać nic takiego. Musisz jeść to co tubylcy albo wracać do domu.

- Bardzo chętnie wróciłbym do domu - mruknął Morris, lecz byłam prawie pewna, że Theo go nie usłyszał.

- Ja też nie jestem nadzwyczaj śmiała w wyborze potraw - odezwała się nieco głośniej Daisy, jak zawsze ugodowa. - Może my oboje moglibyśmy wybrać coś trochę odmiennego, ale nie aż tak radykalnie?

- Pozwólcie po prostu, że zamówię kilka przystawek - powiedział Theo, otwierając menu. - Będą wam smakować.

Nie całkiem się pomylił. Edamame, czyli niedojrzała zielona soja gotowana w strączkach okazała się świetna (choć Morris, który z warzyw uznawał tylko korniszony, dla zasady odmówił jej spróbowania), a japońska tempura, potrawa z ryb, skorupiaków i jarzyn, odniosła powszechny sukces. Chińskie pierożki z kapustą były znośne, kiedy polało się je sosem sojowym. Gorzej z sałatką z wodorostów, która pomimo nalegań Theo, żebyśmy spróbowali choć kęs każdej potrawy, pozostała nietknięta na trzech spośród naszych czterech talerzy, gdy sprzątano je ze stołu. Jedno danie mamy za sobą, pomyślałam. Minęło dopiero trzydzieści minut.

Co do głównego dania obiadowego, tylko ja z nas trojga przystałam na sushi. Daisy zamówiła coś wyglądającego dość podobnie jak kurczak z brokułami. Spoglądałam tęsknie na jej talerz, wmuszając w siebie piekielnie ostro przyprawione sushi krabowe w kształcie roladek. Morris zapewne przez złośliwość wybrał jak skończony amerykańczyk burgera z frytkami. Co gorsza, kiedy Theo wygłosił nam szczegółowy wykład dotyczący posługiwania się pałeczkami, Morris demonstracyjnie użył swoich do zanurzania frytek w sadzawce keczupu. Czekałam z utęsknieniem na deser, chociaż tylko dlatego, że przypuszczałam, że najgorsze mamy już za sobą.

Teraz spojrzałam na złożony arkusz papieru ozdobiony kokardką, a potem znowu na Theo.

- Rozwiń - powtórzył, trącając mnie ramieniem. - To nie bomba.

Zerknęłam na Daisy - która, sądząc z wyrazu twarzy, wcale nie była o tym przekonana - a potem wsunęłam palec pod kawałek taśmy klejącej, pozwalając, by arkusz się rozłożył.

TAŃCE! BLASK KSIĘŻYCA! NAGRODY! WYSTRÓJ SIĘ ELEGANCKO W DOBREJ SPRAWIE! głośił napis dużymi drukowanymi literami na tle zdjęcia przedstawiającego parę w stylu retro tańczącą walca. Nie potrafiłam nawet odczytać reszty, gdyż byłam zanadto pochłonięta oczekiwaniem nadciągającej eksplozji.

- To kolacja z tańcami - mówił podekscytowanym tonem Theo, siedzący obok mnie. - Widziałem wszędzie te ulotki, więc wszedłem do sklepu odzieżowego i poprosiłem o jedną.

- Plażowy Ubaw - powiedziałam.

- Z tego, co mówiła tamta dziewczyna w sklepie, wygląda na to, że jest naprawdę fantastyczny - ciągnął, wyraźnie nieświadomy zakłopotanego milczenia reszty z nas. - Kupiłem bilety dla VIP-ów. Wcześniej dostaniemy kolację przy stoliku. Całkiem jak na szkolnym balu! Będę tylko musiał szybko zdobyć gdzieś smoking.

Przez głowę przemknął mi obraz tych zmechaconych, marszczonych sukienek, które Daisy pokazała mi niedawno. Jeszcze nie przymierzałam swojej, ale wiedziałam, że w sypialni Daisy z pewnością stoi już krawiecki manekin z mnóstwem wbitych szpilek, pokryty znakami kredą, co najmniej w połowie drogi do jakiejś bajecznej kreacji.

- O rany - rzekła cicho Daisy. - Nawet nie wiedziałam, że mają opcję dla VIP-ów.

- Bo nigdy z niej nie korzystałaś - powiedział Morris.

- Byliście już na tym kiedyś? - zapytał Theo.

- One chodzą każdego roku - poinformował go Morris, wskazując na mnie i Daisy.  
- Razem. To taka tradycja.

- Och. - Theo popatrzył na Daisy, potem na mnie. - Rany, przepraszam. Nie zamierzałem wkraczać w żadne...

- Nic nie szkodzi - rzuciła szybko, zmuszając się do uśmiechu. - Zazwyczaj szyję nasze sukienki, ale w tym roku byłam tak zajęta przygotowaniem do studiów, że kompletnie odpuściłam ten bal.

Spojrzełam na nią zaskoczona.

- Naprawdę?

Kiwnęła głową.

- Tylko nie chciałam ci mówić, bo czułam się winna zaniedbania. Wiesz, pomyślałam, że może w tym roku mogłybyśmy dać sobie spokój ze staraniami o wygranie konkursu strojów.

Tak bardzo pragnęłam w to uwierzyć. Ale znałam Daisy. Przede wszystkim nigdy niczego nie zaniedbywała, jeśli w grę wchodziły stroje i ich projektowanie. A po drugie, co bardziej znamienne, zawsze była nadzwyczaj uprzejma. Nawet jeśli to oznaczało kłamstwo w jakiejś istotnej dla niej kwestii.

- Może kupimy jeszcze dwa bilety? - zwrócił się do niej Theo. - Możemy zorganizować podwójną randkę!

- Ona już kupiła bilety - oznajmił Morris, najwyraźniej nie przejmując się zakłopotaniem Theo. - Przed kilkoma tygodniami.

Przełknęłam nerwowo ślinę i spuściłam wzrok na tort. Po tych wszystkich potrawach, do których spróbowania wcześniej się zmusiłam, nie mogłam zaprzeczyć, że wyglądał smakowicie.

- Posłuchaj, przykro mi - rzekł Theo do Daisy, wyraźnie szczerze. - Nie miałem o tym pojęcia. Wiesz, nie chciałem przeszkodzić w czymś, co jest dla was ważne.

- Naprawdę nic się nie stało - zapewniła go powtórnie.

Przez chwilę milczeliśmy, zakłopotanie zdawało się jeszcze jedną osobą siedzącą przy naszym stole. Co za katastrofa, pomyślałam. Turystki za nami śmiały się, miały niezły ubaw. Oczywiście.

- Rzecz w tym - odezwał się w końcu Theo - że... ee... w liceum właściwie nie chodziłem na potańcówki, szkolne bale. To znaczy, nigdy. Wiem, cała ta uroczysta pompa przed chwilą z tortem, zimnym ogniem, wielką niespodzianką była głupia...

- Tak - potwierdził Morris.

Kopnęłam go, mocno.

- Ale - ciągnął Theo, lekko się czerwieniąc - kiedy zobaczyłem tę ulotkę, pomyślałem, że to dla mnie okazja, by to nadrobić. Zyskać tego rodzaju wspomnienie, pamiętną chwilę. Taką, jakiej nigdy nie miałem, bo nie chodziłem na imprezy ani na randki, tylko siedziałem w domu i oglądałem z rodzicami francuskie filmy w telewizji.

Zobaczyłam, że wyraz twarzy Daisy złagodniał, gdy to usłyszała. Tak - pomyślałam - to właśnie taki chłopiec, jakiego chciałam ci pokazać.

- No bo, poważnie - mówił dalej Theo - w tamtym czasie ktoś taki jak Emaline nawet nie spojrzałyby na mnie, nie mówiąc już o pójściu ze mną na taką imprezę.

- Theo - powiedziałam cicho.

- Co? - odrzekł. - Jesteś wyjątkowa, Emaline. Inna niż wszystkie dziewczyny.

Z pewnością nie mógł wiedzieć, co poczułam, usłyszawszy te ostatnie słowa. Były jakby kodem, hasłem otwierającym sekretną, głęboko ukrytą część mojego serca. Do tej pory przez cały czas postrzegałam siebie z tej drugiej strony, koncentrowałam się na wszystkim tym, czym nie byłam. Ale dla Theo bycie odmiennym stanowiło wybór lepszy, wręcz doskonały. Tak więc zaproponował mi inny punkt widzenia, a mnie spodobało się to, jak stamtąd wyglądałam. To rzeczywiście było lato nowych doświadczeń.

- Uważam, że to naprawdę urocze - rzekła Daisy do Theo. - To będzie wspaniała zabawa.

Popatrzyłam na nią, próbowałam pochwycić jej spojrzenie, żeby dać jej poznać, jak bardzo doceniam to, co powiedziała. Owszem, to był dość koszmarne wieczór. Ale kiedy byłam z Lukiem, też nie zawsze stanowiliśmy idealną, szczęśliwą parę. A teraz rzeczywiście czułam się szczęśliwa.

- Masz - zwróciłam się do Theo, krojąc wielki kawał tortu. - To dla ciebie.

Uśmiechnął się zadowolony.

- Tak? Dzięki.

- To ja ci dziękuję - powiedziałam.

I pomimo tego, że Morris i Daisy przyglądali się z naprzeciwka, pomimo wszystkiego, pocałowałam go w usta. A potem teatralnym gestem położyłam na talerzu ten kawałek mojego serca i podałam mu.

\* \* \*

Jazda powrotna do domu przebiegła w zdecydowanie lepszym nastroju. Może dzięki temu, co Theo wcześniej powiedział, czy tortowi, albo dlatego, że Morris zapadł w drzemkę tuż po tym, jak opuściliśmy Cape Frost. Jakikolwiek był powód, jechaliśmy w przyjaznym milczeniu i słychać było tylko grające radio. Od czasu do czasu rzucałam spojrzenie na Theo, który siedział obok mnie z ręką na moim kolanie, i uśmiechałam się.

Trasa z Cape Frost do Colby wiodła przez cały czas dwupasmową szosą, z kilkoma obszarami, na których widziało się tylko gęste zarośla i tablice drogowe. W jednym z takich miejsc napotkaliśmy unieruchomioną niebieską ciężarówkę z przyczepą, z włączonymi światłami awaryjnymi. Przyczepa miała przebitą oponę. Kierowca w znoszonej czapce baseballowej i flanelowej koszuli wyjmował ze skrzynki z narzędziami podnośnik, żeby zmienić koło. Zwolniłam.



- Co robisz? - spytał Theo.

- Chcę zobaczyć, czy on potrzebuje pomocy - wyjaśniłam.

- No nie wiem, Emaline... - Umilkł na chwilę. - Jest dosyć późno, a to odludna okolica.

- Właśnie - odrzekłam. - Jeżeli on nie ma komórki, jest uziemiony.

- W dzisiejszych czasach każdy ma komórkę.

- Nie w Colby. Opuść szybę od swojej strony.

Zawahał się z ręką na przycisku. Tamten facet jeszcze nas nie zobaczył.

- Mówię serio. Uważam, że to zły pomysł.

- Theo, ten gość utknął samotnie na pustkowiu, a nas jest czworo.

- Ale on ma broń.

- To podnośnik! - powiedziałam. - A na zderzaku ciężarówki jest naklejka baru

Finz i zezwolenie wjazdu na plażę w Colby. To facet stąd.

- Ale go nie rozpoznajesz.

- Jestem pewna, że nic się nie stanie.

- No nie wiem - powtórzył.

Podjeżdżaliśmy już do tej ciężarówki, a Theo nadal nawet nie uchylił bocznego okna. Odwróciłam się i popatrzyłam na Morrisa śpiącego z otwartymi ustami na tylnym siedzeniu.

- Obudź go, dobrze? - powiedziałam do Daisy.

Potrząsnęła go za ramię. Ocknął się błyskawicznie, tak jak się spodziewałam. Morris potrafił usnąć twardo gdziekolwiek, a po przebudzeniu natychmiast podejmował to, co wcześniej przerwał. Opanował tę umiejętność do perfekcji w liceum.

- Co się dzieje? - spytał.

- Tamtemu facetowi zepsuł się wóz - odpowiedziałam.

Morris natychmiast opuścił szybę.

- Hej, człowieku, potrzebujesz pomocy?

Mężczyzna odwrócił się z podnośnikiem w rękę i popatrzył na nas spod przymrużonych powiek.

- Tak, byłoby super. Wiem, że gdzieś mam zapasowe koło, ale nie jestem pewien gdzie.

Wrzuciłam wsteczny bieg, a potem podjechałam za ciężarówkę i Morris wyskoczył z samochodu. Siedzieliśmy w milczeniu i przyglądaliśmy się, jak kierowca otworzył tylne drzwi przyczepy i zaczął grzebać w tym, co przewoził. Przyczepa była wypełniona po brzegi czymś wyglądającym na płótno albo... obrazy. Mnóstwem

obrazów. Spojrzałam ponownie na twarz mężczyzny, tym razem uważniej.

- Jasny gwint - rzuciłam i wysiadłam.

- Hej! - zawołał za mną zaniepokojony Theo. - Myślę, że nie powinnaś...

Podeszłam do przyczepy i kierowca popatrzył na mnie.

- Emaline! Co ty tu robisz?

- Jestem z nim - wyjaśniłam, wskazując na Morrisa. - Znasz Clyde'a, Morris?

Morris zerknął na niego.

- Och, tak, jasne. Cześć.

- Cześć - odrzekł Clyde. Obejrzał się na mój samochód. - Wybraliście się gdzieś wieczorem, tak?

- Pojechaliśmy do Haiku na współczesną azjatycką kuchnię - powiedział Morris.

- Co to takiego, u diabła? - spytał Clyde.

- No właśnie - rzucił Morris. - Emaline, masz latarkę? Myślę, że to zapasowe koło jest na przedzie przyczepy.

- Mam w samochodzie - odpowiedziałam. - Zaczekaj.

Wróciłam, wsiadłam i sięgnęłam obok Theo do skrytki na rękawiczki.

- Wiem, myślisz, że znasz tu wszystkich - rzekł. - Ale ten facet może być seryjnym mordercą.

- Albo jednym z najbardziej znanych w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku twórcą kolaży.

Chwilę trwało, zanim zrozumiał. A wtedy spojrzał na ciężarówkę.

- To jest Clyde?

- Tak. - Zatrzasnęłam schowek. - Zaraz wrócę.

Tym razem Theo się nie wahał. Błyskawicznie wysiadł z samochodu i dogonił mnie, gdy szłam do przyczepy.

- Clyde! - zawołał. - Co się stało?

- Kto to? - zapytał Clyde Morrisa, wypatrując w ciemności.

- Pan Sushi.

Podaliśmy Morrisowi latarkę, a on obszedł przyczepę od przodu, biorąc po drodze skrzynkę z narzędziami.

Theo szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w obrazy.

- To pańskie?

- Tak - odrzekł Clyde, skupiając uwagę na Morrisie. - Właśnie opróżniłem boks w starym magazynie w Cape Frost. Hej, pomoc ci tam?

Rozległ się brzęk, a potem głos Morrisa:

- Nie. Radzę sobie. Znalazłem.

- To są... - zaczął Theo, podchodząc do przyczepy. Przesunął palcem po krawędziach płócien. - Jest ich tyle. Nie mogę dostrzec szczegółów, ale chyba nigdy nie widziałem tych...

- Mam to koło! - krzyknął Morris, pojawiając się ponownie.

Clyde stanął przed Theo, zasłaniając mu widok i nie pozwalając dokończyć zdania. Sięgnął po zapasowe koło, które podawał mu Morris.

- Nie jest w najlepszym stanie - powiedział Morris. - Te w wynajmowanych pojazdach takie są. Ale powinno wystarczyć.

- Świetnie - odrzekł Clyde. - Dzięki.

- Pomóc ci je założyć? - spytałam.

To była jedna z zasad taty, że my wszystkie musiałyśmy umieć sprawnie zmienić koło, zanim dał nam kluczyki do któregośkolwiek ze swoich pojazdów.

- Nie, poradzę sobie.

Morris i ja popatrzyliśmy na siebie.

- Z dwiema parami rąk pójdzie szybciej - powiedział Morris, biorąc podnośnik.

- Och, ja też mogę pomóc - zaofiarował się Theo.

Jednak gdy Morris przykucnął przy przebitej oponie, a Clyde obok niego, Theo się nie ruszył. Nadal patrzył na obrazy.

- To naprawdę zdumiewające - szepnął do mnie, gdy tamci dwaj umieszczali podnośnik pod przyczepą. - Nie sądzę, by Ivy ani zresztą ktokolwiek inny wiedzieli, że Clyde ma prace, których nikt nie widział i nie skatalogował. Wynikają z tego oszałamiające możliwości.

- Albo - odparłam - te obrazy mogą być nic niewarte i właśnie dlatego nigdy ich nikomu nie pokazał.

- To Clyde Conaway, Emaline. Według obiegowej wiedzy, liczba jego dzieł jest bardzo ograniczona.

- Czyli...?

- Czyli nawet jeśli te obrazy są beznadziejne - odrzekł - i tak mają znaczenie.

Znowu dobiegł brzęk, a potem burknięcie Morrisa:

- Cholera.

Clyde wyregulował latarkę.

- Teraz lepiej?

- Tak. Dzięki. Ta mutra jest kurewsko oporna.

Kurewsko. Oczywiście rodzaj żeński. Westchnęłam.

- Ivy wpadnie w zachwyt - oświadczył Theo. - Zwłaszcza gdyby to oznaczało, że Clyde mógłby wziąć pod uwagę możliwość odbycia tournée.

- Tournée? Jakiego?

Rzucił szybkie spojrzenie na Clyde'a, odwróconego do nas plecami, a potem pochylił się i powolutku odsunął płachtę malarską z boku jednego z obrazów, by móc mu się przyjrzeć.

- Przypuszczaliśmy, że to bardzo mało prawdopodobny plan. Ale Ivy nalegała, żeby Clyde rozważył udział w cyklu wystaw urządzonych równocześnie z premierą filmu.

- Naprawdę? - spytałam.

- Oczywiście byłyby nieliczne. Ekskluzywne. Kilka wernisaży w największych miastach, w których wzbudziłyby ogromne zainteresowanie. Chodziło tylko o przekonanie Clyde'a. I wygląda na to, że teraz może nam się uda. - Wyjął komórkę. - Muszę zadzwonić do Ivy.

Obejrzałam się na Clyde'a, który pomagał Morrisowi założyć zapasowe koło.

- Theo... sądzę, że nie powinieneś tego robić, dopóki nie...

- Cześć, Ivy - rzekł albo mnie nie słysząc, albo postanawiając nie słyszeć. Ten zapach czy tupet znowu przesłonił mu wszystko inne. - To ja. Posłuchaj, nie uwierzysz w to...

Odszedł w mrok, nadal mówiąc. Zerknęłam za siebie na Clyde'a i Morrisa, a potem na obrazy leżące rzędem przede mną. Kto w ogóle wie, co jest na tych płótnach albo czy ktokolwiek z nas powinien je zobaczyć. Są jakieś powody, dla których ludzie robią pewne rzeczy samotnie, pod osłoną ciemności. Zatrzasnęłam drzwi przyczepy.

- To powinno wystarczyć - usłyszałam chwilę później Morrisa. Wstał, wycierając ręce szmatą. - Tylko nie prowadź zbyt ostro.

- Nie będę - zapewnił go Clyde. - Zresztą nie jadę daleko. Czy mogę ci dać trochę pieniędzy za ten kłopot?

- Nie, nie trzeba - odparł Morris, ruszając w moim kierunku. - Gdzie Pan Sushi?

- Rozmawia przez telefon - powiedziałam.

Mruknął coś, jakby właśnie tego się spodziewał, i wrócił do samochodu. Gdy spoglądałam za nim, Clyde podszedł do mnie i zamknął tylne drzwi przyczepy.

- To porządny chłopak - zauważył.

- Ma swoje dobre momenty.

Zobaczyłam Theo wracającego w krąg światła reflektorów samochodu. Nadal rozmawiał przez komórkę; na jego twarzy malowało się ożywienie. Przypomniałam sobie tamten wieczór w sklepie Gerta ze skrzynkami na mleko, kiedy jeszcze nic z tego nie rozumiałam. Właściwie nie byłam pewna, czy teraz rozumiem. Ale

wiedziałam dość, żeby powiedzieć do Clyde'a:

- Powinieneś wiedzieć... on rozmawia z Ivy. O tych obrazach. Próbowałam go powstrzymać.

- W porządku - odparł. - Przewidziałem, że tak będzie, gdy tylko zobaczyłem, jak wysiada z samochodu.

- On uważa, że mógłbyś udać się w trasę objazdową.

Spodziewałam się, że Clyde się roześmieje albo sprzeciwi, lecz on rzucił tylko:

- Tak?

- To zwariowany pomysł, prawda? To znaczy, ty nie chciałbyś... - urwałam i przyjrzałam się jego twarzy, usiłując odczytać jej wyraz. - Nie mógłbyś przecież zrobić czegoś takiego, co?

Nie odpowiedział, a po chwili był już przy nas Theo; chował komórkę do kieszeni. Wyglądał na wniebowziętego.

- Jak idzie? - zapytał. - Potrzebujecie jeszcze pomocy?

- Wszystko już naprawione - odpowiedział Clyde. - Ale w każdym razie dzięki.

- Nie ma sprawy. Chcesz, żebyśmy pojechali za tobą i pomogli ci rozładować przyczepe?

Clyde przez chwilę spoglądał na mnie, a potem przecząco pokręcił głową.

- Nie. Poradzę sobie. Spotkamy się jutro.

- W Washroom, o dziewiątej rano - rzekł Theo, celując w niego palcem. - A więc do zobaczenia!

Clyde odszedł do swojej ciężarówki. Theo, wciąż jawnie zachwycony, pobiegł do samochodu w podskokach niczym Benji. Kiedy ruszyłam za nim, usłyszałam głos Clyde'a:

- Emaline.

Odwróciłam się.

- Tak?

- Bądź ostrożna, dobrze? - powiedział. - Jest późno.

Skinęłam głową. Chociaż było dopiero po dziesiątej, wiedziałam, co miał na myśli. Ta uwaga z pozoru nie różniła się zbytnio od obaw Theo, kiedy zobaczyliśmy ciężarówkę Clyde'a. A jednak chodziło o coś zupełnie innego.

Zawróciłam do samochodu, przy którym stali Theo, Daisy i Morris. Z pewnej odległości byli tylko niewyraźnymi sylwetkami, nieodróżnialnymi od siebie nawzajem. Nie możesz być nikogo pewnym, dopóki nie zbliżysz się na tyle, by zobaczyć go wyraźnie. Teraz starałam się, jak mogłam, wpatrywałam się, mrużąc oczy przed światłami reflektorów jakiegoś innego nadjeżdżającego pojazdu, który

też podążał tą długą, ciemną drogą.

Kolejny dzień tkwiłam w budce w piaskownicy. Ale tym razem przynajmniej miałam towarzystwo.

- Proszę mi podać nazwisko - zwróciłam się do kobiety, która podjechała obok mnie długim samochodem.

Miała na sobie kostium i lekki płaszcz kąpielowy, a jej ramiona z różową opalenizną pierwszego dnia wakacji świadczyły, że przyjechali wcześniej, żeby pójść na plażę jeszcze przed zameldowaniem się w naszej agencji.

- Hopper - powiedziała.

Siedzący obok niej mąż żuł niezapalone cygaro.

- Hopper - powtórzyłam i sięgnęłam za siebie. Już po chwili miałam w ręku kopertę i pakiet powitalny. - Proszę bardzo. Czy mogę zaproponować państwu zimny napój na drogę?

- Macie piwo? - zapytał mąż, wciąż z cygarem w zębach.

- Niestety nie - odrzekłam pogodnym tonem. - Tylko wodę, colę i sok.

- Wezmę wodę - oświadczyła kobieta.

Przy moim łokciu pojawiła się butelka. Podałam ją jej.

- A co dla pana?

- Może być cola.

Bum - i już trzymałam w ręku butelkę coli. Podałam ją i powiedziałam z uśmiechem:

- W razie jakichś pytań czy problemów nasz numer telefonu jest wypisany tłustym drukiem na froncie koperty. Życzę miłych wakacji!

- Dziękuję - odrzekła kobieta, zamykając okno, i odjechali; kolejni zadowoleni klienci.

Spojrzałam na Benjiego siedzącego obok mnie na niskim stołeczku.

- Wydaje mi się, że z każdym kolejnym samochodem poprawiasz swój czas.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, a potem wskazał stojące przed nim pojemnik chłodzący i skrzynkę na mleko pełną kopert, jedno i drugie w zasięgu ręki.

- To po prostu kwestia opracowania bardziej skutecznego systemu.

- Czy w ogóle jakiegokolwiek systemu - zauważyłam. - Ja właściwie nie miałam żadnego.

- Jesteśmy zgranym zespołem - powiedział.

- Owszem - zgodziłam się, gdy podjechał następny pojazd, czarny cadillac SUV.

Ostatecznie tylko dwa dni zajęło mi, zgodnie z obietnicą daną ojcu, znalezienie opiekunki dla Benjiego. Jedna z przyjaciółek Rebecki, przygotowująca się do egzaminu na studia prawnicze, szukała jakiejś pracy w nienormowanym czasie. Prawdę mówiąc, lubiłam towarzystwo Benjiego, więc dwa razy w tygodniu zabierałam go ze sobą do biura i przydzielałam mu dorywcze zajęcia. Oczywiście, miał zaledwie dziesięć lat i nie można go było obarczać żadnymi ciężkimi zadaniami ani dosłownie, ani w przenośni. Ale gdy potrzeba było dodatkowej pary rąk i szybkiej reakcji, nie miał sobie równych.

- Pańskie nazwisko? - spytałam mężczyznę w SUV-ie.

- Perkins. Czy tu zawsze jest tak gorąco?

- Nie zawsze - odrzekłam, gdy Benji podawał mi kopertę i torbę. - Ale czerwiec rzeczywiście bywa upalny. Czy mogę panu zaproponować jakiś zimny napój na drogę do wynajętej posiadłości?

Ten krępy i nieco otyły mężczyzna miał w samochodzie klimatyzację tak podkreconą, że nawet z mojego miejsca czułam zimny powiew. Otarł dłonią twarz z potu.

- Wody - powiedział tonem kogoś, kto dowlókł się tutaj przez całą pustynię.

Benji podał mi butelkę wody, a ja wręczyłam ją gościowi. Otworzył ją szybko i pociągnął długi łyk.

- Rany, ale zimna! Właśnie tego było mi trzeba. Dzięki.

Skinęłam głową i popatrzyłam w dół na Benjiego, a on uniosł w górę kciuk. To był jego pomysł, żeby w upalne dni niemal zamrażać wodę, zanim wyjdziemy do budki.

- Życzę udanego urlopu - powiedziałam.

SUV odjechał, a ja otarłam czoło. Naprawdę było gorąco, nawet jak na połowę lipca. Nawiasem mówiąc, nie mogłam uwierzyć, że jest już połowa lipca. Lato zawsze wydawało się zbyt krótkie, jednak w tym roku mijało wyjątkowo szybko. Zwłaszcza jeśli policzyć dni.

Czas, jaki upłynął od mojego zerwania z Lukiem: dwadzieścia dziewięć dni. Czas, odkąd jestem z Theo: też dwadzieścia dziewięć dni. (Nie byłam z tego dumna, ale liczby nie kłamią. Nie mogłam wliczać tutaj okresu linii demarkacyjnej, chociaż był miły). Dni pozostałe do Plażowego Ubawu: dwadzieścia osiem. Dni pozostałe do mojego wyjazdu na uczelnię - no cóż, tych w zasadzie nie liczyłam. Chociaż prawdopodobnie powinnam.

Ileokroć jednak zmuszałam się, żeby o nich pomyśleć, serce zaczynało mi walić



w sposób, jaki znałam ze szczytowego okresu napięcia związanego ze składaniem podań o przyjęcie na studia. Lecz teraz nie chodziło, jak wówczas, o niepokój, jaka może być moja przyszłość, tylko o to, jaka ona jest. Pewnego dnia w połowie sierpnia (naprawdę powinnam zapisać tę datę) załaduję do samochodu wszystkie swoje rzeczy i wyruszę na Uniwersytet East, pozostawiając za sobą to lato i wszystkie inne sprawy dotychczasowego życia. Nie potrafiłam nawet spróbować sobie tego wyobrazić. Więc oczywiście nie próbowałam.

Co jednak nie znaczyło, że kompletnie się łudziłam. Choć nigdy nie miałam wakacyjnego romansu, wiedziałam, jak przeważnie się kończą. Większość znanych mi dziewczyn, z wyjątkiem Daisy, co najmniej raz zakochała się w chłopaku wczasowiczu, a kilka z nich wierzyło, że to naprawdę dozogonna miłość. Bardzo szybko - zwykle najpóźniej w październiku - przekonywały się, że jest całkiem inaczej. Wtedy mogły tylko wysiadywać w kawiarni Jump Java na bulwarze, w której wszystkie osoby porzucone przez przyjezdnych zbierały się jesienią niczym jakaś duża żałosna grupa wsparcia. Nawet gdybym miała pozostać w Colby, nie zamierzałam do nich dołączyć.

Theo wróci do Nowego Jorku. Ja wyjadę na Uniwersytet East. Koniec, kropka. Gdybym chciała - a nie chciałam - mogłabym sobie dokładnie przedstawić, co by było, gdybyśmy spróbowali kontynuować tę relację. Z początku liczne rozmowy przez telefon albo internet. Plany podróży, by odwiedzać się nawzajem; któraś mogłaby rzeczywiście dojść do skutku, chociaż prawdopodobnie tuż przed samym końcem związku. Ten koniec poprzedziłoby znaczące zerwanie kontaktów przez jedną ze stron - zazwyczaj wczasowicza, choć nie zawsze - po którym doszłoby do żenującej kłótni i mogłabym tylko mieć nadzieję, że nie odbyłaby się ona przez wideo czat. Nikt nie wygląda korzystnie, szlochając na ekranie komputera. Tylko zapytajcie te dziewczyny siedzące przy stoliku w Jump Java z pudełkiem chusteczek pod ręką.

Nie pisałam się na to. I dlatego idealnie mi odpowiadało to, jak obecnie miały się sprawy między mną a Theo. Lato się skończy, każde z nas podąży swoją drogą i na tym koniec. Jeżeli ogarnie mnie smutek, będę mogła, ilekroć zechcę, przywoływać w pamięci wszystkie nasze starannie wypracowane Najlepsze w Życiu Wspomnienia. Ale zanim to nastąpi, zamierzałam możliwie jak najmniej o tym myśleć.

Nie mogłam jednak ignorować faktu, że to tylko kwestia czasu, kiedy nasze spotkania przejdą od Nadrabiania Najwspanialszych Rzeczy w Życiu do tego Ostatniego Spotkania. Co tylko jeszcze bardziej uświadamiało mi potrzebę

zajmowania się również innymi sprawami, takimi jak spędzanie dostatecznej ilości czasu z mamą, żeby nie wzdychała tak głośno i teatralnie, ilekroć wychodziłam z domu; widywanie się z Daisy i Morrisem, zarówno z obojgiem razem, jak i z każdym z nich oddzielnie; praca w biurze dodatkowo w nadgodzinach, żeby zarobić na opłacenie uczelni; i przebywanie z Benjim. W tym momencie mogłam przynajmniej robić te dwie ostatnie rzeczy naraz.

- Emaline - powiedział Benji, wrywając mnie z rozmyślań. Spojrzałam na niego, a on wskazał ruchem głowy poza mnie. - Samochód.

- Racja. - Powróciłam do rzeczywistości i swoich obowiązków, gdy podjechał do nas czarny kabriolet. - Mogę prosić o nazwisko?

- Już zapomniałaś? O rany. To naprawdę nefajne, Emaline.

To był Luke. Fakt, że w ogóle znalazł się przy moim stanowisku odprawy, w samochodzie, którego nie rozpoznałam, stanowił tylko jedną z przyczyn zakłopotania, jakie mnie ogarnęło. Jeśli dodać do tego, że był w koszuli i krawacie, a za kierownicą siedziała bardzo ładna rudowłosa dziewczyna, trudno się dziwić, że poczułam się wytrącona z równowagi.

- Przepraszam - wyjąkałam. - Po prostu nie spodziewałam się...

- Luke! - wykrzyknął radośnie Benji, pojawiając się nad barierką obok mnie.

Luke drgnął gwałtownie, zaskoczony, a ja mimo woli się roześmiałam. Łatwość, z jaką można go przestraszyć, była wręcz legendarna. Wyskakiwanie na niego zniecka tylko po to, żeby usłyszeć, jak piszczy niczym mała dziewczynka - nazywaliśmy to „Mam cię!”, nazwą gry, której nauczył się od swoich kuzynów, Wesa i Berta - stanowiło jedną z moich ulubionych rozrywek.

- O rany - wymamrotał, czerwieniąc się, a potem też się roześmiał. - Przestraszyłeś mnie, stary!

- Przepraszam - powiedział Benji, który podskakiwał jak pies na dwóch łapach, żeby móc widzieć Luke'a nad barierką budki. - Wiesz, pracuję teraz z Emaline!

- Naprawdę? - rzekł Luke. Siedząca obok niego dziewczyna, ubrana w krótką kwiecistą sukienkę i kowbojki, wyglądała rzeczywiście jakby znajomo; uśmiechnęła się. - Mam nadzieję, że płaci ci dużą kasę.

- Tak jakby. - Benji popatrzył na mnie. - Zapytałaś ich już o nazwisko?

- Best - powiedziała dziewczyna. - A posiadłość nazywa się chyba Emerald Belle czy jakoś tak.

Benji błyskawicznie podał mi kopertę.

- Chcecie też coś zimnego do picia? - spytał. - Mamy wodę, sok i lemoniadę. Ale piwa nie.

Luke spojrział na mnie, unosząc brwi.

- Wiem - powiedziałam. - On jest naprawdę świetny. Mając go tutaj, nawet nie zauważą, kiedy wyjadę w przyszłym miesiącu.

- Och, wątpię - odparł Luke.

Ta uwaga była na tyle miła, że oderwała mnie od zastanawiania się, na ile poważny stał się już jego związek z tą dziewczyną, skoro założył dla niej krawat. Ale oderwała tylko na dwie sekundy.

- A więc, co u ciebie, Emaline? - zapytał.

- Radzę sobie - odparłam. - A ty?

- Nie mogę narzekać - powiedział, wzruszając ramionami. - Chociaż właściwie mogę. Jestem w krawacie.

- Zauważyłam - rzekłam, unosząc brwi. - Z jakiej okazji?

Nie byłam wścibska, po prostu podtrzymywałam rozmowę. No dobrze, może trochę byłam. Ale on pierwszy poruszył ten temat. Boże, to było dziwaczne.

- Panińskiego weekendu Brooke przed ślubem - wyjaśnił. - Kierujemy zespołem transportowym, przygotujemy wynajęty dom i będziemy przywozić gości z lotniska.

- Ty w krawacie - dodałam.

- To pomysł mojej matki.

- Zaskoczyło mnie to.

- Czyżby?

Znowu się roześmiałam. To było takie dziwne, że miesiąc po rozstaniu - i w dodatku żenującym rozstaniu - Luke i ja potrafiliśmy zachowywać się tak jak dawniej. Może to po prostu skutek dorastania razem. Kiedy wystarczająco długo żyło się we wspólnym rytmie, nietrudno ponownie go odnaleźć.

Skinęłam na Benjiego, żeby podał mi butelkę wody, a potem wręczyłam ją dziewczynie.

- Z pewnością spędzisz wspaniały weekend - powiedziałam do niej. - Chociaż trochę upalny.

- Emaline, poznaj Jacqueline - przedstawił nas Luke. - Jacqueline, to jest Emaline. Uśmiechnęłyśmy się i pozdrowiły skinieniem głowy. Odwróciłam się do Benjiego.

- Masz tam napój Mountain Dew?

- Aha!

Podał mi butelkę, a ja przekazałam ją Luke'owi.

- Twoje ulubione śniadanie.

- A także lunch i obiad - przyznał, umieszczając butelkę w uchwycie na napoje w samochodzie. - Lepiej już jedźmy. Uduszę się, jeśli szybko nie pozbędę się tego

krawata.

- Tylko nie zdejmuj koszuli - powiedziałam.

Wykrzywił się do mnie, Jacqueline pomachała mi i odjechali. W ten sposób zakończyło się nasze pierwsze spotkanie od momentu zerwania. Wyglądało na to, że Luke świetnie sobie radzi. Co mnie cieszyło. Ponieważ ja też świetnie sobie radziłam. Prawda?

Pojawiły się kolejno dwa samochody. Pasażerowie pierwszego mieli milion pytań dotyczących możliwości znalezienia na wyspie lokali z daniami wegetariańskimi. Drudzy, w minivanie, opróżnili resztę naszego zapasu napojów. Nie miałam nawet czasu otrzeć czoła i kiedy nadarzyła się wreszcie następna przerwa, byłam cała spocona.

- To okrutne - rzekłam do Benjiego. - Czuję się, jakby nas za coś karano.

- Chcesz zimny ręcznik? - zapytał.

- Co?

Otworzył pojemnik chłodzący, poszperał w nim i wyjął z lodu ściereczkę.

- Spróbuj użyć tego.

Usłuchałam, przytykając ją do twarzy, i niemal jęknęłam z rozkoszy.

- Rany. To cudowne. Dziękuję ci.

- Bardzo proszę. - Zamknął pojemnik i usiadł na nim, wspierając głowę na rękach. - Tęsknisz za Lukiem?

Przebywając z Benjim, niemal zapomniałam, że w wieku dziesięciu lat nie całkiem jeszcze opanował sztukę płynnego montażu rozmowy. Odsunęłam ręcznik od twarzy.

- Owszem, tęsknię. Nie tak mocno jak przy naszym pierwszym zerwaniu, ale... byliśmy ze sobą kawał czasu.

- On pocałował inną dziewczynę - rzekł Benji.

Spojrzałam na niego.

- Kto ci to powiedział?

- Morris - odrzekł Benji. A więc najwyraźniej nie posiadał też szczególnej umiejętności niedopowiedzeń i uników. Jeśli coś wiedział, mówił to. - Czy byłaś zła na Luke'a?

Na to pytanie łatwo było odpowiedzieć.

- Tak. Bardzo. A także smutna.

Chłopiec popatrzył w kierunku, w którym odjechał samochód Luke'a.

- Ale teraz jesteś szczęśliwa z Theo, prawda?

- Tak.

Uświadomiłam sobie, że wszystkie te odpowiedzi sprawiają, że cała ta sytuacja wydaje się całkiem zwyczajna i banalna, podczas gdy w rzeczywistości jest wręcz przeciwnie. Owszem, pocałowałam Theo tego samego dnia, gdy zerwałam z Lukiem, i owszem, jestem szczęśliwa. Lecz mimo to zdarzają się chwile czy nawet całe dni, kiedy naprawdę czuję smutek z powodu utraty Luke'a. Kto by pomyślał, że można równocześnie żałować dawnego związku i cieszyć się nowym? Kolejna rzecz, o której dowiadujesz się dopiero wtedy, gdy ci się przydarzy.

Siedzieliśmy jeszcze przez chwilę w milczeniu. Był tak parny upał, że powietrze drgało i samochody na drugim końcu parkingu zdawały się wibrować.

- Emaline - odezwał się Benji.

- Tak? - spytałam, znów ocierając twarz ręcznikiem.

- Nie chcę jechać do domu.

Zerknęłam na zegarek, a potem na szosę przed biurem.

- No cóż, to dobrze, bo musimy spędzić tu jeszcze co najmniej godzinę. O ile wcześniej nie skonamy od udaru cieplnego.

- Nie, mówię o domu w Connecticut - wyjaśnił, wpatrując się w dłonie. - Nie chcę tam wracać.

Popatrzyłam na niego, czując w piersi ukłucie bólu.

- Posłuchaj, założę się, że to nie całkiem prawda.

- Prawda - odparł ponuro.

- Z pewnością tęsknisz za mamą. I przyjaciółmi. Tak?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam wielu przyjaciół. A mama jest teraz naprawdę smutna, a przez to ja też jestem smutny. Więc nie.

Zawahałam się, niepewna, co na to powiedzieć. Choć Morris oznajmił mi, że Benji wie o separacji rodziców, nie chciałam poruszać tego tematu. Zrobiłam wdech.

- Wiem, co czujesz. Ja też właściwie nie chcę, żeby to lato się skończyło.

Podniósł na mnie wzrok.

- Nie chcesz?

Pokręciłam głową.

- Ponieważ kiedy się skończy, będę musiała wyjechać do college'u, a to budzi we mnie lęk. I nie będę już widywała się z Theo. Przynajmniej przez jakiś czas.

- On mieszka w Nowym Jorku.

- Tak. - Wzięłam butelkę wody, którą wcześniej dla siebie odłożyłam, i wypiałam łyk. Woda była już ciepła. - Właśnie.

- Mogłabyś przyjeżdżać go odwiedzać - rzekł Benji. Zastanowił się chwilę. - Posłuchaj, mogłabyś zamieszkać u nas! Do miasta jest tylko kawałek pociągiem. Stale nim jeździmy.

- Tak?

Kiwnął głową.

- To byłoby wspaniale. Bardzo bym chciała.

Wydawało się, że to poprawiło mu humor, przynajmniej chwilowo. Przez moment się nie odzywaliśmy. Przyglądałam się, jak skubie łuszczące się płatki farby na pojemniku chłodzącym i rzuca je przed siebie.

- Moi rodzice się rozwodzą - powiedział wreszcie takim samym rzeczowym tonem, jakim wcześniej wyjawiał niedyskrecję na temat Luke'a.

Zamrugałam i wypłam kolejny łyk wody.

- Tak?

Zerknął na mnie.

- Nie wiedziałaś?

- Wiedziałam, że... no... - Popatrzyłam na biuro, zastanawiając się, kiedy ojciec i Margo wrócą ze swojej kolejnej wyprawy do North Reddemane. Tym razem pojechali spotkać się z ekipą malarską, zanim dom zostanie wystawiony na sprzedaż. - Wiedziałam, że mają problemy...

Kiwnął głową.

- Bardzo często się kłócą. I wrzeszczą na siebie.

- Naprawdę?

- Tak. Ona mówi, że on ma nierealistyczne oczekiwania. A on, że ona szuka dziury w całym, zamiast skupić się na całościowym obrazie.

Niewątpliwie były to dokładne cytaty.

- To niefajnie.

- Czy twoi mama i tata też się kłócą?

Pomyślałam o rodzicach, o ich zgodnych usposobieniach. W mojej rodzinie kłótnie zdarzały się sporadycznie, jeśli w ogóle. Mama była tak uparta, że tata nauczył się starannie wybierać przedmioty sporów, rzadkich i nielicznych.

- Czasami. Ale niezbyt często.

- Masz szczęście - orzekł Benji, znowu skubiąc farbę. - Moi stale. Przynajmniej zanim tu przyjechalibyśmy. Teraz kłócą się tylko przez telefon, kiedy myślą, że śpię.

- Czy tak jest lepiej? - zapytałam.

- To nadal krzyki - odparł. - Tylko że krzyczy jeden głos, a nie dwa.

Skinęłam głową, powstrzymując chęć, by wyciągnąć rękę i odgarnąć mu z twarzy

włosy, po prostu by móc w tej chwili zrobić cokolwiek. Zamiast tego powiedziałam:

- Wiesz co? Myślę, że ty i ja powinniśmy zawrzeć umowę.

To natychmiast przykuło jego uwagę i wzbudziło zaciekawienie.

- Umowę?

Zastanowiłam się przez moment.

- Tak. Umówmy się, że od tej chwili - spojrzałam na zegarek - od czwartej zero pięć czternastego lipca, przez cały miesiąc nie będziemy rozmawiać o końcu lata, przynajmniej ze sobą. Chyba że absolutnie nie da się tego uniknąć.

- A jeśli jednak zdarzy się nam o tym porozmawiać? - spytał.

- Wtedy będziemy musieli wpłacić dolara do... - Rozejrzałam się i spostrzegłam moją niemal pustą butelkę. Zdjęłam nakrętkę, wylałam resztę wody i wytarłam wylot szyjki o szorty. - Do tej butelki. Potem czternastego sierpnia wyjmemy wszystkie pieniądze, które w niej zbierzemy, i wydamy na coś fantastycznego.

- Takiego jak burgery z krewetkami?

Pogroziłam mu palcem.

- Powiem ci dopiero za miesiąc. To mój sekret. A więc umowa stoi?

- Stoi.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Potem aby przypieczętować ten układ, wyjęłam z kieszeni zmięty banknot i wcisnęłam do butelki.

- Miejmy nadzieję, że to będzie w niej jedyny dolar. Tak? Ponieważ nie rozmawiamy o sprawie, o której nie rozmawiamy.

- Nie, nie rozmawiamy - potwierdził.

Podjechał do nas kolejny samochód; w środku ryczało radio. Odgarnęłam włosy z twarzy i odwróciłam się do klientów, a Benji zajął pozycję przy pojemniku chłodzącym. Będzie dobrze, powiedziałam sobie. Obojgu nam zostało jeszcze mnóstwo czasu.

- Dzień dobry - rzekłam, gdy kierowca opuścił szybę. - Serdecznie witamy w Colby. Mogę prosić o nazwisko?

\* \* \*

- Wiedziałam!

Usłyszawszy mnie, Daisy odwróciła się zaskoczona. Kiedy zobaczyła, że to ja stoję w progu jej sypialni, przygarbiła się.

- No tak - przyznała, wskazując manekin krawiecki. - Skłamałam. Ale z dobrych pobudek.

Oczywiście sukienka była piękna. Zniknęły marszczenia i falbany. Z pierwotnego wyglądu pozostał tylko jasnoniebieski kolor materiału. Skróciła sukienkę do długości koktajlowej, z lekko rozkloszowaną spódnicą. Dekolt ozdobiła koralikami o barwie i kształcie miętowych cukierków. Różowa wersja, skrojona, ale jeszcze niezszyta, leżała rozłożona na łóżku.

- Jest oszałamiająco piękna - powiedziałam, podchodząc do niej.

- Ładna, prawda? - Daisy wygładziła dolny rąbek, a potem cofnęła się, mrużąc oczy. - Nadal się zastanawiam, jak daleko posunąć się z motywem cukierkowym. Nie chcę, żeby sukienka była totalnie odjechana, ale myślę, że trzeba czymś ożywić przybranie. Może trochę srebra, żeby wyglądała jak cukierki Kisses.

- Szyjesz dwie - zauważyłam, gdy usunęła szpilkę i zastąpiła ją inną. - Czy to znaczy, że nadal mam włożyć jedną z nich?

Daisy popatrzyła na mnie.

- Emaline, masz prawo do własnych planów i sukienki. Przysięgam, to nie jest dla mnie żaden wielki problem.

- Na tyle duży, że skłamałaś - przypomniałam jej. - A przecież ty nigdy nie kłamiesz.

To była prawda. Daisy odznaczała się nieskazitelną uczciwością, co bywało zarówno wspaniałe, jak i okropne. Z jednej strony, mówiła ci zawsze szczerze, kiedy twój strój był brzydki albo podejmowałaś jakąś złą decyzję. Z drugiej strony, mówiła ci zawsze szczerze, kiedy twój strój był brzydki... albo podejmowałaś jakąś złą decyzję. Twoja reakcja na to mogła się zmieniać, zależnie od okoliczności. Ale szczerść Daisy pozostawała zawsze niezmienna.

- Tamtego wieczoru byłaś taka szczęśliwa, kiedy Theo zaprosił cię na Plażowy Ubaw - powiedziała teraz. - A to tylko sukienka.

- Zachwycająca sukienka - dodałam, a Daisy uśmiechnęła się zadowolona. - Ogromnie chciałabym móc ją włożyć. O ile mi pozwolisz.

- Oczywiście! - odrzekła. - A kto inny miałby ją nosić? Morris?

Ponownie popatrzyłam na sukienkę.

- W niebieskim nie jest mu do twarzy. Poza tym jego owłosione ramiona wyglądałyby źle w krótkich rękawach.

- Zgadzam się. Ale w tym roku namówię go, żeby włożył długie spodnie, nawet gdybym miała paść trupem - oświadczyła Daisy.

Pochyliła się nad skrzynką z przyborami do szycia i coś z niej wyjęła, a ja usiadłam na moim zwykłym miejscu w fotelu przy oknie, poza jej obszarem pracy, jednak na tyle blisko, by móc rozmawiać. W przeszłości często przyglądałam się,



jak realizowała liczne projekty krawieckie, i miałyśmy już swoje rytuały.

- Chcesz, żeby Morris włożył długie spodnie - powiedziałam. - A ja mam nadzieję, że uda mi się odwieść Theo od pomysłu włożenia smokingu. Chciałabyś się zamienić?

- Nie - odparła. I natychmiast popatrzyła na mnie z niepokojem. - Słuchaj, nie zamierzałam, żeby to tak zabrzmiało. Ja po prostu...

- Rozumiem - rzekłam, kiwając głową. - Theo... no cóż... nie wszyscy go akceptują.

Daisy rozsądnie nie skomentowała tego, tylko pochyliła się i przyczepiła coś szpilką do rąbka sukienki. Z miejsca, gdzie siedziałam, widziałam jedynie, że było błyszczące, odbijające nieco światła, które wpadało przez okno sypialni. W końcu powiedziała:

- Theo jest... no, naprawdę miły. Tylko...

Czekałam, ale nie dokończyła.

- Tylko nie pochodzi stąd - dopowiedziałam za nią.

Zerknęła na mnie przez ramię.

- To po prostu wielka odmiana po Luke'u. Chyba potrzebuję trochę więcej czasu, żeby do tego przywyknąć.

- Nie zwlekaj zbyt długo - poradziłam jej. - Będziemy razem jeszcze tylko najwyżej kilka tygodni.

- Emaline! - rzekła ze zszokowaną miną. - Nie mów tak!

- Dlaczego? To prawda.

- Nie możesz tego wiedzieć.

Odwróciła się z powrotem do sukienki i wbiła w nią szpilkę.

- Myślę, że wiem - odparłam. - Naprawdę nie widzę nas w długotrwałym związku.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ one się nie udają.

- Niektóre tak.

- Czyje? Mojej mamy i ojca? Czy niemal wszystkich innych par, jakie znamy?

- Jednak nie każdy związek kończy się źle - powiedziała, wciąż odwrócona do mnie plecami.

- Szanse powodzenia są niewielkie.

Milczała. W niezręcznej ciszy, która teraz zapadła, uświadomiłam sobie wreszcie, jaką gafę palnęłam. Ups!

- Daisy - rzekłam. - Mówiłam o mnie i Theo, nie o...

- W porządku - powiedziała, jednak jej sztywny ton nie pozostawiał cienia wątpliwości, że ją zdenerwowałam.

Wstałam, podeszłam do niej i stanęłam obok manekina, czując się równie durna, jak on.

- Nie, nie w porządku. Przepraszam. Posłuchaj, spotykam się z Theo od jakichś czterech tygodni. Ty i Morris jesteście ze sobą od dawna.

Przygryzła usta, koncentrując się na odwinięciu fragmentu dekoltu.

- Nie, masz rację. Żaden związek nie trwa nigdy długo. A kiedy trzeba wyjechać na studia... to fatalny pomysł.

- Każdy jest inny - próbowałam ją pocieszyć, lecz nie zabrzmiało to przekonująco.

- Rozpocznę studia na uczelni odległej o siedem godzin jazdy - podkreśliła. - On zostanie tutaj i będzie chodził do Szkoły Technicznej Coastal. A i to tylko wtedy, jeżeli się ogarnie. Co jest bardzo wątpliwe. Kocham Morrisa, ale nie będę w stanie mu w tym pomóc. Zwłaszcza przebywając w Georgii.

Po raz pierwszy usłyszałam ją mówiącą o miłości. Przez głowę przemknął mi obraz Morrisa człapiącego poboczem szosy. Kto się o niego zatroszczy, kiedy my obie stąd wyjedziemy?

- W każdym razie mam na myśli to, że powinnam wziąć z ciebie przykład. Cieszyć się związkiem, póki trwa, a później o nim zapomnieć.

- To trochę łatwiejsze, kiedy było się z kimś tylko dwadzieścia dziewięć dni - zauważyłam. - Poza tym, ja jestem z facetem, który nie pochodzi stąd. I który chce włożyć smoking na Plażowy Ubaw.

Ta uwaga sprawiła, że Daisy się uśmiechnęła. Dzięki Bogu.

- To dość absurdalne.

- Wiem.

Stanęła po drugiej stronie manekina w niebieskiej sukience i znowu pochyliła się nad rąbkiem. Popatrzyłam na różową wersję rozłożoną na łóżku, a potem rozejrzałam się po pokoju. W przeszłości spędziłam w tym miejscu wiele godzin, przyglądając się szyjącej Daisy, przy akompaniamencie dobiegającego z salonu dźwięku z telewizyjnego kanału pogodowego (ten kanał był zawsze włączony; jej rodzice mieli fioła na jego punkcie). Wszystko to traktowałam jako oczywiste aż do tej chwili, kiedy nagle cały mój świat i wszelkie jego elementy stały się czymś cennym i ulotnym. Pomyślałam, że powinnam była poświęcać temu więcej uwagi, bardziej to chłonać. Zawsze uświadamiamy sobie takie rzeczy, kiedy jest już niemal za późno.

- A więc - odezwała się Daisy tonem świadczącym, że jest gotowa zmienić temat -

właściwie dlaczego tu przyszłaś? Nie masz żadnych wielkich planów na dzisiejszy wieczór czy co?

Miałam. Równie wielkie jak ostatnio - czyli wysiadanie w barze Washroom bądź jakimś innym miejscu, w którym nagrywano wywiad z Clyde'em, i czekanie, aż Theo skończy pracę. Po tym jak ojciec zabrał Benjiego z biura agencji, byłam już w drodze, kiedy mijając dom Daisy, postanowiłam pod wpływem impulsu zajrzeć do niej. Teraz cieszyłam się, że to zrobiłam.

- Właściwie nie - odpowiedziałam, siadając znowu w fotelu przy oknie. - A ty?

- Moim planem jest robienie tego, co teraz widzisz. - Odwróciła się do mnie. - Możesz mi podać nożyczki? Te małe, nie te duże.

Pochyliłam się nad jej skrzynką z przyborami do szycia, odszukałam nożyczki, o które poprosiła, i podałam jej. Podziękowała i zabrała się do pracy, która tak ją pochłonięła, że wkrótce całkiem zapomniała o mojej obecności. Ale nieważne. Wiedziałam, że jesteśmy razem, przynajmniej chwilowo. A w tym momencie właśnie dokładnie tego chciałam, dopóki to jeszcze było możliwe.

## 16

- A więc plan jest taki - powiedział mój ojciec, wskazując ręką na salon - żeby zostawić tutaj tylko podstawowe, niezbędne umeblowanie aż do połowy sierpnia, kiedy wrócimy do domu. Oczywiście, jeśli dopisze nam szczęście, możemy wcześniej dostać ofertę kupna i...

- Dolar! - wykrzyknął Benji, przerywając mu. - Jesteś mi winien dolara!

Ojciec spojrzał na niego.

- Benji, ja rozmawiam.

- Wspomniałeś o końcu lata, więc musisz zapłacić karę. Taka jest zasada!

Prawda, Emaline?

Teraz wszyscy popatrzyli na mnie.

- Ee... to chyba dotyczy tylko nas dwojga.

Benji się skrzywił.

- Doskonale. Ale ja nie chcę o tym słuchać. Idę na dwór.

Co powiedziawszy, wyszedł, trzaskając siatkowymi drzwiami. Patrzyliśmy wszyscy, jak głośno tupiąc, idzie frontową alejką i opędza się gwałtownie od dokuczliwych muszek, które fruwały wokół krzaków przed domem, a teraz zleciały się do niego.

Ojciec odchrząknął.

- Najwyraźniej niedobrze znosi tę separację.

- To zawsze trudna sytuacja dla dzieci - zauważyła Margo tonem agentki od nieruchomości.

- W każdym razie, jak mówiłem... - podjął i znów ruszył przez salon.

Margo podążyła za nim, gryzmołąc w nieodłącznym notesie, ale ja się ociągałam, spoglądając na Benjiego. Siedział teraz na schodkach przy skrzynce na listy i patrzył na pustą ulicę, jakby czekał na coś, co powinno lada moment się pojawić. Muszki wróciły do krzaków i wirowały, tworząc duży bzyzący obłok.

Dogoniłam ojca i Margo w kuchni zagraconej kartonowymi pudłami i materiałami do pakowania.

- Naprawdę powinienem umieścić większość tych rzeczy w pudłach - mówił. - Ale nie mam czasu, skoro zajmuję się Benjim i muszę zdążyć w terminie napisać artykuł.

- Możemy sprawdzić ceny usług firm zajmujących się pakowaniem - zaproponowała Margo.

- Wystarczająco dużo będzie kosztować firma spedycyjna.

Moja siostra zastanowiła się nad tym.

- Więc mogłaby to zrobić Emaline.

- Ja? - spytałam. - Już powinnam być w pracy.

- To jest twoja praca - odparła.

- Czy to znaczy, że kiedy wrócimy, ty zajmiesz się dowożeniem ręczników i wysłaniem żądanych ekip remontowych? Bo ja wychodzę dziś z biura punktualnie o piątej, bez względu na to czy te sprawy zostaną załatwione, czy nie.

- Emaline. - Rzuciła okiem na ojca, który wziął z blatu swoją komórkę i przeglądał wyświetlacz, po czym zniżyła głos: - Co ci mówiłam o dyskutowaniu kwestii zawodowych w obecności klientów?

- To mój ojciec - przypomniałam jej. - I nie możesz zwałać całej roboty na mnie.

- Doskonale. Poproszę Morrisa. - Zrobiła notatkę w bloczku i powiedziała: - Joel, zadzwonię teraz w kilka miejsc. Pierwsi przedstawiciele firm spedycyjnych powinni zjawić się tu za kilka minut, żeby zaproponować kosztorysy.

- Co? - Ojciec podniósł wzrok znad komórki. - Och, racja. Dzięki.

Margo uśmiechnęła się, wzięła z krzesła swoją torebkę i wyszła na zabudowaną boczną werandę. Po chwili usłyszałam ją, gdy jak zawsze zbyt głośno rozmawiała przez telefon. Spojrzałam w sufit, jakbym mogła zaczerpnąć stamtąd siłę.

- Oznajmił mi dziś rano - rzekł po chwili ojciec - że jeśli zawiozę go z powrotem do Connecticut, zrujnuje to całe jego życie.

Ojciec mnie zaskoczył, bo sądziłam, że był całkowicie pochłonięty czytaniem czy wysyłaniem jakiegoś esemesa.

- Benji? - spytałam głupio, jakby mogło chodzić o kogokolwiek innego.

- Powiedzieć, że był rozczarowany, kiedy mu oznajmiłem, że mimo wszystko tak zrobię, to powiedzieć zdecydowanie za mało. - Westchnął, odsunął krzesło od stołu i usiadł, a ja poszłam za jego przykładem. - Najwyraźniej bardzo cię polubił.

- Cóż, to miłe - odrzekłam. - Ale nie sądzę, żeby chodziło tylko o mnie.

- A ja sądzę, że nie dość siebie doceniasz.

- Być może. - Popatrzyłam na Margo przechadzającą się w kółko po werandzie z komórką przy uchu. - Ale uważam, że chodzi mu o Colby, o lato... o całokształt. On po prostu nie chce myśleć o tym, że wszystko się zmieni.

- Ale zmiany są nieuniknione - odparł ojciec. - Podobnie jak rozczarowania. Najlepiej po prostu do nich przywyknąć.

- Jak można przywyknąć do zmian? - spytałam. - Przecież to coś, co się stale zmienia.

Uśmiechnął się, a ja uświadomiłam sobie, jak rzadko widziałam go uśmiechniętego, zwłaszcza podczas tego pobytu tutaj.

- Zawsze byłaś bystra, Emaline.

- Myślę, że po prostu potrafię znaleźć z nim wspólny język - oświadczyłam. - Oboje nas wkrótce wiele czeka. Pod koniec lata moje życie również się zmieni, z powodu studiów i wszystkiego innego.

Powiedziałam to bez zastanowienia, całkiem naturalnie, jak dzieje się zawsze z wszelkimi prawdami. Dopiero kiedy te słowa już zabrzmiały, zdałam sobie sprawę, co powiedziałam i do kogo. Oczywiście ojciec się zaczerwienił, jego zakłopotanie było aż nadto widoczne.

- No... tak... - wyjąkał i odkaszlnął, zasłaniając usta dłonią. - To też część życia. Trzeba nauczyć się przystosować, przechodzić nad tym do porządku.

„Przechodzić nad tym do porządku”. Niewątpliwie właśnie to powinnam teraz zrobić. Czyli znów się wycofać, oszczędzić ojcu zakłopotania, które on w przeszłości bez żadnych skrępowań we mnie wzbudzał. Ale skoro zabrnęłam już tak daleko, postanowiłam tym razem pójść na całość.

- Prawdę mówiąc - zaczęłam i urwałam na chwilę, gdy ojciec poruszył się niespokojnie na krześle, wciąż wyraźnie zakłopotany - od dawna chciałam z tobą o tym porozmawiać. O moim pójściu do college'u i o tym, co wydarzyło się między nami wiosną.

I oto w jednej chwili atmosfera stała się ciężka, trup wypadł z szafy. W tym momencie miałam okazję zadać ojcu wszystkie nurtujące mnie pytania, tak jak tamte, które przed laty wypisałam na lekcję z panem Championem. Tylko że teraz nie było czasu na szkicowanie ich na brudno ani wygładzanie. Musiałam po prostu pytać.

- Och - rzucił szybko, znowu wiercąc się nerwowo na krześle. - No cóż, nie jestem pewien, czy to odpowiednie miejsce i...

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie odpowiadałeś na moje esemesy - naciskałam. - A kiedy potem nie zareagowałeś na moje zaproszenie na uroczystość ukończenia liceum - po całej tej pracy, jaką razem wykonaliśmy - poczułam się, jakbym zrobiła coś złego.

- Emaline. - Uniósł dłoń, jakby chciał mnie powstrzymać. - Nie teraz.

- Ale ja tylko...

- Nie!

W tym jednym słowie usłyszałam ostry, kategoriyczny ton, jaki słyszałam u moich obecnych rodziców – dający do zrozumienia, że coś przeszło z „być może” do „wykluczone” i że dalsze naleganie prawdopodobnie sprowadzi na ciebie karę. Żadnych rozmów. Żadnych wyjaśnień. Po prostu: nie.

– Chyba usłyszałam, że przyjechali pracownicy firmy spedycyjnej – oznajmiła Margo, wracając z werandy. – I zjawiają się o czasie. Nawet wcześniej! To dobry znak. Pójdę ich wpuścić.

Ruszyła do drzwi, a ja spojrzałam na ojca, na jego czerwoną twarz, i dopiero teraz zauważyłam, że w którymś momencie odsunął się z krzesłem od stołu, zwiększając dystans między nami. Wiedziałam, że jeśli powiem jeszcze choć jedno słowo, on wyjdzie z kuchni, a potem z domu. Kiedy szło o nas dwoje – bez względu na to, czy tego lata, ubiegłego roku, czy przez całe moje życie – jedna kwestia pozostawała stała, niepodlegająca zmianie: to, że musieliśmy grać zawsze według jego reguł. W przeciwnym razie gra się kończyła.

\* \* \*

Kiedy znalazłam się z powrotem w agencji, rzuciłam się w wir pracy przez następne trzy godziny. Przynosiłam z magazynu ręczniki, zajmowałam się ich dostarczaniem i przeprowadzaniem kontroli. Wreszcie minutę przed piątą opuściłam biuro i pojechałam do domu, żeby się przebrać.

Theo tym razem kończył pracę wcześniej i zaplanował dla nas coś, co nazwał Najwspanialszą w Dziejach Randką na Wolnym Powietrzu. Wiedziałam tylko, że poinstruował mnie, abym punktualnie o szóstej zjawiła się w barze Washroom, w pantoflach na płaskim obcasie. To ostatnie żądanie było samo w sobie dość komiczne, bo nigdy nie nosiłam innych butów. Ale Theo lubił dopilnować wszystkich szczegółów, gdy w grę wchodziły jego Najwspanialsze Niespodzianki. Mogłam tylko spełnić jego polecenia.

Weszłam do domu i ruszyłam korytarzem do swojego pokoju. Drzwi były nieco uchylone i usłyszałam dobiegające zza nich głosy. Cholera!, zaklęłam w duchu, czując, że wzbiera we mnie znajoma irytacja. Gwałtownym pchnięciem otworzyłam drzwi.

Na łóżku leżeli Morris i Amber. Jedli razem popcorn z półmiska, oglądali telewizję i byli w butach. Nie wiedziałam nawet, od czego zacząć.

– Dlaczego jesteście w moim pokoju? – rzuciłam.

Morris przełknął popcorn, który przeżuwał.

- Nie było cię jeszcze w domu.

- Tata maluje w kuchni listwę wykończeniową - dodała Amber. Dziś nie wiedzieć czemu miała przedłużone włosy, co nadawało jej fryzurze wygląd retro. - Tam na górze śmierdzi farbą.

- Więc przyrzadziliście sobie prażoną kukurydzę i wleźliście z brudnymi butami na moje łóżko.

- Ja nie mam brudnych butów - zaprotestowała moja siostra, mając dość rozsądku, by nie mówić za Morrisa. - Podsunęła mi półmisek. - Chcesz trochę? Jest jeszcze ciepła.

Spiorunowałam ją wzrokiem. Ale potem przypomniałam sobie, że z powodu Margo nie zjadłam lunchu. Wiedziałam z doświadczenia, że energii wystarcza mi na złość tylko na jedną siostrę na raz, więc wzięłam garść popcornu.

- Nadal mi się to nie podoba - oświadczyłam.

- Wiem - odparła Amber takim tonem, jakby nie miała z tą sprawą nic wspólnego. Morris też poczęstował się następną porcją popcornu. - Dlaczego tak wcześnie wróciłaś?

- Mówiłem ci - rzekł Morris. - Ona ma randkę.

- Ostatnio stale miewa randki - zwróciła się do niego Amber, jakby mnie tam w ogóle nie było. Potem odrzuciła do tyłu sztuczne włosy gestem, który wyraźnie był wyćwiczony. - Spotyka się z randkowiczem.

- Z randkowiczem? - powtórzyłam.

Wzięłam ręcznik i weszłam do łazienki. Jej drzwi były tak cienkie, że mogłam nadal słyszeć każde słowo.

- Facetem, który lubi chodzić na randki - wyjaśniła, żując popcorn. - Jako przeciwieństwem takiego, który lubi tylko spędzać z dziewczyną czas.

- Jaka jest różnica? - chciał wiedzieć Morris.

- Czy ty planujesz wyjątkowe wydarzenia i wycieczki tworzące wyjątkowe chwile? - spytała go.

- A jak myślisz?! - zawołałam z łazienki, zdejmując koszulę.

- No właśnie - rzekła Amber. - Randkowicz lubi randki. Theo jest randkowiczem. Mój aktualny facet lubi po prostu spędzać ze mną czas. Najlepiej przy tanim piwie albo grze wideo. A najchętniej przy jednym i drugim.

- Co jest złego w grach wideo? - spytał Morris.

- To bierne zajęcie. Randka jest czymś aktywnym. Co oznacza, że nie polega na siedzeniu na kanapie - powiedziała Amber. Usłyszałam, że zjadła kolejną garść popcornu. - Właśnie dlatego ja nie jestem zwolenniczką randek. Lubię siedzieć na



kanapie. Lubię piwo i gry wideo. I uwielbiam chłopców, którzy je uwielbiają.

Zwykle uważałam teorie Amber za absurdalne czy wręcz niedorzeczne. Ale odkręcając wodę, uświadomiłam sobie, że akurat ta teoria nie jest wcale taka głupia. Theo był w naszym związku planistą, szefem wycieczki. Planował, opłacał i organizował nasze Najwspanialsze w Życiu Wspomnienia. A zwłaszcza w dni takie jak dzisiejszy czułam się szczęściarą, że jestem z nim.

Kiedy wyszłam spod prysznic, moja siostra już się ulotniła, pozostawiając tylko Morrisa i pusty półmisek po popcornie.

- Gdzie ta ekspertka od randek? - spytałam.

- Poszła po następną dietetyczną colę - oznajmił, celowo unikając patrzenia na mnie, chociaż byłam owinięta ręcznikiem, który wszystko zakrywał.

Przyjaźnienie się z facetem wymaga pewnych modyfikacji, zwłaszcza w kwestii rozbierania się. Ale Morris i ja byliśmy przyjaciółmi od dawna. Podobnie jak w przypadku mnie i Daisy, mieliśmy ustalone rytuały.

Wzięłam ubranie i wróciłam do łazienki, zostawiając szparę w drzwiach.

- Co ty tu w ogóle robisz? - zapytałam.

- Chciałem z tobą porozmawiać.

Uniosłam brwi do swojego odbicia w lustrze.

- O czym?

- O Daisy.

- Och. - To brzmiało poważnie. - Dobrze. Zaraz przyjdę.

Ubrałam się, uczesałam wilgotne włosy, nałożyłam lekki makijaż i wyciągnęłam z kosza na brudną bieliznę ładniejsze sandałki. Kiedy wróciłam do pokoju, Morris siedział na brzegu łóżka i wpatrywał się w ekran komórki. Usiadłam obok niego i czekałam. Morris rozmawiał - podobnie jak wszystko inne, co robił - we własnym rytmie i według własnego harmonogramu. W końcu oznajmił:

- Muszę z nią zerwać.

- Słucham?

- Z Daisy. Muszę z nią zerwać.

- Dlaczego? - Odwróciłam się twarzą do niego i przyjrzałam mu się uważnie. -

Przysięgam na Boga, że jeśli kręcisz z jakąś inną dziewczyną...

- Oczywiście, że nie. - Odchylił się do tyłu, opierając się na dłoniach. - Ona za cztery tygodnie jedzie do college'u. Kiedy się tam znajdzie, nie będzie już chciała zadawać się z głupim nieudacznikiem z liceum.

Te słowa boleśnie przeszły mi serce.

- Morris, nie...

- Oboje wiemy, że to prawda - rzekł, przerywając mi. - A Daisy jest taka miła i poczuje się okropnie, kiedy będzie musiała mnie porzucić, zwłaszcza na odległość. Byłaby nieszczęśliwa. Ktoś musi odwalić czarną robotę. Lepiej, żebym to był ja.

Przygryzłam usta. Przypomniałam sobie Daisy, która przyglądała się manekinowi i przyznawała na swój sposób, jak niewielkie są szanse, żeby ona i Morris mogli nadal pozostać razem. Każde z nich ujęło to innymi słowami, lecz sens był ten sam.

- Ona jeszcze nie wyjeżdża - rzekłam do niego cicho.

- Ale wyjedzie. - Odchrząknął. - Amber miała rację. Daisy potrzebuje randkownicza, a ja jestem facetem kanapowym. To się nigdy nie zmieni.

- Nie wiesz tego na pewno - powiedziałam. Morris skrzywił się z powątpiewaniem. - Nie wiesz. Masz przed sobą całe życie.

- Być może - rzekł. - Ale nawet to nie wystarczy, żebym stał się facetem, na jakiego ona zasługuje. Myślę po prostu, że nadeszła pora, bym pozwolił jej zacząć go szukać, kimkolwiek on jest.

To była najbardziej pokręcona i żałosna Morrisowa logika. A jednak go rozumiałam. Niektórzy ludzie - na przykład tacy jak ja i Theo - pozwalają, aby płomień palił się możliwie jak najdłużej, i zalewają go wodą dopiero wtedy, kiedy i tak już miał wygasnąć. Ale Morris pomimo braku dalekosiężnych życiowych celów potrafił ujrzeć sytuację w szerszej perspektywie.

Usłyszałam Amber schodzącą z powrotem po schodach. Wiedząc, że Morris prawdopodobnie nie chce publicznej rozmowy, spytałam szybko:

- Więc kiedy zamierzasz to zrobić?

- Nie wiem. - Spuścił wzrok na swoje dłonie. - Wiem tylko, że to naprawdę będzie okropne.

Ścisnęłam jego rękę.

- Jesteś porządnym gościem, Morris.

- Nie, jestem dupkiem - odparł, wstając. - Ale przynajmniej tym razem mogę powiedzieć, że mam dobry powód.

Znowu pomyślałam o Daisy i jej niewinnym kłamstwie dotyczącym sukienek. Pragniemy zrobić tak wiele dla osób, które kochamy, nawet jeśli to oznacza zranienie nas samych. Może ostatecznie właśnie o to chodzi w miłości, we wszelkich jej rodzajach.

Amber wróciła do pokoju z puszką dietetycznej coli, którą otworzyła, gdy tylko przekroczyła próg. Na widok Morrisa zmierzającego do drzwi powiedziała:

- Nie wychodź z mojego powodu.

- To nie twój pokój - przypomniałam jej.

- Muszę iść - powiedział do Amber. A do mnie: - Porozmawiamy później.

- Porozmawiamy później.

Wyszedł i po chwili usłyszałam trzaśnięcie zamykanych frontowych drzwi.

- Powiedziałam mu, żeby zdjął buty - poinformowała mnie Amber. - Mówię po prostu, żebyś wiedziała.

- A jednak ty swoich nie zdjęłaś.

- Moje są czyste.

Przewróciłam oczami, a potem wzięłam szczotkę i zamasyście przeciągnęłam nią kilka razy po włosach.

- To taki porządny gość.

- Nic o tym nie wiem - odparła Amber, wyskrobując z półmiska ostatnie ziarna popcornu. - Ale jest bardzo porządnym Morrisem.

Uśmiechnęłam się i schyliłam po torebkę.

- Zabierz stąd ten półmisek.

- Czy kiedykolwiek go zostawiłam?

Zdecydowałam się to zignorować i tylko na pożegnanie machnęłam do niej ręką.

- Miłej zabawy z randkownicem! - zawołała za mną.

- Dziękuję - rzuciłam przez ramię.

Przypuszczałam, że dogonię Morrisa idącego podjazdem i zawiozę, dokądkolwiek zechce, albo przynajmniej podwiozę go część drogi. Ale kiedy wyszłam z domu, nigdzie go nie dostrzegłam. Później pokrzyżowałam samochodem po okolicy. Bez rezultatu. Dziwne. Ktoś, kto zazwyczaj wlecze się powoli, tym razem tak szybko zniknął.

\* \* \*

Kiedy o umówionej porze weszłam do baru Washroom, zaskoczyło mnie, że Theo tam nie było. Zastałam tylko samotnego Clyde'a, przeglądającego książkę kucharską w małym boksie służącym mu też jako gabinet.

- Gdzie Ivy i Theo? - zapytałam.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Wyszli na lunch i już nie wrócili.

- Na lunch? - Spojrzałam na zegarek. - O której to było?

Przewrócił stronę. Dostrzegłam zdjęcie kruchego ciasta udekorowanego falującą kratką.

- O wpół do trzeciej czy coś koło tego.

Usiadłam naprzeciw niego.

- To niepodobne do Ivy.

- Istotnie. Może odstraszyłem ją na dobre.

Patrzyłam, jak odwrócił następną stronę. Ciasta na zdjęciach wyglądały wspaniale. Uświadomiłam sobie, że konam z głodu.

- Właściwie słyszałam coś wręcz przeciwnego.

To go zainteresowało. Zamknął książkę.

- Czyli co?

- Że ostatnio naprawdę zgodnie współpracujesz przy realizacji filmu - wyjaśniłam. - A teraz mówi się o tym cyklu wystaw...

Urwałam, sądząc, że Clyde zaprzeczy temu ostatniemu. Ale podobnie jak tamtego wieczoru, kiedy zatrzymaliśmy się, żeby pomóc mu zmienić koło, nie zrobił tego. Odchylił się tylko do tyłu w krześle i powiedział:

- W kwestii wystaw nic nie jest jeszcze ustalone.

- Jeszcze? Więc zgodzisz się na to?

- Wydajesz się zaskoczona tym pomysłem - zauważył.

- Tak - potwierdziłam. Clyde uniósł brwi. - Przecież na początku lata nie chciałeś z nimi w ogóle rozmawiać. A teraz rozważasz powrót z emerytury i wzięcie udziału w imprezie objazdowej?

- Nie jestem cyrkowym klaunem, Emaline.

- Nie jesteś też już malarzem - zripostowałam. - A przynajmniej tak myślałam.

- Tu nie chodzi o nowe dzieła - podkreślił. - A tylko o to, by dać moim starszym pracom kolejną szansę. To znaczy, o sposobność spojrzenia na nie z perspektywy czasu. Trudno odrzucić taką okazję.

- O ich nowy start - powiedziałam, a on przytaknął. - Rozumiem to. Prawdę mówiąc, jakiś czas temu miałam nadzieję na coś takiego w moim życiu. Jednak tak się nie stało.

- Nie?

Pokręciłam głową.

- Ale zaczynam myśleć, że z niektórymi sprawami to się nigdy nie zdarza. To znaczy, powtórka i tak dalej. Więc w pewnym momencie trzeba się po prostu z tym pogodzić, zamiast wciąż czekać na szansę zmiany.

- Właściwie niewiele o tym wiem. - Clyde popatrzył na blat stolika i zeszkrobał jakąś plamkę. - Jesteś dość młoda, by mówić, że coś nigdy się nie zdarzy.

Przypomniałam sobie słowa ojca.

- Niektórzy ludzie powiedzieliby, że rozczarowanie to dobra lekcja dla młodych osób.

- Owszem - przyznał. - Ale niektórzy ludzie są dupkami.

Uśmiechnęłam się.

- Chyba pamiętam, że całkiem niedawno sam tak siebie nazwałeś.

- To prawda. A zatem nie musisz słuchać niczego, co mówię - odrzekł. - Ale chociaż nie wiem, czy to dla ciebie ważne, Emaline, powiem ci: życie jest długie. To, że nie dostałaś swojej szansy akurat w momencie, gdy jej pragnęłaś czy się spodziewałaś, nie oznacza, że ona nigdy nie nadejdzie. Los nie trzyma się ustalonych godzin czy harmonogramu. Spójrz na mnie. Mam czterdzieści dwa lata i mówię o ponownym wystawieniu swoich dzieł. Nie spodziewałem się, że taka szansa kiedykolwiek się pojawi.

- I prawdopodobnie właśnie dlatego się pojawiła.

Wycelował we mnie palec.

- Bystra dziewczyna.

A więc osiągnęliśmy konsensus. Szkoda tylko, że nadal czułam się jak ofiara ślepego trafu. A skoro mowa o trafie, to w tym momencie weszła Ivy.

- No, przepadło całe popołudnie pracy - powiedziała, jakby kontynuowała rozmowę rozpoczętą, zanim się tu zjawiła. Podeszła do kontuaru i popatrzyła na zamrażarkę. - Wydawałoby się, że już się tego nauczyłam. Tak to jest, kiedy nie zatrudnia się profesjonalistów. Sprzedajesz tutaj piwo, prawda?

- Nie - odparł Clyde.

- Żartujesz? - Westchnęła teatralnie. - To bardzo niedobrze, bo naprawdę muszę się napić.

Rzuciłam spojrzenie na drzwi.

- Gdzie Theo?

Uniosła rękę dłonią do mnie.

- Nie wymawiaj przy mnie jego imienia. Zwłaszcza jeżeli rzeczywiście nie ma tu piwa.

- Po drugiej stronie ulicy jest bar. Podają tam koktajl margarita. Ale cholernie mocny.

- Oddam życie za margaritę - oświadczyła Ivy, odwracając się na pięcie. - Chodźmy.

Clyde i ja popatrzyliśmy na siebie, a potem on wyszedł z boksu.

- Kobieta chce się napić - rzekł, wzruszając ramionami. - Jako dżentelmen z Południa muszę dotrzymać jej towarzystwa.

Ivy była już w połowie drogi do drzwi. Wpadało przez nie słońce i w jego promieniach pyłki tańczyły w powietrzu.

- Chcesz, żebym zamknęła ten lokal na klucz czy coś takiego?! - zawołałam za Clyde'em.

- Nie. Po prostu zatrzaśnij mocno drzwi, kiedy będziesz wychodzić - odparł.

W śródmieściu Colby uchodziło to za podstawowe zabezpieczenie. Gdyby ktoś dodał do tego zamek czy system alarmowy, miejscowi uznaliby, że przekształcił dom w prawdziwą twierdzę.

Zostałam sama. Spojrzałam na zegarek: było dziesięć po szóstej. Zdecydowanie coś się stało. Wzięłam komórkę i wysłałam esemesa do Theo. Chwilę później odpowiedział:

*Zmiana planów. Deptak i rowery za dziesięć minut.*

Rowery, pomyślałam. No tak, płaskie pantofle. Odpowiedziałam, że już wyruszam, i wyszłam z Washroom, mocno zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Pora była jeszcze wczesna jak na deptak. Roili się tam ludzie wracający po całym dniu spędzonym na plaży, taszcząc torby, parasole, deski do pływania i małe dzieci o buziach zaróżowionych od słońca - oraz ci wybierający się na wczesną kolację. Przedzierałam się przez ten tłum w kierunku sklepu rowerowego Abe's. Mniej więcej w połowie drogi jakiś muskularny facet w obcisłym czarnym podkoszulku wetknął mi do ręki jaskraworóżową kartkę.

- Noc pań w Tallyho! - oznajmił. - Przyjdź z przyjaciółką na najwspanialszą imprezę na plaży.

Pokręciłam głową - nie, nie! - i ominęłam go. Mijając butik Clementine's, zajrzałam przez otwarte drzwi i zobaczyłam Auden i Maggie układające na ladzie dzinsy do wyprzedaży. Pomachały do mnie zapraszająco, żebym weszła, ale wskazałam ręką przed siebie i wymówiłam bezgłośnie, że wpadnę później. Właśnie przed chwilą dostrzegłam Theo.

Stał przed sklepem rowerowym Abe's w sportowej marynarce i dzinsach. Strasznie elegancki ubiór jak na randkę rowerową, pomyślałam. Dopiero kiedy stanęłam przed nim, zauważyłam bagaż przy jego nogach.

- Wreszcie przyszła! - powiedział.

Zrobił krok do przodu i jednym ruchem porwał mnie z ziemi. Zaskoczona, zgubiłam pantofel. Usłyszałam, jak upadł z głośnym plaśnięciem.

- Jesteś gotowa na Najwspanialszą w Dziejach Randkę na Wolnym Powietrzu, Która Teraz Stała Się Jeszcze Cudowniejsza?

- No... tak - odrzekłam, usiłując zgrabnie odzyskać oparcie dla stóp.

Pracujący w tym sklepie Wallace stał za Theo przy dwóch rowerach i przyglądał się nam z rozbawioną miną.

- Dobrze się czujesz? - spytałam Theo.

- Fantastycznie - odpowiedział. Z uśmiechem postawił mnie na ziemi. Miał zarumienione policzki i trochę spocone czoło. - Przed chwilą miałem wielką awanturę z Ivy - oznajmił. Gwizdnął cicho. - Szkoda, że jej nie widziałaś. Naprawdę się wściekła!

- Czy to twoje? - spytałam, spoglądając na wielki worek marynarski i plecak leżące na ziemi.

- Aha. Wyrzuciła mnie. - Roześmiał się. - To była część tej wściekłej awantury.

- Wyrzuciła cię? - powtórzyłam.

- Wszystko ci wyjaśnię. Tylko najpierw stąd odjedźmy, dobrze? - Odwrócił się do Wallace'a i sięgnął do kieszeni po portfel. - A więc... wypożyczam rowery na dwie godziny, tak? I mogę zostawić za kontuarem ten duży worek?

- Jasne - odrzekł Wallace. Theo wręczył mu kilka banknotów. - Zaraz wydam resztę.

- Zatrzymaj ją - powiedział Theo. Ujął za kierownicę mniejszy rower i przyprowadził do mnie. - Twój powóz czeka.

Wallace znów na mnie spojrzał. Wiedziałałam, o czym on, pozostali faceci w sklepie i wszyscy w butiku Clementine's będą rozmawiać dziś wieczorem po pracy. Albo nawet już chwilę po tym, jak znikniemy im z oczu.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytałam ponownie.

- Wszystko gra - zapewnił mnie Theo. - No, wskakuj.

Usłuchałam, choćby dlatego, żebyśmy jak najszybciej znaleźli się z dala od widowni. Już od dość dawna nie siedziałam na rowerze i lawirowanie pośród kłębiącego się tłumu nie było takie łatwe, jednak po chwili udało mi się znaleźć wąski pusty pas. Obejrzałam się na Theo, który siedział już na swoim rowerze.

- Dokąd?

- Jedź za mną! - polecił.

Śmignął obok i wyprzedził mnie, z plecakiem na ramionach i łopoczącymi połami marynarki. Staralam się nadążyć za nim, gdy jechał zygzakiem przez tłum, hamując ostro, ilekroć ktoś zastąpił mu drogę. W końcu po przebicciu się przez zator przy budynku zwanym Pawilonem, w którym grała okropna kapela - o nazwie Spinnerbait, jak się dowiedziałam z wiszącego krzywo banera - wydostaliśmy się na mniej zatłoczony obszar. Theo przyspieszył, zerkając na mnie przez ramię.

- Już niedaleko - oznajmił. - Spodoba ci się tam.

Zbliżaliśmy się do nabrzeża pełnego wędkarzy. Dalej był tylko piasek, prawie nieprzejezdny dla rowerów. Już miałam zwrócić na to uwagę, gdy nagle Theo

skręcił ostro w prawo na drogę prowadzącą na niebrukowany teren kempingu.

- Hej! - zawołałam, mój głos zadrżał, gdy podskoczyliśmy na wielkim wyboju. Po obu stronach stały samochody turystyczne i przyczepy kempingowe. - Chyba pomyliliśmy drogę.

- Nie. Już dojeżdżamy.

Prawdę mówiąc, zawahałam się. Colby to dość spokojne miasteczko, ale pole kempingowe przy nabrzeżu uchodziło za niezbyt bezpieczne. Do tego stopnia, że stojący w pobliżu niewielki podupadły motel - noszący nazwę Morski Widok, chociaż nie było z niego wcale widać morza - przez kontrast sprawiał wrażenie wręcz szacownego. Na kempingu mieszkali głównie sezonowi rybacy i co agresywniejsi turyści. Słyszał przede wszystkim z pijackich awantur i aresztowań za bójki. Nie było to wymarzone miejsce na Najwspanialszą w Dziejach Randkę na Wolnym Powietrzu. Ani na żadną inną okazję, jeśli miało się jakiś wybór.

Droga stawała się stopniowo coraz gorsza, przybywało dziur oraz walających się tu i ówdzie pustych butelek po piwie, które trzeba było omijać. Od czasu do czasu mijaliśmy jakichś osobników, zazwyczaj bez koszuli i/lub kopcących papierosy, którzy patrzyli na nas z groźną miną. Gdyby mój tata dowiedział się, że znalazłam się choćby w pobliżu tego miejsca, zabiłby mnie. O ile nie zostałabym wcześniej zamordowana tutaj.

- Ee... Theo! - zawołałam z niepokojem. - Myślę, że...

- Jesteśmy na miejscu! - Zahamował gwałtownie, wzbijając obłok pyłu, i zeskoczył z roweru. Podjechałam obok niego, ale nie zsiadłam. Patrzyłam, jak majestatycznym gestem wskazuje stojącą przed nami niewielką zdezelowaną przyczepę kempingową. - Nie ma jak w domu. Szczęśliwy numer siedem.

Spojrzałam na przyczepę, potem na niego.

- Czyj to dom?

- Mój - odrzekł, jakby to była najzwyklejsza rzecz pod słońcem. - To znaczy, oczywiście, wynajęty. Dwadzieścia pięć dolarów za dobę, przy miesięcznej umowie pierwsze trzy dni darmowe. Czy jest jakiś powód, by go nie pokochać?

Mogłabym podać długą listę. Na jej czele prawdopodobnie znalazłaby się sąsiednia przyczepa przechylona na bok, z otwartymi drzwiami zwisającymi na zawiasach i dziurami chyba po kulach. O rany.

- Wynajęłeś to na miesiąc?

- Tak. - Podprowadził rower do drzwi i postawił. - Przypuszczam, że to wystarczająco długo, żebym znalazł gdzieś pracę, spędził czas z tobą i w wielkim stylu wziął udział w tej imprezie Plażowy Ubaw. Najlepiej w tej kolejności. Chodź,



obejrzymy wewnątrz.

Zrzucił z ramion plecak i wyjął pęk kluczy, z którego wybrał jeden niewielki. Wetknął go do kłódki wiszącej na drzwiach przyczepy. Kłódka z początku stawiała opór, ale ostatecznie Theo zdołał ją otworzyć, chociaż zamek zaprotestował przenikliwym zgrzytem. Theo wszedł do środka, a ja zdecydowałam się podążyć za nim tylko dlatego, że nadjeżdżał jakiś samochód; kierowca najwyraźniej nie zamierzał zwolnić, chociaż stałam na jego drodze.

- Patrz pod nogi - ostrzegł mnie Theo.

Kiedy się zbliżyłam, wyciągnął do mnie rękę. Schyliłam się w wąskim przejściu, pozwalając, by Theo wciągnął mnie do wnętrza przyczepy. Była przeznaczona do holowania przez furgonetkę, mała, wyglądała na starą i unosiła się w niej ostra woń środka dezynfekującego. Ten środek niewątpliwie maskował inny zapach, chociaż nie chciałam nawet myśleć jaki. Theo najwyraźniej tego nie zauważył i rozpoczął wielki obchód.

- Tu na dole jest miejsce do spania. Superpółki, prawda? A tam za tobą jadalnia, kuchenka i miejsce do wypoczynku.

Było tu tak ciasno, że ledwie mogłam się obrócić, żeby to wszystko zobaczyć.

- Nie mogę uwierzyć, że przeprowadziłeś się z rezydencji Sand Dollars tutaj.

- Posłuchaj, jestem nowojorczykiem - rzekł beztroskim tonem. - Nawykłem do niewielkich przestrzeni. I już się tu zadomowiłem. Usiądź!

Spojrzałam w stronę, którą wskazywał. Leżała tam odwrócona do góry dnem jedna ze skrzynek na mleko ze sklepu Gerta. Theo w typowy dla siebie sposób udrapował na niej kolorową serwetkę. Nawet tutaj miało być wytwornie. Usiadłam, bo sufit był tak nisko, że stojąc, nie mogłam się całkiem wyprostować.

- A teraz będziemy świętować - oznajmił Theo.

Wysunął zniszczony drewniany stołek oklejony nalepkami kołowrotek wędkarskich i usiadł. Rozpiął plecak i wyjął butelkę wina już otwartą i zakorkowaną, dwa przezroczyste plastikowe kubki, słoik oliwek i małą puszkę solonych orzeszków. Nalał wina mnie, potem sobie i rozłożył jedzenie na powierzchni plecaka.

- Co właściwie świętujemy? - zapytałam.

Uniósł kubek i odchrząknął.

- Za wolność. I za nowe początki.

Powtórzyłam to samo i stuknęliśmy się kubkami. Chociaż nie lubiłam czerwonego wina, wypłam duży łyk i zaraz potem drugi.

- Powiesz mi teraz, co się stało?

Otworzył słoik oliwek.

- Chodzi ci o Ivy?

- Chodzi mi o to, że... - urwałam i znów powiodłam wzrokiem po wnętrzu przyczepy, a potem wyjrzałam przez wąskie drzwi.

Ocean był po drugiej stronie, a pomiędzy nim a nami znajdowało się wiele innych pojazdów. Stąd widziałam właściwie tylko tył następnej przyczepy, która stała tutaj na tyle długo, że zarosły ją splątane krzaki i winorośla.

- Najwyraźniej zaszło kilka zmian, odkąd widzieliśmy się wczoraj wieczorem - dokończyłam.

- W istocie - przyznał. Uśmiechnął się szeroko i usiadł wygodniej, kołysząc winem w kubku. - No dobrze. Więc największą nowiną jest to, że na początku przyszłego roku Clyde wyjeżdża w trasę, co będzie skorelowane z premierą filmu.

- Sądziłam, że to nie zostało jeszcze ustalone.

- Och, przeciwnie. Jest ustalone. - Theo wypił łyk wina, przymykając oczy. - Nie jest natomiast określone, jakiego rodzaju wsparcia będzie potrzebował, jeśli chodzi o przygotowanie obrazów, kontakty z prasą, reklamę. I w tym miejscu wkraczam ja.

- Ty? - spytałam. - A co z pracą u Ivy?

- No cóż, w tym sęk. - Poczęstował się orzeszkiem, potem oliwką. - Odnosiłem wrażenie, że do czasu gdy to wszystko wystartuje, Ivy już ukończy film i nie będzie mnie więcej potrzebować. Lecz ona najwyraźniej uważała inaczej.

Przypomniałam sobie, co mówiła, kiedy zjawiała się w Washroom. „Uważała inaczej” to niewątpliwie oględnie powiedziane.

- Więc cię wyrzuciła?

- Nie od razu - odparł. - Kiedy jej oznajmiłem, że chcę złożyć miesięczne wymówienie, żeby móc poszukać innych zawodowych wyzwań, z początku tylko mocno się wkurzyła. Powiedziała, że ją kiwam, zostawiam na lodzie. No wiesz, jej zwykłe pretensje. Ale potem, gdy pojawiły się te możliwości dotyczące Clyde'a... wtedy naprawdę się wściekła.

Przyglądałam się, jak wziął następną oliwkę. Drinki i przystawki, to takie wytworne, nawet w tym najmniej wytwornym z miejsc.

- Ale dlaczego? - spytałam.

Wzruszył ramionami.

- Ona myśli, że wykorzystałam ją, by zyskać dojsście do Clyde'a. Że od początku ta praca u niej była dla mnie tylko środkiem do osiągnięcia czegoś większego.

Mimo woli zauważyłam, jak beztriosko Theo traktuje całą tę sprawę. Kiedy jedyny raz w życiu zostałam wylana - z posady sprzedawczyni sklepu spożywczego

w nieistniejącej już obecnie niewielkiej galerii handlowej – czułam się totalnie wkurzona.

– Ale przecież to nieprawda. Skąd miałbyś wiedzieć, że Clyde postanowi powrócić na scenę?

Theo się uśmiechnął.

– Nie wiedziałem. Miałem po prostu trafne przeczucie.

Spojrzałam na niego zdezorientowana.

– Zaczekaj. Więc... więc jednak poniekąd to zaplanowałeś?

– To? – Rozejrzał się po wnętrzu przyczepy. – Nie. Nie sądziłem, że to się tak skończy. Ale mówiłem ci, Emaline, że jestem zdeterminowany. Jeżeli widzę przed sobą coś lepszego, sięgam po to.

– Nawet jeśli z tego powodu zostajesz wylany?

– Ryzyko to część ambicji – odparł. – Jeśli muszę chwilowo mieszkać tutaj, zaakceptuję to, skoro następnym krokiem będzie praca dla Clyde'a – i z nim. Nie potrzebuję rezydencji ani Ivy, żeby podjąć próbę zdobycia Najlepszej w Życiu Posady. Przeprowadzka tutaj może się okazać najlepszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mogła mi się przydarzyć.

Teraz poczułam się naprawdę zagubiona.

– Skąd wiesz?

– Sama to powiedziałaś – odparł. – To Clyde Conaway. Jak myślisz, czy miałby dla mnie więcej sympatii i szacunku, gdybym mieszkał w tamtej posiadłości, czy tutaj?

Coś tu było nie w porządku. Jak ten zapach środka dezynfekcyjnego, zarazem wyraźny i niesprecyzowany; jedna rzecz maskująca inną.

– Myślę, że Clyde zorientowałby się, gdybyś próbował udawać kogoś, kim nie jesteś.

– Być może. A być może nie. – Theo się uśmiechnął. Ujął butelkę i napełnił nasze kubki. – Tak czy owak, Najlepsze Lato stanie się wkrótce Wspanialsze niż Kiedykolwiek w Dziejach. Nie muszę już mieć do czynienia z Ivy. Trzeba koniecznie za to wypić.

Uniósł kubek, a ja powoli zrobiłam to samo. Ale kiedy się nimi trąciliśmy, poczułam znowu wahanie i złe emocje, których nie potrafiłam nazwać ani odepchnąć. Nie opuściły mnie nawet po tym, gdy już wyszliśmy ze Szczęśliwej Siódemki (wiedziałam, że Theo odtąd już zawsze będzie tak nazywał tę przyczepę), zwróciliśmy rowery i wsiadłam do samochodu. Theo wcześniej zamknął drzwi na kłódkę, zarzucił plecak na ramiona, wskoczył na rower i ruszył w kierunku nabrzeża, a ja podążyłam za nim. Może to z powodu wina albo odzyskanej wolności,

ale tym razem jechał szybciej, jakby czuł się lżejszy, i wkrótce wysforował się daleko przede mną. Czekalam, aż to zauważy i zwolni, może nawet zawróci. Kiedy stało się jasne, że tego nie zrobi, zaczęłam po prostu szybciej pedałowac, uświadomiwszy sobie nagle, że za nic w świecie nie chcę zostać tu sama.

Śniło mi się, że jestem znowu w przyczepie Theo. Teraz jednak była wielka, olbrzymia, a ja szukałam drzwi i nie mogłam znaleźć. Szukałam ich coraz bardziej desperacko, a zapach środka dezynfekcyjnego się nasilał, aż w końcu okropnie się rozkasłałam. Obudziłam się, dysząc, żeby złapać oddech.

- Emaline?

Czułam się jeszcze otępiała od snu i ledwie zdołałam dostrzec w świetle poranka otwierające się drzwi mojej sypialni. Po chwili przy łóżku stanął tata w maseczce zasłaniającej usta i ściągnął ze mnie kołdrę.

- Nie powinnaś tu przebywać - powiedział.

- Jest środek nocy - odparłam, wciąż kaszląc. - Gdzie indziej miałabym być?

- Jest siódma rano - oznajmił. Pomógł mi usiąść w łóżku, a potem wstać. - A kiedy sprawdzałem około piątej trzydzieści, nie zastałem cię tutaj. No, chodź.

Dobrze, że byłam jeszcze na wpół śpiąca, nie mówiąc już o tym, że zbyt mocno kasłałam, aby można było oczekiwać ode mnie wyjaśnień - bo nawaliłam. Zamierzałam wrócić do domu wieczorem o wyznaczonej godzinie, ale zasnęłam w przyczepie, słuchając muzyki z Theo. Za dużo wina i oliwek, a nie dość czegokolwiek innego. W każdym razie, gdy w końcu się tam obudziłam, nie chciałam samotnie opuszczać terenu kempingu i zamiast tego czekałam, aż się rozwidni. A stało się to dopiero przed mniej więcej godziną. Ups.

Na szczęście tata był zbyt zaabsorbowany wyprowadzaniem mnie z toksycznej chmury, którą wytworzył, żeby już zacząć robić mi wyrzuty. Jednak gdy prowadził mnie przez próg i potem korytarzem, słyszałam, jak mamrotał:

- ...trzeba pamiętać, by się upewnić, czy wszyscy opuścili dom, zanim zastosuje się ten lakier. - W końcu wyszliśmy na dwór i głęboko wciągnęłam w płuca świeże powietrze. Tata, nadal w maseczce na twarzy, wyglądał jak chirurg oznajmiający złą wiadomość. - Czy nie odebrałaś licznych esemesów od matki?

Teraz, gdy o tym pomyślałam, przypomniałam sobie, że rzeczywiście widziałam w komórce kilka wiadomości. Ale zaraz potem padła bateria. Jedną z wielu uroków przyczepy Theo było to, że miała tylko jedno działające - chociaż staroświeckie - gniazdko elektryczne, którego potrzebował do swojego komputera. Tak więc nie mogłam podładować telefonu i byłam odcięta od świata.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Padła mi bateria.

Westchnął zirytowany zarówno na mnie, jak i na tę wymówkę; stale zwałałam winę na moją komórkę.

- Ty też mogłabyś paść, gdybym nie usłyszał twojego kaszlu.

- Czy to naprawdę takie niebezpieczne? - spytałam.

Wprawdzie rozumiałam jego obsesję na punkcie renowacji domu, ale muszą przecież być jakieś granice!

- Nie - burknął. - Ale lepiej, żebyś nie wdychała tego cztery godziny bez przerwy. No, napij się czegoś.

Rozejrzał się i spostrzegł na desce rozdzielczej mojego samochodu kubek z napojem i sterczącą z niego słomką. Gdy otwierał drzwi, by go wziąć, miałam wrażenie, że widzę wyraźnie, co się zdarzy za chwilę, i to nie będzie miłe. Pospiesznie odebrałam od niego kubek.

- Dzięki - powiedziałam i pociągnęłam duży łyk mdłego płynu, który kiedyś był napojem gazowanym. - Och. Już mi o wiele lepiej.

I w tym momencie, pomimo moich starań, żeby zakryć dłonią napis z boku kubka, tata go dostrzegł: SKLEP RYBNY I WĘDKARSKI CONROYA NA NABRZEŻU. Wcześniej mówiłam Theo, że do tego lokalu, mieszczącego się w metalowym baraku obok motelu Morski Widok, niebezpiecznie jest chodzić po zmroku, a właściwie kiedykolwiek. Ale uparł się, że jest sprytny, da sobie radę, i jednak udał się tam po zaopatrzenie.

- Co naprawdę złego może się stać w Colby? - zapytał, zanim zniknął w ciemności.

No cóż, teraz niewątpliwie miałam okazję się tego dowiedzieć.

- Sklep Conroya - powiedział tata, spoglądając na kubek, a potem na mnie. Wciąż miał na twarzy maseczkę, lecz teraz wyglądał jak rozgniewany chirurg, którego z pewnością nie chciałoby się dopuścić do siebie ze skalpelem w ręku. - Byłaś na polu kempingowym?

Liczyłam, że zapyta, czy byłam w tym sklepie. Wtedy mogłabym odpowiedzieć szczerze i zgodnie z prawdą, że nie. Ale miałam pecha.

- No... tak jakby - odrzekłam.

- Tak jakby - powtórzył. Usłyszałam warkot silnika samochodu. Oboje popatrzyliśmy w kierunku, skąd dobiega, i zobaczyliśmy mamę wjeżdżającą na podjazd. Pomachała do nas wesoło. Żadne z nas nie zareagowało. - Czyli tak.

- Byłam z Theo - wyjaśniłam, jakby to mogło stanowić jakiś argument na moją korzyść.

- A dlaczego on się tam znalazł? Sądziłem, że mieszka w jakiejś rezydencji na cyplu.

- Mieszkał, ze swoją szefową. Ale zmieniła się jego sytuacja zawodowa i... ee... życiowa.

Mama wysiadła z samochodu z torbami jedzenia na wynos z ulubionego baru śniadaniowego taty. Nosił nazwę Roy's i słynął przede wszystkim z bułek z kiełbaskami, tak wielkich i ociekających tłuszczem, że po zjedzeniu jednej trzeba było wziąć prysznic.

- Wynajął tam lokum na resztę lata - dodałam.

- Na polu kempingowym - rzekł tata, gdy mama podchodziła do nas. - I byłeś tam przez całą ubiegłą noc.

Kiwnęłam głową. Tata wydawał się wściekły. Jednocześnie poczułam zapach kiełbasek.

- Dzień dobry! - powitała mnie mama. - Nie spodziewałam się, że przyjdiesz na śniadanie. Przypuszczałam, że jeszcze śpisz u Daisy.

- Nie - rzucił tata.

Już z tego jednego słowa wypowiedzianego szczególnym tonem mama wywnioskowała, że coś się dzieje. Popatrzyła na tatę, potem na mnie.

- Co się stało? - spytała.

Żadne z nas nie odpowiedziało. Tata wciąż spoglądał na mnie gniewnym wzrokiem. W końcu rzekł:

- Wygląda na to, że Emaline spędziła noc na polu kempingowym.

- Co takiego?! - wykrzyknęła mama. Była jak reaktor: potrafiła w kilka sekund przejść od stanu neutralnego do pełnej mocy ostrego wkurzenia. - Zwariowałaś?!

- Mamo...

- Czy ty w ogóle wiesz, co się tam dzieje? Praktycznie panuje tam bezprawie! - Wcisnęła torby tacie i znowu skupiła uwagę na mnie. - Posłuchaj, wiem, że wkrótce jedziesz na studia i w zasadzie jesteś już dorosła. Ale nie wychowałam cię na głupią, bez względu na to ile masz lat.

Uch! Miałam jednak dość rozumu, żeby nie protestować ani nie próbować się bronić. Podobnie jak podczas burzy, najlepiej było znaleźć jakieś schronienie i ją przeczekać.

- Nie dostała twoich esemesów - dodał tata, wyjmując z torby bułkę zawiniętą w przetłuszczony papier. - Zastałem ją w jej łóżku, wdychającą szkodliwe opary.

- Kasłałam - przypomniałam mu, jakby to też z jakiegoś powodu miało poprawić moją sytuację.

- Byłaś w domu? - spytała mama. Odwróciła się twarzą do taty. - Myślałam, że zanim rozpocząłeś pracę, co najmniej dwukrotnie sprawdziłeś, czy wszyscy są na zewnątrz.

- Sprawdziłem. Ona przyszła później.

Popatrzyłam na niego bez słowa. Wprawdzie nie oczekiwałam, że wystąpi przeciw mamie - przede wszystkim dlatego, że nie pamiętałam, by kiedykolwiek tak się zdarzyło - ale teraz naprawdę ani trochę mi nie pomógł. Niewzruszony, zsunął w dół maseczkę, odwzajemnił moje spojrzenie i ugryzł kęs bułki.

- Emaline - rzekła mama - wysłałam ci kilka esemesów z wiadomością o użyciu lakieru. Wiedziałaś, że nie możesz być dziś rano wewnątrz domu.

Czekałam, aż tata oznajmi, że zignorowałam jej esemesy. Teraz jednak milczał, pozostawiając mi nieudolne wyjaśnienia.

- Padła mi komórka.

- Na polu kempingowym. W środku nocy - natychmiast dokończyła za mnie mama. - Co, tobie jeszcze w dodatku życie niemiłe?

Byłam przygotowana na to, że nakrzyczy na mnie z powodu komórki i spędzenia nocy poza domem. A gdybym miała dość rozsądku - albo może po prostu była mniej zaspana - nie odzywałabym się i wysłuchała całej reszty. Lecz zamiast tego spytałam głupio:

- Co to miało znaczyć?

Mama zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zmierzyła mnie ostrym spojrzeniem.

- Co powiedziałaś?

- Spytałaś, czy mi w dodatku życie niemiłe? Niby w dodatku do czego?

W trakcie tej krótkiej wymiany zdań tata zjadł całą bułkę. Teraz zgniótł papier w dłoni, a drugą ręką naciągnął z powrotem maseczkę.

- Wchodzę do środka - oznajmił. - Wszyscy inni mają pozostać na zewnątrz. Zrozumiano?

- Tak - odrzekłam.

Mama nic nie odpowiedziała. Tata się oddalił, zostawiając torbę z baru Roy's na masce mojego samochodu. Wiedziałam, że mama czeka, bym odezwała się pierwsza, jakoś wycofała się z moich słów sprzed chwili. I właśnie dlatego milczałam. Wreszcie rzekła:

- Boże, Emaline. Ja po prostu... mam wrażenie, jakbym cię już wcale nie znała.

Spodziewałam się jakiejś ostrej uwagi. Lecz to zabolowało mnie mocniej niż zwykła gniewna napaść. Poczułam się znowu jak mała dziewczynka.

- Jak możesz tak mówić? Przecież nic się jeszcze nie zmieniło.



- Chyba żartujesz? - Uniosła dłoń i zaczęła wyliczać na palcach. - Zerwałaś z Lukiem. Stale przebywasz poza domem. Nie odbierasz telefonów ode mnie ani nie odpowiadasz na moje esemesy. Odwiedzasz miejsca, o których dobrze wiesz, że nie powinnaś w nich bywać o żadnej porze, a co dopiero w nocy...

- Mam osiemnaście lat - powiedziałam. - Za kilka tygodni wyjadę do college'u.

- Ale jeszcze nie wyjechałaś! - zripostowała, celując we mnie palcem. - I dopóki tu jesteś, musisz stosować się do naszych reguł. Nie obchodzi mnie, czy masz nowego chłopaka; nadal jesteśmy twoimi rodzicami. A ta sprawa z nim ma się natychmiast skończyć.

- To nie jest wina Theo - zaoponowałam. - Tylko dlatego, że go nie lubisz...

- Nie znam go! - odparła. - Nigdy nie przyprowadziłaś go do domu, żeby nas poznał. Nie mamy pojęcia, skąd pochodzi...

- W przeciwieństwie do Luke'a, którego znaliście od zawsze - dokończyłam za nią.

- Przestań - rzekła, potrząsając głową.

- Poważnie, jeżeli wolno mi spotykać się tylko z chłopcami, z których rodzicami chodziliście do liceum, powinniście mnie o tym uprzedzić. To trochę zawęży moje pole działania.

- Nic takiego nie mówię.

- Mam nadzieję, bo jeśli dobrze pamiętam, to właśnie tobie bardzo zależało na tym, żebym w tak młodym wieku nie związała się na resztę życia z kimś stąd. Zdecyduj się wreszcie: chcesz, żebym była taka jak ty, czy nie?

Pożałowałam tych słów już w chwili, gdy je wypowiadałam. Czułam się, jakbym wystrzeliła pocisk raketowy, a teraz spoglądała na czerwony guzik i rozpaczliwie usiłowała znaleźć sposób cofnięcia tego, co przed chwilą zrobiłam. Widok natychmiastowego wyrazu bólu na twarzy mamy był gorszy od wszystkiego, co mogłaby powiedzieć. Lecz jednak przemówiła.

- To, co zrobiłam - rzekła dziwnie spokojnym głosem - to rzuciłam wszystko dla niewłaściwego człowieka. To był błąd. Nie dało się go naprawić. Mogę jedynie codziennie upewniać się, że ty nie popełnisz tego samego błędu.

- Mamo - powiedziałam.

- Masz rację. Jesteś już dużą dziewczyną. Nie mogę nadal chronić cię przed wszystkim. A zwłaszcza przed samą sobą. - Odwróciła wzrok, potem znów popatrzyła na mnie i zrobiła krok do przodu. - Ale wiedz, Emaline, że twoje obecne błędy mają znaczenie. Nie wpływają na wszystko i nie na zawsze. Niemniej jednak liczą się i kształtują cię. Nawet jeśli nie wyciągniesz żadnej nauki z tego, przez

co ja przeszłam, pamiętaj przynajmniej jedno: dokonuj trafnych wyborów. Ponieważ zawsze będziesz za nie odpowiedzialna. Właśnie na tym polega bycie dorosłym.

Co powiedziawszy, wzięła torbę z maski samochodu, odwróciła się i odeszła. A ja stałam tam w piżamie i patrzyłam, jak mama wsiada do samochodu i odjeżdża; nie spojrzała na mnie. Kiedy zniknęła mi z oczu, zerknęłam na zegarek. Oczywiście byłam już spóźniona do pracy. Podeszłam do lekko uchylonych frontowych drzwi i wetknęłam głowę do środka, wypatrując taty.

- Halo! - zawołałam.

Żadnej odpowiedzi.

- Czy mogę wbiec pędem do domu i szybko się ubrać?

Cisza.

- Tato?

Weszłam, nasłuchując. Słyszałam tatę krzątającego się na piętrze i zaczęłam jeszcze chwilę na odpowiedź. Kiedy nie nadeszła, zaczerpnęłam ostatni głęboki haust świeżego powietrza, po czym zaryzykowałam wejście do środka, mając nadzieję, że nic mi się nie stanie. Najwyraźniej byłam teraz zdana tylko na siebie.

\* \* \*

Piętnaście minut później, czując lekkie zawroty głowy, ale już stosownie ubrana, wyruszyłam do pracy. Jednak gdy dojeżdżałam do parkingu, pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to samochód mamy, a po jego obu stronach auta Amber i Margo. Co oznaczało, że wszystkie trzy zgromadziły się już przy stole konferencyjnym i rozmawiały o mnie. Nie, wielkie dzięki! Pojechałam dalej.

O tej wczesnej porze droga do North Reddemanne była pusta; ruch samochodowy odbywał się w przeciwnym kierunku. Nie byłam nawet pewna, dokąd zmierzam, dopóki nie ujrzałam wyłaniającego się w oddali sklepu Gert's. Włączyłam migacz i skręciłam.

Nie zastałam pana Gertmanna za ladą, chociaż niewątpliwie był w pobliżu. Telewizor grał, przy kasie leżała rozłożona gazeta, a obok zjedzona w połowie jedna z tych lepkich miodowych drożdżówek. Podeszłam do lodówki i wyjęłam napój gazowany, a potem wzięłam kilka krakersów, bardziej z nawyku niż z potrzeby. Zbliżyłam się do tylnych drzwi i wyjrzałam na dom stojący tuż za sklepem. Rachel jak zawsze siedziała z pochyloną głową w oknie przy stole, pracując nad swoimi bransoletkami. Wyglądało, jakby nie zmieniła pozycji ani nawet nie poruszyła się od tamtego wieczoru przed kilkoma tygodniami, kiedy przyjechałam tu z Theo

i znaleźliśmy skrzynki na mleko. A właściwie on znalazł.

Kiedy zdarzył się ten wypadek Rachel, byłam jeszcze dzieckiem, jednak wciąż nie potrafiłam go zapomnieć. Pamiętałam wyraźnie sprzedaże wypieków i akcje mycia samochodów organizowane, by zebrać pieniądze na opłacenie kosztów leczenia szpitalnego Rachel, a także widok jej rodziców, pchających ją w wózku inwalidzkim do Da Vinci's na pizzę. Po pobycie w szpitalu i po rehabilitacji Rachel wyglądała właściwie tak jak dawniej, na zwyczajną ładną młodą kobietę. Przynajmniej na zewnątrz. Jednak umysłowo pozostała na zawsze szesnastolatką, chociaż jej ciało, a także wszystkie przyjaciółki i rodzina się postarzel. Jakie to musiało być dziwne: pozostać taką samą, podczas gdy inni się zmienili. Nawet jeśli nie potrafiło się tego pojąć, nie dało się tego nie zauważyć.

W tym momencie pomyślałam o mojej mamie, znowu ujrzałam grymas bólu na jej twarzy, kiedy wystrzeliłam w nią ten pocisk. Ona też nacisnęła klawisz pauzy w swoim życiu, chociaż w odmienny sposób – gdy zaszła w ciążę i urodziła mnie. Pozostała z tyłu, podczas gdy inni dorośli, wyjechali, rozwijali się. I co tu mówić o odpowiedzialności.

Głęboko wciągnęłam powietrze w płuca, kładąc dłoń na piersi. Wiedziałam, że ten odgłos nie mógł być słyszalny, a jednak po drugiej stronie podwórza Rachel nagle uniosła głowę i zobaczyła mnie. W jednej dłoni trzymała ukończoną w połowie bransoletkę, z tych, jakie Gert sprzedawał w sklepie, a w palcach drugiej – koralik. Po chwili spuściła wzrok.

Odwróciłam się i szybko przeszłam na front sklepu. Na ekranie telewizora jakiś facet trzymał w górze wielkiego marlina. Poniżej widniał napis: WĘDKARZ REKORDZISTA! Wyjęłam dwa banknoty, położyłam na ladzie i wyszłam.

„Dokonuj trafnych wyborów”, powiedziała mama. To coś, czego jak sądziła, nie zrobiła, i pragnęła nade wszystko, by mnie się to udało. Jednak z drugiej strony był Clyde, mówiący mi, że zawsze dostajemy drugie szanse, nawet – zwłaszcza – gdy już porzuciliśmy wszelką nadzieję, że nadejdą. Ale być może kiedy lato i życie upływają tak szybko, nie można czekać, aż los zapuka do naszych drzwi. Trzeba działać samemu.

Dom mojego ojca stał w odległości zaledwie kilku przecznic od sklepu Gerta. Gdy skręciłam na podjazd, nadal leżał tam papier, ale frontowe drzwi były otwarte.

Weszłam na werandę i zajrzałam przez siatkę w drzwiach, spodziewając się ujrzeć Benjiego przy stole z laptopem i innymi rozrywkami. Zamiast tego zobaczyłam tylko ojca z kubkiem kawy w ręku. Siedział sam, plecami do mnie, na jedynym krześle, jakie pozostało w całkiem już pustym salonie.

- Halo! - zawołałam.

Odwrócił się i, mrużąc oczy, spojrzał na mnie przez siatkę.

- Kto tam?

- To ja - odrzekłam, po czym uściśliłam: - Emaline.

- Och. - Zobaczyłam, że zerknął na zegarek. - Wejdz.

Zauważyłam, że siatkowe drzwi zaskrzypiały, gdy je otwierałam. Pomyślałam, że muszę powiedzieć Margo, by nasmarowała zawiasy, zanim pokaże komuś dom, chociaż byłam pewna, że już to gdzieś zanotowała.

- Wczesnie wstałeś - powiedziałam do ojca.

- Ty też - odparł, gdy wchodziłam do salonu. Rozejrzał się. - Zaproponowałbym ci krzesło, ale...

- W porządku - rzekłam, siadając na gołej podłodze. - Nie żartowałeś, mówiąc, że zostawisz tylko niezbędne minimum mebli, prawda?

- Nie spodziewałem się jednak, że będzie ich aż tak niewiele - oświadczył, znów rozglądając się wokół. - Ale twoja siostra wysunęła mocny argument za pozostawieniem „czystej tabliczki”, tak aby ewentualni nabywcy mogli „wytworzyć sobie własną wizję wnętrza domu”.

Uśmiechnęłam się.

- To brzmi bardzo w stylu Margo. Ona jest nie tylko agentką od nieruchomości, lecz także czymś w rodzaju siły natury.

- Podobnie jak inna znana mi kobieta z tej rodziny - odrzekł i wypił łyk kawy z kubka.

- Mama bywa trudną osobą - zgodziłam się, przyciągając kolana do piersi. - Mogę osobiście to potwierdzić. Zwłaszcza dzisiaj.

- Mama? - Wydawał się zdezorientowany. - Właściwie mówiłem o tobie.

- O mnie? - zdziwiłam się. Skinął głową. - Och, przepraszam. Ja...

- Emily jako siła natury - rzekł powoli, jakby wypróbowywał nie tylko te słowa, lecz samą ideę. - Nie mógłbym powiedzieć, że to pierwsze, co przychodzi mi do głowy, kiedy o niej myślę.

Miałam wrażenie, że wiem, co jest tym pierwszym: to ja, siedząca tu przed nim osiemnaście lat później. Jednak nie powiedziałam tego. Zacznę mówić, kiedy będę naprawdę gotowa.

- Oczywiście, kiedy ją poznałem, była młoda. Oboje byliśmy młodzi. Chyba mniej więcej w twoim wieku. O rany. - Westchnął i przez chwilę milczał. Potem nagle uśmiechnął się przeproszająco, jakby właśnie sobie przypomniał o mojej obecności. - Wybacz. Przyłapałaś mnie w nastroju zdecydowanie nadmiernie introspektywnym.

Obawiam się, że ostatnio przydarza mi się to zbyt często.

- Nie szkodzi - odrzekłam. - Wydaje się, że coś takiego wisi w powietrzu.

Znowu podniósł kubek.

- Prawdę mówiąc, sądziłem, że będę zachwycony perspektywą szybkiej sprzedaży tego domu. Ale teraz, gdy tak rzeczywiście może się stać, myśl o porzuceniu go na zawsze... wydaje mi się bardziej gorzka, niż się spodziewałem.

- Dostałeś już jakąś ofertę kupna?

Spojrzał na mnie, kiwając głową.

- Nie dalej jak wczoraj. Dom był wystawiony na sprzedaż dopiero od trzech tygodni. A tyle się mówi o powszechnym kryzysie finansowym, co?

- Przyjmiesz tę ofertę?

- Moglibyśmy z łatwością to zrobić. - Rozparł się na krześle i wypił kolejny łyk kawy. - To byłoby idealne rozwiązanie. Moglibyśmy przyspieszyć załatwienie dokumentów, a potem wrócić do miasta. Benji miałby czas, aby przed rozpoczęciem szkoły przywyknąć do tego, że się od nich wyprowadziłem...

- Ale on myśli, że pobędzie tu trochę dłużej - powiedziałam.

- Wiem. I będzie rozczarowany. Ale i tak w końcu musimy stąd wyjechać. Kilka tygodni w tę czy w tamtą nie robi wielkiej różnicy.

Nie byłam tego taka pewna. Wprawdzie do mojego wyjazdu na studia pozostała określona liczba dni - co nie znaczy, że je odliczałam - jednak gdyby mi je nagle odebrano, niewątpliwie poczułabym się oszukana. I może też trochę przestraszona.

- Ja naprawdę... - urwałam i przełknęłam z trudem ślinę. - Będzie mi go brakować.

Ojciec spojrzał na mnie.

- Wiem. A on będzie tęsknił za tobą. Stałaś się jedynym jasnym punktem tego lata, które inaczej byłoby dla niego dość ciężkie. Doceniam wszystko, co zrobiłaś.

- Przecież jest moim bratem - odrzekłam.

Ojciec uśmiechnął się na te słowa. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Skoro rzeczywiście obaj mieli wkrótce wyjechać, był to jeszcze jeden powód, żebym ostatecznie rozwiązała tę niezakończoną sprawę między mną a ojcem. Może w tym momencie los dawał mi tę szansę, a ja musiałam tylko ponieść odpowiedzialność za to, jak ją wykorzystam.

- Naprawdę się cieszę, że przyjechaliście tutaj tego lata - zaczęłam. - Nawet jeśli powód nie był, no wiesz, zbyt miły.

Ojciec uśmiechnął się cierpko i wypił łyk kawy.

- To dość oględnie powiedziane.

Zrobiłam głęboki wdech. Teraz, pomyślałam.

- Prawdę mówiąc, aż do tamtego dnia kiedy zadzwoniłeś, myślałam, że być może już nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz.

Na te słowa znowu zareagował natychmiastowym napięciem, widocznym na twarzy i w postawie całego ciała, jakby gotował się do walki lub ucieczki.

- Powiedziałem ci, nie ma potrzeby, żebyśmy rozmawiali o tym wszystkim - rzekł sztywnym tonem. - To już przeszłość.

- Możliwe - odparłam. - Jednak to mnie naprawdę zraniło. I dezorientowało. Nie rozumiałam dlaczego...

- Ponieważ byłem w trakcie rozwodu - przerwał mi ostro. - Ponieważ sądziłem, że będę miał pieniądze, a potem okazało się, że nie mam. Oto dlaczego.

Chwilę trwało, zanim zdołałam odpowiedzieć:

- Pieniądze? Myślisz, że o to mi chodzi?

- Myślę - rzekł - że wystarczająco źle się stało, że musisz pójść do stanowego college'u po całej tej pracy, jaką wykonaliśmy, żebyś dostała się na Uniwersytet Columbia. Jediną gorszą od tego rzeczą jest twoja nieustanna potrzeba czynienia mi z tego powodu wyrzutów.

- Czynienia ci wyrzutów? - powtórzyłam. - Przecież nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Uniósł dłonie.

- A co teraz robimy?

- Teraz - powiedziałam, wykonując rękami kolisty gest między nami - rozmawiamy tylko dlatego, że przyszedłam tutaj i zmusiłam cię do tego. Gdyby to zależało od ciebie, musiałabym nadal dusić w sobie ból, ponieważ ty nie lubisz czuć się zakłopotany.

- Czego naprawdę nie lubię - zripostował - to ciągłego wałkowania moich błędów. Próbowałem ci pomóc i poniosłem porażkę. Proszę bardzo. Czy właśnie to chciałaś usłyszeć? Jesteś zadowolona?

Na moment odbrało mi mowę. W końcu zdołałam wydusić:

- Dostałam pełne stypendium w dobrym college'u. To nie porażka.

- Ale nie na Columbii - odrzekł z westchnieniem.

- Zaraz, więc o to chodzi? - spytałam. Spojrzał na mnie ze znużoną miną. - Tylko dlatego, że sprawy nie potoczyły się dokładnie tak, jak chciałeś, nie mają żadnej wartości?

- Byłem rozczarowany - oświadczył.

- Rozczarowanie to część życia - przypomniałam mu. - Podobnie jak zmiany.

Powiedziałeś mi, że Benji powinien już to pojąć. Dlaczego więc ty nie potrafisz?

- Nic nie rozumiesz! - rzucił, podnosząc głos.

Nigdy jeszcze nie widziałam ojca zdenerwowanego, nie znałam go z tej strony i poczułam, że się czerwienię, że też reaguję gotowością do walki lub ucieczki. Ale nie ustąpiłam pola. Po milczeniu przez tak długi czas, byłam gotowa znieść krzyk.

- Columbia była dla mnie szansą wynagrodzenia ci wszystkiego - ciągnął. - Wydostania cię stąd, zapewnienia ci życia innego niż życie twojej matki czy babki. I nie zdołałem tego zrobić!

Przełknęłam ślinę z wysiłkiem i zmusiłam się, by nabrać powietrza. Czując niesamowity spokój, odpowiedziałam:

- Nigdy nie spotkała mnie krzywda. Nie potrzebowałam, żebyś mi cokolwiek wynagradzał.

Potrząsnął głową.

- W tym cały problem, Emaline. Nie wiesz, czego naprawdę potrzebujesz.

- Potrzebowałam - odrzekłam, starannie dobierając słowa i ton głosu - abyś odpowiedział na moje zaproszenie na uroczystość ukończenia liceum. Abyś zobaczył, jak odbieram dyplom. Abyś był ze mnie dumny, bez względu na to do jakiej uczelni mnie przyjęto.

- Chciałem dla ciebie tego co najlepsze - powiedział zduszonym głosem. - Wyłącznie tego, co najlepsze.

- Cóż, szkoda - odparłam. - Kiedy masz dziecko, godzisz się na cały zestaw: na to, co dobre, co złe i na wszystko pomiędzy. Nie możesz sortować i wybierać tylko te elementy, które ci odpowiadają, a odrzucać to, co nie jest doskonałe.

- Chciałem cię wyrwać z tej miejsciny - odparował.

- Przecież stąd wyjeżdżam!

- Do miejsca odległego o zaledwie dwie godziny drogi.

- Tak, najpierw - powiedziałam. - Ale stamtąd mogę pojechać dokądkolwiek. To ma być linia startu, nie mety.

- Jesteś taka młoda! - jęknął, uderzając się dłonią w czoło. - Nie masz pojęcia, jak jedna błędna decyzja, jeden głupi błąd może zmienić wszystko. A kiedy to już się stanie, wierz mi: nie da się tego odwrócić. Ale najgorsze, że spędzi się później resztę życia, usiłując daremnie to naprawić.

„Jedna błędna decyzja. Jeden wielki błąd”. Jedno lato. Jedna dziewczyna. Jedna Emaline.

- Mówisz w formie bezosobowej - rzekłam cicho. - Ale masz na myśli mnie, prawda?

Przygryzł wargę i nic nie odpowiedział. Nie musiał. Ponieważ w tym momencie nagle zrozumiałam. Przez cały ten czas, od tamtego dnia w restauracji U Igora, kiedy ojciec po raz pierwszy poruszył temat college'u, myślałam, że chodzi mu o moje życie, o moją przyszłość. Lecz w istocie nigdy nie chodziło o mnie.

Mama nauczyła mnie wielu rzeczy. Ale jedną z najważniejszych było to, że jeśli popełniło się błąd, trzeba się do tego przyznać, wyciągnąć z niego naukę. Teraz wiedziałam, że ojciec tego nie potrafi, nie umie nawet zrezygnować z daremnych prób naprawienia owego błędu. Jednak to jego problem. Niezależnie od tego, co myśli, ja nie byłam tym problemem ani błędem. Byłam jego córką. I wbrew temu wszystkiemu, wbrew niemu zamierzałam po prostu sobie poradzić.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, spoglądając na siebie. Jakby każde następne słowo miało już na zawsze naruszyć chwiejną równowagę między nami. Być może dobrze więc, że to nie żadne z nas je wypowiedziało.

- Halo! - dobiegł zza siatkowych drzwi donośny, wesoły głos. - Jest tam ktoś?

To była Margo. Ojciec jeszcze przez moment wytrzymał moje spojrzenie, a potem odwrócił wzrok.

- Jesteśmy tutaj - powiedział. - Wejdz.

Siatkowe drzwi zaskrzypiały głośno.

- Przed następną wizytą muszę je nasmarować - oświadczyła, stukając obcasami.

- A także zrobić tutaj tysiąc innych rzeczy. Ale najpierw zakomunikuję wspaniałą wiadomość. Zainteresowani nabywcy chcą...

Trudno powiedzieć, czy urwała na mój widok, czy dlatego, że wyczuła ciężką atmosferę napięcia. Tak czy inaczej, umilkła. Na mniej więcej dwie sekundy.

- Emaline - powiedziała w końcu. - Co robisz tu o tak wczesnej porze?

Przełknęłam ślinę, starając się opanować.

- Byłam w pobliżu, więc zajrzałam.

- Och. - Przyjrzała się uważnie mojej twarzy, którą pokrywał rumieniec, a potem mojemu ojcu. - No cóż, to świetnie. Zatem ty też usłyszysz tę nowinę jako pierwsza: nabywcy gotowi są podpisać list intencyjny!

Była tak podekscytowana tym faktem, że przypominała mi w tym Theo. Najwyraźniej uważała, że nadszedł czas na uroczyste świętowanie. Co niestety było trochę trudne, skoro trafiła akurat w strefę działań wojennych. Jednak spróbowałam okazać entuzjazm:

- To wspaniale, Margo.

- Nieprawdaż? - Popatrzyła na mojego ojca. - W tym tempie będziemy mogli wcześniej rozpocząć wszystkie oględziny, a potem zajmiemy się przygotowaniem



umowy i resztą papierkowej roboty.

- Doskonale - rzekł ojciec, wstając z krzesła. - Zabierzmy się do tego. Pora, byśmy obaj z Benjim wrócili do domu.

- Och, naturalnie - rzuciła Margo. - Istotnie lepiej, byście nie musieli mieszkać tutaj podczas całego zamieszania związanego ze sprzedażą, jeśli można tego uniknąć. Właśnie sobie uświadomiłam, że zostawiłam w samochodzie teczkę z dokumentami - jak zwykle! - pozwól więc, że ją przyniosę, a potem omówimy kilka wstępnych szczegółów...

- Dobrze - rzekł ojciec, przerywając jej. - Będę w kuchni.

Co powiedziawszy, oddalił się. Odszedł w głąb korytarza, poza zasięg mojego wzroku; znowu zniknął. Tym razem jednak nie czułam się zagubiona, zraniona ani pełna gniewu. Tylko smutna i rozczarowana. Jakbym w końcu dopadła jakieś Wielkie Wydarzenie w moim życiu, które ściagałam od lat, i zorientowała się, że już dawno się skończyło i przeminęło.

Wstałam i ruszyłam do drzwi. Margo podążyła za mną.

- Nic ci nie jest? - spytała. - Wydajesz się...

- Czuję się świetnie - odparłam, idąc alejką.

- Pokłóciłaś się z nim?

- Muszę już iść, Margo.

- Hej! - Wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia. - Spójrz na mnie.

Odwróciłam się twarzą do niej.

- Proszę cię, spóźnię się do pracy, rozumiesz?

- Emaline, co się stało?

- Nic.

Z wyraźnym powątpiewaniem przechyliła głowę na bok, gdy wsiadałam do samochodu. Ale rzecz w tym, że powiedziałam prawdę. „Nic się nie stało”. Właśnie tak zawsze się działo, ilekroć chodziło o mojego ojca, z wyjątkiem tamtych kilku miesięcy, kiedy mylnie wzięłam jego próżność za coś innego. Jednak na tym polegał problem. Jeżeli nigdy nie doświadczyłaś od kogoś miłości, nie potrafisz jej rozpoznać, nawet jeśli rzeczywiście się pojawi. Szukasz jej we wszystkim - każde jasne światło nad głową może się wydać gwiazdą.

Przez całą drogę powrotną do Colby mogłam myśleć tylko o tym, że utraciłam coś, czego w gruncie rzeczy nigdy nie miałam. A jednak smutek tej ostatecznej rezygnacji był równie rzeczywisty jak łzy, które napływały mi do oczu. Co gorsza, nie miałam pojęcia, dokąd mogłabym pojechać, ani nie znałam nikogo, kto potrafiłby mnie zrozumieć. Nie Theo, z którym i tak łączyła mnie trudna relacja, ani nawet nie

Morris czy Daisy, którzy słyszeli już ode mnie o moim ojcu tyle, że starczy nam na resztę życia.

Gdyby światła sygnalizacyjne przed naszą agencją nieruchomości nie zmieniły się na czerwone, jestem pewna, że minęłabym ją i nie zatrzymując się, pojechała przez most, a może nawet jeszcze dalej. Ale kiedy zapaliły się już żółte, delikatnie nadepnęłam hamulec i otarłam oczy. Po chwili spojrzałam na parking i zobaczyłam mamę.

Stała na frontowej werandzie biura, obserwując ruch na szosie. Widocznie Margo już do niej zadzwoniła. Odczekałam uderzenie serca, potem drugie. W końcu spostrzegła mój samochód. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, przygryzła usta, a potem zeszła po schodkach na parking, krzyżując ramiona na piersi. Światła się zmieniły, a ja włączyłam migacz i skręciłam na parking; teraz już szlochałam. Ją też rozczarowałam - dziś, a także strasznie często w ostatnich dniach. Ale mimo to kiedy wysiadałam z samochodu, ona na mnie czekała.

To nie był mikser do koktajli tylko jakieś monstrum.

- Wiesz - rzekła do mnie mama, stojąc w otwartych drzwiach salki konferencyjnej

- nie musisz załatwiać tego dzisiaj.

- Już od ponad tygodnia jest na liście rzeczy zamówionych - przypomniałam, siadając na krześle z nożem do otwierania kartonowych pudeł w rękę i wybierając odpowiedni kąt, pod którym mogłabym zacząć ciąć.

- Zamówił go właściciel domu, nie lokator. I nawet nie wie, że ten mikser już przysłało.

Spojrzałam na nią.

- Nie chciałybyś mieć tego urządzenia, gdybyś wiedziała, że już nadeszło?

Mama raz jeszcze przyjrzała się obrazkowi na frontowej ścianie pudła, na którego widok przed kilkoma minutami, kiedy firma UPS dostarczyła tę przesyłkę, dosłownie odebrało nam mowę. Widziałyśmy już wiele rozmaitych mikserów. Ale nigdy czegoś takiego jak ten Slusher Pro.

W zasadzie było to urządzenie do przyrządzania koktajlu margarita. Ale to tak jakby nazwać Mount Everest stromym wzgórzem. Mikser był olbrzymi. Miał jeden megapojemnik, który według opisu na pudle mógł pomieścić do piętnastu litrów soku, alkoholu i lodu. Już samo to było imponujące. Ale na ruchomej podstawie miksera znajdowało się także pięć innych pojemników, dzięki czemu po naciśnięciu guzika można było mieć zawsze świeżą porcję koktajlu. Aby należycie spić gości, wystarczyło tylko regularnie spłukiwać pojemnik i ponownie napełniać go alkoholem, a Slusher Pro wykonywał całą resztę.

- Nadal uważam - powiedziała mama, gdy zmagalam się z otwarciem pudła - że powinniśmy móc odstąpić od tego zakupu. Nic dobrego nie wyniknie z tak wielkiego spożycia tequila.

- No nie wiem. Kiedy ostatnio widziałam Ivy, wyglądała, jakby tego potrzebowała.

Wydawało się zarówno stosowne, jak i paradoksalne, że to właśnie właściciele rezydencji Sand Dollars zakupili to olbrzymie urządzenie. Zamówienie tak długo czekało na realizację z powodu braku miksera w magazynie sklepu, że tak oni jak i my całkiem o nim zapomnieliśmy. Jednak kiedy zajrzeliśmy do dokumentów, przypomniałam sobie o notce właścicieli, dotyczącej konieczności pozostawienia

nad obszarem baru wolnej przestrzeni na „akcesoria do przyrządzania koktajli”. Przymuszczałam, że chodzi o półkę z shakerami i sitkami. Lecz się myliłam.

- Nikt tego nie potrzebuje - odparła matka. Wzięła do ręki książeczkę opakowaną w folię. - Czy to instrukcja obsługi? Dobry Boże, jest grubsza niż ta od kserokopiarki!

- Nie pomagasz - rzekłam do niej, wyjmując z pudła wielką podstawę podobną do silnika. - Możesz zrobić trochę miejsca na stole?

Usłuchała, odsuwając na bok resztki bułek i napojów z baru Roy's, które tak jak się spodziewałam, zastałam leżące tam, kiedy weszliśmy przed godziną. Poczułam wówczas tylko zapach kiełbasek, gdy mama zaprowadziła mnie do krzesła, kazała usiąść, a potem przyniosła jedną ze zmrożonych coca coli Benjiego i pudełko chusteczek. Używając jednej i drugich, opowiedziałam jej, co zaszło między mną a ojcem, przy czym rozboleła mnie głowa od picia lodowatej coli albo od rześzystych łoż. Tak czy inaczej, kiedy wreszcie przestałam mówić, byłam tylko zasmarkanym, pełnym kofeiny nieszczęściem.

- Dość tego - powiedziała, gdy skończyłam, i sięgnęła po telefon. - Zaraz do niego zadzwonię.

- Nie! - zaprotestowałam. - To nie twój problem.

- Jak możesz tak mówić? - Pochyliła się na krzesło, tak że zetknęliśmy się kolanami, i ujęła moje dłonie. - Jedyne, czym zawsze się chlubiłam, to tym, że robiłam co w mojej mocy, by nie dopuścić, żeby on cię skrzywdził. A jednak ciągle się to zdarza.

- Jestem już dorosła - odparłam. - Muszę nauczyć się radzić sobie z takimi jak on. Co oznacza, że nie powinnam pozwalać, by mama staczała bitwy za mnie.

W przeszłości stoczyła ich już tak wiele, że starczy do końca życia. Poza tym, prawdę mówiąc, to co powiedziała podczas naszej wcześniejszej kłótni, wciąż tkwiło mi w pamięci, nawet jeśli ona już o tym zapomniała. Przed osiemnastoma laty zrezygnowała ze swojej przyszłości dla mojej. To, że mogłaby kiedykolwiek choć przez chwilę pomyśleć, że popełniła błąd, stanowiło wystarczający powód, bym pragnęła każdego dnia starać się udowodnić jej coś wręcz przeciwnego.

- Nie powinien cię atakować, kropka - powiedziała, wyraźnie nieprzekonana. - Nie mogę uwierzyć, że on wciąż zachowuje się jak rozpuszczony smarkacz. Słowo daję, wygląda, jakby nigdy nie dorósł.

- Nic mi nie jest, mam - zapewniłam.

- Czyżby? - spytała, wskazując stertę zmiętych wilgotnych chusteczek na stole przede mną.

- Tak - potwierdziłam.

Wiedziałam, że to brzmi dziwnie. A jednak gdzieś pod powierzchnią łez i szlochów doznawałam uczucia ulgi, wrażenia, że coś, co od dawna mnie nękało, nareszcie się skończyło. Już od miesięcy tłumiłam w sobie ten ból i zagubienie, nie pozwalając, bym naprawdę je poczuła. Ale w trakcie niedawnej jazdy z North Reddemane w końcu ich doświadczyłam. W przeszłości nie łączyła mnie z ojcem żadna głęboka więź. Zmieniło się to nagle na krótko, kiedy stał się dla mnie tym wszystkim, czego mi brakowało i czego potrzebowałam. Obecnie jednak nie stanowił już dla mnie problemu do rozwiązania. Zamiast tego był realnością, którą musiałam zaakceptować, podobnie jak to, że zawsze będzie częścią gałęzi mojego drzewa genealogicznego. Płynęło z tego poczucie spokoju, jak również ze świadomości, że to, czy on kiedykolwiek stanie się w moim życiu jeszcze czymś innym, będzie zależało wyłącznie ode mnie.

Gdy wyjmowałam z pudła pozostałe części miksera Slusher Pro, poczułam, że w kieszeni zawibrowała komórka. Zobaczyłam wiadomość od Theo:

*Rozpoczęła się już faza pierwsza operacji Najlepsza w Dziejach Przyszła Posada. Jadę na rozmowę z Clyde'em.*

Najwidoczniej nie tylko ja funkcjonowałam w trybie ważkich życiowych zmian. Odpisałam, życząc mu szczęścia, i wstałam z krzesła.

- Od Theo - wyjaśniłam mamie.

- Jasne.

Zamilkłyśmy na chwilę. Naśladując tatę - znanego w naszej rodzinie jako Wielki Monter - rozłożyłam starannie na stole wszystkie części miksera, a potem otworzyłam instrukcję obsługi. W końcu powiedziałam:

- Wiesz, to naprawdę miły chłopak.

- Nie wątpię - przyznała. - Ale nadal nie chcę, żebyś jeździła na pole kempingowe.

- Więc jak mam się z nim widywać?

- Pozostaje cała reszta miasteczka - odparła sucho. - Jestem pewna, że coś wymyślisz.

- A zatem możemy się spotykać w moim pokoju? Obiecuję, że będę zamykać drzwi na klucz.

Mama rzuciła mi ostre spojrzenie.

- To nie jest śmieszne.

Ja jednak się roześmiałam. Mama wyszła, wzdychając głośno. Wyprawiłam się do magazynu i wyszperałam śrubokręty potrzebne mi, żebym mogła zabrać się do

pracy. Pomimo rozmiarów zarówno samego miksera, jak i instrukcji – która okazała się w połowie przepisami na drinki – poszło mi szybko i w ciągu mniej więcej czterdziestu minut urządzenie zostało zmontowane. Wtedy jednak stanęłam przed kolejnym problemem.

– Och, racja – powiedziała mama, gdy ponownie ją przywołałam. – Transport. Zaczekaj, czy on w ogóle przejdzie przez drzwi?

– Nawet nie żartuj w ten sposób – odparłam. Oczywiście do tej pory o tym nie pomyślałam. – Chodzi o to, że nie zdołam sama dostarczyć go do rezydencji Sand Dollars.

– Pomogłabym ci, ale mam spotkanie o dziesiątej – oświadczyła. Omiotła wzrokiem biuro przez wewnętrzne okna salki konferencyjnej. – A może Rebecca?

Rzuciłam jej sceptyczne spojrzenie.

– Widziałaś, żeby kiedykolwiek coś dźwigała? Spójrz na jej wątle bicepsy.

– Masz rację. – Mama westchnęła. – No cóż, chwilowo to zostawmy, a później...

W tym momencie zjawiała się odsiecz. A raczej Morris i Benji. Tuż za nimi weszła Margo, która jednak, podobnie jak Rebecca, też nie słynęła ze szczególnej krzepy.

– O rany! – wykrzyknął Benji na widok miksera. – Czy to urządzenie do koktajli mlecznych?

– Coś w tym rodzaju – odrzekłam.

– Slusher Pro – zauważył z podziwem Morris. – Super.

– Znasz je?

– Mają taki w Tallyho – wyjaśnił. Gdy spojrzałam na niego zaskoczona, dorzucił: – O co ci chodzi? Pracowałem tam kilka razy na zmianie.

– Tak?

– Co cię tak dziwi? – spytał. – Ja naprawdę pracuję, wiesz?

– To nie pasuje do Morrisa, jakiego znam – powiedziałam, przyglądając mu się uważnie. – Z kim rozmawiałeś?

– Z nikim.

Tylko popatrzyłam na niego bez słowa.

– Wczoraj wieczorem natknąłem się w Gas/Gro na Clyde'a – przyznał, wzruszając ramionami. – Powiedział, że potrzebuje kogoś do kilku dorywczych robót. Myślę, że dzięki temu oraz pracy w Tallyho i dla Ivy zarobię wreszcie trochę kasy. Może wystarczy na podróż jesienią do Savannah.

– Do Savannah? – Uniosłam brwi. – Więc nie zamierzasz zrobić tego, o czym rozmawialiśmy kilka dni temu u mnie?

– Jeszcze nie wiem – odrzekł. – Pomyślałem po prostu, że najpierw spróbuję

ruszyć się z kanapy, a później się zobaczy.

Uśmiechnęłam się.

- Stale mnie zadziwiasz.

- No tak. - Morris nie był typem skłonny do okazywania emocji, zwłaszcza publicznie i w świetle dnia. - W każdym razie teraz wybieram się do Washroom.

- Rany - powiedziałam, starając się nie pokazać po sobie zaskoczenia. - To fantastycznie. Chociaż dla mnie pechowo się składa. Miałam nadzieję, że znajdziesz czas, żeby pomóc mi zawieźć to do domu Ivy.

- Ja mógłbym pomóc! - zaofiarował się Benji, podskakując podekscytowany. - Mogę?

- Oczywiście - zapewniłam go. - Ale myślę, że możemy potrzebować jeszcze czyichś mięśni.

- Och, racja. - Zerknął na Rebeckę. Popatrzyła na nas, niewątpliwie dziwiąc się, dlaczego spoglądamy tak lekceważąco na nią i jej patykowate ręce. - Słuchaj, już wiem! Możemy poprosić Luke'a.

- Luke'a? - powtórzyłam.

- Tak. Przed chwilą widziałem go na zewnątrz - oświadczył Benji. - Zaczekaj!

I zanim zdołałam go powstrzymać, wybiegł za drzwi, zatraskując je za sobą. Chwilę później znów się otworzyły i w progu stanęła atrakcyjna brunetka w czarnych spodniach, powłóczystej bluzce i sandałach. Ujrawszy mnie, uśmiechnęła się promiennie.

- Cześć, Emaline! - rzuciła. Gdy podeszła bliżej, zorientowałam się, że to moja macocha. - Joel powiedział, że mogę cię tu zastać. Tak się cieszę, że cię widzę!

Nad jej ramieniem zobaczyłam, że mama usiłuje dostrzec jej twarz.

- Witaj, Leah - powiedziałam na tyle głośno, by mama usłyszała. - Nawet nie wiedziałam, że tu przyjedziesz.

- Nie? No cóż, rzeczywiście zdecydowałam w ostatniej chwili. - Cofnęła się, trzymając mnie na odległość wyciągniętych ramion. - Och, wyglądasz już na taką dorosłą! Nie do wiary, za kilka tygodni rozpoczniesz studia. Jesteś tym podekscytowana? Denerwujesz się?

- Właściwie jedno i drugie.

- Nie wątpię. - Gdy uścisnęła mi dłonie, nadal uśmiechając się serdecznie, przypomniałam sobie, jak bardzo w gruncie rzeczy ją lubiłam, kiedy kilkakrotnie się zetknęliśmy. - Ale na pewno świetnie sobie poradzisz. Jesteśmy z ciebie oboje tacy dumni.

Zważywszy na wydarzenia dzisiejszego poranka, trochę trudno było mi uwierzyć,

że naprawdę oboje. Jednak doceniałam jej słowa.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Och! To mi coś przypomniało. Póki pamiętam... - Sięgnęła do torebki, szperała w niej chwilę i wreszcie wyjęła niebieską kopertę. Przycisnęła ją do piersi, zerknęła przelotnie na drzwi, po czym rzekła: - Przede wszystkim muszę powiedzieć, że wiem, że to strasznie późno. Czuję się tym bardzo zakłopotana. Ale jak zapewne słyszałaś, od wiosny mieliśmy... eee... wiele spraw na głowie. Właściwie mam to już od czerwca. Tylko jakoś nie udało mi się wrzucić do skrzynki pocztowej.

Podawała mi kopertę, a ja ją wzięłam, świadoma tego, że mama i siostra przyglądają się temu ze swoich gabinetów. Chciałam po prostu podziękować Leah i otworzyć kopertę później, ale patrzyła na mnie tak wyczekująco, że pojęłam, że czeka na ujawnienie wielkiej niespodzianki. Wsunęłam palec pod skrzydełko koperty i wyjęłam pocztówkę.

Z OKAZJI UKOŃCZENIA PRZEZ CIEBIE LICEUM, widniały na froncie słowa nakreślone dużym, zamaszystym charakterem pisma. Po drugiej stronie było kilka kwiecistych zdań mówiących o „wchodzeniu w przyszłość z wielkimi nadziejami i marzeniami”, a pod nimi dużymi literami: GRATULACJE! Z WYRAZAMI MIŁOŚCI OD TATY, LEAH I BENJIEGO. Do tej strony pocztówki przyklejony był taśmą złożony czek.

- Nie musieliście tego robić - powiedziałam, nagle zakłopotana.

- Oczywiście, że musieliśmy! To jeden z najważniejszych momentów w twoim życiu. - Wycelowwała we mnie palec. - Tylko przyrzeknij mi, że wydasz to na coś przyjemnego, dobrze? Nie musi być na książki czy inne pomoce naukowe. Chyba że, no wiesz, tak zechcesz.

- Dziękuję - powiedziałam.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, a ja mogłam wreszcie włożyć kartkę do kieszeni, akurat gdy wrócił Benji, teraz w towarzystwie Luke'a. Nadal na widok Luke'a czułam lekkie trzepotanie serca. Jakby przez wszystkie te lata wyrzył w nim ślad, który nigdy nie zniknie.

- Jest! - wykrzyknął Benji. - Już odjeżdżał, ale go zatrzymałem.

- Tym gorzej dla ciebie - rzekłam do Luke'a.

- Hej, podobno to ma związek z koktajlami margarita - odparł. - Właśnie coś takiego pragnąłem usłyszeć.

- Jest dopiero dziewiąta rano - przypomniałam mu.

- Chcesz, żebym pomógł, czy nie?



Leah przyciągnęła do siebie Benjiego.

- Stary, co powiesz na to, żebyśmy poszli na śniadanie?

- Ale ja pomagam Emaline i Luke'owi - zaprotestował.

- Och, nie przejmuj się - powiedziałam. - Śniadanie jest lepsze niż targanie tego urzędnika.

- Ale to moja praca - oświadczył, odwracając się do mnie. - Prawda?

Zdziwiona Leah uniosła brwi.

- Benji wykonywał dla mnie kilka zadań - wyjaśniłam. - Był bardzo pomocny.

- Wymyśliłem nowy system podawania napojów i pakietów - wtrącił. -

I zmroziłem wodę do picia!

- To wspaniale, kochanie - powiedziała do niego Leah, rzucając spojrzenie na mnie. - Ale Emaline z pewnością zrozumie, jeżeli zechcesz wziąć wolny dzień, żeby pokazać mi Colby.

- Och, naturalnie - rzekłam szybko. - Idź i baw się dobrze. Kiedy wrócisz, nadal będzie tu wiele pracy dla ciebie.

Benji nie wydawał się przekonany ani pełen entuzjazmu. Ale kiedy jego mama objęła go ramieniem, pozwolił się odwrócić w kierunku drzwi. Leah zawołała do Margo:

- Czy tam w domu podpisałam wszystko, czego potrzebowałam? Czy może jest coś jeszcze?

- Chwilowo nie - odrzekła moja siostra. - Resztą zajmiemy się, kiedy spotkamy się dziś po południu. Tymczasem postaram się znaleźć wam lokum na kilka najbliższych dni.

- Och, byłoby cudownie. Bardzo ci dziękuję.

- To dla mnie przyjemność - zapewniła ją Margo.

Oboje wyszli, Benji nieco się ociągając. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, zapytałam siostrę:

- Wiedziałaś, że ona przyjeżdża?

- Wiedziałam, że z jakiegoś powodu zamierza przyjechać. Ale zaskoczyło mnie, gdy ją dzisiaj zobaczyłam. Jednak cieszę się, bo dzięki temu można było zabrać się do papierkowej roboty. - Zniżyła głos: - Słuchaj, dobrze się czujesz? Zdaje się, że mocno przeżyłaś tamto zajście z ojcem.

- Nic mi nie jest - odparłam. Do Luke'a zaś powiedziałam: - Więc naprawdę chcesz pomóc?

- W przetransportowaniu urzędnika do koktajli margarita? - Parsknął. - Jasne! Co może być w tym trudnego?

Dwadzieścia minut później, przed domem Sand Dollars, dowiedzieliśmy się co. Mikser nie tylko był ciężki - z winy tego olbrzymiego silnika - ale miał też nadzwyczaj niewygodny wielki kształt, wskutek czego nie dawało się go dobrze chwycić właściwie z żadnej strony. Przed biurem Agencji Colby zwerbowałem dwóch naszych pracowników obsługi technicznej, a także Rebeckę z jej patykowatymi rękami, żeby pomogli nam załadować monstrualne urządzenie na tył furgonetki. Teraz jednak Luke i ja byliśmy zdani tylko na siebie.

- Jeżeli dostanę przepukliny - wysapał, stojąc schodek wyżej ode mnie i próbując ruszyć się do tyłu - pozwę do sądu całą twoją rodzinę.

- Może pomogłoby, gdybyś ściągnął koszulę - zasugerowałam. - Wydaje się, że to działało podczas czyszczenia basenów, prawda?

- Chcesz, żebym to upuścił? - spytał, wskazując głową swój koniec maszyny.

- O Boże, proszę, nie! - rzekłam ze śmiechem.

- Tak myślałem. - Stęknął i wszedł na następny schodek. - To takie typowe. Jesteśmy razem od pół godziny, a ty już próbujesz mnie rozebrać.

- Nie pochlebiaj sobie - odparowałam. - A poza tym, czyż nie masz dziewczyny? Spojrzał na mnie.

- Gdzie to słyszałaś?

- W Tallyho wszyscy o tym mówią. - Gdy przewrócił oczami, rzekłam: - Żartuję. Amber mi powiedziała. Zresztą, przecież widziałam was razem, pamiętasz? Założyłeś dla niej krawat.

- Krawat założyłem na prośbę matki - skorygował.

- Tak czy inaczej... - urwałam i zapadła cisza, która mogłaby wydać się krępująca, gdybyśmy już wcześniej nie czuli się niezręcznie. - Cieszę się, że masz kogoś.

- No, tak - odparł; był wyraźnie zakłopotany. Zresztą nie tylko on. Jednak to musiało coś znaczyć, że doszliśmy do tego tematu. - Dzięki.

Byłam już cała spocona, paliły mnie napięte z wysiłku mięśnie ramion, a nogi się pode mną trzęsły. Byłam pewna, że za chwilę moje płuca pękną jak balony. Tak więc w samą porę dotarliśmy do szczytu schodów. Alleluja!

- O... mój... Boże - wydyszał Luke, gdy postawiliśmy maszynę na ziemi. Pochylił się, opierając dłonie o kolana. - A jeszcze nawet nie skończyliśmy.

- Nie będzie już więcej schodów - pocieszyłam go. - Chociaż rzeczywiście musimy sobie poradzić z następną przeszkodą.

- Z czym?

- Nie z czym, lecz z kim.

Nacisnęłam dzwonek. Po chwili zatrzeszczał domofon.

- Jeżeli coś sprzedajesz - zabrzmiał donośny głos, już poirytowany - nie jestem zainteresowana. A właściwie nie jestem zainteresowana, nawet jeśli nic nie sprzedajesz, kropka.

Luke uniósł brwi.

- Cześć, Ivy! To ja - zawołałam wesoło. - Emaline.

Cisza. Potem Ivy oznajmiła stanowczym tonem:

- Theo już tu nie mieszka.

- Przyjechałam w oficjalnej sprawie agencji nieruchomości - wyjaśniłam. - Możesz mnie wpuścić?

Znowu zapadła cisza, a potem trzasnął otwierany zamek. Weszliśmy do środka.

A raczej tylko drzwi zostały otwarte. Nadal musieliśmy jeszcze wtaszczyć maszynę przez próg, a potem zanieść korytarzem do barku w salonie. W porównaniu z wtarganiem jej na schody było to o wiele łatwiejsze, ale nie w porównaniu z innymi przeszkodami.

- Jak duży jest ten pokój? - wydyszał do mnie Luke, idąc tyłem, gdy mijaliśmy jedną z sof.

- Jeszcze tylko kawałek dalej - powiedziałam. - Będziesz musiał skrócić w prawo mniej więcej za... teraz.

Obrócił się, ja zrobiłam to samo, aż oboje znaleźliśmy się równolegle do blatu barku.

- Na trzy dźwigamy w górę i modlimy się - rzekł Luke. - Raz, dwa, trzy.

Całą siłą, której niewiele mi już zostało, wepchnęłam mój koniec maszyny na kontuar. Nareszcie. Ręce znowu zaczęły mi drżeć z wysiłku. Naprzeciwko widziałam Luke'a z czerwoną twarzą, w koszuli mokrej od potu. Oboje oddychaliśmy ciężko. I wtedy usłyszałam z korytarza głos Ivy:

- Co to takiego, u diabła?!

- Przyczyna naszej śmierci - wyjaśnił Luke. - Zawiadam o tym lekarza sądowego.

Roześmiałam się, wciąż bez tchu, wskutek czego zaczęłam kasłać. Luke się rozejrzył, po czym chwycił z baru szklanke. Napełnił ją wodą i podał mi. Wypiłam do dna, a potem powiedziałam do Ivy:

- To machina do przyrządzania koktajlu margarita.

- Nie potrzebuję maszyny do przyrządzania margarity - odparła.

- Ale czy w przypadku czegoś takiego naprawdę chodzi o potrzebę? - zapytał ją Luke.

Zmierzyła go wzrokiem.

- Pozwólcie więc, że ujmę to inaczej. Nie chcę maszyny do przyrządzania margarity.

- No tak, ale chcą ją właściciele tego domu. Złożyli zamówienie jeszcze w kwietniu. - Odwróciłam się i starłam smugę brudu z bębna głównego silnika. - Mogłaby ci się przydać.

- Nie, chyba że potrafi kręcić i montować materiał filmowy oraz pomagać mi w prowadzeniu mojej firmy produkcyjnej, w co wątpię - burknęła Ivy. - Znajdźcie mi maszynę, która to umie, a sama za nią zapłacę.

Luke popatrzył na mnie. Powiedziałam:

- Właściwie potrafi chyba tylko robić drinki.

- Szkoda - rzekła z westchnieniem Ivy.

W tym momencie z głębi korytarza dobiegł głośny huk, a potem drugi. Ivy otarła twarz, udając, że go nie słyszy. Rozległ się kolejny huk. W końcu zdała sobie sprawę, że zauważyliśmy ten hałas, i wyjaśniła:

- Siatkowe drzwi mojej sypialni są zepsute. Mam podkład perkusyjny, kiedy jest wietrznie. Czyli stale.

- Pękły? - spytałam. - Dlaczego nie zadzwoniłaś do nas, żeby ktoś przyjechał je naprawić?

- Och, nie wiem - odparła, pocierając nadgarstek. - Byłam zbyt zajęta zmaganiem się z aroganckimi artystami i zdradzieckimi pracownikami. W ciągu dnia na nic więcej nie starczało mi czasu.

- O rany - mruknął pod nosem Luke.

Ivy spojrzała na niego.

- Czy to nie ty jesteś czyścicielem basenów?

- Owszem - odrzekł. - Mam liczne zajęcia.

- To wydaje się tu normą - zauważyła, wskazując głową na mnie. - Ta tutaj ma zwyczaj pojawiać się z nienacka wszędzie, gdzie się zwrócę.

- Tak, ona tak robi - przyznał Luke.

Drzwi znowu walnęły mocno.

- Mogę rzucić na nie okiem? - zapytałam Ivy.

- Jasne - odrzekła. - Śmiało, idź.

Ruszyłam korytarzem, a Luke za mną. Kiedy Ivy nie mogła go już usłyszeć, powiedział:

- Rany, ale z niej numer, co?

- Jeszcze jaki - zgodziłam się. - Ona jest... - urwałam, gdyż na widok tego, co zobaczyłam, dosłownie mnie zatkało.

Jasna i przestronna, elegancka główna sypialnia, którą w maju pomagałam umeblować, wyglądała wtedy fantastycznie. Miała wielkie łóżce z kołdrą i poduszkami barwy kości słoniowej, harmonizujące z nimi kolorystycznie komódkę, fotel i nocne szafki inkrustowane jasnym drewnem. Na jednej z kremowobiałych ścian wisiała nad łóżkiem zwierciadlana mozaika w ramie, a na przeciwległej zamontowano telewizor z płaskim ekranem. Resztę sypialni wypełniały olbrzymie wysokie okna, za którymi rozciągał się przepiękny widok na ocean. Naprawdę, był to jeden z najładniejszych pokoi, jakie kiedykolwiek widziałam, niczym z ilustrowanego magazynu.

Jednak sypialnia, którą teraz ujrzałam, przypominała chlew. Była ciemna, zagracona i unosił się w niej intensywny zapach smażonego jedzenia. Nie mogłam nawet zobaczyć oceanu, z powodu plastikowych worków na śmieci, które zawieszono w oknach – Och, Boże, proszę, tylko nie za pomocą taśmy klejącej, jęknęłam w duchu – całkowicie je zasłaniając. Na ciśniętej na ziemię kołdrze leżały butelki po wodzie mineralnej i dietetycznej coli, które pokrywały także wszystkie inne płaskie powierzchnie pokoju, nierzadko w dwóch lub trzech warstwach. Na podłodze walały się sterty papierów, co najmniej dwa laptopy, splątane kłęby sznurków oraz z niewiadomych powodów liczne pudełka płatków zbożowych; z kilku otwartych płatki się wysypywały. I było jeszcze to głośnie łomotanie.

Siatkowe drzwi, jak się zorientowałam, kiedy wpatrzyłam się w mrok, nie tylko pękły. Wisiały jedynie na górnych zawiasach i przy każdym podmuchu wiatru szorowały po zewnętrznej ścianie domu. Co zdarzało się niemal bez przerwy, sądząc ze sterty złuszczonych odprysków białej farby, widocznych wzdłuż wąskiego prześwitu pod torbami na śmieci zasłaniającymi okna; torby te rzeczywiście – o Chryste! – przyklejono do ścian taśmą izolacyjną.

Nie potrafiłam nawet wydobyć z siebie głosu. Być może tylko pisnęłam cicho. To Luke się odezwał:

– O rany. Ktoś tutaj nie dostanie zwrotu kaucji.

– Okna... – Wskazałam je drżącym palcem. – I... dywan. Czy... czy to krew?

Luke ominął mnie ostrożnie, a potem lawirując między pudełkiem płatków śniadaniowych Froot Loops, dwoma pustymi kubkami po kawie i wielką stertą ubrań, podszedł, żeby się przyjrzeć.

– To nie krew. Może sok z żurawin?

– Chyba zemdleję – powiedziałam.

Sięgnęłam ręką za siebie, żeby oprzeć się o ścianę. Zamiast tego natrafiłam na dwie plastikowe butelki, zrzucając je na podłogę.

- Śmiało, proszę - odrzekł Luke. - Ja w każdym razie zamierzam zamknąć te drzwi, zanim ich łomotanie doprowadzi mnie do obłądu.

Ostrożnie przeszedł przez pokój, przekraczając laptopy i kable, i zaczął macać pod naklejonymi na drzwi torbami na śmieci, by odnaleźć klamkę. Po krótkim poszukiwaniu zdarł torby. Zrobiło się widniej.

Schyliłam się i podniosłam butelki, które przed chwilą przewróciłam. Przypominało to usuwanie łyżeczką wody z fali przyływu.

- Kto wynajmuje dom z widokiem na ocean, a potem zalepia okna, żeby go nie widzieć? - mruknęłam.

- Najwyraźniej ta sama osoba, która pozwala, aby obluzowane drzwi zdarły połowę sidingu - oznajmił, zdoławszy w końcu otworzyć rozsuwane drzwi. Do sypialni wpadło świeże powietrze ostro kontrastujące z panującym w niej wilgotnym zaduchem. Luke wystawił głowę na zewnątrz, oceniając szkody. - Chryste. Zapomnij o kaucji. Za samą naprawę ona będzie musiała zapłacić więcej.

Teraz, gdy mogłam już coś widzieć, podeszłam do okien i ostrożnie oderwałam wielki kawał taśmy izolacyjnej, żeby zdjąć następną torbę na śmieci. Razem z taśmą odpadł płat farby, pozostawiając na ścianie czarny, lepki ślad. Światło sprawiło jednak, że poczułam się lepiej, więc zaczęłam ściągać pozostałe torby. Luke przyszedł mi z pomocą i wkrótce sypialnię zalał blask słońca. Prawdę mówiąc, w jego świetle wszystko wyglądało jeszcze gorzej. Wiatr wciąż łomotał drzwiami siatkowymi.

- Przyniosę z furgonetki skrzynkę z narzędziami - oświadczył Luke, podczas gdy ja przyglądałam się bałaganowi i zniszczeniom. - Mógłbym przynajmniej wyjąć te drzwi z zawiasu. Dobrze?

Tępo kiwnęłam głową. Luke ruszył do drzwi, po drodze klepnąwszy mnie w ramię. Miał dość rozsądku, by nie próbować mnie pocieszać w żaden inny sposób.

Nie wiedziałam, jak długo stałam, gapiąc się w osłupieniu na wewnątrz sypialni, gdy usłyszałam za sobą głos Ivy. Po prostu nagle się pojawiła.

- Co zrobiłaś z tymi oknami? - spytała.

- Ja? Pytasz, co ja zrobiłam z oknami?!

Wskazała na nie.

- Miałam powód, żeby je zakryć.

- Torbami na śmieci i taśmą izolacyjną? - Byłam niemal pewna, że wrzeszczę.

- Jestem bardzo wrażliwa na światło - wyjaśniła.

- Więc nocuj w jamie, a nie w rezydencji z oknami wychodzącymi na ocean! - Tak, teraz już rzeczywiście wrzeszczałam. - Nie mogę uwierzyć, że doprowadziłaś ten

pokój do takiego stanu! Zanim się tu wprowadziłaś, wyglądała idealnie. Nieskazitelnie. A teraz...

- Och, nie jest tak źle - rzekła, rozglądając się wokoło.

- Czy jesteś jakimś zwierzęciem? - rzuciłam. Ivy spojrzała na mnie zaskoczona. -

Pytam serio. Bo tylko zwierzęta żyją w taki sposób.

- To tylko bałagan - powiedziała. - Uspokój się.

- Mam się uspokoić? - powtórzyłam z niedowierzaniem. - Właściciele tego domu zamierzają się wprowadzić, skoro tylko go opuścisz. Co - sądząc z wyglądu wnętrza - prawdopodobnie stanie się dzisiaj.

- Nie możesz mnie wyrzucić - zaoponowała. - Mam umowę najmu.

- Przeczytaj tę umowę - powiedziałam, wskazując ręką wokół. - Naruszyłaś ją.

Teraz Ivy rzeczywiście wyglądała na zaniepokojoną.

- Muszę tu zostać, dopóki nie ukończę tej fazy projektu. Zwłaszcza że pracuję już sama.

- Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim zdemolowałaś cudzy dom.

Zamiast odpowiedzi podniosła z podłogi pustą butelkę po dietetycznej coli, a potem drugą, leżącą obok niej, i wsadziła je pod pachę.

- Nie jest zdemolowany. To tylko bałagan. Spójrz, mogę to posprzątać.

- Z zewnętrznej ściany domu została całkiem zdarta farba - rzekłam stanowczym tonem. - Czy to też potrafisz naprawić?

- Prawdopodobnie nie - przyznała, nadal zbierając z podłogi butelki, teraz szybciej. - Ale ty potrafisz. Prawda?

Zmierzyłam ją spojrzeniem.

- Dlaczego, u licha, miałabym ci pomóc?

Trzymała już pełne naręcze butelek.

- Pomagasz wszystkim innym.

- Co takiego?

- Tak! - rzekła. Odwróciła się i cisnęła butelki na korytarz. - Pomogłaś Theo... i Clyde'owi...

- To co innego. Oni są moimi przyjaciółmi.

Podniosła na mnie wzrok, trzymając teraz w ręku jeden z laptopów.

- Och, jakie to miłe, co powiedziałaś. Bardzo ci dziękuję.

- Ivy, nie jesteśmy przyjaciółkami - rzekłam do niej, gdy szła do nocnej szafki, wlokąc po podłodze kabel laptopa i kopiąc przed sobą butelki. Kiedy zobaczyłam, że wtyczka zaraz zaczepi o otwarte pudełko płatków śniadaniowych Kix, wbrew sobie podeszłam i je podniosłam. - Nawet mnie nie lubisz.

- To nieprawda - zaprzeczyła, rzucając laptop na łóżko. Podniosłam z podłogi następne pudełko płatków, a także jeszcze dwie butelki. - Nie żywię do ciebie żadnych uczuć.

- I nawzajem - odparłam. Podniosłam obydwie kubki. - Och, na litość boską! Przyniosę torbę na śmieci.

- Może przynieś raczej jakieś pudło! - zawołała za mną, gdy ciężkim krokiem szłam korytarzem, mijając Luke'a, który wracał ze skrzynką z narzędziami.

- Wychodzimy? - zapytał.

- Nie. Sprzątamy - wyjaśniłam.

Dotarłam do pralni i otworzyłam szafę. Niemal wszystko, co w niej zmagazynowałam na początku sezonu - środki czyszczące, szmatki, mopy i spraye - pozostało praktycznie nietknięte. Nawet wtyczka kabla odkurzacza była nadal fabrycznie zafoliowana. Nie do wiary.

Gdy wróciłam do sypialni, Ivy w dalszym ciągu zbierała rzeczy z podłogi, a Luke majstrował śrubokrętem przy zawiasie siatkowych drzwi. Podeszłam do czerwonej plamy z jakimś płynem do czyszczenia dywanów w dozowniku z pompką i wyładowałam swoją furję, pompując, dopóki plama nie została nim całkiem nasączona.

- Teraz jeszcze bardziej rzuca się w oczy - oceniłam.

- To tylko sok pomidorowy - wyjaśniła Ivy.

- Tylko?! - powtórzyłam.

Na zewnątrz otwartych siatkowych drzwi Luke zachichotał. Gdy zmierzyłam go spojrzeniem, natychmiast ucichł.

- Przepraszam. Bez urazy. Ale gdybyś mogła zobaczyć teraz swoją twarz... - urwał, zaciskając usta, by powstrzymać śmiech.

- To wcale nie jest zabawne - powiedziałam.

- Masz całkowitą rację - przyznał, już z poważną miną. - To tragiczne.

Teraz z kolei roześmiała się Ivy, a ja spiorunowałam ją wzrokiem.

- Wybacz - rzekła. - Śmieję się, gdy jestem zdenerwowana. O co ci chodzi? Teraz naprawdę wyglądasz groźnie.

- Na twoim miejscu bym się zamknęła - poradziłam jej. - W przeciwnym razie wyjdę stąd i będziesz musiała sama radzić sobie z tym bajzlem.

Przez następne trzydzieści minut pracowaliśmy wszyscy szybko i w milczeniu. Luke wyjął siatkowe drzwi z zawiasu, a Ivy i ja napełniłyśmy śmieciami torby, wyczyściłyśmy dywan i zebrałyśmy wszystko z podłogi. Włożyłam wtyczkę odkurzacza do gniazdka i pchnęłam go w kierunku Ivy, a potem zaścieliłam łóżko



świeżą pościelą z bielizniarki, której też w ogóle nie tknięto. Gdy skończyliśmy sprzątać, pokój przypominał nieco ten, jaki pamiętałam. Prawdę mówiąc, było to więcej, niż się spodziewałam.

- Widzisz? - rzekła Ivy, gdy staliśmy wszyscy przy drzwiach, oceniając efekt naszej pracy. - Wygląda o wiele lepiej.

- Nie o wiele. Rzecz w tym, że trudno, by wyglądał gorzej niż poprzednio.

Usłyszałam brzęczenie. Ivy wyjęła z kieszeni komórkę.

- Halo? Och, cześć, Clyde. Już wyruszam, po prostu wyłonił się pewien drobny problem, więc... Co? - Spojrzała na zegarek. - Ale uzgodniliśmy dziesiątą trzydzieści, żeby mieć naprawdę sporo czasu na...

Luke trącił mnie z tyłu.

- Jesteś prawdziwą twardzielką, wiesz?

- Co? Przecież ona zdemolowała cały dom!

Ivy spojrzała na mnie i wyszła na korytarz.

- A więc dobrze - rzuciła do telefonu. - Cóż, nie powiedziałabym, że jestem zachwycona, ale... No więc, niech będzie o trzeciej. Ale zaczniemy punktualnie, tak?

- Miło wiedzieć - rzekł Luke, omijając mnie, żeby podnieść skrzynkę z narzędziami - że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Zwłaszcza ty, Emaline.

- To nie całkiem zabrzmiało jak komplement.

- Miało zabrzmieć - zapewnił mnie w charakterystyczny dla siebie, swobodny sposób. Musiałam przyznać, że ten chłopak naprawdę umiał pochlebiać. - Zaczekam na zewnątrz.

W tym momencie zapiszczała moja komórka. Wyjęłam ją i spojrzałam na ekranik.

*Jadę z Clyde'em do cape frost* - napisał Theo. - *Czyli: jak dotąd wszystko dobrze.*

- No, w porządku - powiedziała Ivy. Pospiesznie wsunęłam komórkę z powrotem do kieszeni. - A teraz przejdźmy do najważniejszego. Zamierzasz złożyć na mnie raport czy jak?

Ponownie ogarnęłam wzrokiem pokój.

- To zależy. Czy utrzymasz sypialnię w tym stanie i zgodzisz się zapłacić za naprawę szkód, skoro tylko uda mi się przysłać tutaj kogoś z obsługi technicznej?

- Tak - odrzekła bez wahania i wyciągnęła do mnie rękę.

- Nie tak prędko. Rezerwuję sobie prawo sprawdzenia tego pokoju w dowolnie przeze mnie wybranym czasie w trakcie twojego pobytu tutaj. Jeżeli znów zacznie wyglądać choć trochę tak jak niedawno, nasza umowa przestanie obowiązywać.

- Dobrze - zgodziła się Ivy.

Podaliśmy sobie ręce, a potem odwróciłam się i ruszyłam korytarzem. Schodziłam już po schodach, gdy usłyszałam, jak powiedziała:

- Wiesz, on ma rację co do ciebie.

Podniosłam wzrok. Ivy stała na podeście powyżej.

- Kto? - spytałam.

- Ten gość od czyszczenia basenów - wyjaśniła. - Naprawdę jesteś twardzielką.

- Ale ty z pewnością nie uważasz tego za komplement.

- Właściwie uważam - odrzekła. - Jedna twardzielka zawsze rozpozna drugą.

Przez chwilę spoglądałyśmy na siebie bez słowa. Przyszło mi na myśl, że może w innych zwariowanych okolicznościach mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Ale nie w tych.

- Przyjemnego widoku z okien - rzuciłam do niej.

Byłam jednak pewna, że to na mnie patrzy przez okno, gdy zatrząskiwałam za sobą frontowe drzwi.

\* \* \*

- Zaczekaj tylko, aż to usłyszysz - rzekł Theo. - Wtedy w pełni zrozumiesz, dlaczego to zasługuje na Najwspanialsze Świętowanie na Świeżym Powietrzu.

Trzydzieści minut wcześniej przysłał mi esemesa z prostym tekstem: *5 po południu. Ty i ja. Pawilon. Wielka nowina.*

Dokończyłam kilka ostatnich spraw, jakie miałam do załatwienia w biurze, wyszłam i ruszyłam w kierunku wyznaczonego miejsca.

Kiedy przeciskałam się przez chmurę ludzi na deptaku, spostrzegłam w oddali kiść rozkołysanych wielobarwnych baloników. Gdy się zbliżyłam, zobaczyłam, że siedzi pod nimi Theo w sportowej marynarce.

Na ławce obok siebie rozłożył serwetkę, a na niej ustawił dwa wysokie kieliszki do szampana i przystawki: talerzyk z krakersami i serem, kilka małych korniszonów i miseczkę oliwek. Przy jego nogach leżał rozpięty plecak. Na mój widok Theo uśmiechnął się radośnie.

- Niespodzianka! - wykrzyknął, przyciągając uwagę wszystkich wokół.

Poczułam, że się czerwienię. Wydostałam się z tłumu i podeszłam do niego.

- Siadaj - rzekł.

Usiadłam, spoglądając na baloniki.

- Skąd je masz?

- Ze sklepu Helium Helpers w Cape Frost - odpowiedział. Sięgnął do plecaka

i wyjął butelkę. Otworzył ją – korek wystrzelił – i zaczął napełniać kieliszki. – Clyde mi o nich powiedział. Ładne, prawda?

– Nie możemy pić tutaj – powiedziałam, rozglądając się. Wszyscy przechodnie gapili się na nas. – To niezgodne z prawem.

– To musujący jabłecznik – wyjaśnił. – Co brzmi o wiele lepiej niż fałszywy szampan, nie sądzisz? Ale przystawki są stuprocentowo autentyczne. Chcesz oliwkę?

Wzięłam jedną tylko dlatego, że wiedziałam, że mu na tym zależy.

– A więc... z jakiej okazji to wszystko?

– Ach! – Uniósł kieliszek i zaczekał, aż zrobię to samo. Wtedy odchrząknął i powiedział: – Za Najlepszy w Dziejach Plan na Przyszłość.

– Czyli jaki?

– Najpierw wypij! – polecił. – Inaczej to przyniesie pecha.

Usłuchałam, krzywiąc się z powodu cierpkiego smaku gazowanego napoju. Theo odstawił kieliszek i ujął moje dłonie.

– Patrzysz – rzekł – na nowego menedżera od dawna wyczekiwanego cyklu wystaw dzieł światowej sławy malarza i autora kolaży, Clyde’a Conawaya, które odbędą się wkrótce w muzeach całego kraju.

To był długi tytuł, nie mówiąc o tym, że niosący całkiem sporo informacji.

– Clyde cię zatrudnił?

– W zasadzie tak – powiedział Theo i wypił następny łyk jabłeczniaka. Wziął krakersa, położył na nim plasterek sera i podał mi, a potem przygotował drugi dla siebie. – Powiedzmy po prostu, że kiedy przedstawiasz opis pracy komuś, kto nawet jeszcze sobie nie uświadamia, że kogoś potrzebuje, jesteś już w połowie zatrudniony.

– W połowie – powtórzyłam.

Nad nami wiatr poruszył balonikami, które trąc jedno o drugie, wydawały piszczące dźwięki.

– Rzecz w tym – mówił dalej Theo – że aż do dzisiaj Clyde nie miał pojęcia, jak wielkiej pomocy będzie potrzebował przy organizacji tych wystaw. Teraz już to wie. I ma obok idealnego kandydata do tej posady. Reszta to tylko kwestia dodania jednego do drugiego.

– I zrobił to? – spytałam, nadal zdezorientowana.

– Zrobi – odparł. – Mamy jutro zjeść razem śniadanie i spodziewam się, że wtedy Clyde przedstawi mi propozycję pracy.

– Zaczekaj – powiedziałam, odstawiając kieliszek. – Ale czy ten cykl wystaw nie

ma się zacząć wkrótce? Co z twoimi studiami?

- Emaline. - Nachylił się ku mnie. - To będzie pierwsza od ponad dwudziestu lat wystawa dzieł Clyde'a Conawaya, połączona z premierą filmu dokumentalnego o nim nakręconego przez reżyserkę, która jest laureatką nagród festiwalowych. Taka szansa zdarza się raz w życiu. Uczelnia może poczekać.

- Ta reżyserka nie darzy cię obecnie szczególną sympatią - przypomniałam.

- To prawda - przyznał i zjadł następną oliwkę. - Lecz nawet gdyby wspieranie cyklu wystaw nie leżało w jej interesie, te wystawy i film będą oddzielnymi przedsięwzięciami. Ale znam Ivy. Niekiedy przez pewien czas żywi do kogoś urazę, jednak uwielbia rozgłos i zainteresowanie mediów. Jeśli nie będzie ze mną współpracowała, tylko zwróci się przeciwko mnie, straci dostęp do Clyde'a, na którym tak jej zależy.

- Ale... - zaczęłam, usiłując ostrożnie dobierać słowa - nawet jeszcze nie masz tej pracy.

- Jeszcze - powtórzył z naciskiem. - Dzisiaj nadałem tej sprawie bieg. Teraz pozostaje tylko poczekać na efekty. Chwileczkę, to moja komórka.

Spojrzał na wyświetlacz, a ja wypiliśmy następny łyk jabłecznika, rozmyślając o tym, że to wszystko brzmi ogromnie optymistycznie, czy nawet odrobinę arogancko. Z drugiej strony, nie mogłam nie podziwiać zdolności Theo do sięgania po to, czego pragnie. Ja umierałam z lęku i zdenerwowania, ilekroć miałam wykonać nawet najbezpieczniejsze posunięcie. Natomiast Theo, kiedy widział okazję, korzystał z niej, nie przejmując się ryzykiem. Nic dziwnego, że nie mógł uwierzyć, że zrezygnowałam ze studiów na Columbii. On znalazłby jakiś sposób, by się tam dostać, z pieniędzmi czy bez nich.

- Przepraszam, to od Clyde'a - oznajmił, pisząc odpowiedź.

- Od kiedy on wysyła esemesy? - spytałam. - Nie wiedziałam nawet, że ma komórkę.

- Ma. Po prostu pozwolił, żeby padła w niej bateria, i już jej nie naładował. Walała się w jego ciężarówce aż do dziś, kiedy w drodze do Cape Frost podłączyłem ją do ładowarki - powiedział Theo. - Potem poinformowałem go, że wysyłanie esemesów uwolni go od konieczności rozmawiania z ludźmi przez telefon. Okazało się, że ta możliwość ogromnie mu się spodobała, i od razu zaczął z niej korzystać.

- Sama nie wiem. Wydaje mi się to dziwne - rzekłam, gdy komórka Theo znowu zapiszczała. - To nie wygląda na coś, czego Clyde by potrzebował.

- On nie wie, czego potrzebuje - odparł Theo. - Właśnie na tym polega moja rola.

Zabrzmiało to trochę zbyt poufale. Ogarnął mnie niepokój i popatrzyłam na

ocean. Zawsze był dla mnie czymś stałym i zazwyczaj wystarczyło mi tylko odszukać go wzrokiem – na horyzoncie, za następnym wzgórzem, w rogu okna – bym poczuła się spokojniejsza i znowu wiedziała, na czym stoję. Teraz jednak, chociaż miałam ocean tuż przed sobą, nawet ten najstarszy z moich sposobów nie podzielał. Coś było nie w porządku. I wiedziałam o tym już wcześniej. Tymczasem Theo odłożył komórkę, odwrócił się z powrotem do mnie i znów zaczął mówić:

– Okej. Tu chodzi o ten Najlepszy Plan na Przyszłość. Nie tylko o pracę.

Której jeszcze nie masz, pomyślałam, ale zdołałam się powstrzymać przed wypowiedzeniem tego na głos.

– Nie? – spytałam tylko.

Z uśmiechem pokręcił głową.

– Ponieważ będę blisko współpracował z Clyde’em nad przygotowaniem wystawy, muszę nadal mieć bazę tutaj, nawet jeśli będę często jeździł do miasta, by ustalić daty i szczegóły podróży.

– Zamierzasz zajmować się tym wszystkim, mieszkając w przyczepie?

– Nie – odparł ze śmiechem. – Myślę, że z pieniędzmi, jakie Clyde będzie mi płacił, będzie mnie stać na coś lepszego. Oczywiście nie na lokum klasy Sand Dollars. Ale ponieważ chodzi o okres po sezonie, jestem pewien, że uda się nam znaleźć jakieś miłe i stosunkowo niedrogi mieszkanie.

Paradoksalnie – a może nie – z całej tej jego wielkiej przemowy moją uwagę przykuło tylko jedno krótkie słówko.

– Nam? – powtórzyłam. – Ale przecież ja będę studiować w college’u.

– No tak, ale to tylko dwie godziny drogi stąd. – Wziął kolejną oliwkę i włożył do ust. – Będiesz tu przyjeżdżała na weekendy. Albo ja od czasu do czasu mogę odwiedzić ciebie, kiedy Clyde nie będzie mnie tutaj potrzebował. Och, to mi o czymś przypomniało! Będę musiał kupić używany samochód. Zaczekaj, to prawdopodobnie znowu Clyde.

Odwrócił się i znów skupił uwagę na komórce. Raz jeszcze spróbowałam mojego sposobu z patrzeniem na ocean, chociaż wiedziałam, że nie podziela. Wobec tego słówka „nam” oraz wiadomości, że najwyraźniej nie przenosiłam się na Uniwersytet East, tylko miałam tam dojeżdżać, potrzebowałam czegoś większego i potężniejszego niż ocean, żeby uciszyć łomoczące serce.

Uspokój się, nakazałam sobie. Theo był teraz po prostu podekscytowany perspektywą zdobycia tej pracy i w gruncie rzeczy nie zastanowił się nad tym, co mówi. Oczywiście nie myślał, że odmienię cały bieg mojego życia z powodu bardzo miłego wprawdzie, ale też bardzo krótkiego letniego romansu. A może jednak tak

myślał?

Odwróciłam głowę. Dostrzegłam w oddali szyld kawiarni Jump Java, oficjalnego miejsca zebrań dziewczyn, które także snuły przypuszczenia i zbyt późno uświadomiły sobie, że się myliły. Tak bardzo obawiałam się, że zostanę jedną z nich, że nie przyszło mi do głowy, iż przeciwna ewentualność też nie będzie łatwa. Nie ma znaczenia, czy to ty gasisz płomień, czy przyglądasz się bezradnie, jak gaśnie. W jednym i drugim przypadku on w końcu się wypala.

Popatrzyłam na Theo, który z lekkim uśmiechem wpisywał coś w komórce. Najwyraźniej był szczęśliwy, a najbardziej z tego powodu, że mógł podzielić się ze mną tą nowiną i planami na przyszłość. Ja jednak nie czułam się ani trochę szczęśliwa, gdy – podczas kiedy on nadal pisał esemesa – wyjęłam swoją komórkę i otworzyłam w niej kalendarz. Przewinęłam aktualny miesiąc do sierpnia i przesuwając dni; przy sobocie, osiemnastego, znalazłam to, czego szukałam. Notkę *Wyjazd do college'u*, którą wpisałam, kiedy przysłano mi pierwsze materiały informacyjne. Jeszcze przed zerwaniem z Lukiem, przed poznaniem Theo, przed przyjazdem ojca. Miałam wrażenie, jakby od tamtego czasu upłynęła wieczność. Ale siedząc teraz obok Theo, usłyszawszy o Przyszłości, Której Zupełnie Się Nie Spodziewałam, nie tylko pojęłam, że ta przyszłość jest bliższa niż kiedykolwiek, lecz poczułam się też bardziej niż kiedykolwiek gotowa na jej spotkanie. Zaledwie chwilę zajęło mi policzenie dni dzielących mnie od niej. Dwadzieścia trzy. Teraz musiałam tylko zdecydować, co z nimi zrobić.

Miłą stroną pracy takiej jak moja było to, że ponieważ jeden telefon potrafił spowodować totalny chaos, mogłam zawsze być zajęta, jeśli tylko chciałam. Doceniłam to szczególnie, kiedy skończył się lipiec i zaczął sierpień. Wprawdzie moje własne problemy mogły być zbyt wielkie, bym zdołała sobie z nimi poradzić, jednak czułam się aż nadto zadowolona, mogąc zajmować się problemami innych.

- Cała ta sprawa zaczęła się dlatego - mówiła kobieta w tenisowej spódnicy, prowadząc mnie w dół po schodach - że uwielbiamy grillować. Kiedy przebywamy tutaj, w miejscowości plażowej, niemal zawsze przyrządzamy kolację w ten sposób.

- Rozumiem - powiedziałam, gdy weszliśmy do pokoju rekreacyjnego i minęliśmy zakurzony stół bilardowy oraz kilka zniszczonych skórzanych foteli.

- Tak więc pierwszego wieczoru - kontynuowała, podchodząc do tylnych drzwi i powoli odsuwając zasłonę - usmażyliśmy pyszną rybę granik w sosie limonkowym. Była pikantna, o posmaku cytrusowym. Naprawdę wspaniała.

Skinęłam głową i spojrzałam w notatki. W formularzu wezwania wypełnionym przez Rebeckę widniało tylko: *Problem na terenie posiadłości*. Mogło to oznaczać cokolwiek. To jak zamawianie na lunch specjalności szefa kuchni; nie masz pojęcia, co dostaniesz, wiesz tylko, że zapewne będzie smaczne.

Kobieta spojrzała teraz przez szybę w drzwiach, najpierw w jedną stronę, potem w drugą.

- Po kolacji wyszliśmy na dwór, żeby posprzątać, i zobaczyliśmy pod schodami miauczącego uroczonego kociaka.

Oooh, jęknęłam w duchu.

- Kochamy zwierzęta - wyjaśniła, znowu wyglądając przez szybę - a to biedne stworzenie wydawało się takie głodne. Rzuciliśmy mu więc mały kawałek ryby, a potem weszliśmy do domu i wkrótce zapomnieliśmy o nim.

- Dopóki... - podsunęłam.

- Dopóki następnym razem nie spróbowaliśmy wyjść tymi drzwiami - dokończyła.

Odciągnęła zamek i szarpnęła klamkę, ale nie otworzyła drzwi. Po chwili skinęła na mnie, żebym podeszła.

Z początku zobaczyłam tylko szarego kota siedzącego przy podstawie grilla i wpatrującego się w nas. Potem następny, pręgowany podpełzł pod schodki

i dołączył do niego. Za nim podążył tłusty brązowy kocur z naderwanym uchem. Kiedy pojawił się czwarty, miaucząc głośno, zaciągnęłam zasłonę.

- Pierwsze pytanie: Czy ktoś został podrapany albo pogryziony? - zwróciłam się do kobiety.

Przecząco pokręciła głową.

- Nie. Nawet nie otworzyliśmy tych drzwi. Skąd złażą się te wszystkie koty?

- Żyją na plaży - odpowiedziałam, robiąc notatkę w rubryce obok wpisu *Problem na terenie posiadłości*. - Są zdziczałe i głodne. Jak morskie mewy, tylko dużo gorsze. Jeśli raz dać im jeść, już nie odejdą.

Kobieta znowu odciągnęła zasłonę na drzwiach. Nie chciałam patrzeć, lecz nie zdołałam się powstrzymać. Na patio kłębiło się teraz co najmniej dziesięć kotów, a kiedy zauważyły ruch za drzwiami, odwróciły się wszystkie na raz. Zadrżałam.

- Co zrobimy? - zapytała kobieta.

- Proszę więcej ich nie karmić. Resztą my się zajmiemy.

Ruszyłam do frontowych drzwi, po drodze wyjmując komórkę, żeby odszukać numer Towarzystwa Ratowania Zwierząt i Edukacji w Colby - organizacji, która robiła co w jej mocy, by chwytać i sterylizować jak najwięcej dzikich kotów z wielkiej populacji w miasteczku. Towarzystwo mieściło się w czyimś garażu, dysponowało zaledwie kilkoma klatkami, miało nadzwyczaj skromny budżet i pracowały w nim tylko dwie bardzo dzielne kobiety. W tym sezonie już dwukrotnie musiałam do nich dzwonić, chociaż każdy pakiet, jaki wręczałam naszym klientom podczas zameldowania, zawierał ostrzeżenie, żeby nie karmić zwierząt. Nawet tych milusich.

- Przypuszczam, że grillowanie na dworze jest chwilowo wykluczone - powiedziała kobieta, gdy wracałyśmy na podest schodów.

- Przyślę tu kogoś możliwie jak najszybciej - obiecałam. Sięgnęłam do kartonowej teczki i poszperałam w niej, aż znalazłam talon na kolację dla dwóch osób w barze Finz. - Ale dziś wieczorem może zjedzcie na mieście na nasz koszt. Miejmy nadzieję, że do jutra sytuacja zostanie całkowicie opanowana.

- Och, to bardzo miłe! - powiedziała. - Dziękuję.

- To dla mnie przyjemność - odrzekłam.

Kolejna usatysfakcjonowana klientka, pomyślałam, wracając do samochodu. Właśnie dlatego pracowałam ostatnio niemal zawsze, ilekroć mogłam. Chciałam oderwać myśli, potrzebowałam problemów, które potrafiłam łatwo rozwiązać. Kłopoty ze zdziczałymi kotami nie były czymś wymarzoną, jednak teraz chętnie się tym zająłam.



Minął niemal tydzień, odkąd Theo oznajmił mi przy Pawilonie wielką nowinę. Sprawy nie potoczyły się jednak dokładnie tak, jak zaplanował. Nazajutrz rano, wbrew temu co przewidywał, Clyde nie zaproponował mu pracy. Zamiast tego poprosił go o pomoc przy przejrzaniu swoich obrazów zgromadzonych w magazynie oraz leżących na stercie w szopie za domem. Theo w typowym dla siebie stylu nie potraktował tego jako porażki. Przeciwnie, wyjaśnił mi, że Clyde w ten sposób go testuje, wypróbowuje jego charakter, zanim wręczy mu prawdziwą nagrodę. To, według Theo, ma się zdarzyć za kilka dni na konferencji prasowej połączonej z koktajl party, którą to imprezę on i Ivy zaplanowali jeszcze przed rozstaniem, aby uczcić zakończenie kręcenia filmu i ogłoszenie pomysłu cyklu wystaw. Do tego czasu Theo musiał tylko stać się dla Clyde'a kimś niezastąpionym, jeszcze mocniej się z nim związać i utwierdzić swoją pozycję osoby wiedzącej o dziełach artysty niemal tyle co on sam.

- To układ, na którym wszyscy zyskują - powtarzał.

Nie on jeden czuł się pewny siebie. Margo nie tylko wystawiła na sprzedaż dom swojego ojca w North Reddemane i w rekordowym czasie uzyskała ofertę kupna, ale w dodatku negocjacje i oględziny przebiegały sprawnie, bez żadnych problemów. Spakowano wszystkie meble, odświeżono podłogi, sprawdzono instalację elektryczną i kanalizacyjną. Ojciec i Benji przeprowadzili się do motelu Posejdon, nieopodal sklepu Gerta, a Leah wynajęła tam sąsiedni pokój. Mieli poczekać na zakończenie ostatnich prac remontowych, a potem wyruszyć do domu. O ile oboje sprawiali wrażenie, że chętnie powrócą każde do swojego życia, Benji podobnie jak ja szukał sposobów, by oderwać myśli. I okazał się całkiem dobry w ich wynajdywaniu.

Zaczął się od tego, że sprzeciwił się matce, nie chcąc brać udziału w eskapadach turystycznych, które planowała. Nie chciał grać w minigolfa; gdy wspomniała o rejsie promem, oświadczył, że cierpi na chorobę morską; propozycję wizyty w oceanarium skomentował: „ryby są nudne”. To jego ogólnie niechętnie nastawienie nasiliło się jeszcze po przeprowadzce do motelu; objawiało się trzaskaniem drzwiami, nieustannymi ciężkimi westchnieniami i uskarżaniem się na brak ciekawych kanałów w telewizji kablowej. Leah początkowo nie dawała za wygraną i wlokła syna na rozmaite wycieczki pomimo jego protestów. Jednak po paru dniach ugięła się pod niemal nieustannymi prośbami Benjiego i zaczęła podrzucać go do mnie.

- Po prostu tego nie rozumiem - wyznała mi pewnego dnia, siedząc w samochodzie, z którego Benji wyskoczył jak strzała, jeszcze zanim pojazd

całkiem się zatrzymał. – Myślałam, że będzie chciał spędzić na rozrywkach tych kilka ostatnich dni tutaj. Dlaczego dziesięciolatek woli pracę od pójścia na plażę?

– Nie mam pojęcia – odrzekłam. – Ja z rozkoszą wybrałabym się teraz na plażę.

Leah westchnęła.

– Wiem tylko, że drzę na samą myśl o oznajmieniu mu, że w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy. Już tutaj zachowuje się nieznośnie. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić dwóch dni z nim w samochodzie.

– Jeszcze mu nie powiedzieliście?

Pokręciła głową.

– Nie. To znaczy, wie, że ten moment się zbliża, tylko nie zna dokładnej daty. Joel uważa, że jeśli powiadomimy go dopiero w przeddzień wyjazdu, Benji zrozumie, że to twardy fakt niepodlegający negocjacji.

Trudno mi było się nie skrzywić, kiedy to usłyszałam. Nie rozmawiałam z ojcem od naszej sprzeczki, utrzymywałam kontakt tylko z Benjim i Leah. On też nie zrobił żadnego kroku, by ze mną pogadać. Obecnie już nie dziwiło mnie, że ojciec ilekroć to możliwe, przedkłada twarde fakty nad negocjacje. Eliminowanie argumentów przeciwnej strony pozwala zawsze zwyciężać.

A skoro tyle ludzi wokoło wciąż zwyciężało, ktoś musiał przegrywać. Dotychczas naprawdę miałam nadzieję, że to nie będę ja, lecz teraz tego też nie byłam już taka pewna. Jeżeli czerwiec był początkiem lata pełnego nadziei, a lipiec jego intrygującym środkiem, to sierpień zaczął nagle wyglądać na gorzki koniec. Nie był to koniec, jakiego oczekiwałam, i to totalnie mnie dołowało.

A czego się spodziewałam po tych trzech miesiącach? Jeśli miałam być szczerą, może uzdrowienia stosunków z ojcem i plaży w tle jako bonusu. Zamiast tego znaleźliśmy się z powrotem w punkcie, w którym byliśmy przed jego przyjazdem, a być może nawet jeszcze dalej od siebie niż wówczas. Planowałam też wesołe lato z chłopcem, którego od dawna kochałam – ale on mnie zawiódł. Pogodziłam się z tym, starałam się dostrzec pozytywne strony tej sytuacji i uznałam, że być może czeka mnie wakacyjny romans. Teraz jednak nawet to okazywało się bardziej skomplikowane, niż przypuszczałam.

Theo i ja nie rozmawialiśmy już więcej o planach na jesień – ale tylko dlatego, że on był tak bardzo pochłonięty dążeniem do zrealizowania swoich pomysłów. Przez ostatni tydzień codziennie dołączał do Clyde'a jedzącego punktualnie o szóstej rano w restauracji Last Chance swoje zwyczajowe wczesne śniadanie, a potem wyruszali razem ciężarówką. Po zebraniu kolaży i obrazów z rozmaitych miejsc w miasteczku, w których Clyde je niegdyś zamelinował, wieźli je do Pawilonu, gdzie

miały się odbyć wystawa i party. Kiedy Ivy kręciła z Clyde'em film, zostawiał tam Theo, żeby katalogował i porządkował jego dzieła, i doszłusowywał do niego po skończeniu zdjęć. Zaletą tej sytuacji było to, że Theo tak ciężko tyrał i kiedy w końcu spotykał się ze mną po pracy, czuł się zbyt zmęczony, by rozmawiać o czymkolwiek. A wadą? Te dwadzieścia trzy dni, które w końcu policzyłam, skurczyły się już do siedemnastu i nadal ich ubywało.

Ale te koty - koty miałam pod kontrolą. Zadzwońiwszy do Towarzystwa Ratowania Zwierząt, wróciłam do biura i zauważyłam, że Rebecca zrobiła sobie przerwę, mama i Margo zniknęły, a Benji siedzi przy komputerze mojej babki i tłumaczy jej zasady funkcjonowania internetowej sieci społecznościowej na UMe.com.

- I widzisz, teraz, gdy już utworzyliśmy stronę profilu biura - mówił, gdy weszłam do gabinetu - naprawdę łatwo jest dodawać różne rodzaje kontentu.

- Kontentu? - powtórzyła babka, spoglądając na ekran monitora znad szkieł do czytania.

- Tak. Na przykład, powiedzmy, zdjęcia niektórych rezydencji, coś jakby galerię. Albo opinie ludzi, którzy wynajmowali od was domy. Możesz nawet utworzyć sekcję komentarzy, tak aby ludzie mogli zadawać pytania online.

- Hm - mruknęła babka. - Interesujące.

- To nie w porządku! - zawołałam do niej. - Od dwóch lat usiłuję cię nakłonić, żebyś zaktualizowała główną stronę internetową, a teraz jesteś na UMe.com?

- Nie aktualizowałam waszej strony internetowej od dwóch lat? - spytał ją z niedowierzaniem Benji.

- Mówiłam ci, jestem dinozaurem. - Babka wzięła sobie czekoladkę Rolo i dała drugą Benjiemu, a potem oboje odwrócili się znowu do ekranu. - No dobrze, a teraz powiedz mi jeszcze raz, co to są za zdjęcia na tej stronie.

- Ludzi, którzy zaznaczyli ją jako swoją ulubioną - wyjaśnił. - Co oznacza, że ona jest na ich stronach i wszyscy też mogą ją zobaczyć. Ponieważ dopiero co ją utworzyliśmy, na razie to tylko ja. Ale wkrótce będą inni.

- Emaline! - zawołała babka, jedząc czekoladkę Rolo. - Proszę, czy możesz zaznaczyć naszą stronę jako swoją ulubioną? Poproś Rebeckę, żeby też tak zrobiła. I wszystkich, których znasz.

- Dobrze. - Wyjęłam komórkę i otworzyłam aplikację UMe.com. - Coś jeszcze?

- Nie. - Babka nadal wpatrywała się w ekran, a potem nagle spojrzała na mnie. - Och, zaraz, tak. Ktoś czeka w salce konferencyjnej, żeby z tobą porozmawiać.

- W salce konferencyjnej? - powtórzyłam.

Odwróciłam się i spojrzałam tam. U szczytu stołu zastawionego zwykłym zestawem przekąsek i napojów, ubrana na czarno, z głową pochyloną nad wyświetlaczem komórki siedziała Ivy.

- Czego ona chce? - spytałam.

- Nie powiedziała. Ale czeka już od jakiegoś czasu. - Babka, mrużąc oczy, popatrzyła na ekran. - Słuchaj, Benji, chyba powinniśmy umieścić jakieś informacje o specjalnych warunkach wynajmu i promocjach. Możemy to zrobić na tej stronie, czy potrzebujemy innej?

- Wszystko jedno - odrzekł. - Ale najlepszą funkcją byłby ten klawisz aktualnych wiadomości.

- Aktualnych wiadomości?

- Tak. Spójrz, działa tak...

Podeszłam do drzwi salki konferencyjnej. W każdych innych okolicznościach miałabym się na baczności przed spotkaniem z Ivy, ale tym razem byłam na szczęście na swoim terenie.

- W czym mogę ci pomóc?

Z ponurą miną podniosła na mnie wzrok.

- Nie wiem. Czy potrafisz dokończyć za mnie film, a potem spakować cały mój sprzęt i zorganizować odesłanie go z powrotem do miasta?

- Nie - odparłam.

Zgarbiła się i znowu popatrzyła w komórkę.

- Aha. Tak właśnie myślałam.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała. Weszłam do sali i usiadłam na krześle.

- Potrzebujesz Theo - powiedziałam.

- Potrzebuję kompetentnego asystenta znającego się na robieniu filmów - skorygowała. - W Nowym Jorku roi się od takich. Ale tutaj...

- Nie jest ich zbyt wielu - dokończyłam za nią.

- Właśnie.

Znowu umilkłyśmy. Nie byłam pewna, jak w gruncie rzeczy mam się zachować, jednak sytuacja wydawała mi się na tyle dziwna, że chciałam jak najszybciej ją zakończyć.

- No cóż. Naprawdę powinnam już...

- Posłuchaj - przerwała mi. - Wiem, że mnie nie lubisz.

- Ivy, ja...

- Ale teraz potrzebuję pomocy. I nie wiem nawet, do kogo mogłabym się o nią zwrócić. - Przechesała dłonią włosy i spojrzała na mnie. - Przyszłam tutaj, chociaż

to dla mnie upokarzające, ponieważ jestem pewna, że ty wiesz.

- Chcesz mnie zatrudnić? - spytałam zdezorientowana.

- Chcę dokończyć mój film - powiedziała. - Chcę, abyś znalazła ludzi, którzy przez następny tydzień zrobią wszystko, co potrzeba, żebym mogła tego dokonać.

- Mam już pracę - przypomniałam jej.

- Dobrze ci zapłacę.

- Ale dzień ma ograniczoną liczbę godzin.

- To prawda. Jednak potrafisz sprawnie działać - powiedziała. Musiałam mieć wyjątkowo sceptyczną minę, bo dorzuciła szybko: - Posłuchaj, wiem, że wkrótce wyjeżdżasz na studia, więc możesz potrzebować pieniędzy. A jeśli chodzi o Theo...

- Nie chodzi o niego - zaprzeczyłam. - Ja po prostu... i tak już jestem zavalona obowiązkami.

Ivy westchnęła.

- Emaline, proszę. Chcesz, żebym zaczęła cię błagać?

Prawdę mówiąc, rzeczywiście nie miałabym nic przeciwko temu. Co nie znaczy, że bym się do tego przyznała. Gdy więc zastanawiałam się, jak uprzejmie odmówić, usłyszałam odgłos otwierania frontowych drzwi. Chwilę później korytarzem przeszła Margo, a za nią mój ojciec. Niósł kartonową teczkę, a na jego twarzy widniało napięcie, które jeszcze się wzmogło, gdy mnie zobaczył.

- Usiądź w moim gabinecie - powiedziała do niego Margo, zapalając światła i zapraszając go gestem, żeby wszedł. - Leah powinna się wkrótce zjawić i wtedy zaczniemy.

Kiwnął głową i zniknął wewnątrz. Zajrzałam do gabinetu babki. Rozmawiała przez telefon. Benji nadal tkwił przy komputerze. Widział wchodzącego ojca i twarz mu spochmurniała. Jesteś mi winien dolara, pomyślałam. A potem usłyszałam, jak mówię:

- Dobrze. - Odwróciłam się do Ivy. - Zgadza się.

\* \* \*

Opuściłam biuro punktualnie o piątej. Dziesięć minut później byłam w Pawilonie. Miałam stawić czoło pierwszemu kłopotliwemu spotkaniu, których będzie jeszcze wiele.

- Cześć! - zawołał Theo na mój widok. - Wcześniej przyszedł.

Skinęłam głową, powstrzymując się od komentarza. Znałam tę salę głównie z imprez towarzyskich, takich jak Plażowy Ubaw, kiedy bywała jakoś udekorowana.

Teraz było to tylko duże, puste wnętrze, z obrazami i kolażami opartymi o ściany i leżącymi w stertach na składanych stolikach. Theo kucał przy wielkim obrazie, przedstawiającym cztery wyrastające wysoko rośliny odmalowane perfekcyjnie z najdrobniejszymi szczegółami. Przy jego nogach był laptop, wokół którego walały się jakieś dokumenty.

- Ładny - powiedziałam, wskazując płótno. - Bardzo... prawdziwy.

- Och, jest wspaniały - przytaknął, odwracając się, by napisać coś na laptopie. -

O ile dobrze pamiętam, Clyde tuż po powrocie tutaj radykalnie odmienił swój styl i przedmiot artystycznych zainteresowań. W tamtym okresie tworzył liczne kolaże, wykorzystując metal i skrawki materiału, ale nagle zaczął malować mnóstwo motywów przyrody, najczęściej z najdrobniejszymi detalami. Zebrałem informacje na temat tego obrazu. Przedstawia jakąś mało znaną odmianę pszenicy rosnącą tylko w niektórych rejonach pastwisk na południu kraju.

- O rany - powiedziałam.

- No właśnie. Nie mogę się doczekać, żeby się przekonać, co ludzie o nim powiedzą. Hej, możesz mi podać aparat fotograficzny?

Odwróciłam się i zobaczyłam leżący na stole za mną aparat z obiektywem o zmiennej ogniskowej. Wzięłam aparat i podałam Theo. Nadal wpatrując się w ekran laptopa, powiedział:

- Myślałem, że mieliśmy się spotkać później. Mam tu jeszcze kupę rzeczy do zrobienia.

- Och, wiem - odparłam. - Ja... ee... przyszłam właściwie tylko po to, żeby zobaczyć to miejsce.

Theo uniósł głowę i rozejrzał się.

- No tak. Nie jest zbyt imponujące. Ale myślę, że ta surowość wnętrza umożliwi skupienie uwagi na obrazach. Jednak szczerze mówiąc, sądziłem, że Ivy dokona tutaj więcej, zwłaszcza że otwarcie wystawy już wkrótce. Z pewnością jest wkurzona!

Pomyślałam, że otwarcie tej wystawy to teraz także moja sprawa. Odchrząknęłam.

- Właściwie... chciałam o tym z tobą porozmawiać.

- O Ivy? Co z nią?

- No cóż - zaczęłam. - Wpadła dziś do mnie do biura. Najwyraźniej naprawdę potrzebuje pomocy przy zorganizowaniu tej imprezy. I przy kilku innych rzeczach.

- Ha! Założę się, że tak. - Uśmiechnął się szeroko i znowu pochylił nad obrazem.

- I co, teraz chce, żeby zajęła się tym agencja wynajmu nieruchomości?

- Nie całkiem.

Teraz Theo był naprawdę zaintrygowany.

- Więc czego chciała?

Przełknęłam ślinę.

- Poprosiła, żebym ja jej pomogła. Żebym zorganizowała tę wystawę i wynajęła ludzi, którzy zajmą się innymi sprawami, jakie ma na głowie.

- Ty? - Roześmiał się. - Daj spokój! Jakbyś kiedykolwiek mogła zechcieć jej pomóc po tym, jak cię potraktowała. A właściwie nas oboje.

Milczałam. W kieszeni zabrzęczała moja komórka. Rozpoznałam numer firmy Everything Island zajmującej się zaopatrywaniem imprez, o której wspomniałam Ivy dawno temu, pierwszego dnia, gdy się poznałyśmy.

- Sekundę - rzuciłam do Theo. - Muszę odebrać.

Przycisnęłam komórkę do ucha i odeszłam kilka kroków. Theo wciąż nie odrywał ode mnie wzroku. Widziałam dobrze jego twarz, na której odmalował się wyraz narastającego niedowierzania, gdy zamawiałam dostawę do Pawilonu krzeseł i stołów na najbliższą sobotę rano. Kiedy zakończyłam rozmowę, potrząsnął głową.

- O, mój Boże - rzekł. - Więc przyjąłeś tę pracę.

Westchnęłam.

- Theo, Ivy jest zdesperowana.

- I nie cierpi cię! A ty jej! - Odwrócił się, nadal potrząsając głową. - Nie mogę w to uwierzyć. W końcu uwolniłem się od niej, a ty ochoczo dajesz sobie nałożyć te same kajdany. I przy okazji udaremniaasz wszystko, co robię.

- Jak możesz tak mówić? - zaprotestowałam. - Jeżeli ta impreza zrobi kłapę, zaszkodzi to nie tylko Ivy, lecz także tobie i Clyde'owi.

- To tylko wystawa w Colby - rzekł Theo z lekceważącym machnięciem ręki. - Nie ma żadnego znaczenia oprócz okazji dla Ivy do sfilmowania nowych dzieł Clyde'a, podczas gdy miejscowi będą się na nie gapić. Jeżeli te prace wzbudzą takie zainteresowanie, jak się spodziewam, Clyde nie będzie w ogóle potrzebował jej filmiku. W gruncie rzeczy prawdopodobnie poradzimy sobie nawet lepiej bez niego.

Może powodem był pogardliwy ton, jakim wymówił słowa „Colby” i „miejscowi”. W każdym razie odparłam:

- Wy? Myślałam, że jeszcze nie dostałeś tej pracy.

- Dlaczego ciągle się tego czepiasz?

- Bo to prawda.

- Emaline - powiedział znużonym głosem. - Tego rodzaju pracy nie dostaje się za nic, trzeba na nią zasłużyć. To nie jest przywożenie ludziom ręczników, jasne?

Ups.

- Uważasz, że tylko tym się zajmuję?

- Uważam - rzekł, biorąc znów do ręki aparat fotograficzny - że nie masz pojęcia, czym jest życie w realnym świecie.

- Czyli w Nowym Jorku - uściśliłam.

- Czyli wszędzie indziej poza tą nadmorską dziurą, w której znasz wszystkich z nazwiska i nic się w niej nigdy nie zmienia.

- Dziurą? - powtórzyłam.

Pstryknął zdjęcie obrazu.

- To znaczy małą miejsciną.

- Wiem, co to znaczy. Potrafię się całkiem nieźle wysławiać, pamiętasz?

- Oczywiście. Przecież dostałaś się na Columbię!

- I kto się teraz czepia? - rzuciłam. - Poza tym, co to ma wspólnego ze sprawą, o której mówimy?

- Wszystko - odparł, odwracając się, żeby spojrzeć na mnie. - Emaline, teoretycznie jesteś naprawdę bystrą dziewczyną. I to nie twoja wina, że zrobiłaś w życiu kilka niezbyt mądrych rzeczy. Odebrało mi mowę. Naprawdę. Nie potrafiłam wydobyć z siebie słowa.

- Ale prawdą jest, że nie miałaś wielu okazji, by zetknąć się z wpływami z zewnątrz, z ludźmi, którzy pokazaliby ci inną drogę - ciągnął. - Lecz teraz ja tu jestem. I mówię ci, że nie powinnaś przyjmować tej pracy u Ivy. To byłby błąd.

- Uważasz, że popełniłam błąd, rezygnując ze studiów na Columbii.

Najwyraźniej już odzyskałam głos. Prawie.

Theo przewrócił oczami.

- Jesteś dziewczyną z liceum w Colby, która dostała się na jedną z najlepszych uczelni w kraju. To było marzenie, które się spełniło.

- Ale nie moje marzenie.

Znowu wymownie przewrócił oczami.

- Właśnie dokładnie to mam na myśli. Nie znasz świata poza tą miejsciną. Gdybyś kiedykolwiek zyskała o nim choćby najbledsze pojęcie, zrozumiałabyś, co tracisz.

Zamiast odpowiedzieć, tylko przyjrzałam mu się uważnie. Temu stojącemu przede mną chłopcu w dżinsach, drogim obcisłym podkoszulku i hipsterskich tenisówkach, właścicielowi sportowej marynarki. Komuś, dla kogo wszystko musiało być Wspaniałe i Wyjątkowe, bo inaczej nie było warte jego czasu.

Ale z takimi wielkimi gestami wiąże się pewna trudność. Kiedy wykonasz jeden, cóż innego ci pozostaje oprócz obmyślenia następnego? Jeżeli przywykniesz do



uroczystej pompy, wszystko mniejsze od niej wyda ci się tylko rozczarowaniem. Dlaczego poprzestać na Najwspanialszym Lecie, skoro można spróbować przeżyć Jeszcze Wspanialsze? Jednak w rzeczywistości wszystko nie może być zawsze Najwspanialsze. Czasami, gdy chodzi o wydarzenia i ludzi, trzeba się cieszyć tym, że po prostu są. Wytłumaczyłam to niedawno ojcu. Nie byłam pewna, czy potrafię zrobić to ponownie.

I właśnie w tym momencie zrozumiałam, w czym Theo ma rację. Istotnie, nie znałam zbyt wielu ludzi podobnych do niego. Ale zaczynałam myśleć, że to dobrze. Prawdopodobnie jeden wystarczy.

- Wiesz, chyba już pójdę - powiedziałam. - Mam mnóstwo roboty.

- Więc naprawdę zamierzasz mi to zrobić! - zawołał za mną, gdy odchodziłam. -

Przyjmiesz tę pracę.

- Tak - rzuciłam przez ramię.

Usłyszałam, jak westchnął.

- Emaline, nie jesteś taka, jak myślałem.

Nareszcie coś, w czym mogliśmy się ze sobą zgodzić.

- Nie - odparłam. - Nie jestem.

I ruszyłam w kierunku otwartych drzwi wychodzących na bulwar. Było późne popołudnie, jeszcze słoneczne, i mogłam widzieć ocean. Zabawne, że teraz, kiedy wiedziałam, że moje odejście nie musi wypaść idealnie, było jednak cholernie tego bliskie.

- Emaline! Dokąd mamy pójść?

Odwrociłam się i ogarnęłam wzrokiem całą tę gorączkową aktywność przede mną. W końcu wypatrzyłam Robin z firmy Roberts Family Catering. Stała przy tylnych drzwiach z naręczem zafoliowanych talerzy.

- Możecie użyć kuchni jako tymczasowego składziku. To, co się w niej nie zmieści, położymy na dużym stole z przodu sali.

- Dobrze - odrzekła.

Skinęła na dziewczynę za sobą, ciągnąc pojemnik chłodzący. Ruszyły przez pomieszczenie, dołączając do narastającego chaosu: facetów z firmy Everything Island rozstawiających stoliki i krzesła; Morrisa ustawiającego przy barku butelki piwa i wina; Benjiego wyładowującego kwiaty, które kupiliśmy w markecie Park Mart; i Daisy wkładającej je do wszystkich wazonów, jakie udało mi się zdobyć.

- Czy mamy filiżanki?! - zawołał do mnie Morris.

- Przecież ci je dałam.

Rozejrzał się.

- Ee...

- Są pod dużym stołem! - krzyknął mijający go Benji, dźwigając olbrzymi pęk lilii.

- Zawadzały.

Morris schylił się i je dostrzegł.

- Dzięki, stary.

- Nie ma za co. Zaraz wracam! - oznajmił Benji.

I znowu zniknął. Tylko on jeden poruszał się biegiem, choć prawdopodobnie wszyscy powinniśmy. Spojrzałam na zegarek. Była druga trzydzieści, co oznaczało, że miałam zaledwie dwie i pół godziny, aby jakoś doprowadzić to wszystko do ładu. Szaleństwo polegało na tym, że po tym, czego zdołałam już dokonać w ciągu minionych kilku dni, uważałam, że właściwie może mi się to udać.

Trudno powiedzieć, co najbardziej zaskoczyło mnie w pracy dla Ivy. Nie to, że była twardzielką i wymagającą, rygorystyczną perfekcjonistką. O tym wiedziałam już wcześniej. Wciąż natomiast zaskakiwało mnie coś, co było ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam: ta praca okazała się frajdą.

Owszem, Ivy kilka razy na mnie warknęła. Jeżeli próbowałam zagadnąć do niej

rano, zanim wypija pierwszą kawę, dostawałaś za swoje. Lecz pod tą szorstką powierzchnią pulsowała żywa, wyczuwalna energia, z jaką nie zetknęłam się do tej pory u nikogo. Od dawna obserwowałam przy pracy moją matkę, babkę, czy nawet Margo, ucząc się od nich, jak radzić sobie z problemami. Ale przebywanie z Ivy było jak nauka w nowej, mistrzowskiej klasie. Nie zamierzałam nazywać tego Najwspanialszą Pracą w Życiu. Jednak niewątpliwie mi się podobała.

- Uważajcie na sufit! - usłyszałam teraz jej okrzyk.

Odwróciłam się ku drugiej stronie Pawilonu, gdzie Ivy nadzorowała facetów, których wynajęliśmy do rozwieszenia obrazów. Miało to być zrobione już wczoraj, jednak Theo i Clyde okazali się tak niezdecydowani w kwestii wyboru dzieł na wystawę, że kończyliśmy to zadanie dosłownie w ostatniej chwili.

- Powiedziałam: wysoko! - zażądała. - Nie najwyżej jak to możliwe, ale żeby niemal dotykały sufitu.

Rozległ się huk, gdy windowany w górę obraz - jeden z tych przedstawiających w zbliżeniu rośliny - znowu walnął w wylot kanału wentylacyjnego.

- Ups - jęknął jeden z pracowników.

- Ups - powtórzyła beznamiętnie Ivy. Potem spojrzała na mnie. - Powtórz mi jeszcze raz, że to nie skończy się totalną katastrofą.

- Wszystko jest pod kontrolą - zapewniłam. - Może powinnaś pozwolić, abym ja tym pokierowała. Musisz się jeszcze przygotować, tak byś mogła znaleźć się tutaj przed zjawieniem się pierwszych gości.

Znowu spojrzała w górę na obraz, a potem na rząd już wiszących na ścianie.

- Wciąż nie jestem pewna, jak zdołam zapanować jednocześnie nad tą imprezą i filmem.

- Nie musisz - odparłam. - Właśnie dlatego mamy Esther.

- Która jest studentką wydziału filmowego w college'u - przypomniała mi Ivy. - A nie nagradzaną, doświadczoną reżyserką.

- Sama powiedziałaś, że chodzi głównie o reportażowe sfilmowanie tłumu zwiedzających - zauważyłam. - Masz już zarejestrowane wszystkie inne fragmenty filmu i wywiady. To będzie tylko dodatek.

Ivy nie wyglądała na przekonaną. Jednak już nie zaciskała nerwowo szczęk, co stanowiło niejaki postęp.

- Dobrze. Włożę czarną sukienkę i, powiedzmy, odmówię kilka zdrowasiek.

- Doskonale. Spotkamy się tutaj punktualnie o wpół do piątej. Tylko nie pal papierosów. Będiesz śmierdzieć dymem i znienawidzisz siebie.

- Tak jest, mamusiu - jęknęła, ruszając do drzwi.

Kiedy wyszła, spojrzałam na Morrisa, który obserwował z pewnej odległości tę wymianę zdań, a teraz patrzył na mnie.

- Co takiego? - spytałam.

Pokręcił głową.

- Nic.

Poczułam, że coś mocno uderzyło mnie z tyłu. Odwróciłam się i spojrzałam w dół na mały kwitnący krzew.

- Przepraszam - rzekł Benji głosem stłumionym przez liście. - Prawie nic nie widzę zza tego krzaka.

Wzięłam od niego donicę i postawiłam na stole za sobą.

- Najważniejsze jest bezpieczeństwo. Ogranicz się do noszenia niewielkich rzeczy.

- Dobra - odrzekł i wybiegł na dwór.

Patrzyłam za nim z uśmiechem, a potem zobaczyłam Theo. Stał w sali, tuż przy drzwiach, i przyglądał się całej tej krzątaninie. Zrobiłam wdech i wbiłam wzrok w swoje notatki na podkładce z klipsem. Jednak wyczułam, kiedy mnie spostrzegł.

Powiedzieć, że sprawy między nami przez ostatnie kilka dni układały się trudno, to byłoby zdecydowanie za mało. Od naszej kłótni i wynikłego z niej rozstania w tej właśnie sali, ilekroć byliśmy zmuszeni kontaktować się ze sobą - co zdarzało się dość często, ponieważ Clyde odgrywał kluczową rolę w realizacji naszych odmiennych zadań - wręcz wyczuwało się formalny charakter tych kontaktów. Chociaż był najgorętszy miesiąc lata, podczas naszych spotkań temperatura wyraźnie spadała.

Ivy zdawała się tego nieświadoma albo, nawet jeśli zauważała, nie przejmowała się tym. Koncentrowała się wyłącznie na pracy. Clyde natomiast, co zaskakujące, sprawiał wrażenie na przemian rozbawionego i zatroskanego napiętą atmosferą między mną a Theo. Kiedy mnie zapytał, czy coś między nami zaszło, odpowiedziałam tylko, że rozstaliśmy się za obopólnym porozumieniem, więc możemy bez przeszkód współpracować i nie ma się czym martwić. Przypuszczałam, że Theo trzyma się podobnej wersji. Co nie znaczy, że zamierzałam go o to pytać.

- Hej! - zawołała do mnie Daisy. Spojrzałam w jej kierunku. Stała na drabinie i układała hortensje w wazonie. - Chodzi nam z tymi kwiatami o poświst wertykalny czy horyzontalny?

- Poświst? - powtórzyłam zdezorientowana.

Daisy westchnęła.

- Poświst, czyli szwung, czynnik zwracający uwagę, przykuwający spojrzenia.

Mają być ułożone wzwyż czy wszerz?

Patrzyłam na nią w milczeniu.

- Och, nieważne. Sama zdecyduję - rzuciła, odwracając się z powrotem do kwiatów.

- Dziękuję! - zawołałam.

Zajrzałam znowu do mojej listy i wykreśliłam pozycje *Odbiór kwiatów z kwiaciarni* oraz *Zaopatrzenie barku*. Zabrzęczała komórka. Wyjęłam ją i spojrzałam na wyświetlacz. To była wiadomość od ojca.

*Proszę, powiedz Benjiemu, żeby był gotowy wyjechać o 4.*

OK - odpowiedziałam. - *Powiem.*

Ta wymiana wiadomości była typowa, odkąd Leah przed kilkoma dniami wróciła do Connecticut do pracy. Jeżeli ojciec i ja musieliśmy się skontaktować, odbywało się to za pośrednictwem esemesów i dotyczyło wyłącznie Benjiego. Co całkiem mi odpowiadało. Wcześniej powiedziałam ojcu już wszystko, co chciałam powiedzieć.

- Nie ma tu wystarczająco wiele miejsca. Czy nie rozumiesz, że potrzebujemy przestrzeni dla zwiedzających, tak aby mogli naprawdę zobaczyć te obrazy?

Właśnie tak, panie i panowie, Theo teraz się do mnie odezwał. Odwróciłam się i spojrzałam na ścianę, której się uważnie przyglądał.

- Stoliki stoją za blisko?

- Tu w ogóle nie powinno być stolików - odparł. - To wernisaż, nie przyjęcie weselne.

- Więc gdzie ludzie mają postawić napoje i jedzenie?

- Mogą je trzymać w rękach, oglądając obrazy - to jest jedynym powodem, dla którego w ogóle tu się zjawia. - Pokręcił głową i podszedł do ściany. Podążyłam za nim, obserwując, jak chwyta jeden ze stolików i ciągnie bliżej środka sali. - Tym, czego potrzebujemy, jest przestrzeń. Nie jej zapełnienie.

- Przyjęciem zajmujemy się Ivy i ja - oznajmiłam mu, zatrzymując ręką stolik. - Ty skoncentruj się tylko na Clydzie i obrazach.

- Chodzi właśnie o obrazy! - zripostował, znowu pchając stolik. - Zaufaj mi. Naprawdę widziałem już w życiu kilka wystaw malarstwa. Potrzeba tutaj więcej miejsca.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywaliśmy się w siebie. To tylko stolik, przypomniałam samej sobie. Ale, o rany!, te utarczki były takie męczące.

- Emaline! - To był Luke. Wyłonił się zza pleców Theo, pchając odkurzacz z filtrem wodnym, na którego boku widniał napis zrobiony markerem: AGENCJA COLBY. - Twoja mama powiedziała, że będzie ci potrzebny.

- Owszem. Całe szczęście, że przywiozłeś ten odkurzacz. Coś cieknie przy zlewie w kuchni. Możesz go tam zostawić?

- Jasne - odpowiedział Luke i rzucił spojrzenie na Theo, który wykorzystał tę wymianę zdań i przesunął stół dalej, omijając mnie. - Potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Wszystkiego - odparłam. - Ale radzę sobie. Hej, przyjdiesz dziś wieczorem, prawda?

Nie usłyszał mnie, bo w tym momencie Morris wysypał z torby lód do pojemnika chłodzącego i ten hałas zagłuszył wszystko inne. Kiedy Luke przepchnął obok nas odkurzacz, Theo mruknął:

- Widzę, że znowu jesteś w dobrych stosunkach ze swoim chłopakiem. Szybko ci poszło.

- On pomaga - wyjaśniłam. - Jak wszyscy tutaj.

- To niewątpliwie miłe - odparł Theo. - A tymczasem ja staram się sam jeden nadzorować tę wystawę i zapewnić jej sukces.

- I właśnie dlatego - spytałam, pchając stół z powrotem - przestawiasz meble?

- Nie wiesz, co robisz! - Theo dramatycznym gestem wyrzucił ręce w górę. - Doskonale. Nie zostawiaj w ogóle miejsca na to, żeby ludzie mogli się zebrać i podyskutować. To twój pogrzeb.

Co powiedziawszy, odszedł ciężkim krokiem. Ustawiłam stół z powrotem tak, jak chciałam, i znowu zajrzałam do listy. Chwilę później poczułam, że ktoś klepnął mnie w ramię. Dobry Boże!, jęknęłam w duchu, przygotowując się na następną słowną utarczkę. Ale to była tylko Esther, dziewczyna, która pomagała nam filmować przyjęcie. Stała za mną w czerwonej sukience. Była przyjaciółką Auden i Maggie i znałam ją z liceum, obecnie studiowała na drugim roku szkoły filmowej w Kalifornii.

- Cześć - powiedziała. - Przepraszam, jestem wcześniej.

- Zjawiłaś się idealnie w porę - zapewniłam ją. - Odejdźmy kawałek dalej od tego zamętu. Ivy zostawiła trochę sprzętu filmowego, żebyś go z tobą przejrzała.

Ruszyliśmy w kierunku małej ławki, którą przekształciłam w moje ruchome biuro. Po drodze minęliśmy Benjiego pomagającego teraz Morrisowi rozrywać opakowania serwetek. Kiedy się im przyglądałam, przemknęło mi przez głowę wspomnienie innego przyjęcia, dawno temu, na początku lata, gdy musiałam zagonić Morrisa do pracy, za którą mu przecież płacono. Najwyraźniej nie tylko ja od tamtego czasu trochę się zmieniłam.

- Hej - rzekłam do Benjiego - twój tata mówi, żebyś był gotowy wyjechać stąd

o czwartej, dobrze?

Spojrzał na mnie.

- O czwartej? Ale przyjęcie zaczyna się o piątej.

Wzruszyłam ramionami.

- Ja tylko przekazuję wiadomość.

- Ale ja chcę tu być - powiedział. Spojrzał na Morrisa, a potem znowu na mnie. -

Nie mogę zostać?

- Wygląda na to, że ojciec coś już dla ciebie zaplanował, stary - odparłam.

To go najwyraźniej nie zadowoliło.

- Do bani. Tylko mnie jednego ominie wszystko.

- Kogo wszystko ominie? - zapytał Luke, podchodząc do nas.

Skinieniem głowy przywitał Esther, a ona odpowiedziała tym samym. Tak to jest w małych miasteczkach.

- Mnie - burknął Benji. - Tata każe mi wcześniej stąd wyjechać.

- Fatalnie. Doskonale cię rozumiem - rzekł do niego Luke. - Ja też nie mogę tu zostać.

Spojrzałam na niego.

- Nie?

- Miałem już wcześniej inne plany. Ale dzięki za zaproszenie - powiedział Luke i przyjaźnie zmierzwił Benjiemu włosy. - Ja i ten tutaj młody człowiek będziemy musieli po prostu wysłuchać później relacji z tej imprezy.

- Nie chcę relacji. Chcę tu zostać - oświadczył Benji.

- Hej - rzekł Luke. Chłopiec popatrzył na niego ponuro. - Nie dręcz swojej siostry. I tak ma już dość kłopotów. Zgoda?

Benji przygryzł wargę, szurnął nogą po podłodze.

- Dobrze.

- A więc w porządku. - Luke pochwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się. - Emaline, życzę ci powodzenia we wszystkim.

- Dzięki za pomoc - odrzekłam.

- Zawsze, jeśli będziesz jej potrzebować.

W drugim końcu sali rozległ się kolejny huk, gdy obraz uderzył w sufit.

- O rany - rzekła Esther, kiedy Benji się oddalał. - To miejsce naprawdę jest zwariowane.

Znów spojrzałam na zegarek. Dochodziła czwarta.

- Owszem - przyznałam i skinęłam na Esther, żeby poszła za mną. - Chodź. Powiem ci, co masz zrobić.

Dwadzieścia minut później zostawiłam już poinstruowaną Esther, aby zaznajomiła się ze sprzętem Ivy, i ponownie dołączyłam do Daisy, która dokonywała ostatnich poprawek przy ułożeniu kwiatów.

- A więc - zagadnęła do mnie, poprawiając pączek róży, który nieco opadł - co włożysz na tę galę?

- Co włożę? - Spojrzałam po sobie. - Och, racja. Rzeczywiście, muszę się przebrać.

- Emaline - rzekła z westchnieniem Daisy. - Proszę, powiedz mi, że już wybrałaś jakiś ładny, elegancki strój.

- Jestem trochę zajęta - usprawiedliwiłam się, wskazując ręką wokoło. - Po prostu pobiegnę do domu i coś na siebie wrzucę. A w ostateczności zostanę w tym, co mam na sobie.

Daisy jęknęła cicho.

- Nie. Wykluczone. Daj mi kluczyki do swojego samochodu. Natychmiast.

- Po co?

Nie odpowiedziała, tylko wyciągnęła rękę i ponagląco pokiwała palcami. Wręczyłam jej kluczyki.

- Za kwadrans wróć! - zawołała przez ramię. - Przygotuj się, żeby wyglądać bajecznie.

- Tylko nie przywieź nic zbyt szalonego! - krzyknęłam za nią, lecz oczywiście mnie zignorowała.

Ivy, ubrana w prostą granatową sukienkę bez rękawów, pojawiła się obok mnie, już zdenerwowana.

- Co jest zbyt szalone? Co się stało?

- Nic - odpowiedziałam. - Ładnie wyglądasz.

- Nie paliłam - oznajmiła. - Jeśli zamierzałaś o to zapytać.

- Nie zamierzałam - odparłam. - Ale cieszę się. Jest już Esther. Pozwól, że cię jej przedstawię.

- Kim jest Esther?

- To ta studentka wydziału filmowego - przypomniałam jej. - Poinstruowałam ją. Mówi, że pracowała już z takim sprzętem.

- O mój Boże! - jęknęła Ivy, ale podążyła za mną. - Powiedz mi, że to nie będzie totalna katastrofa.

- Będzie wspaniale - zapewniłam. - Zaufaj mi.

Jednak szczerze mówiąc, w tym momencie nie byłam o tym całkiem przekonana. A o wpół do piątej, kiedy ciągle jeszcze nie zawieszono jednego obrazu, a kałuża



w kuchni rozlewała się na obszar barku, byłam wręcz pewna, że istotnie czeka nas kompletna klapa. Do czasu gdy o czwartej pięćdziesiąt Daisy zaciągnęła mnie do toalety, żebym się przebrała, sama zdążyłam już zmówić kilka zdrowasiek.

- Wiem, że podążasz w awangardzie najnowszych trendów mody - rzekłam do niej, gdy powiesiła przyniesioną torbę na garderobę - ale naprawdę nie chcę dziś wieczorem wyglądać jak robot.

- Nie przebrałabym cię za robota na otwarciu wystawy sztuki - odparła urażona.  
- A przynajmniej nie tego rodzaju sztuki. Pośpiesz się, masz cztery minuty.

Wyśliznęłam się ze swojego ubrania i kopnięciem zrzuciłam japonki, a Daisy rozpięła zamek błyskawiczny torby.

- Przysięgam, naprawdę zamierzałam pojechać do domu, wziąć prysznic i uczesać włosy - oznajmiłam. - Ale czas uciekał, a potem zaczęła się pora szczytu ruchu ulicznego i...

- Właśnie dlatego - rzekła Daisy - potrzebujesz sukienki, która temu zaradzi. Na szczęście mam taką dla ciebie.

Odwróciłam się do niej pełna obaw, na poły przeświadczona, że ujrzę tę różową cukierkową kreację przygotowaną na Plażowy Ubaw. Zamiast tego jednak zaskoczył mnie widok Daisy trzymającej krótką sukienkę bez rękawów, barwy morskiego błękitu, o niewątpliwie klasycznym kroju z rozszerzaną spódniczką. Kolor był jaskrawy, ale nie krzykliwy; przeciwnie, wyglądał chłodno i zdawał się niemal opalizować niczym prawdziwa woda. Miało się ochotę w nią zanurkować.

- Daisy - powiedziałam, podchodząc bliżej i dotykając góry sukienki. - Ona jest zachwycająca. Ale czy nie sądzisz, że może trochę za dużo... no wiesz... przyciąga uwagę?

- Sama zawsze mówisz, że masz już dość bycia ciągle statystką trzymającą się na drugim planie - przypomniała mi. Odwróciła sukienkę i zachęciła mnie gestem, żebym ją włożyła. Zrobiłam to, a ona zapięła suwak z tyłu. - Jeżeli chcesz być gwiazdą, musisz się ubierać jak gwiazda.

Obróciła mnie i odstąpiła na bok, żebym mogła się przejrzeć w wysokim lustrze wiszącym naprzeciwko otwartej kabiny. Nie powiedziałabym, że wyglądałam na gwiazdę, ale też nie wtapiałam się w tło. I ten kolor! Nie potrafiłam oderwać od niego wzroku. Daisy ujęła moje włosy w dłonie, zwinęła je i spięła dwiema wsuwkami wyjętymi z kieszeni.

- I jak? Co o niej myślisz?

- Jest idealna - odpowiedziałam.

- Wiem - rzekła Daisy z przekonaniem. - Chociaż prawdę mówiąc, chciałam ci

przywieźć tę metaliczną sukienkę z rozkloszowaną spódnicą, nad którą pracuję. Jednak się powstrzymałam. Ale jeśli chodzi o pantofle, nie zaakceptuję żadnego sprzeciwu. Włóżysz te.

Rozpięła suwak bocznej kieszeni torby i wyjęła parę srebrzystych sandałów. To były jej własne. Uniosłam brwi.

- Naprawdę?

- Emaline, bycie gwiazdą wymaga noszenia wyzywających butów. To Fashion 101. Włóż je.

Usłuchałam. Na moje szczęście lub nieszczęście, zawsze nosiliśmy te same rozmiary niemal wszystkiego. Spojrzałam w dół. Musiałam przyznać, że te sandały wyglądają świetnie. O ile mogłam to ocenić.

- Jeszcze nigdy w życiu nie miałam na sobie nic srebrzystego - oznajmiłam.

- Możesz mi podziękować później - rzekła Daisy, sięgając po torbę i zasuwając jej zamek. - Teraz lepiej już pędź. Jest piąta.

- Naprawdę? - Spojrzałam na zegarek. - Cholera. Chodźmy.

Dosłownie pobiegłam korytarzem do głównej sali, modląc się o dwie rzeczy: żeby wszystkie obrazy już wisiały, a jeżeli nie, to żeby nie było jeszcze nikogo z gości. Miałam szczęśliwy dzień: spełniły się oba życzenia. A potem jako bonus coś jeszcze.

- Włączam światła! - krzyknął Morris.

Spojrzałam akurat w porę, by zobaczyć, jak gasi wielkie fluorescencyjne lampy na suficie i podłącza do gniazdka przewód mniejszych reflektorów punktowych, które ustawialiśmy przez cały dzień. Sala w jednej chwili zmieniła się z olbrzymiej i jaskrawej w kameralną i intymną, a każdy obraz był oświetlony i wyraźnie wyodrębniony. Właśnie tak widywałam wcześniej oświetlany ten Pawilon. Jakaż różnica - i tym razem byłam szczęśliwa, bo wiedziałam, że to wyłącznie moja zasługa.

- Na zewnątrz przed wejściem są już ludzie - zaraportował Morris, gdy Robin przeszła obok mnie, zawiązując fartuch. - Mam otworzyć drzwi? - zapytał.

Spojrzałam na Ivy, która stała przy kamerach z wyrazem napięcia na twarzy. Dziwne było widzieć ją tak zdenerwowaną, lecz zarazem poniekąd miłą. Przypominało bowiem, że nie każdy jest taki, jaki wydaje się na pierwszy rzut oka. Warto od czasu do czasu sobie o tym przypomnieć.

- Pewnie - odpowiedziałam i kiwnęłam głową do Ivy. - Wpuśćmy ich.

Godzinę później sala była ciasno wypełniona i zabrakło nam już klopsików („Wszystkim ogromnie smakują”, powiedziała z westchnieniem Robin, po czym przysłała z kuchni więcej nadziewanych grzybów), a sądząc po grupach ludzi skupionych przy każdym obrazie, wyglądało na to, że niepokój Theo o brak miejsca okazał się ostatecznie nieuzasadniony. Choćby tylko z tego powodu czułam się szczęśliwa. A raczej na tyle szczęśliwa, na ile to możliwe, skoro do końca imprezy zostały jeszcze dwie godziny.

- Te dania z ryb są naprawdę smaczne - rzekła do mnie Amber, gdy stałyśmy z boku baru, skąd jak zauważyłam, był najlepszy widok na salę.

W tym momencie przyglądałam się Ivy, która razem z Clyde'em obchodziła wystawę, a za nimi podążała Esther z kamerą. Theo, wyglądający na niezadowolonego, trzymał się tuż przy artyście. Tylko raz dziś widziałam, że się rozpromienił - kiedy przeglądaliśmy harmonogram imprezy i Clyde oznajmił, że zamierza w trakcie tego wieczoru „wygłosić kilka uwag na temat nadchodzących wydarzeń”. Niemal usłyszałam, jak Theo pomyślał o Najwspanialszym Momencie Zdobywania Posady. Publicznie i z wielką pompą; najbardziej uroczystie jak to możliwe.

- To krewetki zapiekane w cieście - wyjaśniłam Amber.

- Wszystko jedno. Zjadłam ich już chyba siedem.

Wsadziła do ust następną i wtedy dołączyła do nas mama, z włosami nadal wilgotnymi po jej pospiesznych przygotowaniach przed zjawieniem się tutaj.

- Wasz tata raczy się kieliszkiem białego wina - oznajmiła. - Mam wrażenie, że powinniśmy uwiecznić ten moment, bo to się nigdy więcej nie zdarzy.

- Dlaczego nie pije piwa? - spytałam.

Mama wzruszyła ramionami i upiła łyk ze swojego kieliszka.

- To nie zapowiadało się na imprezę piwną. A jednak ludzie przechadzają się z butelkami piwa.

Znowu powiodłam wzrokiem po sali. Rzeczywiście, w pewnej odległości, przy obrazie, na którym widniały szerokie poziome pasy w rozmaitych odcieniach szarości, stał mój tata w białej koszuli - to znaczy, takiej zapiętej na guziki i wetkniętej w spodnie - i trzymał w ręku kieliszek wina, ale nie pił z niego.

- Zaraz wrócę - rzuciłam do mamy i Amber, po czym przeszłam na skróty za barem i dotarłam do pojemnika chłodzącego z butelkami piwa. - Radzisz sobie? - spytałam Morrisa, który serwował napoje, gdyż barman od Robin w ogóle się nie pojawił.

- Aha - odrzekł, jak zawsze spokojny, nawet przy olbrzymim tłumie ludzi

cisnących się wokół niego. – Czy Clyde cię znalazł?

– Kiedy?

– Parę minut temu powiedział, że chce cię o coś zapytać.

Znów popatrzyłam po sali i dostrzegłam Clyde'a przed tym roślinnym obrazem, który Theo katalogował wtedy, gdy się pokłóciliśmy. Clyde, wskazując na płótno, rozmawiał z Ivy, a Esther ich filmowała.

– Pójdę go spytać, o co chodzi – powiedziałam. – Dzięki.

– Nie ma sprawy – odrzekł i odwrócił się do kolejnego klienta. – Czerwone wino?

Już podaję.

Ruszyłam w stronę Clyde'a, otwierając trzymaną w ręku butelkę piwa. Po drodze przystanąłam przy tacie, który był teraz pogrążony w rozmowie z Rogerem z baru Finz na temat tępoty miejscowego inspektora budowlanego. Bez słowa ostrożnie wyjęłam mu z ręki kieliszek wina i zastąpiłam butelką piwa, a potem klepnęłam go w ramię. Popatrzył na piwo, potem na mnie.

– Och, cześć – rzucił. – Dzięki.

– Bardzo proszę – odrzekłam.

Odstawiłam kieliszek z winem na tacę i zaczęłam kluczyć pośród tłumu, pochwytyując urywki rozmów i śmiechy. W sali było trochę za ciepło, choć nie gorąco, a sandały mnie obcierały i miałam już pęcherz na stopie. Nie skarżyłam się jednak.

– ...jedna z pierwszych rzeczy, jakie namalowałem po powrocie tutaj – usłyszałam mówiącego Clyde'a, gdy znalazłam się dostatecznie blisko. – Naprawdę nie myślałem o tym jako o serii, gdyż byłem wówczas w samym środku załamania nerwowego. Malowałem dosłownie z łóżka, ponieważ nie potrafiłem się zdobyć, by się z niego zwlec. Ale z perspektywy czasu widzę, że ten obraz był kluczowy dla powstania całego cyklu.

– Z pewnością jest bardzo odmienny od twoich wcześniejszych prac – zauważyła Ivy, przyglądając się płótnu, podczas gdy Esther okrążała ją z kamerą. – Naturalne ostatecznie przeciwstawione industrialnemu.

Clyde skinął głową.

– Szczerze mówiąc, nie myślałem wtedy aż tyle. Usiłowałem po prostu uchwycić coś czystego, bo czułem, że muszę.

– I właśnie dlatego – wtrącił Theo – tak znaczące jest to, że on wybrał właśnie tę konkretną odmianę rośliny, by szczegółowo ją odtworzyć. To nieprzypadkowe.

Clyde popatrzył na niego, potem na obraz.

– Co nie jest przypadkowe?

- To, że wybrałeś akurat *Verbus intriculatus* - odpowiedział Theo i wypił łyk. Czerwonego wina, oczywiście. Następnie odwrócił się do Ivy i wyjaśnił: - To roślina występująca wyłącznie w tym regionie. Rodzaj zimowej pszenicy uprawianej nie dla celów spożywczych, ale żeby osłonić grunt, kiedy jest nadmiernie wyeksploatowany i niedostatecznie nawożony. Ta roślina w istocie leczy ziemię.

Wszyscy znowu spojrzeliśmy na obraz. Próbowaliśmy odczytać wyraz twarzy Clyde'a, lecz prawdę mówiąc, nie potrafiłam. Wokół nas zgromadziło się teraz całkiem sporo ludzi, ale trudno było orzec, czy z powodu kamery, czy wygłaszanego przez Theo wykładu z historii sztuki.

- Tak więc na fundamentalnym poziomie - ciągnął Theo - ta roślina przywraca coś niemal martwego z powrotem do życia. To zaś współbrzmi z tym, co Clyde mówił przed chwilą o swym ówczesnym stanie ducha, o poczuciu wyczerpania i smutku. I wszystko to, uchwycone z tak bliska, z drobiazgową szczegółowością - wyraża zarówno poczucie klęski, jak też przewrotną nadzieję.

Usłyszałam, jak ktoś za mną wymamrotał:

- Interesujące.

- Tak, klęska i nadzieja - zgodził się ktoś inny. - Ja nigdy bym na to nie wpadł.

Znowu spojrzałam na Clyde'a. Tym razem nie miałam żadnych wątpliwości, co czuje - i to nie była klęska ani nadzieja. Wyglądał na wkurzonego. Popatrzyłam na Ivy, która przez moment odwzajemniała moje spojrzenie, a potem przeniosła wzrok na Esther, by się upewnić, czy filmuje.

- To bardzo wiele wniosków z obrazu zwykłej rośliny - zwrócił się Clyde do Theo.

- Nie sądzisz?

- Niekoniecznie - odparł Theo, jak zwykle pewny siebie. - Przecież lubisz wplatać w swoje dzieła elementy symboliczne. To tylko kwestia ich rozszyfrowania.

Clyde szeroko otworzył oczy. Oooh, jęknęłam w duchu. Wtem poczułam klepnięcie w ramię. Odwróciłam się i zobaczyłam Morrisa z rumieńcem na twarzy. Natychmiast popatrzyłam w stronę baru, przy którym nadal tłoczyli się ludzie.

- Przejęły go Amber i twoja mama - wyjaśnił Morris, zanim w ogóle zdążyłam zapytać. O rany, naprawdę bardzo wiele się zmieniło! - Widziałaś gdzie Benjiego?

- Benjiego? Wyjechał o czwartej z ojcem.

- Miał wyjechać - poprawił mnie Morris. - Ale w ogóle nie zjawił się przy samochodzie.

- Zniknął?

- Nie wiem - odparł Morris. - Ale ojciec nie może go nigdzie znaleźć.

- O, mój Boże - jęknęłam, rozglądając się wokoło. - Musi gdzieś tutaj być. Wiesz,

że chciał zostać.

- Twoja mama i Amber już przetrząsnęły salę. Teraz szuka go twój tata. Ja i Daisy zaraz wyjdziemy na zewnątrz i sprawdzimy deptak.

- Dobrze - powiedziałam, usiłując pomyśleć. - Gdzie mój ojciec?

- Chyba krąży samochodem po okolicy. Ale...

Przerwało nam nagle wołanie Clyde'a:

- Hej! Morris!

Wszyscy patrzyli na nas. Ups!

- Przepraszam, że przeszkodziliśmy - rzekł Morris. - My tylko...

- Czy mógłbyś odpowiedzieć na jedno moje pytanie? - poprosił go Clyde. - To zajmie zaledwie chwilę.

Morris spojrział na mnie, a ja wzruszyłam ramionami.

- Jasne - odparł.

Clyde podszedł bliżej do obrazu i wskazał na jedną z roślin.

- Co to jest?

Zobaczyłam, że Ivy patrzy na Theo, który po prostu wypił kolejny łyk wina.

- Trawa wydymowa - odrzekł Morris.

- Gdzie konkretnie się ją spotyka? - pytał dalej Clyde.

Morris spojrział na niego jak na wariata.

- Wszędzie. Przecież wiesz o tym. Zawsze uskarżasz się, że tyle jej rośnie za oknem twojej sypialni i zasłania widok na ocean.

Byłam całkiem pewna, że usłyszałam, jak Ivy parsknęła.

Clyde się uśmiechnął.

- Właśnie.

- Czy mogę już iść? - spytał Morris. - Mam coś ważnego do zrobienia.

- Ja też - dodałam. - Proszę nam wybaczyć.

Morris odwrócił się i skierował do drzwi, a ja poszłam za nim, przyglądając się po drodze ciżbie ludzi. Gdy byłam już prawie na zewnątrz, spostrzegłam Margo jedzącą tartinkę przy jednym z szarych obrazów i ruszyłam prosto do niej.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedziałam. - Benji uciekł i ojciec nie może go znaleźć.

- Co takiego? - Odstawiła talerz na pobliski stolik. - Kiedy zaginał?

- Godzinę temu, może dwie. Muszę iść pomóc go szukać.

- Oczywiście. Mój samochód stoi tuż przed frontowymi drzwiami. Mogę...

- Nie - przerwałam jej. - Potrzebuję cię tutaj.

- Tutaj?

Znowu powiodłam wzrokiem po sali, a potem zerknęłam na zegarek.

- W tej chwili wszystko przebiega całkiem gładko, ale zaczyna brakować jedzenia, a Clyde ma jeszcze wygłosić mowę. Chce to zrobić za jakieś dziesięć minut.

- Za dziesięć minut - powtórzyła.

- Weź to - powiedziałam, podając jej mój bloczek. - Jest w nim cały harmonogram tej imprezy. Zgłoś się do Ivy i powiedz jej, że zastępujesz mnie aż do odwołania. Prawdopodobnie nawrzeszczy na ciebie, ale wiem, że sobie z tym poradzisz.

- Ja... - urwała, a potem się uśmiechnęła. - Dobrze. Dziękuję ci, Emaline.

- Jeszcze mi nie dziękuj - odparłam. - Muszę iść. Zadzwoń do mnie, jeśli zobaczysz gdzieś Benjiego.

Skinęła głową, a gdy ją mijalam, zmierzając do drzwi, klepnęła mnie w ramię. Zanim opuściłam Pawilon, odwróciłam się i rzuciłam ostatnie spojrzenie na to, czego dokonałam. A potem wyszłam, by szukać mojego brata.

\* \* \*

- Nie rozumiem tego - rzekł ojciec, kolejny raz lustrując wzrokiem szosę. - To małe miasteczko. Gdzie on mógł się podziać?

Nie odpowiedziałam, tylko przyglądałam się uważnie poboczu drogi, chociaż już nie pierwszy raz przejeżdżaliśmy przez tę okolice sąsiadującą z bulwarem. Morris i Daisy przeszukali obszar od Pawilonu do parku rozrywki Surfside i teraz wracali; wcześniej jednak poprosili wszystkich w sklepie rowerowym Abe's i butikiu Clementine's, żeby też wypatrywali Benjiego.

- Byłeś w sali z automatami do gry? - upewniłam się. - I szukałeś też w galerii handlowej?

Ojciec kiwnął głową.

- Tak. Zresztą nie mógł zająć daleko.

- Minęły już ponad dwie godziny - przypomniałam mu. - Może powinniśmy wrócić do motelu, na wypadek gdyby ktoś go tam podwiózł?

- Właśnie do nich dzwoniłem. Nie widzieli go. Poza tym to ostatnie miejsce, w którym chciałby się znaleźć, zwłaszcza że jutro wyjeżdżamy.

Odwróciłam głowę i spojrzałam na ojca.

- Wyjeżdżacie jutro?

Przytaknął.

- Zamierzałem powiedzieć mu dziś wieczorem przy kolacji, ale podsłuchał, jak

rano rozmawiałem o tym przez komórkę z Leah, kiedy jechaliśmy do ciebie. Powinienem być się domyślić, że zrobi coś takiego.

Znowu powiodłam spojrzeniem po szosie.

- Prawdopodobnie zdenerwował się tym, że dowiedział się o wyjeździe w ostatniej chwili, i w ogóle całą tą sytuacją.

- Twój brat jest wprawdzie młody, ale to mistrz negocjacji - oznajmił ojciec, skręcając w następną ulicę. - Będzie zawsze próbował zerwać każdy układ i przekształcić na swoją korzyść. Z czasem nauczyłem się, że muszę ograniczać okazje do takiego postępowania, bo inaczej zawsze znajdzie sposób, by pokierować sprawami po swojemu.

W innych okolicznościach kusiłoby mnie, aby zauważyć, że nie tylko Benji lubi zawsze kontrolować sytuację; chłopiec niewątpliwie odziedziczył tę cechę po ojcu. Ale w tym momencie potrafiłam myśleć tylko o tym, jaką jestem idiotką.

- Cholera - powiedziałam i machnięciem pokazałam ojcu, żeby skręcił w lewo. - Wiem, gdzie on jest.

- Wiesz?

Kiwnęłam głową.

- Pojedź tędy na skróty, to tuż przy następnej przecznicy.

Ojciec zajechał przed biuro agencji. Wyskoczyłam z samochodu i podbiegłam do drzwi. Były zamknięte już mniej więcej od pół godziny, jak zawsze o tej porze. Zajrzałam przez szybę w drzwiach, wypatrując jakichś świateł i ruchu, a potem wyjęłam klucze, otworzyłam i weszłam do środka.

- Benji! - zawołałam. - Hej! To ja, Emaline. No, wyjdź.

Przeszukałam salkę konferencyjną, wszystkie gabinety, magazyn, obydwie łazienki. Bez rezultatu. Nie mogłam uwierzyć, że tak się pomyliłam. W końcu, ponieważ czas naglił, wyszłam z powrotem na dwór, by raz jeszcze to przemyśleć.

- Nie ma go tam?! - krzyknął ojciec z samochodu.

Przecząco pokręciłam głową.

- Ale będę dalej szukać w tej okolicy. Może zrób następne okrążenie w pobliżu deptaka, a potem wróć tutaj.

Ojciec skinął głową. Wyjechał tyłem, po czym skręcił w boczną uliczkę prowadzącą do Pawilonu. Ja poszłam w kierunku głównej szosy; zaczynałam się już naprawdę niepokoić. Owszem, Colby to małe miasteczko i nie jest tak niebezpieczne jak wielkie miasta. Ale to jednak realny świat, bez względu na to co myśli o tym Theo. Złe rzeczy się tu zdarzały. Wystarczy zapytać Rachel Gertmann.

Stałam bez ruchu na trawie, usiłując zebrać myśli, gdy nagle usłyszałam dźwięk



klaksonu. Podniosłam wzrok i zobaczyłam skręcającą ciężarówkę Luke'a. Na jego twarzy malowało się zmartwienie.

- Co się stało?! - zawołał.

- Benji zaginął - odpowiedziałam. - Nie możemy go nigdzie znaleźć.

Luke zaparkował ciężarówkę i wysiadł.

- Czy wciąż jeszcze trwa ta impreza Clyde'a?

- Benji miał się spotkać ze swoim tatą o czwartej przed Pawilonem - wyjaśniłam, znów obserwując szosę. - Ale w ogóle się tam nie pojawił.

- Emaline, nie martw się. Jestem pewien, że nic mu się nie stało.

- Minęły już ponad dwie godziny - powiedziałam. - A on ma tylko dziesięć lat.

- Wiem. - Luke podszedł bliżej i pocieszająco ścisnął mi ramię. - Odetchnij głęboko i zastanówmy się przez chwilę.

Wypuściłam powietrze z płuc, zamiast najpierw zaczerpnąć.

- Szukaliśmy wszędzie. W parku rozrywki Surfside, w Pawilonie, na wybrzeżu cieśniny, na deptaku. Potem pomyślałam, że pewnie przyszedł tutaj, ponieważ tak uwielbia tę pracę, ale przetrząsnęłam całe biuro i nie natrafiłam na żaden ślad Benjiego.

Luke pomyślał chwilę.

- No dobrze, więc postawmy się na jego miejscu.

- Luke...

- Serio, to działa. - Popatrzył na mnie, kiwając głową. - Mamy dziesięć lat. Jesteśmy wkurzeni. Idziemy w jakieś miejsce znajome, podnoszące na duchu i bezpieczne, ale które trudno znaleźć. Gdzie by to mogło być?

- Gdybym wiedziała, już bym go znalazła.

- Po prostu pomyśl przez moment.

- Luke, na litość boską, nie potrafię...

I wtedy, całkiem przypadkiem, zobaczyłam to nad jego ramieniem. Zmora mojego życia, ale dla Benjiego być może jedno z najbardziej ulubionych miejsc.

- Zaczekaj - rzuciłam.

Ominęłam Luke'a i ruszyłam truchtem na ukos przez parking. Moja budka na piasku - moja piaskownica - była już przygotowana do przyjmowania nazajutrz naszych klientów. Leżała przed nią paczka owiniętych kurczliwą folią pakietów powitalnych, a obok stały dwa umyte pojemniki chłodzące, gotowe na umieszczenie w nich zimnych napojów i lodu. Weszłam po dwóch schodkach, nachyliłam się i zajrzałam nad barierką budki. Benji, siedząc pod przeciwległą ścianą z kolanami przyciągniętymi do piersi, podniósł na mnie wzrok.

- Nie chcę, żeby wszystko się zmieniło - powiedział.

Przygryzłam usta, zerknęłam na Luke'a i kiwnęłam głową. Potem otworzyłam drzwi budki, weszłam do środka i usiadłam obok Benjiego na podłodze, jak zawsze pokrytej cienką warstewką piasku. Poczułam go pod stopami, gdy zsunęłam sandały.

- Naprawdę nas przestraszyłeś - rzekłam do niego cicho. - Wszyscy cię szukają.

Przyciągnął kolana jeszcze bliżej klatki piersiowej. Teraz z bliska zobaczyłam, że niedawno płakał; wyglądał przez to tak bezbrinnie, że serce mi się ścisnęło.

- On mnie zmusza, żebym jutro wyjechał. Nawet mi o tym nie powiedział. Usłyszałem, jak mówił to mamie.

- Wiem.

- Szkoła zaczyna się dopiero za trzy tygodnie - mówił dalej Benji, trąc twarz. - Co mam robić przez cały ten czas? Siedzieć i patrzeć, jak oni się rozwodzą?

- Benji...

- Nie mam tam niczego - wyrzucił z siebie. Łzy napłynęły mu do oczu. - Nie tak jak tu.

O rany, pomyślałam. Zmusiłam się, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Wiem, co czujesz.

- Nie, nie wiesz - odparł. - Ty tu zostajesz.

- Jeszcze tylko przez jakieś dwa tygodnie - powiedziałam. - Potem muszę się przeprowadzić w całkiem nowe miejsce, gdzie będą zupełnie nieznani ludzie i rozpocznę zupełnie nowe życie. Jestem tym przerażona.

- Będzie tam Luke - rzekł Benji z pochmurną miną.

Wyciągnęłam nogi przed siebie.

- Tak, ale ostatnio niezbyt mnie lubi.

- Ale jest tutaj, prawda?

Spojrzałam na Benjiego.

- Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami.

- Tylko to, że wcześniej powiedział, że ma inne plany. I że dlatego nie będzie na tym przyjęciu.

- Zobaczył przypadkiem, jak cię szukam, i zorientował się, że się martwię - wyjaśniłam. - Posłuchaj, wiem, że uważasz się za całkiem dorosłego i w ogóle, ale nie możesz tak uciekać. Twój tata odchodzi od zmysłów z niepokoju.

- Po prostu wścieka się, bo nie robię dokładnie tego, czego chce - burknął Benji, trąc dłonią podłogę obok siebie. - On tego nie cierpi.

Na te słowa musiałam się uśmiechnąć, chociaż szybko postarałam się to ukryć.

- Nie sądzę, by ktokolwiek zbytnio to lubił.

- Wciąż jesteś na niego zła?

- Na kogo?

- Mojego tatę.

Nie spodziewałam się takiego pytania, więc chwilę potrwało, zanim odrzekłam:

- Nie, właściwie nie.

Zaskoczyło mnie, że tak powiedziałam i że w istocie wydało mi się to prawdą. Czy byłam smutna z powodu swojej sytuacji i czy nadal żałowałam, że wiosna i to lato nie przebiegły inaczej? Owszem. Ale mój gniew gdzieś zniknął, zastąpiony przez poczucie, że zdołam sobie poradzić ze wszystkim, co zdarzy się jeszcze w przyszłości między mną a ojcem, nawet jeśli nie zdarzy się już nic. Wiedziałam, że to brzmi źle. Brak jakichkolwiek oczekiwań wobec niektórych ludzi w naszym życiu może być przygnębiający, czy nawet niszczący. Ale wobec pewnych ludzi taka postawa jest wręcz konieczna. Najtrudniejsze nie jest rozstrzygnięcie, których z nich to dotyczy, lecz pogodzenie się z tym.

- On naprawdę nie potrafi przeprosić ani przyznać, że popełnił błąd, nawet jeśli o tym wie - powiedział Benji, a gdy zaskoczona uniosłam brwi, wyjaśnił: - Tak właśnie mówi mi mama, kiedy jestem na niego zły. Czasami to pomaga.

- Tak - odparłam. - Potrafię to sobie wyobrazić.

Przez chwilę siedzieliśmy obok siebie w milczeniu; niebo nad nami ciągle jeszcze było jasne, niebieskie. Pomyślałam o trwającym w Pawilonie przyjęciu. Zastanawiałam się, czy Clyde już wygłosił to zapowiedziane, ważne oświadczenie i zgodnie z oczekiwaniem Theo namaścił go na swojego współpracownika. Jutro wystawa zostanie zamknięta, Ivy zacznie się pakować, a Benji wyjedzie. Przez tyle czasu myślałam - czy raczej celowo starałam się nie myśleć - o tym, jak sprawy się zakończą, i o to teraz, tak po prostu, to się wkrótce stanie. Na tym polegała istota tego lata. Tyle długich, leniwych dni, gdy na szczęście nic się nie zmieniało, a potem nagle wszystko naraz ulegnie zmianie.

Usłyszałam warkot zbliżającego się samochodu i przechyliłam się, żeby wyjrzeć przez szparę w ścianie za mną. Subaru ojca wjeżdżało na parking obok ciężarówki. Luke podszedł do niego, a ojciec opuścił szybę. Po chwili obaj spojrzeli w stronę budki na piasku.

- Jest twój tata - powiedziałam Benjiemu. Chłopiec się przygarbił, twarz mu poczerwieniała. - Tak, wiem. Ale może po prostu powiedz mu to, co przed chwilą mnie.

- Zmusi mnie do wyjazdu - burknął chłopiec.

- Prawdopodobnie - przyznałam. - Ale być może przynajmniej zrozumie, dlaczego nie chcesz wyjechać. A czasami to najlepsze, czego można oczekiwać. Rozumiesz?

Kiwnął głową, a ja wstałam. Ojciec już wysiadł z samochodu, a Luke stał nieopodal niego. Obydwaj patrzyli na mnie, gdy wyszłam z budki i ruszyłam ku nim. Kiedy znalazłam się w zasięgu głosu, ojciec rzucił:

- Co? Chce, żeby usunąć go stamtąd siłą?

- Jest zdenerwowany - powiedziałam.

- To ja jestem zdenerwowany! - odparował. - Wciągnęliśmy połowę mieszkańców do poszukiwań. Musi natychmiast skończyć z tymi bzdurami i wsiąść do samochodu. Nie mam czasu na takie zabawy.

- Więc znajdź czas - rzekłam z naciskiem. Luke uniósł brwi. Podeszłam bliżej do ojca i zniżyłam głos: - Jest twoim dzieckiem, boi się i potrzebuje, byś mu powiedział, że wszystko będzie dobrze.

- Nie jest już niemowlakiem - odparł ojciec. - Potrafi sobie poradzić z realnym światem.

- Ma tylko dziesięć lat i potrzebuje swojego taty. - Gardło mi się ścisnęło. - Proszę, postaraj się po prostu mu to dać, jeżeli nie z żadnego innego powodu, to dlatego, że stoję tu przed tobą i proszę cię o to. Jeśli to zrobisz, przysięgam, że już nigdy nie będę ci zawracać głowy żadną sprawą.

- Hej - rzekł zaskoczony. - Jestem także twoim tatą.

- Nie, jesteś moim ojcem - sprostowałam. - Mam tatę, a w tej chwili Benji potrzebuje swojego. Nie kazania. Nie strofowania, bo nie zrobił nic złego. Potrzebuje tylko twojej uwagi, cierpliwości i twojego czasu. Po prostu ciebie!

- Emaline... - rzekł cicho.

Potrząsnęłam głową.

- Idź. Proszę!

Teraz płakałam, choć nie miałam pojęcia dlaczego. Łzy po prostu płynęły mi z oczu, niosąc ze sobą całe napięcie ostatnich kilku szalonych dni, tego lata, tego roku. Gdy ojciec spojrział na mnie, pojęłam, tym razem na pewno, że dla nas jest już za późno. Ale w przypadku Benjiego miał jeszcze tyle czasu, żeby naprawić relację. I to zaczęło się właśnie tu i teraz.

Oczywiście nic z tego mu nie powiedziałam. Ale gdy w końcu odwrócił się i ruszył przez parking, uświadomiłam sobie, że zawsze pragnęłam od niego jedynie bezwarunkowej miłości, jaką otrzymuje się od rodziny - tego silnego, intymnego związku, tak niepodobnego do wszelkich innych. Z jakiegoś powodu - czasu,

okoliczności, odległości – ojciec nie był w stanie mi tego dać. Dał mi jednak Benjiego i za to będę mu zawsze wdzięczna. Otrzymawszy taką miłość, nie można grymasić, zastanawiać się, jak cię znalazła, ani czepiać się szczegółów. Liczy się tylko to, że ona jest. Lepiej późno niż nigdy.

## 21

Musiałam przyznać, że wszystko tu rzeczywiście było odmienne.

- Ja machnę kartą magnetyczną! - wrzasnął Benji, wybiegając przede mnie, gdy wchodziliśmy na stację metra.

Zrobił to, a ja przepchnęłam się przez kołowrotek, czując powiew gorącego, cuchnącego miejskiego powietrza. Chwilę później Benji dołączył do mnie i wpatrzyłam się w ciemny tunel, usiłując odzyskać orientację.

- Do którego teraz wsiądziemy? - spytałam.

Nadal nie cierpiałam tego, że nie wiem, gdzie jestem ani dokąd jadę. Przypuszczałam, że to jeden ze skutków dorastania w małej miejscinie.

- Do linii R. Chodź, myślę, że to ten tam.

Benji złapał mnie za rękę i pobiegliśmy po peronie. Wsiadliśmy do pociągu, gdy drzwi już się zamykały. Wewnątrz znaleźliśmy jedno wolne miejsce, które Benji z galanterią oddał mnie, a sam uchwycił się poręczy.

- Na pewno masz zaproszenie? - spytał już chyba po raz tysięczny.

- Mam - zapewniłam. - Ale nawet gdybyśmy nie mieli, jestem pewna, że moglibyśmy wejść. Przecież znamy asystenta artysty.

- To prawda - przyznał i okręcił się wokół słupka.

Była połowa listopada, zaledwie mniej więcej trzy miesiące, odkąd ostatnio go widziałam, ale przysięgłabym, że urósł o dobre trzydzieści centymetrów. W dodatku miał nową fryzurę - rodzaj irokeza - więc prawie go nie poznałam, kiedy on i ojciec kilka dni temu przyjechali po mnie na lotnisko. Prawie.

Planowaliśmy tę moją podróż już od sierpnia, kiedy obaj opuścili Colby. Ostatecznie zostali wtedy jeszcze trzy dni, co pozwoliło Benjiemu i mnie zrobić wszystkie te wspaniałe rzeczy, jakie są możliwe w Colby: zjeść burgery z krewetkami, odwiedzić salę z automatami do gry, przyjmując klientów w piaskowej budce. Ostatniego wieczoru dotrzymałam obietnicy i wyjęłam z naszej butelki Kar Końca Lata całą sumę, która wystarczyła akurat na dwa bilety na jazdę diabelskim młynem w parku rozrywki Surfside. Ostatecznie jednak nie musieliśmy wcale płacić. Specjalna promocja dla licealistów.

Co do mojego ojca, to nadal zachowywaliśmy wobec siebie dystans, zwłaszcza że dzieliła nas większa odległość. Regularnie dzwoniłam i esemesowałam do Benjiego

- uwielbiał tę swoją komórkę - natomiast ojciec przez całe dwa miesiące ani razu się ze mną nie skontaktował. Potem, na początku listopada, gdy otworzyłam skrzynkę mejlową, znalazłam wiadomość. Żadnego tematu ani powitania, tylko te słowa:

*Jakie książki z lektur w college'u lubisz?*

*Jakich nienawidzisz?*

Przez cały tydzień trzymałam w skrzynce mejlowej tę wiadomość. Wciąż na nowo otwierałam ją, przebiegałam wzrokiem, a potem zamykałam. Nic nie byłam ojcu winna i miałam nadzieję, że on zdaje sobie z tego sprawę. Ale jedyną drogą, przez którą zawsze udawało nam się nawiązać porozumienie, były właśnie mejle. Tak więc odpisałam mu, że lubię Chaucera, natomiast nie potrafię zrozumieć Milтона. Ojciec już po trzech godzinach przysłał odpowiedź. Od tej pory regularnie kontynuowaliśmy dysputę, jednak wyłącznie o literaturze. Nie była to relacja rodzicielska, ale tej miałam mnóstwo, bo mama regularnie telefonowała do mnie i słała mejle. A on rzeczywiście wiedział cholernie dużo o „Raju utraconym”.

- To nasza stacja! - zawołał teraz Benji, gdy pociąg metra zaczął zwalniać.

Wysiedliśmy z wagonu wraz z grupą innych pasażerów i ku mojej wielkiej uldze wyszliśmy po schodach na powierzchnię. Jako dziewczyna dorastająca na plaży, nadal czułam się nieswojo pod ziemią. Jeżeli nie mogłam mieć w zasięgu wzroku oceanu, drugą z kolei najwspanialszą rzeczą, jaką pragnęłam widzieć, było niebo.

- No dobrze - rzekłam i wyjęłam instrukcję, którą ojciec dla nas wydrukował. - Od dworca mamy minąć dwie przecznice na wschód, a potem trzy na zachód. Galeria powinna być na rogu ulicy.

- Tędy - powiedział Benji, skręcając w prawo. - Idź za mną.

Usłuchałam, chociaż część mnie pragnąca wszystko kontrolować domagała się, żebym wyjęła komórkę, w której zaprogramowałam również adres, i upewniła się, że podążamy we właściwym kierunku. Z powodu całego tego miejskiego zgiełku i gorączkowego tempa, stale czułam się niepewnie. Rok temu taka sytuacja wydałaby mi się najgorszym koszmarem. Jednak obecnie, po tym jak przez tyle czasu żyłam w ten sam dawny sposób, przekonałam się już, że odrobina nowości może być dla mnie korzystna.

Mój pierwszy semestr na Uniwersytecie East stanowił klasyczny przypadek. Chociaż od Colby dzieliły mnie zaledwie dwie godziny jazdy, znalazłam się w całkiem odmiennym świecie. Kampus był olbrzymi, ulokowany na skraju miasta

co najmniej dwa razy większego od Cape Frost, a sypialnię dzieliłam z trzema dziewczynami. Wszystkie były miłe i świetnie się dogadywałyśmy, lecz mimo to szkoła, jaką mama i siostry dawały mi, przesiadując stale w moim dawnym pokoju, okazała się teraz bardzo przydatna, gdy chodziło o przywyknięcie do wspólnego mieszkania. Wbrew moim przypuszczeniom nikt z naszego liceum nie trafił ze mną do tej samej sypialni ani na żadne z moich uczelnianych zajęć, co było dla mnie zarazem ekscytujące i zatrważające. Nikt nie znał mnie tutaj od zerówki, mogłam więc być kimkolwiek.

No dobrze, może nie całkiem nikt. Był tu Luke, którego sypialnia mieściła się w sąsiednim budynku. Jego obecność była dla mnie wielką pociechą w trakcie pierwszych okropnych dni wypełnionych tęsknotą za domem, podobnie jak wcześniej była pociechą w wieczór ucieczki Benjiego.

Po tym jak ojciec i Benji wrócili do North Reddemane, Luke zawiózł mnie do Pawilonu, gdzie zdążyłam jeszcze na sam koniec przyjęcia. Został i pomógł nam później posprzątać, a nawet dołączył do nas, kiedy Ivy, trochę wstawiona po wypiciu paru kieliszków białego wina, w szampańskim nastroju, uparła się, żebyśmy poszli wszyscy potańczyć do Tallyho. Tam ona i Amber puściły się razem w szalony taniec, a w ich ślady poszli Morris i Daisy. Ja usiadłam wygodnie z boku, oszczędzając pokryte pęcherzami stopy i sącząc wodę sodową.

- Dziękuję ci - rzekłam do Luke'a, który siedział obok mnie ze szklanką słabego piwa w ręku.

- Za co? - spytał.

- Za pomoc w szukaniu Benjiego i za wszystko, co zrobiłeś - odrzekłam, wskazując ręką wokoło.

Spojrzał na mnie znad brzegu szklanki.

- Nie dziękuj mi za Tallyho. Pamiętaj, co się zdarzyło wcześniej tego lata.

- Och, racja. - Przytknęłam dłoń do ust. - Przepraszam.

Skrzywił się i znów pociągnął łyk piwa.

Na parkiecie Ivy z odrzuconą do tyłu głową tańczyła z jakimś spoconym facetem w obcisłym czerwonym podkoszulku. O rany.

- Byłam zaskoczona, kiedy zobaczyłam cię dzisiaj wieczorem przy biurze agencji - powiedziałam po chwili do Luke'a. - Sądziłam, że miałeś inne plany.

- Tak, miałem - przyznał.

- Och. Więc co się stało?

Popatrzył na mnie.

- Emaline, przejeżdżałem tamtędy i zobaczyłem cię totalnie spanikowaną. Jak



mógłbym nie zatrzymać się natychmiast i nie pomóc ci? Daj spokój.

- Przykro mi - powiedziałam. Usiadł wygodniej. - Nie, naprawdę mi przykro. Nie zamierzałam zepsuć ci wieczoru.

- Nie zepsułaś - zapewnił. - Ale ja prawdopodobnie zepsułem komuś innemu.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć. Siedziałam przez chwilę, przyglądając się tańczącym, a potem nachyliłam się i pocałowałam Luke'a w policzek. W momencie gdy myślałam o tym, jak słono smakuje jego skóra, cofnął się.

- Nie rób tego - powiedział bez irytacji, ale stanowczo. - Naprawdę. To tylko skomplikuje sytuację.

- W porządku - odrzekłam natychmiast. - Rozumiem.

- Czyżby? - Odwrócił się twarzą do mnie. - Ponieważ jeśli chodzi o ciebie, Emaline, nie potrafię zaakceptować nic połowicznego. A o ile wiem, nadal masz chłopaka.

- Niedawno zerwaliśmy.

- To my niedawno zerwaliśmy - sprostował. Spojrzał na swoją szklankę, potem na mnie. - Rzecz w tym, że nie chcę więcej dziwnych relacji między nami. Co, szczerze mówiąc, oznacza, że nie chcę między nami w ogóle żadnych relacji. Przynajmniej nie teraz. Rozumiesz?

O dziwo, rzeczywiście rozumiałam. I właśnie tego potrzebowałam. Luke był kiedyś moim ukochanym, ale był też moim przyjacielem - i to, pomimo wszystko, się nie zmieniło, nawet gdy myślałam, że jest inaczej. Po tym wernisażu widywaliśmy się dość często przez resztę lata i byłam szczęśliwa, po prostu przebywając w jego towarzystwie i nie martwiąc się, co będzie z nami później na Uniwersytecie East. Naprawdę wierzyłam, że jeśli jest nam przeznaczone być razem, to będziemy. A nie istniał lepszy sposób, by się o tym przekonać, niż wskoczenie do basenu pełnego tysięcy nieznanomych.

- To tutaj - powiedziałam teraz do Benjiego, gdy spostrzegłam galerię i łopoczący na jej froncie szary transparent z napisem CLYDE CONAWAY: DZIEŁA ZEBRANE.

Wewnątrz było jasno i miło, roило się od ludzi. Widok obrazów Clyde'a, jedynych znanych rzeczy w tym wielkim, obcym mieście, podniósł mnie na duchu.

- Emaline! - zawołała Ivy, gdy tylko weszliśmy.

Była w swoim klasycznym czarnym stroju - spódnicy i topie - a włosy miała związane na karku w ciasny węzeł. Pomimo jej obecnego oficjalnego wielkomięskiego ubioru już zawsze będę ją pamiętać taką jak tamtej nocy w Tallyho, kręcącą biodrami w tańcu z facetem w podkoszulku. Pewnych rzeczy nigdy się nie zapomina.

- Więc jednak tu dotarłaś! - powiedziała.

- Ledwie - odrzekłam, gdy uściskała mnie, a potem Benjiego. - To miasto jest takie pogmatwane.

- Co takiego? Nowy Jork to miasto, w którym najłatwiej na świecie się zorientować. Jest przecież zbudowane na planie siatki prostokątnych ulic.

- Po prostu nie lubię nie wiedzieć, gdzie jestem - oświadczyłam.

- O Boże, jasne. A kto lubi? - Ivy wypila łyk drinka i rozejrzała się wokoło. - Odszukajmy Clyde'a. Wiem, że nie może się doczekać, żeby was zobaczyć.

Znaleźliśmy go w głębi galerii, brylującego pośród grupy oglądających, przed jednym z obrazów przedstawiających z bliska wydmową trawę. Był w ładnej koszuli i krawacie... a także w znoszonej baseballowej czapce z logo baru Finz. Na mój widok uśmiechnął się promiennie.

- A więc przyszła - powiedział. - Moja dziewczyna z Colby.

- Czuję się tutaj jak ryba wyrzucona na brzeg - wyznałam, ściskając go na powitanie.

- W takim razie jest nas dwoje - odrzekł. - Widziałaś się już z moim asystentem?

Przygryzłam usta.

- Nie. Jeszcze nie.

- Dlaczego wyglądasz na taką zdenerwowaną? - spytał.

- Nie wiem - odparłam, wzruszając ramionami. Powiodłam wzrokiem wokoło. - Ta sytuacja wciąż jest dość dziwna. Wiesz, co wobec niego czuję.

- Owszem, wiem - zapewnił, machając do kogoś nad moim ramieniem. - I to jest w porządku.

W sali robiło się coraz cieplej, w miarę jak przybywali kolejni goście. Na zewnątrz zapadał zmrok, taksówki i inne pojazdy przejeżdżały ulicą z włączonymi reflektorami. Musiałam przyznać, że wygląda to naprawdę ładnie.

- Nowy Jork w czasie świąt - powiedziała Ivy, stając obok mnie i też patrząc przez okno. - Nie ma nic wspanialszego.

- Z wyjątkiem plaży jesienią - odparłam. - Albo o każdej innej porze roku.

Wykrzywiła się do mnie.

- Tylko zaczekaj. Jeszcze zrobię z ciebie fankę wielkich miast.

- Nie bądź tego taka pewna.

- Och, jestem pewna. Kiedy przyjedziesz tutaj w maju, to będzie całkiem nowy, cudowny świat. Muzea, teatry, wyśmienite jedzenie! - Westchnęła i wypila łyk wina. - Oczywiście będziesz pracować dla mnie o wiele za ciężko, żeby naprawdę cieszyć się czymkolwiek. Ale mimo to miło wiedzieć, że to miasto tu jest.

- Nie boję się pracy - zapewniłam.

- Wiem. Dlatego już masz tę posadę.

Uśmiechnęłam się. Cały ten sierpniowy trud mi się opłacił - i to nie tylko dlatego, że Ivy w dniu swojego wyjazdu wypisała mi hojny czek. Oprócz tego rozszerzyła ofertę zatrudnienia mnie o następne lato, kiedy miałabym pracować dla niej tutaj. To również była nowa i budząca lęk perspektywa - i właśnie dlatego się zgodziłam. Wiedziałam, że będzie mi brakowało Colby, ale pobyt tam w lecie do niczego by nie prowadził. To kolejny powód, że przyjąłam propozycję Ivy.

Benji, który oddalił się, żeby znaleźć coś do picia, wrócił z dwiema butelkami wody.

- Nie są idealnie zmrożone - uprzedził, podając mi jedną. - Ale nie najgorzej.

- Świetnie - odrzekłam i otworzyłam ją. - Za Clyde'a.

- Za Clyde'a - powtórzył i wypiliśmy.

Wciąż pozostała jedna osoba, z którą musiałam się zobaczyć, o czym stale mi przypominał nerwowy skurcz w żołądku. Nie byłam nawet pewna, dlaczego czuję, że mam aż tyle do stracenia; wiedziałam tylko, że to dawny nawyk. Nawet w zupełnie nowym świecie niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- On jest tam! - oznajmił Benji, ciągnąc mnie za rękaw.

Odwróciłam się i spojrzałam tam, gdzie wskazywał. Rzeczywiście, na drugim końcu galerii, w czarnych dżinsach i wypuszczonej na nie koszuli w szkocką kratę stał Morris. Rozmawiał z dwiema kobietami w koktajlowych sukienkach, wskazując na utrzymany w szarych odcieniach obraz za sobą. Przez chwilę po prostu przyglądałam mu się z podziwem. A kiedy w końcu spojrzał w naszą stronę, zobaczył nas i uśmiechnął się do mnie, roześmiałam się głośno.

Z powodu tamtego zniknięcia Benjiego, ominęło mnie przemówienie Clyde'a; ogłosił wtedy na wernisazu plany dotyczące cyklu wystaw swoich obrazów. Co jednak nie stanowiło dla mnie żadnego problemu, bo przecież już o nich wiedziałam. Zaskoczyła mnie natomiast później inna decyzja Clyde'a, którą podjął mniej publicznie, a którą można by prawdopodobnie nazwać Największym Zaskoczeniem w Życiu Theo. Pomimo nadskakiwania i szalonej ambicji - albo raczej z ich powodu - Theo nie został wybrany do współpracy przy cyklu wystaw. Zamiast niego Clyde wybrał Morrisa - i to jeszcze zanim Morris na wernisazu zidentyfikował egzotyczną dla Theo roślinę jako zwykłą trawę wydmową. To właśnie o tym Clyde chciał ze mną porozmawiać, zanim dowiedziałam się o zaginięciu Benjiego. I w pewnym sensie byłam zadowolona, że nie miał ku temu okazji.

Ostatecznie przecież moja wiara w zdolności Morrisa była, oględnie mówiąc,

wątku. Dlatego kiedy zaczął już rzeczywiście pracować dla Clyde'a, trzymałam się z dala i skoncentrowałam się na swoim życiu, co zresztą powinnam była robić od początku. Ku mojemu zaskoczeniu – ale nie Clyde'a – okazało się, że Morris, jeśli naprawdę chce, szybko się uczy i idealnie łączy w sobie efektywność działania z przyjaznym nastawieniem do ludzi. Czy wiedział wszystko o dziełach Clyde'a i o świecie sztuki? Nie. Ale też wcale nie musiał. Miał tylko trzymać się ustalonego harmonogramu i robić to, czego od niego wymagano – cechy, które od lat na próżno usiłowałam mu wpoić. Clyde'owi jednak udało się jakoś wywrzeć na niego pozytywny wpływ, nie mówiąc już o tym, że odegrał rolę wzoru. I teraz Morris radził sobie dobrze. Przynajmniej jeśli wnioskować na podstawie tej imprezy.

– Spójrz na siebie! – powiedziałam, gdy do nas podszedł, przybił piątkę z Benjimą, a mnie uściskał. – Nosisz długie spodnie!

– Jest zima – odrzekł. – A tutaj to oznacza prawdziwe zimno.

– Jestem pod wrażeniem – oznajmiłam. – Dobrze wyglądasz.

– Tak?

Skinęłam głową.

– I wydajesz się szczęśliwy.

– No cóż, ta wystawa była nie lada wyzwaniem – rzekł, rozglądając się. – Powinnaś poznać właściciela galerii. Co za cymbał. Jest totalnie pokrojony!

Uśmiechnęłam się.

– Miałaś ostatnio jakieś wieści od Daisy?

– Wczoraj dostałem od niej list – powiedział, wyjmując z kieszeni koszuli żółtą kopertę. – Odpiszę dziś wieczorem.

– Wciąż nie potrafię sobie wyobrazić ciebie piszącego listy – wyznałam.

– Nie zrobiłbym tego dla nikogo innego – odparł. – Ale kocham tę dziewczynę.

– Wystarczająco, żeby wstać z kanapy – powiedziałam, rozglądając się.

– Tak. – Wsadził list z powrotem do kieszeni. – I zrobić wiele innych rzeczy.

Dzień po imprezie Plażowy Ubaw – na której Daisy i ja dzięki cukierkowym kreacjom przedłużyłyśmy naszą serię zwycięstw w konkursie na Najlepiej Ubraną Parę – Morris rzeczywiście poszedł zerwać z Daisy. Wyjaśnił jej wszystkie powody, a także dlaczego uważa, że właśnie to powinien dla niej zrobić. A ona oznajmiła mu kategorycznie, że się myli. To typowe dla Daisy: nie potrafiłaby nawet zerwać tak jak inni. Przyznała jednak, że wielka odległość między nimi będzie trudnym wyzwaniem, i zaproponowała, aby spróbowali odmiennego podejścia do kwestii bycia razem. Zamiast kolejnych rozmów telefonicznych i esemesów mieli wybrać zupełnie odmienną taktykę i przyrzec, że przez całą jesień będą się kontaktować

wyłącznie za pomocą uświęconej tradycją, niemal już kompletnie anachronicznej korespondencji pocztowej, listów pisanych odręcznie. Wiedziałam z mejli wymienianych z Clyde'em, że Morris spędzał te noce, gdy nie pracował, zgarbiony nad blokiem listowym, opisując drobiazgowo wszystko, co robił, kiedy przebywał z dala od Daisy. Był to dość dziwaczny sposób zachowania bliskości, ale przecież nic, co dotyczyło związku Daisy i Morrisa, nigdy nie wyglądało sensownie. Nie mogłam więc oczekiwać, że ta sprawa będzie stanowić wyjątek.

Poczułam, że w mojej kieszeni zawibrowała komórka. Wyjęłam ją, wiedząc już, co zobaczę na ekraniku. I rzeczywiście, to był esemes od mamy, z rodzaju tych, jakie dostawałam regularnie, odkąd przyjechałam do Nowego Jorku:

*Proszę, napisz mi tylko, że wciąż żyjesz.*

*I mam się dobrze - odpisałam. - Jestem na wystawie Clyde'a. Zadzwoń później.*

Wiedziałam, że to ją powstrzyma przed wysyłaniem kolejnych esemesów. Na jakieś piętnaście minut. Lepiej znosiła naszą rozłąkę, kiedy przebywałam w college'u, chociaż nie o wiele lepiej. To były jednak ciągle pierwsze dni i wiedziałam, że mama w końcu przywyknie i zrozumie, że odległość nie musi w gruncie rzeczy nic między nami zmienić. Wciąż mnie kochała i pragnęła dla mnie gwiazdki z nieba i jeszcze więcej.

- Zróbmy sobie razem zdjęcie! - powiedział Clyde, przywołując gestem mnie, Morrisa i Benjiego do miejsca, gdzie stał z Ivy.

Za nimi wisiał nieznan mi obraz Clyde'a, szeroki, utrzymany w ciemnych odcieniach niebieskości i zieleni, z licznymi drobnymi plamkami, których nie potrafiłam rozpoznać. Podeszłam bliżej i nachyliłam się do płótna.

- No dobrze! - zawołała fotografka, wysoka dziewczyna z warkoczami. - Niech wszyscy spojrzą w obiektyw.

Morris otoczył ramieniem moje plecy, a Benji przysunął się do mnie z drugiej strony. Na zewnątrz, na ulicy pędziły samochody, zapadała noc i wszyscy wracali do miejsc, które nazywali swoimi domami. Galerię mijali przechodnie; niektórzy zaglądali przez okna do środka, inni schylali głowy przed zimnym wiatrem. Nie po raz pierwszy, odkąd znalazłam się w tym mieście, pomyślałam o chłopcu w sportowej marynarce unoszącym kieliszek z winem, chłopcu, który pomimo wszystko nauczył mnie tego, co powinnam wiedzieć o różnicy między rzeczami doskonałymi a wszelkimi innymi. Nie każda dziewczyna miała tyle szczęścia.

Rzecz jednak w tym, że nie zawsze można mieć wyłącznie to, co doskonałe. Ponieważ aby nasze życie było prawdziwe, potrzebujemy wszystkiego: dobra i zła, plaży i betonu, znanego i nieznanego, wielkich mówców i małych miasteczek.

W przeciwnym razie jak mogłabym mieć wszystkie te rzeczy i wciąż być tak blisko mojego własnego Najwspanialszego w Życiu? Tak blisko jak tego obrazu za mną. Gdy błysnął flesz aparatu, sięgnęłam ręką do tyłu i dotknęłam płótna, pojmując nagle, czym jest to, co przed chwilą na nim widziałam. To był tylko najdrobniejszy pył i ktoś postronny mógłby go mylnie wziąć za coś innego. Ale ja wiedziałam, skąd pochodzi. Bez względu na to gdzie się znajdę i z jakiego powodu, zawsze poczuję się jak w domu, kiedy dotknę piasku.